

Cyki SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



SIÓDMA
PLAGA

O książce

Czy dziesięć biblijnych plag rzeczywiście dotknęło starożytny Egipt?

A jeśli tak, to czy dziś mogą się powtórzyć podobne klęski?

Na globalną skalę?

Zaginieni naukowcy

Grupa brytyjskich archeologów znika bez śladu w Sudanie. Po dwóch latach nomadowie znajdują na pustyni wycieńczonego szefa wyprawy. Profesor McCabe umiera, zanim ma okazję rzucić światło na to, co się wydarzyło.

Odkrycie w prosektorium

Kairsy patolodzy, wykonując sekcję zwłok McCabe'a, trafiają na ślady, z których wynika, że profesor jeszcze za życia był poddawany mumifikacji. Tymczasem osoby, które miały z nim kontakt, zapadają na śmiertelną chorobę. Światu grozi epidemia o niespotykanych dotąd rozmiarach.

Stacja Aurora

W tym samym czasie na arktycznej wyspie szalony miliarder, zafascynowany wynalazkami Nikoli Tesli, szykuje się do eksperymentu, który może być zgubny w skutkach dla całej planety.

Ostatnia deska ratunku

I znów przyszłość ludzkości zależy od agentów Sigma Force. Painter Crowe, Gray Pierce, Seichan, Joe Kowalski, Monk Kokkalis i Kate Bryant muszą się rozdzielić. Jedni ruszą do Afryki, inni za koło podbiegunowe. Bo jeśli oni nie znajdą antidotum na szerzącą się chorobę i nie powstrzymają szaleńca, to nie uda się to nikomu.

JAMES
ROLLINS
SIÓDMA
PLAGA

Z angielskiego przełożył
MARIA GĘBICKA-FRĄC

Wydanie elektroniczne



James Rollins

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pletwonurek i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne – m.in. **Ekspedycja, Amazonia** oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. **Burzą piaskową** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy. Obecnie trwają przygotowania do ekranizacji **Mapy Trzech Mędrców**.

jamesrollins.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Cykl SIGMA FORCE

BURZA PIASKOWA
MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCNIA
KOLONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA
SZÓSTA APOKALIPSA
LABIRYNT KOŚCI
SIÓDMA PLAGA

James Rollins, Grant Blackwood
Cykl z Tuckerem Wayne'em

WYŁĄCZNIK AWARYJNY

James Rollins, Rebecca Cantrell
Cykl ZAKON SANGWINISTÓW

EWANGELIA KRWI
NIEWINNA KREW
DIABELSKA KREW

Tytuł oryginału:
THE SEVENTH PLAGUE

Copyright © James Czajkowski 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2018

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki i serii: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-8125-197-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

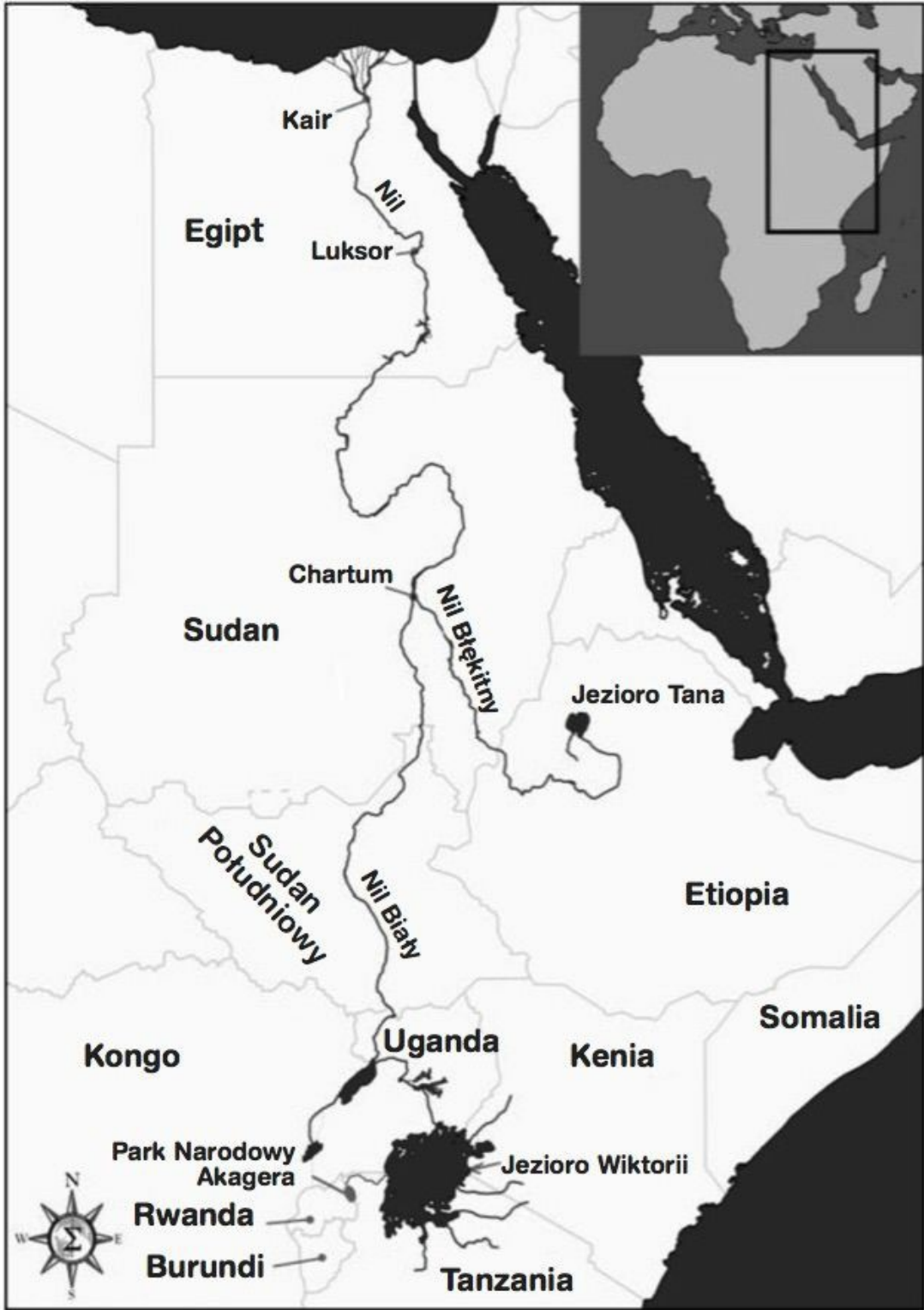
Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

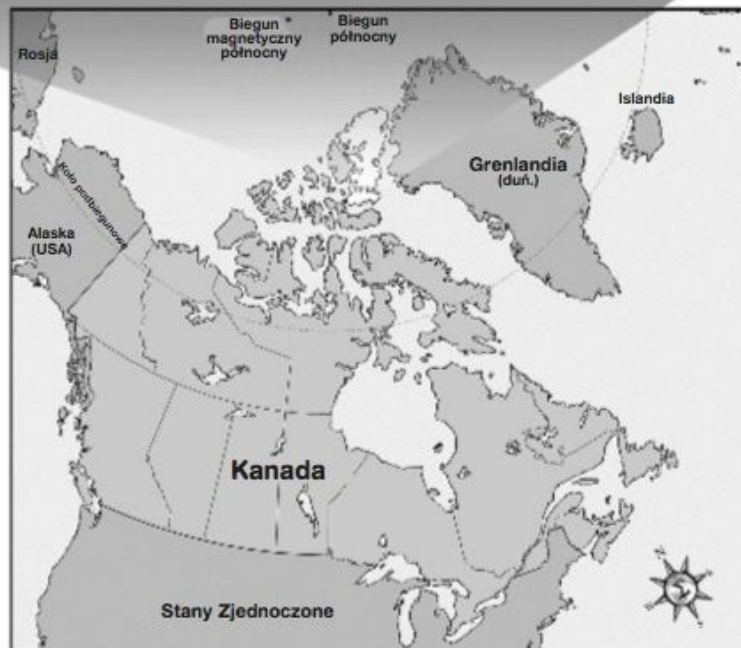
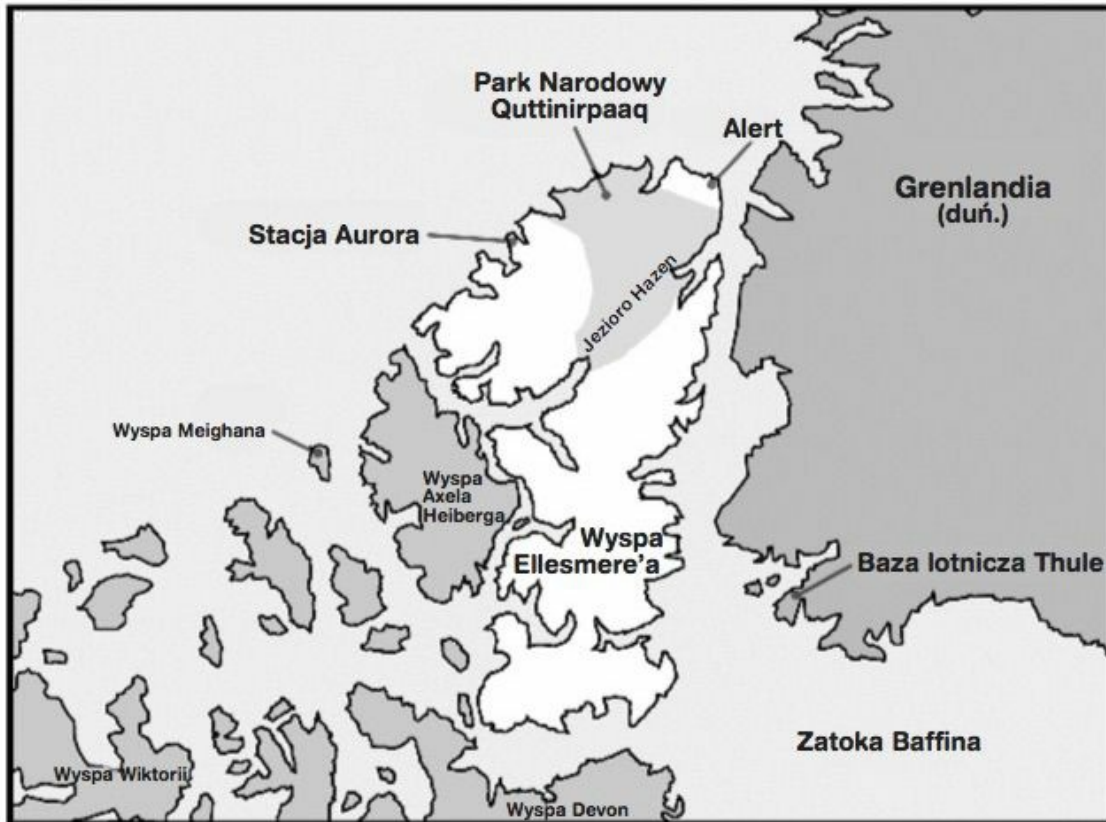
*Dziękuję mamie i tacie,
Ronaldowi i Mary Ann,
za inspirację, bezwarunkowe wsparcie
i dawany przez całe życie przykład, jak kochać...
Teraz znów są razem, w pokoju wiecznym.*

Podziękowania

Wielu ludzi pomogło mi przy pisaniu tej książki – dzięki ich pomocy, radom, uwagom, słowom zachęty i, co najważniejsze, niezachwianej przyjaźni, jest lepsza. Muszę podziękować grupie krytyków, zżytej gromadce czytelników, którzy pełnią rolę moich pierwszych redaktorów i są gotowi przypiekać mnie żywym ogniem, żebym parł dalej i kopał głębiej: Sally Ann Barnes, Chrisowi Crowe’owi, Lee Garrettowi, Jane O’Rivie, Denny’emu Graysonowi, Leonardowi Little’owi, Judy Prey, Caroline Williams, Christianowi Rileyowi, Todowi Toddowi, Chrisowi Smithowi i Amy Rogers. I, jak zawsze, specjalne podziękowania dla Steve’a Preya za świetne mapy... i Davida Sylviana za pilnowanie, żebym przez cały czas dokładał wszelkich starań... i dla Cherei McCarter za wiele wspaniałych smacznych kąsków zawartych na tych stronach. I, oczywiście, wszystkim w HarperCollins za poparcie, szczególnie Michaelowi Morrisonowi, Liate Stehlik, Danielle Bartlett, Kaitlin Harri, Joshowi Marwellowi, Lynn Grady, Jeanne Reinie, Richardowi Aquanowi, Tomowi Egnerowi, Shawnowi Nichollsowi i Anie Marii Alessi. Na koniec, oczywiście, podziękowania dla ludzi, którzy odegrali znaczącą rolę na każdym etapie produkcji: mojej redaktorce Lyssie Keusch i jej koleżance Priyance Krishnan, a także moim agentom, Russowi Galenowi i Danny’emu Barorowi (również jego córce, Heather Baror). Jak zawsze, muszę zaznaczyć, że wina za każdy błąd dotyczący faktów w tej książce – mam nadzieję, że nie ma ich zbyt wiele – spada na moją głowę.

DORZECZE NILU





Ze źródeł historycznych

Mojżesz powiedział do ludu: „Pamiętajcie o dniu tym, gdyście wyszli z Egiptu, z domu niewoli, gdyż potężną ręką wywiódł was Pan stamtąd”¹.

Księga Wyjścia 13,3

Niewiele historii w Biblii jest równie wstrząsających i równie często opowiadanych na nowo – w druku i na ekranie – jak dzieje Mojżesza. Poczynając od brzemiennego w skutki ocalenia, gdy córka faraona wyłowila noworodka spuszczonego na rzekę w trzciniowym koszyku, po ostatnią konfrontację z synem tegoż faraona, Mojżesz stał się postacią legendarną. Chcąc wyzwolić Żydów z niewoli, zesłał na Egipt dziesięć plag, rozdzielił wody morza i wiele lat prowadził przez pustynię swój lud, dając mu dziesięć przykazań jako podstawę nowego systemu prawa.

Ale czy to zdarzyło się naprawdę? Większość historyków, nawet wielu przywódców religijnych, uważa historię wyjścia Żydów z Egiptu za mit, bardziej moralną lekcję niż fakt historyczny. Na poparcie tego stanowiska sceptyczni archeolodzy wskazują brak źródeł egipskich dokumentujących jakąkolwiek serię plag czy masowy exodus niewolników, zwłaszcza w okresie wskazanym w Biblii.

Obecne odkrycia wzdłuż Nilu sugerują jednak, że sceptycy mogą się mylić. Czy rzeczywiście mogą istnieć dowody, że opisane w Biblii dzieje Mojżesza – wielka ucieczka z Egiptu, cuda

i klątwy – zdarzyły się naprawdę? Czy dziesięć plag egipskich rzeczywiście się pojawiło? Niepokojące odpowiedzi znalezione na tych stronach są oparte na faktach tak solidnych, jak nazwa Izrael wyrzeźbiona na steli syna Ramzesa Wielkiego.



A jeśli plagi egipskie pojawiły się naprawdę – to czy mogą się powtórzyć, i to na skalę światową?
Odpowiedź brzmi przerażająco – tak.

Zapiski naukowe

Klimat jest tym, czego się spodziewamy, a pogoda tym, co dostajemy.

przypisywane Markowi Twainowi

Ostatnio robi się coraz cieplej – rośnie nie tylko średnia temperatura globalna, ale też temperatura debaty o zmianie klimatu. W ciągu ostatnich kilku lat pytanie „Czy klimat naprawdę się zmienia?” ustąpiło innemu: „Co powoduje zmiany i czy można cokolwiek z tym zrobić?”. Wielu byłych sceptyków dziś uznaje, że z naszą planetą dzieje się coś złego, następuje regresja lodowców, grenlandzki pak lodowy znika w zawrotnym tempie, oceany się ocieplają. Pogoda staje się bardziej ekstremalna – od długotrwałych susz po potężne powodzie. Jak doniesiono w lutym 2016 roku, Alaska doświadczyła drugiej najcieplejszej zimy w całej historii pomiarów meteorologicznych – z temperaturą ponad pięć stopni Celsjusza powyżej średniej – a w maju tego samego roku pomiary satelitarne ujawniły, że arktyczna pokrywa lodowa skurczyła się do rekordowo małych rozmiarów.

Jeszcze bardziej przerażające pytanie poruszone w tej powieści brzmi: „Co będzie dalej?”. Niewiele się mówi o odpowiedzi, która jest zaskakująca, ale oparta na konkretnych dowodach i nauce – i, co najbardziej szokujące, to już się kiedyś stało. Niezależnie od tego, czy ktoś wierzy w historie z Biblii, czy też nie, zawsze lepiej wiedzieć, co nas czeka. Czas poznać zdumiewającą prawdę o przyszłości naszej planety.

Pan powiedział do Mojżesza: „Mów do Aarona: Weź laskę swoją i wyciągnij rękę na wody Egiptu, na jego rzeki i na jego kanały, i na jego stawy, i na wszelkie jego zbiorowiska wód, a zamienią się w krew. I będzie krew w całej ziemi egipskiej, w naczyniach drewnianych i kamiennych”.

Księga Wyjścia 7,19

Zaprzeczenie to nie tylko rzeka w Egipcie².

Mark Twain



Wiosna, 1324 r. p.n.e.

Pustynia Nubijska, południowy Egipt

Najwyższa kapłanka klęczała naga na piasku. Wiedziała, że nadszedł czas. Znaki stawały się coraz wyraźniejsze, liczniejsze i coraz bardziej złowróżbne. Na zachodzie burza piaskowa pięła się ku słońcu, trzaskając błyskawicami i obracając błękitne niebo w pylistą ciemność.

Wróg prawie do nich dotarł.

Przygotowując się, Saba zgoliła wszystkie włosy, nawet brwi nad umalowanymi oczami. Wykąpała się w wodach dwóch rzek, które płynęły na północ z głębi pustyni i łączyły się w tej świętej konfluencji, by utworzyć potężną rzekę, przez starożytnych królów *heqa chaset* zwaną Nahal. Wyobraziła sobie jej kręty bieg, gdy płynęła obok Luksoru, Teb i Memfis w drodze do wielkiego błękitnego morza za żyzną deltą.

Nigdy nie widziała tamtych stron, ale słyszała opowieści.

O naszym starym domu, o miejscu zielonych pól i palm i o życiu rządzonym przez regularne wylewy Nahalu...

Lud Saby porzucił tamte ziemie przed ponad stu laty, uciekając przed plagami, głodem i śmiercią, ścigany przez już od dawna nieżyjącego faraona. Większość innych plemion zamieszkujących deltę szukała schronienia na wschodnich pustyniach, podbijając tamtejsze ziemie i tworząc własne królestwo – ale plemię Saby zasiedliło tereny leżące dalej na

południe wzdłuż rzeki, w pobliżu wioski Dżeba w Thes-Hor, drugiej nomie Górnego Egiptu zwanej Tronem Horusa.

W czasie ciemności i śmierci jej plemię przeniosło się poza zasięg egipskiego królestwa, na Pustynię Nubijską. Byli ludem uczonych i skrybów, kapłanów i kapłanek, strażnikami wielkiej wiedzy. Uciekli na pustkowia Nubii, żeby chronić tę wiedzę podczas burzliwych czasów, które nastąpiły po plagach, kiedy Egipt został najechany i opanowany przez cudzoziemców ze wschodu, dzikich ludzi z szybszymi rydwanami i silniejszą bronią z brązu, podbijających osłabione egipskie miasta ledwie jedną wypuszczoną strzałą.

Ale mroczny czas dobiegał końca.

Egipt powstawał; wypędził najeźdźców, zbudował pomniki swoich licznych zwycięstw i przesunął granicę w kierunku Nubii.

– *Hemet neczer* – szepnął za nią młody mężczyzna o imieniu Tabor, wyczuwając jej rozpacz albo tylko próbując jej przypomnieć o roli *hemet neczer*, boskiej dziewicy. – Musimy już iść.

Zrozumiała i wstała z klęczek.

Tabor spoglądał na szalejącą na zachodzie burzę, która wyraźnie była źródłem jego zmartwienia. Saba popatrzyła na północ i zauważyła smużkę dymu, oznaczającą zniszczenie miasta leżącego przy piątej katarakcie Nahalu – najnowszego podboju egipskiej armii. Wkrótce te same siły dotrą tutaj.

Zanim to się stanie, Saba wraz z innymi ze swojej kasty musi ukryć to, co chronili od ponad wieku, cud niepodobny do innych: błogosławiony przez boga lek ukryty w sercu klątwy.

Widząc, jak Egipcjanie, zajmując miasto po mieście, prą na północ i zagarniają tereny leżące wzdłuż rzeki, już tysiąc dni temu podjęli przygotowania polegające głównie na aktach oczyszczania się przed ostatecznym przeobrażeniem w nieśmiertelne naczynia bożego błogosławieństwa.

Saba, poprowadziwszy wielu swoich braci i sióstr na obronę ścieżkę, jako ostatnia miała przejść przemianę. Jak oni, rok temu wyrzekła się prosa i wszelkich innych zbóż; jadła tylko orzechy,

jagody i korę drzew i piła napar z żywicy dostarczonej tu z obcych krajów. Z biegiem czasu wychudła jak szkielet, miała ziemistą cerę, jej piersi i pośladki pomarszczyły się i obwisły. Choć miała tylko trzydzieści lat, potrzebowała silnych pleców i ramion Tabora, żeby pomógł jej wstać, a nawet włożyć płócienną szatę.

Gdy odchodzili od zbiegu rzek, Saba patrzyła, jak burza piaskowa niepowstrzymanie sunie w ich stronę, przesywana błyskawicami zrodzonymi w kłębiącej się chmurze pyłu. Czuła energię płynącą przez pustynię. Wyczuwała ją węchem w powietrzu; czuła, jak porusza włoskami na jej ramionach. Z wolą boską te same piaski pomogą ukryć ich dzieło, pogrzebią je pod naniesionymi przez wiatr wydmami.

Ale najpierw Saba i jej towarzysze muszą dotrzeć do dalekich wzgórz.

Skupiła się na stawianiu jednej stopy przed drugą. Obawiała się, że za długo zwlekała przy rzece. Zanim dotarli do głębokiego wąwozu pomiędzy dwoma wzgórzami, burza ich dopędziła, wyjąc i szorując palącym piaskiem nieosłoniętą skórę.

– Szybciej, pani – ponaglał Tabor, niemal ją niosąc.

Palce stóp Saby muskały ziemię, wypisując nieczytelne błagalne hieroglify.

Nie wolno mi upaść...

Zniknęli w ciemnym wejściu i pospieszyli na dół długim, stromym korytarzem do cudu wyciętego w piaskowcu. Pochodnie oświetlały drogę, cienie tańczyły w ich blasku. Światło powoli ujawniało ukryte dzieło rzemieślników i uczonych, którzy ręka w rękę pracowali od ponad siedmiu dziesięcioleci.

Tabor pomógł jej przejść nad kamiennymi zębami i po języku wyrzeźbionym z nadzwyczajną dbałością o szczegóły. Komora przed nimi dzieliła się na dwa tunele: jeden prowadził w dół, w kierunku kamiennego brzucha, a drugi, z małymi półkolistymi wypukłościami, do ogromnej klatki piersiowej.

W wielkim pośpiechu obrali tę drugą trasę.

Wspierana przez Tabora Saba, idąc, wyobrażała sobie podziemny kompleks rozciągający się głęboko pod tymi wzgórzami. Nadano mu formę leżącej postaci. Rzeźba nie miała zewnętrznej strony – wewnątrz pieczołowicie wycięto z piaskowca wszystkie wewnętrzne narządy ludzkiego ciała, od wątroby i nerek po pęcherz i mózg.

Pod wzgórzami kasta Saby stworzyła swojego kamiennego boga, dość dużego, żeby urządzić w nim dom i użyć jego ciała jako naczynia do zachowania tego, co musiało być chronione.

Teraz ja muszę uczynić z mojego ciała świątynię wielkiego boskiego błogosławieństwa, pomyślała.

Tabor zaprowadził ją do miejsca, gdzie żebrowany korytarz rozdzielał się na dwa mniejsze tunele, jak tchawica w jej piersi. Gdy skręcili w lewo, lekko się pochyliłi, żeby nie uderzać głowami o rzeźbiony strop. Nie musieli jednak iść daleko.

Światło pochodni przed nimi pojaśniało, kiedy tunel doprowadził ich do rozległej komory o stropie wspartym na kamiennych żebrach, które sięgały w górę do potężnego kręgosłupa. Pośrodku komory spoczywało kamienne serce, cztery razy wyższe od niej, oddane w idealnej symetrii, z wachlarzem wielkich wyrzeźbionych naczyń krwionośnych.

Spojrzała na garstkę nubijskich sług czekających na nią na klęczkach, a potem na kolumnadę wykutych w skale kamiennych żeber. Pomiędzy nimi znajdowały się zamurowane ceglami nisze. Były to groby jej braci i sióstr, którzy odeszli w przyszłość przed nią. Wyobraziła sobie, jak siedzą albo na wpół leżą na krzesłach, podczas gdy ich ciała powoli kończą akt przeobrażenia, stając się naczyniami błogosławieństwa.

Jestem ostatnia... wybrana dziewica Boga.

Odwróciła się ku kamiennemu sercu. Małe wejście prowadziło do jednej z komór, nadzwyczaj zaszczytne miejsce.

Uwolniła się z ramion Tabora i zrobiła kilka kroków, o własnych siłach podchodząc do otworu. Nisko spuściła głowę i weszła do środka. Wyprostowała się i namacała zimną skałę. Wewnątrz czekał na nią srebrny tron; kiedy usiadła, poczuła, że też jest zimny. Z boku stała miska wyrzeźbiona z lapis-lazuli, aż

po posrebrzany brzeg wypełniona wodą. Saba podniosła ją i postawiła na udach.

Tabor pochylił się w stronę otworu, zbyt zbolący, żeby przemówić, ale z łatwością odczytała wyraz jego twarzy, pełnej żalu, nadziei i strachu. Takie same emocje wezbrały w jej piersi – wraz z niemałymi wątpliwościami. Mimo to skinęła głową.

– Niechaj się dokona.

Po jego twarzy widać było, że Tabor toczy ze sobą bitwę, lecz odpowiedział skinieniem głowy i ukłonem.

Podeszli inni słudzy, żeby zamurować wejście cegłami z mułu i trawy. Zapadała ciemność, ale w resztkach światła pochodni spojrziała na misę i dostrzegła ciemny połysk. Woda miała głęboki szkarłatny kolor. Wiedziała, co trzyma w dłoniach. Misa zawierała wodę z Nahalu zaczerpniętą w czasach, kiedy rzeka została przeklęta i spłynęła krwią. Kasta Saby przechowywała tę pochodzącą sprzed wieków przeklętą wodę – wraz z zawartym w niej błogosławieństwem.

Gdy położono ostatnią cegłę, nagle zaschło jej w gardle. Słuchała, jak słudzy pokrywają cegły warstwą mułu. Słyszała też chrobot drewna piętrzonego wokół kamiennego serca.

Zamknęła oczy, wiedząc, co zaraz nastąpi.

W wyobraźni ujrzała pochodnie zapalające drewno.

Powoli nadeszło potwierdzenie – kamień pod stopami Saby się rozgrzał. Wkrótce powietrze w sercu – już i tak duszne – zrobiło się gorące. Wilgoć wyschła do ostatniej kropli, uciekając kominem wyrzeźbionych naczyń krwionośnych. Po chwili Saba odniosła wrażenie, że oddycha gorącym piaskiem. Syknęła, gdy kamień sparzył podeszwy jej stóp. Nawet srebrny tron był gorący jak krawędź grzbietu wydmy w letnim słońcu.

A jednak siedziała w milczeniu. Ci na zewnątrz z pewnością już wychodzili z podziemnego świata, szczelnie zamykając drogę za sobą. Opuszczą te tereny pod osłoną burzy, znikną na zawsze, a pustynia zatrze wszelkie dowody istnienia tego miejsca.

Gdy Saba czekała na swój koniec, łzy płynęły jej z oczu i wysychały na policzkach. Świadoma, co ją czeka, szlochała

z bólu, rozchylając spękane usta. Nagle ciemność rozproszył łagodny blask. Bił z miski spoczywającej na jej kolanach; wirował w szkarłatnej wodzie, delikatnie migocząc.

Pomyślała, że może to przywidzenie spowodowane bólem, ale znalazła pociechę w tym blasku. Dał jej siłę do wypełnienia ostatniego aktu.

Podniosła misę do ust i zaczęła łapczywie pić. Życiodajna woda spłynęła w głąb jej spieczonego gardła i wypełniła skurczony żołądek.

Gdy Saba opuściła pustą miskę, żar wewnątrz kamiennego serca stał się nie do zniesienia. Cierpiała katusze, a jednak się uśmiechała, wiedząc, czym się stała.

Jestem twoim naczyniem, Panie... teraz i na wieki.

Nowy Jork, Stany Zjednoczone

2 marca 1895 r., godzina 21.34 czasu miejscowego

To mi się bardziej podoba...

Mając cel na oku, Samuel Clemens – bardziej znany pod pseudonimem literackim Mark Twain – prowadził opierającego się towarzysza przez park Gramercy. Światła gazowe przed nimi przyzywały ich na drugą stronę ulicy, oświetlając kolumny, portyk i żelazne balustrady Players Club. Obaj byli członkami tego ekskluzywnego przybytku.

Przyciągany obietnicą śmiechu, humoru i dobrego towarzystwa, Twain przyspieszył; stawiał długie zdecydowane kroki, wlokąc za sobą chmurę dymu z cygara w rześkim nocnym powietrzu.

– Co ty na to, Nikola?! – zawołał przez ramię do swojego towarzysza. – Wedle mojego zegarka i żołądka, w Players jeszcze podają kolację. A jeśli nawet nie, odrobina brandy będzie się komponować z moim cygarem.

Młodszy prawie o dwadzieścia lat, wąsaty Nikola Tesla był w znoszonym garniturze z marynarką wyświechtaną na łokciach. Rozglądając się, co chwilę odgarniał z czoła ciemne włosy. Kiedy był podenerwowany, jak teraz, mówił z wyraźnym serbskim akcentem.

– Samuelu, mój drogi, jest późno, a ja jeszcze nie skończyłem pracy w laboratorium. Jestem ci wdzięczny za bilety do teatru, ale powinienem już iść.

– Bzdura! Nadmiar pracy robi z człowieka nudziarza.

– W takim razie ty musisz być nad wyraz ekscytujący... bo wiesz skrajnie próżniacze życie.

Twain obejrzał się i fuknął.

– Może tego nie wiesz, ale pracuję nad następną książką – oznajmił.

– Niech zgadnę. – Nikola uśmiechnął się krzywo. – Huck Finn i Tom Sawyer pakują się w kolejne tarapaty.

– Gdyby tylko te huncwoty chciały! – Twain roześmiał się, przyciągając spojrzenie jakiegoś przechodnia. – Wtedy może mógłbym spłacić wierzycieli.

Starał się trzymać w tajemnicy fakt, że w ubiegłym roku ogłosił bankructwo i przekazał wszystkie prawa autorskie do swoich książek żonie, Olivii. Planował wyruszyć na roczne tournée z odczytami po Stanach i Europie, żeby spłacić długi.

Wzmianka o pieniądzach zepsuła nastrój. Pluł sobie w brodę, że wspomniał o finansach. Wiedział, że Nikola ma podobne problemy, mimo że był prawdziwym geniuszem, człowiekiem wszechstronnie utalentowanym, wynalazcą, inżynierem elektrykiem i fizykiem. Twain spędził wiele popołudni w jego laboratorium przy Piątej Alei i szybko zostali przyjaciółmi.

– No, może na jednego drinka – ustąpił z westchnieniem Nikola.

Ruszyli przez ulicę w kierunku portyku pod syczącymi lampami gazowymi. Zanim dotarli do wejścia, ktoś wyłonił się z cieni i zaszedł im drogę.

– Dzięki Bogu! – krzyknął. – Portier powiedział, że może przyjdiesz.

Twain, przez chwilę zaskoczony, w końcu rozpoznał mężczyznę. Zdziwiony i uradowany, poklepał po ramieniu starego przyjaciela.

– Miło cię widzieć, Stanley! Co tu porabiasz? Myślałem, że wciąż jesteś w Anglii.

– Wróciłem wczoraj.

– Cudownie! Zatem uczcijmy twój powrót zza Atlantyku, wychylając jedną czy dwie szklaneczki. Może nawet trzy.

Twain chciał pociągnąć ze sobą obu mężczyzn, ale Stanley zatrzymał go przed progiem.

– Jak rozumiem – zaczął – masz dojście do Thomasa Edisona.

– Ch... Chyba tak – odparł z wahaniem Twain, doskonale wiedząc o głęboko zakorzenionym konflikcie pomiędzy Edisonem i Nikołą Teslą.

– Mam pilną sprawę do przedyskutowania z wynalazcą i chcę mu coś pokazać. To zadanie zleczone mi przez Koronę.

– Naprawdę? Brzmisz bardzo tajemniczo!

– Może mógłbym pomóc – zaproponował Nikola.

Ponieważ on i Stanley się nie znali, Twain przedstawił ich sobie.

– Nikola, to Henry Morton Stanley, niebawem, jeśli pogłoska się sprawdzi, sir Stanley, sławny nie tylko jako badacz, ale również wychwalany za odnalezienie Davida Livingstone’a, podróżnika zaginionego w sercu Czarnej Afryki.

– Ach... – mruknął Nikola. – Teraz sobie przypominam, zwłaszcza słowa, jakimi pan go powitał: „Doktor Livingstone, jak mniemam?”.

Stanley jęknął.

– Nigdy tak nie powiedziałem.

Twain z uśmiechem obrócił się w stronę drugiego przyjaciela.

– A to Nikola Tesla, taki sam geniusz jak Edison, a może nawet większy.

Stanley szeroko otworzył oczy.

– Oczywiście, powinienem pana rozpoznać.

Błede policzki Nikoli lekko poróżwiały.

– Więc – zaczął Twain – jaką to ważną misję zleciła ci Korona Brytyjska?

Henry Morton Stanley wilgotną dłonią przegarnął rzedniejące siwe włosy.

– Jak wiesz, Livingstone zaginął w Afryce, szukając źródeł Nilu. Sam ich kiedyś szukałem.

– Tak, podobnie jak wielu innych Brytyjczyków. Najwyraźniej dla was wszystkich to cel dorównujący znalezieniu Świętego

Graala.

Stanley zmarszczył brwi, lecz nie zaprzeczył.

Twain przypuszczał, że przyczyną tych poszukiwań była nie tyle ciekawość, ile brytyjskie ambicje kolonialne w Afryce, ale nie powiedział tego głośno, z obawy że może odstraszyć przyjaciela, zanim ten powie coś więcej o swojej tajemniczej misji.

– Skąd zainteresowanie Korony Brytyjskiej źródłami Nilu? – spytał.

Stanley przyciągnął go bliżej i wyjął z kieszeni niewielki przedmiot. Była to szklana fiolka zawierająca ciemną ciecz.

– Niedawno znaleziono to wśród rzeczy pozostałych w posiadłości Davida Livingstone’a. Doktor uratował chorego syna nubijskiego wojownika, a ten w podzięcie ofiarował mu starożytny amulet, zapieczętowane woskiem naczynko z wyrzeźbionymi hieroglifami. Ta fiolka zawiera próbkę znalezionej w talizmanie wody, która, jak twierdził wojownik, pochodzi z samego Nilu.

Twain wzruszył ramionami.

– Dlaczego to takie ważne?

Stanley odsunął się i podniósł fiolkę ku światłu latarni. W migotliwym blasku płyn jarzył się głębokim szkarłatem.

– Z zapisków Livingstone’a wynika, że woda pochodzi sprzed tysięcy lat. Podobno zaczerpnięto ją ze starożytnego Nilu, kiedy woda w rzece przemieniła się w krew.

– Przemieniła się w krew? – powtórzył Nikola. – Jak w Starym Testamencie?

Twain uśmiechnął się, podejrzewając, że Stanley, który dobrze wiedział o jego pogardzie dla religii, stroi z niego żarty. Mieli za sobą wiele gorących dyskusji na ten temat.

– Twierdzisz, że to pamiątka po biblijnej pladze, pierwszej z dziesięciu, które Mojżesz zesłał na Egipcjan?

Wyraz twarzy Stanleya wcale się nie zmienił.

– Wiem, jak to brzmi – powiedział.

– To niemożliwe...

– Nie żyje dwudziestu dwóch członków Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Zmarli, kiedy po raz pierwszy otworzono nubijski talizman i badano jego zawartość w laboratorium.

Zapadła pełna oszołomienia chwila ciszy.

– Jak zmarli? – zapytał w końcu Nikola. – To trucizna?

Stanley pobladł. Człowiek, który nieustraszenie stawiał czoło najgroźniejszym bestiom, wysysającej siły gorączce i dzikim kanibalom, teraz wyglądał na przerażonego.

– Nie trucizna.

– Zatem co? – dociekał Twain.

– Klątwa. Plaga z zamierzchłej przeszłości – odparł ze śmiertelną powagą Stanley, zaciskając fiolkę w dłoni. – Pozostałość po starożytnym gniewie, jaki Bóg wylał na Egipcjan... Ale to dopiero początek, jeśli nie powstrzymamy tego, co nadchodzi.

– Co można zrobić? – zapytał Twain.

Stanley zwrócił się do Nikoli:

– Musi pan popłynąć do Anglii.

– Po co? – chciał wiedzieć Twain.

– Żeby powstrzymać następną plagę.

CZĘŚĆ PIERWSZA
MUMIFIKACJA

Σ

1

Teraźniejszość

Kair, Egipt

28 maja, godzina 11.32 czasu miejscowego

Po nerwowym zachowaniu koronera Derek Rankin poznał, że coś jest nie w porządku.

Doktor Badawi lekko się uklonił i wskazał ręką drzwi windy.

– Proszę ze mną.

Gdy ich prowadził, Derek zerknął na swoje dwie towarzyszki, niepewny, jak poradzą sobie na ostatnich etapach tej ponurej podróży. Starsza z nich, Safia al-Maaz, była o głowę wyższa od swojej koleżanki z pracy, Jane McCabe. Przylecieli tu dziś rano z Londynu prywatnym odrzutowcem; gdy tylko wylądowali na lotnisku w Kairze, błyskawicznie przewieziono ich do miejskiego prosektorium, nijakiego kompleksu niebieskich budynków o rzut kamieniem od Nilu.

Gdy szli za lekarzem, Safia opiekuńczo, po matczynemu obejmowała swoją dwudziestojednoletnią koleżankę.

Derek podchwycił jej spojrzenie i popatrzył na nią tak, jakby pytał, czy Jane to zniesie.

Safia odetchnęła głęboko i skinęła głową. Była jego szefową, starszym kustoszem w Muzeum Brytyjskim. Zaczął tam pracę cztery lata temu na skromnym stanowisku asystenta. Był bioarcheologiem koncentrującym się na badaniu stanu zdrowia ludzi w przeszłości. Na podstawie uzębienia, szkieletów i szczątków tkanki próbował dokonać bardziej kompleksowej oceny kondycji fizycznej starożytnych; czasami nawet udawało

mu się ustalić przyczynę śmierci. Wcześniej, jako pracownik naukowo-dydaktyczny University College London, zajmował się epidemiami, łącznie z czarną śmiercią w Europie, a także klęską wielkiego głodu w Irlandii.

W ramach obecnego projektu prowadzonego w Muzeum Brytyjskim badał mumie znalezione na terenach wokół szóstej katarakty Nilu w Sudanie, gdzie budowano nową zaporę. W tej pustynnej strefie nieczęsto prowadzono badania naukowe, ale podczas budowy tamy Sudańskie Towarzystwo Archeologiczne zwróciło się do Muzeum Brytyjskiego z prośbą o pomoc w ratowaniu archeologicznych skarbów, zanim nadrzeczne tereny zostaną zalane. W ciągu kilku ostatnich miesięcy udało się ocalić wiele zabytków, łącznie ze złożoną z trzystu dziewięćdziesięciu bloków małą nubijską piramidą, którą rozłożono i przeniesiono w bezpieczne miejsce.

Do Kairu sprowadził ich właśnie ten projekt, przez wielu uważany za przeklęty, odkąd dwa lata temu szef ekspedycji wraz z całym zespołem badawczym zaginął bez śladu. Po miesiącach poszukiwań uznano, że przyczyną zaginięcia grupy były działania przestępcze, które w tym regionie nasiliły się w wyniku niepokoju politycznych po Arabskiej Wiośnie. Wprawdzie połowę zespołu stanowili Sudańczycy, ale dla cudzoziemców zapuszczanie się na odludzia, gdzie rządzą bandyci i rebelianci, było skrajnie niebezpieczne. Brano pod uwagę akt terrorystyczny, chociaż żadne ugrupowanie nie przyznało się do niego; nikt nie wysunął żądań okupu.

Ta strata wstrząsnęła całym muzeum. Szef zespołu, profesor Harold McCabe, z powodu trudnego charakteru może nie cieszył się sympatią, ale był szanowanym archeologiem. Derek postanowił wziąć udział w projekcie ratowania zabytków właśnie przez wzgląd na zaangażowanie McCabe'a. Profesor był jego wykładowcą i mentorem podczas pierwszych lat pracy w University College London, a nawet pomógł mu uzyskać stypendium.

Tak więc śmierć tego człowieka głęboko nim wstrząsnęła – chociaż nie tak głęboko jak najmłodszym członkiem ich grupy.

Gdy wsiedli do windy, Derek przyglądał się Jane McCabe. Dziewczyna stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, z nieobecnyim spojrzeniem. Była córką profesora. Derek zauważył kropelki potu na jej czole i nad górną wargą. Dzień był gorący i klimatyzacja w prosektorium w niewielkim stopniu łagodziła upał, ale Derek przypuszczał, że pot jest skutkiem nie tyle temperatury, ile strachu na myśl o czekającym ją zadaniu.

Safia dotknęła łokcia dziewczyny, zanim drzwi windy się zamknęły.

– Jane, możesz poczekać tutaj. Znałam twojego ojca na tyle dobrze, że mogę go zidentyfikować.

Derek pokiwał głową na znak, że się z nią zgadza, i przytrzymał zamykające się drzwi.

Spojrzenie Jane stwardniało.

– Muszę to zrobić – rzuciła. – Po dwóch latach niepewności... czekania na wiadomości o losie ojca i brata... nie mam zamiaru...

– Głos jej się załamał, co chyba tylko ją zirytowało. Jej starszy brat, Rory, towarzyszył ojcu podczas ekspedycji i zniknął wraz z pozostałymi, zostawiając ją samą na świecie. Matka zmarła sześć lat temu po długiej walce z rakiem jajników.

Jane strąciła z ramienia rękę Dereka i drzwi kabiny się zamknęły.

Safia cicho westchnęła, wyraźnie godząc się z decyzją dziewczyny.

Derek nie spodziewał się po córce profesora innej reakcji. Była bardzo podobna do ojca: uparta, samowolna i genialna. Znał ją tak długo, jak jej ojca. Kiedy się poznali, miała szesnaście lat i już studiowała na UCL. W wieku dziewiętnastu lat zrobiła doktorat z antropologii i obecnie uczestniczyła w programie podoktoranckim, zdecydowana pójść w ślady ojca.

Co, niestety, w końcu doprowadziło ją tutaj.

Gdy winda zjeżdżała, Derek przyglądał się kobietom. Łączyło je zamiłowanie do historii starożytnej, ale nie mogłyby bardziej

się różnić. Safia miała skórę w kolorze jasnej mokki i długie ciemne włosy wskazujące na bliskowschodnie pochodzenie. Była skromnie ubrana, w ciemne spodnie i jasnoniebieską bluzkę z długimi rękawami; na głowę luźno zarzuciła chustę. Mówiła łagodnym głosem i wykazywała się niezwykłym spokojem, mimo to z łatwością potrafiła przykuć uwagę. W zielonych jak szmaragdy oczach miała coś, co w razie potrzeby mogło wymusić bezwzględne posłuszeństwo.

Jane natomiast była bardzo podobna do swojego ojca, Szkota. Miała ognście rude włosy, ścięte po męsku, i równie ognisty temperament. Derek słyszał opowieści o tym, jak rozstawiała po kątach studentów, a czasami nawet wykładowców, gdy się z nią nie zgadzali. W oczywisty sposób była nieodrodną córką ojca, chociaż po latach spędzonych pod pustynnym słońcem Harold McCabe miał pomarszczoną, ogorzałą twarz, podczas gdy gładka cera Jane, która przesiadywała w uniwersyteckich bibliotekach, była wyjątkowo blada. Drobne piegi na nosie i policzkach dodawały jej dziewczęcego uroku, co wiele osób błędnie brało za naiwność.

Derek wiedział swoje.

Winda się zatrzymała. Gdy drzwi się otworzyły, do kabiny wpłynął gryzący zapach wybielacza, który niezupełnie maskował woń rozkładu. Doktor Badawi, w długim do kolan białym fartuchu laboratoryjnym, poprowadził ich korytarzem o pobielonych wapnem betonowych ścianach, z podniszczonym linoleum na podłodze. Szedł pospiesznie – wyraźnie chciał załatwić tę sprawę jak najszybciej – widać było, że coś go martwi.

Na końcu korytarza rozchylił grubą foliową zasłonę i wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Derek i jego towarzyski podążyli za nim. Pośrodku stał stół ze stali nierdzewnej, na którym pod wykrochmalonym prześcieradłem leżały zwłoki.

Jane upierała się, żeby tu przyjść, ale teraz przystanęła niepewnie tuż za progiem. Safia z nią została, a Derek podszedł za koronerem do stołu. Usłyszał, jak dziewczyna niewyraźnie mówi, że nic jej nie jest.

Badawi zerknął na kobiety, nerwowo stukając w stalową wagę wiszącą obok stołu.

– Wydaje mi się, że pan powinien zobaczyć pierwszy – szepnął. – Może nie wypada, żeby panie przebywały tu w tej chwili.

Jane go usłyszała i natychmiast zareagowała na zawołaną mizoginię.

– Nie. – Podeszła z Safią do stołu. – Muszę wiedzieć, czy to na pewno mój ojciec.

Derek z jej miny wyczytał coś więcej. Po latach niepewności i złudnych nadziei chciała odpowiedzi, wyjaśnienia. Ale przede wszystkim chciała pozwolić odejść duchowi ojca.

– Miejmy to już za sobą – ponagliła ich Safia.

Badawi lekko skłonił głowę i podniósł prześcieradło, odsłaniając głowę i nagi tors.

Derek wciągnął ze świstem powietrze i cofnął się o krok. Jego pierwszą reakcją było zaprzeczenie. To nie może być Harold McCabe. Ciało przywodziło na myśl szczątki wykopane z piasków, w których spoczywały przez stulecia. Skóra na twarzy i żebrach wyglądała jak zassana od środka. Co dziwniejsze, miała kolor ciemnego orzecha ze lśniąca powierzchnią, jakby została polakierowana. Po chwilowym szoku zwrócił uwagę na siwiejące rude włosy, na taki sam zarost na brodzie i policzkach i zdał sobie sprawę, że to profesor.

Jane też go rozpoznała.

– Tato...

Derek się obejrzał. Rozpacz i cierpienie wykrzywiały rysy dziewczyny. Odwróciła się i przytuliła do Safii. Ta była niemal tak samo zrozpaczona jak ona. Znała Harolda McCabe'a znacznie dłużej niż Derek. Ale oprócz bólu dostrzegł zmarszczkę na jej czole znamionującą zaskoczenie.

Wiedział, co ją tak zdziwiło.

– Myślałem, że profesor McCabe żył, gdy odnaleziono go dziesięć dni temu – zwrócił się do koronera.

Badawi przytaknął ruchem głowy.

– Znalazła go rodzina nomadów, gdy brnął przez pustynię, jakiś kilometr od miasteczka Rufaa. – Spojrzał ze współczuciem na Jane. – Zabrali go tam na wózku, ale umarł w drodze, zanim otrzymał jakąkolwiek pomoc medyczną.

– To nie ma sensu – rzuciła Safia. – Zwłoki wyglądają tak, jakby zgon nastąpił znacznie wcześniej.

Derek w duchu przyznał jej rację. Skierował uwagę z powrotem na stół, zaintrygowany kolejną zagadką.

– Mówi pan, że ciało przywieziono tu ciężarówką dwa dni temu i że nikt go nie balsamował, tylko owinięto je w folię. Czy to była ciężarówka chłodnia?

– Nie, ale zwłoki zostały umieszczone w chłodni natychmiast po dostarczeniu do kostnicy.

– Osiem dni w wysokiej temperaturze... – Derek spojrzął na Safię – a nie widzę wielu śladów rozkładu. Ani znaczącego wzdęcia, ani pęknięć skóry. Zwłoki wyglądają niemal na zakonserwowane.

Jedynym uszkodzeniem było nacięcie w kształcie litery Y, zrobione podczas autopsji. W drodze z Londynu Derek przeczytał raport koronera. Nie stwierdzono przyczyny śmierci, ale najbardziej prawdopodobne wydawało się odwodnienie połączone z oddziaływaniem słońca i upału. Co niewiele mówiło o wcześniejszych losach profesora.

Gdzie był przez cały ten czas?

Safię nurtowało to samo pytanie.

– Czy ta rodzina nomadów udzieliła jeszcze jakichś informacji? – zapytała. – Czy profesor wyjaśnił im, gdzie przebywał, zanim znaleźli go na pustyni? Powiedział coś o losie swojego syna i innych członków ekspedycji?

Badawi spuścił wzrok, gdy jej odpowiadał.

– Nic, co miałoby sens. Był osłabiony i majaczył, a ludzie, na których się natknął, znają tylko sudański dialekt arabskiego.

– Mój ojciec biegle władał wieloma arabskimi dialektami – wtrąciła Jane.

– To prawda – przytaknęła Safia. – Z pewnością był w stanie porozumieć się przed śmiercią...

Koroner westchnął.

– Nie napisałem tego w raporcie, ale jeden z nomadów twierdził, że profesor McCabe mówił o tym, że został połknięty przez olbrzymia.

Safia uniosła brwi.

– Połknięty przez olbrzymia?

Badawi wzruszył ramionami.

– Jak wspomniałem, był poważnie odwodniony, prawdopodobnie majaczył.

– I nic więcej? – zapytała Safia.

– Tylko jedno słowo, mamrotane bez końca, gdy wieziono go do Rufaa.

– Jakie to słowo?

Spojrzał na młodą kobietę stojącą obok Safii.

– Jane.

Dziewczyna zeszywniała, zboliała i zagubiona.

Gdy Safia ją pocieszała, Derek wykorzystał chwilę na ostrożne zbadanie ciała. Ścisnął w palcach skórę i sprawdził jej elastyczność. Wydawała się nienaturalnie zgrubiała, prawie twarda. Podniósł kościstą rękę i obejrzał paznokcie, które miały dziwny żółty odcień.

– W raporcie napisał pan, że żołądek zawierał kamyki, wszystkie tej samej wielkości i w tym samym kształcie – zwrócił się do Badawiego.

– Tak. Mniej więcej wielkości przepiórczych jaj.

– Znalazł pan również kawałki czegoś, co uznał za korę drzewa.

– Owszem. Podejrzewam, że z głodu jadł wszystko, co znalazł na pustyni, być może chcąc zmniejszyć skurcze głodowe żołądka.

– A może obecność kamyków i kory ma inny powód.

– Jaki? – wtrąciła się Safia, obejmując Jane.

Derek się cofnął.

– Trzeba będzie przeprowadzić więcej testów, żebym mógł potwierdzić moje podejrzenia. Biopsja skóry, na pewno badanie toksykologiczne treści żołądka... – W myśli przebiegał wszystko, co chciał zrobić. – Ale najważniejsze jest skanowanie mózgu.

– Co myślisz? – spytała Safia.

– Stan zwłok, ich starożytny wygląd, osobliwe zakonserwowanie szczątków... Myślę, że profesor McCabe został zmumifikowany.

Badawi wzdrygnął się, zarówno zaskoczony, jak i dotknięty.

– Mogę pana zapewnić, że nikt nie balsamował zwłok tego człowieka po śmierci. Nikt by się nie ośmielił.

– Źle mnie pan zrozumiał, doktorze Badawi. Wcale nie uważam, że profesor McCabe został zmumifikowany po śmierci. – Spojrzał na Safię. – Zrobiono to, kiedy jeszcze żył.

Godzina 16.32

Pięć godzin później Derek pochylał się nad szeregiem ekranów komputerowych. Okna nad jego głową wychodziły na salę, w której stał długi stół i wielki biały aparat do rezonansu magnetycznego.

Z powodu biurokratycznych opóźnień zwłoki profesora McCabe'a mogli zabrać do Anglii dopiero następnego dnia, chciał więc uzyskać jak najwięcej informacji, zanim nastąpi dalszy rozkład ciała. Już miał wycinki skóry i próbki włosów, kazał też koronerowi zapakować do hermetycznego pojemnika dziwną zawartość żołądka: kamienie wielkości przepiórczych jaj i kawałki czegoś, co wyglądało na niestrawioną korę. Dzięki Badawiemu mógł skorzystać z aparatu MRI w pobliskim szpitalu.

Właśnie przeglądał wyniki drugiego badania. Na ekranie widniało zdjęcie głowy McCabe'a zrobione w płaszczyźnie przystrzałkowej, ukazujące przekrój boczny. Łuk czaszki, kość nosowa i oczodoły były wyraźnie zarysowane przez siły

magnetyczne i fale radiowe, ale sam mózg wyglądał jak jednorodna szara masa. Nie tego Derek się spodziewał.

– Te wyniki są jeszcze mniej jasne niż po pierwszym badaniu – zauważyła Safia przy jego ramieniu.

Skinął głową. Pierwsze badanie ukazało przynajmniej pewne szczegóły powierzchni mózgu, wypukłości i wgłębienia. Niezadowolony z braku czegoś więcej, poprosił o drugie skanowanie przed zwróceniem zwłok do prosektorium. Te zdjęcia ukazywały jeszcze mniej szczegółów.

Wyprostował się.

– Nie wiem, czy to kwestia kalibracji tego urządzenia, czy może rozkład pośmiertny zupełnie zniszczył strukturę mózgu.

– Co sądzisz o kolejnym badaniu?

Patrząc na pusty skaner MRI, pokręcił głową. Ciało profesora już wróciło do prosektorium.

– Teraz możemy już tylko mieć nadzieję na zakonserwowanie tego, co się da, zanim nastąpi dalszy rozkład. Poprosiłem koronera o pobranie próbki płynu mózgowo-rdzeniowego, a także o wyjęcie mózgu i zakonserwowanie go w formalinie, żebyśmy po powrocie do Londynu mogli przeprowadzić badania na naszym sprzęcie.

Zmartwiona Safia ściągnęła brwi.

– Czy Jane wie o tym wszystkim?

– Zanim wróciła do hotelu, powiedziała, żebym robił to, co konieczne.

Po zidentyfikowaniu ciała ojca i wypełnieniu odpowiednich dokumentów Jane jeszcze bardziej zbladła. Derek wyjaśnił jej, co chce zrobić przed przewiezieniem ciała do Anglii na pogrzeb. Zgodziła się, ponieważ tak samo jak jemu – a prawdopodobnie bardziej – zależało jej na uzyskaniu odpowiedzi. Nie miała jednak chęci przyglądać się tym zabiegom. Nawet jej stoicka determinacja miała swoje granice.

Safia westchnęła.

– W takim razie to chyba wszystko, co możemy teraz zrobić.

Przeciągnął się, bo strzyknęło mu w plecach, i pokiwał głową.

– Mam zamiar wrócić do prosektorium i dopilnować, żeby wszystko zostało zrobione jak należy. Może zajrysz do Jane i zobaczysz, jak...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Jedyne techniki w pokoju odebrał i po krótkiej rozmowie zwrócił się do Dereka:

– Koroner. Prosi o rozmowę.

Derek ściągnął brwi, biorąc słuchawkę.

– Doktor Rankin, słucham.

– Musi pan natychmiast tu przyjść. – W głosie Badawiego słychać było desperację. – Musi pan sam to zobaczyć.

Kiedy Derek próbował dopytać, o co chodzi, niczego nie wyjaśnił, tylko nalegał, by Anglik bezzwłocznie pojawił się w prosektorium.

– Idę z tobą – rzuciła Safia, gdy jej kolega odłożył słuchawkę i powtórzył słowa koronera.

Opuścili szpital i skręcili w stronę znajdującego się dwie przecznice dalej prosektorium. Po godzinach spędzonych w zamkniętym pomieszczeniu słońce oślepiało, a upał był nie do zniesienia. Każdy oddech zdawał się grozić poparzeniem płuc.

Idąc zatłoczonymi ulicami, Safia stawiała lekkie kroki, jakby była odporna na żar lejący się z nieba.

– Wspomniałeś – odezwała się – że, twoim zdaniem, Haroldowi coś zrobiono, że poddano go jakiemuś procesowi, który mógłby wyjaśniać ten dziwny stan zwłok. Co miałeś na myśli, mówiąc, że został zmumifikowany przed śmiercią?

Derek wolałby uniknąć tej rozmowy i w duchu zganiał się za to, że podzielił się swoimi domysłami; jego słowa tylko pogłębiły niepokój Jane. Powinien trzymać język za zębami, dopóki jego przypuszczenia się nie potwierdzą.

Czuł, że twarz mu czerwienieje, wcale nie z gorąca.

– To tylko domysły. Postąpiłem nierozważnie, wyrażając je nie w porę.

– Mimo to chciałabym wiedzieć, o co ci chodziło.

Westchnął.

– O tak zwaną automumifikację, czyli rozmyślne przygotowywanie swojego ciała w taki sposób, żeby je zakonserwować po śmierci. To dawna praktyka spotykana wśród mnichów na Dalekim Wschodzie, zwłaszcza w Japonii i Chinach. Podobny rytuał odnotowano również w pewnych indyjskich grupach wyznaniowych i w ascetycznych sektach Bliskiego Wschodu.

– Ale dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? To swego rodzaju forma samobójstwa.

– Przeciwnie. Dla większości tych ludzi to akt duchowy, droga do nieśmiertelności. Zakonserwowane szczątki osób, które poddały się takiej przemianie, są obiektami kultu. Wyznawcy wierzą, że zmumifikowane ciała są naczyniami zsyłającymi na nich wyjątkowe moce.

Safia prychnęła lekceważąco.

Derek wzruszył ramionami.

– Chodzi nie tylko o sekty blisko- czy dalekowschodnie – dodał. – Nawet katolicy wierzą, że nierozkładające się zwłoki są jednym z dowodów świętości.

– No dobrze, ale jak można samemu się zmumifikować?

– Sposoby różnią się w zależności od części świata, ale są pewne elementy wspólne. Przede wszystkim to długotrwały proces, wymagający lat. Zaczyna się od zmiany nawyków żywieniowych, wyeliminowania produktów zbożowych, stosowania specyficznej diety złożonej z orzechów, sosnowych igieł, jagód i bogatej w żywicę kory drzew. Starożytni praktycy tej sztuki w Japonii, znani jako *sokushinbutsu*, czyli Budda w ciele, nazywali swoją dietę *mokuji-kyo*, czyli „zjadanie drzewa”.

– Rozumiem, że to wzmianka koronera o znalezieniu kory w żołądku Harolda naprowadziła cię na ten trop?

– Owszem, a także to, że były w nim również kamyki. Prześwietlenia mumii *sokushinbutsu* też ujawniały drobne otoczaki w układzie pokarmowym.

– Dalej jednak nie wiem, w jaki sposób następuje wtedy proces konserwowania ciała po śmierci?

– Uważa się, że spożywanie pewnych ziół, toksyn i żywicy, które pozostają w tkankach, działa antyseptycznie, hamując rozwój bakterii po śmierci. W ten sposób tworzy się coś w rodzaju naturalnego płynu balsamującego.

Safia miała taką minę, jakby zrobiło się jej niedobrze.

– Ostatni etap procesu zwykle polegał na zamknięciu się w komorze grobowej z małym otworem, przez który dostawało się powietrze. W Japonii mnisi poddający się automumifikacji śpiewali i dzwonili, dopóki nie umarli. Gdy odgłosy cichły, pieczętowano grób, czekali trzy lata i go otwierali, żeby zobaczyć, czy mnichowi udało się osiągnąć cel.

– Sprawdzali, czy ciało nie uległo rozkładowi?

Derek skinął głową.

– Jeśli tak było, okadzali zwłoki, żeby zapewnić dodatkową konserwację.

– I myślisz, że Harold sam sobie to zrobił?

– Albo został do tego zmuszony przez porywaczy. Tak czy inaczej, rytuał nie został zakończony. Oceniam, że w przypadku Harolda rozpoczął się zaledwie dwa, trzy miesiące temu.

– Jeśli masz rację i zostanie potwierdzone, że rzeczywiście mamy do czynienia z mumifikacją, może to da nam jakąś wskazówkę, kto uprowadził Harolda i jego ekipę.

– I nadzieję, że inni jeszcze żyją, również brat Jane, Rory. Może są przetrzymywani i przechodzą tę samą powolną procedurę. Gdyby udało nam się ich znaleźć, mogliby zostać poddani kuracji i z czasem wrócić do zdrowia.

Safia przez chwilę milczała.

– Jak sądzisz – odezwała się w końcu – dałoby się zidentyfikować korę? Gdybyśmy wiedzieli, z jakiego drzewa pochodzi, mogłoby nam to pomóc określić miejsce, gdzie są przetrzymywani.

– Nawet o tym nie pomyślałem. Ale tak, to możliwe.

Dotarli do prosektorium i weszli po schodach do głównych drzwi. Powietrze wewnątrz wydawało się chłodniejsze

o pięćdziesiąt stopni. Podeszła do nich niska kobieta w zielonym stroju chirurgicznym.

Najwyraźniej ich rozpoznała; skinęła głową Derekowi, potem Safii.

– Doktor Badawi prosił, żebym zabrała was prosto do niego.

Zanim się odwróciła, Derek dostrzegł w jej oczach strach. Może bała się szefa, ale podejrzewał, że chodzi o coś innego. Pospieszył za nią, zachodząc w głowę, co się stało.

Poprowadziła ich korytarzami i schodami do innej części budynku. Weszli do pokoju obserwacyjnego z ławkami, z oknem wychodzącym na salę sekcyjną. Środek pomieszczenia zajmował stół ze stali nierdzewnej z wiszącą nad nim halogenową lampą operacyjną. Prosektorium i pobliski szpital współpracowały z wydziałem medycyny Uniwersytetu Kairskiego.

W tej chwili jedynymi widzami byli Derek i Safia. W sali sekcyjnej kilka osób kręciło się wokół stołu, wszyscy w strojach chirurgicznych, z papierowymi maskami na twarzach. Badawi zauważył Dereka i Safię. Uniósł rękę i przysunął mikrofon bezprzewodowy do zasłoniętych ust. Jego słowa docierały do nich przez mały głośnik nad oknem.

– Nie wiem, co to oznacza, ale zanim przystąpię do wyjmowania i konserwacji mózgu, chcę, żebyście zobaczyli, co znaleźliśmy. Pozwoliłem sobie to sfilmować.

– Co pan znalazł? – zapytał Derek, niemal krzyżąc. Towarzysząca im kobieta wskazała interkom przy oknie. Podeszedł do niego i powtórzył pytanie.

Badawi machnął ręką, każąc swojemu zespołowi odejść od stołu. Ciało sześćdziesięcioletniego archeologa leżało nagie w blasku halogenów, z zasłoniętymi dla przyzwoitości narządami płciowymi. Druga wilgotna serweta chirurgiczna zakrywała czaszkę. Stół był ustawiony w taki sposób, że głowa znajdowała się od strony okna.

– Już pobraliśmy próbki płynu mózgowo-rdzeniowego, tak jak pan prosił – wyjaśnił Badawi. – Przeprowadziliśmy kraniotomię, żeby uzyskać dostęp do mózgu.

Usunął serwetę, odsłaniając głowę z już zdjętą skórą i kolistym śladem cięcia na kości, po czym zdjął pokrywę czaszki, która wcześniej została starannie umieszczona na swoim miejscu.

Derek zerknął na Safię, żeby sprawdzić, czy dobrze się czuje. Stała nieco za sztywno, ściskając złożone dłonie, ale panowała nad sobą.

Koroner odłożył wyciętą część czaszki i odsunął się. W świetle lamp połyskiwały dwa odsłonięte szaroróżowe płaty mózgu, otoczone fałdami tkanki oponowej. Derekowi trudno było pojąć, że oto patrzy na źródło geniuszu swojego mentora. Pamiętał długie, ciągnące się do późnej nocy rozmowy z nim, dotyczące wszystkiego – od najnowszych artykułów naukowych do szans tej czy tamtej drużyny piłkarskiej na zwycięstwo w Pucharze Świata. Śmiech profesora przypominał ryk rannego niedźwiedzia, a jego charakter pasował do tego zwierzęcia. Potrafił być jednak również niezwykle miłym człowiekiem, który bezgranicznie, bezwarunkowo kochał żonę i dwójkę dzieci.

Teraz to wszystko przepadło...

Głos Badawiego płynący z małego głośnika przywołał Dereka do rzeczywistości, ale umknęły mu pierwsze słowa.

– ...spojrzeć na to. Zauważyliśmy ten fenomen tylko dzięki przypadkowi.

Jaki fenomen?

Badawi skinął na jednego z towarzyszących mu mężczyzn. Ten zgasił lampę operacyjną, a następnie inne światła w pomieszczeniu. Minęło kilka sekund, zanim Derek uwierzył własnym oczom.

Safia ze świstem wciągnęła powietrze, potwierdzając, że ona też to widzi.

Mózg i rozcięte opony delikatnie jarzyły się w ciemności, różowawo, jak pierwszy blask jutrzeńki.

– Wcześniej blask był jaśniejszy – wyjaśnił Badawi. – Efekt jest coraz słabszy.

– Co jest przyczyną tego blasku? – zapytała Safia, wyrażając na głos pytanie tłukące się w głowie jej kolegi.

Derek próbował to zrozumieć. Przypomniał sobie, jak wcześniej w rozmowie z nią tłumaczył, że jednym z celów automumifikacji było stworzenie niezniszczalnego naczynia, nieśmiertelnego kielicha zdolnego do przechowywania cudowności.

Czy właśnie na to patrzę? – zastanawiał się.

– Koniec badań – rzuciła Safia. – Ciało ma zostać zapakowane do worka i zabezpieczone. Natychmiast przygotować wszystko do transportu do Londynu.

Kilka razy zamrugał, zaskoczony zachowaniem kobiety – wyraźną nutą niecierpliwości w jej głosie.

– Przecież możemy wysłać zwłoki nie wcześniej niż jutro.

– Pociągnę za kilka sznurków – oświadczyła z pewnością siebie.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Będę potrzebować pomocy.

Odwróciła się ku drzwiom.

– Znam kogoś – powiedziała.

– Kogo?

– Starego przyjaciela, który jest mi winien przysługę.

2

Waszyngton, Stany Zjednoczone

30 maja, godzina 11.45, czasu miejscowego

Painter Crowe siedział za biurkiem, patrząc na kogoś ze swojej przeszłości.

Na ekranie monitora widniała twarz Safii al-Maaz. Ostatni raz widział ją dziesięć lat temu na spalonej słońcem pustyni Rub al-Chali, rozległej „pustej ćwiartce” Półwyspu Arabskiego. Chwilami powracały strzępki dawnych uczuć, zwłaszcza wtedy, gdy się uśmiechała. Jej oczy skrzyły się radością; ona też była zadowolona, że go widzi.

Kiedy się poznali, Painter był jeszcze agentem terenowym Sigma Force, dopiero co założonej przez jego mentora, Seana McKnighta. Sigma, działająca pod auspicjami DARPA – agencji badawczo-rozwojowej Departamentu Obrony – składała się z byłych żołnierzy sił specjalnych, specjalistów różnych dyscyplin naukowych.

Dziesięć lat później Painter kierował Sigmą, ale nie tylko to się zmieniło.

– To jest nowe – powiedziała, odgarniając kosmyk ciemnych włosów i pokazując miejsce nad uchem.

Dotknął swojej skroni, gdzie włosy stały się śnieżnobiałe po jego traumatycznych przeżyciach podczas jednej z akcji. Biała łątka, kontrastująca z czarnymi włosami, wyglądała jak zatknięte za ucho śnieżne pióro, co przypominało o pochodzeniu Paintera z indiańskiego plemienia Pektotów.

Uniósł brew.

– Sądzę, że wraz z tym przybyło mi kilka zmarszczek.

Zanim opuścił rękę, dostrzegła kolejną zmianę.

– Czy to obrączka? – spytała.

Uśmiechnął się, obracając złotą obrączkę na palcu.

– No cóż... Ktoś wreszcie zgodził się mnie poślubić.

– Szczęściara, że cię ma.

– Nie, to ja jestem szczęściarzem. – Opuścił rękę i skupił uwagę na Safii. – Jak się miewa Omaha?

Westchnęła i teatralnie przewróciła oczami, słysząc wzmiankę o mężu, doktorze Omaha Dunnie, amerykańskim archeologu, który jakimś cudem zdobył jej uczucia.

– Wyjechał ze swoim bratem Dannym na wykopaliska w Indiach. Nie ma go od miesiąca. Próbowałam się z nim skontaktować, ale, jak zwykle, zaszył się w miejscu, gdzie łączność w najlepszym wypadku jest sporadyczna.

– I dlatego zadzwoniłaś do mnie. – Painter udał zranionego. – Zawsze na drugim miejscu.

– Nie w tym wypadku. – Safia spoważniała; twarz miała teraz spiętą. Po zakończeniu wymiany uprzejmości przeszła do powodu tej niespodziewanej rozmowy. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Oczywiście, cokolwiek sobie życzysz. – Wyprostował się w fotelu. – Co się stało?

Spuściła wzrok, zapewne zastanawiając się, od czego zacząć.

– Nie wiem, czy wiesz, że Muzeum Brytyjskie nadzorowało projekt ratowania zabytków w północnym Sudanie.

Potarł podbródek. Coś kojarzył... Nagle go olśniło.

– Czy na samym początku ekspedycji nie zdarzył się jakiś wypadek?

Pokiwała głową.

– Jedna z naszych pierwszych grup badawczych zniknęła bez śladu na pustyni.

Przypomniał sobie, że dostał raport wywiadu o tej sprawie.

– Jeśli dobrze pamiętam, uznano, że ekipa weszła w drogę rebeliantom, co miało tragiczny finał.

Safia zmarszczyła czoło.

– Przynajmniej tak sądziliśmy. Dziesięć dni temu grupa nomadów natknęła się na brnącego przez pustynię szefa zespołu, profesora Harolda McCabe'a. Zmarł, nie mając szans na otrzymanie pomocy medycznej. Minął prawie tydzień, zanim lokalne władze zidentyfikowały go na podstawie odcisków palców. Dwa dni temu wróciłam z Egiptu. Harold był moim przyjacielem i chciałam mu towarzyszyć w drodze powrotnej do Londynu.

– Tak mi przykro.

– Poleciałam tam również w nadziei, że może znajdę jakieś wskazówki dotyczące losu innych. W ekspedycji brał udział także syn Harolda.

– I co?

Westchnęła ciężko.

– Nic, a co gorsza, natknęłam się na kolejne tajemnice. Ciało Harolda było w stanie, którego nie sposób wyjaśnić. Towarzyszący mi ekspert z muzeum jest przekonany, że Harold mógł zostać poddany czemuś w rodzaju automumifikacji, mającej na celu zakonserwowanie zwłok po śmierci.

Painter ściągnął brwi, słysząc o czymś tak makabrycznym. Przez głowę przemykały mu tysiące pytań, ale nie przerywał Safii.

– Pobraliśmy próbki tkanki i kończymy pewne badania, żeby stwierdzić, co tak naprawdę się stało. Mamy nadzieję, że zdołamy zidentyfikować przynajmniej niektóre rośliny i zioła, które zostały użyte podczas tej automumifikacji... jeśli rzeczywiście do niej doszło. Może dzięki temu uda nam się określić, gdzie Harold był przetrzymywany po tym, jak zniknął.

Sprytne, pomyślał Painter.

– Ale – ciągnęła Safia – zaniepokoił nas pewien szczegół: dziwna zmiana tkanki mózgu Harolda i jego ośrodkowego układu nerwowego.

– Jaka?

– Sam zobacz. – Postukała w klawiaturę komputera. – Wysłałam ci plik, nagranie zrobione mniej więcej czterdzieści osiem godzin temu w kairskim prosektorium.

Otworzył plik, gdy tylko go dostał. Zobaczył zamieszanie panujące wokół stołu sekcyjnego. Nie było dźwięku, ale najwyraźniej coś poruszyło ludzi zajmujących się zwłokami. Jeden z nich, prawdopodobnie koroner, kazał wszystkim się odsunąć i przywołał kamerzystę. Obraz podskoczył, potem obiektyw skupił się na zwłokach. Mózg w otwartej czaszce był odsłonięty. Pomieszczenie nagle pociemniało i przyczyna zamieszania natychmiast stała się oczywista.

Painter zmrużył oczy, oglądając nagranie.

– Czy ja dobrze widzę? Wygląda na to, że wewnątrz czaszki się jarzy.

– Właśnie. Widziałam to na własne oczy, chociaż w czasie, gdy zjawiałam się w prosektorium, blask przygasał.

Gdy nagranie się skończyło, Painter skupił uwagę na Safii.

– Wiesz, skąd ten blask?

– Jeszcze nie. Tkanki i płyny są poddawane badaniu. Ale jesteśmy przekonani, że to jakiś czynnik biologiczny lub chemiczny, coś, na działanie czego Harold został narażony albo przypadkowo, albo z premedytacją. Cokolwiek to było, odkrycie źródła stało się dla nas sprawą pierwszej wagi.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, dziś rano zadzwoniłam do koronera w Kairze, doktora Badawiego, żeby go ponaglić, bo nie otrzymaliśmy części raportów, które powinien przesłać do naszych laboratoriów. Dowiedziałam się, że on i ludzie z jego zespołu są chorzy. Wysoka gorączka, wymioty, drgawki.

Painter przypomniał sobie, kiedy sekcja została przeprowadzana.

– Zachorowali po upływie zaledwie czterdziestu ośmiu godzin.

– Pierwszy symptom, wysoka gorączka, wystąpił osiem godzin po otwarciu czaszki Harolda. Obecnie członkowie rodzin tych, którzy zostali zainfekowani, wykazują te same objawy. Już ich

odizolowano i zarządzono kwarantannę, ale nie wiemy, ile osób mogło być narażonych na zakażenie.

Był w Kairze. Wiedział, jak trudno będzie objąć kwarantanną to zatłoczone, chaotyczne miasto, zwłaszcza jeśli wybuchnie panika.

Ale teraz martwiło go coś innego.

– Safio... a jak ty się czujesz?

– Doskonale. W trakcie autopsji przebywałam na zewnątrz sali sekcyjnej. Kiedy zobaczyłam, co się dzieje, kazałam hermetycznie zapakować ciało i próbki tkanki.

– A po tym, jak zwłoki dotarły do Londynu?

– Podjęliśmy środki ostrożności – odparła z posępnym wyrazem twarzy. – Ale obawiam się, że zanim zdaliśmy sobie sprawę z powagi sytuacji, mogło dojść do paru uchybień. Celnicy na Heathrow zgłosili, że trumna Harolda uległa rozhermetyzowaniu... w Kairze albo podczas transportu.

Painter poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka. Heathrow i lotnisko w Kairze są ważnymi międzynarodowymi węzłami komunikacyjnymi. Jeśli doszło tam do skażenia, świat może stać w obliczu pandemii.

Strach w oczach Safii dowodził, że jest tego świadoma.

– Już stwierdzono wczesne symptomy u dwóch techników, którzy zajmowali się zwłokami w naszym laboratorium – powiedziała. – Zostali odizolowani, podobnie jak wszyscy, z którymi mieli kontakt. Agencje Zdrowia Publicznego u nas i w Kairze wypytyują bagażowych i personel lotniska o stan zdrowia. Czekam na wiadomości, ale biorąc pod uwagę biurokrację, mogę być ostatnią osobą, która czegoś się dowie.

– Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć.

Painter już przebiegał w myśli kolejne punkty na swojej liście zadań. Niedawno czytał sporządzony przez Massachusetts Institute of Technology raport oceny ryzyka; zwracano w nim szczególną uwagę na rolę lotnisk w rozprzestrzenianiu się chorób zakaźnych. Autorzy uwypuklili zagrożenie,

przypominając, że w 2009 roku wirus grypy H1N1 zabił trzysta tysięcy ludzi na całym świecie.

– Powinnam... – odezwała się Safia – powinnam być bardziej skrupulatna.

Wyczytał w jej oczach poczucie winy.

– Zrobiłaś wszystko, co mogłaś w tych okolicznościach. Co więcej, gdybyś nie kazała tak szybko wszystkiego zapieczętować, zagrożonych byłoby znacznie więcej osób.

Pokręciła głową; jego słowa najwyraźniej jej nie pocieszyły.

– Miałam tylko przeczucie... ale kiedy zobaczyłam, co się dzieje, zaczęłam coś podejrzewać. Jeśli Harolda rzeczywiście poddano automumifikacji, to chyba się domyślam, z jakiego powodu.

Painter z doświadczenia wiedział, że jej podejrzewaniom można ufać. Była obdarzona niesamowitą intuicją.

– Z jakiego? – spytał.

– Sądzę, że proces miał służyć ochronie tego, co znajdowało się w jego głowie. Jestem przekonana, że celem mumifikacji była przemiana Harolda w coś w rodzaju naczynia. Ktoś chciał zakonserwować jego ciało, żeby po śmierci mogło służyć jako niezniszczalny pojemnik zawierający to, co zostało w nim ukryte.

Pojemnik, który nieumyślnie został otwarty, pomyślał Painter i nagle przypomniał sobie coś, co Safia powiedziała wcześniej.

– Wspomniałaś, że martwią cię dwie sprawy. Jaka jest druga?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Sądzę, że dzieje się to nie po raz pierwszy.

Londyn, Wielka Brytania

Godzina 17.02 czasu miejscowego

Safia chwilę czekała, pozwalając Painterowi na przetrwanie jej słów, po czym podjęła:

– Gdy usłyszałam o pojawieniu się Harolda, wyciągnęłam wszystkie jego notatki i prace, nawet napisane ręcznie dzienniki przechowywane w naszym muzeum. Miałam nadzieję, że może jest w nich jakaś wskazówka, coś, co przeoczyliśmy, a co wyjaśniłoby jego zniknięcie i niespodziewany powrót.

– I? Dowiedziałaś się czegoś?

– Może... tylko że uznałam to za ważne dopiero po pewnym czasie.

– Tak?

– Najpierw musisz wiedzieć, że Harold był nietuzinkową postacią, zarówno u nas, w muzeum, jak i w całym świecie akademickim. Jako archeolog uwielbiał rzucać wyzwania powszechnie przyjętym dogmatom, zwłaszcza tym związanym z egiptologią. Był w równej mierze znienawidzony, co podziwiany, za swoje szalone tezy i za zażartą obronę własnego stanowiska. Zawsze chętnie wysłuchiwał argumentów strony przeciwnej, ale jeśli uznał, że ktoś ma zbyt wąskie horyzonty, potrafił dać mu się we znaki.

Gdy wróciła pamięcią do niektórych z tych gorących dyskusji, na jej ustach pojawił się uśmiech. Znała niewielu ludzi takich jak Harold – może z wyjątkiem jego syna, Rory’ego, który mógł się z nim równać. A jednak ci dwaj często się nie zgadzali i potrafili do późnej nocy sprzeczać się o jakiś drobiazg historyczny czy naukowy. Harold, choć dostawał wypieków po takich debatach, nie ukrywał dumy z syna. Płonęła mu w oczach.

Uśmiech Safii zgasł, bo znów ogarnął ją żal.

Stracić ich obu...

Ale to nie był czas na pogrążanie się w smutku. Jeśli jakimś cudem Rory jeszcze żył, musiała go odnaleźć; była to winna Haroldowi. I Jane, która przez ponad dwa lata uparcie nie chciała pogodzić się z myślą o śmierci ojca i brata. Safia przypuszczała, że tym, co skłoniło dziewczynę do pilnych, niemal zapamiętałych studiów, była chęć przygotowania się do poszukiwań bliskich, do poznania prawdy.

– Co tu ma do rzeczy jego ekscentryzm? – wyrwał ją z tych rozmyślań Painter.

– Harolda interesował jeden szczególny aspekt egiptologii. To na tym polu ścierał się z wieloma kolegami. Chodziło o biblijną opowieść o exodusie.

– O exodusie? Chodzi ci o Mojżesza i wyjście Żydów z Egiptu? Skinęła głową.

– Większość archeologów uważa, że jest to mit, alegoria, na pewno nie opowieść o tym, co wydarzyło się naprawdę.

– W przeciwieństwie do profesora McCabe’a?

– Tak, on był przekonany, że to relacja z czegoś, co rzeczywiście miało miejsce, możliwe, że ubarwiana i mitologizowana przez kolejne tysiąclecia, niemniej prawdziwa.

– Safia miała na biurku dzienniki Harolda, pełne jego spekulacji, teorii i uzasadnień, niektórych całkiem enigmatycznych. – Jestem przekonana, że kierował ekspedycją w Sudanie między innymi po to, żeby znaleźć dowód na potwierdzenie swoich teorii.

– Dlaczego akurat tam?

– Cały on! Podczas gdy większość archeologów biblijnych szukała dowodów na ziemiach leżących na wschód od Egiptu i badała półwysep Synaj, Harold uważał, że dowody mogą być na południu. Nie wykluczał, że mniejsza grupa żydowskich niewolników mogła odejść w tamtym kierunku, uciekając w górę Nilu.

– A czego konkretnie szukał?

– Śladów plagi, zwłaszcza w mumiach z tamtego regionu. Właściwie do tego zadania zatrudnił doktora Dereka Rankina, bioarcheologa specjalizującego się w badaniu starożytnych chorób.

Painter rozparł się w fotelu.

– I dwa lata później profesor McCabe pojawił się na pustyni jako nosiciel choroby i jednocześnie ofiara jakiegoś potwornego rytuału automumifikacji. Dla mnie to zupełnie niezrozumiałe.

– Dla mnie również.

– Ale wspomniałaś, że to wszystko nie dzieje się po raz pierwszy. Mówiłaś o tej tajemniczej chorobie? Występowała już w przeszłości? Ma coś wspólnego z plagami starożytnego Egiptu?

– Nie. – Safia podniosła jeden z dzienników Harolda i otworzyła go w miejscu zaznaczonym przylepianą karteczką. – Przed rozpoczęciem ekspedycji Harold poszukiwał wzmianek mogących sugerować obecność jakiejś choroby czy zarazy na interesującym go obszarze. W archiwum muzeum odkrył coś, co sięgało czasów sławnych badaczy Afryki, Stanleya i Livingstone’a. Obaj niezależnie szukali źródeł Nilu, zapuszczając się w głąb Sudanu i jeszcze dalej.

– Jeśli dobrze pamiętam lekcje historii, Livingstone przepadł w dżungli bez wieści i uznano go za zmarłego.

– A sześć lat później Stanley go znalazł w małej afrykańskiej wiosce nad brzegiem jeziora Tanganika, chorego i zabiedzonego.

– Ale jaki to ma związek z ekspedycją McCabe’a?

– Harold miał obsesję na punkcie obu podróżników, nie tyle z powodu ich słynnego spotkania w Afryce, ile późniejszych wydarzeń.

– Jakich?

– Livingstone został w Afryce, gdzie zmarł w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku. Harolda szczególnie zainteresowało to, że krajowcy zmumifikowali ciało misjonarza przed przekazaniem go władzom brytyjskim.

– Został zmumifikowany? – zdziwił się Painter.

Skinęła głową.

– Jego ciało spoczywa w Opactwie Westminsterskim.

– A co ze Stanleyem?

– W końcu wrócił do Wielkiej Brytanii, ożenił się z Walijką i zasiadał w parlamencie. Harolda najbardziej interesowała ta część jego życia.

– Dlaczego?

– Sława Stanleya zawsze była związana ze sławą Livingstone’a. Często zasięgano u niego rady co do spuścizny po nim. Po śmierci Livingstone’a większość artefaktów zgromadzonych podczas jego

podróży trafiła do Muzeum Brytyjskiego, ale kilka osobistych drobiazgów zostało w jego posiadłości. Dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku te przedmioty weszły w posiadanie muzeum. Uwagę Harolda przyciągnęły zapiski dotyczące jednego z nich.

– Co to było?

– Talizman, który Livingstone dostał od krajowca w darze za uratowanie dziecka. Były na nim egipskie hieroglify i, według tubylca, zapieczętowane naczynie zawierało wodę z Nilu, zaczerpniętą wtedy, kiedy przemieniła się w krew.

– Przemieniła się w krew? – Painter nie krył sceptycyzmu. – Mówisz o czasach Mojżesza?

Safia rozumiała jego wątpliwości. Sama zareagowała w podobny sposób, gdy o tym usłyszała.

– Być może to zmyślona opowiadka. Livingstone był znanym misjonarzem, głoszącym Słowo Boże, gdzie i kiedy tylko mógł. Jest więc możliwe, że tubylec świadomie powiązał talizman z historią biblijną, żeby sprawić przyjemność swojemu chrześcijańskiemu przyjacielowi. Ale tak czy inaczej, z powodu autentyczności hieroglifów Harold był przekonany, że ten przedmiot rzeczywiście ma związek z Egiptem.

– Ale co ten talizman ma wspólnego z tym, co się dzieje obecnie?

– Poza rysunkiem znalezionym w osobistych papierach Livingstone’a Harold natrafił tylko na jedną wzmiankę o talizmanie, nawiązującą do związanej z nim klątwy.

– Klątwy?!

– Kiedy talizman trafił do muzeum, został otwarty i przebadany. Kilka dni później wszyscy, którzy w tym uczestniczyli, rozchorowali się i zmarli... – podniosła sporządzoną przez Harolda kopię jedyne go zapisu o tym tragicznym zdarzeniu i przeczytała: – *...w wyniku wysokiej gorączki, której towarzyszyły gwałtowne spazmy.*

Opuściła notes, spojrzała na Paintera i zorientowała się, że teraz zrozumiał.

– Objawy wydają się takie same jak te u pacjentów w Kairze – powiedział. – Wiadomo coś jeszcze na ten temat?

– Niestety, nie. Harold chciał się dowiedzieć czegoś więcej. I chociaż zmarły wtedy dwadzieścia dwie osoby, nie znalazł żadnych zapisów na ten temat.

– To dziwne, nawet biorąc pod uwagę fakt, że działo się to w dziewiętnastym wieku. Wygląda, jakby ktoś chciał wymazać wszystkie relacje o tej tragedii.

– Harold też tak myślał. W końcu odkrył, że zwrócono się w tej sprawie do Stanleya i został wypytany przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne.

– Dlaczego?

– Bo podobno korespondował z Livingstone'em do czasu, aż ten zmarł w Afryce.

Painter zmarszczył czoło.

– I gdzie potem został zmumifikowany – dorzucił.

Safia uniosła brew.

– Chyba że kolejność była odwrotna.

– Co masz na myśli?

– A jeśli Livingstone został poddany mumifikacji przed śmiercią, tak jak Harold? – Wzruszyła ramionami. – Z zapisów wynika tylko to, że zwłoki przybyły do Anglii już zmumifikowane. Oczywiście, wszyscy założyli, że zostały zmumifikowane po śmierci.

– To intrygująca koncepcja. Ale jeśli nawet masz rację, to dokąd nas to prowadzi?

– Mam nadzieję, że tam, gdzie zniknął Harold ze swoją ekipą. Możliwe, że albo w Londynie, albo w Afryce odkrył coś, co doprowadziło go do źródła tej choroby. I może znalezienie tego źródła doprowadzi nas do innych zaginionych.

– Nie wspominając już o tym, że jeśli epidemia się rozszerzy, odkrycie źródła może mieć decydujące znaczenie. – Painter spojrział jej w oczy. – Jak mogę pomóc?

– Przyjmę każdą pomoc. – Patrzyła na niego z powagą, próbując zawrzeć w słowach cały swój strach. – Możesz to

nazwać kolejnym moim przeczuciem, ale, według mnie, widzimy tylko wierzchołek cholernej góry lodowej.

– Niewykluczone, że masz rację.

– Poza tym obawiam się, że zostało nam niewiele czasu.

Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd znaleziono Harolda.

Pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Co oznacza, że trop stygnie z dnia na dzień.

– Poprosiłam Jane, córkę Harolda, żeby przeszukała pudła z osobistymi papierami ojca i sprawdziła, czy nie ma tam jakichś wskazówek. Tymczasem personel medyczny z Wydziału Zdrowia Publicznego próbuje odizolować kolejne ofiary choroby.

Painter znowu pokiwał głową.

– Mogę przydzielić ci zespół do pomocy w Londynie. Musimy również wysłać ludzi do Sudanu, żeby spróbowali się dowiedzieć, gdzie przez dwa lata przebywał Harold.

Safia niemal widziała koła zębate obracające się w jego głowie. Zanim mogli opracować dalsze plany, otworzyły się drzwi jej biura.

Myślałam, że zamknęłam je na klucz...

Obróciła się w fotelu i odprężyła, gdy zobaczyła młodszą kustosz, doktor Carol Wentzel.

– Co mogę...?

Nie skończyła, bo za młodą kobietą do gabinetu wpadła nieznana jej osoba z pistoletem wycelowanym w Safię. Ta podniosła rękę, ale nic to nie dało.

Lufa błysnęła dwa razy. W piersi Safii wybuchł ból. Gwałtownie wciągając powietrze, obróciła się w stronę komputera, ku twarzy Paintera, na której malowało się przerażenie. Wyciągnęła do niego rękę, jakby mógł jej pomóc.

Za jej plecami zabrzmiał głośniejszy huk. Pocisk zabrzączał przy uchu Safii i strzaskał ekran pod jej dłonią. Obraz natychmiast ściemniał... a chwilę później to samo stało się z resztą świata.

3

Ashwell, hrabstwo Hertford, Anglia

30 maja, godzina 18.24 czasu miejscowego

Jane McCabe walczyła z duchami nawiedzającymi jej strych. W rodzinnym domu czuła się jak intruz. Gdziekolwiek się odwracała w zagraconej, obwieszanej pajęczynami przestrzeni, wszystko przypominało jej o tych, którzy odeszli. W starej, nadgryzionej przez korniki szafie wciąż wisiały ubrania matki. W drugim kącie walał się stary sprzęt sportowy brata: zakurzony kij do krykieta, sflaczała piłka, nawet złachmaniona koszulka piłkarska ze szkolnych lat Rory'ego.

Lecz nad wszystkim dominowało jedno widmo, cień, z którego ani matka, ani brat nie mogli się wyrwać za życia i nawet teraz, po śmierci: w tym miejscu wszędzie widziała ojca. W całym pomieszczeniu piętrzyły się stosy starych segregatorów, niektórych nawet z jego czasów uniwersyteckich, a także sterty książek i dzienników.

Na prośbę doktor al-Maaz Jane już znalazła najmniej zakurzone pudła, te z ostatnich dwóch, trzech lat przed zniknięciem ojca na pustyni. Derek Rankin właśnie siedział w kuchni i przeglądał ich zawartość, szukając jakiejś wskazówki dotyczącej losu jej ojca i brata.

Trud wydawał się daremny, ale to było lepsze niż siedzenie w samotności i podejmowanie prób pogodzenia się ze śmiercią ojca i zagadkowym stanem jego zwłok.

Lepiej coś zrobić.

Przeciągnęła się, do strzyknęło jej w piecaci, i spojrzała przez okienko na Ashwell. Miejscowość, na którą składały się średniowieczne małe kamienice i kryte strzechą domki z muru pruskiego, wyglądała idyllicznie. Z wysoka Jane widziała wieżę czternastowiecznego kościoła parafialnego pod wezwaniem świętej Marii. Płynęła stamtąd cicha muzyka. Od dziesięciu dni trwał doroczny festiwal muzyczny, który dziś miał się zakończyć tradycyjnym Śpiewanym Nabożeństwem Wieczornym.

Spojrzała na starą wieżę dzwonnicy z krenelażami i ołowianą iglicą dźgającą niebios. Wspominała, jak ojciec zabierał ją do kościoła, kiedy miała dziewięć lat, i pokazywał jej średniowieczne „graffiti” wyryte na ścianach. Nagryzmołone po łacinie i we wczesnym angielskim, opisywały nieszczęścia czarnej śmierci, która zaatakowała wioskę w czternastym wieku. W dzieciństwie skopiowała kilka napisów, przykładając do ściany kartkę papieru i pocierając ją węglem. Robiąc to, czuła dziwne pokrewieństwo z tamtymi od dawna martwymi skrybami. Być może te właśnie chwile zainspirowały ją do pójścia w ślady ojca i studiowania archeologii.

Odwróciła się od okna, od dźwięków wesołości płynących z zewnątrz, i spojrzała na strych pełen cieni ojca. Przypomniała sobie jedną z inskrypcji z kościoła, skopiowaną z boku kolumny. Ten napis nie miał nic wspólnego z czarną śmiercią, ale w tym momencie wydał się Jane szczególnie trafny.

– *Superbia preceidit fallum* – wyrecytowała, wyobrażając sobie łacińskie słowa wydrapane na ścianie.

Pycha poprzedza upadek.

Jane kochała ojca, lecz nie widziała jego wad. Potrafił być uparty, zażarcie bronił swojego stanowiska i z pewnością nie był wolny od grzechu pychy. Zdawała sobie sprawę, że do wyruszenia na pustynię skłoniła go nie tylko żądza wiedzy. W równym stopniu kierowała nim arogancja. Kontrowersyjne poglądy na temat biblijnego exodusu naraziły go na śmieszność i krytykę kolegów. Wprawdzie pokazywał światu pewne siebie oblicze, ale wiedziała, że doskwiera mu pogarda świata

akademickiego. Był zdecydowany udowodnić swoją teorię – tak dla dobra historii, jak i w imię własnej dumy.

I spójrz, dokąd cię to zaprowadziło... ciebie i Rory'ego, pomyślała.

Zacisnęła pięści, gdy gniew na chwilę przeważył nad żalem. Ale pod tymi emocjami kryło się coś głębszego. Coś, co dręczyło ją od dwóch lat. Poczucie winy. Między innymi z tego powodu rzadko wracała do rodzinnego domu, pustego, z meblami okrytymi płóciennymi płachtami. Choć Ashwell leżało niespełna godzinę jazdy pociągiem od Londynu, wołała mieszkać w wynajętej kawalerce w centrum miasta. Powtarzała sobie, że stamtąd ma blisko na uniwersytet, ale wiedziała, że to tylko wymówka. Powroty tutaj były zbyt bolesne. Przyjeżdżała do Ashwell tylko z konieczności, jak teraz, na prośbę doktor al-Maaz.

– Chyba coś znalazłem! – dobiegło wołanie z kuchni na dole.

Zadowolona, że ma pretekst, by uciec przed duchami, ruszyła przez mroczny strych do blasku otwartego wejścia. Po drabinie zeszła na korytarz i spieszenie minęła zamknięte drzwi sypialni, zmierzając do schodów prowadzących na parter.

Gdy weszła z salonu do kuchni, zobaczyła, że Derek rozsunął wszystkie zasłony. Zmrużyła oczy, oślepiona po długim przebywaniu na ciemnym strychu. Przystanąła, żeby zamrugać i przywyknąć do blasku. Zważywszy na okoliczności, ta jasność wydawała się zbyt radosna.

Derek siedział przy kuchennym stole, otoczony przez kartony zniesione ze strychu. Przy jego łokciach piętrzyły się sterty książek i czasopism, a przed nim leżały rozrzucone kartki. Wcześniej zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

Był sześć lat od niej starszy. Ojciec wziął go pod swoje skrzydła, był jego mentorem w okresie studiów i w końcu wywabił go na pustynie. Jak wielu innych, Derek nie był w stanie wyrwać się z jego pola grawitacyjnego. Wiele dni spędzał w gabinecie profesora i często koczował na kanapie w salonie.

Jane nie miała nic przeciwko temu, zwłaszcza gdy zachorowała matka. Derek był dobrym słuchaczem i Jane mogła

z nim swobodnie rozmawiać... kiedy byli sami. Niestety, Rory nie podzielał jej odczuć. Obecność młodego protegowanego ojca zawsze działała mu na nerwy, Rory był bowiem przekonany, że Derek rywalizuje z nim o jego uwagę ojca i, co ważniejsze, o pochwały.

Teraz Derek pochylał się nad czymś, co wyglądało na archiwalia. Spękana skóra, w którą je oprawiono, wskazywała, że nie zostały napisane przez jej ojca – były znacznie starsze. Gdy podeszła, zwróciła uwagę na dwudniowy zarost na policzkach i podbródku Dereka. Oboje niewiele spali od czasu powrotu z Egiptu.

– Co znalazłeś? – zapytała.

Odwrócił się z szerokim uśmiechem, który rozjaśnił jego opaloną twarz, jednocześnie uwidaczniając zmarszczki od słońca i te mimiczne. Podniósł opasy tom.

– Sądzę, że twój tata świsnął to z jakiejś biblioteki w Glasgow.

– W Glasgow? – Ściągnęła brwi. Wiedząc, że zanim ojciec zwrócił uwagę na Sudan, odbył kilka podróży do Szkocji.

– Sama zobacz.

Spojrzała nad jego ramieniem, gdy otworzył książkę w miejscu zaznaczonym kawałkiem papieru. Kiedy się pochyliła, poczuła jego wodę kolońską... a może szampon. Tak czy siak, zapach pomógł jej oczyścić nos ze stęchłej woni strychu.

– Fiszka świadczy o tym, że to pochodzi z uniwersyteckiego archiwum Livingstone'a w Glasgow, gdzie jest przechowywana większość jego dokumentów – wyjaśnił Derek. – Ten konkretny tom zawiera kopie jego korespondencji, poczynając od wczesnych badań biegu rzeki Zambezi w południowej Afryce przez późniejsze lata, gdy szukał źródeł Nilu. Twój ojciec zaznaczył część z listami Livingstone'a do Henry'ego Mortona Stanleya, człowieka, który znalazł go w sercu Czarnej Afryki.

Jane, zaciekawiona, przysunęła krzesło i usiadła.

– Co jest w tych listach? Dlaczego ojciec się nimi interesował?
Derek wzruszył ramionami.

– w większości nie ma w nich nic nadzwyczajnego, niewinne narzekania dwóch starych znajomych, ale jeśli przejrysz te zaznaczone miejsca, zobaczysz przyrodnicze i anatomiczne szkice Livingstone’a. Twój ojciec poświęcił wyjątkową uwagę tej stronie. Mnie też zaciekała z powodu tego robaczka. Spójrz.

Pochyliła się, żeby obejrzeć odręczne szkice owada podobnego do chrabąszcza.



Ateuchus sacer

Szczegóły oddane przez Livingstone’a rzeczywiście robiły wrażenie. Szkic ukazywał owada ze złożonymi i z rozłożonymi skrzydłami. Jane przeczytała głośno łacińską nazwę, drapiąc się po nosie.

– *Ateuchus sacer*. Nie rozumiem. Dlaczego ten chrząszcz jest taki ważny?

– Ponieważ nazwę nadał mu nie kto inny, jak sam Karol Darwin. – Derek spojrział na nią spod uniesionej brwi. – Nazwał go również „świętym żukiem Egipcjan”.

Jane nagle zrozumiała.

– To skarabeusz.

– Sklasyfikowany jako *Scarabaeus sacer* – wyjaśnił Derek.

Zaczęła się domyślać, skąd to zainteresowania ojca. Starożytni Egipcjanie czcili tego małego koprofaga z powodu jego zwyczaju toczenia kulki gnoju. Wierzyli, że zachowanie skarabeusza jest odzwierciedleniem poczynań Chepri, boga wschodzącego słońca – wersji boga Ra – którego codzienna praca polegała na toczeniu

dysku słońca po niebie. Symbole skarabeusza można znaleźć w wielu zabytkach egipskiej sztuki i piśmiennictwa.

Pochyliła się nad starymi zapiskami.

– Jeśli tata zajmował się dziejami talizmanu, który dostał Livingstone, z pewnością ciekawiły go wszystkie związane z Egiptem informacje zawarte w jego notatkach i dziennikach. – Wyprostowała się. – Ale dlaczego miałby to kraść z archiwum w Glasgow? To do niego zupełnie niepodobne.

– Nie wiem. Zaznaczył też inne strony. Wygląda na to, że szczególnie interesowały go te listy, w których są szkice. – Derek zamknął tom i sięgnął po dziennik. – Dziwne jest to, że kilka miesięcy przed wyjazdem do Sudanu najwyraźniej dostał obsesji na punkcie tego talizmanu, a jednak nie pisał mi o tym słowa. Kazał mi badać mumie znalezione podczas akcji ratowania zabytków i szukać podobnych zmian chorobowych.

– Znalazłeś jakieś?

– Nie. – Derek westchnął. – Czuję się tak, jakbym zawiódł twojego ojca.

Jane dotknęła jego łokcia.

– To nie twoja wina. On zawsze chciał... nie, potrzebował jakiegoś dowodu na poparcie swojej teorii o exodusie. Nie pozwoliłby, żeby cokolwiek stanęło mu na drodze.

Nieuspokojony jej słowami Derek otworzył dziennik.

– Sporządził obszerne notatki o talizmanie. Muzeum Brytyjskie postanowiło zniszczyć przyczynę tylu niewytłumaczalnych zgonów i artefakt został spalony. Ale twój ojciec znalazł wykonany węglem drzewnym rysunek tego przedmiotu, a także kopię hieroglifów na spodzie naczynka. Zamieścił jedno i drugie w swoim dzienniku.

Gdy pokazał Jane stronę, rozpoznała staranne pismo ojca. U góry przykleił małą fotokopię oryginalnego rysunku.



– Przypomina aryballos, naczynie do przechowywania wonnych olejków – zauważyła. – Z dwiema głowami. Z jednej strony głowa lwa, a z drugiej twarz Egipcjanki... Dziwne...

– Z opisu wynika, że naczynie było wykonane z egipskiego fajansu pokrytego turkusowoniebieską glazurą.

– Hm... to ma sens. Zwłaszcza jeśli służyło do przechowywania wody. – Fajans egipski był wczesnym rodzajem ceramiki z mieszaniny kwarcu, krzemu i gliny. Po wypaleniu bardziej przypominał szkło niż ceramikę. – Jak duże to było?

– Według relacji, miało piętnaście centymetrów wysokości i mogło zawierać około pół litra płynu. W muzeum, żeby je otworzyć, rozbito kamienną zatyczkę przyklejoną twardym żywicznym woskiem.

– Dzięki czemu aryballos był wodoszczelny.

Skinął głową.

– Teraz spójrz tutaj. Twój ojciec skopiował hieroglify z dna naczynia.



Jane rozpoznała znaki bez konieczności zagłądania do słownika.

– *Iteru* – przeczytała.

– Egipskie słowo oznaczające rzekę.

– I ówczesna nazwa Nilu. – Potarła czoło. – Przypuszczam, że to potwierdza historię opowiedzianą przez tubylca, który dał amulet Livingstone’owi.

– Że woda pochodziła z Nilu.

– Z czasów, kiedy przemieniła się w krew – przypomniała mu Jane. – Pierwsza plaga zesłana na Egipt przez Mojżesza.

– Skoro o tym mowa, spójrz na to. – Derek przewrócił kartkę, na której jej ojciec wymienił dziesięć klęsk.

- 1) Przemiana wody w krew
- 2) Deszcz żab
- 3) Plaga komarów
- 4) Plaga much
- 5) Pomór bydła
- 6) Wrzody
- 7) Burza gradu i ognia
- 8) Atak szarańczy
- 9) Trzy dni ciemności
- 10) Śmierć pierworodnych

Lista była sporządzona w porządku chronologicznym. Profesor zakreślił punkt siódmy: *Burza gradu i ognia*.

Derek zobaczył, że Jane usilnie się nad czymś zastanawia.

– Co z tego rozumiesz? – spytał.

– Nic.

Zabrzączał telefon i oboje drgnęli.

Jane wstała z grymasem niezadowolenia i irytacji, przekonana, że dzwoni doktor al-Maaz z pytaniem, czy coś znaleźli. Jak na razie odkryli tylko kolejne tajemnice. Podeszła do starego aparatu i podniosła słuchawkę.

Zanim zdążyła się odezwać, ktoś nagłym tonem zapytał:

– Jane McCabe?

– Tak. Kto mówi?

– Nazywam się Painter Crowe. – Mężczyzna mówił szybko, z amerykańskim akcentem. – Jestem przyjacielem Safii al-Maaz. Godzinę temu ktoś zaatakował ją w muzeum.

– Co? Jak? – Jane miała kłopot, żeby przyswoić sobie tę wiadomość.

– Zginęli ludzie. Jeśli sprawa dotyczy profesora McCabe’a, pani może być następnym celem. Musi pani udać się w jakieś bezpieczne miejsce.

– Ale o co...

– Proszę opuścić dom i pójść na policję.

– U nas nie ma posterunku.

Najbliższe posterunki znajdowały się w Letchworth i Royston, a Jane nie miała samochodu. Przyjechała z Derekiem pociągiem.

– W takim razie w jakieś publiczne miejsce. Między ludzi, gdzie będzie mniejsze prawdopodobieństwo ataku. Pomoc już jest w drodze.

– Co się stało? – zapytał Derek, stojąc przy stole.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, mając w głowie kompletny mętlik.

– Za... za rogiem jest pub – powiedziała do słuchawki. – Bushel and Strike. – Spojrzała na zegarek. Minęła siódma, więc w lokalu powinno być mnóstwo klientów.

– Niech pani tam idzie! – ponaglił ją mężczyzna. – Natychmiast! – rzucił i rozłączył się.

Jane odetchnęła głęboko, próbując powstrzymać narastającą panikę.

Jeśli ten człowiek ma rację, że chodzi o tatę...

Wskazała stół.

– Derek, zabierz dziennik mojego ojca i te zapiski z archiwum z Glasgow, wszystko, co, według ciebie, jest ważne.

– Co się dzieje?

Pomogła mu zapakować materiały do skórzanej torby.

– Mamy poważne kłopoty.

Godzina 19.17

Derek przytrzymał otwarte drzwi, próbując zrozumieć, co się dzieje. To wszystko wydawało się nieprawdopodobne.

Czekał, gdy Jane przystanęła na ganku, przeszukując wzrokiem zarośnięty ogródek od frontu i wąską ulicę za niskim ceglany murkiem. Słońce jeszcze nie zaszło, ale wisiało nisko nad horyzontem i drogę spowijały głębokie cienie.

– Co się dzieje? – powtórzył. – Kto miałby cię wziąć na cel?

Nie widząc żadnych znaków zagrożenia, Jane ruszyła do żelaznej furtki wychodzącej na Gardiners Lane.

– Nie wiem. Może nikt. Może ci sami, którzy zaatakowali doktor al-Maaz i innych w muzeum.

Wychodząc na ulicę, Derek poprawił pasek torby na ramieniu. Strach o przyjaciół i kolegów z pracy umocnił go w postanowieniu dbania o bezpieczeństwo Jane.

– Wierzysz w to, co powiedział ten nieznajomy? – zapytał.

Jane zerknęła na niego, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Chyba... chyba tak. Zasugerował, że mamy pójść między ludzi. Nie mówił jak ktoś, kto chce nas wciągnąć w pułapkę.

To prawda, przyznał w duchu.

– Poza tym – dodała – nie zaszkodzi mi szklanka piwa. Dla ukojenia nerwów.

Posłała mu lekki uśmiech, a on go odwzajemnił.

– Skoro w celach leczniczych, to ja stawiam pierwszą kolejkę. Przecież jestem doktorem.

Spojrzała na niego, przechylając głowę.

– Archeologii.

– Bioarcheologii – przypomniał jej z naciskiem. – To prawie jak doktor medycyny.

Przewróciła oczami i wskazała przed siebie.

– Zatem przepis mi lekarstwo, mój dobry doktorze.

Chwilę później skręcili w zaułek prowadzący do tarasu za pubem. Bushel and Strike stał przy Mill Street naprzeciwko masywnej bryły kościoła Świętej Marii i otaczającego go parku. Nad dachem pubu było widać górną połowę strzelistej wieży z ołowianą iglicą, która płonęła w ostatnich promieniach słońca.

Taras był pogrążony w cieniach, jakby tu już zapadł zmierzch. Klienci zajmowali większość stolików. Z otwartych drzwi dochodził pomruk głosów.

Przerywane wybuchami śmiechu typowe odgłosy pubu nieco osłabiły strach Dereka przed jakimś nieokreślonym zagrożeniem. Przesiedział w tym pubie wiele wieczorów z ojcem Jane, czasami do godziny zamknięcia, a potem chwiejnym krokiem szli uliczkami Ashwell.

Czuł się tu tak, jakby wrócił do domu.

Słyszał kobiecy śpiew dobiegający z kościoła, przypominający, że to ostatnia noc festiwalu.

Nic dziwnego, że pub pękał w szwach.

Biorąc pod uwagę okoliczności, może to dobrze, uznał Derek.

Przyciągani wesołym gwarem, przez furtkę weszli na taras, a stamtąd tylnymi drzwiami do wnętrza pubu. Zamówili dwa duże guinnessy i stanęli z nimi przy barze. Kilku miejscowych rozpoznało Jane i złożyło jej kondolencje. Historia o niewytłumaczalnym pojawieniu się jej ojca i jego nagłej śmierci trafiła do wszystkich głównych gazet i na pewno była tematem większości tutejszych plotek.

Jane sączyła piwo, z opuszczonymi ramionami, wyraźnie skępowana zainteresowaniem, które przypominało jej o poniesionej stracie. Siłąc się na uprzejmość, odpowiadała sztucznym uśmiechem i apatycznie kiwała głową, gdy słuchała anegdot o ojcu. W końcu Derek się przesunął, żeby odgrodzić ją od innych, zapewnić jej odrobinę prywatności.

Poza tym obserwował drzwi lokalu. Czujnym wzrokiem oceniał każdą wchodzącą osobę, zwracając uwagę na tłum nieznanomych przybyłych na festiwal. Po czterdziestu pięciu

minutach zaczął podejrzewać, że tajemniczy rozmówca Jane albo się pomylił, albo był przesadnie ostrożny. Nie dostrzegł żadnego zagrożenia ani nikogo podejrzanego.

Nagle ktoś wpadł z dworu z ogromnie przejętą miną.

– Pali się! – ryknął, wskazując na zewnątrz.

Sekundę później z tarasu przybiegli klienci z tą samą informacją. Tłum wylał się z pubu na Mill Street. Jane i Derek wzięli przykład z innych. Mimo woli się rozdzielili, popychani i ciągnięci przez falę podekscytowanych ludzi.

– Jane! – krzyknął Derek.

Słońce już zaszło i znacznie się ochłodziło. Derek stanął pośrodku ciemnej ulicy i rozejrzał się. Przecnicę dalej płomienie lizały niebo, podświetlając gruby słup czarnego dymu.

To nie może być...

Wreszcie spostrzegł Jane kilka metrów dalej. Stała plecami do niego. Przepchał się do niej i objął ją. Jej twarz była przerażająco pusta. Ona też widziała, gdzie się pali.

– To nasz dom – wymamrotała. Przytulił ją mocniej. – Podłożyli ogień.

Lustrował wzrokiem otoczenie, podejrzewając każdego. Blask wznoszących się płomieni zalewał piekielnym światłem ulicę i podekscytowany tłum. Po Ashwell niosło się wycie syren, podsycając wrażenie lęku i pośpiechu.

– Musimy się stąd wydostać – powiedział Derek, pociągając Jane za sobą, zmuszając ją do ruchu.

Jeżeli ktoś podłożył ogień w jej domu, niewątpliwie zrobił to po to, żeby zniszczyć dokumenty profesora. Ciężar torby na jego ramieniu nagle stał się większy, a jej zawartość jeszcze ważniejsza, ale było to najmniejsze z jego zmartwień. Jeśli jacyś ludzie chcieli zlikwidować wszystko, co wiązało się z życiem i pracą profesora McCabe'a, to na samej górze ich listy z pewnością znajdował się najważniejszy cel.

Jego córka.

Obrócił Jane plecami do płomieni.

– Musimy...

W tym momencie ktoś chwycił go za ramię i pchnął w bok. Zaskoczony, zrobił kilka kroków. Nad dziewczyną górowała zwalista postać. Mężczyzna wyglądał jak rodem z koszmaru, z brutalną twarzą i masywną budową ciała.

Derek jednak nie zamierzał dać za wygraną. Gotów bronić Jane, przyskoczył do napastnika – i spotkał się z jego pięścią. Głowa poleciała mu do tyłu, ból wybuchł z chrzęstem kości, światła zapłonęły i oślepiły go.

Upadł ciężko na ulicę.

Jak przez mgłę widział, że napastnik ciągnie opierającą się Jane.

Nie...

Waszyngton, Stany Zjednoczone

30 maja, godzina 15.54 czasu miejscowego

Kathryn Bryant nigdy nie widziała szefa tak zdenerwowanego. Jej biuro wychodziło na centrum łączności w podziemnej kwaterze Sigmy. Przez okno patrzyła, jak dyrektor Crowe chodzi w tę i w tę przed półkolistym pulpitem z urządzeniami telekomunikacyjnymi i monitorami komputerowymi. Ekrany migotały, jakby drwiąc z jego bezsilności.

– Niedługo wydepcze dziurę i spadnie na niższy poziom – odezwał się mąż Kate. – Może wrzucić mu trochę valium do następnej kawy.

– Wiem, Monk, że żartujesz, ale niewykluczone, że będę musiała to zrobić.

Potała niewielką bliznę na podbródku. Był to nerwowy tik wskazujący na jej pragnienie, żeby robić coś więcej, niż tylko przełączać rozmowy i monitorować komunikację elektroniczną agencji wywiadowczych na całym świecie. Ale jako zastępca dyrektora znała swoje miejsce. Została zwerbowana do Sigmy z wywiadu marynarki wojennej i na świecie było niewielu ludzi, którzy mogliby jej dorównać pod względem wiedzy fachowej i umiejętności.

– Jakies wieści z Kairu? – zapytał Monk.

– Tylko ponure.

Spojrzała na męża. Monk Kokkalis był kilka centymetrów niższy od niej, ale miał budowę buldoga. Jakby dla

zaakcentowania tego skojarzenia, golił głowę na łyso i nigdy nie zadał sobie trudu, żeby poddać się operacji i wyprostować nos, skrzywiony po dawnym złamaniu. Cztery godziny temu, kiedy ogłoszono alarm, ćwiczył w siłowni kompleksu, więc wciąż miał na sobie tenisówki, spodnie dresowe i kamuflującą koszulkę z emblematem Zielonych Beretów – dwiema skrzyżowanymi strzałami i mieczem. Każdy, kto patrzył na niego, nie miał wątpliwości co do jego służby w jednostkach specjalnych, ale wielu nie doceniało błyskotliwego umysłu ukrytego za tą bokerską powierzchownością.

Agencja DARPA i działająca pod jej auspicjami Sigma Force należycie oceniły jego znajomość medycyny i biotechnologii, chociaż dla nich był przede wszystkim czymś w rodzaju podręcznego królika doświadczalnego. Monk podczas jednej z misji stracił dłoń i teraz testował kolejne protezy, z których każda była coraz bardziej zaawansowana technologicznie. Ta obecna była połączona z implantem neuronowym, który pozwalał na jeszcze subtelniejszą kontrolę palców.

Poruszył ręką w nadgarstku, bo wciąż nie mógł się przyzwyczaić do nowego modelu protezy.

– To znaczy? – spytał.

– W Kairze panuje kompletny chaos.

– Co z kwarantanną?

Parsknęła.

– Jeszcze przed wybuchem epidemii tamtejsza infrastruktura medyczna była beznadziejna. Służby ratownicze są niewiele lepsze. Jeśli sytuacja się pogorszy, ich działania będą przypominać próbę gaszenia pożaru pistoletem na wodę.

– A co z przypadkami w Wielkiej Brytanii?

– Na razie...

Na jej monitorze pojawiła się informacja, że napłynął międzywydziałowy raport z CDC³. Przejrzała go szybko.

Monk zauważył, że zeszywniała.

– Nic dobrego?

– Nie. Zgłoszono, że kilku pracowników lotnisk w Kairze i Londynie ma wysoką gorączkę. – Spojrzała na męża. – Łącznie ze stewardesą British Airways.

– Wygląda na to, że mleko się rozlało.

– To raport wstępny. Jest za wcześnie, żeby określić, czy to ta sama choroba, która zaatakowała personel prosektorium w Egipcie, ale nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Muszę zmobilizować agencje zdrowia, u nas i za granicą, i skoordynować ich działania.

Pokręciła głową. W takich sytuacjach międzynarodowa biurokracja zawsze wszystko hamowała. Kat zorientowała się, że znów pociera palcem bliznę na podbródku. Zmusiła błędzącą rękę, żeby opadła na klawiaturę komputera.

Za oknem Painter zrobił kolejną rundkę po centrum łączności. Kat wiedziała, że szef wolałby być w Londynie, zamiast tkwić tutaj, w dowództwie Sigmy. Ich kwatera główna została urządzona w schronach przeciwlotniczych z czasów drugiej wojny światowej, znajdujących się pod Smithsonian Castle. Lokalizacja pozwalała Sigmie na łatwy dostęp do kuluarów władzy, a także znaczących instytutów naukowych i laboratoriów w całym kraju. Dla Paintera w tej chwili nie miało to znaczenia. Chciał być na powierzchni, w terenie, żeby rozpocząć polowanie na tych, którzy przeprowadzili atak w Muzeum Brytyjskim.

Z lektury akt jednej z dawnych misji Kat wiedziała o znajomości dyrektora z Safią al-Maaz. Ta kobieta była dla niego ważna. Jakby czytając w jej myślach, Painter przystanął przed pulpitem i odtworzył nagranie rozmowy konferencyjnej z doktor al-Maaz.

Kat obejrzała je już cztery razy. Safia została zaatakowana przez zamaskowanego napastnika, który wtargnął do jej biura. Mężczyzna strzelił do niej z czegoś, co zostało zidentyfikowane jako pistolet Palmer Cap-Chur na strzałki usypiające. Dwa pociski utkwily w jej piersi. Potem napastnik strzelił w ekran ze zwyczajnego pistoletu, z tej samej broni, z której zabił dwóch

pracowników muzeum, w tym młodą kobietę widoczną na nagraniu.

Gdy przybyła pomoc, Safii już nie było.

W centrum łączności Painter zatrzymał nagranie, zamroził ostatni obraz kobiety z dłonią wyciągniętą w stronę ekranu.

– Gdyby im zależało na jej śmierci, już by nie żyła – mruknął Monk. – Najwyraźniej czegoś od niej chcą.

– Ale czego? – zapytała Kat.

Jej mąż się skrzywił.

– Miejmy nadzieję, że ją znajdziemy, zanim będzie za późno.

Spojrzała na zegar na ekranie.

– Czy Gray nie powinien już tu być? Wasz odrzutowiec do Londynu za trzydzieści pięć minut rozpoczyna kołowanie.

Monk wzruszył ramionami.

– Jest w szpitalu z ojcem i bratem. Powiedział, że spotkamy się na lotnisku.

– Jak się miewa jego ojciec?

– Niezbyt dobrze. – Potarł dłonią protezy ogoloną czaszkę. – Ale to brat jest prawdziwym problemem.

Godzina 16.14

Jak nie jedno, to drugie...

Komandor Grayson Pierce siedział przy łóżku ojca. Właśnie wrócili po szeregu badań w szpitalu Holy Cross i umieścili go w ośrodku opiekuńczym na dalszą kurację. Nawet jazda ambulansiem bardzo niekorzystnie wpłynęła na samopoczucie ojca.

Gray patrzył, jak pielęgniarka okrywa ojca, i szukał w nim śladów dawnego teksaskiego nafcjarza, który żelazną ręką rządził rodziną. Ojciec był nieugięty i zażarcie bronił swojej niezależności nawet po wypadku, w którym stracił nogę poniżej kolana. Gray przez większą część życia się z nim ścierał,

ponieważ obaj byli zbyt uparci, zbyt dumni, żeby ustąpić. W końcu ta walka wypędziła go z domu, najpierw do wojska, później do rangersów, w końcu do Sigmy.

Przyglądał się sieci zmarszczek na twarzy starca, zwracając uwagę na jego ziemistą cerę i zapadnięte oczy. Ojciec ciężko westchnął, gdy pielęgniarka poprawiała mu poduszkę. Normalnie zareagowałby gradem przekleństw na taką przesadną troskliwość. Jackson Pierce nie należał do tych, którzy lubią być rozpieszczani. Teraz jego pierś zapadła się w westchnieniu porażki; był zbyt wyczerpany, żeby protestować.

Gray zabrał głos w jego imieniu i skinął ręką na pielęgniarkę.

– Wystarczy – rzucił. – Nie lubi, gdy się przy nim skacze.

Młoda kobieta odsunęła się od łóżka.

– Muszę podłączyć kroplówkę – powiedziała.

– Może pani dać nam kilka minut? – Spojrzał na zegarek.

Mniej więcej tyle czasu mi zostało, pomyślał.

Czas naglił, co nasilało jego zdenerwowanie. Wiedział, że niedługo musi być na lotnisku. Zerknął na drzwi.

Gdzie jest Kenny?

Gray przypuszczał, że brat gdzieś wstąpił w drodze z Holy Cross. Pewnie chce wykorzystać ostatnie chwile wolności. Po jego wyjeździe Kenny obejmie „synowską służbę”, jak to nazywali, obowiązek, który w miarę upływu czasu stawał się dla nich coraz trudniejszy.

Zniecierpliwiony Gray rozejrzał się po nowym pokoju ojca. Choć prywatny, wydawał się dość spartański. Była tam tylko szafa, parawan i stolik na kółkach. Przez sześć tygodni będzie to dom jego ojca.

W ubiegłym miesiącu Jackson Pierce poślizgnął się i upadł, poważnie raniąc się w kikut nogi. Po wizycie na pogotowiu i drobnym zabiegu wszystko wydawało się w porządku, ale nagle dostał gorączki, która nie chciała ustąpić. Zdiagnozowano zakażenie wtórne i posocznicę, nienależące do rzadkości komplikacje u starszych wiekiem pacjentów. Po kolejnej operacji

i hospitalizacji ojciec został skierowany tutaj, gdzie przez sześć tygodni miał być leczony podawanymi dożylnie antybiotykami.

I może dobrze, pomyślał z poczuciem winy Gray. Tutaj przynajmniej, kiedy wyjadę, będzie miał całodobową opiekę.

Kenny nie był odpowiedzialnym opiekunem nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

Gray usłyszał ochrypły głos:

– Jestem gotów odejść.

Spojrzał na ojca.

– Musisz tu zostać, tato. Polecenie lekarza.

Ostatnio ojciec tracił kontakt z rzeczywistością. To, co zaczęło się jako przypadki roztargnienia – zgubione kluczyki, powtarzanie tych samych pytań, mylenie kierunków – doprowadziło do zdiagnozowania choroby Alzheimera, co stało się ciosem dla człowieka rozpaczliwie pragnącego zachować niezależność. Zeszłego roku Gray zaryzykował eksperymentalną kurację wykradzionym z laboratorium specyfikiem, który dobrze się zapowiadał w leczeniu neuropatii, i podziałało. Kolejne badania PET nie wykazały złogów amyloidowych w mózgu; wyglądało na to, że stan zdrowia ojca przestał się pogarszać.

Niestety, terapia nie odwróciła już wyrządzonych szkód. Gray mógł się porozumieć z ojcem, ale wiedział, że nie będzie on już człowiekiem, jakim był przed chorobą. Został uwięziony gdzieś pomiędzy, zagubiony we mgle, która nigdy się nie podniesie.

Ojciec znów się odezwał, bardziej stanowczym tonem:

– Chcę się zobaczyć z twoją matką.

Gray odetchnął głęboko. Matka zmarła jakiś czas temu. Gray mówił mu wiele razy o tej tragedii i ojciec często rozumiał; okazywał smutek albo opowiadał zabawne historyjki o żonie. Gray cenił te chwile. Ale gdy ojciec był zestresowany i zmęczony, jak teraz, tracił poczucie upływu czasu.

Gray położył rękę na jego ramieniu, niepewny, czy ma mu pozwolić żyć złudzeniami, czy po raz kolejny przedstawić brutalną prawdę. Spojrzał w niebieskie jak lód oczy, podobne do jego oczu. W ich głębi dostrzegł jaśniejącą świadomość.

– Tato...?

– Jestem gotowy odejść, synu. – Starszy pan wyraźnie powtórzył wcześniejsze słowa. – Tak bardzo... tak bardzo tęsknię za Harriet. Chcę ją znowu zobaczyć.

Jego syn zamarł, oniemiały ze zdumienia. Ojciec zawsze wściekał się na cały świat, na każdy najbliższy afront, na swojego upartego syna. Teraz Gray nie mógł pogodzić tej zupełnej rezygnacji z charakterem człowieka, który go wychował.

Zanim mógł cokolwiek powiedzieć, do pokoju wpadł jak burza Kenny. Obaj bracia byli wysocy, mieli ciemne, gęste włosy i rumiane walijskie twarze. Rodzinne podobieństwo nie ulegało wątpliwości, tyle że Gray dbał o kondycję, Kenny natomiast miał wydatny brzuch piewosza – skutek pracy za biurkiem w firmie komputerowej i zbyt wielu nocy imprezowania.

Pokazał reklamówkę z logo 7-Eleven.

– Przyniosłem tacie kilka czasopism. „Sports Illustrated”, „Golf Digest”. I kupiłem mu trochę przekąsek. Chipsy i batoniki. – Kenny przysunął krzesło do łóżka i padł na nie ciężko, jakby właśnie skończył maraton.

Gray poczuł zapach whisky w jego oddechu. Najwyraźniej młodszy brat kupił coś więcej niż prasę i przekąski.

– Możesz iść, Gray – rzucił Kenny, wskazując drzwi. – Teraz moja kolej. Dopilnuję, żeby tata miał dobrą opiekę. – Do jego głosu zakradła się nutka oskarżenia. – Ktoś musi, prawda?

Gray zgrzytnął zębami. Powiedział bratu, że pracuje dla rządu, ale nie miał zgody na informowanie go o Sigmie i o charakterze swoich misji. Zresztą Kenny nigdy nie okazywał większego zainteresowania jego życiem i pracą.

Gdy Gray wstał, ojciec obrzucił go surowym spojrzeniem i lekko pokręcił głową. Wiadomość była jasna: nie chciał, żeby starszy syn wspomniał o tym, co powiedział przed chwilą. Najwyraźniej bolesne wyznanie było przeznaczone tylko dla uszu Graya.

Świetnie... czym jest kolejna tajemnica? – przemknęło mu przez głowę.

Podszedł do łóżka i przytulił ojca na pożegnanie. Wypadło to niezgrabnie, tak z powodu na wpół uniesionego wezgłowia, jak i dlatego, że publiczne okazywanie uczuć należało u nich do rzadkości.

Ojciec uwolnił rękę i poklepał go po plecach.

– Daj im popalić. – Po pewnej akcji Jackson Pierce wiedział, na czym polega praca jego starszego syna.

– Jak zawsze. Zajrzę do ciebie, kiedy wrócę.

Gray wyprostował się i odwrócił. Zawsze czuł wewnętrzną przemianę, gdy przygotowywał się do nadchodzących misji. Lata służby w formacji rangersów nauczyły go błyskawicznego przeskakowania z jałowego biegu w pełen gaz, czy chodziło o zerwanie się z pryczy na świst nadlatującego pocisku z moździerza, czy nurkowanie pod osłonę na trzask strzału snajpera.

Jeśli jesteś żołnierzem, to kiedy nadchodzi czas ruszać, po prostu ruszasz.

Tak jak teraz.

Chciał wyjść z pokoju, ale ojciec go zatrzymał. W jego głosie brzmiała zaskakująca siła, jakby znów był dawnym sobą.

– Obiecuj mi.

Gray obejrzał się, marszcząc czoło.

– Co mam ci obiecać?

Ojciec zamrugnął, błędząc wzrokiem. Dźwignął się na łokciu, ale nawet ten niewielki wysiłek doprowadził go do drżenia. Opadł na łóżko, a na jego twarzy znów malowała się dezorientacja.

– Tato?

Słabo machnął ręką, odprawiając starszego syna.

– Chryste, człowieku – rzucił Kenny z niezadowoloną miną. – Skoro masz iść, to idź. Daj tacie odpocząć. Przestań to przeciągać.

Gray zacisnął pięść, szukając kogoś, na kim mógłby się wyładować. Obrócił się na pięcie i wyszedł. Gdy opuścił dom opieki, zrobił kilka głębokich oddechów i podszedł do motocykla,

Yamahy V-max. Przerzucił nogę nad siodełkiem, włożył kask i uruchomił silnik, który odpowiedział gardłowym pomrukiem.

Pozwolił mu ryczeć, w ten sposób dając wyraz frustracji. Ruszył z dudnieniem przenikającym go do szpiku kości. Gdy wyjeżdżał z parkingu na ulicę, ostro skręcił, mocno przechylając motor, i popędził przed siebie.

Ścigały go jednak ostatnie słowa ojca.

Obiecaj mi.

Nie wiedział, o co mu chodziło. Dręczyło go poczucie winy, ponieważ wyjeżdżał i w głębi duszy czuł ulgę. Po tak wielu miesiącach martwienia się o stan zdrowia ojca i zmagania z bezcielesnymi demonami potrzebował kogoś, z kim mógłby naprawdę stoczyć bitwę, potrzebował czegoś, co mógłby chwycić w ręce.

Koncentrując się właśnie na tym, zadzwonił do kwatery Sigmy i złapał Kat.

– Jadę na lotnisko. Będę za jakieś piętnaście minut.

W kasku usłyszał jej głos.

– Monk się tam z tobą spotka. W samolocie czeka na ciebie pełny raport dotyczący misji.

Dyrektor Crowe już mu przedstawił najważniejsze punkty sprawy. Był nią osobiście zainteresowany i zlecił mu wyjazd do Londynu.

– Jak wygląda sytuacja na miejscu? – zapytał Gray.

– Muzeum jest zamknięte. Niestety, kamery monitoringu w skrzydle dla pracowników nie zarejestrowały napastników. W tej chwili policja przeczesuje okolicę, szukając świadków.

– Co z drugim potencjalnym celem?

– Jane McCabe? Wciąż ani słowa.

Gray przyspieszył, czując, że z godziny na godzinę sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna. Czas uciekał, a oni dotrą na miejsce dopiero o świcie; wylądują w Northolt, bazie RAF-u w zachodniej części Londynu.

Z powodu opóźnienia Painter Crowe już włączył do akcji dwóch agentów Sigmy, którzy byli bliżej. Jeden uczestniczył

w konferencji w Lipsku, a drugi prowadził w Marrakeszu śledztwo dotyczące czarnorynkowego handlu kradzionymi zabytkami z Bliskiego Wschodu.

Stanowili dziwną parę, ale konieczność często tworzy dziwne przymierza.

Gray zobaczył zjazd na prywatne lotnisko, dodał gazu i pędził do wejścia, wyobrażając sobie tę parę agentów w terenie.

Niech Bóg ma w opiece każdego, kto wejdzie im w drogę.

Oczywiście, jeśli najpierw wzajemnie się nie pozabijają.

5

Ashwell, hrabstwo Hertford, Anglia

30 maja, godzina 21.22 czasu miejscowego

Przecież nie może być taki głupi, pomyślała Seichan, chwyciła Joego Kowalskiego za rękę i dźgnęła palcem w splot mięśni u nasady kciuka. Wielki mężczyzna wrzasnął, ale w końcu puścił ramię Jane McCabe.

Dziewczyna zrobiła chwiejny krok do tyłu. Zanim mogła rzucić się do ucieczki, Seichan zablokowała jej drogę. Uniosła rękę.

– Panno McCabe, przepraszam. Nie chcieliśmy pani wystraszyć.

Jane wlepiała oczy w napastników. Wokół nich kłębiły się tłumy ludzi, najwyraźniej nieświadomych tej krótkiej szamotaniny. Zresztą nic dziwnego, wszyscy skupiali uwagę na płomieniach liżących ciemne niebo.

– Przysłał nas Painter Crowe, żeby zabrać panią w bezpieczne miejsce – wyjaśniła Seichan, podczas gdy zawodzenie syren niosło się po Ashwell.

Jane potarła posiniaczone przedramię. Jej przerażona mina świadczyła o tym, że zapewnienia nieznajomej wcale jej nie przekonały. Spojrzała na mężczyznę, który wyglądał jak uzależniony od sterydów zawodnik futbolu. Nawet długi do kolan czarny skórzany płaszcz nie ukrywał jego potężnie umięśnionej niemal dwumetrowej sylwetki. Jego twarz z bliznami, krzaczastymi brwiami, grubymi wargami, złamanym nosem i kwadratową szczęką nie budziła zaufania.

Kowalski zrobił zakłopotaną minę.

– Przepraszam. – Machnął ręką wielką jak bochen chleba. – Zobaczyłem, że stoi pani na ulicy. Pomyślałem, że jakiś facet panią atakuje.

Jane spojrzała przez ramię.

– Derek...

Jak na zawołanie, przez tłum przedarł się wysoki tyczkowaty mężczyzna. Z nosa ciekły mu bliźniacze strużki krwi. Oczy miał już podpuchnięte. Skoczył ku Jane, zdecydowany jej bronić.

Seichan pozwoliła mu zbliżyć się do dziewczyny. Rozpoznała doktora Dereka Rankina ze zdjęcia, które było w aktach misji, gdy tymczasem jej partner bez namysłu przystąpił do działania.

Derek spiorunował go wzrokiem, gotów jeszcze raz się z nim zmierzyć, po czym zerknął na Jane.

– Nic ci nie jest? – zapytał nosowym głosem.

Pokręciła głową.

– Zaszło nieporozumienie – odezwała się Seichan.

Dopiero wtedy Derek ją zauważył. Spojrzał na nią po raz drugi, nie kryjąc zaskoczenia. Przywykła do takich reakcji. Wiedziała, że jej eurazjatycka uroda – długie czarne włosy, migdałowa karnacja, wysoko zarysowane kości policzkowe i szmaragdowozielone oczy – jest niepospolita, na tyle egzotyczna, że kiedy pracowała jako zabójczyni dla Gildii, organizacji terrorystycznej zniszczonej przez Sigmę, mogła uwodzić wyznaczone jej cele. Była szczupła i muskularna, skromnie ubrana w czarne dżinsy, skórzane buty z cholewkami, ciemnoczerwoną koszulkę i dżinsową kurtkę.

Derek przenosił spojrzenie z niej na Kowalskiego i z powrotem.

– Kim... kim wy jesteście?

– Przysłał ich człowiek, który do mnie zadzwonił – odparła Jane, wciąż pełna rezerwy.

– Wbrew pozorom jesteśmy tutaj, żeby pomóc – zapewniła ich Seichan.

Na dowód pokazała zdjęcie, które przysłał jej Painter Crowe. Podsunęła je Jane. Dziewczyna wzięła je i nachyliła w stronę światła latarni. Derek spojrzął jej przez ramię. Fotografia przedstawiała Crowe'a z Safią al-Maaz. Oboje byli młodszy, uśmiechali się do aparatu, a za nimi rozciągała się pustynia z dużym jeziorem połyskującym w księżycowej poświacie.

– To nasz szef – wyjaśniła Seichan. – Kilka lat temu pomagał doktor al-Maaz.

Derek uniósł głowę.

– Widziałem zdjęcie tego gościa w biurze Safii. Kiedyś mi opowiedziała, jak się poznali... chociaż przypuszczam, że usłyszałem mocno okrojona wersję.

Podejrzliwość powoli zniknęła z jego oczu.

– Więc możemy im zaufać? – zapytała Jane.

Spojrzał w stronę płomieni i kłębow dymu.

– Raczej nie mamy wyboru. – Ostrożnie pomacał nos i spojrzął spode łba na Kowalskiego. – Ale jeśli chcesz wiedzieć, następnym razem wystarczy zwyczajne „cześć”.

Jane skrzyżowała ręce na piersi; gniew wyostrzył jej rysy. Wyglądała na mniej skora do wybaczenia i puszczenia tego incydentu w niepamięć.

– Nie mam zamiaru...

W tym momencie Seichan skoczyła i odepchnęła ją na bok. Przez kakofonię syren przebił się huk strzału. Posłuszna instynktowi samozachowawczemu wykształconemu podczas ciężkich lat życia na ulicach Bangkoku i Phnom Penh, bez przerwy obserwowała otoczenie i spostrzegła sylwetkę człowieka, który kierował rękę w ich stronę. Zareagowała odruchowo na ten gest, jeszcze przed błyskiem wystrzału.

Jane się potknęła, ale Seichan objęła ją w tali i pomogła jej zachować równowagę.

– Padnij – poleciła, obracając się i wyjmując SIG sauera z kabury pod kurtką.

Niestety, zanim wycelowwała w strzelca, wystraszeni hukiem ludzie rozbiegli się we wszystkie strony, co pozwoliło mu wtopić

się w tłum.

Kowalski pchnął Dereka do tyłu, osłaniając go własnym ciałem. Wyjął spod płaszcza coś, co wyglądało jak obrzyn, ale był to piezer, nowa broń opracowana przez Agencję Zaawansowanych Projektów Badawczych podlegającą Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Standardowe naboje kalibru 12 zawierały nie gruby śrut, ale kryształy piezoelektryczne, ładowane z akumulatora. Po wystrzeleniu rozrywały się, uwalniając grad kryształów obdarzonych ładunkiem elektrycznym, każdy o napięciu równym temu generowanemu przez paralizator. Ta broń obezwładniająca o zasięgu do pięćdziesięciu metrów doskonale nadawała się do tłumienia zamieszek.

Kowalskiemu tym razem udało się opanować i powstrzymać od naciśnięcia spustu.

Dobrze, nie potrzeba nam jeszcze większej paniki na ulicy, przynajmniej na razie, pomyślała Seichan.

Pociągnęła za sobą Jane, chcąc, by dziewczyna znalazła się jak najdalej od miejsca, w którym widziała strzelca. Kowalski i Derek ruszyli za nimi. Wypatrywała innych zamachowców, którzy mogli ukrywać się w tłumie. Niestety, idąc w tym kierunku, oddalali się od samochodu. Kiedy kilka minut temu przyjechali do Ashwell, zobaczyli płomienie wznoszące się ku niebu. Musieli zaparkować i przedzierać się przez zmierzające w przeciwnym kierunku tłumy gapiów, żeby dotrzeć do pubu Bushel and Strike.

– Dokąd idziemy? – zapytał Derek.

– W jakieś bezpieczne miejsce. – Seichan rozejrzała się. – Tu jesteśmy zbyt odsłonięci.

Jane wskazała grupę osób w białych szatach, zgromadzonych przed otwartymi drzwiami starego kamiennego kościoła za kamiennym murem.

– Dzisiaj jest Śpiewane Nabożeństwo Wieczorne.

Seichan ściągnęła brwi, nie rozumiejąc.

– Co oznacza, że jest tam tłoczno – wyjaśnił Derek.

Może być, uznała Seichan i poprowadziła ich w tamtą stronę, chowając broń pod kurtką.

– Jest drugie wyjście? – zapytała, mając nadzieję, że uwolnią się od tych, którzy na nich polowali.

– Możemy wyjść po północnej stronie – odparła zadyszczanym głosem Jane. – Na cmentarz za kościołem.

– Cmentarz w nocy – burknął Kowalski. – Przynajmniej sukinsynom łatwiej będzie pogrzebać nasze zwłoki.

Nie zwracając na niego uwagi, Seichan zaprowadziła ich przez bramę na teren kościoła.

– Co jest za cmentarzem? – rzuciła.

– Głównie podmokłe tereny parkowe wokół źródeł rzeki Cam.

– Jane wskazała ręką przed siebie. – Ale niecałe pół kilometra dalej biegnie Station Road. Może złapiemy okazję. Stamtąd jest tylko parę minut jazdy do dworca kolejowego.

Seichan pokiwała głową.

Niezły plan.

Derek spojrział na zegarek.

– Następny pociąg do Kings Cross w Londynie odjeżdża za niecałą godzinę.

Jeszcze lepiej.

Narzuciła szybsze tempo.

– Lepiej, żebyśmy się nie spóźnili.

Przed nimi głośno rozprawiała grupa chórzystów, ich twarze wyrażały mieszaninę zmartwienia i podekscytowania. Byli skąpani w świetle płynącym przez otwartą południową kruchtę. Z wnętrza kościoła dobiegały bogate tony organów; muzycy przygotowywali się do nabożeństwa. Z pewnością wszyscy się zastanawiali, czy w ogóle się odbędzie. Niewątpliwie każdemu chórowi trudno byłoby konkurować z zawodzącymi syrenami wozów strażackich.

Gdy dotarli do kruchty, Seichan przeprowadziła ich przez tłum i okute żelazem drzwi. Powiodła wzrokiem po wnętrzu kościoła. Z lewej strony znajdowało się sklepione wejście do wieży. Po prawej nawa ciągnęła się do szerokiego ołtarza, nad

którym wisiał oświetlony świecami Chrystus na żelaznym krzyżu. W tamtej części kościoła przebywało najwięcej osób, skupionych głównie przed prezbiterium i przy wielkich organach.

Nie dostrzegając bezpośredniego zagrożenia, Seichan skupiła uwagę na ich celu, otwartych średniowiecznych drzwiach po drugiej stronie kościoła.

To na pewno północne wyjście.

Jane potwierdziła to, wskazując je.

– Tędy – powiedziała.

Seichan ruszyła z miejsca, ale nagle jej uwagę przyciągnęło jakieś zamieszanie. Z zewnątrz dobiegały pełne złości okrzyki, które po chwili zagłuszył chrapliwy pomruk silnika. Spanikowani chórzyści przy wejściu do kościoła rozstępowali się, uskakując na boki, bo w ich stronę z rykiem mknął ciemny kształt. Był to motocykl, którym jechały dwie osoby w kaskach. Pasażer opierał pistolet na ramieniu pochylonego kierowcy.

Gdy maszyna pędził przez długą kruchtę ku drzwiom, Seichan wskazała wejście do wieży ze spiralną klatką schodową.

– Kowalski, zabieraj ich na górę – nakazała.

Skinął głową i natychmiast jej posłuchał, oglądając się przez ramię.

– Co ty...

Odwróciła się w drugą stronę i skoczyła ku najbliższej ławce. Wykręciła się w locie, żeby wylądować na barku, zrobiła przewrót i płynnie się podniosła. Skulona pod osłoną solidnej drewnianej ławki, wycelowała z SIG sauera w drzwi, gdy motocykl wpadł do kościoła. Warkot silnika i echa odbijające się od ścian tworzyły piekielny chór. Kierowca gwałtownie zahamował, opony zadymiły na kamiennej posadzce.

Pasażer wycelował w wejście do wieży.

Zauważył Kowalskiego.

Zeskoczył z siodelka; najwyraźniej zamierzał pieszo ścigać swoją zwierzynę. Seichan wymierzyła w podstawę kasku i pociągnęła za spust. Ostry trzask strzału przebił się przez warkot

motoru. Mężczyzna zadarł głowę, a z jego szyi bluznęła krew. Kask podskoczył na kamiennych płytach, gdy napastnik upadł.

Zanim Seichan mogła wziąć na cel jego towarzysza, ten obrócił się na siodełku. Z olstra przy kolanie wyrwał karabinek automatyczny i strzelił w jej kierunku. W ostatniej chwili zanurkowała pod osłonę. Pocisk uderzył w drewno, odłupując skraj oparcia. Spod ławki zobaczyła, że motocyklista zeskakuje ze swojej maszyny i używa jej jako tarczy, żeby się wycofać do wejścia na wieży.

Strzeliła spod ławki, celując w nogi, lecz już dotarł w bezpieczne miejsce. Zaklęła w duchu, ale z szacunkiem dla jego umiejętności.

Facet świetnie sobie radzi w stresie, pomyślała. Jest za dobry na amatora.

Obawiając się najgorszego, wyskoczyła spod osłony i wycelowała w wejście do wieży. Popędziła w tamtą stronę, czujna na każdą zmianę cieni pod łukiem. Zanim tam dotarła, usłyszała nowy chór.

Zawodzenie silników, coraz głośniejsze.

Obróciła się w stronę źródła dźwięku. W stronę kruchty – w jej stronę – pędziły ciemne sylwetki.

Przybywa odsiecz... ale dla niewłaściwej strony.

Wiedziała, że są w poważnych tarapatach. Zerknęła w kierunku wieży i wyobraziła sobie znikającego tam zabójcę, ścigającego cel, zdeterminowanego wykonać zadanie. W tej chwili nie mogła mu przeszkodzić. Musiała utrzymać swoją pozycję, bo inaczej nie będzie nadziei na ucieczkę.

Przygotowując się do odparcia ataku, prosiła w duchu: Kowalski, nie zrób niczego głupiego.

Godzina 21.44

Jane wchodziła po spiralnych schodach. Chcąc zapanować nad paniką wywołaną przez strzały na dole, przesuwiała rękę po murach. Ich solidność pomagała jej uspokajać nerwy. Wieża dzwonnicza została zbudowana z lokalnego wapienia. Stulecia deszczu podniszczyły fasadę, ale budowla wciąż stała. Jane czerpała z tego siłę.

Pod opuszkami palców czuła średniowieczne inskrypcje wyryte w miękkim wapieniu. Przypominały jej o ludziach, którzy kiedyś tu żyli, o wieśniakach nieugiętych w obliczu zarazy, wojen i głodu.

Muszę być równie silna.

Gdy jej palce natrafiły na kolejną inskrypcję, pomyślała o ojcu, o czasach, kiedy przychodziła tu z nim w dzieciństwie. Nie chciała pozwolić, żeby nocni napastnicy wymazali pamięć o nim, czy to podkładając ogień, czy to popełniając morderstwo. Będzie z nimi walczyć do ostatniego tchu.

Nie tylko z powodu ojca, ale także Rory'ego.

Jeśli jest cień szansy, że żyje, nie spocznę, dopóki go nie znajdę.

Przyspieszyła.

Derek szedł przed nią, a Amerykanin, wielkolud o nazwisku Kowalski, zamykał tyły.

– Dokąd prowadzą te cholerne schody? – zapytał.

– Na dzwonnice – odparła.

Spojrzała w górę. Dźwięk dzwonów, bijących co kwadrans od wieków, stanowił nieodłączny element życia Ashwell. Ostatnio jednak, z powodu skarg o zakłócanie ciszy, w nocy ich dźwięk był stłumiony. Uznała to za wyjątkowo smutne, jakby założono knebel historii.

Nagle rozległ się nowy hałas – znacznie bardziej współczesny – dobiegający z dołu. Na wieżę dotarło echo ryku wielu silników, jakby demony ścigały ich po schodach. Amerykanin przekrzywił głowę i przystanął z wahaniem; jego twarz wyrażała niepokój o partnerkę.

– Co robimy? – zapytał Derek.

Kowalski warknął i machnął bronią.

– Idziemy dalej – rzucił. – Na sam szczyt. Tam się zaszyjemy. Powinno być bezpiecznie, dopóki...

Huk strzału przebił się przez docierające z daleka dudnienie silników.

Olbrzym skrzywił się i skulił ramiona. W mur obok niego uderzył pocisk, krzesząc iskry i zasypując Kowalskiego kłującymi odłamkami.

– Biegiem! – ryknął, pędząc na górę.

Jane pognąła za Derekiem, lecz po chwili podskoczyła, słysząc głośny wybuch. To Amerykanin wypalił na oślep ze strzelby. Ładunek śrutu – lub cokolwiek to było – rozproszył się i rykoszetował od ścian w kaskadzie niebieskich iskier.

Zaskoczona, zachwiała się na stopniu.

Na szczęście Derek złapał ją za ramię.

– Trzymam cię, Jane.

– Co to...?

– Nie wiem. Nieważne. Dalej.

Trzymał ją za rękę, gdy biegli po schodach. Strach wyzierał z jego oczu, lecz Derek nie martwił się o siebie. Nie bał się o swoje życie – bał się o nią.

Widziała to w jego twarzy i nie chcąc sprawić mu zawodu, biegła szybciej.

Daleko w dole rozbrzmiewający echem ryk silników nagle ucichł. Na schodach słyhać było tylko ich niespokojne sapanie. Ta cisza działała jej na nerwy.

Spojrzała w dół, zastanawiając się, co się tam dzieje.

Nagła cisza to dobra wiadomość czy zła?

Godzina 21.50

Seichan kulila się nad kierownicą motocykla, mknąc po ciemnym trawniku. Podobnie jak ci, którzy jechali za nią, nie

włączyła światła.

Chwilę temu, gdy motocykle zbliżały się do południowej kruchty kościoła, zabrała kask zastrzelonego motocyklisty, włożyła go na głowę i wskoczyła na siodło. Silnik był gorący, więc wystarczyło dodać gazu i maszyna z rykiem popędziła ku północnemu wyjściu. Dotarła do otwartych drzwi, skręciła i wślizgnęła się w cień za progiem. Pierwszy z trzech motocykli już wjeżdżał do kościoła.

Ledwie widoczna w mrocznej kruchcie, pokiwała ręką. Miała nadzieję, że jej głos zabrzmie niewyraźnie, stłumiony przez kask, i że napastnicy mówią po angielsku. Martwy mężczyzna na posadzce był biały.

– Tędy! – ryknęła chrapliwie. – Tam uciekli!

Wystrzeliła w noc, wabiąc ich za sobą.

Gdy mknęła przez ciemny plac za kościołem, spojrzała w lusterko, żeby sprawdzić, czy za nią jadą, i odetchnęła z ulgą.

Trzy motory, wszystkie bez światła, pędziły po murawie.

Za nimi luna rozświetlała niebo nad dachem kościoła. Pożar wciąż odciągał uwagę od zamieszania i strzałów w kościele.

Tym lepiej, pomyślała Seichan.

Nie potrzebowała cywili wchodzących jej w drogę. Koncentrując się na bieżącym zadaniu, zlustrowała teren ze szczytu niewysokiego pagórka. Trawiaste zbocze przechodziło w płaską łąkę ciągnącą się ku odległej o dwieście metrów czarnej linii drzew. Niestety, tuż przed nią wznosiły się pionowe kamienne tablice i małe grobowce.

Cmentarz, o którym mówiła Jane.

Nie zwolniła, choć wiedziała, że jazda po ciemku będzie ryzykowna, ale nie miała wyboru. Wpadła na cmentarz i lawirowała pomiędzy nagrobkami, których przybywało, im dalej jechała. Mimo to dodała gazu, omijając przeszkody.

Po raz kolejny zerknęła w lusterko. Motocykliści, wciąż przekonani, że ścigają swoją zwierzynę, pędzili za nią w dół zbocza. Zaczekała, aż wjadą na teren cmentarza, zahamowała, przekręciła kierownicę i obróciła maszynę w ich stronę.

Zapaliła reflektor. Snop oślepiającego światła przeszył noc. Chcąc pogorszyć sytuację, włączyła długie światła. Oślepieni, zaskoczeni motocykliści nie mieli szans, żeby uniknąć przeszkód.

Jedna maszyna wjechała w mauzoleum; motocyklista katapultował z siodełka i uderzył w mur. Bezwładnie spadł na ziemię i zastygł w bezruchu, leżąc z nienaturalnie wykręconą szyją.

Druga potrąciła bokiem nagrobek. Kierowca stracił nad nią panowanie, położył ją na boku i potoczył się po trawie. Seichan, która trzymała go na muszce, strzeliła, gdy tylko się zatrzymał. Pocisk strzaskał osłonę twarzy i ciało znieruchomiało.

Trzeci motocyklista okazał się najsprawniejszy. Skręcił i uciekł przed oślepiającym snopem światła, rzeźbiąc oponami szeroką brzdę i umiejętnie klucząc w drodze przez gaj nagrobków.

Seichan strzeliła w jego stronę, lecz spudłowała; motocyklista uciekł. Zaklęła, obróciła motor i ruszyła w pogoń. Obawiała się, że wróg wróci, gdy tylko jego oczy znów przywykną do ciemności. Chciała więc wykorzystać przewagę, dopóki ją miała.

Gdy przeciwnik wyjechał z cmentarza i zobaczył przed sobą płaski teren, nabrał pewności siebie; obrócił się na siodełku, uniósł pistolet i strzelał, dopóki nie opróżnił magazynka.

Seichan zgarbiła się za owiewką. Pociski uderzały w ziemię po obu stronach, jeden odbił się od przedniego błotnika. Zarzynała silnik, co chwilę skręcając, kiwając się na boki, żeby stanowić trudniejszy cel. Niestety, któryś z pocisków zgasił jej reflektor. Spowił ją mrok i przez chwilę prawie nic nie widziała.

Klnąc, niechętnie zwolniła, ale nie dość szybko.

Przed nią eksplodowała supernowa. Świat zniknął, zmyty przez oślepiający blask. Wiedziała, co się stało. Przeciwnik odpłacił się jej tą samą sztuczką, obracając motocykl i błyskając długimi światłami.

Bojąc się, że tamten wykorzysta tę chwilę na zmianę magazynka, Seichan przyspieszyła, jadąc prosto w jasność, i strzeliła w jej źródło. Trafiła i znów zrobiło się ciemno.

Spostrzegła, że motocykl stoi oparty o drzewo, kilka metrów od niej. Motocyklista zniknął.

Tuż przed zderzeniem Seichan nisko przechyliła motor i kołami do przodu sunęła w kierunku przeszkody. W ostatniej chwili zeskoczyła i przekoziółkowała po ziemi. Wykorzystała pęd ostatniego przewrotu, żeby wstać i umknąć pod osłonę drzew.

Oparła się plecami o pień jesionu o rozłożystej koronie. Skończyła pościg na skraju łąki, którą widziała ze wzgórza nad cmentarzem.

Ale gdzie był wróg?

Wyteżała słuch, nad słuchując jakiegoś ostrzegawczego hałasu: szelestu liści, trzasku gałązki. Gdzieś w głębi parku szemrała woda. Przypomniła sobie, jak Jane mówiła, że na terenach parkowych znajdują się źródła rzeki Cam.

Usłyszała głośniejszy plusk, potem drugi.

Wróg najwyraźniej próbował uciekać.

Seichan ruszyła w kierunku, z którego dobiegał chłupot. Nie mogła pozwolić, żeby pozostały przy życiu motocyklista wezwał posiłki albo zawrócił, by zastawić kolejną zasadzkę. Posuwała się ostrożnie, podejrzewając, że chłupot wody mógł być przynętą, żeby ją zwabić. Skradała się, oddychając tylko przez nos, uważnie stawiając krok za krokiem.

Gdy jej oczy przywykły do głębszego cienia pod koronami drzew, spostrzegła zwirową ścieżkę, która z pewnością wiodła do źródeł. Idąc równoległe do niej, zobaczyła, że coś łagodnie połyskuje między drzewami. Po przejściu kilku metrów ujrzała szeroką przestrzeń wody, księżyc i gwiazdy przeglądały się w czarnym lustrze. Był to zasilany przez źródło staw wielkości połowy boiska futbolowego. Wzdłuż porośniętych drzewami brzegów stały ławki.

Jej uwagę przyciągnął ruch po drugiej stronie stawu.

Cienista postać pobiegła po wodzie, nie powodując nawet jednej zmarszczki na powierzchni.

Jak...?

Seichan przyjrzała się uważniej i dostrzegła rząd płaskich kwadratowych kamieni, tylko odrobinę wystających nad powierzchnię stawu. Niezwykła ścieżka zapewniała przejście suchą nogą na drugi brzeg.

W pobliżu w wodzie pływał kask. Motocyklista zdjął go i wyrzucił, żeby nie ograniczał mu pola widzenia.

Uniosła pistolet, ale jej przeciwnik już był na drugim brzegu. Odwrócił się. Odbita od wody księżycowa poświata oświetliła rysy twarzy.

Seichan zamarła z zaskoczenia.

Była to młoda kobieta z białymi jak śnieg włosami do ramion. Nawet z daleka Seichan dostrzegła tatuaż, który przyciemniał połowę jej twarzy. Po chwili kobieta się odwróciła i zniknęła między drzewami.

Seichan rozważała ryzyko przeprawy po kamieniach i pościgu za nieznajomą. Uznała, że byłaby zbyt odsłonięta; stanowiłaby łatwy cel dla snajpera ukrytego w głębi parku. Pomyślała, czy nie obejść stawu, lecz zarzuciła ten pomysł. Wiedziała, że jej cel zniknie bez śladu, zanim dotrze na drugą stronę.

A jednak się wahała.

Nagle usłyszała bicie dzwonu na kościelnej wieży – głośne i dzikie, ani trochę niemelodyjne, naglące jak na trwogę.

Pobiegła, znając źródło tej kakofonii.

Kowalski...

Godzina 22.04

– Pospieszcie się! – warknął zwalisty Amerykanin.

Kucnął na szczycie schodów i wypalił ze swojej dziwnej strzelby, śląc w dół ładunek skrzących się kryształków.

Gdy przeładował, ponuro spojrział na Dereka i pokazał mu dwa palce.

Zostały dwa naboje.

Wiedząc, że długo się tu nie utrzymają, Derek zapał się palcami stóp o podłogę i pchnął odlany z brązu dzwon. Strach ścisnął mu gardło, pozbawiając go tchu... a może był to skutek toczenia nieporęcznego dzwonu, który ważył ponad dwieście kilogramów.

Kilka minut temu zakończyli bieg po krętych schodach i wpadli do dzwonnicy. Pomieszczenie zajmowało cały szczyt wieży. Nad ich głowami znajdowała się drewniana konstrukcja, na której wisiały dzwony, w tym najstarszy, pochodzący z siedemnastego wieku. Były różnej wielkości, każdy ze sznurami, które znikwały w otworach w drewnianej podłodze.

Podczas gdy Kowalski prowadził wymianę ognia z napastnikiem ukrytym gdzieś na dole, Derek i Jane wypełniali jego instrukcje, ściągając jeden z dzwonów.

Wyjaśnienie Amerykanina było zwięzłe:

– Mam plan.

Derek ustawił drabinę, a Jane znalazła skrzynkę z narzędziami w kącie dzwonnicy. Złany potem, który szczypał go w oczy, i krwią wciąż ciekącą ze złamanego nosa, odkręcił śruby mocujące jeden z mniejszych dzwonów do jarzma. Dzwon z hukiem spadł na podłogę.

Teraz oboje toczyli go w stronę Amerykanina.

Ze schodów dobiegł huk kolejnego strzału. Kowalski zrewanżował się gradem rozproszonych kryształków.

Został jeden nabój.

Olbrzym dołączył do Jane i Dereka i razem umieścili dzwon na skraju schodów.

W tym momencie plan stał się oczywisty.

– Pora stąd zniknąć – mruknął Kowalski.

Jednocześnie pchnęli dzwon. Potoczył się, podskakując na stopniach i obijając się o ściany z niemal ogłuszającym dzwoniem.

Kowalski wskazał w dół.

– Za nim!

Wielki mężczyzna ruszył pierwszy, Jane następna. Derek podniósł z podłogi skórzaną torbę i skoczył za nimi. Rozumiał, że muszą się spieszyć. Spadający dzwon przepędzi ich prześladowcę z wieży, ale drań może się przyczaić gdzieś na dole.

A Kowalski nie chciał mu tego ułatwić.

Pędzili po kręconych schodach za hałasującym dzwonem. W pewnej chwili Derek dostrzegł poniżej niego umykający cień. Amerykanin wystrzelił ostatni pocisk. Migoczące kryształki przemknęły nad podskakującym dzwonem i zaskrzyły się na krzywiźnie ściany. Gdy kilka trafiło w plecy nieprzyjaciela, ten głośno wrzasnął z bólu.

Kiedy zbiegli niżej, zobaczyli, że się ślania, na wpół przytomny. Obejrzał się – i w tej samej chwili dwieście kilogramów brązu odbiło się od kamiennej ściany i rzuciło go na schody.

Dzwon jakby nigdy nic toczył się dalej.

– Nie patrz – przykazał Derek, objął ramieniem Jane i przeprowadził ją obok zmasakrowanych zwłok, omijając kałuże krwi.

Kowalski podniósł karabin wroga i machnął nim przed siebie.

– Dalej!

Derek wyczytał troskę z jego twarzy. Olbrzym martwił się, co może ich czekać na dole. Przebyli ostatni odcinek schodów. Dzwon wyskoczył z wieży i potoczył się nawą. Uderzył w ławki, strzaskał pierwszy rząd i zatrzymał się na następnym.

Kowalski nie pozwolił dwójce Anglików opuszczać wieży. Stojąc w wejściu, omiótł wzrokiem kościół, wypatrując oznak zagrożenia. Na drugim końcu nawy kilku przerażonych chórzystów kulilo się za organami.

Na zewnątrz wyły syreny, przez otwarte drzwi z południowej kruchty wpadał dym. Derek spojrzał w tamtą stronę i zorientował się, że pożar się rozprzestrzenił. Wiatr roznoszący iskry i węgielki stanowił poważne zagrożenie w miejscowości, w której stały kryte strzechą domy zbudowane z muru pruskiego.

Przeszywający gwizd skierował ich uwagę w inną stronę. Ktoś wyszedł z cieni północnej kruchty.

Partnerka Kowalskiego.

– Jeśli ten piekielny harmider jest twoją sprawką, to lepiej zabierajmy dupy z tej cholernej dziury! – zawołała.

Jane wysunęła się z cienia na otwartą przestrzeń.

– To najmądrzejsze słowa, jakie dzisiaj usłyszałam – przyznała.

6

Mill Hill, Anglia

31 maja, godzina 7.22 czasu miejscowego

Ktoś zaciera ślady, to jasne jak słońce.

Komandor Grayson Pierce stał za rozpiętą przez policję taśmą, z ponurą miną patrząc na dymiące ruiny laboratorium medycznego. Siedziba Instytutu Francisa Cricka, należącego do brytyjskiego Narodowego Instytutu Badań Medycznych, znajdowała się w Mill Hill na przedmieściach Londynu. Pośrodku rozległego kompleksu wznosił się strzelisty ceglany gmach z czterema dużymi skrzydłami. Kłęby dymu buchały z wybitych okien po północnej stronie, zalewanych strugami wody przez zastępy strażaków.

Gdy odrzutowiec wylądował w brytyjskiej bazie lotniczej, Painter powiadomił Graya i Monka, że w laboratorium podłożono ładunek zapalający. Poleciał im udać się prosto do Mill Hill, gdzie mieli się spotkać z kimś, kto, według dyrektora Sigmy, będzie mógł im dostarczyć pożytecznych informacji.

Czekali już ponad trzydzieści minut, co tylko zwiększyło frustrację Graya. Chciał działać, ścigać ludzi zamieszanych nie tylko w ten atak, ale również w napaść w Ashwell. Painter poinformował go o próbie porwania Jane McCabe. Seichan i Kowalskiemu udało się uratować córkę profesora i jej kolegę. Obecnie wszyscy przebywali w skromnym hotelu w centrum Londynu. Gray chciałby do nich dołączyć.

Monk opuścił protezę ręki, którą przykładał do słuchawki radiowej.

– Jakie są najnowsze wiadomości z kwatery Sigmy? – zapytał go komandor.

– Niezbyt dobre. Kat potwierdza to, czego wszyscy się obawiali. – Monk skinął w stronę budynku. – Zwłoki, próbki... wszystko spłonęło.

Gray pokręcił głową. Ciało profesora McCabe'a odbywało kwarantannę w jednym z laboratoriów instytutu. Personel miał za zadanie wyodrębnić i zidentyfikować patogen znaleziony w zmumifikowanych zwłokach.

Monk ściągnął brwi.

– Ale po co ktoś miałby zadawać sobie trud i palić zwłoki? Inni już są zarażeni tym, co zawierały. – I według Kat, wielu z nich zmarło, dodał w myślach.

Komandor zmrużył oczy, patrząc na dym zasnuwający poranne niebo.

– Nie sądzę, żeby podpalaczom chodziło o patogen. Założę się, że ich prawdziwym celem było spalenie mostów.

– Co przez to rozumiesz?

– Poza opanowaniem choroby plan obejmował analizę treści żołądka, między innymi tej dziwnej kory, i wykorzystanie tych tropów do zlokalizowania miejsca, w którym przetrzymywano profesora... i w którym być może wciąż przebywają pozostali członkowie jego zespołu badawczego. – Łącznie z synem McCabe'a, przemknęło przez głowę Graya.

Jego kolega westchnął.

– Więc wróciliśmy do punktu wyjścia – rzucił.

– I to nie tylko tutaj. Nie jesteśmy ani o krok bliżej odkrycia, kto uprowadził Safię al-Maaz.

Z pierwszych raportów wynikało, że sprawcy napaści w Muzeum Brytyjskim nie zostawili żadnych śladów. Lokalna policja przeszukała zwłoki napastników w Ashwell, lecz nie znalazła dokumentów tożsamości. Już puszczono w obieg odciski palców i zdjęcia i trwała oblawa na kobietę, która uciekła pieszo.

Gray nie żywił większych nadziei. Ktokolwiek stał za tym wszystkim, miał znaczne zasoby finansowe i dużą wiedzę

o ludziach z otoczenia profesora McCabe'a. Ciosy zostały zadane z chirurgiczną precyzją i ich celem było wymazanie wszelkich śladów tajemnic, które wiązały się z profesorem.

Gray czuł, że brakuje czegoś ważnego. Coś dopominało się o jego uwagę, brzęcząc na granicy świadomości. Sigma zwerbowała go między innymi z powodu umiejętności łączenia elementów układanki i odkrywania wzorców, których nikt inny nie dostrzegał, ale nawet jego możliwości miały swoje granice.

Jak teraz.

Pokręcił głową, wiedząc, że potrzebuje więcej informacji, zanim zyska nadzieję na rozwiązanie tej łamigłówki.

Potencjalne źródło informacji właśnie szło po drugiej stronie ulicy. Kat przysłała mu zdjęcie kobiety: doktor Ileara Kano. Będąc ekspertem w dziedzinie wywiadu, Kat stworzyła sieć kontaktów na całym świecie. Gdy zapytał ją, skąd wie o tej Brytyjce, odpowiedziała enigmatycznie: „Niech sama ci to wyjaśni”.

Doktor Kano była mniej więcej w jego wieku – miała około trzydziestu pięciu lat – w dżinsach i białej bluzie z suwakiem pod szyją, nie do końca zaciągniętym, tak że było widać naszyjnik z koralami. Miała krótkie ciemne włosy i piękne, niemal posągowe rysy. Z jej życiorysu wynikało, że w wieku dwunastu lat wyemigrowała z rodzicami z Nigerii i po latach nauki zrobiła doktorat z epidemiologii, nauki zajmującej się badaniem czynników i warunków związanych z powstawaniem i szerzeniem się epidemii. Obecnie pracowała dla instytucji o niejasnej nazwie Zakład Identyfikacji i Usług Doradczych.

Z pewnością większą część nocy spędziła na nogach, ale nie było po niej widać zmęczenia. Oczy jej błyszczały, chociaż lekko je zmrużyła na widok dwóch Amerykanów.

– Zapewne komandor Pierce – powiedziała z brytyjskim akcentem, po czym z lekkim uśmiechem zwróciła się do Monka: – I osławiony doktor Kokkalis. Kat wiele mi o panu mówiła.

– Naprawdę? – Monk wyciągnął rękę. – Wygląda na to, że gdy tylko wrócę do domu, będę musiał wyjaśnić żonie znaczenie słowa „poufność”.

Z szerokim uśmiechem uścisnęła jego dłoń.

– Nie ma obawy. Nie powiedziała złego słowa. – Lekko wzruszyła ramionami. – No, prawie.

– Właśnie to „prawie” mnie martwi.

Gray skierował rozmowę na aktualną sprawę.

– Kat powiedziała, że być może pani wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Ileara westchnęła, obrzucając zmartwionym spojrzeniem spalone laboratorium.

– „Wie” to może za duże słowo. Mam pewne odpowiedzi, ale, niestety, większość z nich tylko rodzi kolejne pytania.

– Chętnie wysłucham wszystkiego, co ma pani do powiedzenia.

Monk mruknął na znak, że zgadza się z kolegą.

– Mam samochód na parkingu za rogiem – powiedziała, wskazując ręką, po czym ruszyła w tamtą stronę.

– Dokąd jedziemy? – spytał Gray, dotrzymując kroku długonogiej kobiecie.

– Kat nie powiedziała? – Spojrzała na niego spod uniesionych brwi. – Muszę pilnie pomówić z Jane McCabe.

– Dlaczego?

– Kat powiadomiła mnie, że córka profesora McCabe’a ma przy sobie część starych papierów ojca, przede wszystkim zapiski sugerujące, że ta choroba wystąpiła na brytyjskiej ziemi nie po raz pierwszy.

Komandor już wiedział o wybuchu zarazy w Muzeum Brytyjskim przed ponad stu laty. Chciał jak najszybciej dołączyć do innych, jednak lata pracy w terenie nauczyły go ostrożności. Kat ufała tej kobiecie, lecz on jej nie znał. Zażądał wyjaśnienia, gdy doszli do samochodu. Położył rękę na drzwiach, nie pozwalając jej ich otworzyć.

– Dlaczego historia tej choroby jest taka ważna?

Ileara obrzuciła go zirytowanym spojrzeniem, jakby już powinien znać odpowiedź.

– Nie wiem, czy pan o tym słyszał. Sama dostałam wiadomość przed godziną. W Kairze i w innych egipskich miastach odnotowano dziesiątki nowych przypadków zachorowań. Walczymy, żeby uniknąć czegoś podobnego w Londynie, ale być może już jest za późno. Słyszymy niepotwierdzone doniesienia o infekcji wśród osób, które były na Heathrow albo lotnisku w Kairze. Mają wysoką gorączkę i halucynacje.

– Halucynacje? – wtrącił Monk.

Kobieta pokiwała głową.

– To nowy objaw kliniczny, występujący u pacjentów bliskich śmierci. Uważamy, że jest skutkiem rozwijającego się zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych.

Monk się przysunął. Miał wykształcenie medyczne, więc był zaintrygowany wiadomościami i chciał usłyszeć więcej szczegółów.

Gray skierował rozmowę na inne tory.

– Dobrze wiedzieć, ale jak ta choroba z dziewiętnastego wieku ma się do dzisiejszych wydarzeń?

– Mamy przypadki zachorowań w Berlinie, Dubaju, Krakowie – zaczęła wyliczać na palcach. – Nawet w Nowym Jorku i Waszyngtonie.

Gray spojrział ze zmartwieniem na kolegę.

– Ale najgorzej jest w Kairze, gdzie zaczyna rozprzestrzeniać się panika, co utrudnia rozpaczliwe próby opanowania sytuacji. – Ileara oderwała rękę Graya od samochodu i stanęła z nim twarzą w twarz. – Pyta pan, dlaczego interesuje mnie wybuch choroby w przeszłości? Ponieważ moi dziewiętnastowieczni koledzy zdołali powstrzymać plagę. Jeśli w papierach profesora McCabe'a jest jakaś wskazówka, jak tego dokonali, musimy ją znaleźć, zanim sytuacja się pogorszy.

– Pani ma rację – powiedział Monk.

– Ale dlaczego pani? – nie dawał za wygraną Gray. – Dlaczego tylko pani się tym zajmuje?

Opuściła ramiona i ruchem głowy wskazała kolumnę dymu na niebie.

– Ponieważ ludzie w Radzie Badań Medycznych zajmujący się patogenem mają klapki na oczach. Całą wiarę pokładają we współczesnej nauce, w mikroskopii elektronowej, analizie DNA, mapowaniu genomów. Nie mają zaufania do prac naukowców sprzed stulecia, co uważam za głupotę.

– Sam poznałem wiele osób tego pokroju – przyznał Monk. – Nie tylko na polu naukowym. Stare porzekadło mówiące, że ci, którzy nie wyciągnęli wniosków z historii, są skazani na to, żeby ją powtarzać, często trafia w próżnię.

– Otóż to. Między innymi dlatego dołączyłam do Zakładu Identyfikacji i Usług Doradczych – wyjaśniła Ileara.

– A co to takiego? – zapytał Gray.

– Jednostka badawcza przy brytyjskim Muzeum Historii Naturalnej. Zajmujemy się fenomenami, zwłaszcza tajemnicami naukowymi, których nie można wyjaśnić, stosując konwencjonalne metody. Nasza jednostka bada archiwa muzealne, wykorzystując współczesne metody do rozwiązania enigmatycznych spraw.

Monk uniósł brew.

– Niech zgadnę. Pracuje dla pani ktoś o nazwisku Mulder albo Scully.

Ileara uśmiechnęła się i otworzyła drzwi samochodu.

– Proszę mi zaufać. Prawda gdzieś tam jest... jeśli nie boisz się szukać.

Gdy wsiadła za kierownicę, Gray przewrócił oczami.

Jego kolega wyszczerzył zęby.

– Nic dziwnego, że Kat ją lubi – rzucił.

– Dlaczego? – spytał komandor.

– Jest pomyłona jak każde z nas.

Godzina 8.39

Derek potarł ręką powieki, drugą tłumiąc ziewnięcie. Przed nim na stole leżały wszystkie książki, dzienniki i papiery, które

zapakował do skórzanej torby przed ucieczką z domu McCabe'ów.

Musi tu być coś ważnego.

Ta mantra trzymała go na nogach przez całą noc, co nie znaczy, że bez niej mógłby zasnąć. Po ucieczce z Ashwell przybył do Londynu podminowany, wciąż napompowany adrenaliną. Poza tym mimo garści połkniętych tabletek przeciwbólowych doskwierał mu pulsujący ból nosa, prowizorycznie nastawionego i oklejonego plastrem.

Spojrzał w bok. Jane spała na hotelowej kanapie. Seichan drzemała na fotelu, z podbródkiem na piersi i pistoletem na kolanach. Derek przypuszczał, że nie zmrużyła oka od chwili, gdy pojawiło się zagrożenie. Ostatni członek grupy, wielkolud Kowalski, stał na straży przy oknie. Po przyjeździe w środku nocy zameldowali się w hotelu pod fałszywymi nazwiskami, woleli jednak nie ryzykować.

Derek wrócił do swoich badań. Miał przed sobą oprawiony w skórę zbiór starych listów Livingstone'a. Patrzył na kolejną stronę zaznaczoną przez profesora McCabe'a. Skierowany do Stanleya list zawierał chaotyczny opis flory i fauny na moczarach wokół jeziora Bangweulu, gdzie Livingstone kontynuował poszukiwania źródeł Nilu. Misjonarz i lekarz zamieścił tu kolejny ze swoich rysunków, przedstawiający gąsienicę i motyla.



Danaus chrysippus

Derek nie był entomologiem, ale rozpoznał nazwę tego owada: *Danaus chrysippus*, monarcha złoty, występujący naturalnie w dolinie Nilu. Będąc archeologiem, znał te dość duże okazy, ponieważ ich wizerunki należały do najwcześniejszych przedstawień motyli w sztuce starożytnego Egiptu. Znalaziono je w Luksorze na fresku pochodzącym sprzed około trzech i pół tysiąca lat.

Znowu potarł zmęczone oczy.

Co to wszystko oznacza?

Jeszcze raz przewertował książkę, niezdolny dostrzec, co zainteresowało profesora McCabe'a w tym tomie starej korespondencji. Wrócił do pierwszego rysunku, który pokazał Jane, tego przedstawiającego żuka, egipskiego skarabeusza.



Ateuchus sacer

Próbował się skupić, ale ze znużenia ćmiło mu się w oczach.

Westchnął głośno, gotów się poddać.

To jak szukanie wiatru...

Nagle zobaczył. To, co przez całą noc uchodziło jego uwagi, ujawniło się właśnie dzięki zmęczeniu. Zaskoczony, hałaśliwie odsunął krzesło od stołu.

Jane, którą zbudził hałas, uniosła głowę ze zgiętej ręki.

Derek nie był gotowy, żeby jej powiedzieć.

Nie, dopóki nie nabiorę pewności.

Sięgnął po iPada, żeby sprawdzić swoje podejrzenie. Zrobił zdjęcie strony i połączył się z hotelową siecią Wi-Fi, żeby przeprowadzić poszukiwania w Google'u.

Proszę, obym miał rację.

Dziewczyna odgadła, że wpadł na jakiś trop.

– Derek, co robisz?

– Chyba... – Spojrzał na nią. – Chyba wiem, gdzie był twój ojciec.

Za jego plecami zabrzmiał burkliwy głos.

– Mamy towarzystwo – rzucił Kowalski, odsuwając się od okna. – Pora ruszać.

Godzina 8.51

Czując szybkie bicie serca, Seichan błyskawicznie poderwała się z fotela. Sklęła się za niedbałość. Zastanawiała się, jak ktoś mógłby ich śledzić, i nie znalazła sensownej odpowiedzi. Przed oczami stanęła jej twarz kobiety, którą widziała w Ashwell – blada połyskująca w księżycowej poświacie odbitej od powierzchni stawu. Powinna być mądrzejsza i nie lekceważyć tego przeciwnika.

Kowalski popatrzył krzywo na SIG sauera w jej ręce.

– Spokojnie. To tylko Gray i Monk. – Spojrzał przez okno. – I ktoś jeszcze.

Seichan trzymała broń, rozważając, czy nie zastrzelić tego faceta za to, że ją przestraszył. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Widząc przerażone miny Jane i Dereka, schowała pistolet.

– Nic wam nie grozi – zapewniła ich. – To koledzy, którzy, jak wspomniałam, mają się tu z nami spotkać.

Derek obliznął usta i skinął głową. Jane podeszła do niego i stanęła tak, jakby chciała się ukryć za jego plecami.

– Zbierzcie wszystko – nakazała Seichan, wskazując stół. – Kowalski ma rację. Powinniśmy być gotowi do wyjścia.

Brytyjski archeolog nie ruszył się z miejsca.

– Ale myślę...

– Myśl w ruchu. Im dłużej będziemy przebywać w jednym miejscu, tym większe prawdopodobieństwo, że nas wytropią.

Zamierzali ulokować Dereka i Jane w kryjówce blisko wybrzeża, w miejscu wskazanym przez dyrektora Crowe'a. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, co tylko przyprawiło ją o mocniejsze bicie serca. Wciąż miała przed oczami wytatuowaną twarz kobiety. Cieszyła się, że zjawił się Gray. Chciała z nim porozmawiać, żeby pomógł jej nabrać dystansu do sprawy.

To nie może być...

Była zaniepokojona od chwili, gdy stała jak skamieniała na brzegu ciemnego stawu. Niezliczone razy wracała pamięcią do tej sceny. Wtedy instynkt nakazywał jej kontynuowanie pościgu. Wiedziała, że biegnąc po kamieniach, byłaby zbyt odsłonięta, niepotrzebnie narażałaby życie. Mimo wszystko brała to pod uwagę – dopóki nie rozdzwonił się kościelny dzwon, wzywając ją do powrotu, przypominając, że już nie jest zabójczynią na usługach Gildii. Teraz miała inne obowiązki; chronić życie, zamiast je odbierać. Ale w głębi duszy chciała kontynuować polowanie, bez względu na ryzyko.

Przyglądała się Derekowi i Jane, gdy spiesznie zbierali ze stołu materiały. Niemal czuła zapach ich strachu. Zmroziła ją pogarda. Był to odruch, jak zwężanie się źrenicy przy ostrym świetle. Ta reakcja tylko podsycała jej złość, na siebie, na nich.

Co ja tu robię?

Odwróciła się.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Kowalski, który już stał blisko nich, czekając na gości, otworzył je.

Jako pierwszy wszedł Gray. Uśmiechnął się do niej, co trochę pomogło uspokoić burzę szalejącą w duszy Seichan, i rozejrzał się po pokoju. Za nim weszli Monk i wysoka czarnoskóra kobieta; rozmawiali o czymś poważni z nachylenymi ku sobie głowami.

Seichan pociągnęła Graya na stronę, chcąc zdać mu relację z wydarzeń, zanim przeniosą się do bezpiecznej kryjówki.

Przeszkodził jej podniesiony głos Monka, który wciąż patrzył na towarzyszącą mu nieznaną kobietę.

– I myśli pani, że właśnie to zabiło profesora McCabe’a?

– Albo to, albo proces mumifikacji – odparła. – Teraz już nie dokończymy badania, bo przecież ciało spłonęło.

Jane wysunęła się zza Dereka i stanęła przed nimi z twarzą pobladłą z szoku.

– O czym pani mówi?

Do Monka wreszcie dotarło, że ma widownię. Zająknął się, wyraźnie zawstydzony nietaktownym rozmawianiem o śmierci profesora w obecności jego córki.

– Prze... przepraszam, panno McCabe.

– Ktoś podłożył bombę w laboratorium, gdzie spoczywały zwłoki pani ojca – wyjaśnił Gray.

Derek musiał ją podtrzymać, bo się zachwiała.

– Ale dlaczego? – spytała.

– Prawdopodobnie z tych samych powodów, dla których zniszczyli wasz dom – odparł Derek. – Ktoś próbuje zatrzeć ślady.

Komandor pokiwał głową i chciał dodać coś więcej, lecz Jane nie dała mu dojść do głosu.

– Mówiliście coś o przyczynie śmierci mojego ojca – zwróciła się do Monka i nieznanomej.

Monk wymienił spojrzenia z wysoką kobietą, po czym wskazał Jane.

– Ma prawo wiedzieć.

– W takim razie będzie najlepiej, gdy jej pokażę. – Kobieta zdjęła torbę z ramienia, podeszła do stołu, wyjęła laptopa i położyła go na blacie.

– Chociaż uprzedzam, że to tylko wyniki wstępne.

Gdy wszyscy stanęli wokół niej, Seichan pociągnęła Graya do kąta pokoju.

– Muszę ci coś powiedzieć o zeszłej nocy, o czymś, co zataiłam przed Crowe’em.

Zaniepokojony, zmarszczył brwi, aż zbiegły się nad nosem.

– Co takiego?

Nie chciała spojrzeć mu w oczy nie tylko z obawy, że wyczyta w nich naganę za tajenie informacji, ale również dlatego, że mógłby odgadnąć pragnienie pogrzebane głęboko w jej sercu. Znowu przypomniała sobie kobietę uciekającą po kamieniach na drugą stronę stawu, przystającą tylko na chwilę, żeby spojrzeć za siebie, jakby chciała ją sprowokować do podjęcia pościgu. Twarz tamtej nie wyrażała ani strachu, ani nawet gniewu. Promieniało z niej poczucie wolności. Jej dzikie zapamiętanie przemówiło do serca Seichan, budząc coś, o czym ze wszystkich sił chciała zapomnieć.

Wiedziała, co czuła ta kobieta. Doskonale pamiętała, jak to jest, gdy balansuje się na krawędzi pomiędzy dobrem i złem i żyje się tylko dla siebie.

– O co chodzi? – ponaglił ją Gray.

Seichan odwróciła głowę, gdy delikatnie musnął jej policzek kostkami palców. Nie widzieli się ponad miesiąc; tęskniła za jego dotykiem, zapachem, oddechem na swojej szyi. Wiedziała, że ją kocha, i jego miłość była kotwicą, która chroniła ją przed dryfowaniem podczas ostatnich burzliwych lat. Ale czy było to uczciwe wobec niego? Chcąc poznać odpowiedź na swoje pytanie, postanowiła dać sobie chwilę wytchnienia, dlatego więc podjęła się wykonania misji w Marrakeszu.

A tymczasem znalazła coś innego, fragment swojej przeszłości.

– O kobietę, która uciekła w nocy – odparła. – Tę z tatuażem.

– Tak?

– Rozpoznałam ją. Ściśle biorąc, znam ją ze słyszenia.

– O czym ty mówisz?

Nie odwróciła wzroku.

– Jest zabójczynią na usługach Gildii.

Londyn, Wielka Brytania

31 maja, godzina 9.14 czasu miejscowego

To niemożliwe...

Gray otrząsnął się z szoku wywołanego przez te słowa, gotów je zbagatelizować, ale w zielonych oczach Seichan wyczytał niezachwiane przekonanie.

– Przecież to niemożliwe – powiedział. – Zniszczyliśmy Gildię.

Seichan odwróciła się w stronę okna.

– Ja wciąż tu jestem – stwierdziła z goryczą w głosie. – A należałam do tego samego ugrupowania zabójców.

Gray sięgnął do jej ramienia.

– To było dawno temu.

– Czasami nie można uciec przed swoją przeszłością. – Obróciła się i wtuliła w jego ramiona; drżała na całym ciele. – Może odrąbaliśmy głowę węża, ale skąd można mieć pewność, że w jej miejscu nie odrosła następna?

– Byliśmy skrupulatni.

– Więc może wyrosło coś zupełnie nowego. – Spojrzała na niego z rezerwą, jakby coś przed nim ukrywała. – Tak czy inaczej, Gildia zatrudniała wielu takich jak ja, zdeprawowanych i wyszkolonych dla jej potrzeb. Po jej rozbiciu rozplynęli się po mrocznej stronie tego świata.

– Gdzie mogli znaleźć nowych pracodawców – zgodził się z nią Gray.

– Jak ja. – Odsunęła się od niego.

– Seichan...

– Kiedy raz znajdziesz się po mrocznej stronie, nigdy nie zdołasz z niej wyjść. Nie do końca. – Spojrzała na niego. – Dobrze wiesz, że moje nazwisko wciąż figuruje na listach terrorystów w wielu krajach. Nawet agenci Mossadu mają rozkaz strzelać do mnie tak, żeby zabić.

– Ale Sigma cię chroni. Przecież wiesz.

Parsknęła cicho.

– Dopóki jestem potrzebna.

– Mylisz się.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała, patrząc na niego w skupieniu.

Gray zastanawiał się. Wiedział, że nikt z Sigmy jej nie zdradzi, ale nie mógł zaprzeczyć, że ukrywają jej przeszłość przed wszystkimi innymi, łącznie z ludźmi z DARPA, którzy nadzorowali Sigma Force. Co się stanie, jeśli przeszłość Seichan zostanie wyciągnięta na światło dzienne?

Zanim mógł odpowiedzieć, doktor Kano wyprostowała się nad laptopem.

– Oto z czym walczymy – oznajmiła. – I dlatego musimy dołożyć wszelkich starań, żeby to powstrzymać.

Gray dotknął łokcia Seichan, w milczeniu obiecując, że powrócą do tej rozmowy. Choć wciąż była zdenerwowana, wskazała stół i razem podeszli do pozostałych.

– Co to jest? – zapytał Derek, odchylając się na oparcie krzesła, żeby lepiej widzieć okno otwarte na ekranie.



– To trójwymiarowa rekonstrukcja objętościowa komórki nerwowej, sporządzona na podstawie zdjęcia wykonanego mikroskopem elektronowym – wyjaśniła Ileara. – Te fluorescencyjne korzonki to dendryty neuronu pobranego z mózgu profesora McCabe’a. Przyczepione do nich pałeczki z włoskowatymi wyrostkami są niesklasyfikowanym patogenem odkrytym w zainfekowanych tkankach nerwowych.

– Czy to jest zakażenie wirusowe, czy bakteryjne? – spytał Monk.

Ileara pokręciła głową.

– Obawiam się, że ani jedno, ani drugie.

– Nie rozumiem – rzucił, unosząc brwi.

– Ten jednokomórkowy mikrob nie jest bakterią. Nie ma jądra ani innych organelli. Pod względem biochemicznym różni się od zwyczajnych bakterii, a nawet od większości form życia.

– Więc co to jest? – zapytała Jane, przygnębiona tą beznamiętną dyskusją, która przecież dotyczyła jej ojca.

– Niesklasyfikowany przedstawiciel domeny archeonów.

– Aha... – Monk pokiwał głową. Zakłopotane miny pozostałych świadczyły o tym, że tylko on wie, o co chodzi.

Na szczęście Ileara rozwinęła temat:

– Organizmy żywe dzielą się na trzy domeny. Mamy więc znane nam wszystkim bakterie, następnie eukarionty, do których należy większość wszystkich innych organizmów: algi, grzyby, rośliny, nawet my. Dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym wyodrębniono archeony, wcześniej zaliczane do bakterii. Te organizmy obrały zupełnie inną drogę ewolucyjną z pierwotnego szlamu, z którego wywodzi się całe życie. Są jedyne w swoim rodzaju. Stanowią jedną z najstarszych form życia i są naprawdę dziwne.

– Pod jakim względem? – zapytał Gray.

– Rozmnażają się bezpłciowo, przez podział prosty, ale sprawnie włączają inne formy życia do swojej biochemii i genotypu, łącznie z wirusami. Niektórzy biolodzy ewolucyjni są przekonani, że wirusy i archeony rozwijały się równolegle we

współzależnym związku, zapoczątkowanym dwa miliardy lat temu. Okaz widoczny na ekranie rzeczywiście jest pełen cząstek wirusów, z których większość musimy jeszcze zidentyfikować.

Gray wyobraził sobie kosmatą komórkę pełną zniewolonych wirusów.

– Ten dziwny genotyp – kontynuowała Ileara – pozwala archeonom żyć w środowiskach ekstremalnych, na przykład w pobliżu gejzerów albo w tundrze. Mają się świetnie w środowiskach silnie zakwaszonych i silnie alkalicznych.

Gray wyczuł, że kobieta do czegoś zmierza, i wskazał ekran.

– A te?

Przyłożyła palec do ust, patrząc na ekran spod ściągniętych brwi, jakby miała do czynienia z trudnym przeciwnikiem.

– Żeby przetrwać, archeony wykorzystują różne źródła energii. Cukry, amoniak, jony metali, nawet siarkowodór. Niektóre przyswajają węgiel, inne wykorzystują energię słoneczną.

– Jak rośliny? – wtrącił się Derek. – Zachodzi w nich fotosynteza?

– W zasadzie nie. Wykorzystują inną drogę chemiczną, charakterystyczną tylko dla swojego gatunku. Ale jak powiedziałam, są innowacyjne. Zwłaszcza ten przeklęty gnojek.

– Czym się żywi? – zapytał Gray.

Popatrzyła po twarzach wszystkich obecnych.

– Czy ktoś z was słyszał o bakteriach *Geobacter* albo *Shewanella*?

Monk drgnął, szeroko otwierając oczy.

– Sugeruje pani...

– Tak.

– Powiesz wreszcie, o co chodzi? – zwrócił się do kolegi Kowalski, który stał na posterunku przy oknie.

Gray był mu za to wdzięczny. Spojrzał na Monka, w milczeniu prosząc go o wyjaśnienie.

– Bakterie, które pani wymieniła, żywią się energią elektryczną – powiedział Monk.

Ileara pokiwała głową.

– I nie tylko te dwie. Znamy dziesięć innych gatunków bakterii i prawdopodobnie jest ich wiele więcej, jeszcze nieodkrytych. Ale to jest pierwszy gatunek z domeny archeonów, który żywi się energią elektryczną.

Seichan uniosła brwi.

– Twierdzi pani, że te mikroby jedzą elektryczność.

– To nie różni się od tego, co robią nasze komórki – wyjaśnił Monk. – Zasadniczo odbieramy elektrony z cząsteczek cukru i magazynujemy je w ATP, które zasilają nasze funkcje życiowe. Te elektryczne bakterie po prostu rezygnują z pośrednika i pobierają elektrony bezpośrednio ze środowiska.

– Skąd konkretnie? – zapytał Derek.

Ileara wzruszyła ramionami.

– Z powierzchni minerałów, z procesów elektrochemicznych zachodzących na dnie oceanów. Naukowcy odkrywają nowe gatunki, po prostu wsuwając elektrody w muł i patrząc, co przywędruje, żeby się najeść.

Gray wpatrywał się w ekran laptopa.

– I ten okaz robi to samo? – odezwał się po chwili.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak pobiera energię elektryczną – przyznała Ileara. – Gdybyśmy wiedzieli, skąd pochodzi, może mogłabym udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Gray zauważył, że Jane i Derek wymienili spojrzenia, i zastanawiał się, o co im chodzi.

– Ale wiem – ciągnęła czarnoskóra kobieta, przyciągając jego uwagę – że ten mikrobia nie wybrał mózgu profesora McCabe'a przypadkowo. Jestem przekonana, że po zainfekowaniu, kiedy dostanie się do krwiobiegu, osiada w tej części naszego ciała, która jest bogata w energię.

Gray zrozumiał, wyobrażając sobie neurony wysyłające kaskady impulsów elektrycznych.

– Te rzęskowate wyrostki przywierają do komórek nerwowych – kontynuowała Ileara – zachowując się jak wampiry

wysysające energię. Organizm reaguje na nie jak na każdego innego intruza, czego efektem jest stan zapalny.

– Mikrob powoduje zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych – wtrącił Monk. – I halucynacje, o których pani wspomniała.

Ponuro pokiwała głową.

– Tak, ale zamiast zapalenia bakteryjnego, które już jest dość trudne do leczenia, mamy do czynienia z zapaleniem archeonowym. To choroba, z którą nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Ale być może nawet nie to jest najgorsze.

– A co? – zapytał Gray.

– Gdy tylko mikroby znajdą miejsce odpowiednie do rozwoju, zaczynają się rozmnażać. Sądzymy, że właśnie dlatego u zainfekowanych bardzo szybko pojawiają się objawy kliniczne. Dzielące się komórki rozsiewają zawarte w sobie różnego rodzaju wirusy. A my wciąż mamy niewielkie pojęcie, co mogą powodować.

– Więc aby mieć nadzieję na zatrzymanie epidemii, musimy toczyć walkę na wielu frontach – zauważył Monk. – Trzeba znaleźć nie tylko antybiotyk, który zabije tego kosmatego gnojka, ale również dysponować arsenałem leków przeciwwirusowych.

– Otóż to. Na razie nie wiemy, jaka jest śmiertelność ani jak się szerzy zakażenie, chociaż jesteśmy w miarę pewni, że przenosi się drogą inhalacyjną. Modele wskazują, że patogen prawdopodobnie zainfekuje nie tylko ludzi.

– To ma sens – przyznał Monk. – Narażony będzie każdy organizm, który ma układ nerwowy. Psy, koty, myszy. Cholera, może nawet owady. Będzie źle, i to wkrótce.

– Jak źle? – chciał wiedzieć Gray.

– CDC opracowało skalę zagrożenia pandemicznego ze strony różnych patogenów, od kategorii pierwszej do piątej – odparła Ileara.

– Jak z huraganami.

– Owszem. W tym wypadku szacuje się, że czeka nas megahuragan kategorii piątej. – Odwróciła się i skupiła uwagę na Jane. – Dlatego jest ważne, żebyśmy odkryli, czego pani ojciec

mógł się dowiedzieć o wybuchu zarazy w dziewiętnastym wieku, kiedy w Muzeum Brytyjskim otworzono artefakt doktora Livingstone'a.

Dziewczyna zerknęła na Dereka, jakby nagliła go do udzielenia odpowiedzi.

– Wiecie coś? – rzucił Gray, który to dostrzegł.

– Nic o potencjalnym leku – zaczął z wahaniem Derek. – Ale chyba wiem, gdzie profesor McCabe mógł przebywać po zniknięciu.

– Co? Jak? – W głosie komandora wyraźnie słychać było zaskoczenie.

Derek spojrzała na papiery leżące na stole.

– Zaraz wam pokażę.

Godzina 9.55

Mam nadzieję, że się nie mylę... dla dobra Jane.

Gdy Derek wyjął książkę, którą profesor McCabe ukradł z biblioteki w Glasgow, zobaczył nadzieję w jej oczach. Wiedział, że Jane myśli o bracie i o możliwości, że Rory żyje. Nie miał pojęcia, czy przedstawione jej jakiś czas temu teorie są poprawne, czy tylko prowadzą do dalszego rozczarowania. Uznał jednak, że nie może dłużej milczeć, nie, jeśli to, co doktor Kano powiedziała o patogenie, jest prawdą.

Położył dłoń na książce.

– Profesor McCabe – zaczął – z determinacją szukał dowodów potwierdzających historię opowiedzianą w Księdze Wyjścia. Prawdopodobnie natknął się na relację Livingstone'a o artefakcie podarowanym mu przez tubylca.

Otworzył dziennik McCabe'a na stronie ukazującej szkic aryballosa, naczynia do przechowywania wonnych olejków, z pyskiem lwa i twarzą kobiety. Pokazał im wyryte na dnie hieroglify, oznaczające dawną egipską nazwę Nilu.

Ileara się pochyliła.

– Więc to otworzenie tego naczynia spowodowało śmierć osób, które były przy tym obecne?

– Tak – odparł Derek. – Przynajmniej tak pisał Livingstone. Proszę jednak pamiętać, że, według tej samej relacji, zawartość tego naczynia pochodziła z Nilu, z czasów, kiedy woda przemieniła się w krew.

– Niezależnie od tego, jaka była prawda, taka opowieść z pewnością zaintrygowała mojego ojca – wtrąciła Jane.

– Na tyle, że zaczął badać korespondencję doktora Livingstone’a z człowiekiem, który go odnalazł, Henrym Mortonem Stanleyem. – Derek otworzył zbiór starych listów. – Wygląda na to, że profesor McCabe był szczególnie zainteresowany tymi listami, które zawierają rysunki wykonane przez Livingstone’a.

Znalazł stronę ze szkicem skarabeusza.

– Z początku myślałem, że zaznaczył ten list, ponieważ uznał, że stanowi kolejne nawiązanie do starożytnego Egiptu. Później przyszło mi na myśl, że z rysunkiem coś jest nie w porządku, więc zrobiłem zdjęcie, żeby móc nad nim popracować.

Wyjął iPada i wczytał zdjęcie starej ryciny.

– Właśnie zacząłem się tym zajmować, kiedy się pojawiliście.

Inni skupili się obok niego, gdy rysikiem obrócił zdjęcie żuka, ustawiając go pionowo na końcu skrzydełka.



– O co chodzi? – zapytał Monk, drapiąc się po nosie.

Uznałem, że żukowanie skrzydeł jest nie takie iakie

– Oczywiście, że zykowanie skrzydeł jest nie takie, jakie powinno być, co nie znaczy, że jestem specjalistą od morfologii owadów. Ale patrzcie, co się stanie teraz.

Derek użył programu graficznego, żeby wymazać większą część skrzydeł, aż została tylko dziwna kręta żyłka.



Gray się wyprostował.

– Boże...

Derek spojrział na niego, zaskoczony, że Amerykanin już odgadł, co chciał im pokazać.

Jane, z dumą w głosie, zachęciła go do kontynuowania.

– Mów dalej. Pokaż im resztę.

Wymazał skarabeusza, po czym połączył dwie części żyłki.

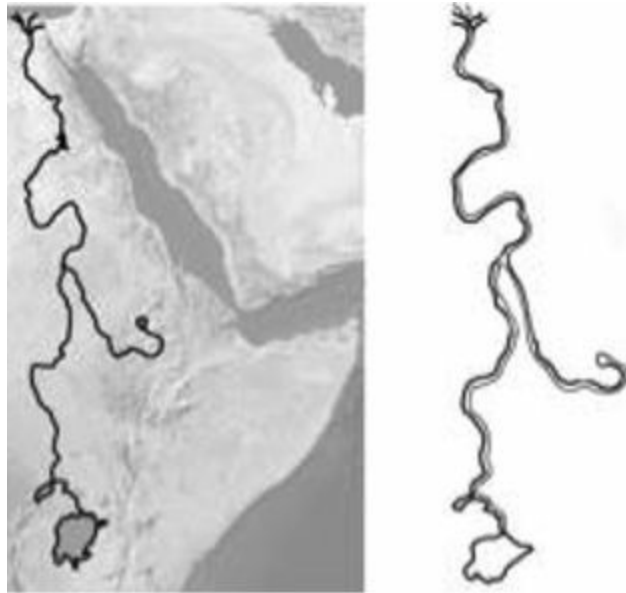


– Wygląda jak rzeka – zauważyła Ileara, patrząc na obraz.

– Nie pierwsza lepsza rzeka – zaznaczył Derek. – Zwróćcie uwagę na coś, co u góry wygląda jak delta, i na jeziora, małe i duże, na początku dwóch dopływów.

– To Nil – powiedział Gray, patrząc na Dereka z niemalym podziwem.

Na poparcie swojego domysłu brytyjski archeolog wczytał zdjęcie satelitarne regionu i podświetlił dopływy Nilu. Ustawił jeden obraz obok drugiego.



– Jak widać, pasują niemal idealnie.

– Ale czy Livingstone mógł wykreślić taki dokładny bieg Nilu?

– Gray poruszył ważną kwestię.

Odpowiedzi udzieliła Jane:

– Na pewno. Z powodzeniem kartował wielkie połacie Afryki, łącznie z dużym odcinkiem biegu Zambezi. Nawet dostał złoty medal od Królewskiego Towarzystwa Geograficznego za swoje dokonania.

– Więc to rzeczywiście możliwe – powiedział Derek. – Poza tym większa część biegu Nilu została skartowana przed jego śmiercią.

– Tylko dlaczego to ukrył? – wtrącił Monk. – Dlaczego naszkicował bieg rzeki w skrzydłach żuka?

– Mniej więcej w tym samym czasie podobne sztuczki stosowali brytyjscy szpiedzy – wyjaśniła Ileara. – Weźmy na przykład Roberta Baden-Powella. Będąc oficerem wywiadu

wojskowego, udawał entomologa i w odręcznych rysunkach owadów, liści i innych elementów natury ukrywał szczegóły fortyfikacji wojskowych. Robił to wprost pod nosem wroga.

Gray ściągnął brwi.

– Skądś znam to nazwisko – rzucił.

– Może dlatego, że był założycielem skautingu – podsunęła z uśmiechem Ileara.

Monk parsknął śmiechem.

– Czuwaj! – Wskazał iPada. – To nam jednak nie mówi, dlaczego Livingstone ukrył mapę Nilu w skrzydłach żuka.

Derek westchnął.

– Sądzę, że próbował potajemnie podzielić się czymś wielkiej wagi ze swoim przyjacielem Stanleyem, pokazując mu, gdzie to znaleźć.

– Jak? – zapytała Seichan.

Wrócił do szkicu skarabeusza.

– Patrzcie, jak Livingstone podzielił rzekę na dwie części, rozdzielone przez odwłok. Zresztą już sam chrząszcz miałby dla Stanleya duże znaczenie.

– Ponieważ to egipski skarabeusz – dodał Gray.

– Zgadza się. Obaj interesowali się starożytnym Egiptem. Uważam, że Livingstone użył skarabeusza jako dużego znaku X, zaznaczając miejsce, gdzie na znalezienie czeka coś ważnego, coś związanego ze starożytnym Egiptem.

– Jeśli mój ojciec doszedł do tego samego wniosku, to z pewnością chciałby poprowadzić tam swoją ekipę badawczą – powiedziała Jane.

Derek postawił znak X tam, gdzie dziewiętnastowieczny misjonarz, lekarz i odkrywca podzielił rzekę. Znaczek znajdował się blisko zbiegu dwóch głównych ramion Nilu: Nilu Błękitnego i Nilu Białego.



Derek wskazał X.

– To miejsce leży niedaleko nowej zapory hydroelektrowni budowanej w Sudanie. Profesor wykorzystał roboty inżynieryjne jako pretekst do przeprowadzenia badań w tym regionie.

– A stan jego ciała świadczy o tym, że najwyraźniej coś znalazł.

– Albo coś znalazło jego – dodał Monk.

Ileara podeszła, żeby spojrzeć na szkic dwugłowego aryballosa w dzienniku profesora.

– Tak czy owak, wrócił zainfekowany tym samym patogenem, który był w artefakcie Livingstone’a. – Odwróciła się w stronę pozostałych. – Nie wiemy, czy inni członkowie zespołu badawczego żyją, ale jeśli te wskazówki doprowadzą nas do źródła choroby, to mogłoby rzucić więcej światła na jej naturę... i może pozwoliłoby znaleźć lekarstwo.

– W takim razie trzeba to sprawdzić – oświadczył stanowczo Gray.

Wszyscy zamruczeli na znak zgody, z wyjątkiem jednej osoby.

– Wspaniale – rzuciła Seichan. – Ale nawet o krok nie zbliżyliśmy się do rozwiązania innej zagadki.

Gray spochmurniał, gdy wyraził na głos to, co miała na myśli.

– Tego, co się stało z Safią al-Maaz?

Dereka opadły wyrzuty sumienia, że w całym tym podnieceniu zapomniał o uprowadzeniu przyjaciółki.

– Co możemy zrobić? – spytała zmartwiona Jane.

– W tej sprawie na razie nic – odparł Gray. – Śledztwo w muzeum nie wniosło żadnych nowych tropów. Dopóki to się nie zmieni, róbmy to, co możemy.

Derek spojrział w okno, bojąc się tak po prostu porzucić Safię, ale Amerykanin miał rację. Derek zrobił więc jedyne, co mógł – pogodził się z jego decyzją.

Proszę, wróć cała i zdrowa.

Archipelag Arktyczny

31 maja, godzina 10.04 czasu miejscowego

Safia przyłożyła dłoń do szklanej tafli, czując przejmujące zimno panujące za trzyszybowym oknem. Nie było w nim krat, ale nie miała wątpliwości, że jest zamknięta w więziennej celi. Za oknem zamarznęta tundra ciągnęła się po horyzont; na niebie wisiały niskie chmury. Porysowany przez lodowiec granit pokrywały łąty śniegu, a w dali jego urwiska opadały ku pokrytemu kawałkami kry morzu.

Gdzie ja jestem?

Pytanie nękało ją od chwili, gdy ocknęła się na pokładzie śmigłowca. Była przypięta do noszy i ostatnie wydarzenia pamiętała jak przez mgłę: przelotne obrazy, gdy traciła i odzyskiwała przytomność. Ktoś zaatakował ją w biurze w muzeum, uspił i uprowadził. Gdy była nieprzytomna, przebrali ją w szary kombinezon. Objęła się rękami; czuła się tak, jakby została zgwałcona. Odwróciła się w stronę pomieszczenia o betonowych ścianach, niewielkiego, ledwie mieszczącego łóżko, sedes i umywalkę.

Na szczęście porywacze zostawili jej zegarek, prezent od męża na trzecią rocznicę ślubu. Mimo woli zaciskała na nim rękę, jakby był więzią łączącą ją z normalnym życiem. Dzięki zegarkowi wiedziała, że od chwili porwania upłynęła mniej niż doba.

Od czterech godzin powoli dochodziła do siebie; głowa wciąż pulsowała bólem, a wewnątrz ust miała suche jak pieprz. Pod

sufitem była kamera, więc z pewnością wiedzieli, że się ocknęła. Nikt jednak nie przyszedł, nikt się nawet do niej nie odezwał.

Czego ode mnie chcą?

Drzwi celi były stalowe, z małym otworem z kratką na dole. Przypuszczała, że tamtędy będą wsuwać tacki z posiłkami – chociaż, jak na razie, nie dostała nic do jedzenia. Był również wizjer, zamknięty od zewnątrz.

Skierowała uwagę z powrotem na okno. Mogła się tylko domyślać, gdzie jest. Przyglądała się zamarznętej tundrze, za którą rozciągało się pełne lodu morze.

Gdzieś w Arktyce, pomyślała.

Nie miała pojęcia, w jakiej strefie czasowej, ale od czterech godzin śledziła drogę słońca. Wędrowało niewysoko nad horyzontem, ale jakby nie miało ochoty się za nim schować. Jeśli miała rację, to oznaczało, że jest gdzieś na północ od koła podbiegunowego, w krainie dnia polarnego.

Zacisnęła pięść przy szyi i przyjrzała się czemuś, co nie było naturalnym elementem krajobrazu. Wyglądało to jak stalowy las zajmujący setki hektarów tundry. Każde drzewo było wysoką na dziesięć pięter anteną dipolową. Kable rozciągnięte po granicę łączyły poszczególne anteny w ogromną sieć.

Patrzyła, domyślając się, że to coś w rodzaju farmy anten.

Ale do czego służy?

Pośrodku znajdował się wielki dół o średnicy około pół kilometra. Wyglądał na znacznie starszy niż instalacja anten. Przywodził na myśl porzuconą kopalnię odkrywkową.

Safia wiedziała, że Arktyka jest ważnym geologicznym źródłem ropy naftowej, rzadkich minerałów i cennych metali. Dzięki coraz cieplejszym ziomom i tajaniu wiecznej zmarzliny te odległe północne obszary stawały się łatwiej dostępne, rosła więc na nich aktywność wydobywcza. W Arktyce zaczynała się istna gorączka złota, co powodowało wzrost napięć międzynarodowych.

Mimo dowodu świadczącego o dawnych pracach wydobywczych Safia była pewna, że to miejsce służy do zupełnie

innych celów.

Ale jakich? I dlaczego mnie tu sprowadzono?

Usłyszała cichy terkot za plecami i odwróciła się.

Kamera zwróciła ku niej szklane oko.

Safia, przewyciężając strach, odpowiedziała wojowniczym spojrzeniem.

Wygląda na to, że zaraz poznam odpowiedzi.

Godzina 10.22

– Trudno będzie nakłonić ją do współpracy – uznał Simon Hartnell.

Stał z rękami założonymi za plecy, muskając palcami mankiety jedwabnego garnituru od Armaniego. Był to nawyk, który pomagał mu się skupić, ilekroć miał przed sobą wyzwanie. W tej samej pozie panował nad wieloma salami posiedzeń. Teraz patrzył na ekran na ścianie, zwracając uwagę na zaciętą minę uwięzionej kobiety i oceniając swojego przeciwnika.

– Może zastosujemy tę samą formę nacisku, co w przypadku McCabe’a – zasugerował mężczyzna za jego plecami, mówiący z lekkim rosyjskim akcentem.

Hartnell odwrócił się i spojrzał na szefa ochrony bazy. Anton Michajłow był chudy jak szczapa, ale muskularny; czarny dres podkreślał budowę jego ciała. Rosjanin miał gładko uczesane, ułożone na żel, prawie białe włosy, a lekkie zakola tworzyły ostre V nad jego brwiami. Po miesiącach spędzonych w Arktyce miał bladą, niemal przejrzystą skórę, co wcale nie znaczyło, że dni pod równikowym słońcem poprawiłyby jego karnację. Anton i jego starsza siostra Wala cierpieli na albinizm. Oboje przeczyli stereotypowemu wyobrażeniu, że wszyscy albinosi mają czerwone oczy; ich tęczęwki były idealnie błękitne.

Jedyną skazą na twarzy Antona był czarny tatuaż po lewej stronie. Przedstawiał połowę słońca ze złamanymi promieniami

sięgającymi na policzek i biegnącymi nad okiem. Jego siostra miała drugą połowę na prawym policzku.

Simon Hartnell był ciekaw znaczenia tych symboli, ale żadne z nich nie udzieliło mu zadowalającej odpowiedzi; usłyszał tylko zawołane nawiązanie do ich byłej profesji. Zwerbował ich, gdy zostali osieroceni, nie z własnej winy, lecz w następstwie rozbicia organizacji poprzedniego pracodawcy.

Oboje okazali się bezlitośni, przebiegli i, co najważniejsze, lojalni. Nie spodziewał się niczego mniej, zważywszy, ile im płacił. Ale dla niego takie wydatki były nieistotne – jego wartość netto wynosiła od czterech do pięciu miliardów dolarów, w zależności od dziennych cen akcji Clyffe Energy. Założył firmę, gdy rzucił szkołę biznesu Wharton, pragnąc poświęcić się swojej prawdziwej pasji – i teraz ostateczny cel znajdował się już niemal na wyciągnięcie ręki.

Jestem tak blisko...

W przyszłym miesiącu skończy pięćdziesiąt lat i był zdecydowany uczynić z tej daty kamień milowy, nawet jeśli będzie to oznaczać wstrząśnięcie posadami świata. Zamierzał udowodnić, że krytykanci się mylą, że nie mają racji osoby deprecjonujące jego ambicje, uważając je za fantazje ekscentrycznego miliardera, który folguje zachciankom i z próżności porywa się z motyką na słońce.

Na tę myśl zapłonął w nim znajomy gniew.

Ci sami idioci wyśmiewali Richarda Bransona za jego zaangażowanie w projekt organizowania turystycznych lotów kosmicznych albo patrzą z pogardą na Jurija Milnera, rosyjskiego miliardera, który szuka odpowiedzi na fundamentalne pytanie: Czy istnieje życie pozaziemskie?

W przeszłości tacy wizjonerzy zmienili bieg historii. Na początku dwudziestego wieku, kiedy amerykański rząd znalazł się w impasie, niezdolny poradzić sobie z narastającymi globalnymi zagrożeniami, zamożni przedsiębiorcy – wielcy baronowie przemysłu, jak Howard Hughes, Henry Ford i John Rockefeller – wyrwali kontrolę zadowolonym z siebie politykom

i zdecydowanie stawili czoło tym wyzwaniom, inicjując epokę szybkiego rozwoju techniki.

Świat jednak znowu się obrócił i rządy się ośmieszały. Politycy, ślepi na niezliczone nowe zagrożenia, utknęli w martwym punkcie, ugrzęźli w bagnie megalomanii. Nadszedł najwyższy czas, żeby wkroczyli ludzie myślący przyszłościowo i wprowadzili nowe technologie.

Norwedzy ukuli frazę dla takich projektów, nazywając je *stormannsgalskap*, czyli „szaleństwo wielkich ludzi”. Określenie miało być lekceważące, ale Hartnell uważał je za odznakę honoru. Jak pokazała historia, *stormannsgalskap* często okazywało się prawdziwym motorem zmian. A teraz bardziej niż kiedykolwiek świat potrzebował takiej pionierskiej innowacji. Potrzebował wielkich ludzi, którzy chętnie przeciwstawią się rządowi i zrobią to, co konieczne, żeby dokonać trudnych, śmiałych wyborów.

Hartnell zamierzał być jednym z tych wielkich ludzi.

Ale pozostała jedna przeszkoda.

Spojrzał na ekran, zwracając uwagę na zdeterminowany błysk w oku Brytyjki, i powziął decyzję.

– Twoja siostra zawiodła w Wielkiej Brytanii – powiedział. – Ale zamiast Jane McCabe przysłała nam ten prezent. Nie możemy pozwolić, żeby się zmarnował.

– Rozumiem.

– Masz się postarać, żeby doktor al-Maaz to pojął. Niech wie, co jest stawką i jaka będzie cena, jeśli odmówi.

Godzina 10.38

Safia usłyszała chrobot wysuwanego rygla i przygotowała się na najgorsze. Była zaskoczona, gdy do pokoju wepchnięto młodego szczupłego mężczyznę, jak ona ubranego w szary kombinezon. Chłopak potknął się na progu.

– Rory? – odezwała się zszokowana, zbliżając się do niego o krok.

Syn Harolda McCabe’a był bledszy niż wtedy, gdy widziała go ostatnim razem, miał zapadnięte oczy i wyrazistsze kości policzkowe. Kasztanowe włosy, zwykle starannie przycięte, teraz sięgały do kołnierza, co nadawało mu chłopięcy wygląd.

Wyczytała strach w jego zielonych oczach.

– Doktor al-Maaz... tak mi przykro... – Spojrzał na człowieka, który go wepchnął do celi.

Nieznajomy stał w drzwiach, tarasując drogę ucieczki. Trzymał rękę na pistolecie w kaburze u pasa, ale bardziej przestraszyło ją jego stalowe spojrzenie. Ciemny tatuaż na twarzy spotęgował jej strach.

Ten człowiek już zabijał.

A jednak Safia go zignorowała. Podeszła do Rory’ego i chwyciła go za ramię.

– Nic ci nie jest? Co się dzieje?

Czuła jego drżenie.

– Nie wiem, od czego zacząć. Jest tyle do powiedzenia.

– To może zaczekać – warknął mężczyzna w drzwiach. Odsunął się i machnął ręką. – Wyjść. Oboje. Natychmiast.

Rory posłuchał, kuląc się jak zbity pies. Safia pospieszyła za nim. Wytatuowany mężczyzna szedł za nimi z dłonią na rękojeści broni. Zwróciła uwagę na jego rosyjski akcent i przywołała na myśl zamarznęty krajobraz za oknem.

Czy to znaczy, że jesteśmy gdzieś w Rosji, może w syberyjskim gułagu? – zastanawiała się.

Trzymała się blisko Rory’ego, szukając odpowiedzi.

– Wiesz, gdzie jesteśmy?

– W Kanadzie – odparł, ku jej zaskoczeniu. – W Archipelagu Arktycznym. Na Wyspie Ellesmere’a.

Safia ścięgnęła brwi, usiłując przyswoić sobie tę informację.

Dlaczego Kanada?

– Jest tu pani przeze mnie – mruknął Rory. – To wszystko moja wina.

– Nie rozumiem.

Chłopak spojrział przez ramię i jeszcze bardziej ściszył głos.

– Trzymali mnie tutaj, żeby zmusić mojego ojca do współpracy. Gdyby im nie pomógł w Sudanie... – Uniósł lewą rękę; brakowało mu małego palca. – Ojciec nie miał wyboru – podjął z bólem na twarzy. – Ani ja. Musiałem wziąć udział w projekcie, bo inaczej to samo zrobiliby tacie. Grozili nawet, że zajmą się Jane.

– W porządku – powiedziała, próbując zmniejszyć jego poczucie winy.

– Później ojciec uciekł. – Chłopak potarł dłonią czoło. – Nie wiem, dlaczego po tak długim czasie podjął to ryzyko.

Zastanawiała się nad tym samym i doszła do jedyne­go możliwego wniosku.

– Może dowiedział się czegoś, o czym porywacze nie powinni wiedzieć.

Zmrużył oczy.

– Też tak sądzą, a przynajmniej dopuszczają taką możliwość. Gdy dowiedzieli się o jego śmierci, mocno na mnie naciskali. Potrzebowali kogoś na miejsce mojego ojca. Kazali mi podać nazwiska, wymienić ludzi, którzy mają wiedzę umożliwiającą kontynuowanie jego pracy.

Zrozumiała.

– I wymieniałeś moje nazwisko.

– Zajmowała pani pierwsze miejsce na liście. Wie pani o pracy ojca więcej niż ktokolwiek inny. – Spojrział na nią przeproszająco. – Jedy­ną poza panią osobą, która rozumiała ojca, była Jane, ale upierałem się, że ona o niczym nie ma pojęcia. Chciałem... chciałem ją chronić.

Jak każdy dobry brat, pomyślała Safia.

Niestety, jego decyzja naraziła ją na niebezpieczeństwo.

– Po pani porwaniu – kontynuował – postanowili zniszczyć wszystkie ślady tego, nad czym pracował ojciec, niedawno i w przeszłości, i przenieść obiekt jego badań tutaj, żeby był bezpieczny.

– Przywieźli go z Sudanu. – Wyobrazila sobie Harolda, jak zataczając się, idzie przez pustynię. – Czy to tam przetrzymywali twojego ojca?

– Chyba tak. – Rory starał się ukryć grymas niezadowolenia. – Przebywał tam wraz z drugim zespołem badawczym.

– Nad czym pracowali?

– Dość tych pogawędek – rzucił strażnik tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Doszli do końca białego korytarza bez okien. Były tam dwuskrzydłowe drzwi.

Mężczyzna z tatuażem przeciągnął kartę przez czytnik i skinął na Rory'ego, że ma iść przodem. Zastraszony chłopak otworzył drzwi, czemu towarzyszył cichy syk powietrza.

Rory wszedł pierwszy do małego pomieszczenia z ławkami i szafkami. Za szklaną ścianą znajdowało się rozległe supernowoczesne laboratorium. Można było tam wejść przez śluzy, w których wisiały hermetyczne żółte skafandry, sflaczałe jak przekłute balony. Laboratorium było wyposażone w sprzęt ze stali nierdzewnej, pod ścianami stały chłodziarki i zamrażarki. Safia nie знаła większości wyposażenia.

Wiedziała jednak, dlaczego ją tu sprowadzono.

Pośrodku pomieszczenia stała wysoka gablota ze szklanymi drzwiami. Zawierała coś, co wyglądało na zmatowiały czarny tron z motywami charakterystycznymi dla starożytnego Egiptu. Zwieńczenie oparcia tworzył profil lwiego pyska i kobiecej twarzy, może egipskiej królowej.

Ale to figura siedząca na tronie przykuła jej uwagę – wysuszone szczątki kobiety. Zmumifikowane ciało wydawało się przyspawane do krzesła; skóra wyglądała na zwęgloną. Ściągnięta twarz z podbródkiem opierającym się na zapadniętej piersi wyrażała dziwny spokój.

– Kim ona jest? – zapytała Safia.

– Kimś, kto ma nam udzielić odpowiedzi – odparł Rory z goryczą w głosie.

– O co w tym wszystkim chodzi? Co się dzieje?

Wyjaśnienia udzielił nieznajomy, który zjawiał się jak spod ziemi za ich plecami i stanął obok mężczyzny z tatuażem. Był starszy, szpakowaty, w eleganckim garniturze. Wyglądał jakby znajomo, lecz Safia była zbyt wstrząśnięta, żeby dopasować nazwisko do twarzy.

Mężczyzna uniósł rękę i wskazał zapieczętowaną gablotę.

– Potrzebujemy pani pomocy w rozwiązaniu tej tajemnicy, doktor al-Maaz.

– A jeśli odmówię?

Uśmiechnął się, pokazując idealnie białe, równe zęby.

– Obiecuję, że nie spotka panią żadna krzywda.

Przeniósł wzrok na Rory'ego, a ten cofnął się o krok.

Ogarnął ją gniew z powodu tej zawołowanej groźby, ale zachowała stoicki wyraz twarzy.

– W takim razie niech mi pan powie, co tutaj robicie.

– Proszę się nie obawiać. – Uśmiechnął się szerzej. – Tylko próbujemy ratować świat.

CZĘŚĆ DRUGA
JAJKO KOLUMBA

Σ

Kair, Egipt

2 czerwca, godzina 13.15 czasu wschodnioeuropejskiego

– Przynoszę dobrą i złą wiadomość – oznajmił Monk.

Gray uniósł głowę, przerywając inwentaryzację ekwipunku. W otwartym namiocie na długim stole leżały plecaki, broń i amunicja. Na płycie postojowej czekał wojskowy samolot transportowy C-130.

Plan przewidywał, że polecą turbośmigłowcem, w dwie godziny pokonując odległość dzielącą ich od Chartumu. Stolica Sudanu leżała tysiąc sześćset kilometrów od Kairu, w międzyrzeczu Nilu Błękitnego i Białego, rzek łączących się w potężny Nil.

Tam przeszukają okoliczne tereny, wypatrując tropu, który może ich doprowadzić do miejsca, gdzie był przetrzymywany Harold McCabe. Gray wyobraził sobie profesora brnącego przez pustynię, bliskiego śmierci, na wpół zmumifikowanego, niosącego zarazę w rozgorączkowanej głowie.

Co go spotkało?

Jane i Derek tkwili w hotelu przy lotnisku, ślęcząc nad dziennikami i szukając historycznych odniesień, chcąc znaleźć odpowiedź na to pytanie. Gray zostawił ich pod opieką Seichan i Kowalskiego.

Przesłonił dłonią oczy przed blaskiem egipskiego słońca. Rozgrzane powietrze migotało nad płytą lotniska, gdy temperatura osiągnęła rekordową wysokość. Patrzył, jak Monk wchodzi do namiotu, a za nim doktor Ileara Kano.

– Więc dobra wiadomość czy zła? – mruknął z zadumą. – Nie jestem pewien, co chcę usłyszeć najpierw.

Monk otarł spocone czoło równie spoconą dłonią i ze zmęczeniem pokręcił głową, najwyraźniej nie wiedząc, od czego zacząć.

Ileara odetchnęła z ulgą, gdy znalazła się w cieniu.

– Nic dziwnego, że moi rodzice wyemigrowali z Nigerii. Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie skarżyła się na londyński deszcz i mgłę.

Oboje spędzili większą część nocy i poranek w NAMRU-3, należącej do amerykańskiej marynarki wojennej placówce badań medycznych w Kairze. Baza została założona w 1942 roku w celu walki z epidemią tyfusu, która wybuchła podczas drugiej wojny światowej. Od tamtej pory rozrosła się w jedno z największych amerykańskich laboratoriów biomedycznych zlokalizowanych poza terytorium Stanów Zjednoczonych, zajmujących się badaniem i zwalczaniem nowych chorób.

Tak oto NAMRU-3 stało się ośrodkiem monitorowania i prowadzenia badań nad tajemniczą pandemią na jej własnym podwórku. Grupa wojskowych lekarzy i naukowców współpracowała z egipskim Ministerstwem Zdrowia, Światową Organizacją Zdrowia i amerykańskim Centrum Kontroli Chorób, żeby koordynować globalne działania mające na celu walkę z epidemią i znalezienie lekarstwa.

Monk i Ileara uczestniczyli w naukowych zebraniach i rozmowach z czołowymi badaczami zajmującymi się nowym patogenem, dziwnym organizmem żywiącym się energią elektryczną. Ich podpuchnięte, zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że niewiele spali.

– Zaczniemy od dobrej – zdecydował Gray.

Miał powyżej uszu złych wiadomości. Zdawał sobie sprawę, że może być jeszcze gorzej, nawet na froncie osobistym. Brat zostawił mu nagraną wiadomość na pocztę głosowej, prosząc o telefon z samego rana, czyli wzięwszy pod uwagę sześciogodzinną różnicę czasu pomiędzy Waszyngtonem

i Kairem, nie prędzej niż za godzinę. Wiedział, że sprawa dotyczy stanu zdrowia ojca, i to ciążyło mu kamieniem na sercu.

Ale po jednej katastrofie na raz, powiedział sobie.

– Dobra wiadomość jest taka – zaczął Monk – że u niektórych pacjentów wystąpiły oznaki powrotu do zdrowia. Co oznacza, że choroba nie jest w stu procentach śmiertelna.

– W tej chwili nie wiemy jednak, dlaczego jednym się poprawia, a innym pogarsza – wtrąciła Ileara.

– Mimo wszystko to dobra wiadomość – uznał Gray.

– Nazwałbym ją średnio dobrą. – Monk wymienił zmartwione spojrzenia z Ilearą. – Niektórzy przeżywają, lecz śmiertelność wynosi od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu procent. Mamy szczęście, że wskaźnik nie jest wyższy, ale przecież choroby zakaźne rzadko zabijają każdą dotkniętą nimi osobę. Nawet wirus Ebola nie jest w stu procentach zabójczy. Śmiertelność, jak w przypadku zainfekowania tym nowym mikroblem, wynosi około pięćdziesięciu procent.

Gray się skrzywił.

– Ale jeszcze jest za wcześnie na takie definitywne wnioski – wtrąciła Ileara. – Minęło tylko pięć dni od zgłoszenia pierwszego przypadku. Wszystko wciąż stoi pod znakiem zapytania.

– W porządku. Jeśli to jest umiarkowanie dobra wiadomość, to jaka jest ta zła?

Monk spojrział na Ilearę.

– Uznaliśmy – zaczęła – że choroba rozprzestrzenia się drogą inhalacyjną. Wystarczy wciągnąć mikroba przez nozdrza, a przyczepi się do nerwów w nosie i powędruje prosto do mózgu, gdzie spowoduje zapalenie opon. Co gorsza, od zainfekowania do zagnieżdżenia się patogenu w mózgu mijają zaledwie dwie godziny, co oczywiście utrudnia sprawę.

– I, jak wirus grypy, ten sukinsyn łatwo się rozprzestrzenia – dodał. – Dlatego przypuszczamy, że pandemia szybko się rozszaleje na niespotykaną skalę.

Gray nie był zaskoczony. Pomyślał o wczorajszej podróży z lotniska do hotelu. Zwykle Kair tętnił życiem, ale teraz ulice

były prawie wyludnione. Nieliczni przechodnie nosili papierowe maski lub szaliki zasłaniające usta i nosy. Szli spieszonym krokiem, skuleni, omijając jedni drugich. W wiadomościach podawano, że ludzie już gromadzą zapasy rzeczy niezbędnych do życia. Wybuchaly zamieszki. Wiele osób zostało zabitych – ze strachu przed zarażeniem, w wyniku bójek podczas plądrowania.

Panika okazywała się równie zabójcza i zaraźliwa jak ta choroba.

Nawet teraz Gray słyszał echo dalekich strzałów.

– Jest jeszcze jedna dziwna rzecz – odezwała się Ileara.

– To znaczy?

– Pierwsi zachorowali ludzie przeprowadzający autopsję profesora McCabe'a.

Gray przypomniał sobie szokujące nagranie z tego zdarzenia.

– Dlaczego uważasz to za zaskakujące? Przecież ci w prosektorium byli bezpośrednio zagrożeni, kiedy otworzyli czaszkę.

– To prawda – zgodziła się. – Co więcej, podejrzewam, że elektromagnetyczna stymulacja z wcześniejszego rezonansu magnetycznego pogorszyła sytuację, pobudzając mikroby w mózgu. Prawdopodobnie właśnie to spowodowało efekt jarzenia widoczny na nagraniu. Wiemy, że te żywiące się elektrycznością organizmy nie tylko wchłaniają elektrony, ale w odpowiednich warunkach mogą się ich pozbywać. Dlatego może lepiej przyjąć, że oddychają elektrycznością, a nie, że ją jedzą.

– Rzeczywiście – rzucił Monk. – Trochę o tym czytałem. Obecnie naukowcy pracują nad praktycznym wykorzystaniem takich mikroobów. Laboratorium w Danii hoduje elektryczne bakterie i pokazuje, jak mogą tworzyć łańcuchy i przenosić elektrony na pewną odległość, jak przewody elektryczne.

Ileara pokiwała głową.

– Biologia archeonów jest nadzwyczajna. Są prawdziwymi zmiennokształtnymi. Niektóre potrafią się skupiać, tworząc superkomórki. Inne łączą się w podobne do włosa włókna.

Gray pomyślał o kosmatych komórkach, które Ileara pokazała im na laptopie, i wyobraził sobie, jak się łączą.

– Sądzę – kontynuowała kobieta – że ten mikroorganizm może być zdolny do tego samego. To wyjaśniałoby, skąd te powtarzające się doniesienia o halucynacjach. Może te żywe przewody „okablowują” mózg i bezpośrednio wywołują halucynacje. Niewykluczone nawet, że celowo.

– Co masz na myśli? – zapytał Gray.

– Może te halucynacje mają budzić strach, żeby jeszcze bardziej rozpałać mózg ofiary, tworząc bogatsze źródło energii dla mikroorganizmów.

– Jak tuczenie gęsi, żeby zrobić *foie gras* – wtrącił Monk.

Gray poczuł, że coś ściska mu żołądek, gdy to usłyszał.

– Na razie to tylko domniemania – zaznaczyła Ileara.

– I może za bardzo oddalają nas od tematu. – Postanowił skierować rozmowę na pierwotne tory. – Nie wyjaśniłaś, dlaczego cię dziwi, że ludzie w prosektorium zostali zainfekowani jako pierwsi.

Skrzywiła usta.

– Przepraszam. Masz rację. To dziwne, ponieważ nie powinni być pierwsi. Pamiętacie nomadów, którzy znaleźli McCabe’a na pustyni? Godzinami wieźli go na wózku, opiekowali się nim do śmierci. A jednak nie zachorowali.

– To rzeczywiście dziwne, zważywszy na agresywność patogenu – przyznał Monk.

– Mogli być odporni? – spytał jego kolega.

– Możemy tylko mieć taką nadzieję – odparła Ileara. – Rodzina została poddana kwarantannie i badaniom. Jak na razie lekarze nie znaleźli żadnego wyjaśnienia.

Gray wyczytał coś w jej oczach.

– Ale masz jakiś pomysł.

Skinęła głową.

Starał się nadążyć za jej tokiem myślenia.

Jaki mógłby być powód...

Nagle go olśniło.

Wyprostował plecy.

– Sądziś, że ma to związek z dziwnym stanem ciała profesora McCabe’a.

Po zaskoczony minie Ileary poznał, że trafił w sedno.

Monk roześmiał się.

– W porządku, Ilearo. Za jakiś czas przywykniesz do tego przekłętą intuicyjnego rozumowania Graya. Jasne, z początku to wkurza, ale nauczysz się z tym godzić. Nigdy jednak nie graj z nim w pokera. Wierz mi, to naprawdę zły pomysł.

Gray docenił słowa kolegi, ale nie na tym się skupiał. Tym, co nie miało sensu w tej historii, była mumifikacja ciała profesora. Założyli, że porywacze torturami zmusili McCabe’a do poddania się tym bolesnym zabiegom i że uciekł, zanim proces dobiegł końca.

Ale może źle to wszystko rozumiemy? – zastanawiał się.

Gray spojrział na Ilearę.

– Uważasz, że profesor poddał się mumifikacji na własne życzenie. Że zrobił to celowo.

– Możliwe. Wydaje mi się to prawdopodobne zwłaszcza po rozmowach z jego córką. Profesor McCabe z piekielnym uporem trzymał się swoich teorii, ale poza tym sprawiał wrażenie dobrego człowieka. Więc zaczęłam się zastanawiać, dlaczego przybył z pustyni, niosąc chorobę, która mogła spowodować pandemię. Myślę, że prędzej poświęciłby siebie, niż dopuścił do wybuchu zarazy.

– Chyba że wierzył, że może to zrobić bez szkody dla innych.

Ileara pokiwała głową.

– Może ten proces konserwacji zatrzał ciało na tyle, żeby wypędzić mikroby z tkanek obwodowych do jednego miejsca, w którym mogły przeżyć.

– Do mózgu – uściślił Gray.

– Gdzie zostały zamknięte – dodała.

Wyobraził sobie zagrożenie w postaci węża zwiniętego w czaszce profesora.

Ileara spojrzała na rozpalony asfalt.

– Może profesor wyruszył przez pustynię w nadziei, że pożyje dość długo, żeby opowiedzieć swoją historię, ostrzec nas przed zagrożeniem, przed czymś, co planowali jego porywacze – powiedziała.

Rozważał tę teorię, czując coraz silniejsze łupanie w głowie. Przypomnił sobie również opowieść Seichan o zabójczyni z Ashwell. Kobieta z tatuażem miała powiązania z Gildią, grupą znaną z wykorzystywania odkryć naukowych dla własnych celów. Jeśli ktoś planował akt bioterroryzmu, ten archeon byłby idealną gotową bronią.

Zważywszy, że tylko jeden pacjent zero – profesor McCabe – spowodował tak wiele zgonów i wybuch paniki.

A jeśli wróg wypuścił całą zainfekowaną armię?

Monk przywołał go do rzeczywistości.

– W porządku, Gray, przekazaliśmy ci dobrą i złą wiadomość. Chcesz posłuchać, co jest naprawdę przerażające?

Gray się przygotował.

– Jest coś gorszego?

Zerknąwszy na Ilearę, Monk przeniósł spojrzenie z powrotem na Graya.

– No tak. Mówiliśmy tylko o pierwszej pladze. Będzie więcej.

Ileara się odwróciła.

– Ale to coś, czego musi wysłuchać Jane McCabe.

Godzina 13.48

Będzie znacznie gorzej...

Jane siedziała skulona na kanapie, obejmując kolana rękami, i oglądała wiadomości w telewizji. Jej lunch leżał zapomniany na końcu stołu. Trzymała w dłoniach kubek kawy, potrzebując jego ciepła, żeby odpierało lodowatą pewnością tego, co nastąpi.

Od godziny przełączała kanały z BBC na lokalne stacje i z powrotem. Władza egipskim arabskim na tyle dobrze, żeby

rozumieć różne gadające głowy w kairskiej telewizji. Powtarzały się doniesienia o narastającym chaosie, o bezprawiu panującym na ulicach. Nie potrzebowała wiadomości, żeby o tym wiedzieć. Bez przerwy słyszała zawroźnienie syren. Boleśnie błękitne niebo za oknem apartamentu na czwartym piętrze szpeciły słupy czarnego dymu.

Miasto się rozpadało.

W wielu doniesieniach wspomniano o jej ojcu i pokazywano jego uśmiechniętą twarz, opaloną i pomarszczoną od słońca. Czasami odtwarzano fragmenty starych nagrań sprzed zniknięcia zespołu badawczego. Widząc te nagrania, znów słysząc jego głos, czuła ból, ale nie mogła oderwać od nich wzroku. Jedno zdjęcie ukazywało całą zaginioną grupę, łącznie z poważnym, zdeterminowanym Rorem.

Ta fotografia przypomniała jej, że na szali spoczywa coś więcej niż tylko spuścizna jej ojca.

Po raz tysięczny pomodliła się o życie brata.

Chrapliwy śmiech przyciągnął jej uwagę do okna. Kowalski patrzył na leżącą w dole ulicę. Przekrzywił szyję, trzymając komórkę przy uchu.

– Mario – powiedział – może jestem na tym samym kontynencie, ale nie mam czasu sprawdzić, co się dzieje z Baako. Jestem pewien, że ten wielki dzieciak doskonale sobie radzi. Prawdopodobnie zawiera w dżungli wszelkiego rodzaju przyjaźnie.

Jane słuchała, zadowolona, że coś rozproszyło jej uwagę. Dzięki wcześniejszym rozmowom w ciągu ostatnich dni lepiej poznała tego wielkiego faceta. Miał dziewczynę, która przebywała w Niemczech; pracowała razem ze swoją siostrą w jakimś laboratorium. Odwiedzał je, ilekroć wzywano go do Londynu.

Jego partnerka Seichan pełniła straż na korytarzu.

Jane odwróciła głowę, słysząc, jak Derek ciężko opadł na kanapę. Przecierając oczy, oparł stopy o stół. Zauważyła dziurkę na wielkim palcu lewej skarpety. Z jakiegoś powodu

uznała to za niezmiernie czarujące, jakby w ten sposób Derek deklarował, że jest ponad drobiazgi życia codziennego, takie jak kupowanie nowych skarpet.

Zobaczył, na co patrzy, podkulił palce, żeby ukryć dziurę, i wyszczerzył do niej zęby.

– Jak pamiętasz, nie mieliśmy wiele czasu, żeby się spakować. Roześmiała się, czym zaskoczyła samą siebie.

Uśmiech Dereka się poszerzył.

– Ja przynamniej noszę skarpetki.

Zmieniła pozycję, siadając tak, by ukryć bosc stopy.

– Wstyd, panno McCabe – zażartował, z przyganą kręcąc głową.

Ostry głos przyciągnął ich uwagę do telewizora. Mężczyzna w długiej szacie wrzeszczał po arabsku, dźgając palcem w stronę prezentera wiadomości. Był to lokalny imam, wyraźnie kipiący z wściekłości.

– Co on mówi? – zapytał Kowalski.

– Nalega, żeby wszyscy ignorowali ostrzeżenia Ministerstwa Zdrowia, nakazujące unikania miejsc publicznych – przetłumaczyła. – Chce, żeby ludzie gromadzili się na nabożeństwa w miejskich meczetach. Przykazuje, że mają sprowadzać ze sobą chorych, żeby się za nich modlić, zamiast szukać pomocy medycznej. To błąd. Tysiące ludzi się zarażą.

– Wierzy, że to kara boska – skomentował Derek, siadając prosto. – Ludzi może ocalić tylko błaganie o wybaczenie.

Jane słuchała dalej.

– Teraz twierdzi, że modlił się z jednym z chorych i usłyszał, że ten człowiek mówi językami – relacjonowała. – Miał wizje szarańczy zaciemniającej niebo, widział ludzi umierających nad rzekami krwi i błyskawice rozdzierające niebiosy.

Derek pokręcił głową.

– Przypuszczałem, że nie minie wiele czasu, zanim ktoś spróbuje powiązać tę epidemię z plagami biblijnymi.

– Cicho! – zawołała Jane, bo padło nazwisko ojca.

Gdy słuchała, krew ziębła jej w żyłach.

Derek przesunął się i objął ją.

– Po prostu to wyłącz. Ten facet to świr.

– Co powiedział? – chciał wiedzieć Kowalski.

Archeolog wziął pilota i wyciszył dźwięk.

– Że mój ojciec był naczyniem gniewu Boga. – Jane opadła głębiej na poduszki kanapy. – Poszedł na pustynię, szukając dowodu na exodus, i wrócił, niosąc plagę z dawnych czasów, żeby ukarać świat za jego niegodziwość.

– Jane, ten bełkoczący idiota jest szerzycielem paniki, cholernym oportunistą – próbował ją uspokoić Derek, patrząc jej prosto w oczy. – Przyczepił się do twojego ojca, bo jego poglądy były szeroko publikowane. Wiesz, że po zaginięciu ekspedycji mówiono o jego teoriach w wiadomościach. Wtedy ci sami fanatycy religijni twierdzili, że zaginął, ponieważ miał czelność poszukiwać prawdy o exodusie przez naukę, a nie wiarę. Teraz dla własnych celów odwracają kota ogonem.

Drzwi pokoju się otworzyły i wszyscy drgnęli.

Weszła Seichan, trzymając w ręce komórkę.

– Gray jedzie na górę.

Kowalski ściągnął brwi.

– Wyruszamy?

– Jeszcze nie. Jest z nim Monk i doktor Kano. Najpierw chcą coś omówić.

Derek wstał.

– Co?

– Coś o kolejnych plagach – rzuciła Seichan, siadając obok Jane.

Ta spojrzała na ekran milczącego telewizora. Zaczzerwieniony imam krzyczał coś na prezentera. Z boku widniało zdjęcie jej ojca. Chciała wierzyć w słowa Dereka, ale nie do końca mogła.

Patrzyła na wrzeszczącą postać na ekranie.

A jeśli on ma rację?

Kair, Egipt

2 czerwca, godzina 14.07 czasu miejscowego

Gray poczuł napięcie, gdy tylko wszedł do pokoju. Jane McCabe stała, zaciskając dłonie na ramionach. Derek z zatroskanym wyrazem twarzy krążył blisko niej. Kowalski i Seichan szeptali między sobą, patrząc na wyciszony telewizor.

Gdy Monk i Ileara weszli za Grayem do pokoju, Jane opuściła ręce i zrobiła krok do przodu.

– O co chodzi z tymi kolejnymi plagami?

Komandor zwrócił się do swoich dwojga towarzyszy.

– Powiedzcie im i dajcie mi znać, gdy skończycie.

Poszedł do sypialni, bo potrzebował chwili prywatności. Sprawdził, która godzina, i wyjął telefon satelitarny. W Waszyngtonie było kilka minut po ósmej. Powinien zadzwonić do Kenny'ego.

Przymknął drzwi i wybrał numer komórki brata. Po kilku sygnałach usłyszał zaspány głos.

– Kto... kto mówi?

– Kenny, to ja.

– Cześć. – Brat zakasłał, żeby przeczyścić gardło. – Która godzina?

Gray poczuł znajomy dreszcz irytacji.

– Nieważne. Prosiłeś, żebym zadzwonił. Co się stało? Z tatą wszystko w porządku?

– Tak... nie. Do diabła, nie wiem.

Ścisnął telefon.

– Kenny, powiedz, co się dzieje.

– Wczoraj byłem w domu opieki. Umieścili tatę w izolatce. Trzeba włożyć rękawiczki, maskę i fartuch, zanim się tam wejdzie. Zawracanie gitary.

Gray przewrócił oczami.

– Tata złapał jakąś nową infekcję – dodał Kenny. – Coś odporne i złociste czy jakoś tak.

Zaniepokojony Gray usiadł na łóżku.

– Oporne? Mówisz o MRSA?

– O czym?

– Gronkowiec złocisty oporny na metycylinę.

– Tak, to to. Lekarze obawiają się, że może dojść do sepsy. Dlatego faszerują go mnóstwem antybiotyków. To może oznaczać, że tata zostanie tam jeszcze dłużej.

Super... po prostu super.

– Jak się trzyma?

– Tracił i odzyskiwał przytomność, kiedy u niego byłem. Ma to coś wspólnego z jego ciśnieniem. Obserwują również miejsce, w którym może rozwinąć się odleżyna.

Graya opadły wyrzuty sumienia, że go tam nie ma. Wyobraził sobie osłabionego ojca na łóżku, podłączonego do kroplówek. Mógł się tylko domyślać, jaki strach odczuwa staruszek, zagubiony we mgle, niezdolny pojąć, co się z nim dzieje.

Wciąż słyszał jego ostatnie słowa.

Obiecaj mi.

Przypuszczał, że nie chodziło mu o obietnicę powrotu i zobaczenia się z nim przed śmiercią. Pamiętał jego wcześniejsze słowa.

Jestem gotów odejść.

W oczach ojca połyskiwało milczące błaganie, błaganie o pomoc, żeby starszy syn podjął trudną decyzję, kiedy nadejdzie czas.

Ale co mogę zrobić? – zastanawiał się Gray.

– To wszystko, co wiem – powiedział Kenny, kończąc rozmowę. – Dam ci znać, gdy coś się zmieni.

– Dzięki... Dzięki, Kenny, że tam jesteś.

Zapadło milczenie. Kiedy brat w końcu się odezwał, jego głos był łagodniejszy, pozbawiony zwykłej goryczy.

– Możesz na mnie liczyć. Będę miał tu wszystko pod kontrolą, dopóki nie wrócisz – powiedział Kenny i rozłączył się. Gray opuścił telefon. Siedział chwilę, słuchając pomruku rozmowy w sąsiednim pokoju. W końcu z westchnieniem podniósł się z łóżka. Gdy się odwrócił, spostrzegł postać zacierającą drzwi pokoju, stojącą w progu, jakby nie chciała przeszkadzać.

– Wszystko w porządku? – zapytała Seichan.

– Niezupełnie, ale niewiele mogę w związku z tym zrobić – odparł, chowając telefon do kieszeni.

Przynajmniej na razie.

Obiecuj mi.

Podeszła, objęła go w talii i ze współczuciem przytuliła policzek do jego piersi. Przyciągnął ją bliżej i zamknął w mocnym uścisku, wiedząc, że ona też zmaga się z upiorami przeszłości.

– Gray! – krzyknął Monk w sąsiednim pokoju. – Będziesz chciał wysłuchać następnej części.

Seichan się odchyliła, jej oczy połyskiwały z rozbawienia.

– A może po prostu stąd uciekniemy. Teraz. Kiedy się rozglądałam po hotelu, zauważyłam wyjście ewakuacyjne.

Mimo tej próby beztroski wyczytał w jej oczach coś więcej: powagę ukrytą w żartobliwych słowach. Zaczął się zastanawiać, jak by to było, jeśliby odwrócili się plecami do wszystkiego i rozpoczęli naprawdę wolne życie, gdyby skorzystali z wyjścia ewakuacyjnego i nigdy więcej nie obejrzeliby się za siebie?

Ale zanim mógł pociągnąć dalej te fantazje, Seichan wysunęła się z jego ramion. Szybko się odwróciła, może z obawy, że zobaczy głębię jej pragnień.

– Obowiązek wzywa – rzuciła i ruszyła do drzwi.

Gray poszedł za nią, napędzany przez poczucie odpowiedzialności, tutaj i w domu.

Obiecuj mi.

Godzina 14.22

Derek trzymał się blisko Jane, wyczuwając gęstniejącą wokół niej chmurę rozpacz.

Przez kilka minut słuchali Monka i Ileary, którzy mówili o rozszerzającej się pandemii. W całym tym ponurym mroku było jedno jasne miejsce, związane z ojcem Jane.

– Więc myślicie, że to możliwe, że próbował nas ochronić, poddając się procesowi mumifikacji? – zapytała Jane z nadzieją i ulgą na twarzy.

– Owszem. – Ileara położyła rękę na jej ramieniu. – Niestety, jego ciało spłonęło, więc nie możemy tego potwierdzić.

– I być może między innymi dlatego podłożono ładunek zapalający w laboratorium – wtrącił Monk. – Żeby prawda nie wyszła na jaw.

Jane głośno przełknęła ślinę.

– Ale wspomnieliście coś o innych plagach na horyzoncie.

– Tak, nieszczęścia chodzą parami. – Monk ruchem ręki przywołał Graya i Seichan, gdy wyszli z sypialni. – Czekamy na was.

Gray skinął głową do Ileary.

– Możesz zaczynać.

Skrzywiła usta, najwyraźniej zastanawiając się, jak to wszystko wyjaśnić.

– Czy ktoś z was wie, co to jest napęd genowy? – Odpowiedziały jej puste spojrzenia. – A może Zika? – próbowała dalej.

Gray zmarszczył brwi.

– Chodzi ci o wirusa, który szalał w Ameryce Południowej i teraz zagraża Stanom Zjednoczonym?

– Właśnie.

Nawet Derek wiedział o tej chorobie. Powodowała tragiczne wady wrodzone, łącznie z mikrocefalią. Widział zdjęcia tych biednych dzieci.

– Niektóre kraje, łącznie z USA, rozważają walkę z rozprzestrzenianiem się tej choroby przez wykorzystanie nowej metody napędu genowego i wzięcie na cel komarów, które roznoszą wirusa.

– Jak? – zapytała Jane. – Na czym polega ta metoda?

– Naukowcy dodają albo modyfikują geny w taki sposób, że zmiana jest dziedziczna w całej populacji. Na Florydzie biorą pod uwagę wypuszczenie na swobodę genetycznie zmienionych rojów *Aedes aegypti*, które roznoszą Zika. Kiedy te owady, nazywane egipskimi, skojarzą się ze zwyczajnymi komarami, następane pokolenie samic będzie bezpłodne, podczas gdy płodne samce będą przekazywać szkodliwy gen kolejnym pokoleniom. Szacuje się, że komary na Florydzie mogą zniknąć w ciągu roku, co zlikwiduje zagrożenie Zika.

– Ale nie rozumiem – wszedł jej w słowo Derek. – Proponujesz wykorzystanie tego napędu genowego do walki z tą nową pandemią?

– Nie. – Ileara powiodła wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych. – Przeciwnie. Sądzę, że być może mamy tutaj do czynienia z naturalną wersją napędu genowego. W tym wypadku wymarcie grozi nie komarom, lecz nam.

Obróciła się i wyjęła laptopa.

– Pozwólcie, że pokażę. – Włączyła komputer i kontynuowała:

– Wcześniej mówiłam, jak archeony ewoluowały razem z wirusami. Wspomniałam, że ten konkretny okaz zawiera mnóstwo różnych cząsteczek wirusowych, które uwalnia, kiedy się rozmnaża.

– Myślcie o tym jak o koniu trojańskim – zauważył Monk. – Kiedy znajdzie się w twierdzy, uwalnia to, co ma w sobie ukryte.

– Na szczęście większość wirusów okazuje się nieszkodliwa, z wyjątkiem jednego, który należy do tej samej rodziny flawiwirusów co Zika. Jest wyjątkowo agresywny.

– Co robi? – zapytał Gray.

– Atakuje komórki przechodzące mejozę – wyjaśniła Ileara. – Większość naszego ciała goi się i rośnie dzięki mitozie, czyli podziałowi komórki macierzystej na dwie identyczne komórki

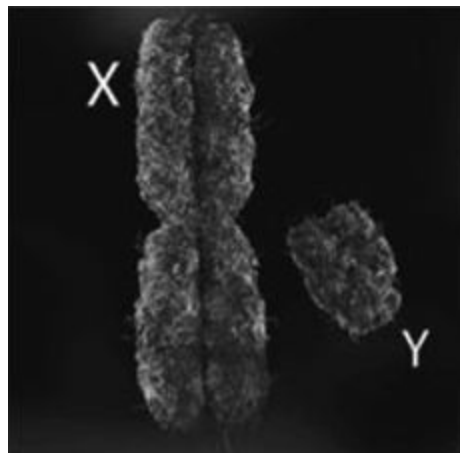
córki. Mejoza zachodzi w jajnikach i jądrach. W jej wyniku powstają gamety, plemniki i komórki jajowe, zawierające tylko połowę kodu genetycznego komórki matki.

– Jakie zniszczenia powoduje ten wirus? – zapytał Derek, któremu nie podobało się to, co słyszy.

– Bardzo specyficzne, wymierzone w pojedynczy chromosom.
– Ileara odsunęła się od komputera. – Ludzie i większość ssaków mają pary genów decydujące o płci, o naszej płci. Osobnik z chromosomami XX jest płci żeńskiej, a z XY męskiej.

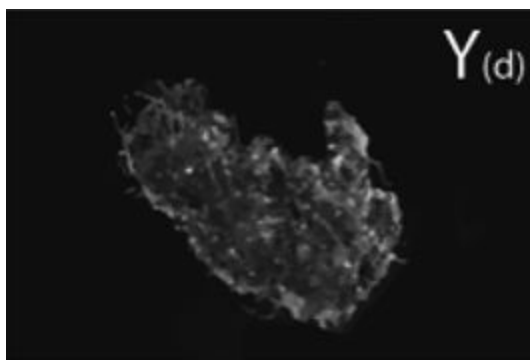
Wskazała ekran laptopa.

– Oto rekonstrukcja objętościowa tych dwóch genów u zdrowego osobnika. Jak widzicie, chromosom X jest znacznie większy od swojego towarzysza, chromosomu Y.



Postukała w mniejszy obrazek na ekranie.

– Nasz wirus bierze na cel tylko chromosom Y. Nie wiemy dlaczego. Może dlatego, że jest słabszy. A może to czysty przypadek. Tak czy inaczej, na następnym zdjęciu widać, jakie zniszczenia powoduje.



Brakowało dużego fragmentu chromosomu.

– Wygląda jak rękawica kuchenna – zauważył Kowalski.

– Tak, chyba tak – zgodziła się z nim Ileara.

Olbrzym odchrząknął, najwyraźniej zadowolony ze swojego wkładu w dyskusję.

– Genetycy – kontynuowała Ileara – przeanalizowali tę zniszczoną część. Są przekonani, że plemniki mężczyzny, który przeżyje infekcję, będą miały uszkodzony chromosom Y, co wpłynie na spłodzone przez niego dzieci. Dziewczynkom nic nie grozi, gdyż będą miały normalną parę XX, ale każdy chłopiec... zakładając, że urodzi się żywy... będzie miał uszkodzone chromosomy Y i prawdopodobnie umrze w ciągu kilku miesięcy.

Derek zaczął rozumieć zagrożenie.

– To oznacza, że nawet jeśli przeżyjemy pandemię archeonów, możemy być skazani na wymarcie jako gatunek.

Jane z wyraźnie pobladłą twarzą odsunęła się od biurka.

– O co chodzi? – zapytał Derek.

– To dziesiąta plaga – wymamrotała.

Ściągnął brwi.

– Co...?

Podeszła do stołu pełnego książek, podniosła Biblię ojca i otworzyła w zaznaczonym miejscu. Przeczytała ustęp z Księgi Wyjścia.

– *I pomrą wszyscy pierworodni w ziemi egipskiej od pierworodnego syna faraona, który siedzi na swym tronie, aż do pierworodnego niewolnicy, która jest zajęta przy żarnach, i wszelkie pierworodne bydła*[4](#).

Odłożyła książkę.

– Nawet *pierworodne bydła* – powtórzyła. – Doktor Kano, wspomniała pani, że ten mikrobia prawdopodobnie infekuje nie tylko ludzi, ale również większość zwierząt.

– Owszem. Wszystko, co ma układ nerwowy.

– Więc może być naukowym wyjaśnieniem dziesiątej plagi. Tej, która uderza tak w ludzi, jak i w zwierzęta. W starożytnym Egipcie oczyszczenie wód Nilu wymagało miesięcy, podczas gdy te wtórne szkody genetyczne z pewnością trwały znacznie dłużej. Nietrudno sobie wyobrazić, jak wspomnienia o śmierci męskiego potomstwa ludzi i zwierząt mogły zostać przekształcone i zawarte w historii o plagach jako ostatnia klątwa.

Ileara pokiwała głową z taką miną, jakby się spodziewała, że Jane dojdzie do takiego wniosku.

– A profesor McCabe miał własną teorię o pozostałych plagach – odezwał się Derek, przyciągając uwagę wszystkich obecnych. – Spędziłem długie noce na rozmowach z Haroldem o prawdzie stojącej za dziesięcioma plagami egipskimi. Jego teoria zasadniczo nie różni się od tego, o czym mówimy.

– Co to za teoria? – zapytał Gray.

Jane ubiegła Dereka.

– Uważał, że wszystko zaczęło się wtedy, kiedy jakaś zmiana środowiska naturalnego spowodowała czerwone zabarwienie wody w Nilu. Jest mnóstwo doniesień o spontanicznej zmianie koloru wód rzek i jezior z powodu kwitnienia alg, nadmiernego rozwoju bakterii, nawet skażenia metalami ciężkimi.

Ileara przytaknęła skinieniem głowy.

– I jedna z najbardziej dramatycznych zmian występuje sezonowo tutaj, na Bliskim Wschodzie. Irańskie jezioro Urmia każdego lata robi się szkarłatne, ponieważ dochodzi tam do szybkiego rozwoju *Halobacteriaceae*. – Spojrzała na Graya i znacząco uniosła brew. – Tak się składa, że to mikroorganizm należący do domeny archeonów.

– Jak patogen, z którym mamy do czynienia. – Komandor przymrużył oczy. – Więc mamy precedens w regionie.

– Nie tylko tutaj – zaznaczyła Ileara. – Inny mikroorganizm należący do domeny archeonów sprawia, że woda w Wielkim Jeziorze Słonym czasami robi się niebieskaworóżowa.

– Fakt – przyznał Gray. – Ale jak to się wiąże z pozostałymi dziewięcioma plagami?

Odpowiedzi udzielił Derek.

– Jeśli życiodajny Nil stał się toksyczny, późniejsze plagi można wyjaśnić bez uciekania się do ingerencji Boga.

Podszedł do stołu i otworzył dziennik profesora na stronie z wyliczonymi dziesięcioma plagami. Przesuwał palec w dół listy, dzieląc się przemyśleniami profesora.

- 1) Przemiana wody w krew
- 2) Deszcz żab
- 3) Plaga komarów
- 4) Plaga much
- 5) Pomór bydła
- 6) Wrzody
- 7) Burza gradu i ognia
- 8) Atak szarańczy
- 9) Trzy dni ciemności
- 10) Śmierć pierworodnych

– Trzy następne plagi, żaby, komary i muchy, mogły być skutkiem przemiany wody – powiedział. – Żaby uciekały z zatrutych wód Nilu i zdychały. Nagły spadek populacji żab spowodował, że będące ich pokarmem komary i muchy rozpleniły się na niespotykaną skalę.

– I pamiętajcie – wtrąciła Jane – że żywiące się krwią owady są głównymi roznośicielami chorób, więc mogły spowodować masowe padanie bydła. Co więcej, ukąszenia mogły się przyczyniać do powstawania wrzodów.

– Mamy więc plagę piątą i szóstą – rzucił Gray, patrząc nad ramieniem archeologa na listę.

Derek postukał palcem w następne trzy punkty.

– Grad, szarańcza i ciemność mają inne wyjaśnienie, niepowiązane z zatruciem Nilu.

– Jakie? – spytał Gray.

– Wulkan Thera w archipelagu Santoryn. Jakies trzy i pół tysiąca lat temu wybuchł z niespotykaną siłą, wyrzucając w powietrze miliardy ton popiołu, które zostały zniesione nad Egipt. Archeolodzy znajdują w ruinach egipskich pumeks, skałę wulkaniczną powstającą ze stygnącej lawy.

– A w Egipcie nie ma wulkanów – przypomniała im Jane.

– Pył wulkaniczny – kontynuował Derek – może spowodować wystąpienie dramatycznych zjawisk atmosferycznych, zwłaszcza jeśli erupcja zbiegnie się z deszczową porą roku. Meteorolodzy dowiedli, że wyrzucenie gorącego popiołu w chmury burzowe może wywołać potężne burze gradowe z piorunami.

– I przypuszczam, że właśnie takie chmury pyłu zaciemniły niebo Egiptu – wtrącił Gray. – Ale co z plagą szarańczy?

– Samice wolą składać jaja w wilgotnym podłożu, więc topnienie gradu i zmiany atmosferyczne po wybuchu Thery mogły doprowadzić do rozmnożenia się szarańczy – wyjaśniła Jane.

– Co prowadzi nas do dziesiątej plagi. – Derek przejął pałeczkę. – Harold przypisał ją temu, że rodzina otaczała szczególną troską pierworodnych synów. To oni dostawali najwięcej pożywienia. Jeśli więc szarańcza zjadła większość zboża, a to, co zostało, uległo spleśnieniu, pierworodni synowie zachorowali jako pierwsi i umierali z powodu zatrucia grzybami.

Jane zwróciła się do Ileary:

– Ale nawet mój ojciec nie miał całkowitej pewności co do takiego wyjaśnienia. Przecież wielu innych też jadło spleśniałe zboże i umierało. I dlaczego miałyby ucierpieć również pierworodne sztuki bydła?

– Może teraz mamy lepsze wyjaśnienie – powiedział Derek, wpatrując się w ekran laptopa. – Wyraźniejszą ścieżkę do powiązania pierwszej plagi z ostatnią.

– Dlaczego zakreślony jest akurat punkt siódmy? – odezwała się po raz pierwszy Seichan. Wskazała siódmą pozycję na liście, zaznaczoną przez Harolda plagę gradu i ognia.

Archeolog wzruszył ramionami i spojrzał na Jane.

Ta pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

– Jeśli mamy rację i ten mikroorganizm rzeczywiście spowodował większość plag, łącznie z ostatnią, to jak Egipcjanie go powstrzymali? – poruszył kolejną kwestię Gray.

Jane próbowała odpowiedzieć:

– Wtedy świat był inny. Bardziej odizolowany. Choroba mogła szaleć w regionie, dopóki nie wygasła.

Ileary zmarszczyła czoło, wyraźnie nieusatysfakcjonowana takim wyjaśnieniem.

– Chyba że jest inny powód. Coś ukrytego na pustyni, na co natknął się twój ojciec.

Gray obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem.

– Naprawdę myślisz, że w starożytności mogli znaleźć lek na chorobę, która dzisiaj stanowi wyzwanie dla najwybitniejszych naukowców?

Wzruszyła ramionami.

– Tak już kiedyś było. Na przykład z MRSA.

– To znaczy?

– Podczas gdy ta superbakteria była plagą szpitali, pewien badacz z uniwersytetu w Nottingham wypróbował recepturę na maść do oczu, znalezioną w dziewiętnastowiecznym tekście medycznym zatytułowanym *Bald's Leechbook*. Zasadniczo jest to preparat złożony z czosnku, cebuli i porów, podawany z winem i krowią żółcią.

– Krowią żółcią? – mruknął Kowalski. – Jeśli to ma być lekarstwo, wolałbym pozostać chory.

Gray zignorował go i zwrócił się do Ileary:

– I co się stało?

– Mikrobiolodzy przetestowali miksturę na kulturach MRSA i stwierdzili, że zabija dziewięćdziesiąt procent bakterii gronkowca złocistego.

– Więc zadziałała – podsumował Gray.

Pokiwała głową.

– I kto wie, czy Egipcjanie nie natknęli się na podobne lekarstwo? Nawet jeśli szanse są znikome, musimy go szukać.

Gray spojrział na zegarek.

– W takim razie zbierajmy się. Nasz samolot podkołuje za piętnaście minut. Lepiej, żeby nie odleciał bez nas.

Wszyscy zaczęli się szykować.

Gdy Derek pakował plecak, Monk pociągnął na stronę Graya.

– Zanim spotkaliśmy się na lotnisku, rozmawiałem z Painterem. Chce, żebym został z Ilearą w Kairze i koordynował współpracę z NAMRU-trzy.

– Niech zgadnę. Chce, żebyście byli oczami i uszami Sigmy w miejscu wybuchu zarazy.

– Poza tym martwią go niepokoje polityczne. Grupy religijne dostają szału. Niektórzy twierdzą, że nastąpi apokalipsa. W regionie, który już jest beczką prochu, taka płomienna retoryka niczem nie pomaga.

– No to łap kask i sikawkę.

Monk poklepał go po ramieniu.

– Mimo wszystko będę miał lepiej niż ty.

– Pod jakim względem?

– Przynajmniej będę miał klimatyzację.

Dołączyła do nich Seichan.

– Monk, kiedy rozmawiałeś z Painterem, wspomniał może o identyfikacji tego zamachowca, który zaatakował nas w kościele w Ashwell?

Spojrzenie Dereka się wyostriżyło. Przeraziła go możliwość, że gdzieś tu może czyhać zabójca.

Monk pokręcił głową.

– Wciąż nad tym pracują z Kat. Ale wierz mi, Painter ma motywację. Ta kobieta z tatuażem może być jedynym tropem

prowadzącym do miejsca pobytu Safii al-Maaz.
W oczach Seichan wydać było wściekłość.
– Lepiej, żeby ją znalazł, zanim ja to zrobię.

Kair, Egipt

2 czerwca, godzina 15.22 czasu miejscowego

Wala Michajłow położyła lornetkę na parapecie okna w wynajętym pokoju. Obserwowała, jak hercules C-130 przechyla się na błękitnym niebie. Skręcał niczym ciężki ptak, obierając kurs na południe. Wcześniej przez lornetkę szpiegowała pasażerów spieszących wsiadających przez tylny właz do samolotu. Chciała sprawdzić, czy Jane McCabe jest z nimi.

Usatysfakcjonowana, przysunęła do ust mikrofon Bluetooth.

– Są w drodze do Chartumu – powiadomiła młodszego brata.

– W takim razie wszystko przebiega zgodnie z planem – odpowiedział Anton. – Największe szanse na uprowadzenie córki profesora bez wywoływania natychmiastowego alarmu będą na pustyni. Ekipa będzie na ciebie czekać w umówionym miejscu.

– Rozumiem – rzuciła i zakończyła rozmowę.

Od dwóch dni tropiła zwierzynę. Niewielu mogłoby dorównać Wali, jeśli chodzi o umiejętności tropienia, talentu wyczelowanego przez lata szkolenia w Gildii. Na dowód miała na plecach siatkę krzyżujących się blizn, pamiątkę po karach, jakie ją spotykały, gdy dawała się wykryć swoim poprzednim panom. Chcąc uniknąć kary, nauczyła się przemieniać w ducha, co współgrało z jej bladą karnacją i wyrazem twarzy.

Łącząc tę umiejętność ze środkami, w jakie ją wyposażył nowy pracodawca, bez wysiłku śledziła cele ze stacji kolejowej w Ashwell do hotelu w Kairze. Na każdym kroku wypatrywała sposobu, żeby rozdzielić młodą kobietę i jej ochroniarzy, ale

podczas szkolenia nauczyła się cierpliwości. Pospieszne działanie oznaczało kolejną bliznę.

Teraz był jeszcze większy powód do zachowania ostrożności.

Maja siostra...

Wala przyjrzała się kobiecie, która zaskoczyła ją w Ashwell i tak pomysłowo wyeliminowała jej ludzi. Widziała ją przez chwilę po drugiej stronie stawu za kościołem, ale nie była do końca pewna, czy ją zna. Zyskała pewność, gdy zaczęła śledzić swoje cele. Rozpoznała ją nie tyle z wyglądu, ile po zachowaniu i umiejętnościach. Mało brakowało, a kobieta by ją zauważyła, i taka sytuacja powtórzyła się trzy razy.

To graniczyło z niepodobieństwem – chyba że ktoś miał podobną przeszłość jak Wala.

Dlatego jej przypuszczenie powoli przeradzało się w absolutną pewność.

Wiedziała, z kim ma do czynienia: z mroczną siostrą, cieniem samej siebie.

Słyszała o kobiecie, która zdradziła Gildię; o jakiejś Eurazjatce, jednej z najlepszych zabójczyń Gildii. W konsekwencji tej zdrady ona i jej brat zostali bez środków do życia. Bliscy ruiny, musieli się ukrywać przed tymi, którzy chcieli zetrzeć Gildię z powierzchni ziemi.

Na szczęście umiem się ukrywać, pomyślała.

Dzięki temu oboje z bratem uniknęli tej czystki. Z czasem znaleźli nowego pracodawcę, ale już nigdy nie było tak samo. Była dłużna zdrajczyni za cierpienie, za poniesione straty. Wrzała w niej furia – doprawiona odrobiną podniecenia.

Wala tęskniła za prawdziwym wyzwaniem i wreszcie je znalazła.

Podeszła do stołu, na którym leżały noże, świeżo naostrzone i ostre jak brzytwa. Podniosła ten najstarszy. Należał do jej babki, która mieszkała w wiosce na Syberii, aż podczas drugiej wojny światowej została zwerbowana do walki z Niemcami. Należała do złożonej z samych kobiet jednostki, 588 Pułku Nocnych Bombowców. Latały na starych dwupłatowcach Po-2, zwanych

kukuruźnikami – zaprojektowanych przez Polikarpowa – zbyt wolnych na misje dzienne. Pilotki startowały po zachodzie słońca, przemykały nad niemieckimi bateriami dział przeciwlotniczych i zrzucały bomby na obozy wroga. Dzięki zabójczej skuteczności Niemcy przezwali je *Nachthexen* – nocne wiedźmy.

Wala uśmiechnęła się, bo wiedziała, co przyciągnęło jej babkę do tej szczególnej jednostki. Obróciła w rękach ostrze i przeciągnęła palcem po czarnej rękojeści. Babka wycięła ją z syberyjskiego świerku przy pełni księżyca. Był to *athamé*, sztylet używany podczas obrzędów magicznych. Babka była szanowaną znachorką, wioskową uzdrowicielką. Przekazała swój talent i narzędzia córce, matce Wali i Antona.

Na nieszczęście.

Mieszkańcy tych dalekich wiejskich regionów byli znani z zabobonów i nietolerancji. W takim surowym klimacie wystarczyło kilka lat nieurodzajów, żeby zaczęli szukać winnego. Wdowa z dwójką dziwnych, bladych dzieci szybko padła ofiarą prześladowań. Musieli uciekać z domu i dotarli do Moskwy. Matka, nie mając grosza przy duszy, została prostytutką. Zmarła w ciągu roku, zabita przez klienta. Wala zaskoczyła mordercę na gorącym uczynku i w ataku wściekłości zadźgała go sztyletem babki, przemieniając uzdrowicielskie narzędzie w instrument śmierci.

Później oboje z Antonem – ona miała wtedy dwanaście, a on jedenaście lat – radzili sobie sami na ulicach, powoli dzicząc, aż znalazła ich Gildia i obróciła ich gniew w zabójcze umiejętności.

Wala spojrzała w lustro nad biurkiem. Przypudrowała tatuaż, żeby nie rzucał się w oczy, ale ciemne słońce i tak prześwitywało. Oboje oszpecili twarze, w ten sposób przypieczętowując obietnicę, że zawsze będą mogli na siebie liczyć.

Nic jednak nie trwa wiecznie, pomyślała z goryczą.

Anton znalazł kogoś innego.

Oderwała spojrzenie od swojego odbicia, wciąż trzymając sztylet *athamé*. Czubek zwykle był używany do rzeźbienia

potężnych symboli w świecach i magicznych totemach. Obróciła go ku mroczniejszym celom, wycinając na czołach ofiar złe oko – zaczerpniętą z tej części świata stylizowaną wersję oka Horusa.

Wyobraziła sobie kobietę, która zniszczyła Gildię, przez którą ona i brat wylądowali na ulicy, i wbiła sztylet w blat biurka. Powoli wycięła w drewnie nową obietnicę, zdecydowana napiętnować zdrajczynię tym znakiem.



Skończywszy, utkwiała wzrok w swoim rękodziele.

W przeciwieństwie do brata, który złamał dane mi słowo, ja dotrzymam tej obietnicy.

Waszyngton, Stany Zjednoczone

2 czerwca, godzina 11.44 czasu miejscowego

– Gray i spółka wylądowali bezpiecznie w Chartumie – oznajmiła Kat, gdy weszła do biura dyrektora. Zwróciła uwagę na walające się po biurku kubki ze Starbucksa.

Zbyt wiele jak na jeden poranek, uznała.

Painter uniósł rękę, bez słowa prosząc o ciszę. Siedział z podwiniętymi rękawami, pochylony nad grubą teczką. Na ścianie za jego plecami były zamontowane ekrany. Na jednym leciały wiadomości BBC, drugi ukazywał mapę z przewijającymi się danymi z CDC, a trzeci ją zaskoczył. Zobaczyła puste biuro widziane przez kamerę internetową. Zaintrygowana, przyjrzała się uważniej. Stał tam fotel odsunięty od biurka. Z boku wisiała półka z książkami o tytułach w języku angielskim i arabskim.

Nagle na fotel opadła znajoma postać.

Oddech uwiązał jej w gardle z zaskoczenia, bo zobaczyła męża.

Monk przysunął się do kamery, zobaczył Kat i wyszczerzył zęby.

– Cześć, skarbie, wróciłem.

Kat obeszła biurko Paintera, zbliżając się do ekranu i mikrofonu.

– Gdzie jesteś?

Rozejrzał się po pokoju.

– Ludzie z NAMRU-trzy pozwolili nam korzystać z tego biura. Jest w piwnicy, ale dogodnie blisko biblioteki medycznej.

Odchylił się w fotelu i odjechał w bok.

Kat zmarszczyła czoło.

– Co ty...

Pojawiła się kolejna twarz.

– Cześć, Kat.

Zobaczyła doktor Ilearę Kano, w fartuchu laboratoryjnym, z ciemnymi włosami skromnie ukrytymi pod chustką, z plikiem czasopism pod pachą.

Kat uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Miło cię widzieć, Ilearo. Mam nadzieję, że mój mąż nie sprawia zbyt wielu kłopotów.

– Ani trochę. – Po chwili dodała: – No tak, mógłby przestać wyjadać żelki. W tym kryzysie są na wagę złota.

Monk nie okazał śladu skruchy.

– Co mam powiedzieć? Jestem dorastającym chłopcem.

Kat ogarnęło wzruszenie.

– Zawsze był łąsy na słodycze – powiedziała.

– Dlatego się z tobą ożeniłem, najśłodsza kobieto, jaką znam.

O rany...

– Nie krępuj się i daj mu po łapach – poradziła przyjaciółce Kat.

– Może później. Jeśli słoje z cukierkami będzie pusty po moim powrocie z biblioteki. – Pomachała ręką i zniknęła.

Kat miała Monkowi tyle do powiedzenia, o ich dwóch córkach, o tym, jak za nim tęskniła. Choć wyjechał zaledwie kilka dni temu, bardzo jej go brakowało. Potrzebowała go zawsze, choćby tylko po to, żeby z nią posiedział po położeniu dziewczynki do łóżka.

– Ja też za tobą tęsknię – zapewnił ją ze szczerym uśmiechem.

Chciała go uściskać i mimo woli zrobiła krok do przodu, lecz nie była sama.

Painter odsunął fotel od biurka i stał, wyginając plecy z bolesnym grymasem. Wiedziała, że spędził w biurze całą noc. Lisa, jego żona, wybrała się do swojego brata w Kalifornii, więc mówił, że nie ma powodu porzucać posterunku w czasie tego kryzysu.

Ale Kat podejrzewała, że prawdziwy powód wiąże się nie tyle z pustym domem, ile z czymś bliższym jego sercu.

Safia al-Maaz wciąż była duchem, i Painter nie spocznie, dopóki jej nie znajdą.

Stanął obok niej, ręką tłumiąc ziewnięcie.

– Monk opowiadał mi o wydarzeniach w Kairze. Nagle musiał...

– ...wyskoczyć na chwilę – dokończył Monk. – Nawet w epicentrum pandemii facet musi odpowiedzieć, gdy natura wzywa.

– I był to zew w samą porę – podjął Painter. – Gdy go nie było, dostałem raport z moskiewskiego biura Interpolu. Nie jestem pewien, czy ma to jakieś znaczenie, ale chciałbym, żebyś sprawdziła ten trop.

– Oczywiście – odparła Kate.

– Wygląda na to, dzieciaki, że jesteście zajęte – powiedział Monk. – A ja za dziesięć minut mam zebranie z tutejszym kierownictwem badań naukowych. Zamelduję się, jeżeli będą jakieś ważne wiadomości.

Puścił oko do żony, capnął garść żelków i zakończył przekaz.

Kat pokręciła głową i spojrzała na szefa.

– Czego się dowiedziałeś z Moskwy?

Podejrzewała, że sprawa dotyczy wytatuowanej zabójczyni, o której Seichan mówiła, że podobnie jak ona mogła być kiedyś związana z Gildią. Na razie nie chciała robić sobie nadziei. Od czterdziestu ośmiu godzin trafiała w jeden ślepy zaułek po drugim, próbując zidentyfikować tę kobietę. Seichan znała ją tylko ze słyszenia. Jak ona, była łowczynią-zabójczynią pracującą dla Gildii. Kat pamiętała, jak Seichan opisywała jej umiejętności.

Kiedy raz cię zwietrzy, już jesteś martwa.

Seichan przypuszczała, że przeżyli atak w Ashwell tylko dlatego, że zabójczyni została zaskoczona przez udział Sigmy.

„Ale nie powtórzy tego błędu”, ostrzegła.

Painter wyjął z teczki arkusz papieru i przesunął go w stronę Kat.

– Możesz mieć rację co do znaczenia tego symbolu – powiedział.

Spojrzała na kartkę. Po ataku Seichan przysłała im szkic tatuażu kobiety. Wyglądał jak połowa słońca. Była to jedyna konkretna wskazówka, która mogła doprowadzić do zidentyfikowania zabójczyni o jasnej karnacji. Kat wprowadziła tę informację do różnych baz, ale nie znalazła żadnych informacji.

Po dwudziestu czterech godzinach, nie mając ani jednego nowego tropu, bawiła się symbolem, zastanawiając się, czy nie jest połową całości. Zrobiła lustrzane odbicie i uzyskała całe słońce, które teraz miała na kartce przed sobą.



Promienie słońca były złamane, tworząc kształt koła. Kat szybko zidentyfikowała symbol. Chodziło o kołowrót, słowiański symbol słońca z pogańskich czasów; niegdyś był powiązany z magią, ale później przyjęły go partie nacjonalistyczne, łącznie z neonazistami.

Używając tej informacji do zawężenia pola poszukiwań, Kat skoncentrowała swoje poszukiwania na krajach słowiańskich. Przez sieć kontaktów w środowiskach wywiadu dotarła do biur Interpolu w trzynastu krajach tamtego regionu i poprosiła o sprawdzenie kartotek policyjnych w mniejszych miastach, akt, które mogły nie dotrzeć do głównej bazy danych w Interpolu w Lyonie. Z tą samą prośbą zwróciła się do moskiewskiego biura, ponieważ większość krajów słowiańskich kiedyś należała do bloku wschodniego.

Zrobiła to dwadzieścia cztery godziny temu.

– Masz coś? – zapytała. – Ktoś znalazł akta kobiety, która ma połowę tego symbolu na twarzy?

– Nie – odparł Painter, gasząc iskierkę nadziei.

– Więc co...?

– Moskwa znalazła akta młodego mężczyzny, w zasadzie chłopca, szesnastolatka, z połową tego symbolu na twarzy. Dziesięć lat temu został skazany za drobną kradzież i czyny nierządne w miasteczku niedaleko Moskwy. Uciekł i nie trafił do więzienia.

Kat westchnęła, wyczuwając kolejną ślepą uliczkę.

– Dyrektorze, to raczej nie jest solidny punkt zaczepienia. Spodziewałam się, że możemy mieć kilka fałszywych tropów, zwłaszcza że symbol kołowrotu stał się popularny w ugrupowaniach neonazistowskich. Poszperaj w internecie, a znajdziesz setki rasistów z takim tatuażem.

– Również takich, co mają wytatuowaną tylko połowę tego symbolu?

Musiała przyznać, że to dziwne.

– Spójrz na to. – Otworzył teczkę i wyjął wydruk policyjnego zdjęcia chłopaka. Na dole strony widniały wypisane graźdanką linijki, w których prawdopodobnie wymieniano popełnione przez niego przestępstwa. Postukał w zdjęcie. – Wygląda znajomo?

Kat spojrzała na młodą, gładką twarz. Błada skóra, śnieżnobiałe włosy. Był dość przystojny, z cienkimi wargami i ostrym nosem. Niestety, rzucający się w oczy tatuaż szpecił lewą stronę twarzy, nadając rysom bestialski wyraz.

Painter wskazał palcem słowo w ramce.

альбинос

– Tu jest napisane, że jest albinosem – wyjaśnił.

Kat szeroko otworzyła oczy, przypominając sobie podany przez Seichan opis upiornej powierzchowności kobiety.

– Może warto się tym zająć. Jak on się nazywa?
– Anton Michajłow.
Wyciągnęła rękę po teczkę.
– Zobaczę, co da się zrobić.
Biorąc akta, wyczytała zmartwienie w oczach Paintera.
Nie musiała go pytać o powód.
Czas Safii al-Maaz być może się kończył.

Wyspa Ellesmere'a, Kanada

Godzina 12.10 czasu miejscowego

To wszystko przeze mnie...

Dreńczona przez poczucie winy Safia miała kłopot z patrzeniem w oczy Rory'emu McCabe'owi. Syn Harolda rozebrał się do bokserów i właśnie wciągał szczelny żółty kombinezon. Odwracała wzrok, nie z przyzwoitości, ale ze wstydu. Rory miał podbite prawe oko i tak spuchnięte powieki, że pewnie niewiele widział.

Wczoraj odwlekała zrobienie tego, co powinna. Znając ustalony dla niej rygorystyczny harmonogram, podjęła bierny protest, markując wyczerpanie, poruszając się powoli, tylko udając, że czyta tomy starych notatek profesora McCabe'a. Wykorzystywała czas na badanie otoczenia, szukanie drogi ucieczki. Doszła jednak do ponurego wniosku.

Stąd nie ma wyjścia.

Bazę na Wyspie Ellesmere'a otaczały kilometry otwartej tundry, z którą od północnego wschodu sąsiadowało morze pokryte kawałkami lodu. W nocy, nie mogąc zasnąć, słuchała jęków i trzasków zderzającej się kry. Przypuszczała, że bezustanny chór milknie tylko w ciemnościach zimy, kiedy Ocean Arktyczny zamarza i słońce znika na długie miesiące.

Nawet gdyby uciekła, w tundrze nie brakowało niebezpieczeństw. Przez okno widziała szarobiałe garby powoli

przesuwające się po czarnym granicie. Na brzegach wyspy grasowały niedźwiedzie polarne, polując na foki i wszystko inne, co nadawało się do jedzenia. Dziś rano przed wezwaniem do pracy zauważyła kilku robotników przy antenach, zajętych sprawdzaniem kabli i robieniem notatek. Wszyscy mieli strzelby na ramionach.

Nie miała pojęcia, do czego służy ten stalowy las zajmujący powierzchnię kilkudziesięciu hektarów ani wielkie wyrobisko pośrodku. Z okna w bibliotece stacji zauważyła, że ze środka dołu coś wystaje. Widziała tylko sam czubek, wielką srebrną kopułę o średnicy co najmniej dwudziestu metrów.

Próbowała wypytać Rory'ego o instalację, ale tylko opuścił głowę i zerknął na bladego strażnika, Antona. Nie była zaskoczona powściągliwością chłopaka. Najwyraźniej te informacje nie były przeznaczone dla jej uszu. Już się zorientowała, że pracownicy podzieleni są na kategorie. Obowiązywała tu ścisła zasada ograniczonego dostępu i każdy wiedział tylko tyle, ile musiał. Technicy spotykani w korytarzach, ubrani w takie same stroje, trzymali się razem. Przypuszczała, że w zależności od wykonywanych obowiązków personel bazy nosi kombinezony w określonych barwach.

Spojrzała na złożony na ławce szary kombinezon Rory'ego. Inni ludzie od nich stronili, nawet nie chcieli nawiązać kontaktu wzrokowego, więc mogła się domyślać, co ten szary kolor oznacza.

Więżnia.

A może lepiej brzmiałoby „robotnika przymusowego”, z naciskiem na przymusowy.

Rory skrzywił się, naciągając na głowę kaptur, bo uraził podpuchnięte oko. Wczoraj Anton zadał mu cios bez ostrzeżenia. Chłopak upadł na plecy, zbyt oszołomiony, żeby chociaż sapnąć. Strażnik nie oderwał od niej wzroku. Jego słowa, wypowiedziane z twardym akcentem, były lakoniczne.

„Jutro pracuj lepiej”.

Najwyraźniej rozczarowała go jej etyka pracy.

Dziś rano zrobiła wszystko, co jej kazał, czyli przede wszystkim czytała regulamin pracy w laboratorium i uczyła się go na pamięć. Anton ją przepytał i tym razem, zadowolony, pokiwał głową.

Przebijając się, powtarzała w myśli główne punkty instrukcji.

– Osoba przebywająca w laboratorium musi być ubrana w kombinezon nadciśnieniowy.

– Próbkki biologiczne muszą być zapakowane w podwójne hermetyczne opakowania i odkażone w zbiorniku albo komorze dezynfekcyjnej.

– Należy dekontaminować wszystkie powierzchnie robocze.

– Przed wyjściem zewnętrzne kombinezony muszą być oczyszczane pod prysznicem odkażającym.

Były tam dziesiątki innych nakazów i zakazów i wiedziała, że to Rory poniesie karę za jakiegokolwiek uchybienia.

Zakładając, że błąd najpierw nie zabije mnie, pomyślała.

Nie mogła zapanować nad drzeniem ze strachu, gdy włożyła kaptur i uszczelniała kombinezon, przez chwilę czując klaustrofobiczną panikę. Szybko przykręciła przewód doprowadzający powietrze, które z sykiem wypełniło kombinezon, co pomogło jej zapanować nad nerwami. Odetchnęła kilka razy zimnym powietrzem o metalicznym smaku.

Rory stanął przed nią; wyglądał jak astronauta na uwięzi.

– W porządku? – zapytał, aktywując głosem radiotelefon.

Pokiwała głową, może trochę zbyt energicznie.

– Na pewno?

– Tak – wykrztusiła, po czym dodała z większym przekonaniem: – Nic mi nie jest, Rory. Miejmy to za sobą.

Nie chciała, żeby wyglądało na to, że wzbrania się przed wypełnianiem obowiązków. Anton stał za oknem z rękami

założonymi za plecy. Miał słuchawkę w uchu, żeby nadzorować ich rozmowy przez radio.

– Idziemy – rzuciła Safia.

Wszedł pierwszy przez następne drzwi do strefy z prysznicem, a stamtąd do głównego laboratorium. Stan niektórych stanowisk pod ścianami wskazywał, że dziś rano byli tu inni. Z pewnością rozkazano im wyjść, żeby ona i Rory mogli mieć prywatną audiencję z obiektem.

Wysoka zapieczętowana gablota czekała na nich, podobnie jak jej zawartość.

Mimo strachu Safia była zafascynowana zmumifikowaną kobietą na poczerńiałym srebrnym tronie. Siedziała z lekko schyloną głową w niewymuszonej pozie. Ten widok pomógł jej się uspokoić. Obejrzała wszystko, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Głowa kobiety była gładka i łysa, ale podejrzewała, że to nie proces rozkładu pozbawił tę egipską księżniczkę ciemnych włosów.

Została ogolona.

Na jej ciele nie było jednego włosa; zniknęły nawet brwi.

Popychana ciekawością Safia zbliżyła się do obiektu.

– To z pewnością śmierć rytualna – szepnęła do siebie, ale radio wyłapało i przekazało jej słowa.

– Mój ojciec też tak sądził – powiedział Rory. – Był przekonany, że zamurowano ją w grobie za życia. Co najgorsze, wokół podstawy grobu był krąg starego popiołu, sugerujący, że po uwięzieniu została upieczona.

– Nie sądzę, że ktoś ją uwięził. Myślę, że weszła tam dobrowolnie. Spójrz, jaki spokój wyraża jej ciało. Nie jest skuta ani skrupowana. Ból musiał być niewyobrażalny. – Safia przechyliła głowę, przyglądając się zwęglonej skórze w miejscu, gdzie stykała się ze srebrnym krzesłem. – Tak, ani razu nie wstała z rozżarzonego tronu.

Sięgnęła do rygla, żeby odpieczętować gablotę.

– Pozwól, ja to zrobię – zaproponował chłopak.

~

Czuąc dreszcz zniecierpliwienia, skinęła głową i odsunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Wczoraj kazano jej przejrzeć notatki profesora McCabe'a, a przynajmniej te resztki, które z nich zostały. Nie poznała szczegółów, ale dowiedziała się, że przed ucieczką próbował zniszczyć materiały. Nie do końca mu się udało. Zachowały się fragmenty bardzo obszernej pracy. Miała je poskładać z pomocą Rory'ego.

Zdawała sobie jednak sprawę, że ci ludzie wiele przed nią ukrywają.

Nadal nie miała pojęcia, skąd pochodzi ta kobieta ani dlaczego jest taka ważna.

Rory odpiął ostatni zatrzask, wysunął ostatni rygiel i szeroko otworzył drzwi.

Pragnąc uzyskać odpowiedzi, Safia stanęła przed księżniczką. Omiotła wzrokiem jej postać, dostrzegając szczegóły, których nie widziała z daleka. Rzeźbione zwieńczenia oparcia – od warg warczącego lwa po krągłość policzka królowej po drugiej stronie tronu – były arcydziełami egipskiej sztuki.

Ale wzrok Safii spoczął na prawdziwym cudzie. Dzieło spłowiło ze starości, ale pozostało niezaprzeczalnie piękne.

Nic dziwnego, że kobiecie ogolono ciało.

Powierzchnię skóry pokrywały wytatuowane hieroglify. Biegły w dół, rząd po rzędzie, od sklepienia czaszki po bosc stopy.

Boże...

Safia poczuła, że ściska ją w gardle. Wiedziała, że ta kobieta umarła, żeby na wieki zachować historię wypisaną na swoim ciele.

Spojrzała na jej pogodne oblicze i cicho szepnęła:

– Opowiedz mi wszystko.

Waszyngton, Stany Zjednoczone

Godzina 14.13 czasu miejscowego

– Mam następny trop! – zawołał Jason z sąsiedniego pokoju.

Kat odwróciła się w tamtą stronę. Okno jej biura wychodziło na centrum łączności Sigmy. W zaciemnionym pomieszczeniu jarzył się jeden monitor, oświetlając twarz głównego analityka, Jasona Cartera. Dawniej służył w marynarce, jak ona, tyle że był dziesięć lat młodszy. Kat zwerbowała go do Sigmy, kiedy włamał się do serwerów Departamentu Obrony, mając tylko BlackBerry i iPada. Blondynek o chłopięcej urodzie był geniuszem, zwłaszcza gdy chodziło o analizy.

Wstała i przeszła do centrum.

– Pokaż – rzuciła.

W ciągu ponad dwóch godzin znalazł trzy inne tropy Antona Michajłowa, ale każdy prowadził donikąd.

Zgarbiony Jason stukał w klawiaturę.

– Ten wygląda obiecująco.

– Ja to osądzę. – Jej głos zabrzmiał surowiej, niż zamierzała. Położyła rękę na ramieniu Jasona. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy. – Zerknął na nią. – Rozumiem, jesteś pod presją. W korytarzu wpadłem na szefa. Jest... hm... spięty.

– Martwi się. Jak my wszyscy.

Pokiwał głową.

– Może to nam coś da.

Wczytał na ekran zdjęcie paszportowe i umieścił je obok wizerunku starszego Antona Michajłowa, stworzonego przez program do postarzania wyglądu na podstawie fotografii z kartoteki policyjnej. Wrzuciła zmienione zdjęcie do globalnej bazy rozpoznawania twarzy, mając nadzieję, że coś wyskoczy. Na wszelki wypadek wysłała dwie wersje: jedną z wyrazistym tatuażem, a drugą bez. Nie mogła wykluczyć możliwości, że mężczyzna zasłonił albo usunął tę charakterystyczną cechę, żeby lepiej się ukryć.

Teraz uznała, że postąpiła słusznie, bo mężczyzna ze zdjęcia paszportowego na ekranie komputera nie miał tatuażu.

Porównała obie twarze. Wyglądały bardzo podobnie. Przeczytała nazwisko w paszporcie.

– Anthony Vasiliev.

Jason uniósł brew.

– Anthony... Anton. Z pewnością to nie zbieg okoliczności. Poszedłem dalej i sprawdziłem jego przeszłość pod tym nowym nazwiskiem. Znalazłem to. – Wczytał kolejne zdjęcie.

Był to identyfikator pracownika.

Kat pochyliła się i przeczytała nazwę firmy.

– Clyffe Energy.

– Z akt wynika, że Anthony Vasiliev jest szefem ochrony arktycznej bazy badawczej o nazwie Stacja Aurora.

W Arktyce...

Kat zaczęła się zastanawiać, czy może się mylić. Może podobieństwo rysów twarzy i imienia jest czystym przypadkiem. Międzynarodowy koncern Clyffe Energy, posiadający setki patentów związanych z odnawialnymi źródłami energii, prowadził wiele różnych przedsięwzięć. Jego dyrektor generalny, Simon Hartnell, był cudownym dzieckiem, miliarderem przesuwającym granice wykorzystania energii słonecznej, wiatrowej i geotermalnej. Podczas gdy inni giganci przemysłu kupowali drużyny koszykarskie albo wiodli pełne luksusów życie, Simon Hartwell był filantropem; przekazywał miliony dolarów na cele charytatywne, zwłaszcza w Afryce.

– Jeśli to naprawdę Anton Michajłow – odezwała się Kat – to jego nowa tożsamość musi być kuloodporna, skoro przeszła przez kontrolę korporacji. Clyffe Energy realizuje wiele kontraktów rządowych, łącznie z pracami dla DARPA. Może to nie nasz facet.

Zamiast odpowiedzieć, Jason wczytał coś, co wyglądało na akta medyczne.

– Jak się do nich dostałeś... – Pokręciła głową. – Mniejsza z tym. Wolę nie wiedzieć. Dlaczego mi to pokazujesz?

– Regularnie zażywa nityzynon – odparł, wskazując jedną z linijek.

– A co to takiego?

Jason otworzył stronę Państwowego Instytutu Zdrowia.

– Stosowany w przypadku bielactwa typu jeden, wady genetycznej zaburzającej wytwarzanie tyrozyny, aminokwasu niezbędnego do produkcji pigmentu w skórze i oczach – przeczytał i spojrzął na Kat. – Innymi słowy, Anthony Vasiliev jest albinosem.

Wyprostowała się.

– To nasz koleś – powiedział Jason. – Ale to nie wszystko.

– Masz więcej dowodów?

– Lepiej. – Postukał w klawiaturę, odchylił się w fotelu i przeciągnął, strzelając kostkami palców. – Ma siostrę.

Na ekranie pojawił się kolejny identyfikator pracowniczy Clyffe Energy. Na zdjęciu widniała surowa twarz kobiety o takiej samej karnacji i białych włosach. Nie było widać tatuażu, ale połówka słońca mogła zostać zaćmiona przez grubą warstwę makijażu.

– Nazywa się Velma Vasiliev – rzucił Jason. – Ale wątpię, czy jej nazwisko jest prawdziwsze niż to jej brata.

Kat poczuła dreszczyk podekscytowania, gdy patrzyła na twarz kobiety.

– Wyślij to zdjęcie na komórkę Seichan – poleciła. – Zapytaj, czy ją rozpoznaje. Potem powiadom służby celne w Unii Europejskiej i Afryce Północnej. Chcę wiedzieć, czy Velma Vasiliev była niedawno w Wielkiej Brytanii, a jeśli tak, to gdzie może być teraz.

Jason skinął głową i wrócił do terminalu.

Nawet jeśli Seichan nie potwierdzi tożsamości tej kobiety, należy uprzedzić Graya.

Kat ruszyła do drzwi, gotowa powiadomić Paintera o przełomie, ale przystanęła, żeby wydać Jasonowi jeszcze jedno polecenie.

– Dowiedz się wszystkiego, co możliwe, o tej stacji arktycznej, gdzie pracuje jej brat.

– Dobrze.

Czując przypływ adrenaliny, zdecydowanym krokiem pomaszerowała do gabinetu dyrektora. Drzwi były uchylone, ale

usłyszała, że z kimś rozmawia, więc zapukała.

– Szeffie?

Painter siedział na brzegu biurka, twarzą do jednego z ekranów. Skinął na nią ręką.

– Wejdz, Kat.

Zachęcił ją ktoś jeszcze.

– Super! Teraz to prawdziwa impreza.

Weszła i zobaczyła twarz męża na ekranie. Spotkanie z kierownictwem badań naukowych w NAMRU-3 skończyło się i Monk właśnie zdawał sprawozdanie dyrektorowi.

Uśmiechnął się, co jednak nie uśmierzyło jej niepokoju.

– Cześć, ślicznotko.

– Cześć, brzydalę.

Monk przymrużył lewe oko.

– Skarbie, co się stało?

Jak zwykle, bez trudu odgadł, że jest podenerwowana.

– Zdaje się, że zidentyfikowaliśmy kobietę, która zaatakowała Seichan i pozostałych w Ashwell. I może nawet maczała palce w uprowadzeniu doktor al-Maaz.

Painter obrócił się w jej stronę.

– Mów.

Podczas gdy opowiadała o kolejnych etapach poszukiwań, Painter i Monk od czasu do czasu wtrącali pytania. Kiedy skończyła, wątpliwości w oczach dyrektora Sigmy ustąpiły przekonaniu.

– Dobra robota – pochwalił.

Kat nie mogła przypisać sobie całej zasługi.

– Większą część pracy wykonał Jason Carter.

Painter pokiwał głową, z zadumą pocierając dolną wargę.

– Bez względu na to, co kto zrobił, to strzał w dziesiątkę – powiedział Monk.

– Wiem o tej arktycznej instalacji – rzucił dyrektor, wychodząc zza biurka. – O Stacji Aurora. A przynajmniej o niej słyszałem.

– Gdzie? – zapytała Kat.

– Jest częściowo finansowana przez DARPA.

Monk parsknął.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Zła prasa – odparł tajemniczo Painter i opadł na fotel. Stukając w klawiaturę, mówił dalej: – W dwa tysiące cztertnastym amerykańskie siły powietrzne zamknęły finansowany przez DARPA program HAARP na Alasce. HAARP to inaczej wysokoczęstotliwościowe aktywne badania zorzy polarnej. Ich przedmiotem była jonosfera, warstwa plazmy otaczającej planetę na wysokości setek kilometrów, niezwykle istotna dla łączności satelitarnej i radiowej. Eksperymenty polegały na wysyłaniu sygnałów o wysokiej częstotliwości z naziemnych anten radiowych. Dzięki temu naukowcy mogli prowadzić badania między innymi nad poprawieniem łączności z naszymi okrętami podwodnymi. Jeden z projektów, zwany Lunarnym Echem, polegał na wystrzeleniu wiązki fal radiowych w Księżyc.

– Po co? – zapytał Monk. – Chcieli go rozwalić?

Kat uśmiechnęła się, ale Painter potraktował pytanie na serio.

– Nie. Prawdę mówiąc, to najmniej obłądne oskarżenie wysuwane przeciwko temu programowi. Kiedy społeczeństwo się dowiedziało, że jakaś daleka subarktyczna baza wystrzeliwuje w niebo niewidzialne promienie, natychmiast powstały wszelkiego rodzaju teorie spiskowe. HAARP to broń kosmiczna, urządzenie do sterowania umysłami, maszyna kontrolująca pogodę... Na HAARP zrzucono nawet winę za trzęsienie ziemi w Japonii w dwa tysiące jedenastym.

– Rzeczywiście mnóstwo złej prasy – podsumowała Kat.

– I projekt HAARP już się z tego nie otrząsnął.

– Ale co to ma wspólnego ze Stacją Aurora? – zapytał Monk.

– Ta stacja jest w zasadzie odrodzonym HAARP-em, tylko na ogromną skalę. Powierzchnia zajmowana przez anteny jest dziesięć razy większa, a urządzenia i rozwiązania techniczne nie mają sobie równych. I ponieważ instalacja należy do właścicieli prywatnych, nie wojska, przyciąga mniej uwagi. Odległa lokalizacja też robi swoje. DARPA po cichu finansuje część

projektu, dzięki czemu eksperymenty HAARP wciąż są kontynuowane, ale bez wiedzy opinii publicznej.

Kat rozumiała, dlaczego Painter jest zainteresowany tym projektem. Zanim został dyrektorem, zajmował się sprzętem najnowszej generacji, właściwie wszystkim, co ma przycisk włącz/wyłącz. Nie tylko zrobił doktorat z inżynierii elektrycznej, ale miał kilka patentów.

Przeniósł obraz z ekranu swojego komputera na monitor ścienny. Zobaczyli znajome logo korporacji kierującej Stacją Aurora – jajko z wpisanymi wzorami i wykresami, przechylone, jakby za chwilę miało się przewrócić.



– To logo praktycznie mówi wszystko, co trzeba wiedzieć o koncernie i jego szefie, Simonie Hartnellu – powiedział Painter.

– Prawdopodobnie to jego zaangażowanie przyczyniło się do spadku zainteresowania opinii publicznej tą bazą arktyczną.

– Dlaczego? – zapytał Monk.

– Dzięki działalności charytatywnej jest czystą jak kryształ osobą publiczną. Poza tym wszyscy korzystają z wynalazków Hartnella, od szybkich bezprzewodowych ładowarek po potężne akumulatory. Dzięki jego licznym aktom dobrej woli nikt go nie posądzi o budowanie urządzenia kontrolującego umysły.

Monk zmarszczył czoło.

– Ale co miałeś na myśli, gdy powiedziałeś, że to jajo mówi nam wszystko, co musimy wiedzieć o tym człowieku?

Painter zerknął przez ramię na logo Clyffe Energy.

– Ma nawiązywać do jajka Kolumba.

– Do czego?

– Według pewnej opowieści, Kolumb oświadczył kiedyś, że może postawić jajko na sztorc, i rzucił wyzwanie swoim krytykom, prosząc o zrobienie tego samego. Po ich bezowocnych próbach wziął jajko i postawił je na stole, lekko nadłukując skorupkę. Oczywiście, stanęło pionowo.

– Innymi słowy, oszukał – skomentował Monk.

Kat zgromiła go wzrokiem.

– Ta opowieść ma być lekcją kreatywności, przykładem nieszablonowego myślenia w celu rozwiązania na pozór niemożliwego problemu – powiedziała.

– Co stanowi zgrabne podsumowanie filozofii Simona Hartnella – dodał Painter. – Ale logo ma również inne znaczenie. Hartnell uważa się za intelektualnego dziedzica Nikoli Tesli, którego niemal czci.

Monk wskazał ręką logo.

– Tylko jak ma się ta obsesja do jajka?

– Na wystawie światowej w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim Tesla postanowił powtórzyć dokonanie Kolumba, tylko tym razem wykorzystując rozwiązanie naukowe. Umieścił miedziane jajko w wirującym polu magnetycznym. Jajko zaczynało się obracać z dużą prędkością, a następnie siły żyroskopowe podnosiły je do pionu. Tak oto wygrał zakład Kolumba sprzed wieków.

– I bez oszukiwania. – Monk wyraźnie był pod wrażeniem.

– Kolumb wcale nie... – zaczęła Kat, ale się poddała i zwróciła się do dyrektora: – Co właściwie Clyffe Energy robi w tej arktycznej bazie?

– Realizuje mnóstwo nowych projektów. Jak rejestrowanie wędrówki północnego bieguna magnetycznego. Albo badanie chmur plazmy w górnych warstwach atmosfery. Ale głównym

przedmiotem badań są zmiany klimatu. Wykorzystują sygnały skrajnie niskiej i bardzo niskiej częstotliwości, zwykle używane do łączności z okrętami podwodnymi, żeby monitorować grubość arktycznej pokrywy lodowej.

Kat poczuła dreszcz niepokoju.

– Na północy rozwija się potężny przemysł – powiedziała.

– Czemu towarzyszy polityczna burza z piorunami. Arktyka się topi, a bogactwa naturalne znajdujące się pod lodem stają się przyczyną terytorialnej wolnoamerykanki. Kanada, Rosja, Dania walczą między sobą. Niedługo ktoś pchnie kogoś za mocno.

Usłyszeli szuranie stóp i natarczywe pukanie do drzwi. Wszedł Jason Carter.

– Musicie to zobaczyć.

Godzina 14.39

Painter przesunął się na bok, pozwalając młodemu człowiekowi skorzystać ze swojego komputera. Widział, że jest on czymś podekscytowany.

– Kat prosiła – mówił Jason, stukając w klawiaturę – żebyśmy przyjrzał się tej bazie w Arktyce. Cały region jest pod obserwacją satelitów wojskowych, stacji meteorologicznych NOAA⁵. Kanadyjski program Northern Watch obejmuje wykorzystywanie bezzałogowych pojazdów w powietrzu, na lodzie i pod wodą, żeby monitorować ruch dla ochrony interesów swojego kraju. Niedługo niedźwiedź polarny nie będzie mógł pierdnąć bez uruchomienia czujnika sejsmicznego.

– Jason... – rzuciła ostrzegawczo Kat.

– Wiem, wiem. Daj mi chwilę.

Painter wymienił spojrzenie z Kat, w milczeniu przyznając, że informacje Jasona wiążą się z ich wcześniejszą rozmową.

– Pomyślałem: dlaczego nie wykorzystać całego tego nadzoru? – powiedział Jason. – Przejrzałem materiały zebrane

przez wszystkich obserwatorów wokół Stacji Aurora, koncentrując się głównie na tych z dwudziestu czterech godzin, jakie upłynęły od porwania doktor al-Maaz.

Dyrektor Sigmy zacisnął pięść.

– I oto co zarejestrował satelita Norweskiego Instytutu Polar-
nego. – Jason puścił nagranie na trzecim monitorze.

Ujrzeni ziarnisty śmigłowiec siadający na połaci śniegu i czarnej skały. Łopaty jeszcze się obracały, gdy małe postacie podbiegły do maszyny. Z ładowni wysunięto nosze i zaniesiono je do skupiska kanciastych budynków.

Painter wyobraził sobie strzałki trafiające Safię. W oczach mu zaćmiło, poczuł skurcz w gardle. Nie mógł mówić. W milczeniu obejrzał powtórkę nagrania. Patrzył, jak wyjmują nosze, jak nosze znikają w budynku.

– Szefie? – odezwała się Kat.

– Lecę tam – rzucił, z trudem otwierając usta.

– Ktoś powinien – zgodziła się z nim. – Ale mamy innych, którzy...

– Ja pojedę. – Odwrócił się plecami do ekranu i stanął twarzą do niej. Głęboko odetchnął, ale zachował kamienny wyraz twarzy. – DARPA zainwestowała w Stację Aurora. Najwyższy czas przeprowadzić kontrolę.

Kat uważnie mu się przyglądała, rozważając plusy i minusy jego pomysłu.

– Przypuszczam, że generał Metcalf może zaaranżować taką przykrywkę – powiedziała. Generał był szefem agencji DARPA.

– Jeśli plan ma się powieść, będzie potrzebny ktoś z solidnym wykształceniem technicznym.

– Jak ty – rzuciła Kat, po czym spojrzała na męża. Oboje byli wyraźnie zmartwieni osobistym udziałem szefa w tej sprawie. Monk lekko skinął do niej głową, a ona popatrzyła na Paintera. – W takim razie lecę z tobą.

– Będzie lepiej, jeśli... – zaczął Painter, ale mu przerwała.

– Ty lecisz, ja lecę. – Machnęła ręką, wskazując Jasona. – Carter będzie pilnował spraw tutaj. A jeśli będzie trzeba, Monk

pomoże mu z terenu.

– Żaden problem, szefie – zapewnił Monk.

Painter zdawał sobie sprawę, że potrzebuje pomocy Kat, jeśli nie chce zaprzepaścić szans na uratowanie Safii. Może był dyrektorem Sigmy, ale pod wieloma względami to ona tutaj królowała.

Godząc się z tym faktem, pokiwał głową.

– W takim razie pakuj ciepłe rzeczy.

Chartum, Sudan

2 czerwca, godzina 19.18 czasu miejscowego

O zachodzie słońca Gray stał u źródeł cywilizacji.

Cypel leżał pomiędzy rzekami. Po lewej stronie ponuro płynął Nil Biały, zabarwiony przez niesione jasnoszare osady, od których wziął swoją nazwę. Po prawej węższy Nil Błękitny toczył czarne wody.

Gray jak urzeczony patrzył na roztaczający się przed nim widok.

Dwie rzeki się łączyły, mieszając swoje wody, tworząc życiodajną siłę tego regionu: Nil.

Śledził wzrokiem kręty bieg rzeki płynącej na północ w kierunku Egiptu. Czuł starożytność tego miejsca, podkreślaną przez rozbrzmiewające w Chartumie niepokojące wezwanie do wieczornych modłów. Sierp księżyca płynął po mroczniejącym niebie; jego odbicie w ciemnej wodzie wyglądało jak srebrne bycze rogi.

Seichan podeszła i objęła Graya w talii. Przypomniła sobie jej słowa z Kairu, żeby po prostu rzucić wszystko i odejść. W tej chwili – poza czasem – jeszcze mocniej odczuwał pokusę.

Westchnęła, jakby myślała o tym samym i jednocześnie wiedziała, że nie mogą tego zrobić – przynajmniej jeszcze nie.

– Dzwonił Kowalski – powiedziała, ściągając go na ziemię. – Wraca z naszym środkiem transportu. Powinien być za jakieś dziesięć minut.

Painter i Kat zamówili pojazd dość mocny, żeby mogli bezpiecznie jechać w głąb pustyni. Kowalski miał go sprowadzić wraz z prowiantem, wodą i zapasowym silnikiem Diesla. Bez względu na to, co ich czeka, będą niezależni.

Miejmy nadzieję, pomyślał Gray.

Seichan pokazała mu przysłane przez Kat zdjęcie gniewnej twarzy białowłosej kobiety o martwych oczach. W Ashwell Seichan widziała ją tylko przez chwilę, więc nie miała całkowitej pewności, czy to ona.

Po tym spotkaniu była jednak bardziej czujna; bez przerwy wodziła wzrokiem dokoła. Gray uznał, że ta kobieta musi być wyjątkowo groźna, skoro przestraszyła kogoś takiego jak ona.

Obejrzał się, słysząc dobiegający z góry śmiech.

Kilka metrów na nimi obracał się mały diabelski młyn, element parku rozrywki, którego nazwa – *al-Mogran* – pochodziła od tego miejsca, oznaczając zbieg rzek.

Patrzył, jak Derek i Jane, z uśmiechami na twarzach, siedzą w gondoli, niemal dotykając się głowami. Wprawdzie nie był to najmądrzejszy sposób spędzania czasu, ale może najlepszy, zważywszy na to, co mieli przed sobą.

Wylądowali w Chartumie dwie godziny temu. Późne popołudnie było nieznośnie gorące. Plan przewidywał wyjazd o zachodzie słońca, kiedy temperatura na pustyni gwałtownie spada. Pierwszym etapem podróży była jazda na południe do odległego o sto dziesięć kilometrów miasteczka Rufaa, gdzie mieszkali nomadowie, którzy znaleźli profesora McCabe'a. Obecnie przechodzili kwarantannę z powodu kontaktu z chorym, ale jeden z ich krewnych zgodził się pełnić rolę przewodnika i zabrać ich na pustynię.

Diabelski młyn znieruchomiał i pasażerowi zaczęli wysiadać.

Seichan stała z boku, wypatrując zagrożenia w ciemniejszym parku.

Gray wyszedł na spotkanie Derekowi i Jane. Oboje wyglądali na bardziej odprężonych, nawet jakby odmłodnieli. Derek pomógł dziewczynie wstać, podając jej rękę. Trzymał ją trochę dłużej, niż było to konieczne.

– To było zabawne – rzuciła Jane. – Widać okolicę na wiele kilometrów.

Jej towarzysz pokiwał głową.

– Miałem nadzieję, że zobaczę miejsce budowy nowej tamy, to, w którym zaczęły się wszystkie kłopoty. Ale przecież jest za daleko, to jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód.

Komandor wiedział, że dwa lata temu właśnie tam – przy szóstej katarakcie Nilu – ekipa badawcza profesora McCabe’a rozpoczęła swoją zgubną wyprawę. Zniknęli na niegościnnych terenach pełnych spękanych skał, niesionego wiatrem piasku i niebosiężnych wydm; taki księżycowy krajobraz obejmował tysiące kilometrów kwadratowych.

I my mamy zamiar pójść w ich ślady.

Ponaglił pozostałych.

– Kowalski powinien zjawić się lada moment – oznajmił. – Wracajmy na ulicę.

Gdy szli przez park rozrywki, Jane spojrzała ku srebrnemu zbiegowi dwóch rzek.

– Tyle czytałam o tym miejscu, ale widzieć je na własne oczy...
– Rozglądała się ze zdumieniem.

Gray pomyślał, że jest naprawdę młoda. Miała przecież tylko dwadzieścia jeden lat. Niewątpliwie była inteligentna i dobrze wykształcona, ale z pewnością swoją wiedzę nabyła głównie w salach wykładowych i bibliotekach, nie podczas pracy w terenie. Po wszystkim, co zaszło, trzymała się jednak wyjątkowo dobrze.

– Jane – zwrócił się do niej – skoro ruszamy tropem twojego ojca na pustynię, może powinniśmy wiedzieć więcej o teorii, którą próbował udowodnić. Wspomniałaś, że większość archeologów uważała jego koncepcje dotyczące Księgi Wyjścia za kontrowersyjne.

– Krytykowali go nie tylko archeolodzy, lecz również żydowscy rabini. – Szła ze spuszczoną głową, wyraźnie skrępowana tą rozmową, ale mówiła dalej: – Wielu ludzi wierzy,

że dzieje Mojżesza mają charakter alegoryczny, a nie historyczny. Wprawdzie w Księdze Wyjścia jest wzmianka o faraonie Ramzesie Wielkim, postaci historycznej, ale nie znaleziono archeologicznych dowodów potwierdzających wybuch zarazy i bunt niewolników za czasów jego panowania, więc uważają historię Mojżesza za bajkę.

– Brzmi sensownie, więc skąd się wzięło to podejście twojego ojca?

– On i kilku jego kolegów mieli zastrzeżenia do pewnych niekonsekwencji w Księdze Wyjścia, dotyczących imienia Ramzes. Podawali w wątpliwość twierdzenie, że Mojżesz rzucił klątwę dziesięciu plag na Ramzesa Wielkiego. To dość skomplikowane.

– Ale dlaczego ma znaczenie?

– Ponieważ pozwala archeologom szukać dowodów exodusu niekoniecznie w okresie panowania Ramzesa Wielkiego.

– I co? Czy twój ojciec i jego koledzy coś odkryli?

– Owszem. – Spojrzała w kierunku dalekich pustynnych wzgórz. – Znaleźli dowody na to, że exodus miał miejsce cztery stulecia przed panowaniem faraona Ramzesa. – Zaczęła odliczać na palcach. – Miasto semickich niewolników. Znaki wielkiej zarazy. Ślady wskazujące na gorączkowe opuszczenie miasta. A nawet kryptę uderzająco podobną do opisanego w Biblii grobu Józefa. Wszystko pasuje.

– I twój ojciec chciał to zweryfikować?

– To tak zwana Nowa Chronologia. Był przekonany, że znajdzie dowody szeregu wielkich nieszczęść, które zdarzyły się w owym czasie, i będzie mógł potwierdzić tę teorię.

Nic dziwnego, że ten człowiek miał obsesję na punkcie plag biblijnych, pomyślał Gray.

Jane westchnęła, najwyraźniej nie chcąc dłużej o tym mówić, i na tym skończyli rozmowę.

Doszli do ulicy przy parku.

Kowalski już na nich czekał. Przy krawężniku stała wielka ciężarówka, posapując na jałowym biegu jak zadyszana. Był to

przerobiony zielony mercedes unimog, prawdziwa bestia z napędem na cztery koła. Miał szeroką podwójną kabinę z miejscem do spania z tyłu i wysokie do biodra koła z oponami o agresywnym bieżniku. Był to pojazd skonstruowany do radzenia sobie w najtrudniejszym terenie. Jeśli nawet ugrzęźnie, wielka wyciągarka na przednim zderzaku wykaraska go z opałów.

Kowalski siedział za kierownicą z łokciem wystawionym przez okno, spowity dymem z cygara.

– To się nazywa ciężarówka – zamruczał, poklepując dłonią zewnętrzną stronę drzwi.

Gray rozumiał jego uczucia. Ten pojazd i Kowalski idealnie do siebie pasowali. Oboje byli powolni, głośni i nieco prymitywni.

Seichan skinęła ręką, każąc wszystkim wsiadać, chociaż sama wciąż obserwowała ulicę.

– W porządku? – zapytał ją Gray.

– Na razie.

Więc to musi wystarczyć.

Godzina 20.08

Na tylnym siedzeniu Derek wpatrywał się w ekran iPada.

Po czterdziestu pięciu minutach jazdy na południe dwupasmową drogą wzdłuż krętego Nilu Błękitnego stracił zainteresowanie mijanym krajobrazem. Zostawili daleko za sobą jasne światła Chartumu i teraz odbywali podróż w czasie. Okoliczne tereny prawdopodobnie wyglądały tak samo jak przed wiekami: ciemne pola uprawne pocięte srebrnymi kanałami nawadniającymi, kępy palm, zwaliste sylwetki niemrawych bawołów, gdzieniegdzie chałupy z cegły mułowej.

Ale Nil Błękitny był tylko nikłym cieniem potężnej rzeki, która płynie na północy przez Egipt, będąc źródłem jego żyznych ziem.

Tutaj rzeka była mniej szczodra. Pas ziem uprawnych był wąski, przytulony do brzegów.

Derek widział w dali zalane srebrzystą księżycową poświatą jałowe wzgórza. Przywodziły na myśl konających z pragnienia zgarbionych żebraków. Za tymi wzniesieniami czekała na nich wypalona przez słońce pustynia, rozciągająca się na tysiące kilometrów.

Potrzebowali planu, żeby ją przebyć.

Właśnie na tym się skupiał – na szczegółach tego, o czym rozmawiali wcześniej. Kiedy dotrą do miasteczka Rufaa, pojedą na przełaj przez pustynię do miejsca, gdzie znaleziono profesora. Ciąg dalszy planu stał pod znakiem zapytania, ale Derek miał pewien pomysł.

Jane poruszyła się obok niego. Zasnęła, uśpiona przez dudnienie silnika, kołysanie zawieszona, napięcie ostatnich dni, ale teraz zbudziła się z płytkiej drzemki.

– Co się dzieje? – zapytała, tłumiąc ziewnięcie.

Łagodny blask ekranu iPada rozświetlał jej twarz. Dereka oczarowały łuki jej rzęs, gdy spuściła wzrok i patrzyła, co robi.

Odchrząknął.

– Próbuję wytyczyć najlepszą trasę. A może tylko się łudzę.

– Pokaż – poprosiła, opierając się o jego ramię.

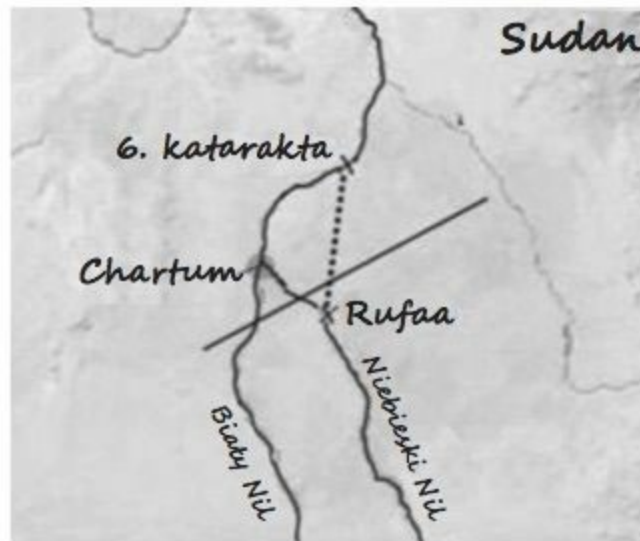
Był zaskoczony, jak bardzo chce z nią o tym porozmawiać. Poza tym omówienie sprawy na pewno pomoże.

– Wiemy, że twój ojciec i jego ludzie zostawili szóstą kataraktę, po czym on dwa lata później pojawił się setki kilometrów na południe od tamtego miejsca, niedaleko miasteczka Rufaa. Niestety, nikt nie wiedział, gdzie przebywał przez ten czas ani jaką obrał trasę. Ale teraz, dzięki wskazówce ukrytej na starym rysunku Livingstone’a, tym przedstawiającym egipskiego skarabeusza, możemy się dowiedzieć, dokąd ciągnęło twojego ojca.

Przekrzywił iPada, żeby lepiej widziała.

– Na mapie satelitarnej regionu wyrysowałem linię przez dwa ramiona Nilu, dokładnie w miejscu, gdzie Livingstone rozdzielił

rzekę pomiędzy skrzydełka skarabeusza.
Pokazał wynik.



– Następnie dołączyłem kropkowaną linię od szóstej katarakty, skąd wyruszył twój ojciec, do Ruffa, dokąd trafił. – Postukał w znak X utworzony przez przecinające się linie. – Sądzę, że tu powinniśmy rozpocząć poszukiwania.

– Genialne – pochwaliła go Jane, kładąc rękę na jego kolanie.

– Ona ma rację – odezwał się Gray z drugiej strony siedzenia.

Derek poczuł, jak pieką go policzki. Nie miał pojęcia, że Amerykanin się przysłuchuje.

– Dzięki – bąknął.

Komandor wyciągnął rękę.

– Mogę zobaczyć?

Brytyjski archeolog podał mu iPada i Gray się pochylił, żeby pokazać ekran Seichan i Kowalskiemu, którzy siedzieli z przodu.

Komentarz Seichan był mniej entuzjastyczny:

– Na pewno to lepsze niż bezcelowe jeżdżenie po pustyni.

– Widać światła – rzucił Kowalski, wskazując ręką przed siebie.

Gray spojrział na mapę w telefonie satelitarnym.

– To Ruffa – powiedział.

Jane, nagle zdenerwowana, zdjęła rękę z kolana Dereka. Mógł się tylko domyślać przyczyny jej niepokoju. Jej ojciec zmarł,

próbując tu dotrzeć.

– Będzie dobrze – szepnął.

Miała nadzieję, że to prawda.

Godzina 20.28

Miejscowość okazała się większa, niż Jane oczekiwała. Wyobrażała sobie skupisko chat otoczonych płotem z łądyg prosa, ale w rzeczywistości Rufaa była sporym miastem wtulonym w zakole Nilu.

– Wygląda na to, że łatwo się tu zgubić – skomentował Derek.

Przyznała mu rację.

Gruntowe drogi i uliczki tworzyły labirynt wśród niskich domów o płaskich dachach, w większości z wewnętrznymi podwórkami. Wszystko wydawało się zbudowane z jednakowej cegły mułowej, co tworzyło monotonię, która męczyła oko. Jedyną wyróżniającą się budowlą był meczet. Jego biały minaret płonął jak latarnia.

Jane wiedziała, że członkowie grupy etnicznej Rufaa, od której miasto wzięło nazwę, są arabskimi sunnitami. Wiele rodzin zapuściło tu korzenie, ale wciąż prowadzili koczowniczy tryb życia. Z pewnością odnosiło się to do grupy, która znalazła jej ojca. Należeli do plemienia Dzaalijin, które od tysiący lat wędrowało po pustyni i uważało się za potomków Abbasa, stryja proroka Mahometa.

Ciężarówka zwolniła na przedmieściach. Dzieciaki przyglądały im się z pobocza, a meczące kozy uciekały z drogi. W pewnej chwili chudy mężczyzna pomachał do nich ręką i stanął na środku drogi.

– Czy to gość, z którym mamy się spotkać? – zapytał Kowalski.

– Na to wygląda – odparł Gray. – Kazali mu nas wypatrywać.

Gdy ciężarówka się zatrzymała, nieznajomy podszedł do otwartego okna po stronie Kowalskiego. Okazało się, że to

szesnasto-, może siedemnastoletni chłopak o skórze koloru mokki. Był w fioletowej kraciatej bluzie sportowej, beżowych szortach i sandałach.

– Jestem Ahmad. Witajcie.

Kowalski zerknął na Graya, a ten skinął głową, rozpoznając imię.

– Zabiorę was do rodziny. Zjemy. – Udawał, że wkłada jedzenie do ust. – W drogę. Tak?

– Mogę coś zjeść – rzucił Kowalski, wzruszając ramionami.

Ahmad wskazał otwartą przestrzeń.

– Tam postawić ciężarówkę. Niedaleko. – Widząc ich zaniepokojone miny, dodał: – Tu bezpiecznie. Nie bać.

Seichan ściągnęła brwi.

– Zostanę z ciężarówką – zdecydowała.

Gray skinął głową i kazał Kowalskiemu zaparkować pojazd. Kiedy silnik zgasł z ostatnim kaszlnięciem, wysiadł i włożył słuchawkę do ucha.

– Seichan, daj znać, gdyby były jakieś problemy.

Zaniepokojona Jane wysiadła z Derekiem po drugiej stronie. Nie odrywała wzroku od chłopaka.

– Sądzisz, że możemy mu zaufać? – spytała.

– Skoro ma nas prowadzić po bezdrożach sudańskiej pustyni, to chyba musimy.

Gdy wszyscy byli gotowi, Ahmad ostro zagwizdał i poprowadził ich do miasta. Z cieni wyskoczył chudy pies z żebrami obciążniętymi skórą, energicznie machając ogonem. Wyglądał na młodego, miał najeżoną czarno-złotą sierść, ciemne oczy i sterczące, szeroko rozstawione uszy.

– Dobra sunia – powiedział z dumą Ahmad.

Jane podsunęła psu rękę do obwąchania.

– Jak się wabi?

Chłopak wyszczerzył zęby, zadowolony z jej zainteresowania.

– Andżing.

Dziewczyna z konsternacją zmarszczyła brwi.

– Co to znaczy? – zainteresował się Kowalski.

Znała sudańskie języki na tyle, że mogła odpowiedzieć.

– Pies.

Kowalski wzruszył ramionami.

– Pewnie działa.

– Myślę, że ta jego pupilka to likaon – powiedział Derek, który szedł przy Jane. – A przynajmniej jest zmieszana z likaonem.

Spojrzała na zwierzę z większym szacunkiem. Słyszała opowieści o stadach tych owianych złą sławą myśliwych. Wspomniała, jak przed chwilą podsuwała mu rękę.

Na szczęście nadal ją mam, pomyślała.

Przed nimi Ahmad niemal biegł, z trudem hamując podekscytowanie. Gadał i gadał, dumny ze swojej roli przewodnika.

– Tam. – Wskazał niską zieloną budowlę z kopułą. – Grób szejka Tany. Bardzo ważny. A na tym rogu kiedyś jeden człowiek zjadł całą kozę. – Zerknął na nich. – To prawda.

Kowalski jako jedyny był pod wrażeniem tej rewelacji.

Wreszcie dotarli do sklepionej bramy prowadzącej na dziedziniec. Gdy weszli, zapach pieczonego chleba zbudził w Jane głód, którego dotąd nie była świadoma. Usłyszała skwierczenie piekącego się na rożnie mięsa. Gromadka mężczyzn i kobiet w długich szatach wyszła im na spotkanie, jakby byli starymi przyjaciółmi. Kilkoro bosych dzieciaków stało pod ścianami albo nieśmiało wyglądało zza drzwi.

Ahmad podszedł do osła uwiązanego na postronku, uściskał go za szyję i przedstawił swojego przyjaciela:

– Kalde.

Kowalski zerknął na Jane.

– Osioł – przetłumaczyła.

Olbrzym pokręcił głową.

– Nie łapię. Dzieciakowi brakuje wyobraźni czy próbuje nauczyć nas języka?

Dokonano prezentacji. Kiedy padło nazwisko Jane, gospodarze przycichli, najwyraźniej wiedząc, czyją jest córką. Podchodzili kolejno, kłaniali się i składali kondolencje. To

naprawdę ją wzruszyło. Poczowała wzbierające łzy i na chwilę musiała odwrócić głowę.

Oparła się o Dereka, który do niej podszedł.

– Wybacz, nie wiem, skąd to nagle zdenerwowanie – powiedziała.

Objął ją.

– To żal. Może cię zaskoczyć wtedy, gdy najmniej się tego spodziewasz.

Odetchnęła kilka razy, żeby się uspokoić.

– Nic mi nie jest – rzuciła. – Nie powinniśmy być nieuprzejmi.

Stół pod gołym niebem szybko zapełnił się sudańskimi potrawami, składającymi się na istną ucztę: gulasze z korzeniami i mięsem, sorgo na gęsto, półmiski daktyli, kopiec sałatki z marchewki i jogurtu, sterta podpłomyków do nabierania jedzenia.

Gdy wszyscy się objadali, Gray rozmawiał z nestorem rodu, który biegle mówił po angielsku. Chciał uzyskać jak najwięcej informacji o miejscu, do którego zmierzali.

Jane powstrzymywała się od słuchania. Woląла cieszyć się posiłkiem, za który dziękowała kobietom. Na koniec podzieliła się kawałkiem pieczonej owczej wątroby z psem; najwyraźniej był tu równie mile widziany jak goście. Najedzona, rozsiadła się wygodnie. Na murach dziedzińca mrugały drobne światełka, które bladły w porównaniu z gwiazdami.

Przez chwilę czuła się zadowolona i pogodzona ze światem.

A jednak w głębi duszy wiedziała, że ten stan nie potrwa długo.

Godzina 21.22

Najwyższy czas...

Seichan leżała płasko na dachu opuszczonego domu, przecnicę od unimoga zaparkowanego na pustej parceli.

Dziesięć minut po odejściu pozostałych wysiadła z ciężarówki i przyłożyła rękę do ucha, udając, że została wezwana przez radio. Po chwili odpowiedziała, kontynuując przedstawienie: „Rozumiem. Cisza i spokój. Zaraz tam będę”.

Zabrała plecak i ruszyła śladem swoich towarzyszy. Przeszła kilka przecznic, jakby chciała do nich dołączyć. Kiedy zyskała pewność, że nikt jej nie śledzi, zawróciła inną drogą i wspięła się na dach domu, z którego miała dobry widok na pustą ciężarówkę.

Czekała, żeby zobaczyć, czy ktoś chwyci przynętę. Ciężarówka mogła skusić każdego, kto miał lepkie ręce, ale nie spodziewała się zwykłego złodziejaska. Ahmad wydawał się przekonany, że mieszkańcy zostawią samochód w spokoju. Przez lata nauczyła się, że w takich miasteczkach często obowiązuje ścisły kodeks. Okradanie obcych jest jak najbardziej w porządku, lecz jeśli gość był pod ochroną miejscowej rodziny, nie ruszano jego własności.

Przez czterdzieści minut nikt się nie zbliżył do pojazdu.

A teraz na prawo od niej pojawił się jakiś człowiek w sięgającej kostek, jasnej galabii z długimi rękawami i w pasującym do niej turbanie. Wielu mężczyzn w wiosce nosiło takie stroje, gdyż jasny kolor i luźny krój chroniły przed upałem. Jego obecność nie była dla Seichan niespodzianką. Nie wyglądał groźnie, niedbałym krokiem idąc w kierunku unimoga, jakby zaciekawiony niezgrabną pustynną ciężarówką.

A jednak coś ją zaniepokoiło. Mężczyzna spojrział w prawo i w lewo, po czym ruszył prosto w kierunku ciężarówki. Coś chował w rękawie.

Zaczekała, aż znajdzie się na otwartej przestrzeni, daleko od labiryntu wąskich uliczek. Niewidoczna z pustej parceli, bezgłośnie zeskoczyła z płaskiego dachu na ubitą ziemię po drugiej stronie budynku. Skulona, okrążyła dom i zachodziła intruza od tyłu.

W ręce trzymała SIG sauera, gotowa w razie potrzeby przystąpić do działania. Z bliska zobaczyła, że nie jest uzbrojony, ale nie mogła rozpoznać tego, co trzymał w dłoni. Nerwy miała

napięte jak struny. Przez chwilę rozważała, czy nie strzelić mu w plecy.

A jeśli się mylę?

Zamordowanie z zimną krwią niewinnego człowieka nie zapewni im współpracy pustynnych nomadów. Zrobiła kolejny krok w jego stronę. Potem następny. Choć szła, wstrzymując oddech, nie poruszając ziarenka piasku, coś zaniepokoiło jej cel.

Mężczyzna odwrócił się i twarde, zimne oczy błysnęły w ciemnej twarzy.

Seichan natychmiast zrozumiała, że nie jest pospolitym złodziejem. Strzeliła, ale odskoczył w bok, zrobił przewrót przez bark, wstał i uciekł bez chwili wahania.

Rzuciła się za nim, trzymając go na muszce. Powstrzymała się od strzału, kiedy przemykał przed oknem, w którym paliło się światło. Bała się, że, jeśli chybi, zrani kogoś wewnątrz.

Mężczyzna wykorzystał okazję i zniknął w wąskiej uliczce. Zanim tam dotarła, zniknął bez śladu. Nie była na tyle głupia, żeby zapuszczać się w ten mroczny labirynt, gdzie z łatwością mógłby urządzić na nią zasadzkę.

Dotknęła mikrofonu przyklejonego do szyi i wywołała Graya. Gdy się zgłosił, wiedziała, że mają tylko jedną możliwość.

– Ruszamy – rzuciła.

Nie prosił o wyjaśnienia. Jej ton mu wystarczył.

Trzy minuty później on i pozostali już zmierzali do ciężarówki. Trzymał SIG sauera, ochraniając Dereka i Jane. Kowalski, uzbrojony w strzelbę, zamykał tyły.

Gray podchwycił spojrzenie Seichan. Skinęła głową na znak, że w tej chwili nic im nie grozi, i przywołała ich do pojazdu.

– Co się stało? – zapytał, podchodząc do niej.

Opowiedziała mu.

– Może to był zwyczajny złodziej – zasugerował, wysłuchawszy jej.

Przypomniała sobie oczy intruza i to, jak się poruszał.

– Nie.

Uwierzył jej na słowo.

Nagle ktoś wybiegł spomiędzy domów. Seichan poderwała broń, ale był to tylko Ahmad.

– Zaczekać! Jadę! – krzyknął.

Gray miał taką minę, jakby chciał odmówić, żeby nie narazić młodego człowieka na niebezpieczeństwo.

– Potrzebujemy kogoś, kto zna okoliczną pustynię. – Seichan przypomniała mu pierwotny plan.

Ahmad pokiwał głową.

– Znam bardzo dobrze.

Komandor westchnął, usztywniając plecy, jakby już brał na ramiona ciężar odpowiedzialności za życie tego dzieciaka.

– Zgoda. Jedziemy.

Chłopak uśmiechnął się, odwrócił głowę i gwizdnął.

Pies przybiegł co sił w łapach.

Gray wyraził zgodę na przyjęcie tego ostatniego pasażera, bez słowa ruszając do ciężarówki.

Kowalski nie był równie powściągliwy.

– Dobrze przynajmniej, że dzieciak nie zabiera osła.

Godzina 21.41

Warkot silnika dotarł do kryjówki Wali. Jej cele odjeżdżały. Grzmiące dudnienie, które pasowało do jej nastroju, niosło się przez miasteczko.

Niech szlag trafi tę sukę!

W jednym z domów Wala ściągnęła pożyczoną galabiję i cisnęła w kąt turban, pod którym ukrywała białe włosy. Stała naga, biorąc głęboki oddech. Miała ciemnobrązowy makijaż maskujący jej jasną cerę i tatuaż. Przyda się znowu, kiedy przebierze się za staruszkę. Część jej szkolenia dotyczyła umiejętności wtapiania się w tło. Z łatwością opanowała tę sztukę. Uważała swoje białe ciało za pustą tablicę, na której może wymalować wiele twarzy.

Dwie godziny temu przyjechała tu prosto z Chartumu, gdzie czekała na przybycie zwierzyny.

Ludzie przysłani przez Antona już byli w głębi pustyni, przygotowując prawdziwą pułapkę. Wala chciała zwiększyć ich szanse powodzenia. Ciężarówka wroga była stara, sprzed epoki GPS-ów. Nie mogła śledzić jej zdalnie, zwłaszcza na pustynnych bezdrożach. Liczyła więc, że rozwiąże ten problem, ukrywając nadajnik w nadkolu. Zadanie wydawało się proste – a jednak zostało udaremnione przez tamtą kobietę.

Jedyną drobną korzyścią tej nocy było to, że usłyszała jej imię. Seichan.

To sprawiło jej satysfakcję. Kobieta była teraz mniej tajemnicza, stała się człowiekiem z krwi i kości. Kimś, kogo można zabić.

Wala wiedziała jednak, że nie wolno jej nie doceniać.

Odwróciła się i podeszła do dwóch ciał w kącie pokoju. Leżały z poderżniętymi gardłami na gołej podłodze. Kałuże krwi wsiąkały w wysuszoną ziemię.

Byli to starsi właściciele domu. Skradała się za nimi po przybyciu do miasteczka, od stóp do głów okryta burką, ciągnąc jak żebrak do progu ich domu. Gdy tylko znalazła się za drzwiami, zrzuciła przebranie, odsłaniając swoje prawdziwe blade ja. Wykorzystała chwilę zaskoczenia, żeby bezgłośnie ich zlikwidować; przerażenie w ich oczach sprawiło jej przyjemność. W wielu miejscach w Afryce albinosi uważani są za istoty magiczne, noszące szczęście w kościach. Takie przesady doprowadziły do tego, że na całym kontynencie zabija się dzieci i sprzedaje na czarnym rynku mistyczne części ich ciała.

Spojrzała na zwłoki.

Może jednak nie przynosimy aż takiego szczęścia.

Mając czas, wysunęła *athamé*, magiczny sztylet babki o czarnej rękojeści. Uklękła obok staruszki i czubkiem noża zaczęła wycinać znak na jej czole. Oko Horusa powoli otworzyło się na zimnym cieple i spojrzało na nią niemal z aprobatą.

Poczuła się spokojniejsza i lekko się uśmiechnęła. Niebawem ktoś inny będzie nosić ten znak, ktoś naprawdę go godzien. Głośno szepnęła imię.

– Seichan...

Przestrzeń powietrzna nad Zatoką Baffina

2 czerwca, godzina 21.22 czasu miejscowego

Gdy gulfstream położył się na skrzydle nad otwartymi wodami Zatoki Baffina, Painter spojrział na cel podróży. Wprost przed nimi leżała spowita przez lodową mgiełkę Wyspa Ellesmere'a. Linia brzegowa była poszarpana, pełna zatoczek i fiordów, zasłana skałami, z plażami pokrytymi spękanym łupkiem. W niektórych miejscach piętrzyły się lodowe płyty, leżące jedne na drugich jak rozrzucone karty do gry.

– Niezupełnie gościnna okolica – zauważyła Kat, patrząc przez okno kabiny.

– Mimo to człowiek zawsze znajdzie jakiś sposób – powiedział Painter, poczytawszy o tym miejscu podczas lotu. – Wyspa była zajmowana przez tubylczych myśliwych od jakichś czterech tysięcy lat. Później przybyli wikingowie, a za nimi w siedemnastym wieku Europejczycy.

– A teraz my dwoje – rzuciła Kat, próbując poprawić nastrój.

Tylko pokiwał głową, bo skurcz strachu wciąż mu ścisnął żołądek. W Waszyngtonie nie marnował czasu, koordynując działania i uzgadniając przebieg misji z generałem Metcalfem, ich szefem z agencji DARPA. Generał miał zastrzeżenia do wycieczki z celem leżącym półtora tysiąca kilometrów za kołem podbiegunowym, ale Painter pozostał nieugięty. Poleciał z Kat na północ, wyciągając z silników gulfstreama G150 ile się da. Wylądowali i zatankowali w Thule, miasteczku na zachodnim

wybrzeżu Grenlandii, gdzie znajduje się wysunięta najdalej na północ amerykańska baza wojskowa.

Jeśli Painter miał jakieś pytania co do znaczenia tego obszaru, odpowiedzią było Thule. W bazie stacjonowały dwie eskadry, a także obsługa systemu wczesnego ostrzegania przed pociskami balistycznymi i globalnej sieci kontroli satelitarnej. Thule pełniło również rolę regionalnego centrum dla kilkunastu militarnych i badawczych placówek rozsianych po Grenlandii i na pobliskich archipelagach, łącznie ze Stacją Aurora na Wyspie Ellesmere'a.

I były tu nie tylko bazy należące do Stanów Zjednoczonych.

Kanada miała swoje, łącznie z Alertem na Wyspie Ellesmere'a, sezonową placówką wojskową i naukową położoną jakieś osiemset kilometrów od bieguna północnego.

Painter próbował wypatrzeć to miejsce, gdy odrzutowiec mknął nad środkiem wyspy, ale tutaj odległości były złudne. Lecieli pomiędzy Parkiem Narodowym Quttinirpaaq, który zajmuje północny kraniec wyspy, i rozległymi lodowcami na południu. Pod skrzydłami samolotu w kotłowaniu ośnieżonych szczytów wznosiły się góry Challenger.

– Powinniśmy być blisko – odezwała się Kat.

Stację Aurora zbudowano na północno-zachodnim wybrzeżu wyspy, nad Oceanem Arktycznym. Z zebranych przez nich materiałów wynikało, że na lokalizację zdecydowano się z wielu różnych powodów, ale nadrzędnym była bliskość bieguna magnetycznego, stanowiącego przedmiot kilku projektów badawczych stacji. Podczas gdy geograficzny biegun północny jest względnie stały, ten magnetyczny dryfuje przez stulecia; obecnie powoli opuszczał Wyspę Ellesmere'a i przenoślił się na Ocean Arktyczny.

– Trzydzieści kilometrów do celu – poinformował ich pilot. – Lądowanie za mniej więcej dziesięć minut. I z tego, co widzę, mamy szczęście, że zdążyliśmy w samą porę.

Painter przeniósł spojrzenie z ziemi na niebo. Jakiś czas temu nad nimi było tylko kilka chmur, a teraz świat na północnym zachodzie kończył się ścianą ciemności. Painter wiedział

o nadciągającej burzy, ale prognozy pogarszały się z godziny na godzinę. Przewidywano, że będzie szaleć przez kilka dni, może nawet tygodni. Między innymi dlatego tak mocno naciskał na generała Metcalfa. Jeśli nie zdążą wypełnić misji przed atakiem burzy, szanse na uratowanie Safii będą malały z każdym mijającym dniem.

Nie mógł na to pozwolić.

Poza tym był jeszcze jeden problem.

Kat wyraziła go na głos:

– Kiedy uderzy burza, będziemy uwięzieni, dopóki nie przeminie.

Prognozy zapowiadały wichury. Odrzutowiec wylądował na terenie stacji, wysadzi ich i natychmiast wystartuje do Thule, gdzie przeczeka burzę. Dowódca bazy lotniczej, pułkownik Wycroft, otrzymał poufny rozkaz przeprowadzenia błyskawicznej ewakuacji, jeśli ich misja się powiedzie. Ale nawet on ostrzegał, że burza może pokrzyżować plany.

Mimo to Painter nie dał się odwieść od powziętego zamiaru.

– Nie mamy innego wyboru, jak kontynuować – oświadczył.

Kat spojrzała na niego gniewnie, jakby się z nim nie zgadzała, i odwróciła głowę ku oknu. Zdawał sobie sprawę, że ma do tej misji szczególny, osobisty stosunek. Ona z kolei starała się trzymać wodze pewną ręką, wymuszając na nim bardziej stonowane podejście. Na razie nie doszło do prawdziwego starcia. Dyrektor Sigmy w głębi duszy rozumiał, że Kat próbuje robić to, co najlepsze – zarówno dla ich bezpieczeństwa, jak i dla uratowania Safii.

Nagle ze świstem wciągnęła powietrze.

– Co się stało? – zapytał.

Patrzyła przez okno.

– Na zdjęciach nie wyglądało to tak okazale – zauważyła.

Spojrzał w dół, gdy odrzutowiec mknął ku pasowi lotniska Stacji Aurora. W pobliżu stało kilka cessn – typowych wielozadaniowych samolotów Arktyki. Wyglądało na to, że

wylądowały tu przed burzą. Odrzutowiec kołował do stalowego hangaru.

Painter wiedział jednak, że to nie ten widok wywołał reakcję Kat. Za skupiskiem przysadzistych budynków znajdował się prawdziwy cud inżynierii Stacji Aurora. Kompleks anten zwanych IRI, narzędzie do badania jonosfery, zajmował około stu pięćdziesięciu hektarów płaskiej tundry. Zasilająca je elektrownia znajdowała się pod ziemią, a dwa tysiące stalowych wież połączonych w sieć prezentowało światu kolczaste oblicze IRI. Na szczycie każdej wieży, wysokości dziesięciopiętrowego budynku, rozpościerały się dwie anteny dipolowe.

– Wygląda niemal jak Droga Mleczna – skomentowała Kat.

Zrozumiał, co ma na myśli. Podczas gdy sto osiemdziesiąt anten HAARP tworzyło sztywną siatkę, te tutaj rozmieszczono na planie spirali fraktalnej i całość wyglądała niemal artystycznie. Było to dzieło sztuki inżynierskiej równie piękne co praktyczne.

W sercu stalowej konstelacji znajdował się głęboki dół, pozostałość po starej kopalni, jednej z wielu w Archipelagu Arktycznym. W całym regionie nie brakowało podobnych wykopów; z zamarznętej ziemi wydobywano miedź, złoto, ołów, cynk, nawet diamenty. Zasoby bogactw mineralnych Arktyki były ogromne i w większej części jeszcze nienaruszone, chociaż ten stan rzeczy szybko się zmieniał. Region rozmarzał, co umożliwiało prowadzenie prac wydobywczych na coraz większych obszarach.

– Co się wznosi pośrodku tego dołu? – zapytała Kat.

Spojrzał spod przymrużonych powiek na wieżę ze stalowej kratownicy. Mierzyła w niebo, podtrzymując masywną połyskującą sferę. Otaczały ją koncentryczne miedziane pierścienie przeplecione warkoczami grubych kabli połączonych z trapezoidalnymi magnesami wielkości volkswagena garbusa.

– Możesz to uznać za świadectwo obsesji Simona Hartnella – odparł. – To jego próba odtworzenia i udoskonalenia dzieła człowieka, którego wielbi, Nikoli Tesli.

– Ale co to jest?

– Wersja wieży Wardencllyffe, jednego z najbardziej ambitnych projektów Tesli.

Painter zauważył podobieństwo do dzieła genialnego fizyka, jeśli nawet powierzchowne. Wczytał zdjęcie na iPad, żeby porównać konstrukcje, i podał go Kat.



– Tesla kupił osiemdziesiąt hektarów na Long Island i zbudował elektrownię służącą do zasilania wielkiej półkuli, która wieńczyła wysoką na osiemnaście pięter drewnianą wieżę. Marzył o stworzeniu pierwszego globalnego systemu łączności bezprzewodowej. Zakładał, że to przedsięwzięcie wymagałoby budowy trzydziestu, a może nawet więcej podobnych wież na całym świecie. Później był przekonany, że mogłby się podłączyć do czegoś, co nazywał częstotliwością rezonansową Ziemi, żeby wykorzystać sieć do stworzenia systemu bezprzewodowego przesyłania energii.

– Brzmi ambitnie.

– I może wyprzedził swoją epokę. Skończyło się porażką, gdy zabrakło funduszy. Kilka lat później ośrodek Wardencllyffe został porzucony, a wieżę wyburzono. – Painter spojrział w dół. – Jednak mimo klęski takie szczytne aspiracje zainspirowały innych. Simon Hartnell nazwał swoją kompanię Clyffe Energy w uznaniu

dla projektu Wardencllyffe, a także reprezentowanych przez niego nadziei i marzeń.

– A ta wieża na dole? Jakie plany ma Hartnell?

Painter ściągnął brwi.

– To dobre pytanie.

Spiesząc się, bo chciał jak najszybciej tu dotrzeć, tylko pobieżnie przejrzał informacje o projektach stacji. Z lektury wynikało, że wieża jest wzmacniaczem anten, zaprojektowanym w takiej formie tylko w hołdzie dla Tesli. Według wszystkich raportów, rola wieży polegała na wzmacnianiu wiązki stymulującej jonosferę, jak w HAARP na Alasce. Zwiększenie mocy sygnału wyjściowego miało spotęgować jego potencjał badawczy, co dałoby bardziej dokładne wyniki. Zasadniczo instalacja była większą wersją HAARP, służącą tym samym celom naukowym co jej mniejsza kuzynka.

Ale teraz, gdy widzę ją na własne oczy...

Czuł, że coraz bardziej ściska go w żołądku. Był tak skupiony na Safii, że nie poświęcił temu projektowi należytej uwagi, bagatelizując niekonsekwencje w specyfikacjach i protokołach.

A może ulegam urokowi tych samych teorii spiskowych, których zwolennicy patrzyli na HAARP i doszukiwali się niegodziwych celów w tajemniczym kompleksie anten, pomyślał.

– Proszę zapiąć pasy – powiedział pilot przez radio. – Podchodzimy do lądowania.

Painter opadł na oparcie fotela. Jednego był pewien.

Już za późno, żeby zawrócić.

Godzina 22.22

Kat przygotowała się psychicznie przed wyjściem z gulfstreama, ale w przejmującym zimnie poczuła się tak, jakby wskoczyła do górskiego jeziora. Silny wiatr dął znad Oceanu

Arktycznego, niosąc smak soli i lodu. Wcisnął się pod kołnierz kurtki.

Drżała i kulila się w podmuchach, jedną ręką ściskając kaptur pod szyją, a drugą ciągnąc walizkę na kółkach. Jak na czerwiec, temperatura była rekordowo niska – piętnaście stopni poniżej zera – a nadchodząca burza prawdopodobnie spowoduje pobicie tego rekordu.

Patrzyła nad pokrytym pakiem lodowym morzem na wał czarnych chmur na horyzoncie. Słońce wisiało nisko na zachód od burzowych chmur, jakby chciało się schować przed zagrożeniem, ale nie było ucieczki. Na tych szerokościach miało zająć dopiero w pierwszym tygodniu września.

Po lewej stronie coś białego śmignęło po czarnym asfalcie małego pasa startowego i zniknęło za hałdą szarobiałego śniegu. Był to zajęca polarny, przypomnienie, że pomimo nieprzyjaznych warunków życie znalazło sposób, żeby trwać, na lądzie i w morzu. Było to królestwo niedźwiedzi polarnych, fok, narwali i białuch. Wciąż wędrowały tu stada karibu i kudłatych piżmowców. Dawna inuicka nazwa wyspy brzmiała *Umingmak Nuna*, czyli „ziemia wołów piżmowych”.

Za pasem startowym ze śniegu wystawały kępy trawy, a na otwartych połaciach gleby rosły żółte maki arktyczne i białe gwiazdnice.

Widok tych twardych pionierów, żyjących na przekór wszelkim szansom, dodał jej otuchy.

Przeniosła uwagę na niedalekie skupisko betonowych budynków, wszystkich pomalowanych na pomarańczowo, żeby się wyróżniały na tle krajobrazu. Painter ruszył w ich stronę, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Gdy gulfstream zawrócił za nimi, szykując się do lotu do Thule, Kat spojrzała w ślad za zajęcem.

Miejmy nadzieję, że okażemy się równie niezłomni, żeby jakoś tu przetrwać, pomyślała i poszła za szefem.

W głównych drzwiach Stacji Aurora czekał na nich komitet powitalny. Grupa ludzi stała w obłoku pary buchającej przez

otwarte drzwi w lodowaty ziąb. Painter szedł ku nim energicznym krokiem, jakby uciekał przed zimnem, ale Kat wiedziała, że napędza go strach o Safię al-Maaz.

Szła za nim, zauważając, że baza jest zabezpieczana przed nadciągającą burzą. Dwa pojazdy arktyczne Sno-Cat toczyły się po pochylni do podziemnego garażu. Cessny stojące w pobliżu pasa startowego były okryte plandekami przymocowanymi do haków. Najwyraźniej w hangarach nie było miejsca na te małe samoloty. Zobaczyła smukłego learjeta w hangarze, a gdy zasuwano drzwi drugiego, dostrzegła ogon wielkiego transportowego boeinga.

Tu jest praktycznie w pełni wyposażone lotnisko, przemknęło jej przez głowę.

Ale biorąc pod uwagę odizolowanie stacji, może nie było w tym nic dziwnego.

Wreszcie dotarli do otwartych drzwi i wprowadzono ich do ciepłego wnętrza. Choć Kat spędziła na dworze tylko kilka minut, odetchnęła z ulgą, kiedy spowilo ją ciepło.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, podszedł do nich mężczyzna z szerokim uśmiechem na twarzy – Simon Hartnell we własnej osobie. Nosił gruby wełniany golf, dzinsy i podniszczone robocze buty. Kat była zaskoczona, że dyrektor naczelny Clyffe Energy wziął na siebie obowiązek osobistego powitania gości.

– Witajcie na czubku świata – powiedział i machnął ręką ku północy. – Zgoda, może nie na samym czubku, ale z pewnością możemy go stąd zobaczyć.

Uśmiechnęła się, chociaż podejrzewała, że to stary żart, część dobrze przećwiczonego powitania, żeby rozluźnić nowo przybyłych. Zagrała swoją rolę.

– Dziękujemy. – Ściągnęła kaptur kurtki. – Nie byliśmy pewni, czy uda nam się tu dotrzeć przed burzą.

Painter, pełen rezerwy, skinął głową.

– Jesteśmy wdzięczni za przyjęcie nas w tak krótkim czasie.

– Kontrole na miejscu są nieodłączną częścią każdej organizacji – uspokoił go Hartnell. – A DARPA zawsze jest mile widziana. Bez waszej pracy nad HAARP Stacja Aurora nigdy by nie powstała. – Uśmiechnął się szerzej. – Poza tym mam okazję trochę się popisać. Jesteśmy bardzo dumni z naszych osiągnięć i nadziei, jakie ze sobą niosą.

– Mówi pan o walce ze zmianami klimatycznymi? – zapytała Kat, ostrożnie go sondując.

– Otóż to. Obecnie zajmujemy się trzydziestoma czterema projektami, ale głównym celem Aurory jest badanie, monitorowanie i testowanie teoretycznych modeli do walki z globalnym ociepleniem.

– Szlachetne przedsięwzięcie – skomentował Painter.

Hartnell wzruszył ramionami.

– I, miejmy nadzieję, zyskowne. Posiadam znaczne środki finansowe, ale muszę jeszcze zaspokoić apetyty zarządu. – Odwrócił się i poprowadził ich w głąb bazy. – O tym jednak możemy porozmawiać rano. Słońce wciąż świeci, lecz robi się późno. Proszę ze mną, musicie się rozgościć.

Poprowadził ich pastelowo niebieskim korytarzem do windy.

– Kwatery mieszkalne są na najniższym poziomie – wyjaśnił, gdy weszli do kabiny. – Dzięki temu są naturalnie izolowane i łatwiejsze do ogrzania.

Wcisnął przycisk P4.

Kat przestudiowała plany bazy. Pod zabudowaniami znajdowały się cztery poziomy podziemne, zawierające laboratoria, biura, warsztaty i magazyny, a nawet kompleks rekreacyjny z kortem tenisowym, basenem i salą kinową.

Było to istne miasto.

Znalezienie Safii w tym labiryncie nie będzie łatwe.

Zwróciła uwagę na kamery zamontowane w korytarzu. Nie miała wątpliwości, że cały kompleks jest monitorowany. Przypomniała sobie bladą twarz człowieka, który był szefem ochrony stacji: Anthony Vasiliev, alias Anton Michajłow.

Jeśli Hartnell zatrudniał Antona i jego siostrę – dwoje ludzi w przeszłości powiązanych z Gildią – to ilu innych zwerbował do ochrony tej bazy?

Niemal czuła na sobie spojrzenie niebieskich jak lód oczu.

Nie miała wątpliwości, że Hartnell dokładnie sprawdził swoich dwoje gości wraz z ich przykrywką. Dowiedział tego, gdy drzwi się otworzyły i wyszli z kabiny.

– Painter Crowe – zwrócił się do dyrektora Sigmy. – Słyszałem o panu.

– Doprawdy? – Painter nie okazał zbyt wielkiego zaskoczenia.

Mając napięty harmonogram, nie zwracali sobie głowy przybieraniem fałszywych nazwisk. Oboje od dawna pracowali dla DARPA, więc nie musieli szukać przykrywek. W żadnych dokumentach nie było wzmianki o ich pracy dla Sigma Force ani nawet o istnieniu takiej jednostki. Poza tym ochrona Hartnella też miała tylko kilka godzin na przygotowanie się do tej inspekcji. Sprawdzenie przeszłości „inspektorów” mogło być co najwyżej pobieżne.

– Owszem – odparł Hartnell. – Jestem pewien, że jest pan tym samym Painterem Crowe’em, który opatentował mikrokontroler temperatury.

Painter uniósł brwi.

– Zgadza się.

Hartnell się uśmiechnął.

– Mamy tu zainstalowanych ponad siedemdziesiąt tysięcy pańskich układów. Naprawdę genialny przykład mikroinżynierii. To, jak pan sobie poradził z rozpraszaniem ciepła... czysty geniusz. – Zerknął przez ramię. – Może kiedyś wykradnę pana z DARPA.

Powodzenia, pomyślała Kat.

Hartnell poprowadził ich przez dużą stołówkę, która o tej porze była prawie pusta. Kilka osób uniosło głowy znad tac, żeby spojrzeć w ich stronę. Z pobliskiej kuchni napływał zapach czosnku. Gospodarz wskazał w tamtą stronę.

– Jeśli jesteście głodni, posiłki są jeszcze wydawane. Niestety, o tej późnej godzinie jest niewielki wybór. Ale mamy najlepszą kawę na świecie.

Kat skinęła głową, kuszona przez to ostatnie.

Skręcił za Hartnellem w korytarz po lewej stronie.

– Z góry przepraszam. Niestety, wyposażenie jest dość spartańskie, ale za to macie sąsiadujące ze sobą pokoje.

– Zadowolimy się czymkolwiek – powiedział Painter. – Odlecimy, zanim się pan spostrzeże. – Miejmy nadzieję, dodał w myślach.

Hartnell podał im karty magnetyczne.

– Cała stacja jest kontrolowana elektronicznie. Karty uczą się rozkładu dnia członków personelu, żeby ustawiać termostaty w ich pokojach. Wszystko śledzą.

Kat uznała jego słowa za lekko niepokojące i zastanawiała się, czy nie zależało mu na tym, by odczuli niepokój.

Rozłożył dłonie.

– Ale, jak powiedziałem, jutro rano poznamy się lepiej. Przekonacie się, że nasza praca jest warta pieniędzy agencji DARPA.

– Dziękuję – wymamrotała Kat, tłumiąc wcale nieudawane ziewnięcie.

– Czujcie się jak w domu. – Skinął głową i odszedł korytarzem.

Painter przeciągnął kartę przez czytnik, rzucając okiem na zamontowaną pod sufitem kamerę.

– Powinniśmy się przespać – rzucił.

– Dobry pomysł – zgodziła się z nim, grając swoją rolę zgodnie z planem.

Weszli do swoich pokoi. Gdy Kat przestąpiła próg, zrozumiała, że określenie „spartańskie” pojmuje zupełnie inaczej niż ich gospodarz. Tak urządzonego pokój z łatwością mogłaby znaleźć w hotelu Four Seasons. Była tu ogrzewana drewniana podłoga i dwuosobowe łóżko zasłane adamaszkiem i jedwabiem. Na jednej ścianie wisiały rozsunięte zasłony, a pomiędzy nimi ekran plazmowy ukazywał zalaną słońcem plażę, delikatnie obmywaną falami, jakby pokój miał okno z widokiem na Karaiby.

W pomieszczeniu brzmiała łagodna muzyka. Wyłożona marmurem łazienka była wyposażona w jacuzzi i prysznic parowy.

Kat pokręciła głową, domyślając się, że Hartnell chciał im zrobić niespodziankę.

My również, przemknęło jej przez głowę.

Podeszła do łóżka i położyła na nim walizkę. Zakamuflowane schowki zawierały części rozłożonego SIG sauera. Na razie powstrzymała się przed otwieraniem czegokolwiek. Wykorzystała czas na dokładne rozejrzenie się.

Usłyszała pukanie do drzwi łączących ich pokoje. Podeszła i przeciągnęła kartę przez czytnik, żeby go wpuścić. Painter wszedł bez słowa i podczas gdy ona stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, obszedł pokój i łazienkę. Gdzieniedzie przystawał, żeby przysunąć trzymany w ręce przyrząd do ściany czy otworu wentylacyjnego.

Z zadowoleniem pokiwał głową.

– Wygląda na to, że oba pokoje są czyste. Rozmawianie powinno być bezpieczne.

– Co teraz? – zapytała, podchodząc do walizki, gotowa wyjąć i złożyć broń.

– Znajdziemy Safię.

Widziała w jego oczach napięcie i niepokój. Chciała, żeby myślał jasno, dla dobra ich wszystkich.

– Żyje – zapewniła go. – Nie ciągnęliby jej taki szmat drogi tylko po to, żeby ją zabić. Jest im do czegoś potrzebna.

– Do czego?

– Dobre pytanie. Jeśli to rozgryziemy, może będziemy mieli większe szanse ją znaleźć. – Zerknęła ku drzwiom. – Ale od czego zacząć?

Gdy skoncentrował się na odpowiedzi, jego zdenerwowanie opadło. Wreszcie wskazał w kierunku korytarza.

– Zaczniemy od najlepszej kawy na świecie, a potem poznamy naszych sąsiadów.

Godzina 23.26

To nie ma sensu...

Safia siedziała w bibliotece stacji, przecierając zmęczone oczy. Większą część dnia spędziła z Rorym na kopiowaniu hieroglifów wytatuowanych na ciele egipskiej księżniczki. Z powodu wieku i mumifikacji było to żmudne zadanie. Co gorsza, musieli je wykonywać w kombinezonach.

Niektóre fragmenty okazały się łatwe do odczytania, jakby pochodziły sprzed kilku lat, a nie tysięcy. Inne, żeby można je było zobaczyć na skórze, wymagały użycia lamp emitujących promieniowanie ultrafioletowe albo podczerwone. Skopiowanie tatuaży z wewnętrznej strony zasuszonych ud i odczytanie maleńkich hieroglifów na palcach stóp było prawdziwym wyzwaniem.

Mieli za sobą dziewięć godzin mozolnej pracy. Kopiowane tatuaże – dla łatwiejszej obróbki – przerabiali w wersję cyfrową i uzupełniali szczegóły wszystkich nadszarpniętych zębem czasu hieroglifów, żeby były bardziej czytelne. Safia miała w tym momencie na ekranie laptopa część rekonstrukcji, która wyglądała jak wygryziona przez mole, pełna luk i brakujących fragmentów.



Pracowali skrupulatnie, ale niektóre tatuaże zostały bezpowrotnie stracone. Chcąc dowiedzieć się jak najwięcej,

podjęli ostatnią próbę i ustawili topograficzny skaner trójwymiarowy. Cztery lasery urządzenia ustawione wokół kobiety siedzącej na tronie miały zeskanować każdy zakamarek jej ciała, wnikając głęboko w warstwy skóry. Oprogramowanie do obrazowania pozwalało nawet na naciąganie skóry, co przy odrobinie szczęścia mogło ujawnić niewidoczne detale.

Ale był to proces powolny, wymagający wielu godzin.

Zostawiwszy włączony skaner, żeby pracował przez całą noc, poszli do biblioteki. Próbowali przetłumaczyć nieliczne dobrze zachowane fragmenty, ale – jak na razie – nie posuwali się do przodu.

– To bełkot – podsumowała Safia.

Rory pracował po drugiej stronie stołu, mozoląc się nad jakąś układanką na ekranie laptopa.

– Na pewno nie. Dlaczego ta kobieta miałaby zadawać sobie tyle bólu, żeby pokryć całe ciało wytatuowanymi bzdurami?

– Może to tylko ozdoby. Słyszałam o ludziach, którzy każą sobie tatuować chińskie napisy, nie mając pojęcia, że to bezsensowne głupoty.

– Nie dam się przekonać.

Safia westchnęła.

– Ja też nie. Próbowала zachować coś, co musiało być ważne.

Ale co?

– Może wrócimy do tego jutro, jak wypoczniemy – zaproponował chłopak. – Zrobiło się późno, oboje jesteśmy zmęczeni. Rano spróbujemy wypełnić kilka luk.

Sfrustrowana, pokiwała głową.

– To jak próba czytania książki, w której brakuje co drugiego słowa, a w tych pozostałych nie ma połowy liter.

– Co więcej, skóra tylnej części ciała mumii jest spalona – przypomniał jej – więc brakuje nam połowy kartek książki.

– Racja.

Safia uśmiechnęła się, widząc, że Rory bez powodzenia próbuje powstrzymać się od ziewnięcia.

– Zabierzemy się do tego, kiedy oczy nie będą się nam zamykać – zadecydowała.

– Może nie to. – Wskazał podbite, podpuchnięte oko, bolesne przypomnienie ceny porażki.

Anton, człowiek, który go poturbował, siedział przy drzwiach i nie spuszczał z nich wzroku.

– Rozpracujemy to – obiecała chłopakowi.

Skończyli pracę i zaczęli zamykać laptopy. Większość funkcji jej komputera została zablokowana, ale mogła używać poczty mailowej albo komunikatora do łączności z Rorym, na wypadek gdyby w nocy któreś z nich wpadło na jakiś pomysł.

– Ostatnia sprawa – rzuciła. – Ten brakujący prostokątny pasek skóry. Mówiłeś, że, twoim zdaniem, ojciec wyciął go do badań.

– Żeby dokładnie określić metodę jej mumifikacji, bo wydawała mu się dziwna.

– A co konkretnie go dziwiło?

– Był przekonany, że w rytuale, któremu się poddała przed zamurowaniem w grobie, jest coś wyjątkowego, ale nie podzielił się ze mną szczegółami. Mogliśmy rozmawiać tylko przez godzinę w tygodniu. – Zerknął na Antona. – To znaczy wtedy, gdy obaj robiliśmy, co nam kazano.

Safia wyobraziła sobie pusty prostokąt na rekonstrukcji wytatuowanych hieroglifów.

– Skopiował to, co było napisane na wyciętym fragmencie?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli tak, prawdopodobnie zniszczył to wraz ze wszystkimi innymi materiałami.

– Co on próbował ukryć? – szepnęła do siebie, lecz Rory ją usłyszał.

– Najwyraźniej coś, za co warto umrzeć.

Skrzywiła się i dotknęła jego ramienia.

– Przepraszam.

Chłopak spuścił wzrok.

– I zostawił mnie, żebym poskładał kawałki. – W jego głosie brzmiała gorycz.

Gdy ruszył do drzwi, Safia pospieszyła za nim, szukając jakichś słów, żeby go pocieszyć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co czuje ten młody człowiek. Nie dosyć, że zmagał się z rozpaczą po stracie ojca, to miał do niego żal za to, że go porzucił. Ojciec postanowił zaryzykować życie, zostawiając go w szponach porywaczy. I teraz syn był zmuszony pójść w ślady ojca.

Zastanawiała się nad decyzją Harolda.

Zrobił to z egoizmu czy desperacji?

Gdy zrównała się z Rorem, ktoś zapukał do drzwi biblioteki. Anton kazał im się odsunąć i uchylił drzwi, zasłaniając im widok. Zamienił z kimś kilka słów i dostał teczkę.

Zamknął drzwi i odwrócił się stroną Safii i Rory'ego.

– Wyniki badań.

Safia przez chwilę nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale przyjęła teczkę. Otworzyła ją i zobaczyła wyniki analizy DNA. Był to tylko jeden z szeregu testów, od próbek tkanki po datowanie radiowęglowe. Nie przypuszczała, że tak szybko je dostanie, ale powinna się z tym liczyć, zważywszy na to, kto finansował przedsięwzięcie. Odsunęła się od drzwi, pociągając ze sobą Rory'ego. Nie spodziewała się niczego szczególnie zaskakującego. Poprosiła o genetyczną analizę autosomalnego i mitochondrialnego DNA mumii; miała nadzieję, że to pomoże jej określić pochodzenie kobiety, da im jakąś wskazówkę, gdzie konkretnie żyła w starożytnym Egipcie.

Teczka zawierała ponad trzydzieści stron szczegółowych danych, łącznie z diagramami, ale na pierwszej stronie zamieszczono ich podsumowanie. Przeczytała głośno ostatnią linijkę.

– *Obiekt ma kilka potwierdzających alleli i markerów, ale najbardziej znacząca jest obecność podhaplogrupy K-jeden-a-jeden-b-jeden-a, co sugeruje pochodzenie lewantyńskie, przy jednoczesnym braku obecności podgrupy I-dwa spodziewanej u osobnika pochodzenia egipskiego.*

Rory ściągnął brwi.

– Archeogenetyka to nie moja bajka. Co to znaczy?

Safia przełknęła ślinę, widząc w wyobraźni wyniszczone ciało na tronie.

– To znaczy, że ta kobieta nie była Egipcjanką.

– Co?!

Przeczytała po cichu najważniejsze słowa: *sugeruje pochodzenie lewentyńskie*.

– Myślę... – Spojrzała na Rory'ego. – Myślę, że to Żydówka.

Godzina 23.55

Simon Hartnell wyszedł nagi z lodowatego basenu. Drżąc z zimna, chwycił ręcznik z podgrzewanej półki i wytarł się do sucha.

Był to jego codzienny rytuał przed położeniem się spać. Jego prywatny basen, napełniony wodą o stałej temperaturze trzynastu stopni, miał tylko metr szerokości i nieco ponad trzy i pół metra głębokości. Hartnell skakał do niego co wieczór i nurkował, żeby chwycić stalowy pierścień przytwierdzony do dna. Trzymał się tej kotwicy, dopóki nie zabrakło mu tchu, i dopiero wtedy wynurzał się na powierzchnię.

Już czuł uspokajający efekt, będący jedną z wielu korzyści zimnych kąpiel, które podobno wpływają dobroczynnie na układ limfatyczny, wzmacniają układ odpornościowy i powodują przyrost brunatnej tkanki tłuszczowej, pomagającej spalać kalorie. Jeśli nawet nic z tego nie było prawdą, na pewno działały na układ krążenia, bo serce waliło mu w piersi.

Gdy przebiegł go kolejny dreszcz, włożył gruby szlafrok.

Stwierdził, że po tej szokowej krioterapii znacznie lepiej sypia – rytuał pomagał pokonać dezorientację organizmu w krainie, w której miesiącami mogą panować ciemności albo jasność przez całą dobę.

Hartnell mógł też jaśniej myśleć i nabierać dystansu do problemów dnia.

Takich jak ta zaskakująca wizyta dwojga inspektorów z DARPA.

Dlaczego akurat teraz?

Za niespełna dwadzieścia cztery godziny miał się rozpocząć ważny eksperyment. Panowały idealne warunki. Nie dość, że nadciągająca burza była ciepła – tutaj to rzadkość, bo w Arktyce wilgotność powietrza jest porównywalna z tą na pustyniach – to zbiegała się z burzą geomagnetyczną spowodowaną przez potężny rozbłysk słoneczny, do którego doszło dwa dni temu. Miał wszystko, czego potrzeba, i nie chciał nawet myśleć o opóźnieniu.

Rozważając sytuację, wyszedł z łazienki i podreptał bosy do swojej biblioteki. Jego apartament zajmował całą szerokość prywatnego piątego poziomu i miała tam dostęp tylko garstka osób. Wszedł do biblioteki, zadowolony z ciepła wznoszącego się z ręcznie heblowanych desek podłogi. Pomieszczenie było połączeniem przeszłości i nowoczesności. Pod trzema ścianami stały mahoniowe regały pełne książek, niektórych sprzed wieków, a także artefaktów i skarbów zamkniętych pod szkłem.

Jedna z tych ścian była w całości poświęcona Nikoli Tesli. Hartnell urządził tu istne muzeum wynalazcy. Nawet ekran plazmowy, który włączył się w chwili, gdy przestąpił próg, ukazywał widok na Manhattan ze starego apartamentu Tesli w hotelu New Yorker – z pokoju 3327, gdzie na drzwiach wciąż wisi tabliczka upamiętniająca wynalazcę.

To w tym pokoju skończyło się jego życie i tam narodziła się moja pasja, pomyślał.

Spojrzał na swój najcenniejszy skarb. Pod szkłem, oświetlona z góry łagodnym blaskiem, leżała gruba czarna książka.

Nikola Tesla zmarł w 1943 roku. Na wieść o śmierci wynalazcy jego siostrzeniec Sava Kosanović pospieszył do hotelu, gdzie zobaczył, że zwłoki wuja już zostały zabrane, a pokoje splądrowane. Zniknęły tomy materiałów naukowych, łącznie z kilkusetstronicowym notesem, który Kosanović na prośbę Tesli miał szczególnie chronić po jego śmierci. FBI przejrzało

i skonfiskowało wszystko, co zostało, twierdząc, że jest to sprawa bezpieczeństwa narodowego.

I nic dziwnego.

Hartnell spojrział na wiszący na ścianie oprawiony egzemplarz „New York Timesa” z jedenastego lipca 1934 roku. Nagłówek informował: TESLA, lat 78, ODKRYŁ PROMIENŃ ŚMIERCI. Artykuł opisywał broń wyrzucającą wiązkę cząstek, które z odległości setek kilometrów mogą strącić nawet dziesięć tysięcy samolotów. Ale Tesla wierzył, że jego wynalazek zaprowadzi pokój na świecie, ponieważ kiedy wszystkie kraje wejdą w posiadanie nowej broni, prowadzenie wojen stanie się bezsensowne. Przewidywał użycie tego samego wynalazku również do bezprzewodowego przesyłania energii elektrycznej, a nawet do podgrzewania górnych warstw atmosfery, co spowodowałoby powstanie sztucznej zorzy polarnej rozświetlającej nocne niebo na całym świecie.

Simon Hartnell się uśmiechnął.

Tesla był wizjonerem wyprzedzającym swoją epokę.

Ale teraz wreszcie nadszedł czas.

Hartnell patrzył na czarny notes, z każdą stroną starannie zapisaną po serbsko-chorwacku, w ojczystym języku Tesli. Natrafił na niego, gdy wspierał finansowo renowację i rozbudowę muzeum wynalazcy w Belgradzie. W roku 1952 do muzeum trafiły papiery Tesli, w końcu przekazane jego siostrzeńcowi. Ale nawet Sava Kosanović wiedział, że większa część została zatrzymana przez amerykański rząd, przede wszystkim przez NDRC, Narodowy Komitet Badań do spraw Obronności, którym w owym czasie kierował John G. Trump, stryj pewnego nowojorskiego magnata nieruchomości.

Okazało się, że Kosanović miał rację.

Hartnell wydał miliony, szukając tych zaginionych dokumentów. Dowiedział się, że John Trump, który zmarł w 1985 roku, zapisał ogrom materiałów naukowych swojej Alma Mater, Massachusetts Institute of Technology. Hartnell wysłał tam

swojego człowieka, żeby je przejrzeć, wypatrując przede wszystkim papierów powiązanych z Teslą.

Nie była to z jego strony przypadkowa prośba. W późniejszych latach Trump założył High Voltage Engineering Corporation, przedsiębiorstwo produkujące generatory Van de Graafa, urządzenia służące do wytwarzania wysokiego napięcia, podobne do cewki Tesli. Narodowa Akademia Inżynierii okrzyknęła go „pionierem w dziedzinie naukowych, inżynierskich i medycznych zastosowań generatorów wysokiego napięcia”.

Zdobył uznanie, które, według Hartnella, należało się Tesli.

Podejrzliwy – zwłaszcza że to John Trump nadzorował zamykanie NDRC – Hartnell wysłał badacza, żeby poszperał w papierach. A ten znalazł w nich głęboko pogrzebany notes z odręcznym pismem w języku serbsko-chorwackim.

Simon znów spojrzął na notes pod szkłem.

Ostatnie zapiski Tesli.

Nic dziwnego, że NDRC uznało, że jest niewiele wart. Dziennik nie był traktatem o budowie broni wysyłającej promień śmierci – przynajmniej niezupełnie – lecz zawierał szaloną opowieść o wydarzeniach z roku 1895. W jednym z wywiadów Tesla odniósł się do tych tajemniczych notatek, sugerując, że odkrył prawdziwą naturę energii „z nowego i niespodziewanego źródła”.

I rzeczywiście odkrył.

Trump i NDRC zlekceważyli zapiski, uważając je za fantastyczne wymysły, ale Hartnell potraktował je z całkowitą powagą. Chcąc zweryfikować zawarte w nich twierdzenia, poświęcił miliony na działalność charytatywną w Afryce, łącznie z finansowaniem projektów budowlanych i deweloperskich wzdłuż Nilu, co z kolei wiązało się z pokrywaniem kosztów badań archeologicznych w tych regionach. Uniwersytety wszędzie szukały dotacji na swoje projekty badawcze, zwłaszcza na drogą pracę w terenie, więc nietrudno mu było je pozyskać i wykorzystać dla własnych celów.

Dwa lata temu – po dziesięcioleciu poszukiwań prowadzonych na podstawie niejasnych wskazówek – Simon znalazł coś, czego Tesla przysiągł nigdy nie ujawnić.

Był to prawdziwy cud, chociaż wiązało się z nim wielkie ryzyko.

Jego świadectwem była trwająca właśnie pandemia.

Hartnell ze ściągniętymi brwiami patrzył na notes, rozumiejąc, dlaczego Tesla i jego dwóch towarzyszy zawiązało pakt milczenia. To, co odkryli, w ich czasach wykraczało poza możliwości wykorzystania, a podjęcie takiej próby wiązałoby się ze zbyt wielkim ryzykiem porażki.

Dlatego zostawili znalezisko pogrzebane na pustyni – żeby czekało, dopóki świat nie będzie na nie gotowy.

Z determinacją zacisnął pięść.

Zrobię to, czego nie mógł dokonać Tesla.

Dla dobra świata.

Bez względu na koszty.

Usłyszał dzwonek za plecami. Odwrócił się w stronę ściany wolnej od regałów. Podszedł i odebrał wideotelefon. Codziennie o północy robił to samo.

Pośrodku ekranu ukazała się twarz Antona, gotowego złożyć ostatni raport dnia.

– Położyłeś swoich podopiecznych do łóżek? – zapytał Hartnell.

– Doktor al-Maaz jest zamknięta w swoim pokoju – zameldował Rosjanin. – Dziś zrobiła spore postępy, łącznie z odkryciem, które, jak sędzę, umknęło nawet uwagi profesora McCabe’a.

– Czego dotyczy?

– Obiektu w laboratorium. Zmumifikowana kobieta nie jest Egipcjanką. Prawdopodobnie była pochodzenia żydowskiego.

– Żydówka?

Anton wzruszył ramionami.

– Nie wiedzą, co z tego wynika, ale jutro podejmą pracę.

Hartnell usiadł w fotelu przed monitorami i zaczął się zastanawiać nad tym, co właśnie usłyszał. Od czasu znalezienia notesu Tesli i poznania zawartych w nim planów dotyczących wykorzystania elektrycznego mikroba szukał sposobów na poskromienie takiego niebezpiecznego organizmu – za pomocą najnowszych metod naukowych i historycznych.

Tesla w swoich zapiskach zasugerował pewne rozwiązanie, ale najwyraźniej był nim zaniepokojony i przerażony tak bardzo, że nie podał szczegółów.

Właśnie to powstrzymywało Simona od rozpoczęcia ostatniego etapu pracy. Z teoretycznego punktu widzenia wszystko miało sens, ale jeśli próba się nie powiedzie, dojdzie do katastrofy ekologicznej na taką skalę, że w porównaniu z nią wyciek ropy z *Exxon Valdez* wyda się rozlanym kubkiem mleka.

Świat stał jednak w obliczu jeszcze większego zagrożenia.

Tu, na Wyspie Ellesmere'a, ocieplenie już powodowało zmianę składu chemicznego wody w jeziorach i na terenach podmokłych, co prowadziło do niszczenia naturalnych siedlisk i wymierania gatunków. I był to tylko przysłowiowy wierzchołek góry lodowej – topiącej się góry lodowej. Naukowcy przewidywali, że jeśli ocieplenia nie da się zahamować, ziemską biosfera może się załamać w ciągu tego stulecia.

Chyba że wkroczy prawdziwy wizjoner.

Rozważał stojące przed nim wyzwania. Eksperyment, który miał się rozpocząć za dwa dni, był fazą pierwszą, próbą lokalną. Miał służyć udowodnieniu prawdziwości jego koncepcji. Ale czy ośmieli się zaryzykować, szczególnie teraz, gdy stacja jest pod obserwacją?

– A nasi goście? – zapytał. – Nasi przyjaciele z DARPA?

– Jak ostatnio sprawdzałem, siedzieli w stołówce i gawędzili przy kawie.

– Jesteś pewien, że są tymi, za kogo się podają?

Anton skinął głową.

– Pracują dla agencji od prawie dziesięciu lat.

Dobrze, pomyślał Simon.

Nie potrzebował kolejnych problemów.

– Jutro zorganizujemy im oficjalną wycieczkę, a potem jak najszybciej ich spakujemy.

Coś go jednak niepokoiło, coś, czego nie umiał wyjaśnić. Ale ufał swojej intuicji. Jak kiedyś powiedział Tesla, „intuicja przewyższa wiedzę”.

– Miej na nich oko, Anton.

– Oczywiście.

– A wiadomości z Sudanu? Jak twoja siostra radzi sobie z drugim problemem?

– Wszystko przebiega zgodnie z planem. Niebawem sprawa powinna zostać załatwiona.

– Świetnie.

Po omówieniu ostatnich szczegółów Hartnell się rozłączył.

Siedział przez chwilę, po czym przełączył obraz na monitorze, żeby zobaczyć przekaz z innej tajnej części stacji. Zajrzał do groty oświetlonej jasnymi halogenami. Stanowiła fragment starej Kopalni Fitzgeralda, która kiedyś działała na wyspie. Pół wieku temu wyrobisko, z którego wydobywano nikiel i ołów, zostało zalane i na tej głębokości, pod izolującą warstwą skalną, woda nie zamarzała. Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy ujrzał grootę, gdy budowano Stację Aurora. Woda była idealnie błękitna, jak niebo na obrazkach.

W końcu to stare wyrobisko posłużyło jako idealny zbiornik.

Patrzył na podziemne jezioro. Stalowa kładka, która biegła wzdłuż jego długości, przeglądała się w gładkiej powierzchni. Ale teraz woda już nie była krystalicznie lazurowa. Miała ciemny rubinowy kolor, podobny do krwi.

Zadrzał z lęku, gdy pomyślał o kolejnym cytacie z wypowiedzi Tesli. Zastanawiał się, czy wizjoner przepowiadał, co się stanie, jeśli tajemnica jego dziennika wyjdzie na światło dzienne.

Możecie dożyć czasów, kiedy ujrzycie stworzone przez człowieka potworności przekraczające wszelkie pojęcie.

Hartnell modlił się, żeby człowiek, którego podziwiał, chociaż raz się pomylił.

CZĘŚĆ TRZECIA
ŚNIĄCY BÓG

Σ

Pustynia w Sudanie

3 czerwca, godzina 6.18 czasu miejscowego

Słońce wzeszło i jego blask uderzył jak młot.

Gray zaklął pod nosem, opuszczając osłonę przeciwsłoneczną i mrużąc oczy, gdy górny skraj tarczy ukazał się nad wydmami. Niebo jaśniało od godziny, mimo to nie był przygotowany na ogniste przybycie nowego dnia.

Siedział za kierownicą, podczas gdy inni spali albo drzemali. Z tyłu Jane tuliła się do Dereka, który spał z zadartą głową i otwartymi ustami. Kowalski, z podbródkiem zwieszonym na piersi, głośno pochrapywał, rywalizując z gardłowym pomrukiem silnika ciężarówki. Seichan siedziała z przodu, z głową opartą o szybę.

Jedyny poza nim członek zespołu, który nie spał, pędził przed telepiącym się unimogiem. Ahmad wprawnie lawirował na starym motocyklu terenowym Suzuki Tracker; gruby bieżnik tylnej opony wgryzał się w zdradliwe piaszczyste podłoże. Chłopak przyprowadził swój pojazd, zanim opuścili miasteczko Rufaa. Kowalski pomógł mu załadować motor na skrzynię ciężarówki, gdzie Andżing już spała w gnieździe zrobionym z ich plecaków.

Trzy godziny temu Ahmad wskazał im miejsce, gdzie jego krewni znaleźli profesora McCabe'a. Zatrzymali się i rozejrzeli, ale nie dostrzegli żadnych wskazówek. Wszelkie ślady zostały zdeptane przez miejscowych i zasypane przez piasek niesiony

silnym wiatrem. Przesypujący się piasek zatarł też wiodące do tego miejsca odciski stóp profesora.

Pojechali więc dalej, zmierzając do miejsca zaznaczonego znakiem X na mapie Dereka. Ahmad ściągnął motor i teraz prowadził, wypatrując jakichkolwiek śladów obecności profesora. Zakreślał szerokie łuki, jadąc daleko z przodu ze zgaszonym reflektorem, bo, jak utrzymywał, lepiej widzi w świetle księżyca i gwiazd.

Gray też się rozglądał, ale nie mając oczu pustynnego nomady, jechał z zapalonymi światłami. Od godziny brnęli coraz wyżej w zniszczone przez słońce i wiatr faliste wzgórza.

Seichan poruszyła się obok niego, wyciągając ręce i wyginając plecy. Przesłoniła dłonią oczy, chroniąc je przed blaskiem.

– Która godzina?

– Czas rozejrzeć się za jakimś schronieniem. Za parę godzin będzie gorąco jak w piekle.

– Jak daleko jest do współrzędnych wyznaczonych przez Dereka?

Gray spojrział na GPS w telefonie satelitarnym.

– Jeszcze trzydzieści kilometrów, w trudnym terenie.

Patrząc na wzgórza pocięte przez suche koryta rzeczne zwane wadisami i na wyrzeźbione przez wiatr formacje skalne, rozumiał mądrość wyboru akurat takiego pojazdu. Maksymalna prędkość unimoga wynosiła sto kilometrów na godzinę, ale ciężarówka nadrabiała wolne tempo doskonałą przyczepnością. Gray uznał, że zanim zmierzą się z kolejnymi przeszkodami, mogą poświęcić trochę czasu na rozprostowanie nóg i posiłek.

Ahmad musiał wpaść na podobny pomysł, bo daleko przed nimi zawrócił motocykl, wyrzucając spod opon fontanny piasku. Wskazał niskie urwisko, które tworzyło cienistą oazę.

Gray jechał do wskazanego miejsca, gdy inni się budzili, gderając i postępując.

– Zrobimy krótką przerwę – oznajmił. – Niech silnik ostygnie przed ostatnim etapem.

Kowalski przeciągle wypuścił powietrze.

– Dobrze. Bo muszę odcedzić... daktyle. Wypiłem za dużo wody.

Ahmad, który zsiadł z motoru, podskakiwał i machał ręką, wyraźnie nie mogąc się ich doczekać.

Skąd ten dzieciak ma tyle energii? – zastanawiał się Gray.

Wypatrzył miejsce na postój i wprowadził unimoga w cień. Ze skrzyni dobiegło radosne szczekanie. Andżing zeskoczyła na ziemię i pobiegła do swojego młodego pana. Gdy pies i chłopak witali się w radosnym tańcu, wszyscy wysiedli z ciężarówki.

– Chodźcie zobaczyć, chodźcie zobaczyć! – zawołał Ahmad.

Kowalski ruszył na poszukiwanie ustronia, żeby „odcedzić daktyle”, a pozostała czwórka podeszła do chłopaka.

– Patrzcie. – Ahmad wskazał piasek. – Ślady stóp.

Gray zatrzymał wszystkich i okrążył wskazane miejsce.

– Zdecydowanie odciski butów. I piasek jest zgarnięty, jakby ktoś uszykował sobie chłodniejsze miejsce na noc.

– Albo na dzień – powiedziała Jane. – Mój ojciec znał pustynię. Wędrowałby tu tylko po zachodzie słońca.

Derek przyznał jej rację.

– Harold był starym wygą.

– Ale w delirium – przypomniała im Seichan. – Diabli wiedzą, kto mógł tu obozować.

– To był mój ojciec. Po prostu wiem – oświadczyła stanowczo Jane.

Uklękła i zaczęła przegarniać piasek rękami, zataczając spiralne kręgi.

Derek dotknął jej ramienia.

– Jane, może tak, może nie...

Strzasnęła jego dłoń.

– Jeśli to był mój ojciec, mógł zostawić...

Nagle jej palce odsłoniły coś, co leżało zagrzebane w piasku. Zaskoczona, odsunęła rękę. Było to szklane naczynie zamknięte gumowym korkiem.

Gray opadł na kolano obok niej.

– Pozwól.

Wyjął próbkę z czymś zwiniętym w środku.

Dziewczyna przysiadła na piętach, szeroko otwierając oczy.

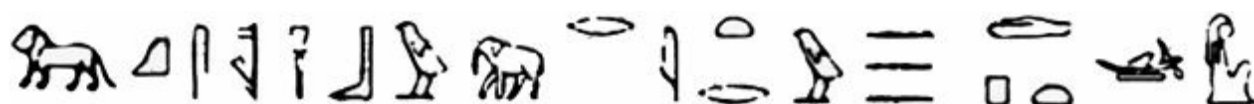
– Ojciec nie chciał, żeby to coś wpadło w ręce porywaczy, i ukrył tutaj, na wypadek gdyby go złapali.

– Ale co to jest? – zapytała Seichan.

Gray, pamiętając o chorobie, jaką niósł profesor, rozważał ryzyko związane z otwarciem znaleziska. Jednakże krewni Ahmada nie zachorowali, a McCabe z pewnością ukrył próbkę nie bez powodu; miał nadzieję, że zostanie znaleziona przez właściwych ludzi. Gray postanowił ją otworzyć.

Chwycił korek, wykręcił go i wytrząsnął na dłoń zawartość próbki. Wyglądało to na małe zwój pergaminu. Inni skupili się wokół niego, gdy go rozwijał. Robił to ostrożnie, czując, że jest bardzo stary.

Kiedy go rozłożył, zobaczyli ciąg hieroglifów.



Jane pochyliła się i wyciągnęła rękę.

– Pokaż.

Derek patrzył nad jej ramieniem, gdy wzięła pergamin.

– Spójrz na te hieroglify – rzucił. – Widzisz pisklę przepiórki i trzcinę? Pismo z pewnością pochodzi z czasów Nowego Królestwa.

Dziewczyna skinęła głową.

– Zdecydowanie siedemnasta albo osiemnasta dynastia.

– Co tam jest napisane? – zapytał Gray.

Chwilę się zastanawiała.

– Gramatyka i składnia są dziwne – odezwała się w końcu. – Coś o zabranii łodzi do ujścia rzeki. Potem o kościach słonia. – Spojrzała na Dereka, a on, skonsternowany, tylko wzruszył ramionami.

Gray zmarszczył brwi.

– Dlaczego twój ojciec miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby ukryć ten stary strzęp pergaminu?

– Po pierwsze, to nie pergamin. – Jane potarła arkusik w palcach. – To niewyprawiona skóra. Możliwe, że wytatuowana ludzka skóra.

– Zwróć uwagę na skraje – wtrącił Derek. – Są proste i równe, jak wycięte skalpelem.

Zmrużyła oczy.

– Jest wysuszona. Przypuszczam, że pochodzi z mumii.

– Ale dlaczego ktoś wyciął akurat ten kawałek? – dociekał Gray.

Jane odwróciła arkusik i zeszywniała. Pokazała mu drugą stronę.

– Może z powodu tego.

Pochylił się. Wzdłuż dolnego skraju biegły pospiesznie nagryzmołone cyfry i litery.

15° 42' 09.1" N 33° 14' 35.4" E

– Współrzędne – stwierdził. Wyjął telefon i wpisał cyfry podyktowane przez Jane. Chwilę później na mapie pojawiła się czerwona kropka.

– Co to za miejsce? – zapytała Seichan.

Gray uniósł głowę.

– Leży nieco ponad trzy kilometry od tego, do którego zmierzamy. Bardzo blisko iksa zaznaczonego na mapie Dereka.

– Musimy tam jechać – rzuciła Jane, wstając.

Pokiwał głową, zwinął skórę, schował ją do probówki i wskazał ciężarówkę.

– Wsiadajmy.

Kowalski ruszył szybko za pozostałymi, spoglądając przez ramię i popatrując w niebo. W pośpiechu zapomniał zapiąć rozporek.

– Co się stało? – zapytał Gray.

– Myślę, że ktoś nas śledzi.

– Co?!

Akurat się odlowałem, jak zobaczyłem coś na niebie, nieko

– Akurat się odlewaniem, jak zobaczyłem coś na niebie, blisko nad horyzontem. Zniknęło w blasku słońca.

– To mógł być ptak – zasugerował Derek. – Jastrzębie, kanie i sępy polują nawet tak daleko na pustyni. Zwłaszcza wczesnym rankiem.

Gray spojrzął twardo na Kowalskiego.

– Co ty na to?

Olbrzym potarł dłonią kark.

– Może... Nie wiem... Ale, cholera, jeszcze zanim to zobaczyłem, miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

– Co robimy? – zwróciła się do Graya Jane.

Rozważał możliwości. Kowalski może nie grzeszył rozumem, ale miał instynkt, zwłaszcza gdy chodziło o przetrwanie. Z drugiej strony, przecież nie zawrócą nad Nil, wystraszeni przez głodnego sępa. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę.

– Jedziemy dalej – zdecydował. – Ale miejmy baczenie na tyły.

– I niebo – dodał Kowalski, w końcu zasuważąc rozporek. – Nie zapomnijcie o niebie.

Seichan, wyraźnie zmartwiona, wymieniła spojrzenia z Grayem. W Rufaa stanowczo obstawała przy tym, że nieznamy węszący wokół ciężarówki nie był złodziejem. To tutaj mogło być potwierdzeniem tego. Jeśli tak, nasuwał się tylko jeden wniosek.

Pakujemy się prosto w pułapkę.

Godzina 7.02

Wala klęła, gdy dron wylądował na piasku w pobliżu obozowiska jej ekipy. Bezzałogowy statek latający RQ-11B Raven miał skrzydła o rozpiętości stu dwudziestu centymetrów i ważył nieco ponad dwa kilogramy. Był jednym z dwóch, których używali do obserwacji z powietrza. Każdy miał akumulator

pozwalający na dziewięćdziesiąt minut lotu, więc wysłała je na przemian, ładując akumulator tego, który nie był w powietrzu.

Po przybyciu z Rufaa siedziała w namiocie kamuflującym, sterując dronem i śledząc powolną jazdę wroga przez pustynię. Rozbili obóz na wzgórzach górujących nad płaskim terenem, który ciągnął się do samego Nilu. Założyła, że cele skierują się najpierw do miejsca, gdzie nomadowie znaleźli profesora McCabe'a.

Niestety, nie udało jej się podrzucić nadajnika do ciężarówki. Takie urządzenie byłoby przydatniejsze, bo przecież po wschodzie słońca nie będą używać dronów. Ten ostatni już był za długo w powietrzu. Przez krótką chwilę na ekranie widziała wielkiego mężczyznę patrzącego prosto na drona.

Być może nie zauważył bezzałogowego statku, ale żałowała, że nie ściągnęła go wcześniej. Zaryzykowała w nadziei, że zobaczy, co wywołało nagłe poruszenie w obserwowanej grupie. Widziała, że stanęli razem, patrząc na coś w skupieniu, ale urwisko zasłaniało widok.

Co znaleźli?

Była wyjątkowo podejrzliwa z powodu trasy ciężarówki. Unimog, poprzedzany przez mały motocykl, zmierzał prosto w ich stronę, jakby tamci wiedzieli, dokąd mają jechać. Spodziewała się, że stworzą siatkę poszukiwań i będą ją przeczesywać, szukając śladów profesora.

Wyglądało na to, że mają niesamowite wyczucie.

Przecież nie mogą wiedzieć, co tu jest.

– Ruszyli – usłyszała głos zwiadowcy, którego wysłała, żeby obserwował ciężarówkę po wyjeździe z cienistej rozpadliny.

Odwróciła się w prawo i w odległości trzech kilometrów na zachód od swojego stanowiska zauważyła chmurę pyłu. W tych wąwozach i wzgórzach miała sześciu ludzi, nie licząc ich przywódcy.

– Jakie rozkazy? – zapytał Kruger, stojący sztywno u jej boku.

Willem Kruger – podobnie jak pozostali członkowie doborowej ekipy – był kiedyś komandosem

południowoafrykańskich sił specjalnych. Wszyscy zostali wyrzuceni z brygady pod zarzutem zbrojnego wspierania czarnorynkowych handlarzy. Wala nie miała pojęcia, czy tak wyglądała prawda. Wiedziała tylko to, że są brutalni, skuteczni i bezkompromisowi.

Kruger zmrużył oczy, patrząc ku dalekiej chmurze pyłu.

– Mamy się nimi zająć?

Zastanawiała się nad odpowiedzią, patrząc na emblemat na pustynnym stroju khaki Krugera. Był to czarny sztylet na tle zielonego wieńca laurowego, jego dawna odznaka sił specjalnych – ale ciemne ostrze przypomniało jej o innym nożu, o babcinym sztylecie *athamé*.

Pomyślała o obietnicy złożonej ubiegłej nocy, o przysiędze wyciętej w zimnym ciele. Mimowolnie pocierała palcami czarną rękojeść sztyletu w pochwie na przedramieniu pod rękawem.

Jej rozkazy były jasne: uprowadzić Jane McCabe. Los innych nie miał znaczenia.

– Nie, jeszcze nie – zdecydowała.

Mężczyzna obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

– Wiem, dokąd jada – oznajmiła z nagłym przekonaniem. – To ślepy zaułek.

Zwłaszcza jeśli odkryją, co jest tam ukryte.

Godzina 8.08

Jane chwyciła klamkę, gdy unimog podskoczył na gładzie, niebezpiecznie się przechylając. Od ponad godziny jechali przez trudny teren.

– Sadzę, że szybciej byłoby piechotą – rzucił Derek, gdy rozkołysana na resorach ciężarówka złapała przyczepność. Siedział sztywno na tylnym siedzeniu przy drugich drzwiach.

Seichan zajmowała miejsce pomiędzy nimi; pochyłona, rozmawiała z Grayem i Kowalskim.

– Daleko jeszcze? – spytała.

Cholernie dobre pytanie, pomyślał Gray i wskazał przed siebie.

– Widzisz tę rozpadlinę pomiędzy wzgórzami? Miejsce wyznaczone przez współrzędne profesora McCabe'a leży po drugiej stronie.

Jane spojrzała na Ahmada, który jechał przodem, wskazując im drogę. W tej chwili zniknął w cieniu między urwiskami. Andżing ruszyła w pościg. Jechali tak wolno, że bez wysiłku dotrzymywała im kroku i nawet odbiegała, gdy skusił ją jakiś interesujący zapach, albo przystawała, żeby się wysikać.

Telepali się za chłopakiem i jego psem coraz wolniej, bo teren stawał się coraz trudniejszy. Gdy zbliżali się do rozpadliny, nawet ślimak mógłby ich wyprzedzić.

Ciężarówka wcisnęła się w rozpadlinę, ledwie się w niej mieszcząc. Jane wyobrażała sobie, że utknęli, zaklinowani pomiędzy skalnymi ścianami. Bez tylnych drzwi i szyberdachu, zostaliby uwięzieni w pojeździe, zdani na łaskę słońca, które w południe ich upiecze. Powstrzymała się od wyrażenia tych lęków.

Głośny nieprzerwany zgrzyt metalu działał jej na nerwy. Była przekonana, że jej obawy się spełniają.

Nawet Gray popatrywał do przodu i do tyłu ze zmartwioną miną.

– Kowalski...

– Mnóstwo miejsca – odparł siedzący za kierownicą olbrzym.

– W takim razie dlaczego zdarłeś połowę farby z karoserii po mojej stronie?

Kowalski wzruszył ramionami.

– Co znaczy parę draśnięć odniesionych w bitwie?

Po pięciu pełnych napięcia minutach ściany się rozstąpiły i unimog przyspieszył.

– A nie mówiłem? – burknął cicho Kowalski.

Wąwóz rozszerzył się w piaszczystą dolinę wielkości boiska futbolowego. Ze wszystkich stron otaczały ją strome urwiska.

Wiatr przesypywał ziarna piasku i tworzył pod skalnymi ścianami małe wydmy, jak fale na brzegu jeziora.

Ahmad postawił motor w cieniu, który o tej wczesnej porze kładł się na połowę doliny. Przykląkł, żeby napić Andżing z manierki.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Kowalski, gdy zaparkował w cienistym miejscu. – Co teraz?

– Tu nic nie ma – odezwała się Seichan, marszcząc czoło.

– Coś musi być – rzuciła Jane, która czuła, że musi bronić ojca, być jego głosem.

– Jane ma rację – poparł ją Derek. – Harold nie ryzykowałby życia i nie ukrywał namiarów, gdyby nie były ważne.

– Rozejrzyjmy się – zaproponował Gray. – Podzielimy się na dwa zespoły i sprawdzimy urwiska.

– A może najpierw zobaczymy, dlaczego ten dzieciak jest taki podekscytowany? – zasugerował Kowalski.

Ahmad machał ręką i wskazywał psa. Andżing skończyła pić i przyciągnięta jakimś zapachem, podbiegła do skalnej ściany. Energicznie kopała wśród kamieni leżących u stóp urwiska. Piasek strzelał wysoko pomiędzy jej zadnich łap.

Zaciekawieni, wysiedli z ciężarówki i pospieszyli do chłopca. Już robiło się gorąco, nawet w cieniu.

– Andżing znalazła – obwieścił Ahmad. – Chodźcie zobaczyć.

Jane spojrzała na zajętego psa i natychmiast zobaczyła przyczynę ożywienia ich młodego przewodnika. W cieniu urwiska znajdowały się metalowe drzwi. Dla ukrycia ich przed pobieżnym spojrzeniem polano je kwasem, żeby barwa powierzchni pasowała do czerwono-szarego piaskowca.

Derek skupił uwagę na czymś innym. Schylił się i przeciągnął ręką po jednym z mniejszych kamieni.

– To nie są skały – zauważył. – To stare cegły. Można wyczuć ślady dłuta.

– Te kamienie kiedyś zamykały wejście – powiedziała Jane, przyglądając się drzwiom.

Wyobraziła sobie, jak przybywszy tu dwa lata temu

wyobrażała sobie ojca, jak przybywszy tu uwa lata temu, otwierał wejście, chociaż wiedziała, że nie on to zrobił. Ojciec zawsze pracował ostrożnie, a tutaj ktoś po prostu rozbił ceglany mur. Albo był ignorantem, albo nie przejmował się losem zabytków, chociaż w tym wypadku były to tylko stare cegły.

Andżing kopła pod drzwiami, usuwając nawiany piasek z kamiennego progu. Najwyraźniej zwierzyła coś, co znajdowało się wewnątrz. Jane pomyślała o chorobie przyniesionej przez ojca.

– Ahmadzie, odwołaj Andżing, dopóki się nie dowiemy, z czym mamy do czynienia – poprosiła, po czym zwróciła się do Graya: – Przynieśmy łopaty, a także maski i kaski.

Świadomi ryzyka, przed wyprawą zaopatrzyli się w specjalne maski podobne do strażackich, tyle że zaopatrzone w filtry zapewniające ochronę przed bakteriami.

Albo, w tym przypadku, przed archeonami.

Po odkopaniu i oczyszczeniu drzwi każdy z nich nałoży kask i maskę. Bez pośpiechu sprawdzili, czy są szczelne. Tylko Seichan nie zapięła swojej. Patrzyła w niebo, wodząc wzrokiem po krawędziach urwisk.

Miała zostać z Ahmadem i psem, żeby strzec tyłów.

Jane niemal zapomniała, że być może ktoś ich śledzi. Po drodze nie widzieli niczego podejrzanego. Na pustyni panowała cisza. Tutaj jedynym dźwiękiem było poświstywanie wiatru w szczelinach skalnych i syk przesypywanego piasku.

No i słyszała dudnienie swojego serca.

To nie strach przyspieszył jego bicie – przynajmniej nie sam strach. Główną przyczyną było podekscytowanie, z jakim czekała na odkrycie tajemnic czekających za tymi drzwiami. Być może zaraz się dowie, co spotkało ojca. Od długiego czasu nie zaznała takiego uczucia bliskości. Wyobrażała sobie, z jakim podnieceniem stawał na tym samym progu. Była pewna, że serce biło mu równie mocno jak jej.

Nagle na tę chwilę duchowej łączności padła cieniem głęboka melancholia. Przeżywała żal po stracie ojca głębiej niż kiedykolwiek. Niespodziewanie łzy wezbrały w jej oczach.

Przypomniała sobie słowa Dereka, że żal zaskakuje w najmniej spodziewanej chwili.

Z twarzą już ukrytą pod przejrzystą maską, nie mogła nawet obetrzeć łez. Odwróciła się od pozostałych, żeby odzyskać panowanie nad sobą. W końcu jej uwagę przyciągnął zgrzyt metalu.

Gray i Kowalski otworzyli drzwi.

Gdy się odsunęli, Jane zapaliła lampę na kasku i zaświeciła w głąb ciemnego tunelu, który zaczynał się za progiem.

– Gotowa? – zapytał ją Gray.

– Nawet bardziej niż gotowa. – Ruszyła. – Czekałam na to dwa długie lata.

Godzina 8.40

Gray prowadził, za nim szła Jane, a dalej Derek. Jego lampa świeciła na jej nogi, bo strop był niski i musieli iść z pochylonymi głowami. Kowalski, na samym końcu, człapał niemal zgięty wpool, zgarbiony jak goryl.

Tunel łagodnie opadał, zagłębiając się pod wzgórze.

Jane wodziła dłonią w rękawiczce po ścianie.

– Nie powstał naturalnie! – zawołała do Dereka głosem stłumionym przez maskę. – Ktoś wyciął go w piaskowcu. Ciekawe, jak daleko się ciągnie. Może to kolejne Derinkuyu.

Derek przypomniał sobie, co czytał o Derinkuyu, podziemnym mieście w Anatolii. Niedawno odkryta metropolia pochodziła sprzed pięciu tysięcy lat, a łączna powierzchnia rozmieszczonych na wielu poziomach tuneli, komór, pomieszczeń mieszkalnych i dróg ewakuacyjnych wynosiła około pięciuset kilometrów kwadratowych. Był to kolejny dowód na to, że starożytni, dysponujący prymitywnymi narzędziami, mogli tworzyć cuda inżynierii. Piramidy w Gizie stanowiły tylko

wierzchołek tego, co w tej części świata leżało pod ziemią, czekając na odkrycie.

Derek zaświecił przed siebie.

Ale co starożytni wydłubali tutaj? I w jakim celu?

– Rozszerza się! – krzyknął Gray.

Kilka metrów dalej ujrzeni wyciętą w piaskowcu sklepioną grootę.

Jane weszła za Amerykaninem do komory i stanęła jak wryta. Wyprostowała się i rozglądając się, ze świstem wciągnęła powietrze.

Derek dołączył do niej chwilę później i odkrył przyczynę jej szoku.

– Boże...

– Zdumiewające – szepnęła.

Spojrzał pod nogi. Stał na wardze, która łagodnie zakrzywiała się wokół nich, okalając rząd kamiennych siekaczy, kłów i trzonowców wyrzeźbionych w piaskowcowym podłożu. Niektóre zęby były nadkruszone i wyłamane. Zniszczenia wyglądały na niedawne, co zbudziło w nim odruchową złość na wandalizm, z jakim potraktowano ten archeologiczny skarb.

Omiótł komorę snopem światła. Nad jego głową wisiała górna warga z półkołem zębów. Strop był żeberkowany jak podniebienie. Na dole podłoże wyginało się w łagodną falę wyrzeźbionego języka.

Kowalski wyprostował plecy, rozejrzał się i skrzywił.

– Miejmy nadzieję, że nie zostaniemy przeżuci i wypluci.

Jane powoli zrobiła kilka kroków, wszystkiemu się przyglądając.

– Szczegóły są oszałamiające pod względem anatomicznym. – Skierowała światło na wystający skalny pień. – Tutaj kiedyś wisiał jęczyczek. A tamte występy po obu stronach to migdałki.

– Ten z lewej wygląda jak po sfuszerowanym wycięciu – skomentował Kowalski, zauważając kolejną szkodę.

Derek ruszył dalej, oświetlając tylną część komory. Odchodziły stamtąd dwa tunele. Wiedział, co reprezentują.

– Przełyk i tchawica – mruknął.

Rzeczywiście, ściany jednego korytarza były gładkie, jakby umięśnione, natomiast drugi tunel był żebrowany, przywodząc na myśl podkowiaste chrząstki w ludzkich drogach oddechowych. Rozróżnił nawet zarys krtani za owalnym listkiem nagłośni.

– Co tu jest grane? – zapytał Kowalski.

Gray stał kilka kroków dalej, wodząc snopem światła po łuku sklepienia, gdzie twarde podniebienie przechodziło w miękkie.

– Tam jest coś napisane. Hieroglify.

Dołączył do niego Derek, który wcześniej, oszołomiony otaczającymi go cudami, przeoczył ten szczegół. Na kamiennym łuku były wypisane trzy rzędy hieroglifów.

Jane oświetliła pierwszą linijkę.



Derek przetłumaczył.

– „Który przybywa do wzywającego...”

– Pewnie chodzi o nas. – Kowalski rozejrzył się po wielkim wnętrzu ust. – Ale kim jest ten wzywający? W czyjej gębie jesteśmy?

– Odpowiedź jest w następnych rzędach – powiedziała Jane, wskazując hieroglify na podniebieniu. – To imię egipskiego boga, napisane na dwa różne sposoby.



- Jakiego boga? – chciał wiedzieć Gray.
- To bóstwo z późnego panteonu – wyjaśniła Jane. – Tutu, pierwotnie opiekun grobów.
- Super – mruknął Kowalski.
Dziewczyna go zignorowała.
- Później reprezentował strażnika snu, opiekuna marzeń sennych – dodała.
- Był również władcą demonów – przypomniał jej Derek.
- Coraz lepiej – bąknął Kowalski, poprawiając maskę.
- Jeśli rzeczywiście patogen pochodzi stąd, to choroba może być demonem, którego strzeże wyrzeźbione imię Tutu – powiedziała Jane.

Derek zajrzał do wiodących głębiej tuneli, wyobrażając sobie ciało rozpostarte pod tymi wzgórzami – podziemnego boga śpiącego i śniącego przez milenia, chroniącego coś niebezpiecznego.

Ale wyjaśnienie dziewczyny mu nie wystarczyło. Wyczuwał, że chodzi o coś więcej. Zwłaszcza że jeden szczegół był zdecydowanie nie taki jak trzeba.

Wskazał go.

– Jane, spójrz na ostatni hieroglif, ten wyobrażający siedzącą postać. Zwykle imię Tutu kończy się figurą lwa albo mężczyzny.

Skinęła głową.

– Ponieważ Tutu zawsze jest przedstawiany jako lew z głową mężczyzny.

– Właśnie – rzucił Derek. – Ale na końcu drugiego rzędu jest wizerunek kobiety.

- Masz rację – przyznała, podchodząc bliżej.
- O czym mówicie? – wtrącił się Gray.

Derek wyjął z plecaka iPada, żeby mu to wyjaśnić. Poza tym chciał sfotografować odkrycia. Wczytał katalog hieroglifów i pokazał Amerykaninowi symbole oznaczające mężczyznę i kobietę.



Mężczyzna Kobieta

– Mężczyzna siedzi ze skrzyżowanymi nogami i uniesioną ręką, podczas gdy kobieta skromnie klęczy. – Wskazał ostatni hieroglif w trzecim rzędzie. – To zdecydowanie kobieta.

Gray ściągnął brwi pod maską.

– Ale co to oznacza?

Derek wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Chwileczkę. – Jane, mówiąc prawie bez tchu, dotknęła jego ramienia. – Pamiętasz ten szkic w dzienniku ojca... rysunek egipskiego naczynia?

– Aryballosa. Tego z dwiema głowami. – Nagle on też zrozumiał. – Boże... masz rację.

– O czym wy mówicie? – niecierpliwiał się Gray.

Derek wczytał zdjęcie naczynia, zadowolony, że poświęcił czas na zeskanowanie starego dziennika Harolda.

– Tak wyglądał talizman, który Livingstone dostał od jakiegoś tubylca w dowód wdzięczności za uratowanie syna.



– To również naczynie, które podobno zawierało wodę z Nilu z czasów, kiedy zamieniła się w krew – dodał. – Gdy otworzono je w Muzeum Brytyjskim, uwolniony patogen zabił ponad dwadzieścia osób.

Gray pokiwał głową.

– Ale w jakiś sposób udało się zapobiec wybuchowi epidemii – przypomniał.

– I może właśnie tak samo było w czasach Mojżesza – dorzuciła Jane. – Może starożytni znaleźli lekarstwo, a moi dziewiętnastowieczni koledzy w jakiś sposób je odtworzyli. Może tutaj znajdziemy odpowiedź.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Gray.

Odpowiedzi udzielił mu Derek:

– Spójrz na te dwie głowy na naczyniu. Jedna lwia, druga kobieca. – Wskazał dwa ostatnie rzędy hieroglifów. – I zwróć uwagę na dwie formy zapisu imienia Tutu. Jedna kończy się wizerunkiem lwa. Druga symbolem klęczącej kobiety.

Derek popatrzył na twarz Graya. Nawet przez maskę było widać, że Amerykanin jest głęboko pogrążony w myślach. Nagle szeroko tworzył oczy, jakby coś zrozumiał.

– Zastanawiam się... – mruknął do siebie.

– Nad czym? – zaciekał się Derek.

Gray pokręcił głową, po czym oświetlił dwa korytarze prowadzące w dół.

– Idziemy.

Wszyscy obrócili się ku czekającemu ich wyzwaniu.

– Ale którądy? – zapytała Jane. – Przełykiem czy tchawicą? – Pochyliła się, zaglądając w głąb gardła, żeby lepiej zobaczyć tunele. Wykręciła szyję, patrząc prosto w górę.

– Jane...?

– Tu jest otwór. – Gdy się wyprostowała, jej głowa zniknęła w otworze. Zaszurała nogami, robiąc pełen obrót. – Boże... Chodźcie to zobaczyć.

Przesunęła się, robiąc miejsce dla Dereka i Graya.

Derek wyprostował się obok niej, wsuwając głowę do niewielkiej komory. Wejście było zasłonięte przejrzystą foliową płachtą, ale światła ich latarek przenikały przez tę ochronną zasłonę.

– To jama czaszki. – Spostrzegł, że wgłębienia na ścianach naśladują fałdy mózgowie, a na stropie jest zaznaczony podział na półkule.

Gray poświecił niżej.

– Spójrzcie w prawo i lewo.

Jego latarka oświetlała rzędy wyciętych w skale małych nisz. Stały w nich egipskie wyroby garncarskie wielkości grejpfruta. Po niektórych, rozbitych dawno temu, zostały stosiki skorup. Inne nisze były puste. Zachowane naczynia miały znajomy kształt i wielkość: zapieczętowane naczynia z twarzą kobiety i pyskiem lwa.

– Są identyczne jak aryballos Livingstone’a – powiedziała Jane, zatrzymując snop światła na jednej z pustych wnęk. – Z pewnością stąd pochodziło jego naczynie. Może zostało skradzione dawno temu.

– Nic dziwnego, że ktoś odizolował to miejsce. – Gray oświetlił stosiki potłuczonych naczyń na podłodze grotty.

Kilka wyglądało tak, jakby zostały rozbite niedawno.

Czy doszło tu do jakiegoś wypadku? – zastanawiał się.

Jane zwróciła się do Dereka:

– Ta kolekcja sugeruje, że starożytni wiedzieli, że choroba zamknięta w tych naczyniach atakuje mózg. Z jakiego innego powodu mieliby przechowywać je tutaj?

– Być może masz rację.

Dziewczyna się przygarbiła.

– A jeśli to wiedzieli, mogli wiedzieć więcej.

– Na przykład znać lekarstwo – dorzucił Derek.

Skinęła głową. Gdy dołączył do nich Gray, odwróciła się w stronę dwóch tuneli prowadzących głębiej.

– Cokolwiek innego tu ukryli, jest to na dole – powiedziała, po czym powtórzyła wcześniejsze pytanie: – Ale którą drogą? Przełyk czy tchawica?

Derek oświetlił zniszczony lewy migdałek.

– Wygląda na to, że w tchawicy panował większy ruch. – Dla porównania wskazał przełyk. – Proponuję nie brać przykładu z Roberta Frosta i obrać bardziej uczęszczaną drogę⁶.

Gray skinął głową.

– Ruszajmy.

Tylko Kowalski wydawał się niezadowolony z tej decyzji.

– Tak, chodźmy głębiej w brzuch boga demonów – mamrotał.

– Czy może nas tam spotkać coś złego?

Wyspa Ellesmere'a, Kanada

3 czerwca, godzina 2.41 czasu miejscowego

– Gotowa? – zapytał Painter.

Kat skinęła głową i odsunęła krzesło od stołu, modląc się, żeby plan dyrektora się powiódł.

– Do dzieła.

Po przybyciu na Stację Aurora oboje próbowali zorientować się w rozkładzie pomieszczeń. Zaczęli od stołówki, gdzie usiedli przy kawie. Kawa była niezbędna o tej późnej porze. Kat, chociaż przespalała się w samolocie, miała rozregulowany zegar biologiczny, a kofeina pomagała jej się skoncentrować.

Wolałyby mieć więcej czasu na przygotowania, ale wiedziała, że front burzowy dotrze do Wyspy Ellesmere'a w ciągu godziny, co wymuszało błyskawiczne działanie. Jeśli chcą przeprowadzić tę akcję ratunkową i zostać ewakuowani do bazy lotniczej Thule, muszą wyprzedzić burzę.

Innymi słowy, teraz albo nigdy.

Patrzyła na swój cel, czekając na odpowiednią chwilę.

Pokrzepieni kawą, przeszli do centrum rekreacyjnego stacji. Wybrali miejsce w pobliżu trzech stołów bilardowych. Dwuskrzydłowe drzwi po prawej prowadziły do ciemnej sali kinowej. Po drugiej stronie mieściła się siłownia, a za oknem w głębi jarzyła się łagodnym błękitem woda w basenie. Samotny pływak od dwudziestu minut robił powolne rundki, przywodząc Kat na myśl niespokojnego tygrysa w klatce.

Wyszkolona w operacjach wywiadowczych, znała się na psychologii na tyle, by rozpoznać oznaki stresu u kilkorga członków personelu, krążących po centrum o tej nocnej porze. Łatwo było wskazać przyczyny. Mieszkańcy żyli w izolacji, odcięci od rodzin i przyjaciół. Co więcej, miesiące bezustannej nocy albo wiecznego dnia zaburzały naturalny rytm dobowy organizmu, niezależnie od ilości wypijanej najlepszej kawy na świecie. Poza tym stacja najwyraźniej pracowała przez całą dobę, stosując system zmianowy, co powodowało dodatkowe rozregulowanie rytmu.

Ze smutkiem pokręciła głową.

Wszystkie te fałszywe okna plazmowe wychodzące na zalane słońcem plaże i wesołe pastelowe ściany nie skompensowały strat ponoszonych przez ludzki organizm.

Domyślała się, że najgorzej mają ci, którzy niedawno skończyli zmianę. Podejrzewała, że ten obowiązek przypadał ludziom, którzy niezbyt dobrze umieją pracować z innymi, tym najbardziej aspołecznym.

Nasze najlepsze cele, pomyślała.

Wybrała barczystego, zwalistego mężczyznę, który, sądząc po brudzie wżartym pod paznokcie, najpewniej pracował w warsztacie mechanicznym. Grał w bilard z facetami w zielonych kombinezonach, co sugerowało, że wszyscy należą do tej samej brygady. Spuszczali parę po pracy. Rząd puszek piwa Foster na krawędzi stołu wydłużał się w miarowym tempie. Mężczyzna kilka razy zerknął w jej stronę, od czasu do czasu poszeptując z kumplami i chichocząc.

Przypuszczała, że pracuje tu niewiele kobiet.

Zaczekała, aż facet przerwie grę, żeby pójść do łazienki. Wiedziała, że minie ich stolik. Gdy się zbliżył, wstała, mówiąc Painterowi, że musi skorzystać z toalety, odwróciła się i wpadła na potężnie zbudowanego mężczyznę. Rozmyślnie szamotała się z nim przez chwilę – po czym odskoczyła z przestraszoną, pełną oburzenia miną.

Skłęła go i ręką osłoniła biust. Spojrzała na Paintera, który już się podniósł.

– Złapał... złapał mnie za pierś.

Painter przyskoczył, a tamten, nie mając pojęcia, co się dzieje, uniósł ręce.

– Co pan sobie wyobraża?! – ryknął na niego Painter.

Facet próbował zaprzeczyć oskarżeniu, ale był podpity i skołowany, nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Painter pchnął go tak mocno, że osiłek runął na stół, a jego kumple parsknęli śmiechem.

Z urażoną dumą i zbyt ogłupiały, żeby jasno myśleć, zamachnął się pięścią. Painter zrobił unik i wybuchła bijatyka. Przewracali krzesła, wymieniali ciosy i nie minęło wiele czasu, a tarzali się po podłodze. Inni trzymali się z boku, najwyraźniej przekonani, że nieznajomy chudzielec nie ma szans z ich kompanem.

Kat martwiło to samo.

Do diabła, gdzie jest...?

Drzwi za nią gwałtownie się otworzyły i na salę weszło trzech mężczyzn w czarnych mundurach i czapkach. Przewodził im ich prawdziwy cel, pajak, którego mieli nadzieję wywabić z sieci. Anton Michajłow szarżował, jego tatuaż odcinał się od gniewnych rumieńców, które wystąpiły na bladą twarz. Zapewne nie widział powodu, żeby go tutaj zasłaniać.

– Natychmiast przestać! – ryknął z rosyjskim akcentem, z powodu wściekłości jeszcze bardziej wyraźnym.

Kat i Painter założyli, że Simon Hartnell poleci swojemu szefowi ochrony obserwować inspektorów z DARPA, gdy będą przebywać poza swoimi pokojami. Wystarczyła mała zachęta, żeby Michajłow do nich dołączył.

Jego ludzie podbiegli do walczących i próbowali ich rozdzielić.

Painter wykorzystał moment, żeby zademonstrować swoje bokerskie umiejętności. Dwa razy trzasnął przeciwnika w twarz, najpierw sierpowym, a potem hakiem prosto w podbródek. Drugi cios odchylił głowę mężczyzny do tyłu i znokautowany osiłek upadł na podłogę.

Dyrektor Sigmy stał, potrząsając zakrwawioną pięścią.

Kat powstrzymała się przed uśmiechem.

Nie powinnam w ciebie wątpić, pomyślała.

– O co poszło? – zapytał Anton.

Painter odwrócił się ku niemu z błyskiem w oczach.

– Co to za miejsce? Ten mężczyzna zaczepił moją koleżankę. –
Ruchem ręki wskazał innych stojących wokół stołu bilardowego.
– A ci leniwi dranie go nie powstrzymali.

Umiarkowana zniewaga wystarczyła, żeby wywołać pełne
złości protesty.

Kat cofnęła się i niespokojnie patrząc na robotników, podeszła
do Antona.

– Czy... czy mógłby pan odprowadzić mnie do pokoju?

– Oczywiście. – Rosjanin machnął ręką na swoich ludzi. –
Zabierzcie go stąd. Zajmiemy się tym później.

– Dziękuję – powiedziała Kat z udawaną ulgą, lekko drząc dla
większego efektu.

Anton wyprowadził ich ze świetlicy i przez stołówkę weszli
w korytarz, przy którym były ich pokoje.

– Przepraszam za ten incydent – powiedział, krocząc sztywno
przed nimi. – Winny poniesie konsekwencje, obiecuję.

Kiedy dotarli do pokoju Kat, użył swojej karty, żeby otworzyć
drzwi. Najwyraźniej miał uniwersalną.

Dobrze, uznała Kat i ustawiła się tak, żeby zasłonić przed
kamerą to, co miało nastąpić. Nie wiedziała, czy ktoś dyżuruje
w pokoju ochrony, i wolała nie ryzykować.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, Painter wepchnął Rosjanina do
pokoju i wszedł tuż za nim. Kat zamknęła drzwi.

Kiedy Anton się odwrócił, Painter wymierzył z SIG sauera
P229 w jego nos.

– Witaj, Antonie Michajłowie.

Rosjanin zeszywniał, zaskoczony zarówno wymierzoną
w niego bronią, jak i dźwiękiem swojego prawdziwego nazwiska,
ale szybko się opanował.

– Czego chcecie? – warknął.

Painter napiął kurek.
– Zaprowadzisz nas do Safii al-Maaz.

Godzina 3.04

– Co sądzisz? – zapytała Safia Rory’ego.

Jego twarz zapełniła cały ekran jej laptopa, gdy chłopak przysunął się do kamery.

– Być może wpadłaś na jakiś trop.

Pokiwała głową.

– Wybacz, że cię zbudziłam, ale nie mogłam zasnąć po odkryciu, że zmumifikowana kobieta mogła być Żydówką. Przewracałam się z boku na bok, a potem przyszło mi na myśl, że może źle na to wszystko patrzymy.

Safia miała na ekranie rekonstrukcję wytatuowanych hieroglifów.

– Rozszyfrowanie tego, co zostało wypisane na jej skórze, jest trudne, ponieważ brakuje fragmentów. Powinniśmy jednak odczytać przynajmniej niektóre z tych dobrze zachowanych części. Nie udało nam się, ponieważ założyliśmy, że była Egipcjanką.

Rory się wyprostował.

– A teraz wiemy, że nie.

Wczytała to, nad czym pracowała przez całą noc. Potrzebowała Rory’ego, żeby pomógł jej uporządkować fakty.

– Wiemy, że Egipcjanie zapisywali hieroglify na dwa sposoby – powiedziała. – Niektóre znaki były zwyczajnymi obrazkami, jak symbol kota oznaczający po prostu kota. Ale czasami skryba zapisywał to samo fonetycznie. W staroegipskim słowo oznaczające kota to *miw*.

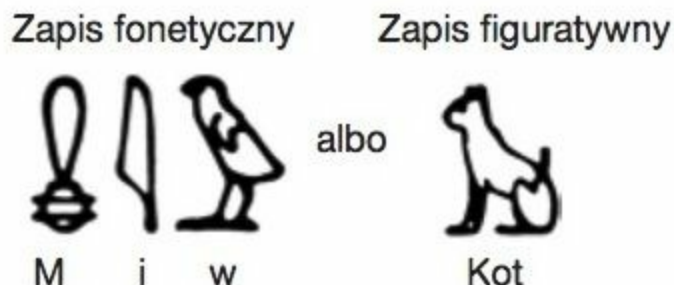
Rory skinął głową.

– Jak nasze miauu.

Uśmiechnęła się.

– Właśnie. Do zapisania tego słowa używali trzech symboli. Takich.

Wczytała dwa przykłady.



– Ale jeśli ta kobieta była Żydówką – ciągnęła Safia – i mówiła po hebrajsku, to może musimy zrewidować nasze podejście do odczytywania jej hieroglifów. Może używała egipskich znaków fonetycznych, jedyne go znanego jej pisma, żeby pisać w swoim ojczystym języku.

– We wczesnym hebrajskim. – Rory zmarszczył brwi. – Ale dlaczego nie miałyby używać znaków swojego języka? Wiemy, że pisany język sięga ośmiu tysięcy lat wstecz. A z datowania radiowęglowego wynika, że mumia pochodzi z około tysiąc trzechsetnego roku przed naszą erą.

– Może wychowała się w Egipcie i nauczyła pisma hieroglificznego. Może był to jedyny język pisany, jaki знаła. Co daje mi do myślenia.

– Tak?

– A jeśli pochodziła z ludu, który uciekł przed plagą za czasów Mojżesza? Jeśli należała do zaginionego plemienia, które udało się na południe, a nie na wschód, jak cała reszta? To mogłoby wyjaśniać, dlaczego pisali z użyciem hieroglifów, ale mówili po hebrajsku.

Rory znowu się pochylił, wyraźnie podekscytowany.

– Jeśli umieli pisać, co wówczas było rzadkością, to by sugerowało, że byli skrybami.

Pokiwała głową.

– Należeli do kasty, która prowadziła kroniki. Może więc próbowali zachować wiedzę o pladze.

– I o tym, jak ją powstrzymać – szepnął chłopak. – Może jesteśmy blisko rozwiązania zagadki.

Safia wiedziała, że jej nadrzędne zadanie polega na podążaniu za nicią historii, żeby znaleźć lekarstwo na zarazę, którą Harold przywłókł z pustyni. Podczas gdy ona pracowała na swój sposób, inni naukowcy w stacji próbowali znaleźć rozwiązanie, korzystając z metod naukowych. Ale wciąż nie wiedziała, w jaki sposób Simon Hartnell chce wykorzystać lek, jeśli zostanie odkryty. Kiedy poznała tego człowieka, oświadczył, że jej wysiłki mogą ocalić świat.

Skoro tak, to po co ten rozlew krwi i tajemnica? – zastanawiała się.

Rory wrócił do tego, o czym rozmawiali przed chwilą:

– Czy możemy być pewni, że jesteśmy na właściwym tropie?

Safia na poparcie wczytała dalszą część wyników swojej pracy.



– Te trzy hieroglify są wytatuowane na jej czole, mniej więcej w miejscu linii włosów – kontynuowała. – Otacza je kartusz, co znaczy, że są ważne. Trzy litery, S, B i H, w języku egipskim nie mają sensu. Ale jeśli wypowiedzieć je fonetycznie? – Przeczytała głośno: – Sa-ba-h.

– I co z tego wynika?

– Saba jest hebrajskim imieniem pochodzącym od Szeby albo od Batszeby.

– Jak w Biblii.

Safia skinęła głową. Miała powiązania z tym dziedzictwem, ale była to długa historia, na kiedy indziej.

– Typowe znaczenie tego imienia to „córka przysięgi” – podjęła – co można rozumieć jako osobę, która umie dochować tajemnicy.

– W jej przypadku to nie ulega wątpliwości. – Rory ziewnął. – Ale może odłożymy tę rozmowę do rana.

Spojrzała na niego z szerokim uśmiechem.

– Masz rację. Prześpij się. Spróbuję zrobić to samo.

Życzyli sobie dobrej nocy i Safia niechętnie wyłączyła komputer. Nie była pewna, czy zdoła zasnąć, ale powinna spróbować. Wstała, przeciągnęła się i zrobiła krok w stronę łóżka... i nagle zamarła, słysząc zgrzyt rygła.

Odwróciła się i cofnęła, spodziewając się najgorszego.

Drzwi się otworzyły i zobaczyła Antona, z twarzą niemal siną z wściekłości.

Serce podeszło jej do gardła.

Co takiego zrobiłam?

Nagle ktoś pchnął go w plecy. Za Antonem do celi weszły dwie osoby. Jednej nie знаła, ale widok drugiej sprawił, że omal nie rozplakała się z ulgi.

– Painter...

Godzina 3.23

Painter zostawił Kat, żeby pilnowała Antona, i podszedł do Safii. Objął ją, czując, jak drży w jego ramionach.

– Nic ci nie jest?

– Teraz lepiej – wymamrotała.

– Co myślisz o tym, żeby się stąd z nami zabrać?

– Cudowny pomysł.

Wypuścił ją z objęć i poprowadził do drzwi.

– Zaczekaj. – Safia odsunęła się i zabrała z małego biurka laptopa. – Co z Rorem?

Kat spojrzała w jej stronę, ale nie przestała mierzyć z pistoletu w kark Antona.

– Z Rorym McCabe’em? Jest tutaj?

Safia skinęła głową.

– Uwięziony jak ja. To długa historia.

Painter spochmurniał. Nic dziwnego, że Anton bez protestu zgodził się ich tutaj przyprowadzić. Łajdak chował asa w rękawie.

– Wiesz, gdzie go przetrzymują? – zapytała Kat.

– Nie... nie mam pojęcia. Mnie pierwszą zawsze zamykali.

Painter zwrócił się do Antona:

– Wygląda na to, że przed odlotem mamy kolejny przystanek.

Rosjanin spojrzał w kamerę zamontowaną pod sufitem i uśmiechnął się zimno.

– Nie – rzucił.

Jego mina powiedziała Painterowi wszystko. Od początku miał taki plan. Grać na zwłokę. Przyszli tu z nim, z lufą pistoletu dyskretnie przyciśniętą do jego pleców, w miarę możliwości unikając kamer.

Ale co teraz?

Painter podszedł do Antona, a ten hardo uniósł głowę, gotów na przyjęcie każdej możliwej kary. Dyrektor Sigmy miał jednak inny zamiar.

Kiedy masz gówniane karty, najlepiej jest blefować.

– Jak bardzo kochasz swoją siostrę? – zapytał. – Wiemy, że nie ma na imię Velma.

Anton przymrużył oczy.

– Bez wątpienia wiele was łączy – dodał Painter. – Przynajmniej upodobanie do takich samych tatuaży. – Dotknął policzka. – Zrobiliście je przed wstąpieniem do Gildii czy po?

Rosjanin zeszywniał, wyraźnie zaniepokojony tą gruntowną wiedzą Amerykanina o przeszłości.

Kuj żelazo, póki gorące, pomyślał Painter.

– Aresztowaliśmy twoją siostrę – skłamał. – Interpol zgarnął ją godzinę temu. Dlatego właśnie teraz wykonaliśmy nasz ruch. Jeśli chcesz zobaczyć ją żywą, zaprowadzisz nas do Rory’ego, a potem do najbliższego wyjścia.

Front atmosferyczny już przemieszczał się nad wyspą; za oknem celi burzowe chmury pochłonęły słońce. Painter zamierzał po wydostaniu się z bazy użyć telefonu satelitarnego, żeby wezwać siły czekające w Thule. Gdyby wynikły jakieś problemy, plan awaryjny przewidywał zarekwirowanie pojazdu i ucieczkę w pobliskie góry pod osłoną burzy.

W tej chwili wszystko zależało od tego, jak bardzo Anton kocha siostrę.

Rosjanin przeszył go wzrokiem, w końcu westchnął.

– To nieuczciwe – rzucił.

Painter otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz i trzymając pistolet przy udzie, wyprowadził Safię.

– Idźcie blisko za nami – nakazał.

Kat wyszła za Antonem, z dłonią na rękojeści broni wsuniętej za pasek na plecach. Przemierzyli dwa korytarze i skręcili. To naprawdę nie było uczciwe.

Anton wskazał głową drzwi.

– To tu.

Painter użył jego uniwersalnej karty, wysunął rygiel i otworzył drzwi.

W pokoju było ciemno. Ktoś zerwał się z łóżka i skoczył pod ścianę.

– Kto... kto tu jest?

Safia weszła pierwsza.

– Rory, to ja.

– Safia?

Szybko wyjaśniła mu sytuację, a on strzelał wzrokiem dokoła, próbując nadążyć za jej słowami.

– Chodź – ponagliła go, machając ręką. – Musimy się spieszyć.

Rory już wciągał szary kombinezon.

– Ale, Safio...

– Co?

– Mumia. To jedyna nadzieja na znalezienie leku. Jeśli to, co mówiłaś o pladze szalejącej w Egipcie i w Anglii...

Popatrzyła na Paintera.

– Jest źle? – spytała.

– Bardzo – odparła Kat.

– I prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej – dodał Painter, przypominając sobie ostrzeżenie doktor Kano o wtórnych uszkodzeniach materiału genetycznego, mogących pokutować przez pokolenia.

Safia zwróciła się do Rory’ego i pokazała laptop, który cały czas przyciskała do piersi.

– Mam tu dane, które już zebraliśmy.

Chłopak, rozdarty pomiędzy chęcią ucieczki a świadomością, co mogą za sobą zostawić, miał przerażoną minę.

– Ale wiesz, że są niekompletne.

– On ma rację – powiedziała Safia do Paintera. – Jeśli zniszczą mumię, wraz z nią może przepaść nadzieja na znalezienie leku.

Dyrektor Sigmy nie w pełni rozumiał, o czym mowa, ale ufał przekonaniu, jakie widział w jej oczach.

– Co możemy zrobić? Przecież nie zabierzemy ze sobą zmumifikowanych zwłok.

– W dodatku są skażone, jak ciało profesora McCabe’a. – Na jej twarzy odmalowała się rezygnacja. – Trzymają je zamknięte w laboratorium.

– W takim razie mumia zostaje – zdecydowała Kat. – Będziemy mogli ją zabezpieczyć, gdy przybędą ludzie pułkownika Wycrofta.

– Czytałem protokół – wtrącił Rory, wkładając buty. – W przypadku naruszenia bezpieczeństwa laboratorium spłonie.

Painter nie wątpił, że wprowadzili takie zabezpieczenia. Podobny los spotkał ciało profesora w Wielkiej Brytanii, gdy podłożyli ładunek zapalający w laboratorium. Anton mimo woli to potwierdził, łypiąc na Rory’ego, wściekły za ujawnienie tej informacji.

– Będziemy mieli tylko tę jedną szansę – powiedziała Safia.

– Skaner trójwymiarowy! – zawołał Rory, wstając.

– Boże, masz rację... – Safia wyprostowała ramiona. – Zostawiliśmy mumię w skanerze topograficznym, żeby uzyskać

szczegółową mapę śródskórną całej powierzchni ciała. – Spojrzała na zegarek. – Powinna już być gotowa.

Chłopak pokiwał głową.

– Jeśli zabierzemy wyniki ze sobą...

Safia się wzdrygnęła.

– Ale to oznacza, że trzeba pójść do laboratorium.

Kat zerknęła na swojego szefa i uniosła brew.

– Kolejny przystanek? – spytała.

– Będziemy musieli się pospieszyć – odparł.

Spojrzała na Safię.

– To daleko stąd?

– Nie, ale trzy poziomy niżej.

Z powrotem do serca stacji, pomyślała Kat i wymieniła z Painterem zmartwione spojrzenia.

– Może lepiej nie iść tam całą grupą. – Przeniosła wzrok na Antona, dając do zrozumienia, że nie ma zaufania do jego chęci współpracy.

– Mogę zabrać Rory’ego – zaproponował Painter. – Wy zaczekacie tutaj.

Kat pokręciła głową.

– Dwie kobiety wzbudzą mniejsze podejrzenia, zwłaszcza gdy jedna w mundurze ochrony będzie eskortować więźniarkę.

Painter chciał się spierać, ale po chwili uznał zalety planu Kat. Poza tym nie wyglądało na to, że byłaby skłonna ustąpić.

– Mogę to zrobić – oznajmiła Safia.

Gdy decyzja zapadła, Painter wycelował broń w Antona.

– Zrzucaj ciuchy.

Kat przebrała się w czarny kombinezon Rosjanina i schowała włosy pod czapkę.

– Gotowa? – zwróciła się do Safii.

Ta miała strach w oczach, ale pokiwała głową. Kat poprowadziła ją do drzwi. Sprawdziła, czy droga jest wolna, i wyszły na zewnątrz. Za progiem jeszcze się obejrzała.

– Nic się jej nie stanie – zapewniła szefa.

Z trudem przełknął ślinę i pokiwał głową, zanim zamknęła drzwi.

Mierzył z pistoletu w Antona. W bokserkach i boso Rosjanin wyglądał mniej groźnie, ale Painter miał się na baczności. Kazał mu stanąć pod ścianą z uniesionymi rękami. Anton wykonał polecenie i potem go ignorował, wodząc zimnym wzrokiem za Rorem, który niespokojnie krążył przed drzwiami.

Wreszcie spojrzął na Paintera.

– Nigdy się stąd nie wydostaniecie – powiedział głosem ociekającym pogardą. – Obie twoje kobiety ucierpią.

– Zobaczymy...

Painter wyczuł zagrożenie ułamek sekundy za późno. Zaniepokoił go ruch cieni, zgrzyt metalu. Odwrócił się i zobaczył, że Rory zamierza się na niego lampą biurową. Ciężka podstawa trafiła go prosto w skroń. Ból i jasne światło eksplodowały mu w czaszce. Osunął się na kolana.

Anton przyskoczył, złapał go za rękę i wyrwał mu pistolet.

Painter przewrócił się na bok, słysząc dzwonięcie w uszach.

Rosjanin wycelował w nowego więźnia i niemal z czułością dotknął ramienia Rory'ego.

– Brawo, *moj tigrienok*.

Podał chłopakowi pistolet, umiejętnie obszukał Paintera i zabrał mu telefon satelitarny. Zadowolony, że Amerykanin nie ma innej broni ani środków łączności, wstał i ruszył do drzwi.

Rory miał przepaszającą minę.

– Nie rozumiesz, o co toczy się gra – zaczął wyjaśniać, gdy Anton wyciągnął go z pokoju.

Gdy wyszli i zaryglowali drzwi, Painter zrozumiał jedno: Rosjanin miał niejednego asa w rękawie.

Z jękiem wspomniawszy ostatnie słowa Kat, mając nadzieję, że okażą się prorocze.

Nic się jej nie stanie.

Godzina 3.40

Kat stała w przedsionku i patrzyła, jak Safia wchodzi do laboratorium. Ubrana w kombinezon z przewodem doprowadzającym powietrze, wyglądała tak, jakby brodziła w toksycznym morzu.

Nie marnowały czasu, spiesząc na dół. Na szczęście nie natknęły się na nikogo w korytarzach, a uniwersalna karta zapewniła im wejście do pustego laboratorium. Pomyślny przebieg misji wcale nie uspokoił Kat, nawet tutaj, w zamkniętym pomieszczeniu.

Dalej, Safio, pośpiesz się, ponaglała w myślach kobietę.

Świadomość upływu czasu targała jej nerwy, chociaż rozumiała, że trzeba tu przestrzegać procedur bezpieczeństwa. Safia podeszła do stanowiska komputerowego z przewodami biegnącymi do czterech kamer laserowych, które wyglądały jak pistolety z długimi lufami wymierzonymi w drobną, skurczoną postać siedzącą z pochyloną głową na czarnym tronie.

W drodze na dół Safia powiedziała, że mumia pochodzi z wykopalisk w Sudanie; właśnie stamtąd zniknął profesor McCabe. Zlecono jej poznanie sekretów tej starożytnej kobiety. Ludzie, którzy ją przetrzymywali, byli przekonani, że ciało zawiera wskazówkę prowadzącą do odkrycia leku, który zakończy ogarniającą świat pandemię. Safia podejrzewała, że Simon Hartnell potrzebuje tej wiedzy z zupełnie innego powodu, ale jego cel pozostawał dla niej tajemnicą.

Postukała w klawiaturę i gdy z boku wysunęła się tacka, wyjęła płytę CD z danymi skanowania i wsunęła ją do foliowego woreczka. Uprzedziła, że przed wyniesieniem z laboratorium będzie musiała zdezynfekować torebkę. Usiłowała ją uszczelnić, ale miała rękawice, co komplikowało sprawę.

Szybciej, ponaglała się w duchu.

Kat podskoczyła, słysząc pukanie do drzwi. Z korytarza dobiegł znajmy głos, zasapany i przerażony.

– Halo, halo!

Podeszła do drzwi.

– Rory?

– Chwała Bogu! Pospieszcie się! – Był zdyszany, jakby biegł przez całą drogę. – Anton zaatakował waszego przyjaciela. Biją się! Musimy już iść!

– Safia jeszcze pracuje. Zaczekaj, zaraz cię wpuszczę.

Otworzyła drzwi kartą Antona i mocno je szarpnęła. Rory się o nie opierał, więc zaskoczony, wpadł do pomieszczenia. Kat pomogła mu pokonać resztę drogi, szarpiąc go za kołnierz kombinezonu. Przykucnęła z uniesionym pistoletem. Tak, jak się obawiała, dostrzegła cienistą postać w głębi korytarza i strzeliła na oślep.

Odpowiedział jej jęk bólu... i huk strzałów.

Pociski przemknęły nad jej głową; usłyszała trzask pękającego szkła i krzyk Rory'ego. Nie cofnęła się, tylko padła płasko na podłogę, nie chcąc tracić przewagi zapewnianej przez osłoniętą pozycję. Strzelec w pustym korytarzu był zmuszony się wycofać. Oślaniał się ogniem, aż dotarł do rogu i zniknął z pola widzenia. Zauważyła zostawiony przez niego szlak krwi.

Zadowolona, wtoczyła się do środka. Gdy zatrasnęła drzwi, na zewnątrz ryknął alarm, niosący się echem po stacji.

Kat usiadła i skierowała dymiącą lufę w stronę Rory'ego. Kiedy się zjawiał, podejrzewała, że coś jest nie w porządku, zwłaszcza po gorączkowym oświadczeniu, że Anton zaatakował uzbrojonego Paintera. Uznała to za nieprawdopodobne i postanowiła podjąć środki ostrożności. Jeśli się pomyliła, przeprosi młodego człowieka za brutalne potraktowanie.

Przeprosiny nie były jednak konieczne.

Patrzyła na Rory'ego. Grał zbyt dobrze, żeby działać pod przymusem. Grał z nimi od samego początku – łącznie z wykorzystaniem współczucia Safii. Przed chwilą próbował wywabić je z tego tajnego pomieszczenia, zanim się w nim zabarykadują.

Chłopak nie zwracał uwagi na broń. Z przerażeniem patrzył na laboratorium. Kat dopiero teraz zauważyła w szybie dwie dziury po kulach.

Rory cofnął się o krok.

– Nie...

Podniosła się, obawiając się najgorszego.

Zajrzała do laboratorium. Safia stała, lecz jeden z pocisków przebił jej kaptur, o włos mijając głowę. Tego samego nie można było powiedzieć o mumii. Wysuszona czaszka eksplodowała, trafiona pierwszym lub drugim pociskiem. Gdy Safia odwróciła się w ich stronę, zobaczyli kawałki kości i skóry na zniszczonej osłonie twarzy.

Rory zawołał do niej, machając ręką.

– Safia! Idź pod prysznic!

Kat była zaskoczona głębią troski w tonie zdrajcy.

– Zrób to! Natychmiast! – ponagliła.

Ostry krzyk wyrwał Safię z szoku i zmusił do działania.

Rory spojrział na Kat i wskazał zegar nad zniszczoną szybą, odliczający od dwóch minut.

– Rozhermetyzowanie laboratorium spowodowało włączenie zabezpieczeń. Mamy dwie minuty na ewakuację, potem wszystko tu spłonie.

Metalowe żaluzje już opadały na okno.

– Jest jakiś sposób, by temu zapobiec?

– Może, ale nie wiem jaki.

Safia pobiegła do prysznica i nacisnęła dłonią przycisk. Jej kombinezon i foliową torebkę pokryła dezynfekująca piana. Gdy została zmyta, weszła do szatni. Spanikowana, ściągnęła skafander z szarego kombinezonu.

Za nią stalowe żaluzje opadały na drzwi laboratorium.

Zerknęła przez ramię. Oczy miała szeroko otwarte ze strachu, ale skażenie zajmowało ostatnie miejsce na liście obecnych zagrożeń.

Rory się cofnął, gdy przeszła przez ostatnie drzwi i do nich dołączyła. Jego twarz była maską poczucia winy.

– Obiecał, że nie stanie wam się krzywda.

Safia spoglądała to na broń w ręku Kat, to na Rory'ego.

– Co się dzieje?

– Wynośmy się stąd – odparła Kat, celując w chłopaka. – A ty idziesz z nami.

Pociągnęła ich do drzwi i wyjrzała na korytarz. Nie miała pojęcia, czy Anton czyha za rogiem, czy szuka pomocy lekarskiej. Tak czy inaczej, wiedziała, że prawdopodobnie zmierzają tu posiłki. Jej jedyną nadzieją było wykorzystanie zamieszania spowodowanego przez alarm. Modliła się, żeby o tej porze większość ochroniarzy była po służbie, bo to da jej jeszcze minutę przewagi.

Podejmując dodatkowy środek ostrożności, złapała Rory’ego za kołnierz i ustawiła go przed sobą.

Rory zobaczył krew na podłodze.

– Anton...

Kat skinęła na Safię, żeby schowała się za nią. Szła, używając chłopaka jak żywej tarczy. Pamiętała plan stacji. Dwa poziomy nad nimi znajdował się podziemny garaż.

Kiedy byli w połowie korytarza, za ścianą zabrzmiał niski ryk. Wyobraziła sobie strugi ognia omiatające laboratorium i odsunęła się od ściany.

Pora ruszać.

Poprowadziła ich do windy na końcu korytarza, wcisnęła przycisk i wsiedli do kabiny. Po krótkiej jeździe drzwi się otworzyły na wielki garaż. Podbiegła do rzędu pojazdów śnieżnych. Kanciaste kabiny na gąsienicach przywodziły na myśl miniaturowe czołgi.

Wybrała jeden i rozkazała Rory’emu:

– Wsiadaj!

Wciąż trzymany na muszce, posłuchał.

– Usiądź z przodu, ale miej go na oku – zwróciła się do Safii, podając jej pistolet. – Jeśli podejrzenie sapnie, zastrzel go.

Safia, choć wciąż w szoku, pokiwała głową.

Kat obiegnęła sno-cata i zobaczyła kluczyki w stacyjce. Nie była zaskoczona. Kto byłby na tyle głupi, żeby kraść tutaj pojazd?

Wychodzi na to, że ja.

Wsiadła za kierownicę, uruchomiła silnik i wrzuciła bieg. Gąsienice zazgrzytały na betonowej podłodze. Skręciła ku rampie prowadzącej do zamkniętych drzwi garażu. U stóp rampy stał słupek z klawiaturą. Modląc się, żeby karta Antona tu też działała, machnęła nią nad czytnikiem.

Usłyszała upragniony pomruk silnika i drzwi zaczęły się otwierać.

Odetchnęła z ulgą, ale na radość jeszcze było za wcześnie.

Gdy drzwi się otworzyły, do garażu wpadł wiatr. Do szczelnie zamkniętej kabiny pojazdu przenikało monotonne wycie. Burza dotarła na wyspę. Ciemne chmury kłębiły się tak nisko, że mogłaby przysiąc, iż muskają dach sno-cata.

Obrała kurs na północny wschód, ku nakrytym czapami lodu górcom sąsiadującym z Parkiem Narodowym Quttinirpaaq. Gdy przejechała niespełna sto metrów, stacja zniknęła w ciemności.

Mimo to Kat spoglądała w lusterko wsteczne, wypatrując pościgu; bo co do tego, że będą ich ścigać, nie miała wątpliwości. Ale na razie przenikał ją większy strach.

Co z Painterem?

Pustynia w Sudanie

3 czerwca, godzina 9.18 czasu miejscowego

Boże...

Oszołomiony Gray wszedł do kamiennej klatki piersiowej śpiącego boga. Inni zrobili to samo, omiatając smugami światła ogromną przestrzeń. Słyszał okrzyki zaskoczenia, ale nie mógł oderwać wzroku od tego, co miał przed sobą.

W komorze z łatwością zmieściłoby się małe boisko baseballowe. W ścianach wyrzeźbiono ogromne kamienne żebra. Zakrzywiały się i łączyły z rzędem kręgów na sklepieniu. Łuk kręgosłupa ciągnął się od jednego krańca komory do drugiego i znikał w dalekiej ścianie, która miała kształt przepony.

– Niesamowite szczegóły – mruknęła Jane. – Spójrz na te prążki między żebrami.

– Mięśnie międzyżebrowe – powiedział Gray, jakby udzielał lekcji anatomii.

Derek poświecił na wysoki do ramienia murek, który dzielił komorę na symetryczne połowy.

– To z pewnością śródpiersie. – Przesunął snop światła wyżej, oświetlając obiekt podobny do chmury. – Nie zapomnieli nawet o grasicy.

Ale żaden z tych anatomicznych szczegółów nie był główną atrakcją.

Ruszyli w głąb komory, przyciągani przez najbardziej niezwykły widok. Wielkie kamienne serce wyglądało tak, jakby zwisało ze stropu na płataninie żył i tętnic, łącznie z masywnym

łukiem aorty. Było drobiazgowo wyrzeźbione, pokryte siatką rozgałęziających się naczyń krwionośnych.

Chociaż cała rzeźba wydawała się nieważka, spoczywała na podwyższeniu w kształcie mostka.

– Jest wejście do lewego przedsionka – zauważyła Jane, gdy podeszła bliżej.

Gray spostrzegł leżący z boku stos starych cegieł. Z pewnością dawno temu zostały użyte do zamurowania otworu. Ale co było ukryte wewnątrz?

Pytanie pchnęło ich do przodu.

Derek zaświecił w głąb małego wejścia.

– Pusto – rzucił.

Gray był rozczarowany, ale nie zaskoczony. To miejsce było archeologicznym cudem, lecz zostało splądrowane. Zostawione tu rzeczy świadczyły o tym, że do kradzieży doszło niedawno. Na podłodze stały stoły i ławki, a pod żebrowaną ścianą rząd łóżek.

Ktoś tu obozował, prawdopodobnie długo.

Zdumienie przygasło w oczach Jane, zastąpione przez udrękę.

– Z pewnością tutaj przetrzymywano mojego ojca. – Jane powoli obróciła się dokoła, jakby go wypatrywała. – Ale dlaczego?

Gray przyglądał się temu, co zostawili porywacze. W grocie stały wysokie lampy, na ścianach wisiały festony żarówek. Prześledził kable do miejsca, gdzie kiedyś były generatory. Na jednym stole leżał roztrzaskany komputer. Z roztargnieniem się zastanawiał, czy da się odzyskać twardy dysk, chociaż wątpił, żeby ci, którzy tu sprząkali, byli tak niedbali. W pobliżu stał rząd regałów; ostatni był przewrócony. Wyobraził sobie badaczy chodzących po komorze, pracujących nad jej tajemnicami.

Wszyscy odeszli, sprzątnąwszy po sobie.

– Chodźcie zobaczyć! – zawołał Kowalski, który kucnął pod ścianą w głębi.

Gdy wszyscy zgromadzili się przy nim, skierował światło na otwór pomiędzy żebrami. Gray zauważył podobne po obu stronach komory. Na ziemi leżały rozrzucone cegły.

Olbrzym oświetlił niszę nad dziurą. Stał w niej drewniany słońnik z zadartą trąbą i pożółkłymi ciosami. Był pięknie wyrzeźbiony, z pozostawioną na grzbiecie korą, która imitowała szorstką skórę.

– Co to jest? – zapytał Gray.

Jane się pochyliła.

– Wygląda na naczynie – powiedziała. – Widać linię wokół grzbietu. To na pewno miejsce styku z pokrywką.

– Mogę go wziąć? – Kowalski z przejęciem patrzył na znalezisko. Gray wiedział, że jest on zafascynowany słońnikami.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, ale Derek ją zatrzymał.

– To może nie być bezpieczne – ostrzegł.

Spojrzała na niego z grymasem niezadowolenia.

– Mój ojciec na pewno to zbadał. Gdyby ten przedmiot był niebezpieczny, zapakowałby go w folię. Widziałeś, jak uszczelnili czaszkę. – Wskazała podobne nisze nad otworami znajdującymi się w dole skalnej ściany. – Poza tym jest ich tu więcej.

– Może jednak być skażony.

Wyprostowała się z westchnieniem i, posłuszna przestrodze, zostawiła figurkę tam, gdzie stała.

Kowalski był równie nieszczęśliwy.

– A co z tą dziurą? – zapytał Gray, przyciągając ich uwagę.

Derek kucnął i zaświecił do środka.

– To chyba stary grób.

Komandor zajrzał do środka. Komora była wąska, ale głęboka. Na pewno mogłaby pomieścić ciało. Ściany miała pocerniałe i pokryte popiołem. Zauważył też kawałki spalonych kości.

Ta profanacja wyglądała na niedawną.

Leżący w pobliżu czerwony kanister potwierdził jego przypuszczenie.

Derek doszedł do tego samego wniosku i zajrzał do drugiego otwartego grobu.

– Spalili wszystkie ciała. Wszystko zniszczyli.

Nie wszystko, pomyślał Gray i wskazał zwój wytatuowanej skóry w szklanej probówce. Czy profesor wyciął ją z którejś z pogrzebanych tu mumii, żeby go zachować?

Derek wstał.

– Ale dlaczego skremowali wszystkie ciała? – zastanawiał się głośno. – Ze strachu przed zakażeniem? A może tylko palili mosty przed odejściem?

– Widziałam węgielki wokół podstawy serca – odezwała się Jane, spoglądając ku środkowi komory. – Ale wyglądały na znacznie starsze.

Zaciekawiony Gray zawrócił.

Serce musi być ważne, przemknęło mu przez głowę. Schylił się, przechodząc przez niskie wejście, i kucnął. Wewnętrzne powierzchnie były nienaruszone, ozdobione stadem motyli wyrytych w kamieniu. Rysunki wyglądały finezyjnie, jakby wyszły spod ręki wrażliwej kobiety.

– Jane, co o tym sądzisz?! – zawołał, bo coś dziwnego przyciągnęło jego spojrzenie.

Wcisnęła się do komory, a za nią Derek. Gdy spoglądała na ściany, przypadkiem nastąpiła na kawałek skorupy. Skrzywiła się i ostrożnie podniosła ją z podłogi, świecąc latarką na zakurzoną niebieską powierzchnię.

Derek spojrzał nad jej ramieniem.

– Kawałek lapis-lazuli – stwierdził.

– Może z misy. – Dziewczyna rozejrzała się po komorze. – Lapis-lazuli czczono w Egipcie z powodu magicznych właściwości tego kamienia.

Oświetliła ścienne dekoracje, obracając głowę.

– Piękne... – mruknęła. – Zawsze uwielbiałam motyle. Dla Egipcjan były symbolem przemiany. Gąsienica staje się motylem.

Gray przyglądał się ścianom; rozmyślał nad przeznaczeniem komory, skupiając uwagę na zostawionych tu wskazówkach.

Magia i przeobrażenie.

Wyczuwał, że jest blisko czegoś ważnego, ale może nie on powinien łamać sobie nad tym głowę. Oświetlił ostatni dziwny szczegół; właśnie z jego powodu przywołał tu Jane.

Spojrzała na oświetlone miejsce i wstrzymała oddech, cofając się o krok.

Jeden z motyli był obrysowany, a nad nim widniało jej imię.



– Tata to zrobił – szepnęła. Uniosła rękę, żeby dotknąć znaku, nawiązać kontakt z przeszłością, ale się zawahała. – Tylko dlaczego?

– Nomadowie, którzy znaleźli Harolda, wspominali, że bez przerwy szeptał twoje imię. – Derek dotknął jej ramienia. – Może miał nadzieję, że to znajdziesz.

Cofnęła się, przenosząc spojrzenie z Dereka na Graya.

– Nie rozumiem.

– Może myślał, że zdołasz to rozwikłać – podsunął Gray. – Nawet jeśli nie od razu, to za jakiś czas. – Zastanawiał się, czy właśnie z tego powodu ich wrogowie tropili Jane, próbując ją porwać. Jeśli to profesor zostawił tę wskazówkę, mogli zakładać, że dziewczyna zna drogę do rozwiązania tajemnicy.

Miała przestraszona, zdezorientowana minę.

– Może powinniśmy wrócić do poszukiwań – zaproponował Gray. – Mogą być inne wskazówki.

Wszyscy wyszli, ale on nie miał większych nadziei. Wyczuwał, że właśnie tutaj, dosłownie w sercu kamiennego boga, zostało ukryte coś naprawdę ważnego.

Był również dotkliwie świadom upływu czasu, jakby wokół niego wzrastało ciśnienie.

Przebywamy tu stanowczo za długo.

Godzina 9.38

Jedynym ostrzeżeniem był szmer kamyków.

Posypały się z urwiska po jej lewej stronie. Seichan nie odwróciła głowy, jadąc na motorze w głąb gardzieli rozpadliny. Wracając do doliny, w której było wejście do jaskini. Czterdzieści pięć minut temu pożyczyła suzuki Ahmada i przeczesywać okolicę, jeżdżąc w tę i w tę przez wąwóz, który doprowadził ich do doliny.

Zostawiła chłopca z psem w unimogu, przykazując, że ma nacisnąć klakson na pierwszy znak kłopotów. Dała mu radio i udzieliła dodatkowych instrukcji.

Nie miała pewności, czy są śledzeni, więc po prostu założyła, że są, i podjęła stosowne działania. Uczyniła się oczywistym celem, przyciągającym uwagę każdego ukrytego obserwatora. Pozwoliła im zobaczyć, że w ciężarówce jest tylko chłopiec. Chciała, żeby przestali mieć się na baczności, gdy ocenią sytuację i zrozumieją, że wszyscy inni zniknęli w jaskini.

Przede wszystkim Jane McCabe.

Seichan zakładała, że dziewczyna nadal jest nadrzędnym celem wrogów, i mogła się domyślać, że przeciwnicy poświęcą czas na opracowywanie strategii.

Sama w tym czasie zaznajamiała się z motorem Ahmada, wypróbując przyczepność tylnego koła; stwierdziła, że świetnie się sprawia na piasku, gorzej na skale.

Jej jedyną reakcją na spadające kamyki było to, że podjechała bliżej urwiska, utrudniając strzał z góry. Niczego po sobie nie okazała. Nawet bicie jej serca nie uległo zmianie. Jeśli już, czuła ulgę, widząc twardy jak skała dowód obecności myśliwych wśród tych wzgórz. Uzyskawszy potwierdzenie, że naprawdę tu są, rozkoszowała się przyływem adrenaliny.

Jej wzrok się wyostrzył.

Mogła z łatwością odgadnąć plan wroga. W tej sytuacji jedynym mądrym posunięciem byłoby czekanie, aż cele się

pokażą, i zaskoczenie ich na otwartej przestrzeni, zwłaszcza jeśli chcieli wziąć Jane McCabe żywą.

Seichan nie mogła do tego dopuścić.

Z twarzą zasłoniętą chustką, szepnęła do mikrofonu ukrytego przy ustach:

– Ahmad, bądź gotowy.

Nie zmieniając prędkości, jechała ku dolinie.

Usłyszała zapalany silnik ciężarówki; echo jej warkotu tłukło się między skalnymi ścianami. Wcześniej zapytała chłopaka, czy potrafi prowadzić. Zachnął się, jakby pytanie uwłaczało jego męskości. Mimo wszystko poleciała, żeby tego dowiódł, robiąc dwa kółka w dolinie.

Miała nadzieję, że wróg uzna, że chłopak się znudził i przygotowuje unimoga do kolejnej przejażdżki.

Ale nie tym razem, pomyślała. Tym razem będzie na serio.

Kiedy wjechała do doliny, ciężarówka już toczyła się w jej stronę. Uniosła rękę jakby na powitanie, i opuściła.

Ahmad przyspieszył i popędził w jej stronę.

Pochyliła się na siodełku i dodała gazu. Tylne opony zabuksowały, wyrzucając gejzer piasku, potem złapała przyczepność. Seichan mknęła prosto ku zderzakowi pędzącej ciężarówki.

Widziała twarz Ahmada za szybą. Wyglądał na przerażonego, ale nie zwolnił. W ostatniej chwili dała mu wygrać tę grę w tchórza i ostro skręciła. Unimog przemknął obok niej, zmierzając ku wąskiej szczelinie. Chciała się stąd pozbyć chłopaka, żeby nie spotkało go nic złego, i ochronić ich jedyny czterokołowy środek transportu.

Kiedy minęła ciężarówkę, ostro przechyliła motor, przesuwając cały ciężar ciała na jedną stronę. Gdy zawróciła, wyrwała pistolet z olstra na udzie i wycelowała w urwisko, z którego osypały się kamyczki. Była przekonana, że ktokolwiek ją śledził, podąży za nią nad samą dolinę.

Dostrzegła mignięcie cienia na krawędzi urwiska. Obserwator, przyciągnięty przez nagłe zamieszanie, zdradził swoją pozycję.

Strzeliła w tamtą stronę. Nie spodziewała się trafić, chciała tylko dać Ahmadowi więcej czasu na dotarcie pod odsłone urwisk. Ciężarówka zniknęła z linii strzału przeciwników. Seichan liczyła na to, że nie zostawią doliny, by podążyć za chłopcem, a przynajmniej nie od razu. Najpierw będą chcieli pochwycić swój główny cel.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

Chcąc jeszcze bardziej przyciągnąć ich uwagę, wjechała w cień u stóp urwiska, strzelając na chybił trafił w to samo miejsce na krawędzi. Wreszcie wokół niej wybuchły gejzery piasku i usłyszała stłumiony trzask strzałów.

Dobrze!

Jechała slalomem, nie zwalniając, podskakując na podnóżkach, żeby wprowadzać motor w nagłe zakręty. Gdy pobieżnie określiła pozycję snajpera, odpowiedziała ogniem. Po kolejnej minucie tego szaleństwa jej serce biło w zgodnym rytmie z silnikiem. Uśmiechała się pod chustą, której końce łopotąły wokół jej twarzy.

Zadowolona, że dała Ahmadowi dodatkowy czas na pokonanie rozpadliny i wyjazd na otwarty teren, zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i popędziła ku wejściu do jaskini.

Nie zwolniła, zbliżając się do ściany urwiska. Włączyła reflektor, skuliła się nad kierownicą i wjechała prosto w wejście.

Czas przenieść tę walkę pod ziemię.

Godzina 9.53

Jane stanęła ze swoimi towarzyszami przed jedynym otworem, który prowadził z jamy piersiowej w głąb brzucha drzemiącego kamiennego boga. Wciąż myśląc o wiadomości zostawionej przez ojca, obejrzała się na serce, teraz pogrążone w ciemności. Nie mając pojęcia, co ta wiadomość oznacza, ruszyła dalej.

Łukowate przejście prowadziło przez grubą na ponad pół metra kamienną przeponę u podstawy klatki piersiowej. W połączonych światłach ukazały się piaskowcowe nawisy po drugiej stronie. Starożytne ręce i narzędzia wypolerowały powierzchnie kamienia niemal na wysoki połysk.

– To płaty wątroby – powiedział Derek, pocierając brzuch pod żerami jakby dla potwierdzenia.

Głębsze cienie wabiły ich w głąb jamy brzusznej.

Jane czuła mdłości, nie z odrazy na myśl o anatomicznych szczegółach tej komory, ale ze strachu, że może sprawić zawód ojcu. Zostawił jej wiadomość; prawdopodobnie umarł dlatego, że chciał ją przekazać.

A ja nie mam pojęcia, co ona oznacza.

Podszedł Derek, jakby wyczuwając jej udrękę.

– Może powinniśmy zrobić przerwę i...

Gray odwrócił głowę.

– Cicho – szepnął.

Jane też to usłyszała – coraz głośniejsze zawodzenia silnika. Wszyscy się odwrócili. Nikłe światło, które sączyło się z gardła olbrzyma, nagle pojaśniało, gdy coś wystrzeliło z dróg oddechowych i wpadło do klatki piersiowej. Opony ślizgały się po podłożu, gdy pojazd zwalniał.

Był to motor Ahmada.

Motocyklistka wyprostowała się na siodełku.

– Seichan! – zawołał Gray.

Już zauważyła ich i dodała gazu. Ryk tłukł się w zamkniętej przestrzeni, gdy jechała w ich stronę. Zahamowała, ale nie zsiadła z maszyny.

Nie miała kasku, tylko maskę ochronną. Ogarnęła grootę spojrzeniem.

– Mamy towarzystwo – powiedziała.

– Gdzie jest Ahmad? – zapytał Gray.

Wykręciła się na siodełku i odpięła plecak z bagażnika.

– Nic mu nie grozi. Na razie. Odesłałam go z ciężarówką. – Rzuciła plecak Grayowi. – Zabrałam trochę sprzętu. Dodatkowe

magazynek, granaty hukowo-błyskowe, bomby dymne. Jest też rozłożony piezer Kowalskiego. Niedługo się tu zjawia i spróbuje nas wykurzyć.

Zatrzymała wymowne spojrzenie na Jane.

Wróg przyszedł po mnie, pomyślała dziewczyna i przypomniała sobie wiadomość zostawioną przez ojca.

Derek złapał ją za rękę, rozumiejąc, że to ona jest celem.

– Co zrobimy?

– Czy może tu być inne wyjście? – odpowiedział pytaniem Gray.

Derek wzruszył ramionami.

– Nie... Tak... Wydaje mi się, że to możliwe...

Jane ścisnęła jego dłoń.

– Ma rację. W starożytnych świątyniach budowlach często były drogi ucieczki.

Derek spojrzał na jamę piersiową i z powrotem na łuk prowadzący do brzucha.

– Weszliśmy przez usta, więc jeśli ci budowniczowie znali się na anatomii...

Kowalski jęknął.

– No to będziemy w dupie.

Gray poklepał go po ramieniu.

– Miejmy nadzieję, że nie w przenośni. To może być jedyne wyjście.

Kazał im przejść na drugą stronę przepony; Seichan przeprowadziła motocykl.

Gdy przeszli pod płatami wątroby, Derek oświetlił przytuloną do niej od góry kamienną kulę.

– Woreczek żółciowy – mruknął z nutką podziwu, mimo niebezpieczeństwa.

Wciąż trzymał Jane za rękę, z czego naprawdę się cieszyła, bo dodawał jej poczucia bezpieczeństwa. Razem szli w głąb jamy brzusznej. Lampy na kaskach i reflektor motocykla oświetlały znajdujące się tam cuda.

Okrążyli wielki żołądek, który spoczywał na kamiennej śledzionie. Dalej wznosiły się zwoje będące jelitami boga. Szczegóły budziły zdumienie – od fałdów otrzewnej wokół narządów wewnętrznych po ślady naczyń krwionośnych na wszystkich powierzchniach.

Wyżej rząd kręgów biegł łukiem po sklepieniu i znikał w ciemności brzucha. Po obu stronach wisiały wielkie nerki, które wyglądały tak, jakby lada chwila miały spaść.

– Tutaj – powiedziała Seichan.

Podprowadziła motor do żołądka i skierowała reflektor na wąski otwór z boku.

Wejście...

Gray podszedł i wsunął głowę do żołądka.

– Widzę wylot przełyku. I następny korytarz.

– Pewnie prowadzi przez resztę przewodu pokarmowego – odezwał się Derek. – Miejmy nadzieję, że kończy się wylotem. Może nie jest to najbardziej godny sposób ucieczki, ale nie mamy wyboru.

Gdy Gray się wyprostował, Seichan pociągnęła go na bok.

– Zostawiłam Ahmadowi radio i GPS. Kazałam mu odjechać i powiedziałam, że podam przez radio naszą pozycję, jeśli znajdziemy wyjście. – Zerknęła na Jane. – Ale wiemy już, kto jest prawdziwym celem wroga. Tak samo jak w Ashwell.

Gray zrozumiał.

– W takim razie musisz zabrać stąd Jane – zwrócił się do Seichan, po czym spojrzał na pozostałych. – Żeby umożliwić wam ucieczkę, musimy odwrócić od was uwagę wroga i skupić ją na sobie. Miejmy nadzieję, że zanim się połapią, że uciekłyście...

– Będziemy w unimogu, w drodze do Chartumu – dokończyła za niego Seichan. – Kiedy to zrozumieją, ruszą za nami, co z kolei może wam zapewnić czas na ucieczkę.

– Więc po naszej stronie nie będzie przegranych – podsumował ponuro z miną sugerującą, że jest daleki od wiary, że tak się to wszystko ułoży.

Jane miała za złe, że mówią o niej jak o grze w piłkę, nie dając jej szans na wyrażenie własnego zdania. Derek, który przysłuchiwał się rozmowie, doszedł do innego wniosku.

– Gray ma rację – przyznał i popatrzył na Jane. – Ojciec zostawił tę wiadomość dla ciebie. Jesteś zbyt ważna, żeby cię narażać.

Zobaczyła w jego oczach troskę, która nie miała nic wspólnego z ratowaniem świata.

– Nie wiem, co tata...

Ścisnął jej rękę.

– Będiesz wiedziała.

– A jeśli się mylimy? – spytała, spoglądając na wejście do żołądka. – Jeśli tam nie ma wyjścia?

– Na pewno jest – pospieszył ze wsparciem Kowalski.

– Skąd ta pewność? – zapytała.

Lekko popchnął ją w stronę otworu.

– Wyczytałem w książce.

Nawet Gray był zaintrygowany jego odpowiedzią.

– W jakiej książce?

Olbrzym westchnął z irytacją.

– *Każdy robi kupę.* – Zatoczył ręką łuk, wskazując grootę. – To się stosuje także do tego wielkiego faceta.

Gray jęknął.

Jane uśmiechnęła się, czując, jak opada z niej napięcie.

– Mówi z sensem – rzucił Derek.

Seichan tylko pokręciła głową i wepchnęła motor do żołądka. Będą potrzebowały jego prędkości, gdy – raczej jeśli – dotrą na pustynię.

Nie mając wyboru, Jane już chciała pójść za nią, lecz Derek ją zatrzymał.

– Uważaj na siebie. – Pochylił się i wziął ją w ramiona. Przez chwilę wyglądało na to, że chce ją pocałować, ale przecież oboje mieli maski.

Objęła go i mocno przytuliła przez dobrą chwilę.

– Wkrótce się zobaczymy – powiedziała.

– Oby.

Odwróciła się i poszła za Seichan. W żołądku zobaczyła tunel prowadzący do labiryntu jelit. Otwór znajdował się w połowie wysokości nachylonej ściany. Ogarnęła wzrokiem resztę gastrycznej komory. Powierzchnię pokrywało coś, co wyglądało na skurczne wrzody – nagle zrozumiała, że to pozbawione wyrazu twarze o zapadniętych oczach.

Wzdrygnęła się na ten widok; zabobonny strach przyprawił ją o gęsią skórkę.

Podskoczyła, słysząc uruchomiany silnik.

Seichan dodawała gazu, aż warkot przeszedł w ogłuszający ryk.

Poklepała siodełko za sobą.

– Wskakuj.

– Co ty...?

– Wynosimy się stąd.

Jane z lękiem podeszła do motocykla, przerzuciła nogę i opadła na siodełko.

– Trzymaj się mocno! – krzyknęła Seichan.

Dziewczyna ledwie zdążyła objąć ją w taili, gdy Seichan dodała gazu. Motocykl zrobił małe kółko, nabierając pędu, wjechał po nachylonej ścianie i zniknął w otworze.

Jane musiała schylić głowę, bo strop był niski.

W blasku reflektora ukazała się kręta kolejka górską.

– No to jazda! – zawołała Seichan takim tonem, jakby się uśmiechała.

Boże, pomyślała Jane, mocniej ściskając ją w pasie.

Godzina 10.08

Wala patrzyła ze szczytu spalonego słońcem urwiska.

Jej punkt obserwacyjny znajdował się nad cienistą doliną. Zaczekała, aż ostatni z ludzi Krugera zniknie w ciemnym wejściu

prowadzącym do znajdujących się w dole tajemnic. Mogła im towarzyszyć, ale nie ufała kobiecie, która strzegła ich celu.

Seichan...

Wcześniej patrzyła, jak kobieta jeździ w tę i w tę przez rozpadlinę. Z wysoka próbowała wyczytać jej zamiary ze śladów zostawianych na piasku przez koła motoru. Przypuszczała, że ta kobieta robi coś więcej, niż tylko sprawdza, czy wylot wąwozu nie został zablokowany.

Seichan musiała podejrzewać, że tu są – a przynajmniej tak się zachowywała. Z pewnością założyła, że wrogowie będą czekać, dopóki jej towarzysze nie wyjdą z grot, i wtedy zaskoczą ich na otwartej przestrzeni.

Dlatego sprowokowałaś nas do działania, wciągając do swojej gry, pomyślała Wala.

Miała ochotę pójść na dół z Krugerem i jego ludźmi, ale nie była na tyle głupia, żeby zostawić rozciągającą się wokół nich pustynię bez nadzoru. Nie zamierzała iść na rękę tej zdrajczynie; postanowiła pokrzyżować jej szyki.

Chcąc ułatwić sobie zadanie, poszła po drona. Włączyła silnik, uniosła bezzałogowy statek, wróciła na krawędź urwiska i rzuciła go w niebo. Przez moment spadał, a potem skrzydła chwyciły prąd powietrzny wznoszący się z doliny. Dron zwiększył wysokość i zaczął krążyć.

Obserwując z góry te spękane wzgórza, będzie jej oczami.

Na monitorze miała obraz z dwóch kamer.

Pierwszy ekran ukazywał ciężarówkę toczącą się przez pustynię.

Wcześniej wysłała pierwszego drona w ślad za uciekającym unimogiem. Chciała wiedzieć, czy zawróci. Przez chwilę rozważała, czy nie wysłać któregoś zwiadowcy Krugera w pościg na motorze, ale postanowiła nie osłabiać sił.

Nadrzędnym celem była Jane McCabe.

Poza tym dron tropiący ciężarówkę rozpościerał nad nią sieć zakłóceń, blokując wszelkie transmisje i w ten sposób izolując kierowcę. Miną godziny, zanim chłopak znajdzie jakąś pomoc.

Przykucnęła, na palcach stóp balansując na krawędzi urwiska.
Jeśli ludzie Krugera nie załatwią sprawy na dole i pozwolą im
uciec...

Podniosła karabin.

Będę na was czekać.

Wyspa Ellesmere'a, Kanada

3 czerwca, godzina 4.09 czasu miejscowego

– Mam nadzieję, że jest panu wygodnie – powiedział Simon Hartnell.

Painter spojrzął na ręce skrupowane ciasnymi kajdankami. Kostki miał przykute do nóg stalowego krzesła. Najwyraźniej postanowili nie ryzykować. Ochroniarze, mierząc do niego z broni, przyprowadzili Paintera do tej małej biblioteki na prywatnym poziomie mieszkalnym Hartnella, skuli go i wyszli. Nie było z nimi Antona i nie miał pojęcia, co to może oznaczać?

– Gdzie jest Kathryn Bryant? – zapytał.

– Dobre pytanie. Ostatnio widzieliśmy, jak znika w burzy, jadąc sno-catem.

Ta wiadomość sprawiła mu ponurą satysfakcję.

Więc uciekła.

– Spowodowała zaskakująco duże zniszczenia – dodał Hartnell. – Większe, niż zdaje sobie sprawę.

Cała Kat.

– Ale damy sobie z nią radę. – Hartnell obszedł biurko i oparł się o nie, jak nauczyciel mający zamiar zbesztać ucznia. – Sądzę, że źle zaczęliśmy. Jest pan człowiekiem nauki, więc może powinien pan być bardziej otwarty.

Painter słuchał, rozglądając się po pokoju. Jedną ścianę zajmowało stanowisko komputerowe z wieloma monitorami, a przy pozostałych, wyłożonych boazerią, stały mahoniowe regały z rzędami starych książek oraz podświetlone gablotki

muzealne. O chwilę za długo zatrzymał spojrzenie na dwóch żaglowcach – wykonanych z drobiazgową dokładnością drewnianych modelach dziewiętnastowiecznych okrętów wojennych.

Hartnell spostrzegł, co go zainteresowało.

– HMS *Terror* i HMS *Erebus*. Były okręty wojenne przerobione na statki ekspedycyjne.

Painter znał te nazwy i związaną z nimi tragiczną historię.

– Z tego, co pamiętam, oba zaginęły w Arktyce, szukając Przejścia Północno-Zachodniego.

– Owszem. W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym dwa statki zostały uwięzione w lodzie niedaleko Wyspy Króla Williama, niedaleko stąd. Losy załóg stały się pasmem głodu, szaleństwa i śmierci. Wszyscy zginęli, łącznie z moim dalekim krewnym, Johnem Hartnellem, który wziął udział w wyprawie tylko po to, żeby spocząć w płytkim grobie na pobliskiej wyspie Beechey. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Niedawno odwiedziłem miejsce pochówku, żeby złożyć ostatnie wyrazy szacunku temu przedsiębiorczemu i zdeterminowanemu młodemu człowiekowi.

– Może niektórzy mierzą za wysoko.

Hartnell zignorował tę zawołaną insynuację.

– To nie wygórowane ambicje doprowadziły do śmierci Johna, lecz mięso z konserw Goldnera. Badania jego zamrożonych, zmumifikowanych szczątków ujawniły, że zmarł wskutek zatrucia ołowiem z puszek. Prawdopodobnie ołowica spowodowała obłąd członków załogi. – Wskazał statki. – Ma pan rację, to opowieść ku przestrodze, ale inaczej, niż pan ją pojmuje.

– Zatem jak?

– Czy pan wie, że z powodu ocieplenia po tych samych wodach, po których żeglowały *Terror* i *Erebus*, obecnie pływają statki wycieczkowe pełne pasażerów sącących koktajle i posilających się w luksusowych restauracjach? – zapytał z grymasem niezadowolenia. – Turyści przybywają, żeby

zobaczyć czubek świata, podczas gdy w rzeczywistości oglądają jego koniec.

– Z powodu zmian klimatycznych? – Painter prowokował rozmówcę nutą powątpiewania w głosie. Miał nadzieję, że Hartnell się zirytuje i powie mu więcej, niż zamierzał. Wiedział, że szef Clyffe Energy ma obsesję na punkcie zmian klimatu. – Nie sądzi pan, że to dramatyzowanie, a nawet sianie paniki?

– Wszyscy powinni być zaniepokojeni. – Hartnell wstał. – Planeta ogrzewa się w bezprecedensowym tempie. Z przeprowadzonych przez NASA analiz rdzeni lodowych wynika, że obecnie średnie temperatury roczne osiągają rekordowo wysokie wartości. W Kuwejcie padł światowy rekord temperatury: pięćdziesiąt cztery stopnie. Wkrótce niektóre miejsca na Ziemi staną się za gorące do zamieszkania. Już jesteśmy świadkami zjawisk atmosferycznych, które przewyższają te znane z przeszłości, potężnych burz, jakich nie widziano od ponad pięciuset lat.

– Pogoda jest nieprzewidywalna. – Painter wzruszył ramionami.

Hartnell wyglądał tak, jakby zaraz miał dostać ataku apopleksji.

– Może gdyby chodziło o zjawisko jednostkowe... Ale tylko w ubiegłym roku w Stanach Zjednoczonych szalało osiem nawałnic o takiej sile, że prawdopodobieństwo ich wystąpienia wynosi dwie dziesiąte procent. Osiem! – Trzasnął pięścią w biurko. – I niech mi pan nie mówi, że to naturalny cykl. NOAA przyjrzała się wzrostowi temperatury po ostatnim zlodowaceniu. Ocieplenie w ubiegłym stuleciu zachodziło dziesięć razy szybciej niż wtedy, dwadzieścia razy szybciej, niż wynosi średnie tempo na przestrzeni dziejów. A zatem nie mamy do czynienia z cyklem. Stoimy u progu masowego wymierania.

Painter parsknął drwiąco.

– I co w związku z tym może pan zrobić? Czytałem, że już minęliśmy punkt krytyczny.

– To prawda – przyznał Hartnell, prostując się. – Dla powstrzymania tego, co nadchodzi, potrzebny jest ktoś z wizją, ktoś gotowy podjąć ryzyko. To będzie wymagać poziomu zaangażowania równego temu, z jakim realizowano Projekt Manhattan. Czegóż, czym rządy nie mogą dłużej kierować. Przeprowadzenie każdej prawdziwej zmiany będzie zależało od sektora prywatnego.

– Innymi słowy, od pana. – Dyrektor Sigmy zmrużył oczy, patrząc na rozmówcę. – Co właściwie pan robi w Stacji Aurora?

Doprowadzony do ostateczności Hartnell przekroczył granicę.

– Zamierzam zakończyć proces globalnego ocieplenia i zaoferować światu źródło energii niepodobne do innych.

– Jak?

Hartnell odwrócił się w stronę gablotki zawierającej czarny notes w skórzanych okładkach.

– Z pomocą pewnego przyjaciela.

Godzina 4.17

Simon Hartnell zapanował nad drżącą ze złości ręką, żeby wsunąć klucz do zamka gablotki. W końcu otworzył szklane drzwiczki. Z wielką ostrożnością wyjął notes. Odwrócił się do skutego mężczyzny na krześle.

Domyślał się, że Painter Crowe specjalnie go prowokuje, ale już się tym nie przejmował.

– Należał do Nikoli Tesli. To osobisty dziennik, skonfiskowany przez rząd amerykański po jego śmierci. Ale nikt nie docenił albo nie zrozumiał tego, co zostało tu napisane.

– W przeciwieństwie do pana?

Hartnell uśmiechnął się, jakby samo trzymanie notesu go uspokoiło.

– Trzeba przyznać, że zajęło mi to ponad trzydzieści lat. I wciąż nie wiem wszystkiego. Ten człowiek potrafił być piekielnie tajemniczy, kiedy tego chciał. – Usiadł za biurkiem. – I,

niestety, był geniuszem bardziej wizjonerskim niż praktycznym. To dlatego wszyscy znają nazwisko Thomasa Edisona, a niewielu słyszało o Nikoli Tesli. Edison był człowiekiem swoich czasów... Tesla je wyprzedził.

– Niech zgadnę – rzucił Painter. – Te czasy w końcu nadeszły.

Simon Hartnell spojrział na niego ostro, uznawszy, że ten człowiek jest inteligentniejszy, niż z początku założył, zwłaszcza jak na kogoś pracującego dla rządu.

– Otóż to! Zamierzam pokazać światu prawdziwy geniusz Tesli.

Painter zapatrzył się w przestrzeń.

– Pańskie anteny... – odezwał się. – To coś więcej niż tylko potężniejsza wersja HAARP.

– W istocie. To spełnienie marzenia Tesli. Świat bez wojny, niewyczerpane źródło taniej energii i zdrowa, kwitnąca planeta.

– I pan może to wszystko zapewnić?

– Z czasem. Przygotowujemy się do przewidzianej na pojutrze próby... albo weryfikacji koncepcji, jeśli pan woli.

– Jakiej koncepcji?

– Ile pan naprawdę wie o projekcie Tesli o nazwie Wardencllyffe?

Painter zmarszczył brwi.

– Tylko tyle, że poniósł porażkę, próbując stworzyć sieć wież do bezprzewodowego przesyłania energii. Ta zwana Wardencllyffe była jedyna.

– Wieża Wardencllyffe miała udowodnić prawdziwość jego koncepcji i pokazać światu, co jest możliwe. Rozpoczął jej budowę w tysiąc dziewięćset pierwszym, wykorzystując teorie i badania sięgające dziesiątki lat wstecz. Wiedział, że do bezprzewodowego przesyłania energii będzie potrzebować przewodnika, który mógłby roznosić energię po całej planecie. Rozważał dwa możliwe źródła: Ziemię i atmosferę. Wierzył, że można wpompować energię głęboko pod powierzchnię, żeby pobudzić naturalną ziemską częstotliwość rezonansową, która zwielokrotni wartość tej energii. Alternatywnie to samo można

uzyskać przez wysyłanie energii do przewodzącej warstwy atmosfery.

– Do jonosfery.

Hartnell skinął głową.

– W owym czasie tylko spekulowano o istnieniu takiej warstwy. Jej istnienie zostało dowiedzione dopiero w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym.

– Więc Tesla znowu wyprzedził swoją epokę.

– Niestety, to prawda. Skupił się więc na jedynym przewodniku, do którego miał dostęp: na Ziemi. W projekcie Wardencllyffe wykorzystano pręty wbite na głębokość prawie stu metrów, żeby wieża lepiej „chwyciła Ziemię”, jak ujął to wynalazca.

– Ale poniósł porażkę.

– Tylko dlatego, że nie miał możliwości technicznych, żeby zbadać bardziej obiecującą możliwość: jonosferę. Później, kiedy dowiedziono istnienia tej warstwy, podjął pracę i w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym ogłosił, że stoi na progu odkrycia, cytuję, „nowego i niespodziewanego źródła” energii. W artykułach prasowych nie ujawnił jednak, co to za źródło.

Painter zauważył rosnące podniecenie rozmówcy.

– I pan wie, co to było.

Hartnell położył dłoń na notesie Tesli.

– Wszystko jest tutaj.

– Mówi pan o tym elektrycznym mikrobie – domyślił się Painter.

Jego rozmówca nie zdołał ukryć szoku; znów był pod wielkim wrażeniem.

– Owszem. W Londynie Tesla eksperymentował z bardzo niebezpiecznym organizmem.

– Czy to było w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym, w Muzeum Brytyjskim, kiedy grupa badaczy otworzyła artefakt kiedyś należący do Davida Livingstone’a?

Skąd ten człowiek już to wie? – zastanawiał się Hartnell, odchyliwszy się w fotelu i szeroko otwierając oczy.

- Co jeszcze jest w tym notesie? – zapytał Painter.
 - Na podstawie tego, czego Tesla się dowiedział o właściwościach organizmu, a także późniejszych odkryć dotyczących jonosfery, opracował projekt prymitywnej wersji tego, co mamy tutaj. Tylko że w owym czasie po raz kolejny nie miał możliwości technicznych i źródeł energii, żeby urzeczywistnić swoje plany.
 - Więc pan udoskonalił i powiększył jego dzieło, budując Stację Aurora.
 - To mój Wardencllyffe. Lokalna stacja testowa służąca okazalszej wizji globalnej.
 - Cóż to za wizja?
 - Jak już mówiłem, taka sama jak Tesli. Pokój na świecie, niewyczerpane źródło taniej energii i zdrowsza planeta. Czy nie jest to wzniosły cel?
 - Oczywiście, że jest – przyznał Painter. – I chętnie się z tym zgadzam. Ale niepokoi mnie to, w jaki sposób dąży pan do tego wzniesłego celu.
 - Nawiązuje pan do sprowadzenia tutaj doktor al-Maaz.
 - Słowa porwanie i zabójstwo lepiej opisują ten akt. Hartnell pokiwał głową, przyznając mu rację.
 - I jeszcze to. – Painter zagrzechotał kajdankami.
 - Niefortunny wypadek. I niezamierzony. Co więcej, większa część winy za ofiary śmiertelne spada na profesora McCabe'a. Gdyby nie działał tak pochopnie, ocalałoby wiele istnień ludzkich.
 - Łatwo zrzucać winę na zmarłego.
 - Ale taka jest prawda.
- Zadzwoił telefon na biurku. Hartnell zerknął na wyświetlacz, spojrzął na swojego rozmówcę i wcisnął przycisk, wzywając strażników z korytarza.
- Powiniennem się zająć kilkoma sprawami, więc musimy skończyć.
 - Chwileczkę. – Painter poruszył się na krześle. – Proszę powiedzieć, jak pan zamierza zrealizować wizję Tesli.

Hartnell z uśmiechem podniósł notes.

– Lepiej, żeby odpowiedzi udzielił panu sam wielki człowiek. Chociaż może nie w swoim ojczystym serbsko-chorwackim. Każę przysłać przetłumaczony egzemplarz dziennika do pańskiego pokoju. Gdy pan przeczyta, znowu porozmawiamy. Może wtedy w pełni pan zrozumie, jaka jest stawka.

Weszli strażnicy i wyprowadzili podzwaniającego łańcuchami więźnia z pokoju. Kiedy Hartnell został sam, wcisnął przycisk połączenia przychodzącego i podniósł słuchawkę.

– Anton, zostałeś opatrzony?

– Tak. Niezwłocznie dołączę do zespołów poszukiwawczych.

– Dobrze. Znajdź ich. Musimy odzyskać dane wykradzione z laboratorium.

Po zniszczeniu mumii topograficzna mapa tatuaży zapewniała największe szanse na to, żeby się dowiedzieć, jak poskromić śmiertelnościanego mikroba. Nocna rozmowa sieciowa Rory'ego i doktor al-Maaz wskazywała na to, że byli bliscy odkrycia czegoś ważnego.

– Jeśli skrzywdziły Rory'ego... – warknął do telefonu Rosjanin.

– Na pewno nic mu nie jest.

Przez dwa lata mężczyźni bardzo się polubili. Hartnell nie miał nic przeciwko temu, a nawet ich zachęcał do zacieśnienia relacji, chociaż Anton dziwnie pojmował miłość. Jego związek z siostrą Wala, łączący ich równie mocno jak tatuaże, był niezdrowy i współzależniący. Choć nie miał charakteru seksualnego, to nie wychodził rodzeństwu na dobre. Simon był zadowolony z romansu Antona z Rorym, ponieważ osłabiał więzi rodzeństwa, dzięki czemu Wala, działając w pojedynkę, stała się bardziej użyteczna... i bardziej bezlitosna.

Nie ma to jak wzgardzona kobieta, jeśli nawet przez rodzzonego brata.

Tylko że teraz uczucia Rosjanina do Rory'ego mogły stać się ciężarem.

– Anton?

– Słucham?

– Znajdź tę płytę. Za wszelką cenę. Rozumiesz?

Nastąpiła długa chwila milczenia, po czym padła ostra, zdecydowana odpowiedź:

– Może pan na mnie liczyć.

Godzina 4.32

– Halo, halo...

Kat wiedziała, że wysiłki jej towarzyszki są daremne. Safia siedziała obok z jej telefonem satelitarnym, próbując połączyć się z bazą lotniczą Thule, podczas gdy ona koncentrowała się na walce ze zdradliwym terenem i burzą. Lodowaty wiatr omiatał kabinę, wyjąc z frustracji, że nie może się do nich wedrzeć. Suchy, twardy jak kamienie grad uderzał w boki pojazdu.

Uznała, że już przekroczyli granicę Parku Narodowego Quttinirpaaq, chociaż bez GPS-u nie mogła mieć absolutnej pewności.

Safia opuściła telefon i spojrzała na góry za szczybą.

– Może gdy znajdziemy się wyżej.

– To nic nie da – mruknęła Kat, patrząc nad kierownicą.

Reflektory tylko na kilka metrów rozpraszały mrok panujący w zadymce. Jechali wzdłuż zamrożonej rzeki; miejscami lód stopniał albo popękał, odsłaniając pędzącą w dole błękitną wodę. Dolinę okalały czarne poszarpane szczyty, pojawiające się i niknące w śnieżycy.

– No to może zmieni się pogoda – powiedziała Safia.

– To nie pogoda jest problemem. – Kat spojrzała na kłębiące się ciemne chmury. – Odcina nas burza innego rodzaju. Burza geomagnetyczna, będąca skutkiem niedawnego rozbłysku słonecznego. Dopóki się nie uspokoi, nie uzyskamy połączenia satelitarnego.

– Ona ma rację – wtrącił Rory, siedzący z tyłu. – Prognozy przewidują, że takie warunki utrzymają się jeszcze przez parę

dni.

Kat spojrzała w lusterko wsteczne. Jakiś czas temu zatrzymała pojazd, żeby kawałkiem liny znalezionej w kabinie związać chłopakowi ręce za plecami. Przywiązała go też w pasie do klamr siedzenia. Nigdzie nie pójdzie.

Spostrzegł, że na niego patrzy, i opuścił głowę.

Pomyślała o jego wcześniejszej trosce o Safię, o szczerzej skrusze, ale także o strachu w jego głosie, gdy zobaczył krwawy szlak zostawiony przez Antona. Podejrzewała, że jego i Rosjanina łączy głębsza więź.

W kwaterze głównej Sigmy przejrzała akta Antona Michajłowa z czasów, kiedy miał szesnaście lat. Został oskarżony o „drobne kradzieże” i „czyny nierządne”.

W Rosji w owym czasie homoseksualizm wciąż był uważany za przestępstwo.

Kat wspomniała również, jak dwa lata temu po zniknięciu profesora McCabe'a przeglądała dotyczące go materiały. Były tam raporty o tarcjach między ojcem i synem, o jawnych konfliktach. Nawet Jane o nich napomknęła, przypisując je buntowi brata przeciwko dominującemu ojcu.

Kat nie wątpiła, że taki był powód.

Ale może nie jedyny.

Czy profesor McCabe poznał prawdę o synu i nie chciał się z nią pogodzić? A może Rory ukrywał swoją orientację seksualną, wbijając pomiędzy siebie i ojca niemy klin?

Rory mógłby to wyjaśnić, ale teraz nie była ku temu odpowiednia...

– Kat! – Safia chwyciła ją za ramię.

Kat spojrzała przed siebie. Na wprost nich w świetle reflektorów piętrzyło się coś dużego. Ciemne, kudłate zwierzę stało nad rzeką z opuszczoną głową, pijąc wodę w miejscu wolnym od lodu.

Piżmowół.

Ostro skręciła, żeby uniknąć zderzenia. Jedyna droga prowadziła przez zamarznięty odcinek rzeki. Gąsienice

zazgrzytały na lodzie. Wzdrygała się na każdy trzask, ale bezpiecznie dotarli na drugi brzeg.

– Przepraszam – szepnęła, ocierając czoło. Lepiej nie ignorować terenu i burzy, pomyślała.

– Powinnaś się przespać – powiedziała cicho Safia.

Kat nie mogła się z nią nie zgodzić.

– Kiedy dotrzemy do Alertu – rzuciła.

Taki był ich plan. Po drugiej stronie Parku Narodowego Quttinirpaaq leżała kanadyjska placówka Alert, będąca bazą wojskową i stacją meteorologiczną. Ale Quttinirpaaq był drugim pod względem wielkości parkiem narodowym Kanady, co znaczyło, że muszą przebyć prawie dwieście pięćdziesiąt kilometrów, żeby dotrzeć w bezpieczne miejsce.

Jazda zajmie wiele godzin, jeśli nie większą część dnia.

Zakładając, że ich nie złapią.

Wyraziła to zmartwienie, pytając Rory’ego:

– Jakie pojazdy mają w Aurorze?

Wzruszył ramionami.

– Poza takimi jak ten? Skutery śnieżne, używane głównie rekreacyjnie. Aurora to placówka naukowa, nie baza wojskowa.

Wiedziała, że prawdopodobnie tylko dlatego udało im się uciec. Otoczoną przez trudny do przebycia teren, odizolowaną stację z pewnością uważano za zabezpieczoną przed większością zagrożeń.

– Niektórzy polują z powietrza, latając cessnami – dodał Rory ze zmarszczonym czołem. – To niezupełnie sportowe, ale pomaga spuścić parę.

Kat spojrzała w niebo. Była to jedna z drobnych łask burzy. Z pewnością uziemi małą flotę stacji.

Ale myśliwi polujący z awionetek nie byli jej największym zmartwieniem.

Obok niej Safia wciąż trzymała telefon satelitarny. Kat poprosiła ją, żeby co jakiś czas próbowała nawiązać łączność z pułkownikiem Wycroftem z bazy Thule. Wiedziała, że jest nikła

szansa na chwilę ciszy w burzy geomagnetycznej, ale przydzieliła jej ten obowiązek, żeby kobieta miała jakieś zajęcie.

Patrząc przez okno, Safia uniosła rękę i potarła policzek. Kat wiedziała, że za tym gestem kryje się strach. Wyobraziła sobie rozdarty kombinezon, bryzg kości i skóry. Dekontaminacja była natychmiastowa, ale czy spełniła swoje zadanie?

Kat nie chciała mówić Safii o dokonanej przez doktor Kano ocenie rozwoju choroby, o tym, że patogeny potrzebują tylko dwóch godzin, żeby dotrzeć do mózgu.

Czy ta akcja ratunkowa zakończy się skazaniem tej kobiety na śmierć?

Grzejnik charczał, jakby cierpiał na astmę. Wdmuchiwał ciepłe powietrze do szczelnej kabiny, hałaśliwie przypominając, że nie tylko Safia może być zagrożona.

Nagle silnik zakasłał, wstrząsając całym pojazdem, aż Kat uderzyła w kierownicę. Po chwili znów dudnił miarowo. Odetchnęła z ulgą, lecz nie przestała się niepokoić. Przypuszczała, że sno-catów używano do drobnych zadań, i obawiała się, że nie dbano o nie w wystarczającym stopniu, żeby nadawały się do długotrwałej jazdy przełajowej podczas śnieżycy.

Być może Safia i Rory pomyśleli o tym samym, bo długo się nie odzywali – dopóki nowy hałas nie przebił się przez kokon ich strachu.

Brzmiał jak schodząca lawina, jak coraz głośniejsza dudniąca kaskada.

Nagle z ciemności za nimi wyłoniły się sylwetki; przemykały po obu stronach pojazdu, łącząc się przed sno-catem w świetle reflektorów. Dudnieniu kopyt towarzyszyło spanikowane, żalosne porykiwanie.

Było to liczące setki sztuk stado karibu, opływających pojazd jak rzeka głaz. Zniknęły w burzy śnieżnej równie szybko, jak się pojawiły.

Safia wykręciła szyję, żeby spojrzeć przez tylną szybę.

– Jak myślisz, co je spłoszyło?

Kat podejrzewała, że zna odpowiedź, i wypatrywała światła za nim. Przyspieszyła, ścigając upiorne stado, posłuszna jego ostrzeżeniu.

Ktoś nas znalazł.

Godzina 4.38

Painter pocierał obolałe nadgarstki, krążąc po swojej celi. Strażnicy go rozkuli, kazali się rozebrać i rzucili mu szary kombinezon. Butów nie zostawili.

Ale to był najmniejszy z jego problemów.

Zżerał go strach – o Kat i Safię.

Zamknęli go w dawnym pokoju Safii. Wciąż czuł jej zapach, leciutką nutkę jaśminu, która przywiodła mu na myśl ich wspólną przeszłość, wspomnienie pustynnych piasków i zielonych oaz. I boleśnie przypominał o niebezpieczeństwach przyszłości.

Kate i Safia uciekły, zabierając ze sobą Rory'ego, lecz nie wiedział, jak długo zachowają przewagę nad pościgiem. Hartnell może był kulturalny, Painter wiedział jednak, że ten człowiek nie cofnie się przed niczym, żeby dopaść uciekinierki.

Nagle usłyszał jakiś chrobot.

Co teraz?

Kratka w dolnej części drzwi się otworzyła. Coś, co przez nią wepchnięto, przeszorowało po podłodze do jego stóp. Gdy się pochylił, żeby spojrzeć, kratka się zatrzasnęła.

Podniósł gruby plik papierów połączonych jak kołonoatnik. Przewertował je, zauważając, że wiele fragmentów tekstu zaczerwiono, w tym diagramy i schematy.

Zaintrygowany, podszedł do biurka i usiadł.

Wiedział, co to takiego.

Przetłumaczona kopia czarnego notesu Tesli.

Przynajmniej pod tym względem Hartnell okazał się słowny, chociaż ocenzonego tekst świadczył o tym, że nie ma zamiaru

ujawniać, co naprawdę się tu dzieje.

Ale wezmę, co dają, uznał Painter.

Podejrzewał, że Hartnellowi zależy na uznaniu, a nawet szacunku za jego geniusz i przedsiębiorczość. Albo może tylko potrzebował uświadomionego widza tego, co miało nastąpić, i chciał go podkształcić, żeby spełnił tę rolę.

Painter był chętny do współpracy.

Nawet będę klaskać, jeśli dzięki temu zyskam to, czego chcę.

Zdawał sobie jednak sprawę, że ten człowiek nie jest głupi. Wystarczyło spojrzeć przez okno, żeby zobaczyć, co zbudował pod nosem DARPA, w dodatku częściowo za ich fundusze. Wiedział, że nie wolno mu zlekceważyć tego człowieka.

Spojrzał na wydruk.

Skoro mi to dał, to znaczy, że czegoś ode mnie chce.

Niech tak będzie.

Przewrócił pierwszą kartkę i zaczął czytać.

Gdy historia się rozwijała, narastała w nim lodowata pewność.

To nie skończy się dobrze... dla nikogo.

Pustynia w Sudanie

3 czerwca, godzina 10.22 czasu miejscowego

W brzuchu boga Gray słuchał cichnącego stłumionego ryku motocykla Seichan. Miał nadzieję, że jest tam tylne wyjście. Jeśli nie ma, wiedział, że Seichan zaszyje się gdzieś z Jane McCabe w przekonaniu, że on i pozostali zapewnią im bezpieczeństwo.

Kowalski wyszedł z żołądka i pokazał mu uniesione kciuki. Olbrzym przygotował małą niespodziankę, na wypadek gdyby któryś z wrogów postanowił skorzystać z trasy w przełyku. Jedyna inna droga do tej części drzemiącego boga prowadziła przez otwór w przeponie.

Czuwali po tej stronie, strzegąc wejścia. Było to najlepsze stanowisko obrony. Przez otwór mogła przejść tylko jedna osoba. Gray przyczaił się za kamienną pętlą dwunastnicy, celując z SIG sauera i żałując, że ta broń nie ma większej siły ognia.

Na prawo od niego Derek kucał za stosem gruzu – jakiś element anatomiczny runął z wysoka i roztrzaskał się na kawałki. Z niepokojem popatrywał na strop, jakby się spodziewał, że spadnie coś więcej. Dostał zapasowy pistolet, Berettę 96A1, po tym, jak się zaklinał, że jest obeznany z bronią. Twierdził, że to niezbędna umiejętność u archeologa, który często pracuje w rozdartych przez wojnę krajach albo miejscach opanowanych przez wojowniczych rebeliantów.

Usłyszawszy to, Kowalski miał dla niego propozycję: „Może powinieneś pomyśleć o kupieniu bicza”.

Gray z radością powitałby każdą dodatkową broń.

Kowalski zajmował pozycję za wybrzuszeniem żołądka, blisko otworu, na wypadek gdyby ktoś próbował tamtędy wtargnąć. Był uzbrojony w piezer, strzelbę załadowaną piezoelektrycznymi kryształkami; miał wyraźną ochotę zgotować elektryzujące powitanie nieproszonemu gościowi. Za pasek zatknął pistolet Desert Eagle .50.

Żaden się nie odzywał; nadśluchiwali, czy nie nadchodzi wróg.

Gray kazał zgasić latarki, bo w ciemności stanowili mniej oczywiste cele. Jedynym źródłem światła była czołówka na kasku Seichan. Gray skonfiskował go przed jej odjazdem i położył na podłodze, ze światłem skierowanym w stronę otworu.

Nie widział, żeby coś się ruszało, ale mógłby przysiąc, że słyszy cichy hałas: szmer kamyków, szelest ubrania, skrzyknięcia skóry. Jeśli te odgłosy nie były wytworem jego wyobraźni, ktoś skradał się w sąsiedniej komorze, po ciemku, prawdopodobnie wyposażony w noktowizor.

Nagle stało się wszystko naraz.

Huknął strzał, lampa na kasku zgasła, komora pogrążyła się w ciemności.

Jednocześnie zabrzmiał głośny huk i z wejścia do żołądka buchnęło jaskrawe światło. Ktoś uruchomił pułapkę zastawioną przez Kowalskiego w przełyku. Wybuchły dwa granaty błyskowo-hukowe.

Odwrócony plecami do jaskrawego blasku Kowalski wymierzył na oślep i strzelił, gdy zgasły błyski granatów. Migoczące błękitne kryształy piezoelektryczne eksplodowały w żołądku, rykoszetując.

Gray wykorzystał tę chwilę i przez otwór w przeponie rzucił granat dymny, który zapalił się na progu, tworząc gęstą zasłonę. Derek strzelił, żeby zniechęcić przeciwników do wejścia.

Widok na wnętrze brzucha był chwilowo zablokowany. Gray zdjął kask, włączył czołówkę i położył go na ziemi.

– Wycofujemy się na drugą pozycję!

Derek posłuchał, lecz Kowalski rzucił się do żołądka z uniesionym pistoletem. Oddał jeden strzał, prawdopodobnie

likwidując ogłuszonego człowieka, po czym wyskoczył, wlokąc coś za sobą. Podbiegł do nich.

– Pomyślałem, że może się nam przydać – powiedział.

Jego zdobyczą były rosyjski RPG-7, ręczny granatnik przeciwpancerny, i dwa pociski.

Gray z głębokim niepokojem odwrócił się w stronę muru przepony.

Jeśli ten miał granatnik, to prawdopodobnie... Nie dokończył myśli, bo światem zakołysało grzmiące dudnienie.

Otwór w przeponie wybuchł, powiększając się, a w piaskowcowym murze dzielącym dwie komory powstały wielkie rysy. Grad masywnych okruchów skalnych zmusił Graya i jego towarzyszy do cofnięcia się w głąb brzucha. Jedna z płyt zmiądzzyła żołądek.

Ciemne postacie biegnące w kłębach dymu i pyłu skalnego pojawiały się i znikaly.

Zabrzmiały strzały; pociski zasypywały wszystko wokół.

Jeden trafił w porzucony kask i strzaskał latarkę.

Ciemność opadła jak czarny całun.

Derek jęknął u boku Graya.

– Co teraz?

Godzina 10.29

Seichan schyliła głowę, słysząc eksplozje. Motor podskakiwał, podczas gdy wszystko wokół się trzęsło. Jane, w obawie, że spadnie z siodelka, obejmowała ją tak mocno, że niemal wyciskała powietrze z jej płuc. Seichan zahamowała i spojrzała do tyłu.

Gray...

Jane też patrzyła za siebie.

– Co się dzieje? – spytała.

– Niestrawność – warknęła szorstko Seichan, znów kierując wzrok przed siebie. – Zaczęła się wojna. Co oznacza, że pora stąd pryskać.

Dodała gazu i ruszyła, żeby pokonać ostatni etap. W porównaniu z wijącą się zjeżdżalnią, która je tu doprowadziła, dalsza droga biegła prosto jak strzeł.

– Na pewno już niedaleko – powiedziała Jane. – Sądzę, że jesteśmy w okrężnicy zstępującej, części jelita grubego.

Wcześniej młoda archeolog opisała ścieżkę prowadzącą przez jelito cienkie jako symboliczną. Tamte kręte tunele były tylko odrobinę węższe od tego, którym jechały teraz. Trasa różniła się od widzianej z zewnątrz szczegółowej rzeźby przewodu pokarmowego i była mniej zawiła. Wewnętrzne przejście było po prostu krętym tunelem wyciętym w wielkim bloku piaskowca.

Seichan podążała za snopem światła, ale skupiała słuch na wszelkich odgłosach mogących sugerować, co się dzieje na zewnątrz. Słyszała wybuchy, rumor i ostrzejsze trzaski, które świadczyły o trwającej wymianie ognia.

Jane wskazała nad jej ramieniem.

– Tam. Widzisz, jak się zwięża? Myślę, że to zwieracz. Zaraz będziemy tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Mam nadzieję, pomyślała Seichan i przyspieszyła.

Im szybciej się stąd wyrwą, tym prędzej będzie mogła odciągnąć wroga od walki w jaskiniach. Gray i inni narażali życie, żeby je chronić.

Wypada odwzajemnić przysługę.

Za przewężeniem tunel opadał. Gdy motocykl dotarł do tego miejsca, reflektor oświetlił rumowisko blokujące drogę.

– No to jesteśmy w dupie – zaklęła szeptem Jane.

Seichan ostro zahamowała.

– Dosłownie i w przenośni.

Godzina 10.32

Derek czołgał się, w głowie mu dzwoniło. Gray i Kowalski też się wycofywali, strzelając w ciemność. Paliło się jedno światło – czołówka na porzuconym kasku Dereka.

Gray zostawił go za głazem kilka metrów dalej, nieco z boku od bezpośredniej linii ognia. Latarka nie oświetlała wrogów przedzierających się przez rumowisko, ale oni trzej mieli dość światła, żeby wycofać się w cieniste wnętrze brzucha.

– Zaraz nie będziemy mieli dokąd uciekać – uprzedził Kowalski.

Miał rację.

Z jednej strony piętrzyła się kręta masa wyrzeźbionych jelit, a z drugiej – łagodna krzywizna ściany jamy brzusznej sięgała ku kręgosłupowi. Zostali zepchnięci do podbrzusza i znaleźli się w pułapce.

Kowalski strzelił i Derek podskoczył.

Dwie ciemne postacie, wyglądające jak strzępki cieni, się rozdzieliły. Zniknęły po obu stronach komory.

– To powinno wystarczyć – skwitował Gray.

Do czego? – zastanawiał się Derek.

– Odsunąć się. – Gray położył granatnik na ramieniu.

– Postaraj się – przykazał mu Kowalski. – Zostanie nam tylko jeden pocisk.

Derek podskoczył, gdy broń wypaliła. Jęzor płomienia wystrzelił z tyłu rury, a ciasno skręcona spirala dymu wiła się za granatem. Tylko że zamiast strzelać do wroga, Gray wycelował wysoko w strop.

Nie, nie w strop, błagał w duchu Derek.

Gray kazał im się cofnąć.

– Szybko, szybko... – popędzał.

Wybuch oświetlił prawdziwy cel, wyrywając go z górnej krzywizny ściany. Nerka wielkości autobusu oderwała się, zabierając ze sobą fragment stropu. Obróciła się lekko w locie i runęła pomiędzy nimi i wrogami. Kawałki skały spadały wokół nerki.

Coś uderzyło w porzucony kask Dereka i zdmuchnęło czołówkę jak świeczkę.

Gray wyjął latarkę i oświetlił rumowisko.

Kowalski mocno poklepał go po plecach.

– Teraz nikt nie przejdzie!

My też nie, pomyślał Derek. Przynajmniej dopóki to się nie skończy.

Ale zawałanie się skały jeszcze się nie skończyło; nabierało tempa, rozszerzało się i nasilało. Z potężnym drzeniem oderwał się wielki fragment stropu. Spadł jak ręka boga, miażdżąc połowę jelit. Omiotła ich gęsta chmura piasku i pyłu, grożąca uduszeniem, gdyby nie mieli masek.

Gray kazał im się cofnąć.

– Wszystko spadnie! – zawołał.

Godzina 10.35

Jane się podniosła.

Przed chwilą oglądała rumowisko blokujące wyjście – a zaraz potem leżała na ziemi. Nawet Seichan upadła na ścianę, przyciśnięta przez motor, na którym siedziała. Wyprostowała się razem z maszyną.

Obie spojrzały w głąb tunelu, skąd pędziła ku nim upiorna chmura pyłu.

– Musimy się stąd wydostać – rzuciła Seichan. – Natychmiast.

Wstrząsy i złowieszczy rumor poparły jej słowa.

Jane zakasłała, wdychając pył. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że w czasie upadku stłukła maskę.

Klnąc, zdarła ją z twarzy.

Seichan sięgnęła po swoją, najwyraźniej chcąc ją jej dać.

– Nie – zaprotestowała Jane. – Nie ma powodu, żebyśmy obie ryzykowały.

Wątpiła, czy tak głęboko w trzewiach boga grozi im zakażenie, ale po co ryzykować?

Odwróciła się w stronę rumowiska. Zobaczyła coś, co sprawiło, że groźba infekcji zeszła na drugi plan.

– To jest tak samo sztuczne jak wszystko inne – oznajmiła, poklepując przeszkodę.

– To znaczy?

– Ma wyglądać jak naturalny zawał. Ale patrz. – Przesunęła dłońią po gładkich i poskrobała piasek. – To budowla, jak cała reszta.

Seichan wzruszyła ramionami, wyglądając na pogodzoną z losem.

– Sztuczne czy nie, to wciąż ślepy zaułek – prychnęła.

Jane pokręciła głową.

– Derek miał rację. Starożytni zawsze budowali drogi ucieczki, często zamaskowane.

Badała ścianę tunelu, przeciągając palcami po powierzchni, podczas gdy jej towarzyszka zsiadła z motoru, żeby sprawdzić przeciwną ścianę.

Dziewczyna poczuła szczelinę pod palcami.

– Tutaj – powiedziała i obrysowała kwadratowe drzwi. – Pomóż mi.

Razem przyłożyły ramiona i pchnęły. Skała przesunęła się ze zgrzytem. Zachęcone, zdwoiły wysiłki. Drzwi obracały się na centralnym trzpieniu. Ustępowały łatwiej, niż Jane się spodziewała.

Po wszystkim wytarła ręce o spodnie.

– Mój ojciec na pewno je odkrył. Wątpię, by cokolwiek tutaj uszło jego uwagi.

Ogarnął ją obezwładniający smutek.

– Ruszajmy – rzuciła Seichan, podprowadziwszy do wyjścia motocykl.

Jane skinęła głową i pomogła wprowadzić maszynę do krótkiego tunelu. Przed nimi jaśniało światło dzienne, mobilizując je do pośpiechu. Głaz osłaniał wyjście znajdujące się w połowie zbocza. Stroma ścieżka prowadziła w dół pomiędzy dwoma kopulastymi wzgórzami. Kształtna para była dziełem

wyłącznie wiatru, tworzyła jednak charakterystyczną część ludzkiego ciała – zwłaszcza biorąc pod uwagę to, któredy właśnie uciekły.

Ruszyły na dół.

Seichan prowadziła motocykl, ale oglądała się za siebie.

Jane wiedziała, co ją martwi.

Inni wciąż byli uwięzieni w podziemiach.

Godzina 10.40

Gray wycofał się z Kowalskim i Derekiem, uciekając przed zawałem jeszcze dalej w głąb konającego boga. Nękały go wyrzuty sumienia na myśl o ogromie zniszczeń spowodowanych przez jego jeden strzał.

Środek jaskini zniknął, zasypany gruzem skalnym. Spadało coraz więcej kawałków. Pył kłębił się w powietrzu, więc trudno było cokolwiek zobaczyć.

– Musi być jakieś wyjście – powiedział Kowalski, wypatrując wsparcia.

Gray wskazał ruinę przewodu pokarmowego, modląc się, żeby Seichan i Jane już tam nie było.

– Ta droga jest zablokowana. – Machnął ręką za siebie. – I nie możemy wrócić tam, skąd przyszliśmy.

– No to co z tym innym wyjściem? – Kowalski zwrócił się do Dereka, który miał oszołomioną, niemal zszokowaną minę. – Nie mówiłeś, że ci starożytni budowali wiele ukrytych tuneli?

Archeolog wzruszył ramionami.

– Tu wszystko wiąże się z anatomią. Weszliśmy przez usta. Jedyne logiczne wyjście znajduje się po drugiej stronie.

Kowalski zacisnął pięść, głęboko się zastanawiając.

– Mamy inne dziury. – Wskazał ręką poniżej pasa. – A co z... no wiesz...

Gray pomyślał, że olbrzym może mieć rację.

– To możliwe? – zwrócił się do Dereka, po czym spojrzał w kierunku zagłębienia brzucha. – Może przez pęcherz?

Derek ściągnął brwi.

– I przez cewkę moczową? Nie. – Odwrócił się i z determinacją popatrzył na Graya. – Ale chyba wiem, jak się stąd wydostać.

Godzina 10.44

Wreszcie...

Wala wyszczerzyła zęby w uśmiechu, widząc cienki szlak pyłu niespełna pół kilometra dalej.

Mimo trwających od dwudziestu minut wstrząsów, podziemnych wybuchów i kłębow dymu wydobywającego się z wejścia do kompleksu jaskiń czuwała na szczycie wzgórza. Nie mając wiadomości od Krugera i jego ludzi, mogła tylko wyobrazić sobie trwającą na dole bitwę.

A jednak udało im się wypłoszyć królika z nory.

Chcąc potwierdzić swoje podejrzenia, podeszła do panelu sterowania i skierowała drona nad szlak.

Chciała zobaczyć swój cel. Kuciała przy monitorze i patrzyła na przyprawiający o zawrót głowy widok, gdy dron pikował ku mknącemu po piasku małemu motocyklowi jadącemu prosto od wzgórz ku dalekiemu Nilowi. Na siodełku kuliły się dwie osoby. Na szyi kierowcy powiewała chusta i osłaniała dolną połowę twarzy.

Wala zacisnęła zęby, rozpoznając tę szczególną flagę.

Seichan.

Nieufność nie pozwoliła jednak jej się ruszyć. To mogła być kolejna sztuczka. Może ta zdrajczyni próbuje ją wywabić, sprowokować do pościgu za przynętą. Sterowany przez Walę dron obniżył lot i zatoczył koło bliżej motocykla. Powiększyła obraz.

Musiała wiedzieć, kto siedzi z tyłu.

Trudno było to stwierdzić, gdyż pasażer miał kask grotolaza i przytulał się do pleców Seichan, z twarzą odwróconą od smagającego piasku i palącego słońca.

Wala przechyliła drona, sprowadzając go niżej i próbując uzyskać odpowiedni kąt, żeby zidentyfikować pasażera. Nagle, jak ostrzeżona – może przez przemykający cień drona – osoba w kasku się wyprostowała.

Wala zaklęła i szarpnęła joystick, ale za późno.

To był podstęp.

Pasażer obrócił głowę, patrząc prosto na nią z ekranu monitora.

Była to Seichan.

Używając obu rąk, wycelowała w drona. Zmrużyła ciemne oczy, jakby wiedziała, kto ją obserwuje.

Po błysku z lufy ekran pociemniał.

Rosjanka odepchnęła monitor i wstała. Zrobiła trzy szybkie kroki w stronę krawędzi urwiska, patrząc na szlak pyłu wiszący nad pustynią. Nie uzyskała potwierdzenia, ale ufała swojej intuicji.

Motocykl prowadziła Jane McCabe, z twarzą ukrytą pod chustą Seichan.

Wala skoczyła na swoją maszynę – ducati 1800s dostosowany do warunków pustynnych i wyposażony w opony do jazdy po piasku. Była to pantera w porównaniu z królikiem uciekinierem. I na otwartej pustyni nie będą miały gdzie się ukryć.

Przystanąła tylko na chwilę, żeby zabrać panel sterowania. Odwołała drugiego drona, który śledził ciężarówkę, i wysłała go w pościg za pędzącym motocyklem. Tym razem trzymała go wysoko, chcąc, żeby był jej oczami z lotu ptaka, dopóki nie zmniejszy odległości.

Co nie znaczy, że muszą być blisko.

Zarzuciła na ramię karabin – rosyjski AK74M z granatnikiem GP-25 zamontowanym pod lufą.

Uruchomiła silnik i rozpoczęła polowanie.

Godzina 10.51

Zaintrygowany Gray szedł za Derekiem w głąb ciemnego brzucha.

– Dokąd idziemy? – spytał.

– Niedaleko, jeśli mam rację.

Kowalski podążał za nimi, często spoglądając przez ramię i kuląc się na każdy donośny trzask. Jaskinia za nimi zmalala po zawale. Ściagała ich powolna lawina kamieni i piasku.

Przed nimi ściany i strop się zbiegały, a podłoże wznosiło się pod ich stopami. W końcu dotarli na sam dół brzucha i Derek wskazał przed siebie.

– Tam. To powinien być pęcherz.

Według Graya, ten element anatomii wyglądał jak spłaszczony balon, na wpół zmiażdżony przez jelita.

– Myślałem, że nie możemy się wydostać przez drogi moczowe.

Derek podszedł do pęcherza.

– Pamiętasz, jak zaraz po wejściu mówiłem, że coś jest nie w porządku z formą zapisu imienia Tutu?

Przed oczami Graya stanęły dwa rzędy hieroglifów. Ostatni kończył się klęczącą postacią.

– Wizerunek kobiety zamiast mężczyzny.

– Myliliśmy się od samego początku – powiedział Derek. – To nie jest ciało boga o imieniu Tutu. Jesteśmy wewnątrz bogini. – Uniósł rękę, wskazując spłaszczoną gruszkę spoczywającą na pęcherzu. – A to jej łono.

Gray zadarł głowę, patrząc na macicę. Wspomniał subtelne dekoracje wewnątrz kamiennego serca, chmarę motyli w locie. Już wtedy skojarzyły mu się z kobiecością.

– Jak na to wpadłeś? – zaciekał się.

Archeolog zerknął na niego.

– To wcale nie było trudne. Pamiętasz tę pierwszą stertę gruzu, za którą się ukryłem?

Gray skinął głową, bo przypomniał sobie, jak coś oderwało się od stropu i roztrzaskało na kawałki. Derek spojrział wtedy w górę, a on uznał, że się boi, że coś spadnie mu na głowę. Tymczasem Dereka zainteresował anatomiczny szczegół.

– To był jajnik – powiedział teraz. – Zwróciłem uwagę na miejsce, z którego się oderwał i spadł. Rozpoznałem wycięte w skale jajowody i w ciemności prześledziłem ich bieg.

Do tego miejsca.

Gray odwrócił się w stronę łona.

– Jeśli jest inne wyjście – podjął archeolog – to na pewno tędy. W symbolicznym akcie narodzin.

Komandor oświetlił pęcherz i kamienną macicę. Gładką powierzchnię przecinał głęboki cień.

– Wyjście!

Głośny trzask sprawił, że wszyscy podskoczyli. Na prawo od nich oderwał się wielki kawał stropu, wyrrywając duży fragment wyrzeźbionego kręgosłupa i przetrącając krzyż bogini. Runął po drugiej stronie jamy brzusznej, a za nim posypała się ogłuszająca lawina kawałków piaskowca.

– Naprzód! – rozkazał Gray.

Gdy w burzy kamiaków i piasku wspinali się na wysoki do ramienia pęcherz, Gray oświetlał drogę do wyjścia. Za progiem znajdowała się dość duża komora. Wskoczyli do niej, uciekając przed bombardowaniem.

Wewnątrz było ciszej i w powietrzu wisiało mniej pyłu. Nie wiedzieć czemu, Gray nagle poczuł się tak, jakby wszedł do katedry.

Uniósł latarkę. Jak w sercu i żołądku, również tutaj ściany były zdobione, pokryte wizerunkami. Wszędzie wokół nich tańczyły cherubinkowe dzieci, niemal jakby unosząc się w powietrzu.

Derek znalazł jednak coś bardziej ponurego.

– Spójrzcie w dół.

Gray zaświecił pod nogi. Na podłodze też były dzieci, ale powykrzywiane; ich sylwetki wyglądały na martwe albo

torturowane.

Derek chciał zasłonić usta, ale maska to uniemożliwiła.

– To wyobrażenie dziesiątej plagi. Na dole są tylko chłopcy. Dzieci u góry to dziewczynki.

Komandor zobaczył, że rzeczywiście tak jest.

Wszystko tutaj było lekcją.

Kowalski dał im kolejną, patrząc na piasek wsypujący się przez próg.

– Idziemy, bo inaczej dołączymy do tych chłopaczków – popędził ich.

Schyleni, wcisnęli się w niską kamienną szyjkę macicy. Musieli opaść na ręce i kolana, żeby się przedostać, ale dalej mogli się już wyprostować. Gray oświetlił latarką ostatnią umięśnioną część tunelu, reprezentującą pochwę. Drogę blokował stos skał.

– Super – burknął Kowalski. – Musiała być dziewicą.

– Zgaś latarkę – poprosił Derek, dotykając łokcia Graya.

Ten posłuchał. Spowiała ich ciemność, ale gdy tylko oczy do niej przywykły, zauważył migotanie światła w szczelinach rumowiska.

– To zawał, ale prawdopodobnie niedawny – zawyrokował Derek. – Zachowując ostrożność, możemy się przekopać...

W tym momencie ziemią wstrząsnęła grmiąca eksplozja. Chmura piasku i pyłu runęła na nich od tyłu. Gray usłyszał grzechot skał spadających na zablokowany otwór i powiększających rumowisko.

– Nie ma czasu! – zawołał i zapędził ich przez szyjkę z powrotem do kamiennej macicy. Zarzucił granatnik na ramię i załadował drugi pocisk. – Zakryć uszy i otworzyć usta.

Padł na brzuch, wycelował przez szyjkę i strzelił.

Ogłuszył go i oślepił huk połączony z błyskiem. Kamienie posypały mu się na głowę i ramiona. Nagle poczuł szarpnięcie za nogę i usłyszał ciche słowa.

– Biegiem, cholera.

Uniósł głowę i natychmiast oślepił go rażący blask.

Światło słońca...

Potem zaczęły zasnuwać je spadające cienie.

– Wyłaź! – Kowalski szturchnął go w plecy. – Zanim się zamknie!

Gray zrozumiał i rzucił się przed siebie. W progu skoczył na łeb, na szyję przez kaskadę kamieni i piasku. Wylądował na barku i poturlał się po długim piaszczystym zboczu.

Kowalski i Derek wzięli z niego przykład.

Wszyscy byli w bezpiecznej odległości, gdy okruchy skalne zamknęły wylot podziemnego kompleksu. Gray stanął na drżących nogach.

Kowalski usiadł, patrząc na ruiny.

– Dobrze ci było, skarbie? – Podniósł się i otarł czoło. – Bo ja jestem wypompowany.

Derek zrobił kilka chwiejnych kroków, spoglądając pod nogi.

– Są ślady opon – powiedział.

Gray dołączył do niego i prześledził wzrokiem ślad biegnący na pustynię. Zalała go fala ulgi.

Seichan się wydostała.

Godzina 11.02

Nie uda się.

Seichan pochylała się nad kierownicą. Piętnaście minut temu, po zestrzeleniu drona, zamieniła się miejscami z Jane i popędziła przez pustynię. Miała nadzieję na zwiększenie odległości, zanim wrogowie je znajdą.

Nie ma szans...

Bez znacznej przewagi nie zdołają dotrzeć do Rufaa, bo tamci je dopadną. Jane wywoływała Ahmada przez radio, ale bez powodzenia.

Mimo zdradliwego terenu Seichan jechała na pełnym gazie.

Jane poklepała jej bok i obejmując ją jedną ręką, wskazała w prawo na daleką smugę pyłu. Po piasku pędziła mała czarna kropka.

Seichan chciała wierzyć, że to tylko miraż.

Przecież nic nie może poruszać się tak szybko.

To coś musiało mknąć z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wiedziała jednak, że jest prawdziwe... i wiedziała, kto gna za nimi na złamanie karku.

Zgrzytnęła zębami, wyciskając z silnika maksimum mocy.

Nic z tego.

W końcu rozpoznała zbliżający się z prawej strony pojazd. Był to czarno-srebrny motocykl. Prowadząca go osoba niemal leżała na baku.

Seichan przeszukiwała wzrokiem teren przed sobą, zdając sobie sprawę, że nie ucieknie pędzącej za nimi kobiecie o bladej twarzy. W dali przegradzała im drogę wysoka wydma. Ich jedyną nadzieją było znalezienie kryjówki na wyższym terenie.

Pochyliła się jeszcze bardziej.

Dalej...

Wydma rosła w oczach, wznosząc się ku niebu jak zamarznęta fala. Była bardziej stroma, niż wydawało się z daleka, ale już nie miały odwrotu.

Gdy dotarły do podnóża, Seichan przesunęła się na siodełku, popychając Jane do tyłu. Chciała, żeby jak największy ciężar spoczywał na tylnym kole, co zwiększało przyczepność opony. Motor popędził w górę zbocza, wyrzucając gejzery piasku. Nie zwolniła, żeby nie ugrzęznąć.

Ale miała przeciwko sobie zsuwający się piasek. Gdy wjechała wyżej, runęła na nią cała piaszczysta rzeka. Walczyła z prądem, chybocząc tyłem motocykla, podskakując na podnóżkach, żeby tylne koło się nie zakopało. Zerknęła w prawo i zobaczyła, że myśliwy jest tuż za nimi, zaledwie pięćdziesiąt metrów.

Spojrzała w górę, mając nadzieję, że zdąży przeskoczyć przez krawędź wydmy.

Nagle szczyt wydmy eksplodował, rzucając ku niej ścianę piasku. Nie miała dokąd uciec. Fala przewróciła motocykl i obie kobiety wyleciały w powietrze.

Seichan upadła na piasek, wyprostowała się i wyhamowała piętami. Zatrzymała się w połowie zbocza. Jane miała mniej szczęścia. Staczała się do podnóża.

Wróg zbliżał się do niej, trzymając jedną ręką kierownicę, a w drugiej karabin z granatnikiem dymiącym pod lufą.

Seichan sięgnęła po SIG sauera, ale olstro na udzie było puste.

Nie mogła nic zrobić.

Jej przeciwniczka nie miała kasku, tylko szalik osłaniający dolną część twarzy. Seichan wiedziała, że szczerzy zęby w dzikim uśmiechu, rozkoszując się tą chwilą. Znała to uczucie, kiedy wiele razy była po drugiej stronie karabinku maszynowego.

Motocykl zwolnił, gdy oszołomiona Jane znieruchomiała.

Kiedy ryk silnika przycichł, Seichan usłyszała inny hałas.

Szczekanie.

Ze szczytu wydmy za plecami.

Obróciła głowę i zobaczyła, że kosmata sylwetka skacze z krawędzi i pędzi na dół.

Andżing.

Na grzbiecie wydmy pojawiły się ciemne postacie w pustynnych szatach. Padły płasko na piasek, z długimi strzelbami przy ramionach. Słyszając kanonadę, Seichan przywarła do zbocza wydmy, ale Sudańczycy celowali dalej, w kobietę na motorze.

Pociski wzbijały piasek, rykoszetowały od skał i kilka trafiło w maszynę. Motocyklistka zawróciła, strzelając na oślep za siebie. Teraz jej celem była nie wygrana, lecz ucieczka. Wyrzekając się zdobyczy, mknęła slalomem, żeby trudniej było ją trafić.

Andżing podbiegła i polizała Seichan po twarzy, tańcząc wokół niej po piasku.

Seichan, która starała się powstrzymać jej zapędy, w końcu zobaczyła zsuwającego się do niej Ahmada.

– Jak... – Spojrzała na szereg mężczyzn ześlizgujących się po zboczu. – Kim...?

Ahmad z uśmiechem pomachał ręką.

– Z Rufaa. Przyszli was zabić. – Widząc jej zszokowaną minę, poklepał ją po ramieniu. – Myślą, że zabiliście dwoje ze starszyny. Dziś rano znaleźli ciała i podążali tropem.

Żeby się zemścić.

Pomyślała o osobie skradającej się do ich ciężarówki. Teraz wiedziała, że na pewno była nią błada kobieta w męskim przebraniu, która żeby zrealizować swój cel, z jakiegoś powodu uciekła się do zabójstwa.

– Znaleźli mnie w ciężarówce – ciągnął Ahmad. – Powiedziałem, że nie wy zabiliście. Potem was zobaczyliśmy. – Zakręcił ręką w powietrzu, naśladując wzbity przez nią szlak pyłu. – Wyszliśmy na spotkanie.

I nas ocaliliście, dokończyła w myślach Seichan.

Jane podniosła się i zaczęła wspinaczkę. Kiedy do nich dołączyła, weszli na szczyt wydmy. Po drugiej stronie była ukryta zbieranina motocykli wraz z kilkoma wielbłędami, najpewniej należącymi do nomadów, którzy po drodze dołączyli do grupy pościgowej.

Ale czegoś brakowało.

– Gdzie jest unimog?

– Niedaleko. Za duży hałas, za dużo... – znów zakręcił ręką w powietrzu – żeby się tu podkraść.

Seichan odwróciła się i spojrzała w dal.

W pobliżu horyzontu rozróżniła dwa wzgórza tworzące pośladki olbrzyma. W powietrzu wisiała nowa chmura pyłu.

Gray...

Jane podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Może się wydostali.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – rzuciła Seichan, chwytając Ahmada za ramię.

Wyspa Ellesmere'a, Kanada

3 czerwca, godzina 6.08 czasu miejscowego

Painter siedział przy biurku, po raz drugi czytając przetłumaczony dziennik. Wciąż był oszołomiony historią, którą w nim znalazł. Była podzielona na dwie opowieści. Jedna opisywała pobyt Nikoli Tesli w Londynie, a bohaterami drugiej, osadzonej na pustyniach Nubii, byli sir Henry Morton Stanley i – kto by pomyślał! – Samuel Clemens.

Mark Twain...

Painter pokręcił głową.

Nic dziwnego, że ci, którzy przechwycili notes po śmierci wynalazcy, nie przywiązali większej wagi do tego, co zostało w nim napisane. Sam by w to nie uwierzył, gdyby nie ostatnie wydarzenia.

Według zapisków Tesli, obaj z Twainem zostali wezwani przez sir Stanleya do Londynu, żeby powstrzymać plagę – taką samą, jaka obecnie nękała świat. Painter wiedział o chorobie i artefakcie Davida Livingstone'a dość, by uwierzyć w słowa wynalazcy.

Popłynęli parowcem przez Atlantyk i po zejściu na ląd rozdzielili się. Tesla udał się prosto do Muzeum Brytyjskiego, zamkniętego i odizolowanego. Tam przeprowadził eksperymenty z dziwną próbką krwi znalezionej w egipskim naczyniu. Doszedł do słusznego wniosku, że widziany pod mikroskopem szkarłatny mikroorganizm jest czynnikiem chorobotwórczym.

Nazwał go *Pestis fulmen*, co po łacinie oznacza „plaga błyskawicy”.

Jeszcze przed przybyciem Tesli Brytyjczycy zwrócili uwagę na dziwne elektryczne właściwości krwawej wody, która jarzyła się podczas burzy z błyskawicami, jakby reagowała na zmiany w powietrzu. Właśnie dlatego wysłali Stanleya do Ameryki – potrzebowali specjalisty od elektryczności. Z początku zależało im na Edisonie, co – jak wynikało z zawołanych komentarzy w tekście – wyraźnie napełniło Tesłę goryczą, ale ostatecznie zgodzili się na niego.

Mimo żalu nie szczędził starań, żeby się przekonać, czy elektryczność może zwalczyć chorobę. Prąd mógł zabić mikroba – i jednocześnie chorego. Pisząc o tych nieudanych próbach i tragicznym wyniku, Tesla zacytował Francisca Bacona: *Uleczyłem chorobę, ale zabiłem pacjenta.*

Przygnębiony, lecz jednak zdeterminowany, zabrał się do badania nieznanego organizmu, żeby go lepiej zrozumieć. Zaczął eksperymentować, próbując wykorzystać jego potencjał. Dalej tekst został ocenzurowany, bo prawdopodobnie zawierał szczegóły, którymi Simon Hartnell nie chciał się podzielić.

Painter spojrzął przez okno na anteny i pomyślał, że Hartnell musiał wyciągnąć jakieś wnioski z wczesnych prac serbskiego wynalazcy.

Skierował uwagę z powrotem na dziennik.

W końcu Tesla zarzucił badania, uznając je za zbyt niebezpieczne, zważywszy na naturę mikroba. Druga połowa historii uzasadniała tę decyzję.

Po zostawieniu Tesli w Londynie Twain i Stanley, podróżując incognito, popłynęli tym samym parowcem do Kairu. Podążali tropem wskazówek Davida Livingstone’a z nadzieją, że znajdą źródło choroby – i być może lekarstwo.

Twain pisał o tym Tesli:

Nasz biedny świętej pamięci przyjaciel przebiegle ukrył wskazówki; piekielnie sprytnie, zwłaszcza jak na sztywnego

Angola. Ale jesteśmy jego dłużnikami. Livingstone poprowadził nas prosto na pustynie Nubii. Niestety, możemy polegać tylko na pamięci sir Stanleya, gdyż niektóre informacje zawarte były tylko w już nieistniejących listach od Livingstone'a. Ale znów tu jestem, na tych spieczonych ziemiach, otoczony osłami i dromaderami. Wyruszamy jutro z wozem bagażowym, a także zbieraniną muskularnych Arabów i czarnoskórych Abisyńczyków. Mam nadzieję, że są zadowoleni z bakszyszu na tyle, żeby nie porzucić nas, bladych twarzy, pośrodku pustyni.

Painter przeczytał ogólnikowy opis podróży, domyślając się, że Twain celowo pomijał szczegóły. W końcu, kierując się tymi „piekielnie sprytnie” ukrytymi wskazówkami, podróżnicy znaleźli podziemny kompleks pod pustynnymi wzgórzami. Od tego miejsca historia wydawała się mało wiarygodna. Była tam mowa o mumiach, kłótwach i o wielkiej kamiennej bogini pogrzebanej w piaskach.

Będąc pod wielkim wrażeniem odkrycia, Twain wpadł w poetyckie uniesienie.

Wyobrażam sobie jej twarz wciśniętą w piasek, zmiądzoną przez brzemień, jakie musi dźwigać, rozdartą smutkiem, wiecznie cierpliwą, czekającą na odkupienie. Chociaż myślę, że śni o naszym zbawieniu, a nie o własnym. Zostawiła swoje ciało niczym latarnię, światło płonące w mrokach przeszłości, żeby dać nadzieję na przyszłość.

W tym wyciętym w skale grobowcu Stanley i Twain odkryli coś ważnego. Miesiąc później wrócili do Anglii, gdzie skutecznie leczyli chorych i powstrzymali zarazę.

A jednak Twain nie podał szczegółów dotyczących leku. Wyglądało na to, że w grobowcu znaleźli receptę, a nie samo remedium, jak ujął to Twain. Był denerwująco tajemniczy, chociaż wyłuszczył powody, ostrzegając nie tylko przed

niebezpieczeństwami płynącymi z wnętrza tego grobu, lecz również przed zagrożeniami z zewnątrz.

Nie chcę, żeby młoty i kilofy poszukiwaczy skarbów zakłóciły jej spoczynek. Niechaj śpi i śni w spokoju, wiedząc, że ocaliła nas wszystkich.

W końcu Tesla i Twain powrócili do domu, żeby żyć dalej, dochowując tajemnicy. Ten pierwszy na zakończenie złożył hołd człowiekowi, którego poświęcenie dla ludzi i krajów Afryki zapewniło im drogę do odkrycia leku.

Winniśmy wdzięczność Davidowi Livingstone'owi, który ryzykował wszystko, nawet swoją nieśmiertelną duszę, żeby ocalić nas przed zgubą. Obyśmy okazali się godni jego poświęcenia... i niech Bóg wybaczy nam wszystkim, jeśli będzie inaczej.

Painter zamknął wydruk i położył na nim dłoń.

Usłyszawszy cichy terkot dobiegający od drzwi, uniósł głowę i zobaczył, że kamera pod sufitem obraca się w jego stronę. Domyślał się, kto go obserwuje, czekając, aż skończy lekturę.

Odłożył wydruk.

Do dzieła.

Godzina 6.32

Simon Hartnell spojrział na swojego więźnia, znów w kajdankach, przykutego do krzesła w bibliotece. Chciał, żeby ten człowiek go zrozumiał, pragnął zdobyć jego zaufanie, choćby tylko po to, żeby mu pomógł zwabić uciekinierki.

Potrzebował danych, które miały ze sobą.

Oparł się o biurko.

– Więc zaznajomił się pan z zawartością notesu – zaczął.

Painter wzruszył ramionami, aż zagrzechotały łańcuchy.

– Mam wrażenie, że jestem w jeszcze głębszej ciemności niż wtedy, kiedy się tu zjawiłem.

– Szczerze mówiąc, podobnie jak ja. Kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym zdobyłem ten notes, nie miałem takich środków finansowych jak obecnie, więc poza przeanalizowaniem eksperymentów Tesli niewiele mogłem zrobić. Sądziłem, że rozważał hipotetyczną sytuację, że założył istnienie takiego organizmu i teoretyzował, jak wykorzystać jego właściwości dla dobra rodzaju ludzkiego.

– Tylko że to wcale nie było hipotetyczne.

Hartnell wzruszył ramionami.

– Możliwe, lecz nikt o tym nie wiedział, dopóki kilka lat temu pewni biolodzy z Kalifornii nie odkryli bakterii, która zjada i wydala elektrony, żywiąc się bezpośrednio energią elektryczną.

– Uśmiechnął się. – Pewnie potrafi pan sobie wyobrazić moje zainteresowanie tym odkryciem.

Painter schylił czoło na znak uznania.

– W owym czasie moja kondycja finansowa była na tyle dobra, że mogłem dogłębniej zbadać to zagadnienie – dodał jego rozmówca.

– Poświęcając parę miliardów.

– Tylko jeden, ściśle mówiąc. – Hartnell machnął ręką, bagatelizując tę skromną przechwałkę. – W każdym razie, finansowałem badania nad takimi mikroorganizmami, w Stanach i za granicą. Wspierałem naukowców, którzy próbowali znaleźć ich praktyczne zastosowanie, jak tworzenie bioprzewodów, żywych bakteryjnych nanokabli mogących przewodzić elektryczność, albo skonstruować zasilane przez takie mikroby nanosilniki, służące do neutralizowania zanieczyszczeń. Możliwości są ekscytujące.

– I całkiem opłacalne, jak sądzę. – Painter pochylił się w jego stronę. – Ale nie to było pańskim ostatecznym celem. Miał pan

nadzieję znaleźć organizm, który mógłby napędzać urządzenia zbudowane na podstawie projektów Tesli, tych, które pan znalazł w jego starym notesie.

Hartnell pokiwał głową, znów myśląc, że ten człowiek jest bystry i obdarzony nieprzeciętną intuicją.

Uważaj, upomniał się.

– Nic z tego nie wyszło, więc wciąż wracałem do notesu – powiedział. – Byłem coraz bardziej przekonany, że zapisana w nim historia nie jest szkicem przyszłej książki Twaina, zwariowanej opowieści, której bohaterami, zamiast Hucka Finna i Toma Sawyera, będą przyjaciele autora.

– Więc zaczął pan podążać znalezionym w notesie tropem.

– Nie osobiście. Zacząłem finansować archeologów, tak jak wcześniej biologów, każdego zainteresowanego tym regionem.

– Na przykład profesora McCabe’a.

– Nie, jego syna. Ten młody człowiek rozpaczliwie chciał prześcignąć ojca, wyrwać się z jego cienia. W nadziei, że ktoś zdoła połączyć te stare kropki, zasugerowałem, żeby przyjrzał się znajomości Stanleya i Livingstone’a. Kiedy poniósł porażkę, sfrustrowany zwrócił się o pomoc do ojca, ale nie przyznał mu się, kto pociąga za sznurki.

– I profesorowi McCabe’owi udało się połączyć kropki.

– W pewnym stopniu. Szczerze mówiąc, uważam, że dokonał tego głównie dzięki wytrwałej pracy w terenie. Znając region z wcześniejszych badań i mając dodatkowe wskazówki znalezione w papierach Livingstone’a, po prostu udał się na poszukiwania i zabrał ze sobą syna. – Hartnell uniósł rękę. – Więc jak pan widzi, w tym przedsięwzięciu nie było niczego szczególnie niegodziwego, tylko naukowa ciekawość połączona ze wsparciem finansowym.

– Zgoda, ale co się stało później?

Hartnell westchnął.

– Jak mówiłem, gdyby nie stary McCabe, nie tkwilibyśmy w tym bagnie. Od chwili, gdy wyszedł z grobowca, giną przez niego ludzie. Ja tylko próbuję zminimalizować straty.

Cierpka mina Paintera sugerowała, że raczej w to nie wierzy.

– Na razie przyjmuję pańskie słowa za dobrą monetę – powiedział jednak. – Więc proszę kontynuować. Zakładam, że znalazł pan zidentyfikowanego przez Teslę mikroba *Pestis fulmen*. Ale jakie nadzieje pan z nim wiąże?

– Mikrob był brakującym ogniwiem marzenia serbskiego wynalazcy o bezprzewodowym przesyłaniu energii. Jak już wspomniałem, Tesla wysunął teorię wykorzystania jonosfery jako przewodnika. Tylko żeby jego plan się powiódł, musiałyby mieć w górze coś w rodzaju akumulatora, który magazynowałby i rozprowadzał energię.

– Przewidział wykorzystanie mikroba jako akumulatora, żywego akumulatora – wtrącił Painter, szeroko otwierając oczy.

– Jego eksperymenty w Muzeum Brytyjskim poparły tę wizję. Przypuszczał, a ja tego dowiodę, że ten prosty mikroorganizm może żyć setki, jeśli nie tysiące lat, byle miał zapas pożywienia.

– Innymi słowy, elektryczność.

– Właśnie. A zatem nasz mikrob nie dosyć, że jest żywym akumulatorem, to jeszcze prawie nieśmiertelnym.

Godzina 6.40

Painterowi kręciło się w głowie, gdy podążał wytyczoną ścieżką tam, dokąd musiała prowadzić.

Ten człowiek jest obłąkany... genialny, ale obłąkany.

Skupił uwagę na Hartnellu.

– Planuje pan obsiać jonosferę tym mikroblem.

Niedawno słyszał, że amerykańskie siły powietrzne testowały coś podobnego, zasilając jonosferę dodatkową plazmą, żeby wzmocnić siłę sygnałów radiowych. Poza tym czytał o odkryciu bakterii żyjących przy górnej granicy troposfery, żywiących się kwasem szczawiowym znalezionym na tym poziomie.

Więc może to być możliwe.

Ale ten plan...

– Mam odrzutowiec transportowy przystosowany do wypuszczania balonów meteorologicznych – oznajmił Hartnell. – Każdy z nich może przenieść ćwierć tony mikroorganizmów do dolnych warstw jonosfery, gdzie zostaną rozproszone przez mały ładunek wybuchowy.

Painter z przerażenia wstrzymał oddech, wyobrażając sobie ten scenariusz. Nie ulegało wątpliwości, że Hartnell zabrał próbki z grobowca na pustyni i wyhodował ogromne ilości roznoszącego plagę mikroba. Znając teraz jego plany, Painter zrozumiał, do czego służy instalacja naziemna.

– Anteny Aurory... – wykrztusił. – Planuje pan je wykorzystać do zasilenia ładunku po wysłaniu go w górę.

– Jeśli moje obliczenia i wyniki wcześniejszych eksperymentów są poprawne, mikroby z powodzeniem zmagazynują tę energię. – Hartnell uniósł wzrok, jakby patrzył w niebo. – Wyobrażam sobie całą jonosferę obsianą *Pestis fulmen*, mikroorganizmami tworzącymi oddychający elektronami żywy akumulator zdolny do magazynowania nie tylko energii przekazanej z dołu, ale również tej z naturalnych elektrycznych prądów płynących przez jonosferę, napędzanych przez wiatr słoneczny.

– Byłoby to niewyczerpane źródło energii – przyznał Painter.

– Jak Nikola, widzę elektrownie na całym świecie, a nawet domy z wieżami podobnymi do tej na zewnątrz, zdolnymi do czerpania energii elektrycznej z akumulatora. Jak milion cewek Tesli podłączonych do nieba.

Ta koncepcja naprawdę robiła wrażenie.

– Proszę tylko pomyśleć – ciągnął Hartnell. – Koniec ze spalaniem paliw kopalnych, koniec z rozdzieraniem Ziemi w poszukiwaniu bogactw naturalnych, koniec z pompowaniem dwutlenku węgla do atmosfery. I jest jeszcze dodatkowy bonus.

– Mianowicie?

– Szkarłatny mikrob będzie działać jako naturalny filtr przeciwsłoneczny. Bardzo łagodny, ale wystarczająco silny, żeby

odepchnąć nas od krawędzi przemiany tej planety w rozżarzony żużel.

Painter doceniał jego wizję, ale myślał też o tysiącach zmiennych, które mogą przemienić ten projekt w totalną katastrofę – zwłaszcza z powodu jednego dość oczywistego problemu.

– Ale przecież ten organizm jest śmiertelnie niebezpieczny – przypomniał rozmówcy. – Może spowodować masowe wymieranie gatunków.

Hartnell westchnął.

– Właśnie dlatego potrzebujemy leku. Jestem gotów za dwa dni przeprowadzić próbę. Warunki są idealne, obecna burza geomagnetyczna nasycza jonosferę energią, tworząc idealną glebę do wysiania moich nasion.

– Tylko że nie ma pan leku.

– Mogę go mieć, jeśli nakłoni pan swoją koleżankę do współpracy. Do oddania tego, co ukradła. Jestem przekonany, że doktor al-Maaz i Rory byli bliscy przełomu, czegoś, co mogłoby nam pomóc odkryć środek do kontrolowania tej niesfornej bestii.

Painter teraz rozumiał, dlaczego Hartnell tak chętnie udziela informacji.

– A jeśli odmówię? – spytał.

– Mimo to przeprowadzę test – odparł Hartnell, wzruszywszy ramionami.

– Co?! – Painter zeszywniał; kajdanki wbijały mu się w nadgarstki. – Zwariował pan?

– Bynajmniej. Jestem pewien, że to będzie nieszkodliwe. Tesla już zaopatrzył nas w zabezpieczenie. Wystarczy po prostu wysterylizować jonosferę, ładując akumulator energią z anten, i wrócić do punktu wyjścia.

Painter pomyślał o cytacie z Francisca Bacona.

Uleczyłem chorobę, ale zabiłem pacjenta.

Jeśli nie powstrzyma się tego szaleńca, może zrobić to samo – tylko na skalę globalną.

– Ale oczywiście wolałbym tego nie robić – zaznaczył Hartnell, patrząc na niego spod przymrużonych powiek. – Zwłaszcza jeśli pan mi pomoże znaleźć swoje przyjaciółki.

Godzina 6.50

Zmęczona Kat pozwoliła, żeby pojazd sam zjeżdżał z następnej przełęczy i prawie nie trzymała kierownicy. Wiatr ich popychał, jakby zachęcając do szukania schronienia w następnej dolinie. Ciemne chmury przysłaniały niebo, muskając otaczające ich ze wszystkich stron zwieńczone lodem góry.

Nawet w zmierzchu burzy widok zapierał dech w piersi.

Przed nimi rozciągała się ogromna dolina z krańcami ginącymi we mgle. Wprost pod nimi leżało długie, wąskie jezioro. Było zamarznęte, ale przy brzegach połyskiwało błękitem, co zapowiadało letnie tajenie. W dali z białego lodu wznosiły się duże czarne wyspy.

– Jezioro Hazen – mruknęła Kat.

Safia poruszyła się, unosząc głowę, którą opierała o szybę.

Z nadzieją, że podczas lotu dobrze zapamiętała mapę wyspy, Kat wskazała w dół.

– Jeśli to jezioro Hazen, jesteśmy w połowie drogi do Alertu.

– Ty nie jesteś nawet w jednej czwartej stanu gotowości – zażartowała Safia. – Może powinniśmy odpocząć. Od dwóch godzin nic nie wskazuje na to, że ktoś nam siedzi na ogonie.

Po upiornym spotkaniu ze stadem karibu Kat jechała po skalistym podłożu, omijając łąty śniegu i lodu, żeby nie zostawiać śladów. Nie wiedziała, czy zgubiła pościg, czy może nikt ich nie ściga.

– Może masz rację – przyznała. – Na pewno muszę rozprostować nogi.

– Ja też – odezwał się Rory.

Wykluczone, kolego, pomyślała i skrzyła ku najbliższemu niebieskiemu miejscu, gdzie wąska rzeka wpływała do jeziora.

Będą mogli zaczerpnąć wody. Safia wypila ostatnią butelkę z zestawu awaryjnego z tyłu kabiny.

– Spójrz na te wszystkie kwiaty – wymruczała marzycielsko.

Zbocza były porośnięte fioletowymi skalnicami i arktycznymi makami, a skały i głazy pokrywał mech i żółte porosty.

Patrząc na te oznaki życia, Kat nabrała otuchy. Zjechała na dół i zaparkowała na łupkowym brzegu jeziora.

– Nabiorę wody – rzuciła.

– A co z Rorym? – zapytała Safia.

– Zostaje.

Chłopak zgarbił się na siedzeniu.

Gdy Kat otworzyła drzwi, wiatr niemal wydarł jej z rąk puste butelki. Lodowaty ziąb natychmiast ją rozbudził. Powietrze było rześkie, pachnące lodem. Pospieszyła na skraj wody i zanurzyła butelki, lecz już po paru sekundach palce zdrętwiały jej z zimna.

Zabrała butelki i stanęła plecami do wiatru. Podczas pospiesznej ucieczki nie mieli czasu na zabranie ciepłych kurtek z kapturami.

Dobra, tyle świeżego powietrza zdecydowanie mi wystarczy, uznała, wsiadła do ogrzewanej kabiny i zatrzasnęła drzwi.

Safia siedziała obrócona, rozmawiając z Rorym.

– Co się stało, gdy dotarliście z ojcem do tego grobowca na pustyni? – spytała go.

Pokręcił głową.

– Ojciec chciał wejść pierwszy. Wiesz, jaki był. Zostawił mnie na zewnątrz z dwoma chłopakami. Pozostali poszli z nim. – Odwrócił wzrok, jakby to wspomnienie było bolesne. – Ktoś uruchomił jakąś pułapkę albo coś innego poszło nie tak. Nigdy nie poznałem odpowiedzi. Usłyszałem krzyki. Chciałem wejść, ale ojciec kazał mi trzymać się z daleka. Wszyscy wewnątrz zostali zakażeni. Dzięki zapiskom o tym, co się stało w Muzeum Brytyjskim, znał niebezpieczeństwo i wiedział, że najlepsze dla wszystkich będzie zatrzymanie zainfekowanych na dole.

– Co zrobiłeś? – dopytywała się dalej Safia.

Rory parsknął drwiąco.

– Spanikowałem. Wezwałem Simona.

Podczas jazdy Kat usłyszała część historii, z której dowiedziała się, że Hartnell potajemnie finansował i instruował Rory'ego, który z kolei manipulował swoim ojcem.

– Simon przysłał zespół medyczny – ciągnął Rory. – I oni przejęli kontrolę. Zastanawiali się, czy nie przewieźć wszystkich do szpitala, ale nie wiedząc, jakie to zaraźliwe, postanowili zająć się nimi na miejscu.

– Czy to była decyzja Hartnella? – wtrąciła się Kat, przypuszczając, że ten człowiek zrobiłby wszystko dla ochrony swojej tajemnicy.

– Nie, mojego ojca. – Chłopak ze zmęczeniem pokręcił głową. – Sądzę, że podjął ją, ponieważ chciał tam zostać, żeby zbadać wszystko jako pierwszy. Raczej się nie przejmował rozprzestrzenieniem się choroby. Wystarczy spojrzeć, co w końcu zrobił.

– A więc przeżył kontakt z zarazą.

– Pewnie z czystego uporu. Dwóch innych też przeżyło. Ale pięciu zmarło.

– I co było później? – znowu pałeczkę przejęła Safia.

– Wszystko zostało zamknięte. Ja przyjechałem tutaj, żeby pracować nad projektem.

Kat wskazała kikut brakującego palca.

– I zagwarantować współpracę twojego ojca.

Rory spojrział na rękę i wzruszył ramionami.

– Przypadkiem zgmiotłem palec, już tutaj. Trzeba go było amputować.

Mogła sobie tylko wyobrazić przerażenie profesora McCabe'a, gdy dostarczyli mu odcięty palec syna.

– Przez dwadzieścia cztery miesiące ojciec szukał lekarstwa – kontynuował chłopak. – Znalazł nie tylko tę wytatuowaną mumię, ale wiele innych. Próbując znaleźć odpowiedź, zbadał ich tkanki, sprawdził wszystko w tym przeklętym miejscu.

– I nic?

– Myślę, że w końcu popadł w lekki obłąd. Próbował nawet poddać się rytualnej automumifikacji, żeby pójść w ślady starożytnych. – Prychnął. – A w pewnym momencie po prostu uciekł. Zaczekał na wymianę ekipy, kiedy na miejscu zostało zaledwie dwóch naukowców i dwóch strażników. Włamał się do szafki z bronią i ukradł karabin.

– Zabił ich?

– Tylko strażników. Pozostałych związał i uciekł. – Rory patrzył na zamarzniete jezioro. – Nie rozumiem... tylu ludzi przez niego zmarło.

Kat nie czuła potrzeby go pocieszać, jednak to zrobiła.

– Nie sądzę, żeby tego chciał. Prawdopodobnie poddając się mumifikacji, przestał roznosić chorobę. Niestety, nie zdołał jej zwalczyć i w końcu patogen go zabił. Ale sądzę, że próbował dotrzeć do cywilizacji, żeby nas ostrzec przed tym, co się dzieje.

Rory odwrócił głowę, bo do oczu napływały mu łzy.

– Nie musiał tego robić. Nie chciałem, żeby umarł.

Safia pochyliła się w stronę chłopaka i położyła dłonie na jego kolanie.

Kat nie podzielała jej współczucia.

Sam nawarzyłeś sobie piwa, pomyślała.

– Co dalej? – zapytała. – Dlaczego Hartnell chciał zniszczyć całą pracę twojego ojca i kazał uprowadzić Jane?

– Po znalezieniu ojca znowu zainteresowano się jego ekspedycją. Simon obawiał się, że ktoś może w jego wczesnych notatkach znaleźć wskazówki, które doprowadzą go do tamtego miejsca.

– Dlatego zarządził wielkie sprzątanie – rzuciła Kat.

– W Londynie i w grobowcu. Zabrał z pustyni wszystko, co uważał za ważne, łącznie z mumią na tronie. Ojciec był pewien, że jest niezbędna do odkrycia leku.

A teraz przepadła i został tylko widmowy zapis cyfrowy.

Kat zerknęła na kieszeń siedzącej obok niej kobiety.

– Co z Jane? – zapytała Safia.

– Ojciec przed ucieczką zostawił dla niej dziwny znak. Simon był przekonany, że moja siostra może doszukać się w nim znaczenia. Miał nadzieję, że to nowa wskazówka prowadząca do leku, coś, co ojciec pojął pod koniec pobytu w grobowcu, ale czym z nikim się nie podzielił. – Rory spuścił wzrok. – Ja uważam, że to było tylko pożegnanie.

Safia wymieniła zmartwione spojrzenie z Kat i drżącą ręką sięgnęła po butelkę z wodą.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Kat, widząc, że jej twarz jest mokra od potu. Przyłożyła rękę do jej policzka i poczuła żar. – Jesteś rozpalona.

Godzina 6.58

Gdy strażnicy wyprowadzili Paintera Crowe'a z biblioteki, Simon Hartnell przez kilka minut siedział za biurkiem. Dał mu godzinę na podjęcie decyzji o współpracy – później w razie konieczności podejmie bardziej zdecydowane kroki.

Co wcale nie musiało być łatwe.

Anton zgłosił się dwadzieścia minut temu. Burza geomagnetyczna utrudniała łączność z zespołem poszukiwaczy. Działały tylko te radia, których anteny znajdowały się w linii wzroku. Anton kontaktował się ze Stacją Aurora tylko ze szczytów gór, skąd mógł wysłać bezpośredni sygnał mikrofalowy do bazy.

W ostatnim meldunku donosił, że odnalazł ślad sno-cata.

Hartnell siedział, biorąc to pod uwagę, rozpatrując różne scenariusze i prognozy. W końcu podjął decyzję i sięgnął do telefonu. Wybrał numer i szef projektu – doktor Sunil Kapoor – natychmiast odebrał. Fizyk prawdopodobnie testował wszystkie systemy przed próbnym odpaleniem anten za dwa dni.

– Słucham?

– Zmiana planów.

– Tak jest.

Miliarder przemyślał konsekwencje ucieczki dwóch kobiet i uznał, że ryzyko jest zbyt duże, żeby cokolwiek pozostawić przypadkowi – albo nawet zdać się na umiejętności Antona. Jeśli kobiety znajdą pomoc, projekt może zostać zamknięty przed przeprowadzeniem testu.

Nie mogę do tego dopuścić... nie teraz, kiedy jestem tak blisko.

Zaplanował ważną próbę, która potwierdzi słuszność jego koncepcji. Nawet jeśli kobietom uda się uciec, musi wiedzieć, czy jego system działa. Później będzie się martwić o skutki.

Ten projekt był zbyt ważny, znacznie ważniejszy niż jakikolwiek człowiek.

Nawet on sam.

- Zmieniamy termin próby – powiadomił Kapoora.
- Na kiedy?
- Na dzisiaj.

Chartum, Sudan

3 czerwca, godzina 14.02 czasu miejscowego

Gray stał pod zimnym prysznicem.

Piasek wirował wokół jego stóp. Bolał go każdy mięsień. Już umył się mydłem pod gorącą wodą, mimo to uparte ziarenka wciąż spływały z ciała i włosów. Brał prysznic ostatni, więc się nie spieszył – miał okazję ochłonać, zebrać myśli. Szum wody i jej temperatura pomagały mu się skupić.

Trzy godziny z Derekiem i Kowalskim wędrował szlakiem zostawionym przez motocykl Seichan, kiedy w dali wielka ściana pyłu wspięła się w płonące niebo. W ich stronę jechały pojazdy – unimog pośrodku, motocykle po bokach. Za nimi galopowały poganiane przez jeźdźców wielbłądy.

– To najbardziej żałowana odsiecz, jaką w życiu widziałem – skomentował Kowalski.

Po spotkaniu z Seichan i Jane pojechali prosto do Chartumu, korzystając ze szlaków znanych nomadom. Gray usiadł za kierownicą ciężarówki, co bardzo rozczarowało Ahmada. Chłopiec musiał wrócić do Rufaa, do rodziny. Był przygnębiony, ale humor mu się poprawił, gdy Seichan kupiła od niego zdezelowany motor, znacznie przepłacając. Znowu szczęśliwy, zabrał swojego psa i ruszył do rodzinnego miasteczka w bocznej przyczepie motoru kuzyna.

Seichan jechała na zakupionym motocyklu, zakreślając szerokie łuki, wypatrując drona na niebie i oznak pościgu na pustyni.

– Powiedz mi, że znalazłś następne wyjście ewakuacyjne – szepnął.

– Wyjście ewakuacyjne? – Uniosła rękę do zasłony, eksponując nagie ciało. – Miałeś swoją szansę. Teraz tkwimy w tym zbyt głęboko. Ale spytaj mnie później. Kto wie? – Zaciągnęła zasłonę.

Gray wytarł się do sucha. W kabinie buchnęła para i zasłona się zamgliła, ale nie na tyle, żeby nie widział Seichan rozkoszującej się gorącym strumieniem wody.

Włożył zakurzone ubranie.

Zdecydowanie zamorduję tego faceta.

Wszedł do sypialni i podniósł z szafki nocnej telefon satelitarny zostawiony przez Kowalskiego.

– Monk?

– Jak tam na pustyni?

Gray spojrzał na zamknięte drzwi łazienki.

– Gorąco. A jak w Kairze?

– Czy to wystarczająca odpowiedź? – Słabe serie strzałów stały się głośniejsze. – NAMRU jest oblężone. Jakiś czubek uznał, że zaraza jest skutkiem amerykańskiego spisku i że wina spada na tutejszą bazę.

– Po prostu kolejny zwyczajny dzień – skwitował Gray.

– Mniej więcej. Jeżeli więc zrobiliście jakieś postępy, jeśli chodzi o lekarstwo, z przyjemnością posłucham.

– Niestety, nie. Wciąż jesteśmy na etapie walenia głową w mur.

Usłyszał głośny wybuch.

– No to walcie trochę mocniej.

– Robimy, co się da. – Gray ściszył głos. – Ale nic ci nie grozi?

– Na razie nie. Amerykańskie siły połączone z egipskimi jeszcze jakoś sobie radzą. Tylko że przydałyby się dobre wiadomości.

– Rozumiem. Uważaj na siebie.

– Ty też, przyjacielu – rzucił Monk i rozłączył się.

Gray na tej rozmowie bardziej zdetonowany niż

Gray, po tej rozmowie baruziej zeterminowany niez dotychczas, zobaczył, że ma nieodebraną wiadomość. Westchnął, rozpoznając numer, i ją otworzył.

TACIE SIĘ POGORSZYŁO. ZNÓW STABILNY. ZADZWOŃ,
KIEDY MOŻESZ. STAN NIE JEST KRYTYCZNY, ALE WIESZ.

Z jękiem zadzwonił na komórkę brata.

Gdzie jest to wyjście ewakuacyjne, kiedy człowiek najbardziej go potrzebuje?

Telefon dzwonił i dzwonił, a potem włączyła się poczta głosowa. Zaczekał na sygnał i wgrał się:

– Kenny, odebrałem wiadomość. Zadzwonź albo wyślij SMS-a. Daj mi znać, co się dzieje i czy mogę coś zrobić.

Rozłączył się, sfrustrowany, że się nie dodzwonił, ale też odetchnął z ulgą. Brak kontaktu pozwolił mu odsunąć w czasie to, co było nieuchronne. Zamknął oczy, gdy opadły go wyrzuty sumienia, i pokręcił głową.

Po jednym problemie na raz.

To stawało się jego mantrą.

Kiedy wszedł do sąsiedniego pokoju, Derek i Jane unieśli głowy.

– Jakieś postępy? – zapytał.

Dziewczyna skrzywiła się z niepewnym wyrazem twarzy.

– Może... ale to nie ma sensu.

Godzina 14.24

I nie miało...

Jane przygryzała wargę, patrząc to na arkusz papieru, to na Dereka pracującego na iPadzie. Ojciec zostawił jej tajemniczą wiadomość; umarł, żeby ją przekazać, więc z pewnością wierzył,

że ona bez trudu ją zrozumie. To zmaganie się z tajemnicami sprawiało, że czuła się nieudolna, niezasługująca na miłość taty.

– Pokaż – poprosił Gray. – Pogadajmy o tym.

Skinęła głową.

Kto powiedział, że sama mam to rozwikłać? – przemknęło jej przez głowę.

Czy ojciec jej nie nauczył, że prawdziwe odkrycia są efektem pracy zespołowej? Co nie znaczy, że sam się do tego stosował – przynajmniej nie wtedy, kiedy chodziło o zbieranie pochwał. Jego nazwisko zawsze zajmowało pierwsze miejsce w publikowanych pracach.

Westchnęła.

– Może zaznaczając tego motyla wewnątrz kamiennego serca i dopisując moje imię, chciał tylko pokazać, że wiedział, że uwielbiam motyle... może to była próba nawiązania ostatniego kontaktu ze mną.

– Może – rzucił Gray. – Ale ty wcale tak nie uważasz.

– Tata często był miły, czasami wspaniałomyślny, ale nigdy nie sentymentalny.

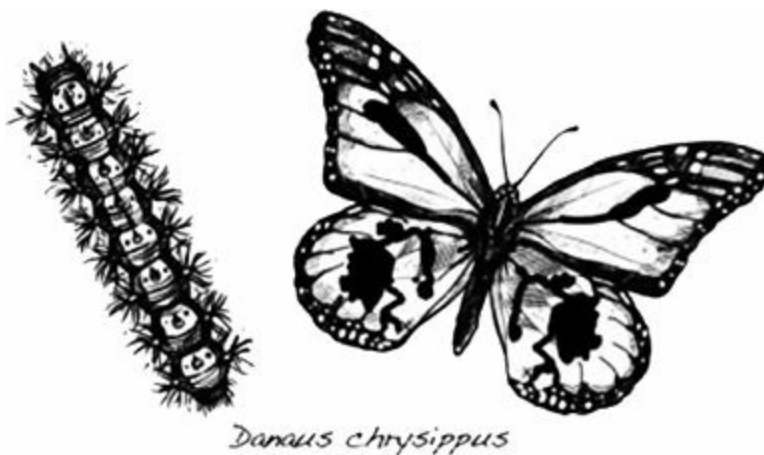
– Masz rację – zgodził się z nią Derek.

– Więc ten ostatni krok musiał być bardziej znaczący – stwierdził Gray.

– Łamałam sobie głowę, dlaczego chciał zwrócić na to moją uwagę. Jak już wspomniałam, motyle, symbolizujące przeobrażenie, stanowiły częsty motyw w egipskiej sztuce. Najczęściej przedstawianym gatunkiem, jak w sercu, był *Danaus chrysippus*, czyli monarcha złocisty, powszechnie występujący w dolinie Nilu.

– Rozmawialiśmy o tym wcześniej – wtrącił się Derek. – I kiedy Jane podała nazwę łacińską, nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie, że przecież widziałem takiego motyla w starych listach Livingstone'a. Pokazałem go jej.

Wczytał stronę i podsunął tablet Grayowi.



– To gąsienica i motyl. – Gray wskazał nazwę i przeczytał. – *Danaus chrysippus*, jak powiedziałaś.

Jane postukała w ekran.

– Tylko że to nie jest *Danaus chrysippus*. Nie pasują plamki na skrzydłach. Ojciec wiedział, że nigdy nie wzięłabym tego motyla za prawdziwego monarchę złocistego.

– To z pewnością kolejna mapa Livingstone’a – domyślił się Gray, pochylony nad ekranem. – Jak szkic egipskiego skarabeusza, który wskazywał miejsce, gdzie znajdowała się pogrzebana bogini.

Jane pokiwała głową.

– Kolejna mapa ukryta w kolejnym rysunku związanym z Egiptem.

– Ale jak tę mapę czytać? – zapytał Gray. – Nie widzę.

– Patrz.

Derek zabrał tablet i ustawił motyla na krawędzi skrzydełka.



– Jeśli wymazać wszystko poza plamką na dolnym skrzydle – tłumaczył, pracując nad obrazkiem – zostanie coś, co wygląda jak jeziora i sieć dróg wodnych. Zwróćcie też uwagę na mały znak X, który Livingstone wyrysował w pobliżu jednej z rzek.

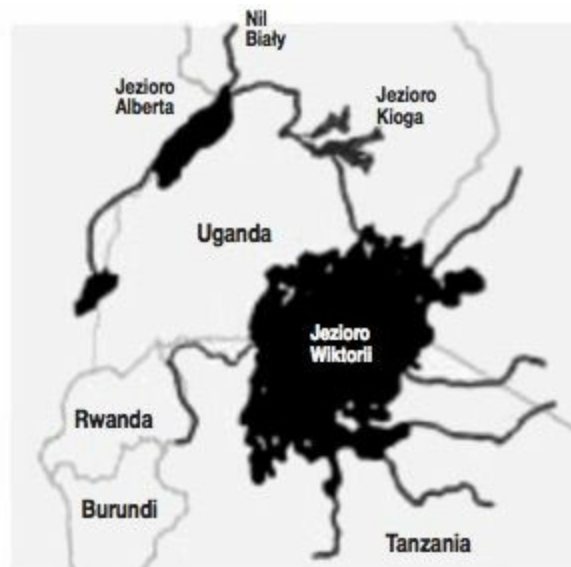


– Niech zgadnę – rzucił Gray. – Znalazłeś miejsce, które pasuje do takiego układu rzek i jezior.

Derek pokiwał głową.

– To kawałek drogi stąd... a ściślej mówiąc, kawałek rzeki.

Obok rysunku ze skrzydła motyla umieścił małą mapę.



– Spójrz, jak do tego pasuje Jezioro Wiktorii i mniejsze jeziora – powiedział.

Gray wziął tablet, żeby przyjrzeć się z bliska.

– Naniesiony przez Livingstone’a X znajduje się nad rzeką, która płynie przez Rwandę do Jeziora Wiktorii.

– Sądzę, że patrzymy na źródło Nilu – powiedziała Jane głosem, w którym słychać było ekscytację.

– A przynajmniej jedno ze źródeł – zaznaczył Derek. – Widać inne rzeki wpadające do Jeziora Wiktorii i dlatego wciąż trwa spór o prawdziwe pochodzenie Nilu.

Gray ściągnął brwi, nad czymś się zastanawiając.

– Co się stało? – zwróciła się do niego dziewczyna.

Wyprostował się i wyjął próbkę, którą jej ojciec zakopał w piasku. Wyciągnął gumową zatyczkę i rozwinął skrawek skóry, odsłaniając ciąg hieroglifów.



– Jeśli dobrze pamiętam – zaczął – to tłumaczy się z grubsza jak „zabieranie łodzi do ujścia rzeki”. I coś o słońcach albo o kościach słońca.

Jane sięgnęła po znalezisko i cofnęła rękę.

– Ujście rzeki... A może to nawiązanie do źródła Nilu? – Wskazała mapę. – Może to oznacza, że trzeba iść do miejsca zaznaczonego iksem.

– Ale czy możemy być pewni? – zapytał Derek. – Skąd mamy wiedzieć, czy to, co tu napisano, w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie?

Gray wskazał oba końce ciągu hieroglifów.

– Fragment znajduje się pomiędzy lwem i klęczącą kobietą – zwrócił ich uwagę. – Czy to nie są symbole Tutu?

– Były również na aryballosie Livingstone’a – dodała Jane. – Nawet są zwrócone w tym samym kierunku co profile na naczyniu.

– Może twój ojciec też to zauważył i wyciął ze znalezionej mumii ten kawałek skóry, chcąc go ukryć – zasugerował Gray. –

Później zagrzebał go w piasku, zostawiając ci trop, którym powinnaś podążać.

– I nie zapomnijcie o słońiach – wtrącił Kowalski z błyskiem podniecenia w oku. – Pamiętacie tamtego słodkiego... to znaczy... to małe naczynie w kształcie słońia, które tam widzieliśmy?

Jane skinęła głową, wyczuwając, że poszczególne elementy zaczynają do siebie pasować. Ale jeszcze nie tworzyły całości.

– On ma rację! – Derek nagle zrobił taką minę, jakby rozboleł go brzuch.

– A jeśli w tych naczyniach był lek?

Kowalski spojrzał spode łba.

– Przecież mówiłem, żeby jedno zabrać.

– Nie – rzuciła Jane. – Mój ojciec przebadał wszystko, co się tam znajdowało. To niemożliwe.

– Poza tym ci, którzy tam sprząтали, zabraliby naczynia, gdyby zawierały coś ważnego – wtrącił Gray.

– Tam musi być odpowiedź – oświadczyła dziewczyna, wskazując mapę. – Ojciec wiedział o tym miejscu, ale sam nie mógł się tam dostać, a nie chciał, żeby jego porywcze się o nim dowiedzieli.

– Dlatego uciekł i szukał pomocy. – Derek spojrzał na Jane. – I zdając sobie sprawę, że może zawieść, zostawił ci wskazówki.

Wiedziała, że właśnie tak było, bliska łez, odwróciła głowę.

Seichan, która weszła, wycierając włosy ręcznikiem, wyczuła panujące napięcie i podekscytowanie.

– Co się dzieje?

Gray się uśmiechnął.

– Czas pakować manatki.

– Ruszamy na poszukiwanie słońi – rzucił Kowalski, zacierając ręce.

Godzina 15.03

Wala nie chciała ryzykować.

Czekała na małym pasie startowym pod Chartumem. Słońce spiekło piasek i ziemię na beton. Tego lotniska nie było na żadnej mapie. Korzystali z niego przemytnicy i sudańscy rebelianci, sownie opłacający policjantów i wojskowych, żeby patrzyli na nich przez palce. Praktycznie rzecz biorąc, to miejsce nie istniało.

Czuła się tu świetnie, bo właśnie takie miejsca były jej prawdziwym domem, zakamarki niewidzialne dla świata. Po wbiciu babcinego sztyletu w kark człowieka, który zabił jej matkę, zabrała brata i uciekła tam, gdzie z odrazy albo ze strachu zwykle nikt nie zaglądał. Wtedy ona i Anton mieli siebie.

Ale nie trwało to długo.

Brat znalazł nowy dom, nowe serce.

Trudno.

Chciała wrócić tam, gdzie jej miejsce, z nim lub bez niego.

Jej uwagę przyciągnęło dudnienie silnika. Do bramy w rozpadającym się siatkowym ogrodzeniu zbliżała się ciężarówka. Ciemnoskóry były sudański żołnierz z karabinem machnął ręką, pozwalając jej przejechać. Wala obesza zaparkowaną cessenę, żeby wyjść przybyszom na spotkanie.

Kruger wyskoczył z ciężarówki, a za nim czterech mężczyzn. Tylko oni przeżyli starcie pod pustynnym wzgórzem. Czterech zginęło. Kruger stracił połowę swoich ludzi. Miał ich śmierć wypisaną na twarzy, gdy szedł w jej stronę. Nietrudno było go przekonać do zmiany planów.

– I jak? – zapytała.

Skinął głową, pocierając odarte ze skóry, zakrwawione kostki palców.

– Wymagało to łagodnej perswazji, ale potwierdził to, co podsłuchałaś. Lecą do Rwandy.

Po spotkaniu z nomadami na pustyni Wala trzymała się daleko od wroga. Posłużyła się bystrym okiem drona, żeby zobaczyć, gdzie chłopak porzucił unimoga. Pojechała tam okrężną drogą, powoli, żeby nie zdradził jej tuman pyłu.

Zakończyła misję w nocy, ukrywając nadajnik GPS w nadkolu ciężarówki, a następnie popędziła na spotkanie z Krugerem.

Wzięła głęboki oddech, poruszając szyją. Była rozluźniona, swobodna; tak wolna jak w tym momencie nie czuła się od wielu lat. Wcześniej popełniła błąd, koncentrując się na wykonaniu przydzielonego jej zadania. Skupiona na porwaniu Jane McCabe, ściągnęła drona, który śledził uciekającą ciężarówkę, wskutek czego chłopak mógł niepostrzeżenie spotkać się ze swoimi ludźmi.

Obiecała sobie, że to się więcej nie powtórzy.

Gdy dołączył do niej Kruger i jego ludzie, śledziła ciężarówkę wracającą do Chartumu i wiedziała, gdzie zaszyły się jej cele. Otrzymawszy nauczkę, zachowywała dystans. Z odległości czterystu metrów podsłuchiwała ich rozmowę mikrofonem laserowym; niewidzialna wiązka podczerwieni skierowana w okno wychwytywała drobne wibracje szyby i szeptała wypowiedane słowa do jej uszu. Niestety, metoda nie była bez wad. Brakowało słów; rozmowa miała irytujące luki. Wala wiedziała, dokąd jej cele się wybierają, ale potrzebowała potwierdzenia i wysłała po nie Krugera.

Wyglądało na to, że tamci wynajęli awionetkę – cessnę 208 caravan – na lot do Rwandy. Poleci za nimi, też cessną, tylko że jej model, załatwiony przez Krugera, był wariantem wojskowym używanym przez rebeliantów w całym regionie, nawet w Iraku.

Spojrzała pod skrzydłami na podwieszony ładunek.

Dwa pociski AGM-114 hellfire.

Z zadowoleniem uniosła kąciki ust.

Skończyła z kłanianiem się panom, z pozwalaniem, żeby ich polecenia ją ograniczały i zmuszały do popełniania błędów, byle tylko spełnić ich oczekiwania. Zamierzała znów być wolna, wracać, kiedy zechce, w mroczne miejsca tego świata. Świadoma swojej decyzji, nie widziała potrzeby, żeby przestrzegać narzuconych jej reguł.

– Więc trzymamy się nowego planu? – zapytał Kruger, gdy wsiadł do samolotu.

– Tak, zabijemy ich wszystkich.

CZEŚĆ CZWARTA
MALOWANA DŻUNGLA

Σ

Wyspa Ellesmere'a, Kanada

3 czerwca, godzina 10.08 czasu miejscowego

Gdy przyszli po niego strażnicy, Painter wiedział, że stało się coś złego.

Hartnell dał mu godzinę – czas do ósmej – na zadecydowanie, czy pomoże im pojmać Kat i Safię. Godzina minęła, a on krążył po celi. W końcu, jakieś dwie godziny później, dwóch strażników wpadło z uniesioną bronią. Kazali włożyć skafander i grube buty, po czym skuli mu ręce i wyprowadzili go.

To opóźnienie było niepokojące. Czy coś się stało Kat i Safii? Czy jego współpraca już nie była potrzebna? Jeśli tak, dokąd go zabierają?

Ciepłe ubranie i brak kajdanek na nogach sugerowały, że czeka go spacer, prawdopodobnie na mrozie. Strażnicy też mieli grube skafandry. Chciał ich wypytać, ale oczywiście nic mu nie powiedzieli.

Zjechali trzy poziomy w dół.

To nie miało sensu.

Dokąd idziemy? – zastanawiał się.

Wreszcie dotarli do stalowych drzwi. Jeden ze strażników otworzył je kartą i wszedł pierwszy. Drugi pchnął Paintera lufą karabinu.

Natychmiast stało się jasne, dlaczego dali mu ciepłą odzież. Przejście przed nimi było wycięte w skale. Powietrze, chociaż naturalnie odizolowane od żywiołów, było arktycznie lodowate. Przy każdym oddechu z ust wydobywały się kłęby pary. Tunel

ciągnął się kilkaset metrów, bez jednych drzwi czy bocznej niszy. Drogę oświetlał rząd żarówek w drucianych osłonach.

Painter uniósł skute ręce i przeciągnął czubkami palców po ścianie.

To z pewnością stary chodnik, skonstatował.

Nagle przyszło mu na myśl, że wie, dokąd się kierują. Na końcu tunelu znajdowały się stalowe drzwi, takie same jak tamte pierwsze. Wyszli ze starego tunelu z powrotem do współczesnego świata. Znaleźli się w otoczeniu stali, szkła i betonowych ścian drugiej części stacji.

Była półkolista, z oknami o pancernych szybach wychodzącymi na zagłębienie, które widział z samolotu, gdy leciał tu z Kat. Podzielona na różne stanowiska pracy, obejmowała połowę szerokiego na czterysta metrów dołu. Oceniał, że znajduje się w połowie wysokości ściany wyrobiska. W dole płonęły potężne reflektory, na płaskim dnie stała masywna czworokątna podstawa nowego wcielenia wieży Wardenclytte. Za oknami wznosiły się stalowe belki, które tworzyły piramidalny szkieletowy drapacz chmur, zwieńczony ogromną misą koncentrycznych miedzianych pierścieni i kolosalnymi elektromagnesami otaczającymi sferę przewodzącą.

Nie, nie sferę.

Z góry szczyt wieży wyglądał jak idealna kula, ale teraz Painter stwierdził, że widział tylko zaokrąglony czubek gigantycznego jaja.

Wyobraził sobie logo Clyffe Energy – jajko Kolumba.

Miało to jakieś praktyczne zastosowanie czy było tylko fanaberią?

– Ach, jest pan! – Simon Hartnell wyszedł z jednego z pomieszczeń i ruszył w ich stronę. Miał srebrny skafander, w tej chwili rozpięty. – Przepraszam, że kazałem panu czekać.

– Jestem zależny od pańskiego harmonogramu. – Painter spojrział na otaczającą go krzątanicę. – Co się dzieje? Mam

wrażenie, że panuje tu znacznie większy ruch niż w czasie typowego dnia pracy.

– Owszem.

Hartnell ruszył, najwyraźniej spodziewając się, że Painter pójdzie za nim, jakby ten miał wybór, mając dwóch strażników za plecami. Miliarder zabrał po drodze mężczyznę w skafandrze, niskiego Hindusa o ściągniętej, zmartwionej twarzy.

– Doktor Sunil Kapoor – przedstawił go.

Painter rozpoznał nazwisko fizyka. Był laureatem Nagrody Nobla za prace nad plazmą, a konkretnie za opracowanie nowatorskiej metody uzyskiwania plazmy przy użyciu par metalu. Najwyraźniej Hartnell wspinał się po plecach nie tylko Nikoli Tesli, żeby zrealizować swoją wizję.

– Zamierzamy przeprowadzić ostatnią kontrolę systemów zdalnego monitorowania – oznajmił. – To niezwykle ekscytujące.

W przeciwieństwie do niego Kapoor nie okazywał entuzjazmu; nerwowo spoglądał przez ramię na stalową piramidę, ale przecież Hartnellowi się nie odmawia.

Gdy szli w głąb półkolistego centrum kontroli, Painter zobaczył nowe okno naprzeciwko tych wychodzących na wieżę. Spojrzał przez nie na znajdującą się za szybą grootę. Była niemal równie głęboka jak wyrobisko po drugiej stronie, ale nie otwierała się na niebo. Zalegało w niej czarne jezioro. Przyjrzał się uważniej i spostrzegł, że woda oświetlona rozmieszczonymi wzdłuż kładki lampami ma kolor ciemnego szkarłatu.

Painter zamarł na ten widok, ponieważ wiedział, co ma przed oczami. Było to paliwo dla wizji Hartnella. Ten szalenie wyhodował całe morze *Pestis fulmen* Tesli. Po pomoście chodzili ludzie w kombinezonach, trzymając podkładki z klipsami i świecąc wzdłuż stalowych rur, które biegły z jeziora ku sklepieniu.

Boże...

– Wszyscy na pokład – zarządził Hartnell, zapraszając ich do wagonika kolejki linowo-szynowej, z torami biegnącymi po nachylonej ścianie wyrobiska, z samego dołu na górę.

Painter wsiadł z pozostałymi i gdy wagonik ruszył, patrzył przez okno na wieżę.

– Z panującego tu zamieszania wznoszę, że przyspieszył pan termin próby – odezwał się.

– Tak. Po namyśle uznałem, że to będzie rozsądne.

Painter rozumiał jego logikę. Ten człowiek nie chciał, żeby ktoś uniemożliwił mu przeprowadzenie testu, szczególnie jeśli Kat i Safia znalazły pomoc.

– Zatem zamierza pan obsiać jonosferę mikroblem – powiedział.

– Stosowanie półśrodków nie ma sensu.

– I nie ma pan w związku z tym żadnych skrupułów? – spytał doktora Kapoora.

Hinduski fizyk zerknął na swojego mocodawcę, potem skierował wzrok na Paintera i lekko pokręcił głową.

Niezbyt żarliwe poparcie, pomyślał Painter.

– Przeanalizowaliśmy niezliczone scenariusze – zapewnił go Hartnell. – Rozważyliśmy każdą zmienną.

Painter wzniósł oczy ku niebu.

– Gdy chodzi o eksperyment na skalę globalną, nie można znać wszystkich zmiennych. Może się skończyć podpaleniem jonosfery.

Hartnell parsknął drwiąco.

– Te same obawy wyrażano przed pierwszą próbą atomową, nie spowodowało to jednak zamknięcia Projektu Manhattan. – Obrzucił rozmówcę smętnym wzrokiem. – Później te same zarzuty kierowano przeciwko HAARP-owi.

Trudno było temu zaprzeczyć.

– Jeślibyśmy zatrzymywali postęp z powodu każdego cykora, który twierdzi, że niebo zwali się nam na głowy, nigdy do niczego byśmy nie doszli. – Hartnell westchnął głośno. – Wciąż siedzielibyśmy w zimnych jaskiniach, bojąc się ognia.

Wagonik dotarł do krawędzi dołu i wszyscy wysiedli na porywisty wiatr zacinający suchym śniegiem. Szybko zapięli

skafandry i ruszyli przez stalowy las anten. Grube jak udo kable biegły po skale i przez łąty upartego śniegu.

Hartnell prowadził ich zwirową ścieżką.

Nikt się nie odzywał; szli skuleni, z głęboko naciągniętymi kapturami.

Po prawej stronie z hangaru wyprowadzano transportowego boeinga. Wydawał się dość mocny, żeby poradzić sobie w burzy, zwłaszcza że w ciągu godziny trochę przycichła.

Po zobaczeniu czarnego jeziora Painter wiedział, jaki ładunek zabierze odrzutowiec.

Na skraju lasu anten czekały na nich dwa pojazdy. Jeden wyglądał jak wózek golfowy ze szczelną kabiną i dużymi oponami z głębokim bieżnikiem. Painter przypuszczał, że korzystają z niego Hartnell z Kapoorem, żeby przeprowadzać inspekcje.

Potwierdziło się to, gdy Hartnell wyciągnął rękę w stronę drugiego pojazdu, sno-cata.

– To pański wóz. – Wskazał niedalekie wysokie wzgórze. – Na szczycie jest węzeł łączności. To najwyższe miejsce zapewniające łączność radiową podczas burz słonecznych. Tam będzie pańska baza operacyjna, żeby współpracować z Antonem w nakłonieniu pańskiej koleżanki i doktor al-Maaz do powrotu i oddania tego, co ukradły. Dla naszego i ich dobra. Na otwartym terenie może być bardzo niebezpiecznie.

– A jeśli odmówię?

Hartnell zrobił zawiedzioną minę.

– Może pan być częścią rozwiązania albo częścią problemu.

Painter przypuszczał, że tutaj problemy po prostu się likwiduje.

Zmierzył wzrokiem uzbrojonych strażników.

– Dołożę wszelkich starań – obiecał. – To wszystko, co mogę zrobić.

– I tylko o to proszę. – Hartnell spojrział w śnieżycę. – Właśnie tak powinniśmy postępować, kiedy stajemy przed wyzwaniem... a przynajmniej próbować, jeśli chcemy, żeby świat stał się lepszy.

Tak właśnie zamierzam zrobić, pomyślał Painter i pokiwał głową.

Godzina 10.55

Kat drżała, wlewając ostatni kanister oleju napędowego do spragnionego baku pojazdu. Oceniała, że paliwa wystarczy im na sto trzydzieści kilometrów, może trochę więcej, jeśli będzie oszczędzać silnik. Musiała pogodzić się z myślą, że nie dojadą do kanadyjskiej bazy w Alercie.

A na piechotę nie przejdziemy.

Bez skafandrów zamarzną.

Do tego dochodził pogarszający się stan Safii. Gorączka rosła. Kobieta została narażona na kontakt z patogenem w laboratorium sześć godzin temu, więc prawdopodobnie był to wciąż wczesny etap choroby.

Kat i Rory na razie czuli się dobrze, ale przebywali w zamkniętej kabinie z chorą osobą, więc jakie mieli szanse?

Zresztą i tak nie mieli wyboru.

Wsiadła do pojazdu i pojechali dalej północno-zachodnim brzegiem jeziora Hazen. Zbiornik, długi na sześćdziesiąt pięć kilometrów i szeroki maksymalnie na trzystaście, ciągnął się prosto w kierunku Alertu. Niestety, gdy dotrą do krańca jeziora, od celu będzie ich dzielić jeszcze sto sześćdziesiąt kilometrów górzystego terenu.

Zadymka nieco osłabła, ale Kat wiedziała, że to tylko chwila wytchnienia przed kolejnym atakiem burzy. Chmury toczące się ku nim z zachodu były znacznie ciemniejsze.

Gdy patrzyła w tamtą stronę, dostrzegła w górach mignięcie światła. Modliła się, żeby to była błyskawica. Może rzeczywiście tak było, mimo to Kat mocniej wcisnęła pedał gazu, przyspieszając, rezygnując z prób oszczędnego gospodarowania paliwem.

Spoglądała ku zachodowi, lecz światła już się nie pojawiły.

Safia poruszyła się w fotelu pasażera; usta miała suche, a oczy szkliste ze zmęczenia i od gorączki.

– Gorąco...

– Masz wysoką temperaturę – powiedziała Kat. – Spróbuj po prostu odpocząć. – Spojrzała w lusterko wsteczne i wymieniła spojrzenie z Rorym.

– Potrzebuje pomocy lekarskiej – szepnął. – Może jeśli zawrócimy...

Wiedziała, że dla Safii oznaczałoby to pewną śmierć. Stacja nie zaryzykuje, żeby ktokolwiek został narażony na infekcję. Poza tym Kat nie chciała oddawać z trudem zdobytych danych. Safia ryzykowała życie – i być może właśnie za to płaciła – żeby te informacje nie wpadły w ręce Hartnella.

– Nie – rzuciła Kat. – Nie zawrócimy.

Chłopak przeniósł wzrok na przednią szybę.

– Spójrz! – zawołał. – Na jeziorze!

Popatrzyła we wskazanym kierunku. Po prawej stronie na lodzie stały trzy namioty, białe od śniegu po odwietrznej. Przed każdym z nich jarzyły się błękitem niewielkie, okrągłe przeręble, wokół których chyliły się wędki. Dudnienie silnika wywabiło rybaków z ciepłych schronień.

Ubrani w futrzane kurtki i grube spodnie, z daleka wyglądali jak niedźwiadki.

– To chyba Inuici – powiedział Rory, pochylając się na tyle, na ile pozwalały mu więzy.

Safia, zasłaniając oczy przed światłem, nie okazała zainteresowania.

– Takie jasne – wymamrotała.

Obawy Kat o stan zdrowia przyjaciółki znacznie się pogłębiły. Jednym z objawów zapalenia opon mózgowych jest fotofobia, światłowstręt.

– Światło... razi... – Głowa Safii kiwała się bezwładnie, oczy były nieskupione.

Godzina 11.04

Safia usiłuje odwrócić twarz od wiszącego na boleśnie błękitnym niebie słońca, które razi ją w oczy. Posapuje w skwarze, każdy oddech pali jej płuca. Jej bose stopy zapadają się w parzącym piasku, gdy brnie ku chłodnej kuszącej rzece.

– *Safio, Safio... musisz pić...*

Szuka źródła głosu.

Świat przed nią migocze, palmy drżą. Przez fale mirażu widzi dziwną białą krainę, zamarznąłą i ciemną. Słyszy nieprzerwane dudnienie.

– *Śmiało, tylko kilka łyczków...*

Obraz znika i znowu widzi jedynie piasek i śmierć. Wszędzie wokół leżą oblepione przez muchy rozdęte, martwe zwierzęta. Ścierwojady rozdzierają ich ciała i wrzeszczą na jej widok. Idzie chwiejnym krokiem, wspinając się na wydmę, żeby spojrzeć na rzekę.

Gdy pragnienie ściska jej gardło, widzi, że jej jedyne wybawienie jest kłamstwem.

Rzeka, czerwona od krwi, wysysa życie z leżących nad nią krain.

Safia wzrokiem przeszukuje niebiosa, błagając.

– *Pij, Safio...*

Za rzeką niebo jest czarne, przeszywane błyskawicami, złe i mordercze. Opada ku niej, ku światu, zamierzając go zmiażdżyć.

Ona cofa się o jeden krok, potem drugi.

– *Nadchodzi...*

Chłód spływa jej do gardła, rozlewa się po szyi.

Tonie pod słońcem.

– *Przestań się opierać, Safio, proszę...*

Świat znów migocze jak woal. Ciemność pochłania słońce i piasek staje się śniegiem, a cień twarzą.

Znaną twarzą.

– *Kat?*

– *Udało się. Jesteś. Miałaś mały atak.*

Safia nie może się powstrzymać i zaczyna szlochać.

– Co się stało? – pyta.

– Coś złego... nadchodzi coś strasznego.

Godzina 11.32

Przynajmniej są konsekwentni, pomyślał Painter.

Czekał, aż pierwszy strażnik otworzy drzwi. Budynek węzła łączności, przysadzisty betonowy bunkier z lasem anten na dachu, stał na szczycie wysokiego wzgórza.

Czekając, wykorzystał chwilę, żeby się rozejrzeć. Po jednej stronie rozciągała się arktyczna tundra; po drugiej była Stacja Aurora. Z tej wysokości miał doskonały widok na spiralę anten, a także na wieżę wystającą ze starego wyrobiska.

Odrzutowiec transportowy, którego widział wcześniej, teraz stał w pobliżu pasa z opuszczoną tylną rampą ładunkową. W jego stronę zmierzała flota załadowanych wózków widłowych.

Za tą wyspą aktywności nic się nie poruszało. Było tak, jakby świat wstrzymywał oddech przed tym, co miało nastąpić.

– Przestań się gapić – mruknął strażnik za jego plecami, lufą ponaglając go do wejścia. Chciał jak najszybciej uciec z zimna.

Painter wcale mu się nie dziwił.

Westchnął i wszedł do bunkra. Przystanął na progu, ogarniając wzrokiem jedyne tu pomieszczenie. Z boku stało rozgrzebane łóżko. Na stołach pod ścianą w głębi piętrzył się różnoraki sprzęt łączności, w tym nadajnik VLF używany do kontaktowania się z okrętami podwodnymi.

W środku tego gniazda garbił się tęgi młody mężczyzna w słuchawkach. Siedział plecami do drzwi i nawet nie odwrócił głowy, tylko uniósł rękę na powitanie.

– Jak idzie, Ray? – zapytał pierwszy strażnik.

Drugi popchnął więźnia.

Najwyższy czas, uznał Painter.

Wykręcił się i cofnął. Z lufą karabinu teraz w poprzek brzucha, poderwał ręce i zarzucił łańcuch kajdanek na szyję zaskoczonych strażników, zgiął się i rzucił mężczyznę przez ramię.

Pierwszy strażnik odwrócił się spanikowany, strzelając w jego stronę.

Painter klapnął na podłogę, osłaniany przez dławiącego się jeńca. Gdy pierwsze pociski trafiły w tors mężczyzny, opuścił skute ręce, znalazł broń rannego i położył palec na spuście.

Strzelał gdzie popadnie.

Czystym trafem zranił odsłoniętego strażnika w kolano i klatkę piersiową. Gdy ten upadł na bok, Painter wycelował; wiedział, że wystarczy tylko jeden strzał. Oddał go i strażnik znieruchomiał. Wciąż obejmując sapiącego, charczącego jeńca, wymierzył w radiooperatora, który siedział oszołomiony, zastygł jak jeleń w świetle reflektorów.

– Hej, Ray, może obszukasz swojego kumpla, znajdziesz kluczyki do tych kajdanek i mnie uwolnisz?

Radiooperator wahał, spoglądając to na swój sprzęt, to na niego.

– Słuchaj, albo cię zastrzelę i sam znajdę kluczyki – zagroził Painter – albo mi pomożesz i skończy się na tym, że założysz te obrączki i dożyjesz następnego wschodu słońca. A tutaj to może oznaczać długi czas.

W końcu Ray okazał się rozsądnym facetem.

Painter potarł nadgarstki, gdy przykuł go do łóżka i związał mu nogi przewodem jego własnych słuchawek. Na wszelki wypadek zakneblował go skarpetką i okręcił mu głowę taśmą klejącą.

– W porządku, jeśli nie masz nic przeciwko, zabiorę sno-cata i udam się na poszukiwanie moich przyjaciółek. Nie piśniesz nikomu słowa, prawda?

Ray energicznie pokiwał głową.

Bardzo rozsądnie, uznał Painter, zabrał karabin i schował do kieszeni dwa zapasowe magazynki, które znalazł przy martwych strażnikach. Uzbrojony, wyszedł na mróz, wsiadł do pojazdu

i odwrócił się plecami do Stacji Aurora. Przed nim rozciągała się otwarta tundra.

A teraz do roboty.

Godzina 12.45

Simon Hartnell stał u steru w centrum kierowania antenami Aurory. Z sercem łomoczącym w piersi patrzył przez okno na masywną wieżę, świadectwo geniuszu Tesli.

I mojego, przemknęło mu przez głowę.

Mężczyźni i kobiety kontynuowali przygotowania do próbnego odpalenia, po trzy, cztery razy sprawdzając każdy system. Miał na pulpicie zielone światła ze wszystkich stanowisk.

Na monitorze z lewej strony transportowy boeing sunął po podgrzonym pasie, nabierając prędkości. Klapy opadły i wzniósł się w niebo.

Hartnell szczyrzył zęby w uśmiechu, śledząc jego lot ku chmurom. Usłyszał szybkie kroki za plecami i odwrócił głowę. Zobaczył spieszącego ku niemu mężczyznę w czarnym kombinezonie, ochroniarza z ekipy Antona.

– Proszę pana...

Miał nadzieję, że usłyszy dobre wieści od załogi poszukiwaczy, ale blada twarz przybysza na to nie wskazywała.

– O co chodzi?

– Właśnie dostaliśmy wiadomość, że więzień eskortowany do węzła łączności zabił strażników i uciekł. Radiooperator powiedział, że zabrał sno-cata i ruszył na poszukiwanie swoich przyjaciółek. Jest dobrze uzbrojony.

Hartnell zacisnął pięści i poczerwieniał, bliski wybuchu. Painter Crowe musiał być kimś więcej niż tylko inspektorem DARPA, pomyślał nie po raz pierwszy. Zmusił się, żeby rozluźnić dłonie i głęboko odetchnąć.

Spójrz na to z szerszej perspektywy, nakazał sobie.

Zasadniczo ucieczka Paintera niczego nie zmieniła. Jeszcze nie schwytano dwóch kobiet, więc sytuacja wciąż była niepewna – ale nie beznadziejna. To nowe zdarzenie znacząco jej nie pogorszyło.

Przynajmniej nie dla mnie.

Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

– Powiadom Antona, co się stało – nakazał. – Przykaż mu, żeby uważał na tyły.

– Tak jest. – Strażnik odwrócił się na pięcie i odszedł.

Hartnell pokręcił głową, myśląc o daremnej próbie podjętej przez Paintera Crowe'a.

Jak mu się zdaje, dokąd pójdzie?

Godzina 13.04

Painter kuczał w przepastnej ładowni odrzutowca.

Przez podeszwy butów czuł wibracje czterech silników, które zmagaly się z wichurą. Samolot kołysał się i podskakiwał. Ładunek poskrzypywał i złowieszczo kołysał się wokół niego, grożąc, że go zmiażdży.

Był na pokładzie pękatego boeinga C-17 globemastera, zwykle używanego przez wojsko do przerzucania żołnierzy, wyposażenia, a nawet czołgów na dalekie odległości, specjalnie zaprojektowanego do zrzutu ładunku podczas lotu. Niedawno zaprzestano produkcji tego kolosa. Hartnell zakupił jedną maszynę, po czym kazał ją przerobić i dostosować do swoich potrzeb.

Po opuszczeniu węzła łączności Painter wsiadł do sno-cata i ruszył w burzę. Jechał w zacinającym śniegu, aż dotarł na względnie płaską połąć tundry. Tam łomem znalezionym w skrzynce z narzędziami zablokował pedał gazu i porzucił pojazd, żeby zostawić fałszywy trop.

Przypuszczał, że jego fortel szybko się wyda, ale potrzebował tylko tyle czasu, żeby wrócić do stacji i globemastera czekającego

na płycie lotniska.

Przemykał pod osłoną śnieżycy, hałd zgarniętego przez pługi śniegu i okrytych siatką skrzyń, aż w końcu znalazł się pod samolotem. Latał tymi wielkimi maszynami, kiedy służył w Navy SEALs, choć teraz wydawało mu się, że to było w innym życiu.

Pewne rzeczy nigdy jednak się nie zmieniają.

Wiedział, że po załadowaniu takiego kolosa wewnątrz zawsze jest mnóstwo kryjówek.

Popędził pod ogon samolotu, gdzie rampa ładunkowa wciąż dotykała pasa. Wślizgnął się pod nią i czekał, aż wózek widłowy cofnie się, obróci i odjedzie. Ostrożnie wyjrzał, dostrzegł okazję i wskoczył do ładowni.

Jak się spodziewał, cała przestrzeń była zastawiona. Zajmowały ją dwa rzędy palet, na których stało osiemnaście aluminiowych skrzyń jego wysokości. Na każdej leżało coś, co przypominało plecak spadochronowy. Palety stały na systemie składającym się z wielu rolek, przeznaczonym do wyrzucania dwóch rzędów ładunku podczas lotu.

Painter, nie marnując czasu, wcisnął się pomiędzy palety, skulony, gotów przesunąć się głębiej, gdyby zaszła potrzeba. Chociaż wątpił, czy ktoś chciałby przeciskać się między pojemnikami, żeby dokładnie sprawdzić ładownię. Na każdym boku aluminiowych skrzyń widniały naklejki ostrzegające przed zagrożeniem biologicznym.

Wiedział, co zawierają te pojemniki.

Wyhodowane kultury *Pestis fulmen*.

Plecaki leżące na skrzyniach były balonami meteorologicznymi Hartnella. Painter przypuszczał, że są wyposażone w zbiorniki z gazem, który je napompuje po wyrzucaniu z ładowni, żeby uniosły swój śmiertcionośny ładunek. Na odpowiedniej wysokości skrzynie otworzą się jak toksyczne torebki nasienne.

Wyobrażając to sobie, spojrział na etykietę blisko policzka.

Może jednak to nie był najmądrzejszy pomysł.

Park Narodowy Akagera, Rwanda

3 czerwca, godzina 17.08 czasu miejscowego

Musimy jechać dalej...

Słońce wisiało nisko nad horyzontem i Gray chciał wykorzystać resztkę dziennego światła. Pamiętał o wybuchach i strzałach, które słyszał przez telefon podczas rozmowy z Monkiem. Sytuacja w Kairze pogarszała się z godziny na godzinę; prawdopodobnie wrzenie ogarnie cały niespokojny już region i rozleje się za jego granice.

Jeśli rzeczywiście coś tu można znaleźć, nie wolno im zwlekać.

W końcu zebrał swój zespół na drewnianym tarasie nad jeziorem Ihema, drugim pod względem wielkości w Rwandzie. Przylecieli cessną z Chartumu i wylądowali jak najbliżej znaku X na mapie Livingstone'a, na ziemnym pasie w Parku Narodowym Akagera. Czekali na przybycie miejscowego przewodnika, który pracował tu od dwudziestu pięciu lat.

Wnosząc z rozłożonej na stole mapy parku, zdecydowanie potrzebowali kogoś obeznanego z tymi terenami. Powierzchnia Akagery wynosiła tysiąc trzysta kilometrów kwadratowych; obejmowała faliste sawanny, porośnięte papirusem mokradła, górskie dzungle oraz labirynt jezior i rzek, wszystkich leżących w zlewisku Kagery, która tworzyła wschodnią granicę parku.

Jane przeciągnęła palcem wzdłuż tej rzeki na mapie.

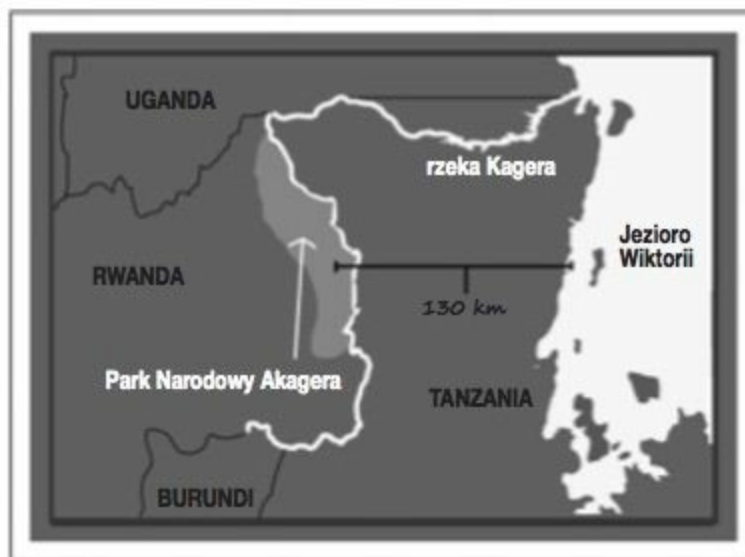
– To musi być właściwy dopływ, prawda?

W Chartumie przyglądali się wpadającym do Jeziora Wiktorii rzekom – licznym górnym dopływom Nilu Białego – próbując zdecydować, która z nich najbardziej przypomina tę wyrysowaną na tajnej mapie Livingstone’a. Kagera, płynąca na północ wzdłuż rwanadyjskiej granicy i skręcająca na wschód do Jeziora Wiktorii, pasowała idealnie.

Nie mogli być jednak stuprocentowo pewni.

– Spójrzcie na to – powiedział Derek.

Gdy czekali na przewodnika, szukał dalszego potwierdzenia, przeglądając na tablecie stare i nowe mapy. Pokazał im mapę obszaru z podświetloną rzeką Kagera i jakimiś pomiarami.



– Jak widzicie, park leży około stu trzydziestu kilometrów, czyli osiemdziesiąt mil, na zachód od Jeziora Wiktorii – poinformował ich.

– I co z tego wynika? – zapytał Gray.

Derek wczytał sporządzony przez dziewiętnastowiecznego odkrywcę rysunek motyla i gąsienicy. Powiększył ten drugi.



– Ta gąsienica ma osiem segmentów. Myślę, że Livingstone użył jej jako podziałki do swojej ukrytej mapy. Jako miary, jeśli wolicie.

Gray pokiwał głową.

– Osiem segmentów, osiemdziesiąt mil.

Nie był to ostateczny dowód, że są na właściwym kursie, ale mógł służyć poparciu teorii. Nawet Jane się uśmiechnęła, z uznaniem klepiąc Dereka po rękę. Wyglądało na to, że wszyscy potrzebowali odrobiny otuchy.

Seichan odwróciła się od poręczy tarasu, przerywając obserwację jeziora i nieba.

– Chyba nadciąga nasz człowiek.

Dudnienie silnika stawało się coraz głośniejsze. Wszyscy podeszli do Seichan. Do pomostu na dole zbliżała się dziwna łódź, która najlepsze lata miała dawno za sobą. Zielony metalowy kadłub był porysowany i powgniatany, a otwór w spękanej owiewce złowieszczo przypominał dziurę po kuli.

– Stan wody w jeziorze jest niski – zauważyła Seichan. – Nie wiadomo, czy zanurzenie pozwoli mu tu zacumować.

Mężczyzna za kołem nie wydawał się tym przejęty.

– Nawet nie zwalnia – zauważył Derek, cofając się o krok.

Łódź minęła koniec pomostu i płynęła dalej. Dziób uniósł się, gdy dotarła do brzegu, jadąc na gąsienicach jak mały czołg. W końcu zatrzymała się z nadburciem na wysokości poręczy.

Kierowca, wyraźnie rozbawiony ich zaskoczeniem, się uśmiechnął.

– *Muraho!* – powitał ich w ojczystym ruanda-rundi. Był w kurtce i spodniach khaki. Miał sześćdziesiąt lat, ale wyglądał na wysportowanego i w jego ciemnych włosach srebrzyła się tylko odrobina siwizny. – Witajcie w Akagerze. Jestem Noe Mutabazi i choć nie sprowadzam ze sobą arki... – poklepał burtę amfibii – zapewniam was, że nie będziecie rozczarowani.

Sposób jego przybycia nie był jedyną niespodzianką.

Nie zjawił się sam.

Kowalski cofnął się o dwa kroki.

– Dobra, a co z tym lwem?

Zwierzę podniosło się zza siedzenia Noego, wyginając grzbiet w typowo koci sposób. Ziewnęło, pokazując długie kły i różowy język.

– A, to mój nawigator – wyjaśnił przewodnik. – Nazywa się Roho, co w języku suahili oznacza ducha.

Imię zdecydowanie pasowało do zwierzaka, który miał bardzo jasną sierść i bursztynowe oczy. Takie umaszczenie jest skutkiem leucyzmu, mutacji genetycznej występującej rzadziej niż albinizm, powodującej tylko częściową utratę pigmentacji.

Noe podrapał partnera po karku, a w odpowiedzi z lwiego gardła dobiegł pomruk będący odpowiednikiem kociego mruczenia.

– To jeszcze maluch.

– Maluch? – powtórzył Kowalski.

Gray rozumiał jego niedowierzanie. Młody lew z pewnością ważył z pięćdziesiąt kilogramów.

– Naprawdę. – Noe mówił po angielsku z lekkim brytyjskim akcentem. – W przyszłym miesiącu kończy roczek. Miejmy nadzieję, że do tego czasu podrośnie.

Potarosił kępę jaśniejszej sierści, która spływała z czubka głowy na kark.

– Jak widzicie, grzywa dopiero mu rośnie. Jeszcze nawet nie umie ryczeć. Nauczy się za kilka miesięcy.

Roho warknął, jakby obrażony, i udał, że gryzie go w rękę.

– Skąd pan go ma? – spytała Jane, która wyglądała tak, jakby chciała pogłaskać lwa.

Twarz Noego spoważniała, gdy patrzył na park za jeziorem.

– Dwa lata temu sprowadzono do naszego parku siedem lwów z Transwalu, podejmując próbę odtworzenia populacji, która zniknęła stąd dziesiątki lat temu. Dzięki lwom, i może pewnego dnia czarnym nosorożcom, Akagera odzyska dawną świetność.

Obrócił się ku nim z twarzą pełną tęsknej nadziei.

– A Roho? – dociekała Jane.

– Jedna z lwic była ciężarna, kiedy tu przybyła. Urodziła trzy młode, jednym z nich był Roho. Przeżywalność lwiątek w dziczy jest niska, więc zabraliśmy go z miotu, żeby dwa pozostałe miały większe szanse. Zrobiliśmy to również z obawy, że kłusownicy mogą na niego polować z powodu koloru sierści. A ponieważ ludzie są pozbawieni skrupułów, obecność Roho zagrażała całemu nowemu stadu.

– Więc zatrzymał pan lwiątko.

– Żeby je szkolić. Wypuścimy go, kiedy podrośnie i będzie umiał o siebie zadbać. Teraz jest w wieku, kiedy matka uczyłaby go polować, więc zabieram go wszędzie, gdzie tylko mogę.

Gray spojrział na słońce opadające nad jeziorem.

– Powinniśmy ruszać w drogę. Chciałbym dotrzeć na miejsce przed zmierzchem.

Noe wysiadł z amfibii.

– Proszę pokazać je na mapie. Powiedziano mi, dokąd mniej więcej zmierzacie, ale może mógłbym udzielić jakichś rad.

Roho wyskoczył za nim, najwyraźniej gotów zrobić to samo.

– Jest przyjacielski – zapewnił ich przewodnik, podchodząc do map rozrzuconych na stole.

Gray dołączył do niego, podczas gdy pozostali korzystali z okazji, żeby zawrzeć znajomość z Roho.

– Zamierzamy udać się tutaj. – Komandor wskazał miejsce na północy, odpowiadające X na mapie Livingstone’a.

Noe przyjrzał się i westchnął ciężko.

– Mogę spytać dlaczego?

– Czy to jakiś problem?

– W porównaniu z innymi parkami w Afryce, w Akagerze bywa niewielu gości. Kiedy prowadzę tu safari, często jestem jedyny. Nawet w południowej części parku. A na północ rzadko kto się wyprawia. W zasadzie nikt.

– Dlaczego?

– Trudny teren. Góry, nieprzebyte dżungle. Są tak dziewicze jak mało które miejsca w Afryce. Niektórzy wierzą, że te gęste lasy są nawiedzone. Nawet rebelianci i kłusownicy się tam nie zapuszczają.

Gray spojrział na jego amfibię.

– Ale może pan nas tam zabrać?

– Na skraj, z pewnością. Dalej... – Noe wzruszył ramionami. – Ale powtarzam: dlaczego tam? Czego szukacie?

Komandor ściągnął brwi.

– Słoni – odparł w końcu.

Przewodnik szeroko otworzył oczy i odetchnął z ulgą.

– Aha, w takim razie to proste. I nie trzeba jechać aż tak daleko. Mogę wam pokazać wiele słoni. Znacznie bliżej. Tutaj, na południu.

– A na północy? – Gray patrzył na mapę. – Są tam słonie?

Noe chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Jeszcze nie – rzucił w końcu. – Parkowi udało się odbudować stado słoni, mamy ich ponad dziewięćdziesiąt, ale trzymają się na południu. Nie lubią północnych dżungli, wolą sawanny i moczary.

Gray przemyślał to, co właśnie usłyszał.

– Co pan rozumie przez odbudowanie stada?

– Jak z reintrodukcją lwów, słonie zostały wprowadzone do parku w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym.

– Co się stało z pierwotnymi stadami?

Przewodnik ponownie wzruszył ramionami.

– Kłusownicy, myśliwi polujący na grubego zwierza. Wiem tylko tyle, że tutejsze słonie zniknęły jakieś sześćdziesiąt lat temu.

Zniknęły?

Grayowi serce zamarło z rozpaczy, gdy to usłyszał. Jeśli rzeczywiście było tu jakieś lekarstwo, to czy przepadło wraz z nimi?

I spóźniliśmy się o dziesięciolecia?

Noe pokręcił głową.

– Kiedy się tu zjawiłem jako młodszy człowiek, niektórzy ze starszych przewodników mówili o dawnej wspaniałości parku. Wówczas było tu wiele stad, nawet płochliwe słonie leśne przemierzały północne górskie dzungle. Tamte czasy minęły, ale mamy nadzieję, że powrócą.

– Jest pan pewien? – zapytał Gray.

– Że tamte czasy powrócą?

– Nie, że leśne słonie zniknęły. – Gray spojrział na miejsce zaznaczone na mapie. – Mówił pan, że mało kto zagląda w te góry, że wręcz się ich unika. Jeśli słonie naprawdę były takie płochliwe, może kilka przeżyło.

Noe miał sceptyczny wyraz twarzy.

– Nie zaszkodzi się rozejrzeć – powiedział Gray, prostując plecy i patrząc na słońce.

Godzina 17.31

Jane siedziała z Derekiem w wodno-ładowej arce Noego.

Przed nimi Gray rozmawiał z przewodnikiem, podczas gdy Seichan kucała na dziobie, wypatrując zagrożenia. Kowalski w tym samym celu usadowił się na rufie, ze strzelbą na kolanach.

Jane usilnie starała się zapomnieć o niebezpieczeństwie.

Patrzyła na otaczające ją piękno, ciesząc się tropikalną pogodą po palącym skwarze Sudanu.

Błękitne niebo przeglądało się w spokojnej wodzie jeziora Ihema, marszczonej tylko przez kilwater, który skrzył się w ostatnich promieniach słońca. Wyglądało na to, że mają wielkie jezioro wyłącznie dla siebie.

Ale wiedziała, że to nieprawda. Może ich łódź była tu jedyna, lecz jezioro tętniło życiem. Hipopotamy wzdłuż brzegu unosiły łby i czasami rozdziawiały masywne pyski w pokazie agresji, gotowe bronić swojego terytorium. Leżące w papirusach krokodyle, podobne do długich czarnych kłód, stanowiły przypomnienie, że kąpiel w tych wodach jest rozrywką tylko dla największych śmiazków. Kilka stworzeń podejmowało to ryzyko, ale były to zwaliste dorosłe bawoły, niemające się czego obawiać ze strony gadów.

Patrzyła na stada koronników i kleszczaków na płycznach. Nie były jedynymi myśliwymi na jeziorze. Bielik afrykański właśnie opadł na powierzchnię, chwycił wijącą się srebrną zdobycz i z powrotem wystrzelił w niebo. Nad wodą pomykały tysiące innych ptaków, zbyt szybkich, żeby je rozpoznać, zbyt licznych, żeby choćby próbować.

Jak okiem sięgnąć, na okolicznych bagnach i łąkach było mnóstwo zwierząt. Stada antylop pasły się wraz z impalami i zebami. W dali po sawannie statecznie wędrowały żyrafy, kołysząc szyjami wysokimi niczym maszty statków.

Słońce opadało ku horyzontowi, więc wszędzie kładły się cienie, jak ciemne pociągnięcia pędzlem.

Jane westchnęła, wiedząc, jak łatwo byłoby dać się zwieść spokojowi tej krainy, a pamiętała, że przecież mają wiele do zrobienia.

Przypomniało jej o tym ostre plaśnięcie.

Derek potarł ramię, rozsmarowując odrobinę krwi po zabiciu owada, który go ukąsił. W tym regionie ci krwiopijcy roznosili chorobę i śmierć: gorączkę Zachodniego Nilu, dengę i żółtą febrę, nawet Zika, pochodzącą od ugandyjskiej małpy. Jane już wiedziała, że sprawcy tych chorób należą do flawiwirusów, takich jak te w mikrobie, na którego polowali – genetyczne konie trojańskie zdolne do zabijania męskiego potomstwa.

Więc może nie powinno dziwić, że tutaj trafiliśmy.

Gdy dumiała nad tym faktem, cud parku przysała.

Ujęła rękę Dereka i zarzuciła ją sobie na ramiona, chcąc czuć bliskość. Przytuliła się do niego.

Wyczuł jej niepokój i próbował go uśmierzyć.

– Wciąż sobie wyobrażam ludzi podobnych do Davida Livingstone’a i innych dziewiętnastowiecznych badaczy, przemierzających te bagna, walczących z żywiołami, dzikimi zwierzętami, nie wspominając... – uniósł pokąsaną rękę – o najmniejszych drapieżnikach.

Rozejrzał się.

– Prawdopodobnie Livingstone przeszukiwał ten obszar – ciągnął. – Wiemy, że Stanley znalazł zacnego doktora w wiosce nad jeziorem Tanganika, które leży tylko sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. I podczas gdy Stanley wrócił do domu, Livingstone został w Afryce, żeby kontynuować poszukiwania źródeł Nilu. Badania mogły go przywieść właśnie tutaj.

– O ile dobrze pamiętam, to właśnie na tych brzegach tubylec dał mu talizman.

Derek skinął głową.

– To samo plemię uhonorowało go po śmierci, grzebiąc jego serce pod tutejszą śliwą.

– A potem go zmumifikowali – dodała cierpko, myśląc o losie ojca.

– Z szacunku. Zapakowali zwłoki w sól i wysłali do domu w trumnie z kory. Livingstone spoczywa w Opactwie Westminsterkim.

– Ale czy było warto? Oddał życie, żeby dodać kilka kresek na mapie.

– Może też pomógł wielu krajowcom, ucząc ich i walcząc z handlarzami niewolników. Poza tym, jeśli nawet tego nie zrobił, poszukiwanie wiedzy nigdy nie idzie na marne. Każda linia wykreślona na mapie zbliża nas do zrozumienia świata i naszego w nim miejsca.

Nagrodziła go lekkim uśmiechem.

– Doktorze Rankin, jesteś lepszym człowiekiem niż ja.

Przytulił ją mocniej.

– Co do tego nie zamierzam się spierać.

Dotarli do krańca jeziora i wpłynęli w labirynt jeziorek wśród falistych wzgórz i bagien oddzielających ich od niskich gór ciemniejących na horyzoncie. Pojazd sprawdzał się w tym terenie. Niezależnie od wyzwania – głęboka woda, grząskie błoto, ruchome piaski czy wysoka trawa – amfibia Noego dawała sobie radę.

Nie wszyscy jednak byli zadowoleni.

Jane usłyszała wyburczaną za plecami skargę:

– Dlaczego on wciąż mnie liże?

Odwróciła się i zobaczyła, że Roho trąca nosem Kowalskiego, pociągając długim wilgotnym językiem po jego policzku. Olbrzym odepchnął lwa.

– Sprawdź, jak smakujesz, Kowalski – odezwała się Seichan z dziobu. – Jest ciekaw, czy warto cię zjeść.

Noe zganiał ją wzrokiem.

– Chodzi mu tylko o sól zawartą w pocie.

Ta informacja nie uspokoiła Kowalskiego.

– Więc jednak mnie smakuje – burknął.

Jane z powrotem przytuliła się do Dereka.

– Jak to było z tą wiedzą? – spytała. – Że zawsze warto wiedzieć jak najwięcej?

Godzina 17.55

Wala chciała przed przystąpieniem do działania zdobyć maksimum informacji.

Siedząc w fotelu drugiego pilota, poleciła zatoczyć kolejny szeroki krąg wokół wielkiego jeziora. Kruger otworzył boczny właz załadunkowy. Trzymając się uchwyty, stał z lornetką przy oczach. Obserwował, jak ich cele przemierzają jeziora, mokradła i trawiaste równiny, i prawdopodobnie wspominał swoich ludzi, których tamci zabili.

Kusiło ją, żeby obniżyć lot i wystrzelić w amfibię jeden albo dwa pociski Hellfire. Z pewnością by zginęli, ale takie rozwiązanie nie sprawiłoby jej satysfakcji. Z roztargnieniem pocierała rękojeść sztyletu babki.

Nie, ani trochę nie satysfakcjonujące.

Do tego dochodził problem natury praktycznej. Oboje z Krugerem zdecydowali, że będą ich śledzić, żeby zobaczyć, dokąd zmierzają. I jeśli nadarzy się okazja, zabrać dla siebie to, co mogło być gdzieś tam ukryte.

By sprzedać temu, kto da najwięcej.

Najlepsze było to, że знаła kogoś, kto był osobiście zainteresowany tym wszystkim i miał forsy jak lodu. Nadszedł czas, żeby wykorzystać tę znajomość.

Do diabła z Simonem Hartnellem... i Antonem.

Podjąwszy decyzję, nie miała zamiaru nawalić, a to oznaczało postępowanie zgodne z instrukcjami jej dawnych mocodawców z Gildii: zachowaj cierpliwość i czekaj na odpowiednią chwilę. Wszystkie dotychczasowe błędy były skutkiem zbyt pospiesznego działania, ponieważ kierowała nią niska żądza zemsty. Musi być zimna i wyrachowana.

Jak jej zwierzyna.

Przypomniała sobie twarz Seichan.

– Słońce zaraz zajdzie! – zawołał Kruger.

Wykręciła się w fotelu, patrząc na drona raven UAV w kabinie z Krugerem i jego trzema ludźmi.

– Zaczekaj z wypuszczeniem, aż zupełnie się ściemni.

Planowali czekać do zmroku i wysłać drona, żeby kontynuował śledzenie zwierzyny. Nie mogła ryzykować, że aparat zostanie zauważony w ciągu dnia. Kiedy go wypuszczą, będą mogli zatankować i znów czuwać na dużej wysokości, czekając na właściwy moment. Kiedy nadejdzie, obniżą lot. Kruger i jego ludzie wyskoczą ze spadochronami do skoków BASE, żeby zabezpieczyć teren. Ona skoczy z bardziej konwencjonalnym spadochronem. Pilot będzie krążyć i czekać na rozkaz odpalenia pocisków samonaprowadzających, żeby po nich posprzątać.

Jeśli ich cele niczego nie znajdą, wtedy najpierw zostaną wystrzelone pociski. Taki plan był daleki od zadowalającego czy opłacalnego, ale zadanie zostanie wykonane.

Wala wolała jednak ten pierwszy.

Dlatego patrzyła w dół i życzyła wrogom powodzenia.

Godzina 18.35

Teraz było już wiadomo, co Noe miał na myśli.

Ciemny las przed nimi wyglądał na nieprzebyty. Ich pojazd czterdzieści minut temu, gdy słońce zaczęło zachodzić, opuścił moczary i sawannę. Góry na północy wznosiły się jak kły przecinające świat. Szczyty były granitowe, a niższe partie porastała dziewicza, złowroga dżungla.

Jane i Derek na podstawie map hydrologicznych i topograficznych parku opracowali najlepsze podejście. Uważali, że rzeka wypływająca z gór i płynąca kręto przez równiny może być małym dopływem Kagery ze szkicu Livingstone'a, kończącym się przy znaku X.

Przynajmniej taką wszyscy mieli nadzieję.

Nie mając większego wyboru, zmierzali ku górom, jadąc wzdłuż rzeki. Noe często skręcał w koryto; walczył z prądem, czasami płynął, czasami pokonywał głazy na gąsienicach.

Wszyscy przemokli, bo woda bryzgała nad nadburciami. Trudno powiedzieć, kto był bardziej z tego niezadowolony: Kowalski czy Roho. Obaj skarżyli się równie żałośnie. Nie pomagało także to, że gdy tylko nastąpiła noc, temperatura gwałtownie spadła.

Dwa reflektory prowadziły ich coraz dalej, ale w końcu arka Noego dotarła do wodospadu. Rzeka z dudnieniem spadała po szeregu urwisk, blokując im drogę.

Gray wstał i spojrział na szczyt kaskady. Las na górze wydawał się jeszcze gęstszy.

– Koniec drogi – rzucił Noe, podchodząc do niego. – Stąd można iść tylko pieszo.

Komandor spojrział na pozostałych, oceniając ich hart ducha. Jane musiała się tego domyślić, bo podniosła się.

– Dotarliśmy tak daleko, więc czym jest mała przechadzka po lesie?

Derek wyglądał na mniej przekonanego, ale pokiwał głową, też wstając.

Noe pogodził się z ich decyzją; zarzucił strzelbę na jedno ramię i plecak na drugie. Gdy zagwizdał, Roho wyskoczył z łodzi i otrząsnął mokre futro. Noe założył mu czerwoną obrozę z czarnym ciężarkiem.

Młody lew z wielką niechęcią zgodził się na te zabiegi, nerwowo machając ogonem.

– Obroza impulsowa – wyjaśnił przewodnik.

– To nie jest okrucieństwo? – spytała Jane ze zmartwioną miną.

– Konieczność. Pomimo wyglądu wciąż jest dzieckiem. Co oznacza, że może się łatwo rozproszyć i równie łatwo zranić. Muszę mieć możliwość przyciągania jego uwagi. Ale nie ma obawy. – Wyjął z kieszeni coś, co wyglądało jak mały pager. – Mogę kontrolować siłę impulsów. Od jednego do dziesięciu. Rzadko muszę używać trójki, a jedyńka czy dwójka to nie więcej niż poklepanie po łopacie, coś jakbym mu mówił: „słuchaj, kolego”.

Roho potarł łeb o jego udo.

– Tak, to prawda. Jesteś dobrym kotem.

– Możemy załatwić taką obrozę dla Kowalskiego? – zwróciła się Seichan do Graya.

– Słyszałem – wyburczał wielkolud, idąc za nią.

– I tak miało być. – Przeskoczyła nad nadburciem, wylądowała na brzegu rzeki i ruszyła ku urwiskom.

Wszyscy wysiedli i podążyli za nią.

Po historii w Sudanie Gray kupił nowe kaski speleologiczne i teraz je rozdał. Nie wiedział, co ich czeka, ale zważywszy, jak

ciemno było pod koronami drzew, równie dobrze mogliby być pod ziemią.

Lampy błysnęły w ciemności i ruszyli zmierzyć się ze stromymi urwiskami.

Wspinaczka wzdłuż kaskady nie była tak mozolna, jak mogło się wydawać, zwłaszcza że pracowali w zespole. Czepiając się pnączy, korzeni i szczelin, wchodzili krok po kroku po kolejnych stromiznach, pomagając sobie wzajemnie, gdy zachodziła potrzeba. Tylko Roho wspinał się bez niczyjej pomocy.

Pokonawszy trzy czwarte drogi, Gray po dość ryzykownym odcinku wciągnął się na półkę skalną. Jane ciężko dyszała, a Derek był zaczerwieniony. Komandor zarządził krótką przerwę. Półka wisiała na wysokości pięciu, sześciu pięter nad zostawionym pojazdem.

– Brawo – powiedział do Jane.

Skinęła głową, zbyt zmęczona, żeby się odezwać.

Noe wyglądał tak, jakby mógł iść godzinami. Wskazał ręką drugą stronę wodospadu.

– Najwyraźniej jesteśmy głównym punktem dzisiejszego programu.

Gray odwrócił się i dostrzegł stado małych kucających na skałach. Niektóre miały młode na grzbietach.

– *Papio anubis* – oznajmił Noe. – Pawiany oliwkowe.

– Powinniśmy się martwić?

– Nie. Jeśli zostawisz je w spokoju, one też dadzą ci spokój. Są tylko ciekawe. Trzeba uważać na werwety. – Spojrzał na wiszące nad nimi gałęzie. – Te małe mały bombardują orzechami... i czasami czymś gorszym.

Jane w końcu odzyskała mowę.

– Pawiany nie wydają się zaniepokojone naszą obecnością.

– Prawda – przyznał Noe. – I zobaczycie, że tutaj to dość powszechne. Park odwiedza niewielu gości, więc w większości zwierząt nie wykształcił się lęk przed ludźmi. W ubiegłym miesiącu pewna kobieta zbudziła się w namiocie ze skulonym obok siebie koczkodanem, co uznaliśmy za dość zdumiewające,

ponieważ byliśmy przekonani, że ten gatunek wymarł. Ale daj naturze szansę, a cię zaskoczy.

Kowalski spojrzał spode łba na stado po drugiej stronie wodospadu.

– Jeśli jedna z tych małą zbudzi się obok mnie, zaskoczenie nie będzie odpowiednim słowem. Prędszej wku...

– Idziemy – wszedł mu w słowo Gray i wskazał w górę.

Ostatni odcinek pokonali bez przygód. Na górze kręte koryto rzeki znikowało w ciemnej dżungli, która tutaj wydawała się jeszcze bardziej nieprzebyta. Z głębi niosły się krzyki ptaków i skrzeczenie.

Derek spojrzał na czekającą ich drogę.

– Ta dżungla wygląda na pradawną, jakbyśmy podróżowali w czasie.

– W pewien sposób tak jest. – Noe wyjął maczetę, gotów w razie konieczności wycinać ścieżkę, i ruszył pierwszy brzegiem rzeki.

Roho trzymał się blisko niego, nerwowo machając ogonem.

– Ta część Rwandy leży na terenie Wielkiego Rowu Wschodniego, ogromnej rozpadliny, która ciągnie się wzdłuż zachodniego brzegu Jeziora Wiktorii i zakrzywia się jak wielki półksiężyc od jeziora Tanganika na południu do skraju doliny Nilu.

– Jeśli Livingstone podążał tą drogą, szedł właśnie wtedy – szepnął Derek do Jane.

Noe kontynuował wykład, wskazując maczetą.

– To jedne z najstarszych gór w Afryce, zbudowane ze skał prekambryjskich. – Spojrzał na nich. – Zasadniczo to skorupa kontynentu. I te lasy istnieją mniej więcej tak samo długo.

Gray patrzył na dżunglę, doceniając otaczającą go żywą historię.

W milczeniu, niemal z czią, szli przez jakieś półtora kilometra. Posuwali się gęsiego, lampy na kaskach tworzyły gąsienicę wkręcającą się coraz głębiej w tamtejsze tajemnice.

Roho nabrał odwagi; zaczął odbiegać od boku Noego – tu powęszył, tam przycupnął – ale zawsze wracał po dodające otuchy klepnięcie albo życzliwe słowo.

Jego opiekun uśmiechał się jak dumny tata, może odrobinę smutny, bo przecież wiedział, że w końcu będą musieli się pożegnać. Raz pochylił się i przytulił przyjaciela.

– *Ndagukunda, Roho. Ndagukunda* – szepnął do lwiego ucha. Odpowiedziało mu pełne wdzięczności mruczenie.

Gray oczywiście nie znał ruanda-rundi, ale domyślał się, że *Ndagukunda* znaczy „kocham cię”.

I najwyraźniej uczucie było wzajemne.

Po jakimś czasie gąszcz odsunął się kawałek dalej od rzeki i Gray mógł iść obok przewodnika.

– Jak pan trafił do pracy w parku?

Myślał, że to zwyczajne pytanie, ale ból na twarzy mężczyzny świadczył o tym, że poruszył drażliwy temat. Noe nie wzbraniał się jednak przed udzieleniem odpowiedzi.

– Kiedy byłem młody, mieszkałem w Kigali.

– W stolicy Rwandy.

– Tak. W wieku szesnastu lat wstąpiłem do wojska. Byłem z tego bardzo dumny, a w dziewięćdziesiątym czwartym nawet awansowałem na kaprała.

Gray zaczął rozumieć udrękę, którą słyszał w jego głosie. W czerwcu tamtego roku, gdy w Rwandzie wybuchła wojna plemienna, doszło do jednego z najgorszych aktów ludobójstwa. Rządzący Hutu postanowili zlikwidować osoby pochodzenia Tutsi. Według niektórych szacunków, w ciągu stu dni wymordowano milion ludzi.

Noe westchnął, patrząc na dżunglę.

– Byłem Hutu.

Nie dodał nic więcej.

Roho wrócił, jakby wyczuwając cierpienie swojego pana, i krążył wokół niego, ocierając się o jego nogi. Noe nie zwracał na niego uwagi, zagubiony we wspomnieniach, które niewątpliwie starał się wymazać z pamięci.

Po kilku cichych minutach wreszcie się odezwał:

– Tu jest lepiej. Od zwierząt można się wiele nauczyć. Nauczają cię, jak żyć...

Zawiesił głos, ale Gray mógłby za niego dokończyć: *...kiedy na to nie zasługujesz.*

Przystanął, pozwalając przewodnikowi iść z przodu. Noe z pewnością próbował odkryć siebie na nowo, troszcząc się o bezbronnych, żeby wynagrodzić to, czego nie zdołał dokonać w przeszłości.

Wędrowali w milczeniu, stawiając jedną nogę przed drugą. Dotarli do miejsca, gdzie rzeka wystąpiła z brzegów i zalała las po obu stronach. To przypomniało Grayowi o regionach Amazonii, które sezonowo są zalewane, więc las przemienia się w moczary. Tutejsze rozlewisko wyglądało na trwałe: wiecznie zalany las w środku gór.

Noe ściał maczetą gałęzie, żeby zrobić dla nich laski.

– Uważajcie na węże – uprzedził i pokazał, jak mają machać kijem przed sobą. – I łachy ruchomych piasków.

– Zabierasz nas, Gray, do samych najlepszych miejsc – burknął zrzędlawie Kowalski.

Tutaj szli znacznie wolniej. Światła odbijały się od ciemnej wody, utrudniając zobaczenie tego, co mogło się czaić pod powierzchnią. Woda sięgała mniej więcej do połowy łydki, ale głębokość rosła i malała zgodnie z ukształtowaniem terenu. Mokradła wokół nich były usiane wysepkami. Od czasu do czasu jasne pary okrągłych oczu spoglądały na nich z wysokich gałęzi.

– Galago – wyjaśnił Noe. – Małe naczelnie prowadzące nocny tryb życia.

Szli dalej. Po dwudziestu minutach wędrówki Jane przesunęła się do przodu i lekko dotknęła ramienia Graya.

– Spójrz w prawo. Widzisz te światła czy może wzrok płata mi figle?

Obrócił głowę we wskazanym kierunku. Daleko w zatopionym lesie dostrzegł nikłe migotanie, łagodnie jarzące się plamy. Mieniły się w kalejdoskopie odcieni.

Zaciekawiony, przyciągnął uwagę innych.

– Zgaście lampy.

Gdy światła zgasły, efekt stał się bardziej dramatyczny. Był szerszy, niż z początku się wydawało, i miał głębię. Niektóre łąty opalizowały, inne łagodnie mrugały, jarzyły się i fosforyzowały. Były tam smugi, wiry i kleksy, jakby Jackson Pollock przyszedł do dżungli z pędzlem i paletą luminescencyjnej farby.

– Co to powoduje? – zapytał szeptem Derek.

Jane ściągnęła brwi.

– Może świecący mech albo grzyby.

Ale w tylu kolorach?

To nie miało sensu.

– Widział pan kiedyś coś takiego? – zwrócił się do Noego.

Przewodnik pokręcił głową.

– Nigdy.

Żadne z nich nie spotkało się z czymś takim. Roho, wiecznie ciekawy, skoczył w kierunku zjawiska. Jego łapy głośno pluskały w płytkiej wodzie.

– Roho, nie! – Noe ruszył za pupilem, sięgając do kieszeni po pilota obroży.

Gray zapalił lampę i pospieszył za nimi, pociągając za sobą pozostałych. Słyszał opowieści o błędnych ognikach, które wabią tych nieświadomych na bagna i moczary. Modlił się o to, żeby nie wpadli w podobną pułapkę.

Przewodnik próbował zmusić lwa do posłuszeństwa, wciskając przycisk pilota, ale zwierzak kontynuował swój radosny pościg.

Gdy dotarli do „malowanego lasu”, Noe musiał zwiększyć siłę impulsu. Roho pisnął, podskoczył i wreszcie się zatrzymał.

Noe podbiegł i szybko pocieszył młode zwierzę, które robiło ósemki wokół jego nóg.

– *Babarira, Roho* – przeprosił. – *Babarira*.

Gray i pozostali skupili się wokół nich. Z bliska efekt wyglądał oszałamiająco. Było to coś jak eteryczne konstelacje gwiazd

uwięzione pod koronami drzew, jarzące są łagodnie, odbite w wodzie.

– Piękne... – szepnęła Jane.

I las odpowiedział na jej podziw.

Z najdalszych głębi dobiegł niski pomruk, jakby paplanina wielu głosów, ale słowa brzmiały zbyt cicho, żeby je rozróżnić.

Niesamowity hałas sprawił, że Gray dostał gęsiej skórki. Pamiętał, jak Noe mówił, że te lasy podobno są nawiedzone.

Seichan chwyciła go za ramię.

– Musimy się stąd wydostać.

Gray cofnął się – ale „malowany las” już był w ruchu.

Wyspa Ellesmere'a, Kanada

3 czerwca, godzina 14.38 czasu miejscowego

Gdybym tak się nie bał, byłbym oszołomiony.

Ukryty w ładowni Painter poczuł, że boeing C-17 globemaster wchodzi w kolejny powolny zakręt.

Po locie tak turbulentnym, że szczękały zęby, samolot wyrwał się z chmur i od ponad godziny krążył w warstwie spokojniejszego powietrza nad burzą. Załoga prawdopodobnie koordynowała działania i przygotowywała się do wypuszczenia osiemnastu ćwierćtonowych pojemników *Pestis fulmen*, ale ponieważ na dole szalała burza śnieżna, a na górze geomagnetyczna, łączność pomiędzy Stacją Aurora i globemasterem musiała być utrudniona.

Albo może wszyscy zachowywali nadzwyczajną ostrożność.

Rozumiał ich, mając tuż obok policzka naklejkę ostrzegającą przed zagrożeniem biologicznym.

Wykorzystał czas na ustalenie, ile osób jest na pokładzie samolotu. Musiał być ostrożny, przekradając się między pojemnikami.

Wypatrzył dwóch mężczyzn w czarnych kombinezonach – ludzi Antona – uzbrojonych w takie same karabiny, jaki miał zarzucony na ramię. Sprawdził, czy dwa zapasowe magazynki, które zabrał strażnikom w węzle łączności, na pewno są pełne. Obserwował zachowanie strażników. Niestety, regularnie się zmieniali i nie przystawali razem w jednym miejscu.

Paskudnie.

Przed chwilą niemal został nakryty przez członka załogi, który musiał się wysikać, ale jedyna toaleta była zajęta, więc przyszedł do ładowni, żeby skorzystać z pisuaru, a w zasadzie lejka z ujściem na zewnątrz. Stał tak blisko, że Painter mógłby go poklepać po ramieniu. Z bliska zauważył szelki z kaburą. Uznał, że załoga składa się z dwóch pilotów i technika zajmującego się ładunkiem.

Na pokładzie znajdowało się również sześcioro naukowców. Z ich rozmów wynikało, że raczej są cywilami.

Painter stanął przed dylematem. Ci ludzie mogli nie mieć złych zamiarów – po prostu entuzjastyczni badacze. Jeśli wyskoczy i zacznie strzelać, może uda mu się załatwić dwóch strażników, ale nie mógł wykluczyć, że naukowcy znajdą się w krzyżowym ogniu. I do czego to doprowadzi? Na pierwszy znak kłopotów załoga po prostu zamknie kokpit, a on, sfrustrowany, będzie strzelać w kuloodporne drzwi. Poza tym technik w kabinie może z pulpitu uruchomić automatyczny system wyładunkowy.

Zdecydował się na znacznie prostszy plan.

Z przodu rzędu palet były dwa czerwone przyciski wyłączania awaryjnego, po jednym z obu stron ładowni. Służyły do odcinania zasilania hydraulicznych lemieszki przeznaczonych do wypchnięcia dwóch rzędów palet przez otwarty właz załadunkowy. Niestety, Painter zdawał sobie sprawę, że taki plan ma dwa słabe punkty. Po pierwsze, wyłączniki zadziałają dopiero wtedy, gdy system wyładunkowy zostanie włączony i palety ruszą ku włazowi, co oznaczało, że będzie musiał czekać do ostatniej chwili. Po drugie, jeśli nawet wciśnie przycisk, technik może przejść na sterowanie ręczne i ponownie wprowadzić wszystko w ruch.

Painter chciał wykorzystać czas pomiędzy jednym i drugim na przekonanie wszystkich na pokładzie, żeby zrezygnowali z tej akcji.

Chcąc osiągnąć cel, potrzebował jednej rzeczy.

Zakładników.

Naukowcy skupieni wokół prowizorycznego stanowiska nagle się ożywili. Na monitorze widniała mapa scyntylacji jonosferycznych. Rzucali komentarze na temat turbulencji, posługując się tajemniczym żargonem.

- Spójrzcie na ten skok plazmy. Zdecydowanie HSS.
- To może być obszar korotującej interakcji.
- CIR? Nie, wykracza poza skalę G.

W ładowni nie było okien, więc Painter mógł sobie tylko wyobrazić, jak wygląda zorza polarna na tej wysokości. Nad powłoką chmur świeciło słońce, ale ponieważ wisiało nisko nad horyzontem, zjawisko musiało być dobrze widoczne. Chciałby je zobaczyć.

Niestety, wróżka spełniająca życzenia go usłyszała.

Wokół zabrzmiał niski jęk hydrauliki. Painter zerknął przez ramię i zobaczył, że właz załadunkowy się otwiera. Światło dzienne wpadło do mrocznej ładowni przez rozszerzającą się szczelinę.

Rozległy się wesołe okrzyki i oklaski.

Painter wcisnął się głębiej pomiędzy palety. Wiatr ryczał na zewnątrz, ale dzięki ciągowi wielkiego samolotu nie wpadał do ładowni. Maszyna lekko podskoczyła po opuszczeniu rampy, ale pilot dowiódł swoich umiejętności, równo trzymając skrzydła i stabilizując lot.

Po chwili samolot skierował się ku niskiemu słońcu, co pozwoliło Painterowi spojrzeć na kobaltowe niebo za ogonem. Omywały je skrzące się fale zieleni i czerwieni, tańcząc i podrygując. Chwilowo zahipnotyzowany, nie zwrócił uwagi na zmianę wysokości tonu urządzenia hydraulicznego, ale zgrzyt silnika sprawił, że natychmiast się odwrócił.

Jeden z lemieszów ruszył.

Painter przypuszczał, że technik będzie wyrzucać po jednym rzędzie naraz, zmniejszając ryzyko splątania się nadymanych balonów.

Jak na złość, rząd dziewięciu palet, wśród których się ukrywał, miał wylecieć jako pierwszy.

Gdy się zaczęło, Painter sprawdził, gdzie są ludzie przebywający w ładowni. Wyskoczył z kryjówki, skulił się i pobiegł między wysokimi skrzyniami i krzywizną kadłuba.

Dotarł do czerwonego przycisku i uderzył w niego dłonią.

Lemiesz, który zbliżał się do jego rzędu, stanął z sapnięciem niezadowolenia.

Wszyscy spojrzeli na Paintera, zszokowani, jakby wyrósł spod ziemi.

Nadszedł czas na wzięcie zakładników.

Skoczył i ukrył się za pierwszą skrzynią po lewej stronie. Z kryjówki wymierzył z karabinu w etykietę ostrzegającą przed zagrożeniem biologicznym, przyklejoną do pojemnika w drugim rzędzie.

– Niech nikt się nie rusza, bo zacznę strzelać do zakładników!
– ryknął.

Przekonajmy się, jak bardzo ceniam życie, swoje i przyszłych synów, pomyślał.

Najwyraźniej groźba nie dotarła do technika w kabinie. Drugi siłownik jęknął i zaczął sunąć ku drugiemu rzędowi, gotów zepchnąć jego zakładników. Technik musiał zobaczyć czerwone światło na pulpicie pierwszego rzędu i postanowił wyrzucić drugi, co miało mu dać czas na sprawdzenie przyczyny awarii.

Niestety, jego decyzja nie współgrała z planem Paintera.

Przygwożdżony, nie miał możliwości dotrzeć do przycisku po prawej stronie ładowni, więc lemiesz przesuwiał się bez przeszkód. Uderzył w pierwszą paletę, pchnął ją na następną i śmiertelnie groźna parada ruszyła w kierunku otwartego wjazdu ładunkowego w tyle samolotu.

Painter zaczekał, aż lemiesz znajdzie się tuż przy nim, i wycelował w przewody hydrauliczne z nadzieją, że przerwie kilka z nich i wymusi zatrzymanie się urządzenia. Nacisnął spust, starannie mierząc, ponieważ bał się rykoszetów w zamkniętej przestrzeni.

Dwa pociski przerwały przewód, ale nie wywarło to żadnego skutku.

Przynajmniej nie na lemiesz.

Jeden ze strażników, mylnie biorąc strzały za atak, spanikował i otworzył ogień w kierunku pozycji Paintera. Ten był bezpiecznie osłonięty, więc żaden z pocisków go nie trafił, chociaż może byłoby lepiej, gdyby tak się stało.

Wystrzelone z bliskiej odległości kule przebiły na wylot aluminiowy pojemnik z *Pestis*, po czym przemknęły nad jego głową. Straciły dość pędu, żeby tylko brzdęknać o następny pojemnik.

Szkoda została wyrządzona.

Trysnęły fontanny szkarłatu, zalewając Paintera. Krzyki na alarm i wrzaski przerażenia świadczyły, że podobne strugi popłynęły z drugiej strony. Ale to nie był koniec katastrofy.

Painter usłyszał nad głową ostry syk.

– O nie...

Wyjrzał i zobaczył, że balon meteorologiczny wybuchł z pakunku na wierzchu pojemnika, jak poduszka powietrzna w czasie kraksy samochodowej. Kula musiała trafić w zbiornik z gazem. Balon uderzył w sufit ładowni, gdzie chwilę trząśł się i miotał, a potem zrobił to, do czego został zaprojektowany – popłynął ku otwartemu włazowi, wlokąc za sobą uszkodzony, przeciekający pojemnik.

Painter uskoczył z drogi, rzucając się w głąb kadłuba.

Ćwiercotonowy pojemnik o centymetry minął jego głowę.

Inne zostały przewrócone, ale połączony ciężar w końcu zatrzymał ich zbłąkanego towarzysza. Balon pękł i sflaczał, spadając na pozostałe skrzynie w rzędzie.

Po prawej stronie ładowni lemiesz wciąż spełniał swoje zadanie, nie bacząc na panujący chaos.

Painter patrzył, jak kolejne pojemniki opuszczają pokład. Spadały niczym kamienie, ale po chwili białe grzyby rozkwitały na tle błękitnego nieba, oświetlone od tyłu przez migoczącą zorzę polarną.

Dziewięć balonów wznosiło się w niebo, dźwigając rozkołysany ładunek, podczas gdy Painter bezradnie kulił się pod

ścianą kadłuba.

– Co się dzieje, do cholery? – dobiegło wołanie z przodu.

Painter odwrócił głowę. Przypuszczał, że zszokowany mężczyzna jest technikiem, który przyszedł sprawdzić, dlaczego mechanizm się zatrzymał. Karabiny oskarżycielsko wycelowały w Paintera.

Przemoczony do suchej nitki, jak Carrie na balu maturalnym, wzruszył ramionami.

– Uznajcie, że macie zły dzień.

Godzina 15.39

Trzymaj się, prosiła w duchu Kat, kucając przy Safii i przykładając zimny kompres do jej czoła. Po pierwszym ataku przeniosła na wpół przytomną kobietę z pojazdu do jednego z inuickich skórzanych namiotów. Okazało się, że arktyczni nomadowie koczujący na jeziorze Hazen mają składane łóżka i stos futrzanych koców, a namiot jest ogrzewany przez kuchenkę turystyczną.

Trzej inuiccy rybacy – Tagak, Joseph i Natan – zaproponowali pomoc. Kat nie chciała ich narażać, więc kazała im trzymać się z daleka. Zgodziła się jednak skorzystać z namiotu i apteczki, która zawierała wielce potrzebną butelkę aspiryny, dla niej i Safii.

Łyknęła trzy tabletki, mając nadzieję, że się nie rozchoruje.

Kazała Rory'emu zrobić to samo. Chłopak krążył za jej plecami po małej przestrzni. Uwolniła go, rozumiejąc, że trzymanie go w więzach jest marnowaniem pożytecznej siły, zwłaszcza że trzeba było przenieść Safię do namiotu.

Poza tym dokąd mogłby pójść? Miała kluczyki sno-cata, a jedynym środkiem transportu Inuitów były rakiety śnieżne i sanie z psim zaprzęgiem. Godzinę temu Natan ruszył ze swoim zaprzęgiem w kierunku Alertu, z zamiarem sprowadzenia pomocy.

Na jeziorze Hazen był mały prowizoryczny pas startowy – jedno z trzech miejsc w parku, gdzie można wylądować samolotem. O tej porze roku pas był zaśnieżony i tym samym bezużyteczny, mimo to Kat miała nadzieję, że baza w Alercie wyśle tu pomoc.

Przynajmniej taki był plan.

Kazała Tagakowi i Josephowi stanąć na straży, obserwować górskie szczyty i wypatrywać myśliwych ze stacji. Jak wszyscy podróżujący w Arktyce, Inuici mieli strzelby.

Safia jęknęła, miotając się pod kocami. Kat znalazła w apteczce termometr cyfrowy i zmierzyła jej temperaturę: trzydzieści dziewięć i siedem kresiek. Wysoka gorączka, ale nie zabójcza. Chcąc chronić jej mózg, zmieniała kompresy zanurzone w lodowatej wodzie, po którą do czasu do czasu posyłała Rory'ego. Jeden przykładła do karku Safii, a drugi do czoła.

Zimno jakby uspokajało chorą i nie doszło do powtórnego ataku. Po tym pierwszym Safia to traciła, to odzyskiwała przytomność; czasami ich rozpoznawała, czasami nie.

Mamrotała w malignie.

Rory przysunął się bliżej, przekrzywiając głowę.

– Chyba mówi we wczesnym koptyjskim.

– Jesteś pewien?

– Nie na sto procent. Może nie ma to żadnego znaczenia. Doktor al-Maaz jest ekspertem w dziedzinie historii Egiptu i dobrze zna koptyjski. Może tylko wywleka słowa z rozgorączkowanej podświadomości.

Kat na niego spojrzała.

– Ale tak naprawdę nie sądzisz, żeby takie było wyjaśnienie, prawda? – spytała.

– Kiedy zachorował mój ojciec... i inni... mieli niesamowite halucynacje.

– Co nie powinno dziwić, gdy człowiek ma wysoką gorączkę i zapalenie opon mózgowych.

– Tak, ale chodzi mi o to, że ich majaki były bardzo podobne. Wszystkie dotyczyły Egiptu, palących piasków, chorób.

– Twój ojciec i jego ludzie mogli reagować na gorąco i strach przed chorobą. Podobieństwa mogły być niczym więcej niż tylko siłą sugestii, powodującą zbiorowe urojenia.

– Możliwe, że masz rację. Niektóre z halucynacji od nich odbiegały.

No właśnie.

Rory westchnął.

– Nie mogę przestać myśleć o ojcu.

– To znaczy?

– Prowadziliśmy długie rozmowy przez internet. Miał swoją teorię. Uważał, że ten organizm może rejestrować wspomnienia zainfekowanej osoby, przenosić je do następnej ofiary i odtwarzać przez stymulowanie jej mózgu.

– Dlaczego miałyby to robić? Czy jest w tym jakaś korzyść ewolucyjna?

– Ojciec był przekonany, że mikroby przechwytyują i rejestrują tylko najbardziej poruszające, najbardziej przerażające wspomnienia, te, które najsilniej pobudzają mózg, zapewniając im więcej pokarmu. Następnie, przenosząc je do mózgu kolejnej ofiary i tam je odtwarzając...

– W ten sposób szybko zasiląby nowe żerowisko – weszła mu w słowo Kat, kiwając głową. – Intrygujące, ale dokąd to nas prowadzi?

– Według ojca, do plag egipskich.

– Jak?

– Wierzył, że szczep mikroba, który go zainfekował, ten sam który zainfekował Safię i rozprzestrzenia się w Kairze i innych miejscach, pochodzi z czasów, kiedy organizm po raz pierwszy rozkwitł w Nilu, zmieniając kolor wody na czerwony. Uważał, że mikroby mogły zarejestrować panującą w tym okresie grozę i panikę i teraz znów to odtwarzają... coś jak echo z dalekiej przeszłości.

– Po tak długim czasie?

– Może dla tego organizmu to wcale nie długo. Simon dokładnie przebadał mikroby i stwierdził, że są prawie

nieśmiertelne, zdolne do zapadania w stan uśpienia i budzące się wtedy, gdy dostaną następną porcję energii. – Rory wzruszył ramionami. – Jak wcześniej wspomniałem, było to coś, nad czym ojciec się zastanawiał. Safia, mówiąc w starożytnym egipskim, przypomniła mi o tej rozmowie.

Kat zadumała się nad tą teorią. Ludzkie wspomnienia są magazynowane w hipokampie, ale niedawno przeprowadzone badania sugerowały, że są tam przechowywane tylko krótkoterminowo. Na przechowanie długoterminowe hipokamp wysyła je do całej kory mózgowej.

Przypomniała sobie również, że doktor Kano wspominała o tym, że archeony są w niezwykły sposób zmiennokształtne i potrafią łączyć się w coś w rodzaju przewodów czy kabli. Czy sieć połączonych mikrobów może przechwycić przechowywane w mózgu wspomnienia i później je odtwarzać?

Safia drgnęła; jej usta poruszały się bezgłośnie, gdy śniła.

Kat poczuła przenikający ją chłód, gdy wyobraziła sobie scenariusz rozwijający się w jej głowie.

Rory przysunął się bliżej i szepnął do ucha Safii:

– *Khere, nim pe pu-ran?*

– Co powiedziałaś? – spytała Kat, unosząc brwi.

– Zapytałem, jak ma na imię, w starożytnym koptyjskim.

– Ale dlaczego...

Głos Safii brzmiał słabo, jakby dobiegał z głębokiej studni.

– *Saba pe pa-ran... Saba.*

Chłopak drgnął i odsunął się od niej z przerażoną miną.

– Co się stało?

Spojrzał na laptopa, który leżał na złożonym futrze, potem na Safię.

– Powiedziała, że ma na imię Saba.

– No i?

– Zanim rozpętało się to piekło, Safia poznała imię zmumifikowanej kobiety na tronie, tej, która ją zaraziła. Miała na imię Saba.

Kat chciała zbagatelizować jego wyjaśnienie, zrzucić je na karb siły sugestii. Jeśli Safia pracowała nad tą zagadką, jej umysł pod wpływem gorączki mógł się tego ucześcić.

Jednak...

Spojrzała na Rory'ego.

– Skąd znacie jej imię? – spytała.

– Z tatuażu na czole.

Po chwili namysłu wyjęła płytę, którą Safia zabrała z laboratorium, pokazała ją Rory'emu i wskazała laptopa.

– Zobaczmy, czego innego można się dowiedzieć.

Była gotowa poruszyć niebo i ziemię.

Rory skwapliwie wziął płytę i usiadł po turecku przed komputerem. Kat skierowała uwagę na Safię, pragnąc, żeby walczyła. Zmierzyła jej temperaturę, odświeżyła kompresy i zmusiła ją do przełknięcia kolejnej aspiryny z kilkoma łykami wody.

Za jej plecami Rory stukał w klawiaturę, mamrocząc pod nosem, chwilami sfrustrowany, chwilami zdumiony. Pozwoliła mu skupiać się na pracy.

Nagle usłyszeli głos zza połę namiotu.

– Słuchajcie... – Był to Joseph, najstarszy z trójki Inuitów. – Ktoś nadciąga. W dolinę spływa z gór wiele światła.

Kat wstała i chwyciła pistolet.

Czas, żebym ja też zabrała się do pracy.

Godzina 15.58

Saba pe pa-ran...

Po raz tysięczny idzie przez palące piaski, mijając martwe bawoły, zmiażdżone ciała ptaków o wszelakim upierzeniu i ścierwojady, które padły tam, gdzie się żywiły.

Z doliny po lewej stronie dobiegają płaczliwe, żałobne krzyki.

Mimo wszystko zmierza ku rzece krwi. Krokodyle płyną bezwładnie, odwrócone brzuchami ku słońcu. W trzcinach leży

pełno wysuszonych żab. Wszędzie chmary much wznoszą się i opadają jak fale morza za deltą.

Napływają inne obrazy, nakładając się na ten, który widzi.

Kobieta przytula do piersi konającego synka.

To moje dziecko.

Młoda dziewczyna chwytła powietrze, gdy jej ciało płonie.

Jestem tą dziewczyną.

Garbata starucha jest kamienowana za bluźnierstwo przeciwko bogom.

Czuję, że te kamienie rozłupują moją czaszkę.

I tak dalej.

Jest setką kobiet wywodzących się z czasów tamtego nieszczęścia. Jest Sabą i wszystkimi innymi, które nosiły to wspomnienie. Do tego zostały wyszkolone, każda z nich była *hemet neczer*... dziewicą boga. Nauczyły się przyjmować wodę i pozwalać, żeby je przemywała; nauczyły się tłumić swoje lęki, żeby nie skaziły wspomnień niedoli przekazywanych następnej kobiecie po to, by nigdy nie poszły w niepamięć.

Noszenie wspomnienia jest przekleństwem.

Wiedza o tym, co wiemy, jest błogosławieństwem.

I teraz ja jestem następna.

Safia dociera do błotnistej brzozy i jeszcze raz patrzy tam, gdzie daleko za rzeką świat kończy się murem ciemności. Burza pożera słońce i jeszcze nie jest syta. Trzaskają błyskawice, a grad dudni na piasku jak kopyta tysiąca złych ogierów. Safia wie, że to przeszłość i jednocześnie to, co może nadejść.

Mówi do nowej kobiety.

Musisz ich ostrzec.

Godzina 16.05

– Utrzymują się odpowiednie warunki do optymalnego strzału próbnego – powiedział doktor Kapoor.

Stali przy sterze w stacji kontroli z panoramicznym widokiem przez zakrzywione okna na wieżę. Simon Hartnell już ponad pół godziny na przemian odczuwa wściekłość i radosne uniesienie.

Nie miał pojęcia, jak Painter Crowe⁷ znalazł się na pokładzie transportowca. Tak jakby drań był ucieleśnieniem swojego nazwiska i wleciał tam spod chmur. Samolot był skażony i zamykano właz ładunkowy. Połowa skrzyń z *Pestis fulmen* została na pokładzie, ale mimo sabotażu dziewięć bezpiecznie wyleciało na zewnątrz.

Hartnell patrzył na mapę jonosfery. Małe, jasne rozbłyski oznaczały miejsca, gdzie pojemniki rozsiały swoją zawartość tuż nad dolną granicą tej naładowanej plazmą warstwy atmosferycznej. Na ekranie wirowały i falowały cyfrowe obrazy zasilonych energią strumieni z burzy geomagnetycznej.

Kapoor pokiwał głową.

– Prognozy wciąż są dobre, nawet bez dodatkowego ładunku. Powinniśmy jednak dać naszym nasionom czas na zaaklimatyzowanie się w tej kałuży. – Wskazał wir energii na ekranie. – Z drugiej strony, nie możemy czekać zbyt długo, żeby prądy jonosferyczne za bardzo ich nie rozproszyły. Już namierzyłem to miejsce, żeby wysłać w nie wiązkę.

– Kiedy zamierza pan ją wystrzelić?

– Za dziesięć minut.

– Dobrze.

Miliarder niemal podskakiwał z podniecenia.

Jeszcze dziesięć minut i marzenie Tesli się spełni... wraz z moim własnym.

Gdy zadzwonił telefon na jego pulpicie, odebrał i usłyszał szum zakłóceń. Wiedział, kto dzwoni na jego prywatną linię.

– Anton?

– Znaleźliśmy ich.

– A dane?

– Za dziesięć minut będą zabezpieczone.

Uśmiechnął się na myśl o tej przypadkowej zbieżności w czasie.

Doskonale.

– Znasz swoje rozkazy – powiedział.

– A kobiety?

Spojrzał na ekran ukazujący krążący samolot. Painter Crowe już nie stanowił problemu, był tylko niedokończoną sprawą. Hartnell nie widział potrzeby zatrzymywania karty przetargowej.

– Posprzątaj bałagan – nakazał.

– Rozumiem.

Ścisnął ręce za plecami w próbie pohamowania podniecenia, spacerując w tę i w tę. Spojrzał na swój pulpit.

Wszystkie światła zielone.

Kapoor wrócił po czasie, który dłużył się jak wieczność.

– I jak? – zapytał Hartnell, bo doktor jakby się wahał.

Fizyk z szerokim uśmiechem wskazał klucz na jego konsoli.

– Gotowi do odpalenia.

Hartnell poczuł, że ta chwila wymaga jakichś wiekopomnych słów, doniosłego przemówienia o zmianie świata, ale pozwolił, żeby czyny zastąpiły słowa. Podszedł do konsoli, chwycił klucz i przekręcił.

Poczuł w palcach vibracje mocy, gdy uaktywnił system... a może był to dreszcz euforii.

Nareszcie...

Wszystkie głowy w stacji obróciły się w stronę okien.

– Patrzcie na szczyt wieży – powiedział Hindus.

Jego mocodawca skierował spojrzenie w górę. Miedziane pierścienie zaczęły wirować, pociągając masywne elektromagnesy. Wewnątrz tego metalowego gniazda jajo nadprzewodników z tytanową skorupą powoli się obróciło; jego czubek skierował się w dół.

– Zdumiewające – szepnął Kapoor.

Przez ponad minutę pierścienie obracały się szybciej, magnesy rozmyły się w smugę. Jajo wirowało jak idealnie zrównoważony bąk, unosząc się nieważko w kokonie energii; potem powoli zaczęło się przechylać, obracając węższym końcem ku ciemnemu niebu.

Hartnell z zapartym tchem zrobił krok do przodu, pociągając za sobą Kapoora.

Kiedy oś jaja zwróciła się ku niebu, wypuścił z płuc długo wstrzymywane powietrze.

Z rykiem, który brzmiał tak, jakby świat się rozpadał, z wieży wystrzelił snop czystej plazmy. W stacji kontroli zabrzmiały wiwaty i gwizdy. Każdy wiedział, że jest to pierwszy krok na ratunek planecie. Błękitne iskry skoczyły z czubka wieży ku antenom, tańcząc wśród konarów tego stalowego lasu. Przypominały Hartnellowi ognie świętego Elma, naturalne wyładowania elektryczne, które kiedyś pojawiały się na masztach i rejach statków żeglujących po nieznanym morzach.

Ta wyprawa badała znacznie bardziej tajemniczy ocean.

Słup plazmy uderzył w chmury i je przepalił. Błyskawice przemykały po zachmurzonym niebie, próbując rozproszyć energię. Promień mknął coraz wyżej i w końcu dotarł do zamierzonego celu.

Uderzył w jonosferę, trzasnął w tarczę, którą Hartnell tam rozpostarł, w barierę złożoną z najmniejszych form życia. Energia rozlała się na zewnątrz, widoczna jako zorza o takiej jasności, że musiał przymrużyć oczy.

Kapoor podał mu ciemne gogle.

Miliarder uniósł je do oczu, zbyt podniecony, żeby zapiąć pasek. Z wieży płynęło w niebo coraz więcej energii, jeszcze bardziej ładując zorzę. Fale energii rozpływały się kaskadą we wszystkie strony.

– Pan tego dokonał – powiedział Hindus, przenosząc spojrzenie na pulpit. – Wygląda stabilnie.

Hartnell się uśmiechnął.

Wreszcie...

Godzina 16.21

Działo się coś strasznego.

Painter stał w pobliżu otwartego wjazdu załadunkowego globemastera, z pięścią owiniętą w strzęp balonu meteorologicznego. Na zewnątrz słup ognia przepalił burzę i strzaskał dach świata. Zasilona przez tę energię zorza rozlała się we wszystkie strony, zaćmiewając nawet arktyczne słońce.

Poczuł wyładowanie na skórze, gdy mikroby w jego ubraniu zareagowały na energię w powietrzu. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że szkarłatne kałuże cieczy, która wylała się z przestrzelonego pojemnika, migoczą łagodnym blaskiem.

Jedna z tych kałuż przemieniła się w strumyk płynący w jego stronę, w kierunku otwartego wjazdu. Wrzasnął do ludzi zgromadzonych za przejrzystą płachtą w pośpiechu rozwieszoną między ładownią a przednią częścią samolotu:

– Dziób w dół!

Nie chciał, żeby ta toksyczna zupa wylała się z pokładu. Przypuszczał, że część mogła wyciec, zanim przywrócono porządek. Wyobraził sobie samolot malujący czerwony krąg nad chmurami, obsiewający mikrobami szalejącą w dole burzę równie ochoczo, jak obsiał niebo.

Po katastrofie został odizolowany od reszty załogi. Tylko jego obryzgał płyn ze zniszczonego pojemnika, który teraz leżał na boku, przy każdym przechyle samolotu powoli pozbywając się zawartości. Painter nie wątpił, że strażnicy zastrzeliliby go na miejscu, gdyby nie potrzebowali obsługi technicznej, bo nikt nie chciał wejść w to toksyczne bagno.

Kazali mu coś zrobić z wjazdem załadunkowym, z mechanizmem zablokowanym przez balon. Stacja Aurora nie wyraziła zgodny na przyjęcie samolotu, dopóki to nie zostanie naprawione. Nie chcieli, żeby twarde lądowanie spowodowało wyrzucenie pozostałych skrzyń na tundrę albo bazę.

Co oznaczało, że na razie jest potrzebny załódze.

Niektórzy w głębi duszy musieli zdawać sobie sprawę, że wdychają unoszący się w powietrzu patogen, ale pozwolił im żywić takie fałszywe nadzieje, jakie tylko chcieli.

To zachowa mnie przy życiu.

Samolotem wstrząsnęło głośne dudnienie, któremu towarzyszył oślepiający błysk. Painter miał za sobą tyle lotów, że rozpoznał, co się stało.

Uderzenie pioruna.

Odwrócił się w stronę otwartego włazu. Tak jak się obawiał, sytuacja na zewnątrz zaczynała się zmieniać. Kopułę nieba wypełniała zorza polarna. Już nie były to migoczące kurtyny, łagodnie falujące na łuku świata. Przerodziły się w szalejącą burzę, kłębiąc się i piętrząc.

Z dołu dobiegały ostrzejsze trzaski.

Wiedział, co to takiego: wyładowania do jonosfery, powodujące rozgrzanie plazmy i powstanie poświaty. Zjawisko to ma wiele form, każda z uroczą nazwą – duszki, błękitne fontanny – ale w rzeczywistości są to wielkoskalowe wyładowania elektryczne.

Ale Painter wiedział, że nigdy nie zarejestrowano niczego na taką skalę. W powietrzu rozkwitło kilkanaście rozjarzonych halo, po czym wybuchły szkarłatne kule płomieni, wysyłając macki energii w kierunku chmur, podczas gdy po niebie wirowały skrzące się błękitne stożki gazu.

Burza na dole jakby nie była z tego zadowolona i pluła rozwidlonymi błyskawicami, atakując niebo, co powiększało taniec ognia pomiędzy niebem i chmurami.

Zdawał sobie sprawę, że energia potencjalna nawet burzy średniej wielkości stukrotnie przewyższa energię bomby zrzuconej na Hiroszimę. Szalejąca w dole arktyczna bestia z łatwością mogła zawierać jej dziesięć razy więcej.

Gdy obserwował to wzajemne oddziaływanie, uświadomił sobie, że jest świadkiem sprzężenia zwrotnego między jonosferą i burzą – jedno pobudzało drugie, zjawiska atmosferyczne coraz bardziej się nasilały. W stacji też musieli to sobie uświadomić, bo słup plazmy bijący z wieży nagle zniknął.

Ale było za późno.

Simonowi Hartnellowi udało się dokonać niemożliwego.

Podpalił niebo.

Park Narodowy Akagera, Rwanda

3 czerwca, godzina 20.05 czasu miejscowego

– Nie ruszać się – przykazał Gray.

Tylko na jego kasku paliła się lampa. Świeciła za Noem, który kuczał przy lwie zmuszonym do zatrzymania się przez impuls elektryczny. Inni stanęli za jego plecami.

Ich ruch spowodował, że fale rozeszły się po zatopionym lesie, wzmacniając pryzmatyczny efekt migoczącego odbicia konstelacji gwiazd. Małe rozjarzone punkty nie rozświetlały mroku panującego pod gęstymi koronami drzew, tylko go pogłębiały. Fosforyzujące plamki i świecące wiry przyciemniały mroczne miejsca. Im dłużej się patrzyło, tym bardziej te jaśniejsze miejsca wypalały się na siatkówce, tworząc fałszywy blask, podwajając i potrajając iluzję, gdy oczy przeszukiwały las.

Gray mógłby jednak przysiąc, że duże fragmenty tego malowidła się przemieszczają, jakby nagle ożyły. Lekkie pomruki, które słyszał, gdy tu przybyli, ucichły. W całej zalanej dżungli panowała grobowa cisza.

– Co tam jest? – szepnął Noe.

Roho zawarczał, odsuwając się od swego pana. Ruszył do przodu, stawiając łapy z wielką ostrożnością, ledwie poruszając wodę. Przypadł na brzuchu, a jego ogon kreślił łuki tuż nad powierzchnią rozlewiska.

– *Roho, oya* – złątał go Noe, każąc mu wracać.

– Niech idzie – rzucił Gray i dotknął ramienia przewodnika.

Na skraju zasięgu światła latarki niewielki skrawek „malowanego lasu” oderwał się od tła, przysuwając się bliżej.

Jane ze świstem wciągnęła powietrze.

Posuwając się równie ostrożnie jak Roho, równie zaciekawione jak on i może niewiele starsze od niego, ukazało się drugie zwierzę. Maleńka trąba pocętkowana drobinkami szkarłatu uniosła się wyżej, wietrząc zapach nieznanego.

Za nim ruszyła okazalsza część malowidła, pociągając za sobą inne.

Z mrocznych cieni dobiegło niskie ostrzegawcze trąbienie.

– Słonie – powiedział Noe, prostując się w zdumieniu.

Ciekawski słonik, sięgający Grayowi do pasa, przystanął niepewnie, wyraźnie rozdarty między posłuszeństwem i zaspokojeniem ciekawości. Potrząsnął szerokimi uszami.

Gdy młode stało na skraju światła, komandor zobaczył, co mogło je przyciągnąć. Skóra słoniątka – usiana cętkami kolorów pasujących do lasu – poza tym była różowobiała. Zwierzę było albinosem. Zaciekawione, wyszło z kryjówki, wywabione widokiem białego kota, może rozpoznając genetyczne podobieństwo.

Małe ciemne oczy obserwowały Roho, gdy kot ostrożnie podchodził w uległej postawie.

Słonik zadarł trąbę i zaryczał jakby na zachętę.

To wystarczyło.

Roho skoczył, z podnieceniem rozbryzgując wodę. Jego figle ośmieliły słonika. Z beztróskim trąbieniem stanął na zadnich nogach w pokazie udawanej agresji – przy okazji ujawniając, że jest samcem – i opadł na przednie nogi. Dał susa, na wpeł się obracając, skoczył w jedną i w drugą stronę.

Znów zabrzmiało wcześniejsze dudniące ostrzeżenie, głośniejsze, powtórzone przez inne słonie ukryte w lesie.

Słonik nic sobie z tego nie robił. Dwa młode zwierzęta spotkały się i tańczyły w wodzie. Krążyły, podskakiwały i bryzgały.

– Co robimy? – szepnął Noe.

Gray wzruszył ramionami.

– Na razie niech Roho będzie naszym ambasadorem.

Zwierzęta się bawiły, zataczając coraz szersze kręgi, ścigając się na zmianę. Gdy oczy przywykły do mroku, Gray dostrzegł mroczniejsze cienie, z bokami równie ozdobionymi jak u młodego słonika.

– Kto je pomalował? – zapytała Jane ściszone głosem.

Dobre pytanie.

Gray wspomniał szepczące głosy w ciemności.

Kto tam był?

– Myślę... myślę, że same to zrobiły – przemówił Noe pełnym zdumienia tonem.

Komandor ściągnął brwi.

– Jak...?

Przerwał mu głośny chlupot i rozpaczliwe trąbienie. Wszyscy się odwrócili ku wysepce, za którą zniknęły młode zwierzęta. Roho wyskoczył zza osłony, niespokojnie machając ogonem, i znowu zniknął za wysepką.

Ruszyli, ponaglani ryczeniem młodego lwa.

Okружили wysepkę. Po drugiej stronie ociężały cień z pomalowanymi bokami rozbryzgiwał wodę, spiesząc do tego samego miejsca.

Słonik przepadł bez śladu.

Nagle Noe wyciągnął rękę.

– Tam!

Sam koniuszek bladej trąby poruszał się szaleńczo nad wodą.

– Zostańcie tutaj – polecił Gray.

Zrobił dwa kroki i nagle się zapadł. Wodoszczelna latarka na kasku zapiętym pod brodą z trudem rozpraszała mrok. Dno opadało stromo od wysepki. Namacał rękami zasysające błoto.

W mroku pojawił się kształt.

Gray podpłynął do słonika, który ugrzązł w błocie. Spanikowane zwierzę szamotało się, podejmując próby uwolnienia, ale tylko zapadało się coraz głębiej. Położył rękę na jego boku, próbując je uspokoić.

Wynurzył się i utrzymywał na powierzchni, żeby nie wpaść w tę samą pułapkę.

– Koc i lina! – zawołał i wskazał wysepkę. – Drzewo będzie nieruchomym bloczkiem.

– Kapuję. – Kowalski już biegł ku wysepce.

Noe wyciągnął z plecaka zwój liny wspinaczkowej, a Jane i Derek wyjęli koc.

Rzucili jedno i drugie Grayowi.

– Szybko, Gray! – krzyknęła Seichan, wskazując za wysepkę.

Na skraju światła krążyła zwalista sylwetka. Była to słońca, zapewne matka małego. Trzymała się z daleka, może wyczuwając, że próbują pomóc młodemu.

Komandor wiedział, że niedługo może przestać się wahać.

Słońnik rozdymał nozdrza i posapywał, wciągając powietrze.

Zanurzony się, Gray dotarł do uwięzzonego zwierzęcia i umieścił ciężki od wody koc za przednimi nogami, pod pękatą klatką piersiową. Przeciągnął linę, łapiąc ją po drugiej stronie – za drugim razem.

Wynurzył się, szybko zawiązał dwa półwęzły i rzucił linę Kowalskiemu. Olbrzym ją złapał, obiegł drzewo i pociągnął, zapierając się piętami.

Gray chwycił koniec trąby i próbował utrzymać nozdrza zwierzęcia nad wodą. Chciał też zapewnić spanikowane młode, że nie zostało porzucone.

Na wysepce Kowalski stękał i kłął, walcząc z błotem, które nie chciało wypuścić słońnika. Wyglądało na to, że może mu się nie udać. Derek i Noe pospieszyli więc z pomocą.

Wreszcie, centymetr po upartym centymetrze, trąba zaczęła wyłaniać się z wody.

– Ciągnąć! – ponaglał Gray.

Z ostatnim stęknięciem Kowalskiego i szarpnięciem za linę błoto wreszcie puściło. Gdy wywlekli słońnika z wody, Gray został przy nim, pocierając i poklepując różową skórę. Na wysepce zdjął linę i koc.

Słońnik się trząsł, wyraźnie przerażony.

Jego zaniepokojona matka zatrąbiła.

Mając dość tej przygody, słonik odwrócił się w jej stronę, ale było widać, że boi się wejść w ciemną wodę.

Noe potarł wrażliwe miejsce za jego uchem.

– *Waize, umsore* – zapewnił. Zaprowadził go na drugą stronę wysepki, gdzie była płytsza woda i pewniejszy grunt. – Śmiało, mały, już nic ci nie grozi.

Gray poszedł za nim, ale kilka metrów z tyłu, żeby nie rozdrażnić nerwowej matki czekającej na powrót dziecka.

Roho trzymał się blisko nowego przyjaciela; szedł z przepaszająco spuszczonego łbem, od czasu do czasu trącając słonika pyskiem.

Słonik przyspieszył i potruchtał do boku matki. Ta schyliła łeb i objęła go trąbą. Obwąchała go całego, posapując z ulgi.

Oboje się odwrócili i odeszli w las.

– Idziemy za nimi? – zapytała Jane.

Gray skinął głową.

– Po to tu jesteśmy.

Nagle wielki samiec zablokował im drogę. Kolorowe plamki na jego ciele wyglądały jak barwy wojenne. Zadarł trąbą, sapiąc i potrząsając żółtymi ciosami. Za nim poruszały się inne duże cienie.

Noe uniósł rękę, każąc wszystkim się zatrzymać.

– Nie chcemy, żeby zaszarżował.

– Bez żartów – rzucił Kowalski i dodał szeptem: – Też mi wdzięczność. Przez tydzień będę miał odparzone dłonie.

Tak jakby matka słonika usłyszała jego skargę, zatrąbiła ostro.

Samiec spojrział w jej stronę, opuścił ciosy i obrócił muskularne ciało.

– Zdaje się, że został przegłosowany – zauważyła Seichan.

– Słonie są matriarchalne – wyjaśnił Noe. – To samica rządzi stadem.

Wzruszyła ramionami.

– Dla mnie to super.

Gdy brnęli za słoniami, stado ich otoczyło, wciąż trzymając się malowanych cieni. Samice może rządziły, ale samce były czujne. Gray nie miał pojęcia, jak długo te wielkie zwierzęta będą tolerować ich obecność. Miał nadzieję, że okażą się uprzejme na tyle długo, że oni zdążą odkryć, co jeszcze jest w tym lesie.

Przyglądał się otoczeniu, próbując znaleźć wzór w otaczającym ich olśniewającym trójwymiarowym malowidle. Był pełen niemal nabożnej czci i jednocześnie odczuwał dziwny spokój, jakby siedł przez oświetloną świecami katedrę. Wędrowali w ciszy zakłócaną tylko przez szmer pocieranej skóry, łagodne posapywanie słońi i cichy chłupot wody.

Po jakimś czasie wyszli z „malowanej dżungli”. Teraz mogli ocenić liczbę słońi, które unosiły ze sobą skrawki rozjarzonego dzieła sztuki, tworząc wielkie ociążałe obrazy wędrujące w mroku zalanego lasu.

Gray naliczył co najmniej trzydzieści słońi, głównie dorosłych, i kilka młodych.

Ale nawet ta rewelacja spłowieła, gdy farba jarząca się na ich bokach zaczęła przygasać. Obejrzał się i zobaczył, że to samo dzieje się z lasem. Najwyraźniej ta magia była ulotna, co czyniło ją tym piękniejszą.

Noe próbował pochwycić i zatrzymać ten cud, zbierając żarzące się próbki z pni i niskich gałęzi. Wąchał je, pocierał, nawet smakował językiem.

– Hm... – mruknął, gdy magia zniknęła z jego dłoni.

– Co? – zapytał Gray.

– Zdecydowanie bioluminescencyjne grzyby. Mogę zidentyfikować grzybnię i owocniki, zmiażdżone i zmacerowane, by stworzyć tę farbę. – Rozejrzał się po ciemniejszym lesie. – Musiały zbierać okazy z różnych miejsc tego pradawnego lasu.

– Kto?

– Już mówiłem. – Przewodnik popatrzył na niego spod uniesionych brwi. – Słonie.

Godzina 20.25

Derek wysunął się do przodu, równie sceptyczny jak Gray. Jane podeszła razem z nim, ale jej twarz wyrażała większe zdumienie niż niedowierzanie.

– Jak to możliwe? – zapytał Derek. – Słyszeliśmy głosy. Musi się tu ukrywać jakieś plemię.

Noe spojrział na swoich towarzyszy.

– Nie – rzucił. – To też były słonie.

Kowalski sapnął z rozdrażnieniem.

– Wiem, że słonie są mądre, ale przecież nie mówią?

– Nie, nie mówią... naśladują. – Przewodnik wyciągnął rękę w kierunku, z którego przyszli. – Potrafią naśladować dźwięki, od głosów innych zwierząt po warkot ciężarówki. I owszem, nawet ludzkie głosy. Robią to, używając trąb jak skomplikowanych gwizdków. Tutaj, w Akagerze, mamy samca, który potrafi idealnie naśladować godowe pochrząkiwanie bawołów. – Uśmiechnął się. – To powoduje niezłe zamieszanie w okresie rui.

Jane spojrzała w stronę jednego z wielkich cieni brnących przez las.

– Ale dlaczego robią to właśnie teraz?

– Nie wiem, ale myślę, że próbowały nas odstraszyć. Jestem pewien, że wiedziały o naszej obecności, gdy tylko weszliśmy w góry.

Derek musiał przyznać, że to trochę niepokojące.

– A ten „malowany las”? – zapytał Gray.

– Chyba dopisało nam szczęście. Przypuszczam, że natknęliśmy się na wyjątkowy rytuał, rzadko odprawiany z powodu złożonej natury i koniecznego przygotowania. Słonie są znane z tego, że rozwinęły skomplikowane ceremonie społeczne. Są poza nami jedynymi ssakami, które rytualnie grzebią swoich zmarłych we wzruszającym pokazie żałoby.

Derek spojrział przez ramię.

– Zatem co jest powodem takiego dekorowania dżungli?

– Nie mam pojęcia – odparł Noe. – Będziesz musiał je zapytać.
– Znowu się uśmiechnął. – Ale z niezliczonych przykładów wiemy, że te olbrzymy są urodzonymi malarzami. Mają upodobanie do kolorów i wzorów.

Jane skinęła głową.

– Właśnie mi się przypomniało, że londyńskie zoo w swoich sklepach z pamiątkami sprzedaje obrazy namalowane przez słonie.

– Owszem. W innym zoo dzieła namalowane przez gruboskórną artystkę zwaną Ruby sprzedano za dziesiątki tysięcy dolarów.

– Ale jak robią to w dziczy? – zaciekawiał się Derek.

– Widywano już takie rzeczy. – Przewodnik ruchem głowy wskazał przed siebie. – Słonie rozcierające naturalne barwniki i malujące się wzajemnie. Jak mówiłem, sądzę, że natknęliśmy się na jakiś rytuał. Można niemal wyczuć cześć w powietrzu.

Derek czuł coś pokrewnego.

– Więc kiedy przybyliśmy – kontynuował Noe – próbowały nas odstraszyć. Teraz być może pozwalają nam iść ze sobą, ponieważ uratowaliśmy młode, ale niewykluczone, że jest inny powód. Stado mogło uznać, że nasze przybycie akurat w czasie rytuału ma wyjątkowe znaczenie. – Poklepał swojego kociego towarzysza. – Oczywiście, Roho też pomógł.

Derek pomyślał o baraszkujących zwierzętach budujących most, ale przewodnikowi chodziło o coś więcej.

– Widzieliście samca i matkę? – zapytał Noe. – Są albinosami, jak ten mały.

– Przecież nie były białe – wtrąciła się Jane. – Bardziej czerwonawobrazowe.

– To typowe dla gatunku. Słonie albinosy rodzą się różowe i ciemnieją z wiekiem. Naprawdę białe słonie są wielką rzadkością. – Poklepał Roho po karku. – Ale może przybycie z kimś dzielącym ich genetyczne dziedzictwo zapewniło nam przewagę.

– Niezależnie od powodu, pozwalają nam iść ze sobą – zauważył Gray.

Tutaj drzewa były wyższe. Po rozlewisku zostały tylko kałuże i duże, płytkie sadzawki. Powoli wróciły normalne odgłosy dżungli, z wyciem małą i ostrzejszymi krzykami ptaków. Noe rozglądał się z zachwytem.

– Jeśli całe stado ma tę genetyczną cechę, może właśnie dlatego wybrały cienisty las na swój dom. Słonie albinosy w gorącym afrykańskim słońcu często ślepną albo dostają chorób skóry. Tutaj to im nie grozi.

– I mogą się ukryć – dodał Gray.

Twarz Noego spoważniała.

– Tak, to prawda. Kłusownicy z pewnością wzięliby je na cel. Może dlatego stado wycofało się tak daleko i było takie płochliwe. Jestem pewien, że z tych samych powodów prowadzą nocny tryb życia. Żeby uniknąć słońca i nie zdradzać swojego istnienia.

Derek powiódł wzrokiem dokoła, zastanawiając się, jakie inne tajemnice mogą tu być ukryte.

Przez kolejny kilometr szli w milczeniu.

Ciekawski słonik ochłonął ze strachu i wrócił do nich. Pociągnął za sobą matkę, która wprowadzie do nich nie podeszła, ale czujnie ich obserwowwała.

Słonik parskał, obwąchiwał ich i trącał trąbą. Wydawał się szczególnie oczarowany Grayem; owijał małą trąbę wokół jego nadgarstka, jakby trzymał go za rękę.

– Chyba ci dziękuje – zasugerował Noe.

Kowalski odchrząknął.

– I zero wdzięczności dla faceta, który odwalił ciężką robotę – poskarżył się. – Gray tylko zawiązał supełek.

Dotarli do porośniętego drzewami urwiska, piętrzącego się nad nimi jak wysoka czarna fala. Derek pamiętał, jak Noe mówił o geologii tego regionu, najstarszego w Afryce, gdzie skorupa ziemską pękła i powstało ogromne zapadlisko o stromych zboczach.

Nie wątpił w słowa przewodnika, gdy patrzył na ogromną przeszkodę blokującą drogę. Ściana przed nimi wyglądała jak strzaskany zrąb tej skorupy. Lico skały głęboko rozcinały rozpadliny i węższe rysy.

Stado się przegrupowało; jedne słonie kroczyły rzędem przed nimi, a inne z tyłu. Procesja zmierzała do rozpadliny, która niczym się nie różniła od sąsiedniej.

– Spójrzcie za siebie – szepnął Noe. – Na sam koniec.

Wszyscy się odwrócili.

Trzy samce za grupą szły tyłem, zamiatając ścieżkę wielkimi pękami paproci.

– Zacierają ślady – stwierdził Gray.

– Widziałem, jak nasze parkowe słonie paprociami odpędzają muchy. I raz miałem okazję obserwować słonia, który w czasie wyjątkowej suszy wykopał wodopój, a potem zakorkował go przeżutą korą i piaskiem, żeby woda nie wyparowała. Chronił swoją małą studnię przez całe lato. – Noe miał taką minę, jakby zbierało mu się na płacz. – Wiem, że te olbrzymie bestie są niesamowicie mądre i używają swoich wielkich mózgów, żeby przetrwać, rozwiązać problem, wspólnie pracować, korzystać z narzędzi. Wystarczy spojrzeć, żeby zobaczyć, jakie są nadzwyczajne. Kto śmiałby je zabijać dla rozrywki albo kości słoniowej?

Jane ze współczuciem dotknęła jego ramienia.

Kowalski też wyglądał na przejętego, chociaż z zupełnie innego powodu.

– Jeśli ci wielcy goście zacierają swoje ślady, zacierają też nasze. A jeżeli robią to specjalnie?

Najwyraźniej martwiły go złe zamiary stada.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – powiedział Gray, wskazując przed siebie.

Godzina 21.02

Jane szła z zapartym tchem, trzymając się blisko Dereka. Pociągały ją leżące przed nimi tajemnice, a jednocześnie obawiała się, co mogą znaleźć. I jeszcze większy strach ścisnął jej gardło.

A jeśli tam nic nie ma?

Pomimo cudów, jakie pokazały im te olbrzymy, to były tylko słonie. Czy mogli mieć nadzieję, że czegoś się od nich nauczą? W jaki sposób któreś z tych zwierząt mogło być powiązane z palącymi piaskami Egiptu, tajemnicą sprzed tysięcy lat, czasami Mojżesza i plagami?

Pierwsze słonie weszły do wąskiej rozpadliny i zniknęły. Inne wchodziły jeden po drugim, aż nadeszła kolej na ludzi. Jane weszła do wąwozu i spojrzała na urwiska po obu stronach. Wysoko nad nią dzungla porastała ich szczyty, a gęste korony drzew zacięniały drogę.

Uwięziony pomiędzy ścianami zapach słoni – mdława woń łąjna i starych skór – stał się silniejszy. Jane pokonała strach i szła wraz ze wszystkimi. Ścieżka się zwężała, aż w końcu dziewczyna zaczęła się obawiać, że większe słonie nie przejdą, ale jakoś się precyzyjnie. Wyobraziła sobie, jak wydmuchują powietrze z szerokich piersi, żeby tego dokonać.

Miała wrażenie, że przebyli wiele kilometrów, chociaż prawdopodobnie odległość wynosiła nie więcej niż półtora. Skalne ściany zaczęły opadać, zapowiadając koniec długiej podróży – lecz pozostała jeszcze jedna przeszkoda.

Patrzyła, jak kolumna słoni skręca w lewo. Stado wchodziło po stromej skalnej pochylni; młode trąbami trzymały się ogonów matek. Ich procesja miała w sobie coś pozaczasowego, jakby zwierzęta korzystały z tej trasy od tysięcy lat. Potwierdzała to powierzchnia pochylni, ze środkiem wydeptanym przez niezliczone słonie.

Jane zobaczyła, do czego służy.

Pozwalała przejść nad wysokim murem, który przegradzał rozpadlinę.

Ta dziwna formacja rozbudziła jej ciekawość. Nie wyglądała na naturalną.

Derek doszedł do tego samego wniosku. Pochylił się i przeciągnął palcami po szorstkiej powierzchni.

– Wapień – powiedział, gdy się wyprostował. – Nie pochodzi z tych granitowych gór. Został wydobyty gdzie indziej.

Dziewczyna przesunęła się na skraj rampy i spojrzała na mur. Był zbudowany z bloków wielkości samochodu. Widziała podobne, też wapienne.

W Wielkiej Piramidzie w Gizie.

– Słonie tego nie zbudowały – dodał Derek. – Bez względu na to, jakie są dobre w używaniu narzędzi.

Słonie za nimi nie pozwoliły im dłużej się ociągać. Pochrząkiwały, najwyraźniej niezadowolone, że przez nich nie mogą pójść do domu.

Jane niechętnie pozwoliła Derekowi poprowadzić się na szczyt pochylni i w dół po drugiej stronie.

Za murem urwiska się rozchodziły, otaczając sporą kotlinę. Po drugiej stronie rozpadlina miała ciąg dalszy, ale to bliższy widok przyciągnął uwagę dziewczyny.

Na dnie kotliny rozpościerała się zielona łąka porośnięta drzewami i wszystko wyglądało tak, jakby było pielęgnowane przez swoich opiekunów. Inne słonie powitały te, które wróciły. Zwierzęta cicho trąbiły, splatały trąby, pocierały się bokami. Te, które tu czekały, wyglądały na znacznie starsze, miały obwisłą skórę i kościste klatki piersiowe. Prawdopodobnie były zbyt słabe, żeby wybierać się na długie wędrówki.

Słonie rozeszły się do wydeptanych w trawie miejsc, głównie pod urwiskami, gdzie korony drzew zapewniały cień. Jane wiedziała, że zwykle słonie są nomadami i nie mają stałych siedzib. Ta grupa była wyjątkowa w swojej izolacji: zmuszona przez biologię i genetykę do ukrywania się przed słońcem, wykształciła nowy styl życia.

Nie to jednak przykuło jej uwagę.

Patrzyła w dal po prawej stronie. Połyskiwało tam jezioro, część leżała pod otwartym niebem, reszta pod nawisem skalnym. Przypuszczała, że jest zasilane przez źródło bijące od niepamiętnych czasów w tych prastarych górach ryftowych. Przewieszony nad wodą granitowy strop jarzył się mrugającymi, migoczącymi światełkami. Inne światełka pomykały nisko nad wodą i rozpierzchały się po dolinie jak niesione wiatrem snopy iskiei.

– Świetliki – powiedział Noe.

Ich blask wystarczał, żeby zobaczyć ciemnoszkarłą powierzchnię wody.

Wszyscy wiedzieli, co zwiastuje ten kolor.

– Boże... – szepnął Derek.

A jednak młody samiec stanął na półokrągłym brzegu sadzawki, zanurzył trąbę i napił się z tego toksycznego źródła. Jane się wzdrygnęła, ale słoń tylko powachlował się uszami, odpędzając dokuczliwe świetliki, i odszedł.

Obeszli tę część doliny szerokim łukiem. Gray zebrał ich na skraju kępy drzew o szerokich liściach. Większość słońi nie zwracała na nich uwagi, zajmując się swoimi sprawami. Kilka starszych samców stało w pobliżu jakby na straży, wymachując ogonami.

– Co sądzisz o tym miejscu? – zapytał Gray.

Jane przeniosła spojrzenie z doliny na wapienny mur.

– Dokładnie wiem, gdzie jesteśmy – odparła.

Obrócił się w jej stronę.

– Stoimy w ujściu rzeki – powiedziała. – Jak zostało napisane na tym wytatuowanym skrawku zostawionym przez mojego ojca. Teraz wszystko jest jasne.

– Może dla ciebie – rzucił Kowalski.

Derek zrozumiał.

– Tysiące lat temu musiała nastąpić dramatyczna zmiana pogody, pora deszczowa z niespotykane obfitymi opadami – wyjaśnił. – Ten obszar został zalany, Kagera i wszystkie jej dopływy wystąpiły z brzegów.

– Woda zalała las, przez który przechodziliśmy – przejęła pałeczkę Jane, wyobrażając sobie burzę szalejącą w tych górach.
– Wypełniła wszystkie rozpadliny i wdarła się do tej doliny.

– Gdzie mieszała się z wodą toksycznej sadzawki – podjął Derek. – Pozwalając mikrobowi uciec z kotliny i spłynąć z gór do Kagery, a potem do Jeziora Wiktorii.

– A stamtąd w dół doliny Nilu – mruknął Gray, patrząc ku północy.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Niosąc ze sobą śmierć i powodując kaskadę innych plag, tak jak mówiliśmy wcześniej – dodała. – Być może przyczyną powodzi była erupcja Thery i napływ ciemnej chmury popiołów, które spowodowały katastrofalne opady deszczu.

Gray, który wyglądał na przekonanego, że tak właśnie było, ruszył ku wysokiemu murowi.

– Niedługo później ktoś z Egiptu wyruszył na poszukiwanie źródła nieszczęść, podążając tym krwawym szlakiem – powiedział.

– I dotarł tutaj – dokończyła Jane. – Chcąc zapobiec powtórzeniu się tej tragedii, zbudowali wysoki mur, kamienną tamę, żeby woda przyszłych powodzi nie dotarła do tej kotliny.

– Ale to nie wszystko, co znaleźli. – Gray spojrzał na słonie. – Podobnie jak my, z pewnością się zastanawiali, jak przeżyły słonie. Wiemy, że zasiedlają to miejsce od tamtych czasów, bo jest o nich mowa na wytatuowanym skrawku skóry.

Jane przyłożyła dłoń do czoła.

– Jak to możliwe? Czy to jakaś naturalna odporność? Coś wyjątkowego w genach?

– Nie sędzę – odparł.

– Dlaczego?

– Ktokolwiek przybył tu dawno temu, odkrył ich sekret. Wątpię, żeby egipski badacz, który znalazł to miejsce, miał sprzęt niezbędny do przeprowadzenia testów immunologicznych czy genetycznych. – Spojrzał w kierunku jeziora. – Ale dlaczego słonie ryzykują życie, pijąc z tej sadzawki?

Noe zaoferował możliwe wyjaśnienie:

– Ponieważ to im zapewnia ewolucyjną przewagę?

Gray obrócił się ku niemu. Wcześniej, gdy płynęli, Jane słyszała, jak z grubsza objaśniał przewodnikowi, czego tu szukają.

– Jaką przewagę? – spytała.

– Życie w tym regionie obraca się wokół wody. Każde zwierzę opracowuje unikatową strategię, żeby przetrwać porę suchą, która wiele razy w przyszłości przechodziła w dziesięcioletnie susze. Mówiłem wam o słoniu zamykającym swój wodopój, żeby go chronić. – Noe zatoczył ręką łuk, wskazując kotlinę. – To biologiczna wersja tego samego. Jeśli jako jedyny możesz bezpiecznie pić tę wodę, nikt inny nie będzie z tobą o nią rywalizować.

Derek skinął głową, uznając jego racje.

– Tylko jak nauczyły się pić tę wodę?

Noe się uśmiechnął.

– Słonie są sprytne i cierpliwe. Uwielbiają rozwiązywać zagadki. Opracowanie strategii metodą prób i błędów mogło im zająć dziesiątki lat. Lepiej byłoby zapytać: Dlaczego ponownie wynajdować koło? Dlaczego po prostu nie nauczyć się od nich tego, co już wiedzą?

Jane zastanawiała się, czy ktoś, kto przyszedł tu tysiące lat temu, właśnie tak zrobił.

Noe podał współczesny przykład na poparcie swojego stanowiska.

– W Kenii słonie żują liście pewnego drzewa, żeby wywołać poród. Miejscowi nauczyli się brać z nich przykład dla tych samych medycznych korzyści. Więc widzicie, wiele się można nauczyć od naszych wielkich przyjaciół.

– Ale jeśli ma pan rację, to od czego mamy zacząć? – zapytała Jane.

Gray wyszedł z cienia drzew i przeszukał wzrokiem ciemną kotlinę, zatrzymując spojrzenie na migotliwym blasku grotty. Wreszcie odwrócił się do pozostałych.

– Ten pasek wytatuowanej skóry, który ukrył twój ojciec...
Jest tam mowa nie tylko o słońiach. Jest coś o kościach słońi.

Dziewczyna się wyprostowała.

– To prawda.

– Wspominał pan – zwrócił się do Noego – że słońie są jedynymi ssakami, które mają rytuał związany ze śmiercią. Co właściwie robią?

– Chodzi o poszanowanie dla zmarłych. Najpierw jest to okres żałoby nad ciałem, następnie rytualne rzucanie ziemi i gałązek na zwłoki, czasami przykrywanie ich gałęziami. Później szkielety są otaczane szacunkiem, nawet jeśli nie należały do członka rodziny. Niekiedy stada zabierają kości i przenoszą je.

– Więc gdzie są kości tego stada? – zapytał Gray. – Te słońie są skryte i założę się, że nie chcą, żeby ich zmarłych znajdowano na otwartym terenie.

– I chcą mieć je w pobliżu. – Derek wskazał szczelinę po drugiej stronie kotliny. – Może tam?

Komandor skinął głową.

– Powinniśmy sprawdzić.

Zanim wyruszyli, Seichan wskazała do tyłu.

– O ile wiemy, to jedyne wejście i wyjście z tego miejsca. Gdy pójdziecie szukać kości, ja obsadzę szaniec.

Skinął głową.

– Bądź na radiu. Krzycz, gdyby były kłopoty.

– Nie ma obawy, usłyszysz mnie. – Poklepała wielką broń na biodrze.

Uściskał ją, a kiedy pobiegła, poprowadził pozostałych w przeciwnym kierunku.

Noe trzymał Roho blisko siebie, zwłaszcza gdy przechodzili obok toksycznego jeziora. Trzymali się daleko od brzegu, idąc przez łąkę porośniętą wysoką do kolan trawą. Mijane słońie poruszały się, sapały i poświstywały. Młody samiec zaszarżował z szeroko rozstawionymi uszami. Wszyscy zamarli, ale zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów, potrząsnął uszami i odszedł z uniesionym ogonem.

– Młodzieńcze pozerstwo – wyjaśnił Noe.

Kowalski ściągnął brwi.

– Typowy nastolatek – skomentował.

Resztę drogi przebyli bez przeszkód.

Przewodnik pokręcił głową, gdy podeszli do rozpadliny w urwisku.

– Cmentarzyska słoń są tylko legendą – powiedział, jakby chciał im zaoszczędzić rozczarowania. – Stare słoń nie chodzą do jakiegoś określonego miejsca, żeby umrzeć. Są duże szanse, że to stado nie różni się od innych, więc zwierzęta po prostu padają tam, gdzie akurat są, gdy przychodzi ich czas.

Jane nie była taka pewna. Przypuszczała, że w tym stadzie nic nie jest zwyczajne. Kiedy zbliżyli się do mrocznej szczeliny, wyszedł z niej słoń – największy, jakiego dotąd widzieli – i stanął naprzeciwko nich, blokując drogę. Rozpostarł uszy, uniósł trąbę.

– Coś mi mówi, że to nie jest młodzieńcze pozerstwo – mruknął Kowalski.

– Co teraz? – zapytał szeptem Derek.

Odpowiedź nadeszła zza słońia – niemal rżące trąbienie. Samiec jeszcze przez chwilę świdrował ich wzrokiem, po czym niechętnie wyszedł ze szczeliny, usuwając się na bok.

– Wygląda na to, że ktoś chce się z nami widzieć – powiedział Derek.

Mając wolną drogę, weszli w rozpadlinę. Słoń zamknął ją za nimi, tarasując wyjście. Szedł po cichu, niemal bezszelestnie, jakby żywił wielki szacunek do ziemi, po której stąpał.

Albo może bardziej chodziło o szacunek do kogoś, kto na nich czekał.

Jane patrzyła przed siebie. Ta rozpadlina była ciemniejsza, zupełnie zasłonięta przez splecione korony drzew, ale latarka na kasku Graya pozwalała im widzieć drogę. Pełen zakrętów wąwóz wreszcie doprowadził ich do kotliny, z której nie było innego wyjścia.

Koniec drogi.

I Jane rozumiała, że nie tylko w jednym znaczeniu.

Dno tej kotlinki było zasłane stosami gałęzi i patyków, niektórych rozrzuconych. Z kilku wystawały zakrzywione żółte ciosy i wybielone kości. Naprzeciwko wejścia rósł niewielki gaj, ale poza tym było tam niewiele śladów życia. Ziemię pokrywał biały piasek usiany okrągłymi kamieniami, przemieszany z czymś, co wyglądało jak spękane muszle wyrzucone przez starożytne, od dawna nieistniejące morze.

Dziewczyna nagle zrozumiała, że się pomyliła.

Pod nogami miała nie piasek i muszle, ale zmiążdżone kości.

Ze zgrozą spojrzała w dół, zastanawiając się nad głębokością tej makabrycznej warstwy. Myślała, jak słonie przychodziły tu przez tysiąclecia, żeby umrzeć, a ich potomkowie, czas i żywioły miażdżyły kości i rozcierały je na ten gruby piasek.

– I tyle co do tego, że cmentarzyska słoni są mitem – skwitował z satysfakcją Kowalski.

Nie byli tu sami.

Kilka słoni powoli wędrowało po kotlinie, czuwało przy stertach gałęzi albo delikatnie dotykało trąbą leżących kości. Słysząc było tylko chrzęst kroków tych, które odwiedzały zmarłych.

Jane otrząsnęła się ze zgrozy, gdy rozpoznała okazywany tu szacunek, szczery żal. Młody samiec zwieszał głowę nad kopcem; z jego oka spływała lśniąca łza.

Nic dziwnego, że ten wielki próbował ich tu nie dopuścić.

To nie nasz świat.

Ale, jak wspomniał Derek, zostali wezwani.

Chwiejnym krokiem szła ku nim słonica, sędziwa matrona. Miała szarobiałą skórę, niemal w kolorze otaczających ją zmiążdżonych kości. Odnieśli wrażenie, że przywołuje ich trąbą.

Wyszli jej na spotkanie, wyczuwając, że zasługuje na szacunek.

– Chyba jest prawie ślepa – szepnął Noe.

Wydawało się, że ma rację. Gdy snop światła z latarki Graya oświetlił jej łeb, nawet nie mrugnęła ani nie odwróciła oczu.

Kiedy się zebrali, zbliżyła się z wygiętą trąbą. Kierując się zmysłami innymi niż wzrok, podeszła najpierw do Jane. Powęszyła, znalazła trąbą jej rękę i delikatnie ją owinęła. Przyciągnęła dziewczynę bliżej, odsuwając ją od pozostałych.

Jane obejrzała się, ale Noe uspokajająco pokiwał głową. Pozwoliła się prowadzić, ufając jego wieloletniemu doświadczeniu w pracy z wielkimi zwierzętami.

Po kilku krokach słonica puściła jej rękę.

Wróciła do grupy, machając trąbą, i znów dokonała wyboru.

Noe zachęcił niechętnego wybrańca.

– *Koeza, Roho* – szepnął do swojego przyjaciela. – Idź.

Młody lew ruszył ze słonicą, która trąbą pocierała jego małą grzywę i grzbiet. Dołączył do Jane.

Oboje stali przed majestatycznym zwierzęciem. Jane zwróciła uwagę na podwinięte białe rzęsy starych oczu, gdy słonica opuściła łeb, żeby dotknąć jej piersi. Jednocześnie pogładziła trąbą bok Roho, który zamruczał z zadowoleniem.

Kiedy królowa uniosła głowę, łzy lśniły w jej zmęczonych oczach.

Godzina 21.32

Gray przyglądał się sędziwej matronie, gdy nawiązywała łączność z parą wybrańców. Różowy koniec białej trąby badał ich czule, niemal ze smutkiem.

– Co ona robi? – zapytał Derek.

Noe pokręcił głową.

– Staruszka jest smutna, chociaż nie wiem dlaczego.

Komandor wiedział.

– Wspomina.

Derek uniósł brwi, nic nie rozumiejąc, a Gray zdziwił się, że dla niego nie jest to oczywiste.

– Kobieta i lew.

Archeolog zrobił wielkie oczy, kierując uwagę z powrotem na żywy obraz przed sobą.

– Chyba nie myślisz...

– Wybrała Jane i Roho. To na pewno nie zbieg okoliczności. – Grayowi stanęły przed oczami symbole wyryte w grobowcu i naczynie Livingstone’a. – Może na poszukiwanie źródeł Nilu przyszła tu kobieta, która wybrała sobie wyjątkowego towarzysza na taką długą podróż. Czy Egipcjanie nie czcili kotów, czy przypadkiem nie trzymali lwów jako domowych zwierzątek albo myśliwych?

Derek powoli pokiwał głową.

– Z zachowanych źródeł wynika, że niektórzy faraonowie i inni tak robili – przyznał. – Ale chociaż słonie mają świetną pamięć, nie sądzę, żeby ich wspomnienia sięgały tysięcy lat wstecz.

– Normalnie nie. Ta dziwna słonica najwyraźniej jednak pamięta tamtą starożytną parę. Jeszcze nie potrafię tego wyjaśnić, lecz może ta ewolucyjna korzyść, o której rozmawialiśmy, nie była jednostronna. – Gray zwrócił się do Noego: – Wspomniał pan o dużych mózgach słoni.

– No tak. Są większe niż u każdego innego lądowego zwierzęcia. Ważą około pięciu kilogramów. Kora mózgowa zawiera tyle neuronów co nasze mózgi.

Komandor pokiwał głową.

– Więc dla mikroba, który ma upodobanie do elektrycznie naładowanego układu nerwowego, taki gospodarz byłby idealny, bo zapewniałby mu istną ucztę. A zatem może z czasem zaczęli żyć w symbiozie, osiągając inne korzyści. Może mikrob jest zdolny do elektrycznego stymulowania mózgu słonia, wzmacniając jego i tak już znaczną pamięć... i służy jako pojazd do przekazywania wiedzy z pokolenia na pokolenie.

– Patrz – przerwał mu Kowalski. – Rusza się. Gdzieś ich zabiera.

Sędziwa słonica odwróciła się i powoli szła przez kotlinę, ponaglając Jane i Roho cichym fukaniem.

– Idziemy. – Gray ruszył za nimi, zachowując odległość, żeby nie spłoszyć zwierzęcia.

Słonica zabrała wybrańców do kępy drzew, gdzie matka z młodym szperała w stosie suchych gałęzi, i zatrzymała ich trąbą.

Gray też stanął.

Derek spojrział na drzewa i wskazał ciężkie od owoców gałęzie.

– Śliwki – powiedział. – To śliwy Mobola.

Gray nie rozumiał, jakie to ma znaczenie. Derek musiał zdać sobie z tego sprawę, więc wyjaśnił:

– Kiedy Livingstone zmarł, jego serce zostało pochowane pod śliwą Mobola. I wysłano jego zwłoki do Anglii w trumnie z kory tego drzewa.

– Dlaczego?

– Kora tego drzewa zawiera żywicę używaną do garbowania. Tubylcy wykorzystywali ją do mumifikowania ciał przed długą podróżą do domu.

Komandor ze zmarszczonymi brwiami patrzył na stosy gałęzi. Mógłby się założyć, że wszystkie pochodzą z tych drzew. Czy słonie używały ich w tym samym celu? Wyczuwał w tym szczególnie coś ważnego, chociaż nie umiał tego sprecyzować.

– Co one robią? – zapytał Kowalski.

Obrzydzenie w głosie olbrzyma skierowało uwagę Graya na matkę i młode. Słonica wyciągnęła kość z kurhanu. Kształt sugerował, że to fragment czaszki. Położyła go delikatnie na ziemi i zmiażdżyła twardą podeszwą. Podniosła kawałek, wsunęła do pyska i zaczęła przeżuwać. Zachęciła młode, żeby zrobiło to samo.

Samica poruszała szczęką, rozcierając kawałek kości między trzonowcami. Robiła to przez pół minuty, potem wypluła mały zaokrąglony kamyk – wypolerowany kawałek kości.

Gray spojrział pod nogi na pokruszone kości. Wszędzie wokół ziemia była zasłana takimi okruchami.

Co, do licha?

Znowu poczuł mrowienie w mózgu, mówiące mu, że to ważne, ale nie udało mu się poskładać informacji.

Masz elementy, ale nie widzisz układanki.

Gdy patrzył na kotlinę, białe kości zaczęły migotać falami koloru. Po chwili zrozumiał źródło. Krystaliczne podłoże odbijało niebo.

Zadarł głowę, gdy fale energii omywały gwiazdy.

To nie miało sensu.

Patrzył na coś w rodzaju zorzy.

Jakby reagując na ten sam znak, słonie zaczęły trąbić. Nawet sędziwa matrona uniosła trąbę i zadęła żałobną nutę, pełną melancholii i żalu.

Gray spojrział na swoich towarzyszy.

Co się dzieje?

Godzina 21.55

Z otwartych bocznych drzwi cessny Wala obserwowała taniec energii na niebie – wielkie rozfalowane kurtyny szkarłatu i błękitu. Wiedziała, na co patrzy, ponieważ niezliczone razy widziała zorzę polarną w Arktyce.

Teraz ten widok wywołał w niej lekki niepokój. Wyobraziła sobie, że to ostrzeżenie od Antona, wiadomość przeznaczona dla niej.

Pokręciła głową, przepędzając takie myśli.

Kruger i jego ludzie stali obok niej, już w hełmach i ze spadochronami. Oni też patrzyli w niebo, ale chciała, żeby skupili uwagę na dole.

– Gotowi?! – krzyknęła.

Uniósł kciuki.

Przez całą noc śledzili cele, bez trudu obserwując za pośrednictwem podczerwonych oczu drona ich drogę przez góry. Wróg utknął w szeregu wąwozów, gdzie, jak się zdawało, stado słoni urządziło sobie siedzibę. Uznała to za dziwne, a fakt, że

wciąż tam przebywali, uzasadniał decyzję o wykonaniu skoku. Chciała się dowiedzieć, co mogli tam odkryć albo zdobyć, zanim ich zlikwiduje.

Pilot miał zejść nisko na północ od tych wąwozów i wyrzucić Krugera oraz jego trzech ludzi. Każdy miał na brzuchu karabin AK74M z granatnikiem podwieszonym pod lufą. Mieli skakać w ciemności, z noktowizorami, i wylądować w większym wąwozie. Ona wyskoczy za nimi, żeby osłaniać wejście do wąwozów i zapobiec ucieczce wroga do dżungli. Jej bronią był pistolet maszynowy Heckler & Koch MP7A1 z celownikiem noktowizyjnym i tłumikiem. Miała cztery zapasowe magazynki, każdy z czterdziestoma nabojami.

Ale najlepsza broń była przypięta do jej nadgarstka.

Tej nocy ostrze posmakuje krwi. Głęboko wytnie nim swój znak, do kości, najlepiej za życia ofiary.

Samolot opadł, szykując się do wyrzucenia pasażerów. Pod skrzydłami dwa pociski Hellfire czekały na wezwanie, żeby spalić wszystko za Walą i jej zespołem.

Zorza równikowa płonęła jaśniej, smagając niebo biczami energii. Wala już nie widziała w niej znaku ostrzegawczego. W jej oczach zorza była płonącym sztandarem.

Gdy samolot zmniejszył wysokość, Kruger zerknął na nią.

Skinęła głową.

Jedna za drugą, pięć osób skoczyło w dół z ognistego nieba.

Wyspa Ellesmere'a, Kanada

3 czerwca, godzina 17.01 czasu miejscowego

Painter czuł na skórze mrowienie spowodowane przez elektryczność w powietrzu. Gdy chwycił rozpórkę, żeby wyrzeć z ładowni globemastera, impuls elektrostatyczny przeszył mięśnie ręki, kurcząc włókna, zaciskając palce. Zignorował ból i trzymał się mocno.

Na zewnątrz niebo stało w ogniu.

Powietrze pachniało ozonem, ostro, jak chlor zmieszany z zapachem towarzyszącym przejażdżce samochodzikami w wesołym miasteczku. Painter dostał gęsiej skórki.

Na niebie szalała zorza, która kotłowała się i przewalała. Wzburzone morze elektrycznych grzywaczy wyrzucało słupy i błękitne strugi plazmy. Grzmoty dudniły w bezustannej kanonadzie. Z ciemnych chmur na dole wystrzeliwały rozwidlone błyskawice.

Samolot dygotał od uderzeń piorunów; skrzydła się trzęsły, jakby próbowały pozbyć się ładunku elektrycznego, a jeden z silników Pratt & Whitney włókł za sobą smugę czarnego dymu.

– Co możemy zrobić?! – krzyknął technik, wiszący na uchwycie po drugiej stronie drzwi.

Painter spojrzał w głąb ładowni. Zerwano prowizoryczną zasłonę za przewróconymi aluminiowymi pojemnikami. Naukowcy pracowali przy swoich stanowiskach, zapierając się najlepiej, jak mogli, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie technika. Dwóch ludzi Antona starało się unieruchomić

pojemniki pomarańczową siecią, przypinając jej skraje do klamer wzdłuż kadłuba. Chodzili po jarzących się kałużach szkarłatu, nieświadomi toksycznego zagrożenia.

Czy teraz miało to jakieś znaczenie?

Gdy fajerwerki się nasiliły, każdy zrozumiał jedną prawdę:

Jesteśmy tu wszyscy razem.

– Będzie gorzej! – wrzasnął Painter.

Technik – młody rumiany mężczyzna o nazwisku Willet – spojrzał na niego z łatwą do odczytania przerażoną miną. Jak może być gorzej?

Painter wskazał w dół. Na prawo od nich ciemna burza kłębiła się złowieszczo – potworny wir energii i ognia. W jej paszczy tańczyły błyskawice. Ale, co najgorsze, płonąca zorza opuszczała się ku niej, jak gdyby zasysana.

Od kilku minut obserwował narastanie tego zjawiska. Wyobraził sobie zapadającą się jonosferę, bliską rozdarcia przez te potężne siły. Mógł nawet wskazać przyczynę: wewnątrz ognistego kotła jarzyło się bogatym szkarłatem.

Rozpoznał ten szczególny blask.

Wsiąkł w jego ubranie, tlił się na skórze i płynął w migotliwych kałużach po pokładzie ładowni. Od początku podejrzewał, że toksyny spłynęły z samolotu, obsiewając chmury w dole.

Oto był dowód.

Wyobrażał sobie, że każda cząsteczka działa jak nadprzewodząca drobina, wyzwalać energię potencjalną uwięzioną w tych burzowych chmurach, powodując reakcję łańcuchową – efekt rozchodzący się jak kręgi na wodzie. Niebawem burza uwolni całą tę moc, energię rzędu tysiąca bomb jądrowych.

– Powiedz pilotowi, że ma natychmiast nas stąd zabrać! – zwrócił się do technika Painter.

Musieli uciec od tego ognistego wiru.

Natychmiast.

Willet skinął głową i pobiegł do kabiny pilotów.

Painter wstrzymał oddech – samolot powoli skręcał, najwyraźniej piloci posłuchali jego ostrzeżenia.

Wypuścił powietrze z płuc.

Będziemy...

Z chmur po lewej stronie wybuchła nowa kolumna ognia i gdy spiralnie wznosiła się w niebo, dudnienie rozdzierało powietrze.

Samolot leciał w tamtą stronę. Chcąc uniknąć zderzenia, pilot położył masywną maszynę na skrzydle. W tym momencie sieć oderwała się od uchwytów na kadłubie i skrzynie koziółkowały po ładowni, miażdżąc jednego strażnika.

Gdy globemaster walczył, żeby ominąć to nowe zagrożenie, Painter wlepił w nie wzrok. Wiedział, skąd pochodzi.

Ze Stacji Aurora.

Patrzył z niedowierzaniem.

Co ten szaleniec sobie myślał?

Godzina 17.12

– To nasza jedyna nadzieja – szepnął Simon Hartnell.

Stał u steru, wciąż będąc kapitanem tego statku, nie chcąc porzucić posterunku. Syrena wyjąca w stacji nakazywała natychmiastową ewakuację. Na monitorze widział odjeżdżające pojazdy śnieżne. Inni uciekali pieszo; skafandry łopotwały na spanikowanych ciałach.

Została tylko niezbędna załoga, żeby mu pomóc zatrzymać to, co rozpoczął.

Przybiegł zadyszany doktor Kapoor, z twarzą lśniącą od potu.

– Za dużo. – Pokręcił głową. – Musimy to zamknąć. Nie utrzyma.

– Musi.

Hartnell czuł drzenie podłogi pod stopami. Patrzył przez gogle na ogromną wieżę, pragnąc, żeby wytrzymała. Błękitne iskry

z wirującego nadprzewodnika na szczycie strzelały w głąb starego wyrobiska. Na dole szalało morze płonącej plazmy, wzbierając i falując wokół podstawy wieży. Przez grube szkło docierał do niego żar pieca hutniczego.

Wiedział jednak, że burząca się w dole ognista energia jest tylko ułamkiem pełnej siły, którą odprowadzał w głąb ziemi. Po katastrofalnym wyniku próbnego odpalenia anten szukał sposobu na odwrócenie tego, co zapoczątkował, na zgaszenie pożaru szalejącego na niebie. Omówił różne scenariusze ze spanikowanym zespołem Kapoora; wspólnie wykonali pospieszne obliczenia i przystali na jedno możliwe rozwiązanie.

Zgodnie z projektem Tesli, Hartnell skonstruował swoją wieżę Wardencllyffe nie tylko do wysyłania mocy, ale również do odbierania. Tesla marzył o zbudowaniu sieci setek wież bezprzewodowo wysyłających energię do wielkiej chmury mocy, która okrąża świat – albo przez niebo w górze, albo przez ziemię na dole. Przewidywał, że każda z tych wież mogłaby się podłączać do tego źródła, czyniąc jego energię dostępną dla wszystkich.

Z myślą o przyszłości, Hartnell chciał zrobić to samo.

I właśnie teraz próbował tego dokonać.

Obaj z Kapoorem odwrócili polaryzację wieży; dotychczas tego nie testowali, ale nie mieli wyboru; musieli podjąć próbę. Ognisty promień plazmy wyglądał tak samo, lecz już nie wystrzeliwał energii w górę, tylko ściągał ją w dół z jonosfery.

Jego wieża stała się piorunochronem próbującym ściągnąć ogień z nieba.

Musieli jednak dokądś wysłać tę energię. I znów odpowiedź dał Tesla. Kiedy Hartnell budował swoją wieżę, musiał wbić w podłoże skalne długie podpory, żeby podtrzymywały masywną budowlę. Były one konieczne ze względów konstrukcyjnych, ale rozbawiła go myśl, jak bardzo są podobne do długich na dziewięćdziesiąt metrów filarów, które serbski wynalazca zaprojektował dla swojej wieży, potężnych żelaznych prętów służących do lepszego „chwycenia ziemi”.

Tesla zamierzał użyć tych prętów do wysyłania energii głęboko pod powierzchnię, żeby dotrzeć do częstotliwości rezonansowej planety – potencjalnie bezdennej studni, którą można będzie napełniać i rozsyłać jej zawartość po całym świecie.

Poniósł porażkę, ale jego rozumowanie było logiczne.

Teraz Hartnell próbował napełnić tę studnię ogniem z nieba. Miał nadzieję zrównoważyć dwie wizje swojego idola, dwa prawdopodobne źródła globalnej bezprzewodowej energii: jonosfery otaczającej planetę i ciemnej studni w jej jądrze.

Chciał, żeby jego wieża zadziałała jak potężna cewka Tesli, łącząc niebo z ziemią, żeby ognie szalejące na górze spłynęły głęboko pod ziemię. Przy odrobinie szczęścia może da się osiągnąć punkt równowagi, pozwalający na przywrócenie porządku.

Niestety, szczęście im nie dopisało.

Grunt zadygotał pod nogami Hartnella, rzucając go na pulpit. Usłyszał huk pękającego szkła. Skulił się, przekonany, że pękło okno wychodzące na wieżę. Obejrzał się i zobaczył, że sieć rys pokrywa tafłę szkła na prawo od niego, z tyłu stacji. Wiedział, co jest za tym oknem. Pomyślał o ciemnym jeziorze.

– Panie Hartnell! – wrzasnął Kapoor, kierując jego uwagę na bardziej bezpośrednie zagrożenie. – Musimy to wyłączyć. Mamy potężne skoki napięcia. Prądy plazmy płyną w obie strony.

Gdy podłoga grzechotała i podskakiwała, miliarder zobaczył w wyobraźni fale przemykające w tę i w tę, podróżujące między ziemią i niebem.

– Ale czy nie tego właśnie chcemy? – zapytał. – Czy nie spodziewaliśmy się, że blisko punktu równowagi nastąpi taki efekt? Przepływ mocy w obie strony, gdy dwie siły będą próbowały się ustabilizować?

Hindus pokręcił głową.

– Pan nie rozumie.

– Więc niech pan mi powie.

– Dwie fale biegnące... – zaczął Kapoor; usiłował wyjaśnić, pokazując rękami. – Jedna płynie w górę, druga w dół. Mają takie same amplitudy i długości. Zaczynają się na siebie nakładać...

Hartnell ze świstem wciągnął powietrze, rozumiejąc, na czym polega niebezpieczeństwo.

– Mogą utworzyć falę stojącą. – Wyobraził sobie napięty wibrujący sznur energii łączący niebo z ziemią, stabilny i trwały.

Kapoor z grozą patrzył na wieżę.

– Powstanie masywny obwód.

Miliarder przyskoczył do pulpitu, wiedząc, że taki obwód nie wytrzyma długo, nie z gigantycznymi siłami uczestniczącymi w grze. Nastąpi krótkie spięcie. Jeśli do tego dojdzie, może rozedrzeć niebo i roztrzaskać planetę.

Przekręcił klucz, żeby odciąć zasilanie, wszystko wyłączyć.

Nic się nie stało.

– Już zasila się samo – powiedział Kapoor, cofając się o krok. – Obwód jest zamknięty.

Hartnell się wyprostował.

Było już za późno.

Godzina 17.18

– Trzymać się!

Pędząc na złamanie karku, Kat jechała w dół po drugiej stronie Wyspy Johnsa. Długi pas czarnej skały wystający z lodu jeziora Hazen wyglądał jak okręt podwodny przebijający się przez arktyczne morze – tyle że ten okręt miał ponad sześć kilometrów długości i osiemset metrów szerokości. W pobliżu leżał archipelag mniejszych wysepek, oferując miejsca na kryjówki.

Tagak trzymał się deski rozdzielczej, siedząc na miejscu pasażera, a jego ojciec John leżał z tyłu. Obaj mieli strzelby.

Od czterdziestu pięciu minut Kat bawiła się w kotka i myszkę na wyspach jeziora Hazen, tropiona przez Antona i jego ludzi.

Kiedy John powiadomił ją o ich przybyciu, zamierzała zabrać pojazd i odciągnąć wroga od Safii i innych. Inuici przekonywali, że powinni z nią jechać. Próbowala ich zniechęcić, ostrzegając przed niebezpieczeństwem zakażenia, ale John ocenił liczbę zjeżdżających z gór pojazdów i wsiadł z synem do sno-cata.

Miała szczęście, że to zrobili.

Burza się nasilała, oferując pewną osłonę, ale to ich znajomość jeziora i wysp utrzymała ją przy życiu. Używając świateł sno-cata jak latarni morskiej podczas sztormu, zwabiła wroga na południe. Trzy okryte śniegiem skórzane namioty nie zostały zauważone.

Kiedy dotarła do wysepki, wyłączyła światła, stając się jednocześnie zwierzyną i myśliwym. Sno-cat miał dwie dziury po kulach w przedniej szybie, ale Kat wiedziała, że wymknęła się trzem tropiącym ją pojazdom śnieżnym.

Nagle wszystko się zmieniło.

– Jedź, jedź, jedź! – ponaglił ją Tagak, gdy gąsienice zachrobotowały na lodzie.

Po obu stronach maleńkie jarzące się plamki pędziły przez śnieżycę, zdradzając obecność szybszych pojazdów wroga. Ale nie one były największym zagrożeniem.

Nisko po niebie przemykały błyskawice. Wszędzie wokół biły pioruny, z ogromną siłą uderzając w lód. Wielkie szczeliny rozchodziły się we wszystkie strony. Pokrywa chmur nad jeziorem zaczęła się kotłować, tworząc nieprawdopodobnie potężny wir.

Co gorsza, wir jarzył się ciemnym szkarłatem, jakby wewnątrz płonął ogień.

Kat przypuszczała, że właśnie taka jest prawda.

Ściagała się z burzą, podobnie jak ludzie Antona, którzy się rozproszyli, porzucając swój cel, żeby uciec przed ogniem piekielnym.

Kat wiedziała, że musi dotrzeć do Safii i Rory'ego, zabrać ich i wydostać się z tej doliny.

Nagle pękła tylna szyba. John ze świstem wciągnął powietrze i poderwał rękę do ucha; pomiędzy jego palcami spływała krew.

– Schył się! – wrzasnęła Kat, garbiąc się nad kierownicą.

Przegramoliwszy się do tyłu, do ojca, Tagak wycelował ze strzelby przez dziurę wielkości pięści w tylnym oknie i na oślep strzelił w burzę.

Kat przyspieszyła, gdy zadudnił grzmot i oślepiły ją błyskawice. Sno-cat nagle się przechylił, lód pod gąsienicami okazał się krą, która zapadała się pod ciężarem pojazdu. Kat nie zwolniła; chciała wykorzystać pęd, żeby uciec na solidny lód.

Tagak strzelał na chybił trafił w burzę, ale Anton musiał jechać po ciemku. Kat wiedziała, że to Rosjanin ich goni. Kto inny z taką zawziętością kontynuowałby pościg?

Na prawo coś przedarło się przez wirujący śnieg i uderzyło w lód. Ekspłodowało z taką siłą, że wstrząsnęło pojazdem. Najpierw pomyślała, że to strzał z granatnika. Potem niebo się otworzyło i rozpętało swą furję.

Ogromne bryły lodu spadały na jezioro, roztrzaskując się albo podskakując na powierzchni. Padał grad wielkości dyni. Dach pojazdu jęczał, wgniatając się pod uderzeniami. Bombardowanie się nasilało, oświetlane przez błyski piorunów.

Kat nie śmiała zwolnić.

W końcu wydostała się z burzy gradowej i zaczęła się oddalać od śmiertelniegroźnego bombardowania, ale kanonada lodu i błyskawic wciąż ich ścigała.

W lusterku wstecznym Kat zobaczyła, że w burzy zachodzi zmiana. Jakby częściowo wyczerpane gradem, wirujące chmury wystrzępiły się i rozstały. Nad nimi szalała płonąca plazma; łańcuchy błyskawic rozdzierały niebo. Było tak, jakby pękły bariery pomiędzy światami, i spoglądała w płonące serce samego piekła.

I może tak właśnie było.

Pomyślała o biblijnym opisie siódmej plagi: *I wyciągnął Mojżesz swoją łaskę do nieba, a Pan zesłał grzmot i grad i spadł ogień na ziemię*⁸.

Patrzyła na rozwidlone błyskawice, niszczycielskie gradobicie, ognie płonące na niebie. Wszędzie dudniły grzmoty, wstrząsając lodem i grzechocząc szybami.

Czy właśnie tego jestem świadkiem? – przemknęło jej przez głowę.

Powoli wir się zamknął, skrywając to, co na krótko odsłonił. Teraz wyglądał na jeszcze silniejszy i ciemniejszy; wciąż miał ten przerażający blask.

– Uważaj! – ryknął z tyłu Tagak.

Oderwała wzrok od lusterka i spojrzała na jezioro.

Zobaczyła znajomy widok, bardziej eteryczny niż poprzednio. Małe spanikowane sylwetki mknęły bezgłośnie; burza skrywała ich kopyta, tułowia pojawiały się i znikwały w tumanach śniegu. Widmowe stado karibu.

Ale to nie były zjawy.

Rosły kozioł skoczył prosto przed zderzakiem. Kat skrzyła, żeby uniknąć zderzenia, i pojazd wpadł w poślizg. Zwierzę bezpiecznie uciekło, a sno-cat zrobił pełne kółko.

Z walącym sercem podjęła jazdę.

Nagle w dali zauważyła garby na lodzie.

Ukryte namioty.

Dzięki Bogu...

Widząc cel, przyspieszyła. Patrząc daleko przed siebie, nie zauważyła szczeliny w lodzie. Kra pod pojazdem się przechyliła. Nie nabrawszy odpowiedniego pędu po niedoszałej kolizji, nie miała szans wydostać się z pułapki. Gdy środek ciężkości nieubłaganie się przesuwał, kra nachylała się coraz szybciej.

Kat wskazała unoszące się drzwi.

– Wysiadać!

Przegramolili się przez przechyloną kabinę. Pchnęli i otworzyli drzwi, po czym wyciągnęli się na zewnątrz. Kat jako ostatnia. Sno-cat w tym momencie już niemal leżał na boku, zsuwając się po nachylonej krze. Postawiła stopę na progu i skoczyła, porzucając tonący statek. Gdy leciała nad otwartą wodą, pojazd powoli wsunął się do jeziora. Upadła na solidny lód

i toczyła się po zamrożonej powierzchni. Tagak robił to samo, trzymając rannego ojca.

Podniosła się i zobaczyła, że kra się prostuje. Krawędzie zgrzytały, gdy kra podskakiwała w miejscu. Sno-cat zniknął, pochłonięty przez tę lodową zapadnię, jakby go nigdy nie było.

John i Tagak do niej podeszli.

Ten pierwszy westchnął.

– Psi zaprzęg jest znacznie lepszy – powiedział.

Nie mogła się z nim nie zgodzić.

Wyruszyli do namiotów, ale gdy przeszli pięćdziesiąt metrów, z lewej strony dobiegło niskie dudnienie. Za całunem burzy przemknął cień, jak rekin w ciemnej wodzie.

Był to pojazd śnieżny jadący bez świateł.

– Biegiem – rzuciła Kat.

Wskazała przed siebie i gestem kazała mężczyznom się schylić, mając nadzieję, że nie zostali zauważeni. W czasie pospiesznej ewakuacji ze sno-cata stracili broń. Ich jedyną nadzieją było dotarcie do zaspanych śniegiem namiotów i modlenie się, żeby wróg ich minął.

Biegli, trzymając się blisko siebie.

Obóz był coraz bliżej.

Nasłuchiwała dźwięku silnika, ale burza się zbliżała, zagłuszając wszystko trzaskiem piorunów i lodu.

Udało im się dotrzeć do obozu, pobiegła do namiotu, gdzie zostawiła Rory’ego i Safię.

Zanim sięgnęła do poły, huknął strzał. Lód eksplodował przy jej stopie.

Zatrzymała się i odwróciła.

Anton wyłonił się zza drugiego namiotu; był w towarzystwie mężczyzny opatulonego w skafander. Obaj mieli karabiny. Musieli zaparkować swój pojazd poza zasięgiem wzroku i urządzili zasadzkę.

– Na kolana – zwrócił się do Inuitów Rosjanin. – Ręce na głowę.

Zawahali się, ale Kat dała im znak, żeby to zrobili.

Partner Antona krążył za nimi, mierząc im w plecy.

– Rory, wyjdź! – krzyknął Rosjanin.

Chłopak odciągnął połę i wyszedł, z przepaszającą miną patrząc na Kat. Miał na sobie skafander.

– Przepraszam – wymamrotał ze spuszczonego wzrokiem. – Zaskoczyli nas. Nie chciałem, żeby to wszystko się stało.

Ani ja, pomyślała Kat.

Ale, sądząc po skafandrze, on miał się stąd wydostać.

– Jak Safia? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Źle. Jakby jej stan pogarszał się wraz z burzą.

Więc przynajmniej jej nie zabili...

Poła znowu się odchyliła i Safia wyszła chwiejnym krokiem, żeby stanąć pomiędzy Rorem i Antonem. Patrzyła na wir wypełniający świat na południu. Kat mogłaby przysiąc, że przez chwilę jej oczy się jarzyły, ale prawdopodobnie było to tylko odbicie błyskawicy.

Uniosła rękę.

Potem wszystko rozegrało się jakby w zwolnionym tempie.

Strażnik za Kat musiał uznać, że Safia ma broń. Strzelił, ale Rory, który patrzył w jego stronę, spostrzegł zagrożenie i rzucił się przed Safię.

– Nie! – krzyknął.

Anton zareagował z szybkością wykształconą przez szkolenie w Gildii i zasłonił go, stając plecami do strzelca. Kula trafiła go w kręgosłup. Osunął się w ramiona Rory'ego.

Gdy obaj upadli, Kat przysiadła, chwyciła broń Rosjanina i obracając się na pośladkach, puściła serię trzech pocisków.

Jeden trafił strażnika w szyję, wyrywając kawał ciała i rzucając go do tyłu.

W tej dramatycznej chwili tylko jedno z nich wciąż stało.

Safia ani na moment nie oderwała wzroku od nieba.

– To nie może być... – przemówiła, jakby do burzy.

Godzina 17.32

Gdy płomienie płoną jaśniej w jej czaszce, patrzy dwiema parami oczu.

Jedne są stare, drugie nowe.

Widzi zimną burzę przewalającą się przez płonąca pustynię w kierunku krwawoczerwonej rzeki. Widzi zamrożone jezioro, które przeczy toczącej się po nim ognistej burzy. Dwa widoki falują i migoczą, nałożone na siebie, jakby próbowały się wzajemnie zgasić.

To wojna ognia i lodu, bitwa stara jak świat.

Nie poświęca jej większej uwagi, widząc, że nie to jest najważniejsze.

Przenosi spojrzenie dalej, ku płonącej tam latarni.

To niemożliwe.

Godzina 17.33

– Co mamy zrobić? – zapytał Painter.

Siedział w kabinie z pilotem i technikiem, który najwyraźniej pełnił też funkcję drugiego pilota. Za nimi inni tłoczyli się na prowadzących do kokpitu schodkach, słuchając swojego byłego szefa przez radio pracujące w zakresie mikrofalowym.

– Musicie rozbić samolot na polu anten Aurory – powiedział Hartnell głosem zadyszany ze strachu. – Wycelować prosto w wieżę.

Painter spojrział przez okno ku płonącej kolumnie plazmy. Hartnell już im powiedział, że próbując odwrócić zniszczenia, które spowodował, tylko pogorszył sytuację. Painter wyobraził sobie opisany przez niego obwód. Wiedział, że to tylko prymitywna analogia wchodzących tu w grę kolosalnych energii, ale rozumiał istotę rzeczy.

Hartnell chciał, żeby ktoś przerwał obwód, zanim sam się zapadnie.

Na ziemi on i Kapoor dokładali starań, żeby go stabilizować, ale byli skazani na przegraną. Wystarczyło spojrzeć przez okno, żeby to zrozumieć. Ognisty wir stopniowo się powiększał – wirujący huragan energii potencjalnej.

Kilotonowy odpowiednik tysiąca bomb jądrowych.

Kiedy tylko dotrze do płonącego jasno na niebie kruchego obwodu, gra się skończy.

Painter ocenił, że w najlepszym wypadku mają dwadzieścia minut.

Nie było czasu na długie debaty.

– Tak zrobimy – powiedział.

Pilot spojrzał na niego z przerażoną miną. Rozumiał, że ktoś musi manualnie sprowadzić samolot na dół. Z powodu wszystkich zakłóceń i warunków burzowych to nie będzie lądowanie na przyrządach.

I zostanie im tylko jedna szansa.

Painter zwrócił uwagę na zdjęcie obok miejsca pilota: uśmiechnięta żona i dwoje małych dzieci. Ścisnął ramię mężczyzny.

– Ja to zrobię – rzucił, ściskając jego ramię.

– Latałeś globemasterem c-siedemnaście?

– Niczym tak wielkim. Głównie prywatnymi odrzutowcami. – Poklepał pilota po ramieniu. – Ale przecież nie muszę nim lądować, tylko go rozbić.

Pilot miał powątpiewającą minę i było widać, że jest rozdarty między spieraniem się z nim a pozwoleniem mu na wykonanie tej misji kamikadze. Nagle jego rysy stwardniały.

– Powiem ci podstawowe rzeczy. Jeśli nie czujesz się pewny albo uznasz, że nie potrafisz odróżnić drążka od małego drąga, wtedy ja go sprowadzę.

– Zgoda. – Painter wskazał przepustnicę. – To drążek, zgadza się?

Pilot osłupiał.

Painter wyszczerzył zęby.

– Przepustnica, wiem. A to twój drążek. Tu jest wyświetlacz przezierny HUD, prędkościomierz i oczywiście ekran PFD. – Na zakończenie wskazał krocze. – A tu jest mój drąg, przynajmniej był, gdy ostatnio patrzyłem. Wystarczy?

Pilot odchrząknął i opadł głębiej w fotel.

– Do roboty.

Wszyscy na pokładzie szybko opracowywali plan ewakuacji, podczas gdy pilot skręcał na najlepsze podejście do anten. Plan polegał na szybkim locie nurkowym przez warstwę chmur burzowych, co Painter z zadowoleniem zostawił jemu. Gdy znajdą się dość nisko, samolot wyrówna, pozwalając wszystkim wyskoczyć ze spadochronami. Painter zostanie w kokpicie, żeby naprowadzić globemastera na cel.

Dość proste, gdy nie siedzi się na potencjalnym krześle elektrycznym.

– Trzymać się mocno! – nakazał przez radio pilot. – Zaczynamy opadać!

Painter siedział na odchylanym siedzeniu za Willetem, mając widok z lotu ptaka, gdy dziób nachylił się ku chmurom. Pilot ustawił samolot na długim prostym kursie.

Gdy nurkowali, Painter patrzył na słup ognia po prawej stronie i kotłujący się wir po lewej. Odległość pomiędzy nimi znacznie się zmniejszyła, szybciej, niż ocenił na początku. Mógł się domyślać dlaczego. Burza plazmy szalejąca w jonosferze się nasiliła. Na niebie wrzała zorza; wielkie ogniste pętle spływały ku ziemi, a wśród nich migotały duszki i fontanny.

Taki pokaz mógł oznaczać tylko jedno.

Hartnell tracił kontrolę, sytuacja już się destabilizowała.

Pilot musiał to wyczuć, bo zwiększył kąt schodzenia.

– Trzymać się! – ryknął.

Globemaster pikował ku czarnym chmurom. Painter kulił się i ścisnął uprząż, odchylony do tyłu. Wpadli w burzę, która tłukła w samolot i nim rzucała tak, że zgrzytał i kołysał się. Pilot pochylał się nad przyrządami, trzymając jedną rękę na drążku,

drugą na manetce przepustnicy. Świat za oknem był czarny. Zakłócenia zmyły nawet zielone linie na wyświetlaczu HUD. Piekło zdawało się trwać wieki, ale nagle wypadli z chmur i świat powrócił w szarości zacinającego śniegu, czarnych skał i białych lodowców.

Pilot uniósł dziób, żeby wyrównać i zwolnić. Gdy osiągnął cel, pstryknął kilkoma przełącznikami, podrapał się po brodzie i popatrzył na Paintera.

– Pańska kolej.

Painter rozpiął pasy.

Na krzesło elektryczne...

Zamienił się miejscami z pilotem, który niczym troskliwa kwoka przez dłuższą chwilę sprawdzał, jak sobie radzi.

– Proszę już iść i zabrać wszystkich z pokładu – nakazał w końcu, machając ręką.

Pilot skinął głową.

– Dziękuję.

– Jeszcze mi nie dziękuj.

Poklepawszy go po ramieniu, pilot wyszedł z kabiny.

Willet został na chwilę.

– Będzie pan miał tylko sekundy – powiedział.

– Wiem.

Mechanik westchnął, patrząc przed siebie. Wprost przed dziobem burza żarzyła się białym ogniem. Bestia czekała na niego.

– Mogę zostać – zaproponował Willet. Napięcie na jego twarzy świadczyło o tym, że potrzebował całej siły woli, żeby wypowiedzieć te dwa słowa.

– Panie Willet, proszę zejść z mojego okrętu – rzucił Painter, wskazując kciukiem za siebie. – To rozkaz.

Tamten uśmiechnął się i zasalutował.

– Tak jest, kapitanie. – Odpiął pasy i poklepał go po ramieniu. – Mam nadzieję, że się panu uda.

Painter wiedział, że Willet mówi o czymś więcej niż tylko o zniszczeniu anten.

Taki mam plan, pomyślał, a kiedy Willet wyszedł, założył słuchawki. Poświęcił minutę na zaznajomienie się z przyrządami. Na pulpicie i na panelu górnym były setki przełączników, lecz najważniejszy był drążek sterowy przy jego kolanie.

Dam radę.

W końcu usłyszał głos Willeta:

– Ptaszki bezpiecznie wyleciały z klatki. Schodzę z pokładu. Okręt jest pański.

Nie mógł wiedzieć na pewno, kiedy technik wyskoczył z samolotu, ale to wyczuł. Wiedział, że został sam na pokładzie wielkiej maszyny.

Chcąc oderwać uwagę od krytycznej fazy lotu, spojrzął na wskaźniki wysokości, sprawdził prędkość na ekranie PFD i lekko zmienił kąt schodzenia. Po dwóch minutach przesunął dźwignie przepustnicy, zwalniając do ostatniego podejścia.

Zaczynamy.

Włączył radio służące do kontaktu ze stacją.

– Hartnell, jest pan tam? Proszę się zgłosić.

Usłyszał zaskoczony, niemal rozbawiony głos.

– Painter? To pan sprowadza samolot?

– Ktoś musi posprzątać ten bałagan, który pan zrobił. Dam panu znać sto sekund od celu. Żebyście mogli udać się do schronu przeciwlotniczego.

– Już odesłałem doktora Kapoora. Ale ktoś musi pełnić wachtę przy sterze, choćby po to, żeby dać panu parę sekund więcej.

Painter usłyszał napięcie w jego głosie i pomyślał o szalejącej w jonosferze burzy świadczącej o tym, że sytuacja się destabilizuje.

– Ile mam czasu?

– Może przydadzą się panu te dwie sekundy ekstra.

Zaklął w duchu i pchnął przepustnicę, zwiększając prędkość, którą przed chwilą zmniejszył.

Był dość blisko, by widzieć rozległe pole anten. Tryskały z nich błękitne iskry energii elektrycznej, oświetlając spiralę, przemieniając ją w migoczącą galaktykę w tundrze. Pośrodku

z płonącego czubka wieży wznosiła się ognista kolumna plazmy. Nawet z tej odległości widział, jak wibruje, wstrząsana destabilizującymi impulsami energii plazmowej.

Przyspieszył. Nie śmiał zwolnić, chociaż inaczej to sobie zaplanował. Czas szybko uciekał, nie zostawiając mu w zapasie ani sekundy.

– Painter! – ryknął nagle Hartnell.

Też to zobaczył. Z wyrobiska wypłynęła opasła kula plazmy, kierując się ku jonosferze. Energia już nie spływała na dół. Biegunowość wieży się zmieniała. Gdy Painter śledził wzrokiem jaśniejącą kulę wzlatującą ku chmurom, zobaczył prawdopodobną przyczynę.

W niebie pojawił się ognisty kocioł. Jego brzegi niemal muskały kolumnę plazmy wznoszącej się ze Stacji Aurora.

Czas się skończył.

Painter pociągnął manetki przepustnicy i pchnął drążek, żeby opuścić dziób. Prędkość wzrosła, przemieniając odrzutowiec w pocisk.

Już miał wykonać swój ruch, kiedy w samolot uderzył boczny wiatr. Klnąc, Painter korygował kurs, walcząc o powrót na właściwy tor podejścia. Stracił cenne sekundy, żeby wykonać manewr, ale w końcu się udało.

Przesunął ręce nad przyrządami.

Wygląda dobrze, uznał.

Usatysfakcjonowany, zerwał się z fotela i zbiegł po schodach do ładowni. Gdy samolot spadał jak pocisk, który miał zaraz wybuchnąć, popędził ku ogonowi.

Jego stopy bębniły po pokładzie. Wiedział, że nie przeżyje skoku. Był za nisko, żeby skoczyć ze spadochronem, i za wysoko, żeby skoczyć bez.

Dlatego improwizował.

Zabrał to, co wcześniej przygotował, zapiął uprząż i chwycił leżący obok karabin.

Rzucił się ku włazowi... i zobaczył roziskrzoną spiralną galaktykę. Skrzydła transportowca musnęły szczyty anten, gdy

dziób uderzył w stalowe słupy.

Cholera...

Sięgnął do tyłu i trzasnął dłonią w zawór zbiornika z gazem.

Balon meteorologiczny wybuchł z plecaka na jego plecach, załopotał na wietrze za samolotem i wyrwał go z ładowni.

Painter pożeglował w górę, patrząc, jak pękaty globemaster przedziera się przez żarzącą się spiralę, zmierzając ku płonącej bestii w samym środku.

Godzina 17.52

Simon Hartnell stał przy sterze.

Słyszał ryk nadlatującego wielkiego odrzutowego transportowca i trzask łamanych anten. Patrzył w górę na wieżę stojącą w płomieniach energii. Przypomniawszy sobie, jak wcześniej myślał, że pokaz kojarzy mu się z ogniami świętego Elma, które tańczyły na masztach i rejach żaglowców.

Wyobraził sobie wieżę jako maszt swojego HMS *Erebusa* albo *Terroru*. Wspomniał słowa Paintera o swoim przodku, który był członkiem załogi jednego z tych żaglowców.

Może niektórzy mierzą za wysoko.

Jednak nawet teraz się z tym nie zgadzał.

Z dumą patrzył na swoje arcydzieło, choć było skazane na zagładę.

Znacznie gorsze jest niepodejmowanie próby.

Świat przed nim eksplodował, zabierając jego życie i wszystkie marzenia.

Godzina 17.53

Żeglując wysoko, Painter patrzył, jak globemaster kończy swój lot.

Transportowiec przeorał brzuchem las anten i trzasnął dziobem w szczyt wieży. Spadając do szerokiego wyrobiska, zmiądzzył wieżę, gasząc płomień tej rozżarzonej świecy.

Painter przez chwilę widział wypalony na siatkówkach obraz resztek kolumny plazmy miotającej się po niebie jak ogon złego kota... a potem wszystko zniknęło.

Chwilę później samolot eksplodował, wymazując ten obraz. Wielka kula ognia wzleciała w niebo, szybko przemieniając się w słup dymu, mroczny cień jasności przed chwilą.

On uniknął tego zagrożenia, ale jeszcze nie był bezpieczny. Uniósł karabin i wycelował w balon. Strzelał bardzo ostrożnie, powoli wypuszczając powietrze z balonu. W końcu przestał się wznosić i zaczął opadać ku ziemi. Przygotował się na twarde lądowanie, lecz przyziemił dość łagodnie.

Balon opadł za nim, okrywając skały i śnieg jak całun. Painter zrzucił plecak, ale zatrzymał broń. Przypuszczał, że od Stacji Aurora dzieli go kilka kilometrów drogi, i nie chciał, żeby jakiś niedźwiedź polarny uniemożliwił mu powrót.

Stał przez chwilę, patrząc w niebo. Po wyłączeniu anten i z ogromną ilością energii zassaną w ziemię, wir szalejący w chmurach jakby się uspokajał. Matowy szkarłatny blask prawie znikł, a burza plazmy już nie podsyciała jego wewnętrznego ognia, gdy jonosfera się przeczyściła.

Warunki atmosferyczne poprawiły się, Painter wiedział jednak, że sprzątanie jeszcze się nie skończyło. Niepodobna było powiedzieć, jak bardzo ta wyspa została skażona. Nie mogli liczyć na to, że potężny ładunek elektryczny unicestwił wszystkie mikroby wyrzucone w powietrze.

Westchnął, skierował uwagę na ziemię i ruszył do Stacji Aurora.

Miał skafander, mimo to uznał, że w Arktyce powinno być chłodniej.

Dotknął dłonią czoła.

Chyba mam gorączkę.

Godzina 18.25

– Jak się czujesz? – zapytała Kat.

Safia siedziała na składanym łóżku w skórzanym namiocie Inuitów. Trzymała w rękach kubek gorącej zupy rybnej, którą dostała od Johna i Tagaka.

– Lepiej.

Miały namiot tylko dla siebie. Rory poszedł do drugiego, gdzie John nie szczędził starań, żeby Antonowi było wygodnie. Kula przeznaczona dla niego – i Safii – strzaskała Rosjaninowi kręgosłup i wyszła przez klatkę piersiową. Anton był sparaliżowany od pasa w dół i kasłał krwią.

Nie przeżyje.

Rory chyba to wiedział i z nim został.

– Możesz mi powiedzieć, co się z tobą działo? – zapytała Kat. – Miałaś jakieś dziwne halucynacje?

– Pamiętam strzępki, jak przez mgłę – odparła Safia. – Piasek parzący mnie w stopy. Smród martwych zwierząt. – Pokręciła głową. – Ale na koniec, zanim zemdlalam, widziałam dziwne obrazy. Jakbym patrzyła dwiema parami oczu. Widziałam arktyczną burzę, ale też inną, nad czerwonym jak krew Nilem. Wydawała się taka realna... jak lód i śnieg tutaj.

Kat zerknęła ku kłapie namiotu. Burza nagle się skończyła. Pioruny i grad, które miały zaatakować obóz, ucichły. Zbiegło się to z omdleniem Safii, która upadła na śnieg jak marionetka z przeciętymi sznurkami.

– Rory... i jego ojciec, skoro o tym mowa – powiedziała Kat – był przekonany, że przyczyną tych majaków może być zainfekowanie mikroblem. Uważali, że ten organizm odtwarza wyryte w nim dawne wzory. Przenosi wspomnienia, myśli, może nawet osobowości. I możliwe, że robi to od czasów starożytnego Egiptu.

Zastanawiała się, czy energia burzy wzmocniła ten efekt, co być może wyjaśniałoby, dlaczego Safia żywiej pamiętała ostatnie halucynacje.

Safia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Jak mówiłam, niewiele pamiętam.

– Kiedy majaczyłaś, Rory w starożytnym koptyjskim zapytał, jak masz na imię, a ty odpowiedziałaś w tym samym języku, że Saba.

Safia była tym wyraźnie zaskoczona.

– To imię mumii na tronie. – Dotknęła twarzy, pewnie rozpamiętując, w jaki sposób została zainfekowana.

– I teraz czujesz się lepiej?

– Tak.

Po nagłym upadku wnieśli ją do namiotu. Niedługo później ocknęła się w znacznie lepszym stanie. Gorączka się przesiliła, temperatura wróciła do normalnej. Kat zastanawiała się, czy Safia po prostu wyzdrowiała, czy może nagła poprawa miała coś wspólnego z elektrycznością w powietrzu. Chciała jak najszybciej poddać ją badaniom.

Nasunęło jej się kolejne pytanie: Minęło tyle czasu. Dlaczego mnie i Rory'emu nic nie jest?

Poła namiotu poruszyła się i wszedł Rory. Oczywiście miał podpuchnięte.

– Anton? – zapytała Kat.

Pokiwał głową i osunął się na ziemię. Najwyraźniej nie chciał być sam. Usiadł po turecku i wyglądał na wykończonego i oszołomionego. Kat przypuszczała, że strata Antona jeszcze nie w pełni do niego dotarła.

– Przykro mi – powiedziała Safia.

Kat jeszcze nie potrafiła podzielać jej współczucia, ale ją rozumiała. Ten człowiek próbował ją ocalić, rzucając się pomiędzy nią i strzelca. Dlatego tolerowała jego obecność.

Rory westchnął ciężko.

– Chcę, żebyś wiedziała... – odezwał się. – Wcześniej nie miałem okazji ci powiedzieć.

– Czego? – zapytała Kat.

– Zostawiłaś mnie, żebym przyjrzał się wynikom skanowania tatuaży mumii. – Zerknął na Safię. – Są imponujące. Użyłem

twojej metody konwersji egipskich hieroglifów na wczesny hebrajski. Poczyniłem pewne postępy, zanim... – Machnął ręką w stronę namiotu, w którym zmarł Anton.

– Mów dalej – naciskała Kat. – Czego się dowiedziałeś?

– Mumia była lekiem.

Kat wstała.

– Co?!

– A przynajmniej zawierała lekarstwo, wraz z ładunkiem patogenicznych mikrobów w czaszce. Wciąż tego nie rozumiem. Przecież mój ojciec przebadał jej tkanki. Zrobił to wiele razy. Nie znalazł niczego wyjątkowego, co powodowałoby chorobę, a już na pewno nic, co by leczyło. – Chłopak ściągał brwi. – Coś przeoczył.

Ruchem głowy wskazał Safię.

– Ale dlatego jej się polepszyło. To, czym została zainfekowana, podziało jak żywa szczepionka. W konsekwencji gorączkowała, jednak w końcu patogeny okazały się nieszkodliwe.

– Wiesz to wszystko z tatuaży mumii? – nie mogła uwierzyć Kat.

– Wyciągnąłem pewne wnioski. Ale wciąż jest mnóstwo do przetłumaczenia. I już chyba wiem, dlaczego my nie zachorowaliśmy. To dzięki lekowi zawartemu w mumii Safia nie rozsiewała choroby. Osłabiał działanie ładunku patogenu, na który była narażona w laboratorium.

Kat spojrzała na Safię.

– Więc może z użyciem jej krwi albo płynu rdzeniowego dałoby się opracować lek...?

Rory westchnął i pokręcił głową.

– Z jakiegoś powodu to nie działa w ten sposób. Jest tylko jedno lekarstwo i jeden sposób, żeby je uzyskać. Bezpośrednio ze źródła. A spaliliśmy je na popiół.

Pomyślała o zabezpieczeniu w laboratorium, wspomniała ryk ognia.

Lekarstwo przepadło.

Park Narodowy Akagera, Rwanda

3 czerwca, godzina 22.56 czasu miejscowego

Trąbienie niosło się przez wąwozy; drżące echo odbijało się od ścian i wracało czterokrotnie głośniejsze.

Zatroskany dziwnym zachowaniem słoni i bojąc się je rozdrażnić, Gray zatrzymał przyjaciół na cmentarzysku i kazał im być cicho. Mógł bez trudu odgadnąć, co spowodowało ten dramatyczny występ. Pośrodku małej kotliny sędziwa białoskóra matrona wzniosła ślepe oczy ku niebu, jakby wyczuwała blask zorzy równikowej tańczącej po nocnym niebie.

Wreszcie hałas zaczął cichnąć. Białe wstęgi i fale rozmigotanej energii, które wciąż omywały gwiazdy, powoli przygasały.

Noe wypuścił powietrze, jakby przez cały ten czas wstrzymywał oddech.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. – Wskazał ręką niebo, ale patrzył w kierunku wielkiej królowej. – I wątpię, żeby to stado kiedykolwiek było takie głośnie. Te słonie są wyjątkowo płochliwe i skryte, a ich chór z pewnością poniósł się na sto kilometrów.

Roho przez cały czas trzymał się blisko niego. Młody lew najwyraźniej nie doceniał tych popisów wokalnych.

To samo odnosiło się do ludzi. Kowalski potarł uszy i kłapnął szczęką.

– Obym nigdy więcej czegoś takiego nie usłyszał.

– Ale czy zwróciliście uwagę na ich pieśń? – spytał Derek, który trzymał Jane za rękę. – Nie wyrażała złości ani strachu...

– Niemal smutek – szepnęła dziewczyna. – Jakby całe stado nagle przypomniało sobie coś, co rozdarło im serca.

Noe pokiwał głową.

– Ona ma rację. Słuchałem słoni oplakujących zmarłych członków stada. Trąbiły tak samo.

– Co one mogły wspominać? – Derek spojrział w niebo. – Wątpię, żeby któryś z nich widział w swoim życiu zorzę na równiku.

– Może to nie było za ich czasów. – Gray popatrzył na Jane i Roho. Przypomniał sobie, jak stara słonica wybierała tę parę, jakby ich rozpoznała. Prawdopodobnie pomyliła ich z parą z zamierzchłej przeszłości. – Może to znacznie starsza pamięć, związana z wielką tragedią, której echa niosły się przez tysiące lat.

Derek, domyślając, że Gray nawiązuje do ich wcześniejszej rozmowy, wciąż nie krył powątpiewania.

– Sugerujesz, że od czasów, kiedy zjawiała się tu inna kobieta z lwem? – spytał.

– Od wielkiej powodzi, która wymyła mikroba z tej doliny i zatrąła Nil. – Gray spojrział w górę. – Jeśli, jak mówiłeś, tamta powódź została spowodowana przez zmiany w atmosferze po erupcji Thery, to być może towarzyszyła jej lokalna zorza.

Jane podążyła za jego wzrokiem i uniosła głowę ku migoczącemu niebu.

– Wiemy, że Thera wybuchła z niespotykaną wcześniej siłą, ale w jaki sposób mogłoby to zmienić niebo? – zapytała.

– Chmury popiołu są pełne energii, przeszywane wyładowaniami elektrycznymi. Jeśli Thera wyrzuciła całą tę katastrofalną energię w niebo, mogło to spowodować powstanie zorzy w jonosferze nad tym obszarem. – Gray słuchał, jak cichło ostatnie żalosne trąbienie. – I te wielkie zwierzęta pamiętają... tamto zjawisko i śmierć, która nastąpiła później.

Noe patrzył na drugą stronę kotliny.

– Jeśli ma pan rację, może to również wyjaśniać, dlaczego pomalowały las. Paleta jarzących się kolorów i migotliwe odbicie

w wodzie... nawet ruch ich ozdobionych ciał przemieszczających się wśród drzew... Może próbują przywołać wspomnienie zorzy? Czy takie jest pochodzenie ich rytuału?

Gray przypomniał sobie, jak samo powietrze pod koronami tego pomalowanego lasu wydawało się święte, przepełnione czcią.

– A my przybyliśmy na tę ceremonię z kobietą i lwem. Może dlatego tak szybko nas zaakceptowały – zasugerował.

Noe pokiwał głową.

– Łącząc nasze przybycie ze starożytnym wspomnieniem, pełnym smutku i żalu.

Jane spojrzała na sędziwą królową.

– Na widok czegoś takiego człowiek zaczyna się zastanawiać, czy już wtedy wiedziały, co uciekło z tej doliny. Może pozwoliły Egipcjanom zbudować ten mur, który przecież z łatwością mogłyby rozwalić, gdyby chciały. Później, żeby wynagrodzić szkody, nauczyły przybyszów, jak robić lekarstwo.

Pomyślał o słońcy chwytającej Jane za rękę i prawdopodobnie próbującej zrobić to samo. Echo innego czasu.

– Ale czego my się nauczyliśmy? – zapytała dziewczyna. – Nie rozumiem.

Zaczęło mu coś świtać, ale wydawało się, że to będzie musiało poczekać. Jakby w odpowiedzi na jakiś niewidzialny sygnał sędziwej królowej, a może tylko poruszony przez gasnące niebo, wrócił wielki samiec. Spojrzał na Graya i jego towarzyszy i poderwał głowę, stękając i potrząsając ciosami w jednoznacznie agresywnej postawie.

– Wygląda na to, że nadużyliśmy gościnności i pokazują nam drzwi – skomentował Kowalski.

Szanując życzenia gospodarzy, Gray machnął ręką na znak, że powinni ruszać. Ominęli strażnika matrony i skierowali się ku rozpadlinie. Nikt się nie odzywał, wszyscy rozmyślali o tajemnicach i cudach ostatnich godzin. Gdy wyszli z wąskiego wąwozu, Gray rozejrzał się po kotlinie oświetlanej przez gasnącą zorzę, próbując wyobrazić sobie przybycie egipskich odkrywców.

– Spójrzcie – rzucił Derek, wskazując grootę z jeziorkiem.

Powierzchnia wody jarzyła się szkarłatem, ale nie było to odbicie blasku kolonii świetlików nocujących pod półokrągłym nawisem.

– Z pewnością reagują na obecność energii w powietrzu – powiedział Gray.

Derek spojrzał na niego z szeroko otwartymi oczami.

– Możliwe, że miałaś rację. – Popatrzył na słońce. – Może to ta sama energia spowodowała ich melancholijne chóralne trąbienie, budząc starożytne wspomnienia podsyczone przez ogień tego, co mają w czaszkach.

I teraz to się kończy, pomyślał Gray, obserwując, jak blask w wodzie gaśnie wraz z zorzą. Odczuwał głęboki spokój... co było błędem.

Na dźwięk strzału wszyscy się odwrócili.

W słuchawce zatrzeszczał głos Seichan:

– Spójrzcie w górę! Atakują!

Uważnie omiół wzrokiem niebo, ale z początku niczego nie zauważył. Nagle spostrzegł mroczne cienie szybko spadające na tle gwiazd. Gdy znalazły się na wysokości urwiska, otworzyły się spadochrony.

Z góry padły strzały.

Pociski siekały drzewa i rozdzierały ziemię wszędzie wokół nich.

Zdał sobie sprawę, że wciąż ma zapaloną czołówkę na kasku – latarnię dla ostrzału. Zgasił ją, kazał innym ruszać i zapędził ich pod osłonę urwiska.

– Uciekać! Kryć się! – Zwrócił się do Kowalskiego: – Chronić ich.

– Jak...?

– Wymyśl coś!

Gray wziął to, czego potrzebował, i pobiegł. Zerknął w kierunku rozpadliny, w stronę muru zbudowanego przez starożytnych Egipcjan. Chciał połączyć się z Seichan przez radio, lecz nie zrobił tego z obawy, że wróg mógłby ich podsłuchać.

Wolał, żeby milczała.

Strzeż tyłów.

Godzina 23.09

Ze szczytu muru Seichan zobaczyła, że latarka Graya zgasła. Modliła się, żeby nic mu się nie stało, jednocześnie przeklinając siebie za to, że za późno rozpoznała zagrożenie. Od dwóch godzin czuwała na posterunku, wykorzystując przewagę zapewnianą przez wysoką zaporę, żeby obserwować dolinę po jednej stronie i prowadzącą tu drogę po drugiej. Koncentrowała się głównie na ciemnym wąwozie pomiędzy urwiskami, strzegąc jedyne wyjścia.

Zauważyła ciemne postacie spadające z nieba dopiero wtedy, gdy było już za późno. Ostrzegł ją tylko cichy warkot silnika, słyszalny, gdy przebrzmiał ogłuszający chór słoni. Z paranoją sięgającą zenitu przeszukała wzrokiem niebo i wypatrzyła plamki opadające w kierunku kotliny.

Strzeliła, żeby ostrzec Graya, i powiadomiła go przez radio.

To było wszystko, co mogła zrobić, żeby pomóc jemu i innym.

Po wszczęciu alarmu pobiegła szczytem muru do pochylni. Kusilo ją, żeby zbiec do kotliny i dodać swoją siłę ognia do bitwy, która zaraz miała się rozegrać, ale w wyobraźni ujrzała bladą twarz oszpeconą przez czarne słońce.

Chcesz, żebym zrobiła właśnie to, prawda?

Podejrzewała, że taki był cel ataku z powietrza: skupienie uwagi ich wszystkich na kotlinie. Naliczyła pięć spadochronów, ale wiedziała, że jest inne zagrożenie. W Sudanie blada zabójczyni posłała swoich ludzi do podziemi, a sama urządziła zasadzkę na zewnątrz, pilnując wszystkich wyjść.

I prawie się jej udało.

Seichan wróciła myślą do oślepiającego pustynnego słońca, do tego, jak była uwięziona na zboczu wydmy, patrzyła, jak tamta

do niej celuje, i wyobrażała sobie jej dziki uśmiech ukryty pod szalikiem.

Dotarła do pochylni i skręciła w lewo, żeby zejść w głąb rozpadliny.

Nie tym razem, suko, obiecała w duchu.

Godzina 23.11

Wala wybrała miejsce w lesie, blisko skraju rozlewiska.

Może być.

Dziesięć minut temu, gdy wylądowała, z dalekiego wąwozu dobiegło echo strzału. Mimo to wcale się nie spieszyła i spokojnie złożyła spadochron.

Spływając z nieba, nie była sama. Wokół niej dron zataczał szerokie kręgi. Użyła jego przyrządów optycznych, żeby przyjrzeć się rozpadlinie i okolicznym lasom, wypatrując ukrytego niebezpieczeństwa.

Nie chciała dalszych niespodzianek.

Po bezpiecznym lądowaniu udała się na poszukiwanie punktu obserwacyjnego, który zapewniłby jej otwarty widok na wylot rozpadliny. Znalazła skupisko głazów, idealne stanowisko snajperskie. Rozbiła obóz, rozkładając ciemny koc pod osłoną kamieni. Położyła się na brzuchu i oparła pistolet maszynowy Heckler & Koch na małym trójnogu. Był wyposażony w noktowizor i tłumik, więc namierzenie jej pozycji przez wroga będzie prawie niemożliwe.

Na kocu obok siebie ułożyła trzy zapasowe magazynki, rezerwę zostawiając zatkniętą za pasek, na wypadek gdyby musiała szybko się przemieszczać.

Na koniec ustawiła przy łokciu przenośny pulpit, zamaskowany od strony rozpadliny przez głaz. Ekran pozwalał jej na kontynuowanie obserwacji z góry.

Usatysfakcjonowana, przyłożyła oko do lunetki i czekała. Dobiegły do niej echa kolejnych strzałów. Nie wiedziała, co się dzieje, ponieważ nakazała ciszę radiową i zespół Krugera miał się odezwać dopiero po zabezpieczeniu doliny.

Jedno jednak wiedziała na pewno.

Ona przyjdzie po mnie.

Godzina 23.13

Gdy Gray wskoczył do wąskiej szczeliny prowadzącej na cmentarzysko, pociski krzesaly iskry na skałach wokół niego. Ostro skręcił przy pierwszym występie. Kiedy stracił z oczu kotlinę, wziął jeden z kasków i zapalił latarkę. Włączył też tę na swoim i na trzecim, który trzymał w drugiej ręce.

Pożyczył je od Jane i Dereka.

Za zakrętem rozpadliny rykoszetowała kula, skłaniając go do biegu.

Ryzyko się opłacało... ale na ile?

Kowalski i pozostali uciekli pod urwisko, a on popędził w przeciwnym kierunku. Liczył na to, że wróg rzuci się w pościg, co zapewni jego towarzyszom czas na znalezienie jakiejś bezpiecznej kryjówki. Na przynętę zabrał kaski i zapalił latarki. Był pewien, że pięcioosobowa grupa uderzeniowa ma sprzęt noktowizyjny, więc w cienistym wąwozie trzy światła powinny być dla nich płonącymi pochodniami. Miał nadzieję, że ich blask ukryje fakt, że za nim skrywa się tylko jeden człowiek. Chciał, by wróg uwierzył, że są tutaj wszyscy razem, i wysłał za nim swoje główne siły.

Biegł przez resztę drogi na cmentarzysko, niemal odbijając się od ścian, żeby zachować przewagę nad napastnikami. W końcu wpadł do mniejszej kotliny i pod podeszwami jego butów zachrząściły zmiażdżone kości.

Przemykając przez otwartą przestrzeń, rzucił gdzie popadnie kaski z zapalonymi latarkami. Została tam tylko królowa,

rozdrażniona i wystraszona hukiem strzałów, ale nie na tyle, żeby nie mrużyć prawie ślepych oczu, gdy krytycznie patrzyła na jego błazeństwa.

Nie chcąc, żeby spotkała ją krzywda – to nie twoja walka, pomyślał – przepłoszył ją w głąb kotlinki, wymachując rękami.

– Hej! Uciekaj stąd! Ale już!

Uznała to za afront i uniosła trąbę, jakby zdegustowana jego grubiaństwem, ale obróciła się powoli i odeszła.

Może być.

Spojrzał na trzy rozrzucone latarki na kaskach, pragnąc, żeby przyciągnęły uwagę każdego, kto tu przyjdzie, i pospieszył do jednego ze stosów gałęzi, które okrywały rozpadające się kości. Wczołgał się pod osłonę, twarzą ku wyjściu z kotliny, z SIG sauerem w ręce.

Nie musiał długo czekać.

W szczelinie mignął cień. Napastnik ostrożnie wysunął głowę, rozejrzał się i cofnął. Było go widać ledwie przez sekundę. W ukryciu prawdopodobnie analizował informacje zdobyte w czasie błyskawicznej lustracji kotliny i opracowywał strategię.

Facet jest dobry, uznał Gray.

Nasłuchując, zdał sobie sprawę z jednego szczegółu dotyczącego przeciwnika.

Mężczyzna przyszedł sam.

Nie dał się nabrać i nie zabrał ze sobą kolegów, Gray domyślił się więc, że prawdopodobnie ma do czynienia z dowódcą zespołu, pewnie tym, który polował na nich w sudańskim grobowcu. Jeśli tak, pałał żądzą zemsty.

Gray zacisnął zęby, martwiąc się o przyjaciół.

Godzina 23.18

Derek kucał w głębi groty.

Po odejściu Graya uciekli pod ścianę kotliny. Najlepsza kryjówka była również najbardziej niebezpieczna. Toksyčna sadzawka znowu ściemniała, ale małą grotę wciąż oświetlała kolonia świetlików gnieźdzących się w roślinności porastającej sklepienie. Miał nadzieję, że migocząca bioluminescencja zniweczy przewagę zapewnianą wrogowi przez noktowizory. Wiedział, że nawet takie słabe światło utrudni działanie czułego sprzętu.

Ostrożnie szli brzegiem sadzawki, przesuając się w głąb groty. W końcu znaleźli niską niszę, dość dużą, by mogli się w niej ukryć – z wyjątkiem zwalistego Kowalskiego. On jednak nie miał nic przeciwko temu; kazał im się przyczaić, a sam odszedł rozprawić się z wrogiem. Zanim zniknął, na jego ustach pojawił się niepokojąco szeroki uśmiechem i rzucił:

– Mam plan.

Jane i Noe kulili się za plecami Dereka, osłaniając Roho.

Wszyscy wstrzymali oddech, gdy po drugiej stronie sadzawki zobaczyli mroczny cień, skulony, z bronią gotową do strzału. Derek wcisnął się jeszcze dalej w głąb niszy, starając się pozostać w ukryciu i modląc się, żeby myśliwy nie przystanął. Ale mężczyzna się zatrzymał i wyglądało na to, że patrzy prosto na nich przez gogle noktowizyjne.

Derek skulił się, nagle niepewny, czy dobrze zrobił, wybierając tę kryjówkę.

Idź dalej, modlił się w duchu.

Tamten nie ruszył się z miejsca. Derek spojrzał za niego z nadzieją, że Kowalski jest gdzieś w pobliżu, że już spieszy im z pomocą. Zamiast tego huknął głośny strzał, a zaraz potem rozległ się chrapliwy wrzask. Hałas dobiegł ze środka kotliny. Prawdopodobnie Kowalski wyeliminował jednego z ludzi – niestety, oznaczało to, że jest za daleko, by im pomóc.

Atak wywarł jednak pożądany skutek.

Człowiek z noktowizorem przypadł do ziemi, kierując broń w stronę, z której padł strzał. Po chwili stanął na ugiętych nogach, patrząc na kotlinę.

Nie tylko on zareagował na huk.

Z gardła Roho popłynął nerwowy jęk skargi.

Noe po cichu zbeształ kota i uspokoił go głaskaniem, ale szkoda została wyrządzona.

Myśliwy odwrócił się, przekrzywiając głowę, wciąż niepewny. Dżungla nad wąwozem przyzywała skrzekiem małą i od czasu do czasu wrzaskiem nocnych drapieżników, zaniepokojonych odgłosami płynącymi z kotliny.

Jak na złość, wróg przesunął się w bok i ruszył ku skalistemu brzegowi sadzawki, zamierzając sprawdzić źródło dźwięku.

Derek spojrział przez ramię. Jediną bronią, jaką mieli, była maczeta Noego. Ruszając do boju, Kowalski potrzebował piezera, a ich przewodnik zapomniał zabrać swoją strzelbę z wysepki, gdzie ratowali słonika. W całym tym podnieceniu i zdumieniu, wywołanym przez „malowany las”, zostawił ją opartą o drzewo.

Derek spojrział na Roho, lecz Noe już im powiedział, że lew jest młody i niedoświadczony, że dopiero się uczy polować. Poza tym Derek podejrzewał, że przewodnik nie chce, by jego przyjaciel został ludojadem. Zwierzak się trząsał, co potwierdzało, że Noe miał rację – Roho był pieszczochem, a nie wojownikiem.

Przesuwając się do przodu, Derek godził się z nieuniknionym.

Wszystko zależy ode mnie.

Noe wciąż trzymał maczetę, ale tylko jako wsparcie, drugi poziom obrony Jane.

W tym czasie przeciwnik dotarł do sadzawki i ruszył wzdłuż brzegu. Pacnął ręką kilka zaniepokojonych świetlików. Jego przesadna reakcja wskazywała na to, że bioluminescencja musi płonąć w jego goglach. Nie zdjął ich jednak, jakby z respektu dla techniki wojskowej.

Idąc brzegiem, patrzył to na kotlinę, to w głąb grotu.

Derek poczekał, aż znajdzie się w odległości kilku kroków, i rzucił się na niego w momencie, gdy spoglądał w stronę kotliny. Chrzączenie podłoża pod podeszwą przyciągnęło uwagę myśliwego.

Ale Derek już działał.

Sięgnął oburącz do jego szyi, jednocześnie uderzając go barkiem. Zwarł się z nim i obaj wpadli do głębokiego jeziora. Nie taki był plan, ale Derek liczył się z tym ryzykiem.

I dla Jane gotów był je podjąć.

Parsknął, wygramolił się na brzeg i wrzasnął:

– Teraz!

Gdy przeciwnik unosił karabin, Jane wyciągnęła rękę z pilotem. Wyprzedziła go o ułamek sekundy, wciskając przycisk dziesiątego, najwyższego poziomu impulsu. Z obroży impulsowej, którą Derek zatrzasnął na szyi wroga, strzeliły jasne iskry. Efekt był bardziej dramatyczny, niż się spodziewali. Zamiast tylko obezwładnić cel, impuls elektryczny zapalił przemoczonego mężczyznę – wraz z całą sadzawką – jakby mikroby za jednym zamachem uwolniły całą swoją zmagazynowaną energię.

Mężczyzna wrzeszczał, miotał się, jego plecy wygięły się w łuk.

Gdy w końcu jego ciało zniknęło pod wodą, elektryczność wciąż tańczyła po powierzchni. Derek cofnął się czujnie.

– Hm... Jane, myślę, że możesz już przestać wciskać ten przycisk.

– No tak, racja. – Opuściła rękę i podeszła do niego.

Odsunął się od niej, doskonale wiedząc, co wsiąknięło w jego ubranie.

– Nie...

Zignorowała jego sprzeciw i przytuliła się do Dereka.

– Za późno. Jesteśmy w tym razem.

Stał z szeroko rozpostartymi rękami, bojąc się odwzajemnić uścisk, ale po chwili zrozumiał, że Jane ma rację, i objął ją mocno, wiedząc, że za to warto umrzeć.

Co nie znaczy, że tego chcę, zwłaszcza teraz.

Godzina 23.24

Gdy Jane tuliła Dereka, z wąwozu dobiegła seria wybuchów, przyciągając ich uwagę. Patrzyli w milczeniu, gdy słonie podniosły wojowniczą skargę.

Co się dzieje?

Derek kazał im wyjść z grotty.

– Nie możemy tu zostać.

Jane uznała, że ma rację. Po pokazie pirotechnicznym i wrzaskach ich kryjówka została spalona.

Gdy oddalili się od jeziora, Derek poprowadził ich wzdłuż ściany, trzymając się głębszych cieni pod koronami drzew. W kotlinie panował mrok, mimo to w blasku księżyca i gwiazd ujrzeli dziwny widok.

Duża grupa słoni, licząca może dwadzieścia sztuk, dość chaotycznie zmierzała w kierunku przegrodzonej murem rozpadliny.

Jane zmrużyła oczy.

– Co one...?

Nagle huknęły kolejne strzały. Przy każdym z nich jaskrawe błękitne kryształki piezoelektryczne wybuchały jak fajerwerki. Kowalski strzelał, lecz wcale nie we wroga. Szedł za stadem, celując ze strzelby w zady największych zwierząt, pędząc je przed sobą. Okraszał strzały głośnymi przekleństwami, które w normalnych okolicznościach przyprawiłyby Jane o rumieniec, ale teraz była pod wrażeniem siły jego wściekłości i bogatej wyobraźni.

Przypomniała sobie jego ostatnie słowa.

Mam plan.

W końcu plan przyniósł owoce. Słonie przyspieszyły, próbując uciec przed dręczycielem, zdezorientowane przez jasne błyski i rój kęsający je w zady. Zderzające się ciała powiększyły zamieszanie – i osiągnięty został punkt krytyczny. Nogi ubijały piasek, trąbienie stało się głośniejsze i po chwili stado wpadło w popłoch.

A cel był jasny.

Na dole i na górze pochylni błysnął ogień z luf, zdradzając obecność dwóch przeciwników. Ekspłodował granat, wzbijając gejzer piasku. Na szczęście rzut był źle wymierzony, bo wrogowie obsadzający szaniec spanikowali na widok pędzącej prosto na nich ściany ciosów, dudniących stóp i ryczących trąb.

Mężczyzna na dole odwrócił się i pobiegł po wąskiej pochylni, ale poślizgnął się na piaszczystej powierzchni. Upadł i zniknął pod nogami słoń. Chwilę później z drugiej strony dobiegł stłumiony krzyk, a potem z wąwozu napłynęło echo wrzasku. Drugi też został stratowany.

Ostatni słoń pokonał przeszkodę i uciekł w głąb rozpadliny, najpewniej chcąc szukać schronienia w leśnych moczarach.

Na dźwięk strzałów wszyscy odwrócili się w przeciwną stronę. Bitwa jeszcze się nie skończyła.

Godzina 23.32

Nie dam się na to nabrać.

Gray ukrywał się w kopcu gałęzi i kości. Napastnik wyłonił się z rozpadliny i strzelał na chybił trafił. Pociski wzbijały kawałki rozkruszonych kości, padając coraz bliżej jednego z kasków z zapaloną latarką. Przeciwnik próbował sprowokować go do reakcji, żeby zdradził swoją kryjówkę.

Ta strategia prawdopodobnie była skutkiem odgłosów bitwy: wrzasku, strzałów i huku strzelby na tle ryku i trąbienia słoń.

Gray wyczuwał ponurą obecność starej słońicy w głębi małej kotliny. Zasyła się w kępie wysokich śliw. Zżerało go poczucie winy, bo wiedział, jak bardzo ich przybycie zakłóciło spokojne życie tych płochliwych stworzeń, które otworzyły dla nich swój dom.

I oto jak się odwiedzamy za ich wspaniałomyślność.

Jakby wyczuwając, co go martwi, przeciwnik przycupnął i strzelił w kierunku drzew. Dobiegł stamtąd ostry, pełen bólu jęk.

Ty łajdaku...

Gray zmienił pozycję, żeby zobaczyć, czy słońcy nic się nie stało.

Gdy to zrobił, gałąź zsunęła się z czubka sterty i z grzechotem spadła na ziemię.

Nie zastanawiając się ani sekundy, wyskoczył spod osłony; wiedział, że bystry myśliwy błyskawicznie zareaguje na ruch i hałas. Rzucił się na bok i potoczył. Granat upadł na cementarzysko i eksplodował, wyrzucając wysoko w powietrze kawałki kości i płonący chrust. Siła eksplozji pchnęła Graya dalej; posypał się na niego grad odłamków.

Wciąż oburącz trzymając SIG sauera, strzelił w cienie. Nagrodziło go głośne przekleństwo przeciwnika, który znów zniknął za załomem.

Gray leżał na brzuchu, mierząc w wylot rozpadliny, ale nie miał żadnej osłony na białym krystalicznym podłożu. Jeśli spróbuje uciec czy choćby się poruszy, zdradzi go chrzęst. Miał wrażenie, że impas trwał długie minuty, ale w rzeczywistości minęły tylko sekundy.

Wróg, licząc na szczęście, puścił serię w jego kierunku.

I prawie mu się udało.

Nie chcę zostać następnym kopcem, pomyślał Gray, gdy kula świsnęła niemal przy jego uchu.

Usłyszał za plecami łoskot i westchnienie, a potem ciężkie kroki. Trzasnęły gałęzie. Zaryzykował i odwrócił głowę. Zobaczył, że stara słońca przedziera się przez gaj. Jej białą skórę plamiła krew ściekająca po boku. Prawie ślepe oczy patrzyły w jego stronę, pełne smutku, ale zdeterminowane. Zatrzymała się przed nim, opadła na kolana, później na pierś.

Trąba obróciła się w jego stronę, sapnęła przy jego policzku. Słońca przechyliła łeb, żeby na niego spojrzeć, i dotknęła go miękkimi nozdrzami.

Gray zrozumiał.

Próbuje mnie osłaniać, mimo że umiera.

Usłyszał szmer kroków. Wstał, przyjmując dar od wielkiego zwierzęcia. Wycelował nad jego grzbietem, gdy przeciwnik się

pokazał, wyraźnie zirytowany tą interwencją. Gray strzelił pierwszy. Tamten cofnął się o krok, ale nie poląła się krew.

Gray miał jednak inne zamiary.

Skup się na mnie.

Wróg spełnił niewypowiedziane życzenie Graya, celując w niego z granatnika.

Tymczasem za jego plecami wyłonił się ze szczeliny ogromy cień. Samiec zrobił krok, cichy jak zawsze, wieczny strażnik. Z wręcz nierealną powolnością wbił cios w plecy mężczyzny i go uniósł. Ten stanął na palcach, a potem jego stopy oderwały się od ziemi.

Trysnęła krew, broń upadła na ziemię.

Słoń potrząsnął łbem i poranione ciało poleciało do rozpadliny, żeby kości nie zbeczcześciły tej świętej ziemi.

Gray osunął się na kolana i położył dłoń na suchym policzku starej słońicy.

– Wybacz.

Uniosła trąbę i potarła go po przedramieniu, jakby rozumiejąc jego żal – a potem chwyciła go za nadgarstek, delikatnie go podniosła i odepchnęła. Podszedł samiec z zakrwawionym ciosem, żeby zająć jego miejsce. W oczach słońia strażnika nie było wybaczenia.

Gray pogodził się z tą decyzją i odszedł.

Obejrzał się przy wyjściu. Samiec stał z pochylonym łbem, z trąbą splecioną z trąbą konającej matrony. Gray się odwrócił, wiedząc, że nie zasługuje na to, by być świadkiem tej intymnej chwili.

Pobiegł w głąb rozpadliny, jednocześnie czując ulgę i wstyd.

Inni go potrzebowali.

Godzina 23.39

Seichan kucała czterdzieści metrów od wylotu długiego na półtora kilometra wąwozu. Podczas ostrożnej wędrówki słyszała dobiegające z dalekiej kotliny echa wymiany strzałów. Uwolniła się od lęku, wiedząc, że strach nie wyjdzie jej na dobre. Pokładała zaufanie w Grayu – a nawet w Kowalskim – że zapewnią bezpieczeństwo pozostałym.

Tej nocy miała własny obowiązek.

Czekała, obserwując wyjście. Wytężała słuch, próbując złowić hałasy niepasujące do lasu, i wypatrywała wszelkich podejrzanych ruchów cieni.

Wszystko wydawało się ciche i bezpieczne, ale wiedziała swoje. Jesteś tam.

Wrzeszczał o tym każdy jej nerw.

Seichan miała dwie możliwości, dwie różne ścieżki wyznaczone przez dwa słowa wbite jej do głowy przez tych, którzy w Gildii szkolili ją na zabójcę.

Cień albo ogień.

Mogła dalej się skradać, trzymać mroku, wspiąć się na urwisko i niepostrzeżenie zeskoczyć. Albo mogła rozpalić krew strzałem adrenaliny, popędzić co sił w nogach i wpaść pod grad pocisków.

Ona jednak czekała, ponieważ istniała trzecia ścieżka, której nie poznała w sztywnych strukturach Gildii. Tego nauczyła się od Graya – łączenia improwizacji i intuicji – chociaż dziś jej prawdziwym mentorem był Kowalski.

Usłyszała je, zanim przybyły – niskie dudnienie. Nie poruszyła się, żeby nie powiadomić kobiety czyhającej w dżungli o swoich planach. Kiedy poczuła, że ziemia drży pod jej stopami, wspięła się na urwisko.

Chwilę później pierwsze ze spłoszonych słoni przebiegły pod nią tak blisko, że mogłaby musnąć palcami ich falujące grzbiety. Rozejrzała się, szukając okazji, i dostrzegła ją w postaci wielkiej samicy. Gdy zwierzę znalazło się pod nią, Seichan skoczyła, oburącz złapała ogon i oparła stopy na tylnej stronie grubych ud.

Zaskoczona nagłym pojawieniem się pasażera na gapę, słonica przyspieszyła, próbując uciec przed tym, co się jej uczepiło. Słoń za nimi uderzył Seichan, niemal strącając ją na ziemię. Skuliła się i trzymała z całej siły; jej buty podskakiwały na poruszających się nogach zwierzęcia. Świat wokół niej rozmył się w smugę.

Nagle ściany urwiska zostały z tyłu.

Seichan czekała, aż stado wpadnie do lasu, i wtedy zeskoczyła. Przeturlała się po ściółce, błyskawicznie wstała, skuliła się i przypadła za pniem wysokiego drzewa.

Przyklękła i patrzyła za stadem, które z dudnieniem i łoskotem rozpraszało się w dżungli. Była ciekawa, czy słonie nie wypłoszą czegoś na otwartą przestrzeń.

Daleko po prawej stronie masywny samiec trącił biodrem stos głazów. Gdy kamienie runęły w wyniku zderzenia, uciekło zza nich coś ciemnego i niskiego.

Tam jesteś.

Seichan zdążyła dostrzec błysk ciemnego metalu.

Jej przeciwniczka zdecydowanie była uzbrojona.

Nie spodziewałabym się niczego innego.

Seichan ruszyła za swoją zwierzyną.

W tej chwili nastąpiła zmiana planu.

Ogień.

Godzina 23.43

Skulona Wala biegła zygzakiem przez las.

Słonie miażdżyły wszystko wokół niej, przepędzając ją coraz dalej od urwisk. Niebawem woda zachlupotała pod jej butami, najpierw w kałużach, potem w szerokim rozlewisku, które rozciągało się przed nią bez końca. Wreszcie ciemne sylwetki spłoszonych bestii rozproszyły się i panika minęła.

Mimo to Wala się nie zatrzymała – potrzebowała czasu na opracowanie strategii.

Obejrzała broń. Straciła celownik noktowizyjny, ale poza tym pistolet wydawał się sprawny. Żałowała, że nie miała czasu zabrać pulpitu do sterowania dronem.

Zanim wybuchł chaos, gdy czyhała w swojej zasadzce, zauważyła ruch w głębi rozpadliny, mignięcie ciepła ciała wykryte przez czujniki drona.

Zdecydowanie człowiek, ale identyfikacja nie była możliwa.

Na podstawie dalszych działań Wala domyśliła się jednak, kto błysnął na jej małym ekranie.

Czekała, aż Seichan podejmie decyzję.

Cień albo ogień.

Nagle z wąskiego wąwozu, widocznego dzięki przyrządom optycznym drona, wylała się rzeka ciepła, gasząc maleńki błysk. Wala próbowała pojąć, co widzi, i zareagowała za wolno. Spłoszone słonie wypadły prosto na nią. Ledwie zdążyła uciec.

Ale co się stało z Seichan?

Czy została stratowana?

Znała odpowiedź.

Nie.

Kula, która rozłupała pień blisko jej głowy, potwierdziła to.

Wala skuliła się, przetoczyła i schowała za pniem. Strzeliła w kierunku, z którego nadleciał pocisk, ale przypuszczała, że jej celu już tam nie ma.

Ruszyła.

Odwróciła się i pobiegła zygzakiem, zmierzając ku gęstszej części lasu. Sądząc po dźwięku strzału, Seichan miała broń krótką. Wala uniosła pistolet maszynowy, czując za paskiem dodatkowy magazynek z czterdziestoma nabojami.

Zamierzała zwyciężyć w tej grze ognia.

Potrzebowała tylko kryjówki.

I dotarła do niej.

Zanurkowała w gęstwinę, gdzie miała mnóstwo grubych pni do wyboru, co pozwalało jej niepostrzeżenie przeskakiwać z miejsca na miejsce. Przykucnęła pod osłoną jednego z pni.

Huknął strzał i poczuła uderzenie w łopatkę, tak mocne, że ją obróciło.

Zamykając umysł przed bólem, przeniosła się na nową pozycję, głębiej w gąszcz.

Kolejny strzał.

Jej ucho stanęło w ogniu.

Spanikowana, obróciła się dokoła.

Jak?

Nagle usłyszała niskie zawodzenie drona i zrozumiała, że bierze udział w niewłaściwej grze. To nie był ogień. To był cień – podkradanie się i podstęp. Seichan przeszukała jej poprzednią kryjówkę, znalazła pulpit drona i zarekwirowała go.

– Moja kolej pobawić się zabawkami – usłyszała Wala. – Uznałam, że to po prostu sprawiedliwe.

Zaklęła.

Zatem cień... i ogień.

Wyjęła radio, połączyła się z pilotem.

– Wystrzel hellfire’y. Cel: obie kotliny. Natychmiast.

Godzina 23.48

Hellfire’y...

Seichan wiedziała, że blada kobieta chciała, żeby ona usłyszała ten rozkaz.

Ale czy powiedziała prawdę o pociskach?

Wróciła myślą do Sudanu. Nie miała pojęcia, czy są tropieni, więc najlepszym rozwiązaniem było przyjęcie założenia, że są.

Teraz było nie inaczej.

– Poluj na mnie albo pomóż przyjacielom! – zawołała szyderczo kobieta z tatuażem na twarzy.

Seichan ją zignorowała, bo już podjęła decyzję. Odwróciła się i pobięła ku urwiskom. Musi zrobić wszystko, co w swojej mocy, żeby pomóc pozostałym.

Rzuciła swojej przeciwniczce milczącą obietnicę:

Jeszcze się spotkamy.

Godzina 23.50

– Szybciej! Szybciej! – ryknął Gray, nie szczędząc starań, żeby opuścić kotlinę. Chciał, żeby wszyscy, ludzie i zwierzęta, znaleźli schronienie za murem w ciemnym wąwozie.

Seichan zgłosiła się przez radio dwie minuty temu, spanikowana i zadyszana.

– Wynoście się stamtąd! Natychmiast!

Wyzwanie nadeszło w czasie, gdy spotkał się z innymi w głównej kotlinie. Teraz z zapalonymi latarkami na kaskach przeganiał resztę stada w stronę wylotu. Seichan próbowała im pomóc, przysyłając drona, żeby potwierdzić zagrożenie i jednocześnie nękać większego ptaka tym mniejszym.

Usłyszał w uchu głos Seichan:

– Cessna zbliża się do twojej pozycji. Hellfire’y są gotowe do odpalenia.

– Potrzebujemy więcej czasu – rzucił.

– Pracuję nad tym.

Kowalski strzelił w powietrze, żeby pogonić ostatnich maruderów we właściwym kierunku.

– Ruszać te pomarszczone dupy!

Noe łagodniej obchodził się z podstarzałą parą, dotykając trąb i zachęcając słonie, żeby szły za nim, podczas gdy Roho robił, co w jego mocy, wcielając się w rolę psa pasterskiego.

Przed nimi Derek z Jane obsadzili mur i machali paprociami, ponagłając słonie.

Na szczęście wcześniejsza panika sprawiła, że większa część stada uciekła do lasu, ale zostały te najbardziej uparte.

Gray spojrział na ciemną kotlinę. Wielki samiec strażnik jakieś dziesięć minut temu wyłonił się z rozpadliny, co wskazywało, że stara królowa umarła. Podeszło do niego kilkoro dorosłych,

splatając trąby, dzielając jego żal. Teraz czuwał samotnie przy tylnej ścianie.

Samiec nie chciał ruszyć się z miejsca. Nagle Jane zawołała z szanca, wskazując ręką.

– Młode! W trawie!

Wszyscy się odwrócili, ale z dołu nie mogli wypatrzeć słońtka.

– Gdzie?! – ryknął Kowalski, biegnąc co sił w nogach.

Jane wykrzykiwała wskazówki, naprowadzając go.

– Gray! – odezwała się znowu Seichan; w jej głosie wyraźnie słyszało się panikę. – Dron został uszkodzony. Cessna jest prawie nad wami.

Spojrzał w górę, słysząc cichy warkot silnika.

Niedobrze.

Przyłożył rękę do ust.

– Kowalski, wracaj! – wrzasnął i pomachał do pozostałych. – Za mur! Uciekać jak najdalej!

– Widzę gnojka! – Kowalski przyspieszył.

Skoczył w wysoką trawę i zniknął. Sekundę później się wyłonił, niosąc słońtka. Musiało ważyć ze sto kilo. Biegł, trzymając je w ramionach. Malec zawodził żałośnie.

Nigdy mu się nie uda.

Potwierdzenie pojawiło się na niebie, mknąc na tle gwiazd. Mały samolot kładł się na skrzydło, przygotowując się do lotu nad kotlinami.

Zabrzmiało dudnienie.

Z drugiej strony kotliny szarżował samiec – poruszony trąbieniem przestraszonego słońtka, a może rozumiejąc, że Kowalski potrzebuje pomocy. Dotarł do wielkiego mężczyzny, wyłuskał malca z jego ramion i pognął ku murowi.

Uwolniony od ciężaru Kowalski pochylił głowę i przyspieszył.

Za nim cessna opadła nad mniejszą kotlinę. Spod skrzydła wystrzelił ogień. Pocisk przemknął z rozdzierającym powietrze hałasem, a zaraz po tym ziemią wstrząsnął ogłuszający wybuch.

Płomienie i dym strzeliły w górę, przez chwilę wirując spiralnie, potem rozkładając się w ciemny całun.

Samiec dotarł do pochylni i przebiegł nad starożytną tamą.

Kowalski i Gray pędzili za nim. Dobięgli do muru, kiedy świat po raz drugi eksplodował za ich plecami. Fala uderzeniowa wpadła do wąwozu i rzuciła ich obu w powietrze. Spadli i potoczyli się niemal pod tratujące nogi słońca.

Kiedy się zatrzymali, Kowalski leżał na plecach.

– Przypomnij mi, żebym następnym razem cię słuchał.

Gray podniósł się z jękiem. Pozostali wrócili po nich i razem pokuśtykali po pochylni na szczyt muru.

W dżungli porastającej wzgórze na lewo od wąwozu rozległ się głośny, ostry trzask. Chwilę później gwiazdy zasnuła oleista chmura czarnego dymu.

– Gray? – usłyszał w uchu głos Seichan.

– Nic mi nie jest.

– To dobrze. Chciałam tylko dać ci znać, że uruchomiłam drona.

Spojrzał w kierunku słupa dymu, wiedząc, że jego źródłem jest cessa strącona przez Seichan.

– Lepiej późno niż wcale.

Podeszła do niego Jane z Derekiem. Oboje patrzyli z żalem na zbombardowaną kotlinę. Jej tylna część zmieniła się w zasnutę dymem rumowisko. Na ich oczach runął duży fragment ściany, grzebiąc grotę.

– Wszystko przepadło – rzuciła Jane. – Teraz już nigdy nie znajdziemy lekarstwa.

– To nie ma znaczenia – mruknął Gray.

Derek spojrzał na niego twardo.

– Dla mnie to cholernie ważne. Dałem nura do sadzawki.

– Chodziło mi o to, że lekarstwa nigdy tu nie było... przynajmniej nie dla nas.

Żadne z nich nie wyglądało na szczęśliwsze po usłyszeniu tej wiadomości.

– Wiem, gdzie jest lek – powiedział Gray.

– Co? – zapytała Jane bez tchu. – Gdzie?
Odwrócił się i ruszył przed siebie.
– Tam gdzie zaczęliśmy.

Mill Hill, Anglia

18 czerwca, godzina 10.23 czasu miejscowego

Dwa tygodnie później Gray stał przy oknie wychodzącym na małą salę chirurgiczną w Instytucie Francisa Cricka pod Londynem. Patrzył na okrytą postać leżącą na stole w hermetycznym pomieszczeniu.

Jesteśmy twoimi wielkimi dłużnikami.

W końcu, po szeregu badań, miał jutro wrócić do Stanów. Seichan i Kowalski również zostali przebadani i mieli lecieć razem z nim, ale nie byli zainteresowani tym, żeby tutaj mu towarzyszyć. Jak powiedział Kowalski: „Przejadły mi się mumie”.

Gray uśmiechnął się, bo wątpiąc, żeby jego kolega rozumiał, jak trafnych słów użył w tej sytuacji. Wyobraził sobie makabryczne martwe twarze znalezione wewnątrz kamiennego żołądka pogrzebanej bogini.

Była to jedna z bardziej oczywistych wskazówek. Nawet pamiętał, co wówczas pomyślał: Wszystko tutaj jest lekcją.

I było, zresztą wcale nie jedyną podczas tej podróży.

Wrócił myślą do starej słońicy chwytającej Jane za rękę i przekazującej jej swoją wiedzę, uczącej ją jak dziecko. W tych kotlinach tak naprawdę nie było żadnego leku.

Tylko kolejna lekcja do opanowania.

Tym, co słońica pokazała Jane – czego wszyscy zostali nauczeni – była recepta na sporządzenie leku, nie zaś sam lek.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i dołączyły do niego dwie znajome osoby, które walczyły z pandemią, a teraz przysły

złożyć hołd człowiekowi spoczywającemu na stole.

Z twarzą pobrużdżoną ze zmęczenia, ale i z uśmiechem Monk zamknął Graya w niedźwiedzim uścisku. Doktor Ileara Kano po prostu uściśnęła mu rękę.

Monk zajrzał do sąsiedniego pokoju.

– Chyba zatoczyliśmy pełen krąg. Od jednej mumii do drugiej. Z pewnością taka była prawda.

W innym skrzydle tego samego kompleksu medycznego ładunek zapalający zniszczył zmumifikowane ciało profesora McCabe'a. Gray pamiętał, jak stał na ulicy na zewnątrz, po raz pierwszy słuchając o tej wywoływanej przez mikroby dziwnej chorobie.

Rzeczywiście pełen krąg.

Tyle że tym razem to nie profesor McCabe leżał na stole.

Ileara spojrzała ze smutkiem na znajdującą się tam postać.

– Jego dzieło skończone – powiedziała. – Jutro rano wróci do Opactwa Westminsterskiego.

– Doktor Livingstone, jak mi nie mam – odezwał się Monk, bez powodzenia siląc się na brytyjski akcent.

Gray uniósł brew.

– Deadstone⁹, chyba to chciałeś powiedzieć.

– Dobrze. – Monk trącił kolegę łokciem. – Użyję tego przy następnym spotkaniu.

– Nie krępuj się.

Krótko po tym, jak Gray i jego towarzysze przylecieli z Rwandy do Anglii, ciało Davida Livingstone'a zostało ekshumowane z krypty w Opactwie Westminsterskim, gdzie spoczywało przez nikogo nie niepokojone od ponad stulecia. Szczątki biednego człowieka dostarczyły tylu próbek tkanki, że Gray był zaskoczony, iż cokolwiek z niego zostało pod okryciem.

Jednak to, co najważniejsze, skrywało się w jego czaszce.

Lekarstwo.

Monk ściągnął brwi, rozmyślając o niewyjaśnionej tajemnicy.

– Słyszałem to i owo – powiedział. – Ale nie wszystko.

Wiedząc, że zależy mu na uzupełnieniu tych luk, Gray zapytał:

– Od czego mam zacząć?

– Od Mojżesza.

Gray uśmiechnął się i westchnął.

– Jeśli naprawdę chcesz zrozumieć, możemy zacząć jeszcze wcześniej. W czasach, kiedy spragniona grupa słoni znalazła ryzykowne źródło wody, toksyczne dla większości form życia.

Przypomniał sobie, z jakim podziwem Noe mówił o tych wielkich zwierzętach.

– Potrafiąc rozwiązywać problemy, nauczyły się pić wodę bez szkody dla siebie. Być może nigdy się nie dowiemy, jak do tego doszły, ale przypuszczam, że miało to coś wspólnego z szacunkiem dla kości przodków.

Ileara pokiwała głową.

– Natura jest pełna przykładów takich dziwnych biologicznych relacji. Czasami nie mamy szans się dowiedzieć, w jaki sposób tak naprawdę powstały, i wrzucamy wyjaśnienie do kategorii: „Życie zawsze znajdzie sposób”.

Gray potarł szczękę.

– Tak czy inaczej, słonie w końcu znalazły metodę. Nauczyły się przechowywać zwłoki pod stosami gałęzi ze śliwy Mobola, żeby garbniki zawarte w korze wpływały na reakcje chemiczne zachodzące w martwym ciele, przemieniając to, co toksyczne, w uzdrawiające.

– Potwierdziliśmy to w laboratorium – dodała Ileara. – Po śmierci gospodarza, pozbawiony pokarmu w postaci elektryczności z żywego mózgu, mikrob zapada w stan uśpienia. Dopiero wtedy staje się wrażliwy na taninę zawartą w korze. Pewien związek chemiczny w taninie wyłącza kilka genów, czyniąc mikrob nieszkodliwym. Co jeszcze lepsze, jeśli ten nieszkodliwy mikrob natknie się na toksycznego kuzyna w żywej tkance, to go neutralizuje.

– Jest lekiem – podsumował Gray.

Monk podrapał się po głowie.

– Więc chcąc go otrzymać, należy pozwolić, żeby zainfekowane ciało uległo mumifikacji pod wpływem taniny z tej kory, a następnie czekać kilka lat na zebranie przeobrażonej dobrej wersji mikroba.

Gray wyobraził sobie słońcę rozłupującą czaszkę nasączonych taniną szczątków przodka i pokazującą słońtątku, jak je przeżuwać, żeby wydobyć remedium.

– Ale ta metoda jest specyficzna dla gatunku – zaznaczył Gray.
– Właśnie dlatego kości słońi są dla nas bezużyteczne jako lekarstwo. Musimy sami sporządzić lek. Kości słońi dla słońi.

Monk się skrzywił.

– I ludzkie dla ludzi.

– Najlepsze są czaszki – wtrąciła Ileara. – Ponieważ tam znajduje się większość mikrobów. Oczywiście, dzięki współczesnym metodom możemy po prostu wyhodować lekarstwo, ale wówczas był to jedyny sposób jego otrzymania.

Gray wiedział, że laboratoria w Instytucie Francisa Cricka już to robią, używając próbek dobroczynnych mikrobów znalezionych w czaszce Livingstone’a.

– Więc kiedy dojdziemy do Mojżesza? – zapytał Monk.

Gray spojrział na zegarek, zadowolony, że może trochę przyspieszyć.

– Plagi. Tak. Ta część historii zaczyna się wtedy, gdy podczas wyjątkowo obfitej pory deszczowej, prawdopodobnie będącej skutkiem zmian, które zaszły w atmosferze po erupcji wulkanicznej, woda zalała sadzawkę w kotlinie słońi i poniosła organizm w dół doliny Nilu, zapoczątkowując reakcję łańcuchową plag egipskich. Później grupa egipskich badaczy wyruszyła na poszukiwanie źródła klęsk i odkryła słońie. Zaskoczeni, że zwierzęta mogą bezpiecznie pić wodę, uważnie obserwowali ich zachowanie i w ten sposób się dowiedzieli, jak robić lekarstwo.

Przypomniał sobie opowieść Noego o Kenijczykach, którzy nauczyli się od słońi, jak przez żucie liści wywoływać poród. Pokręcił głową, zdumiony pomysłowością człowieka i odpornością przyrody.

Życie zawsze znajdzie sposób.

– Starożytni egipscy badacze – podjął, bo czuł presję czasu – wrócili z lekarstwem na północ, gdzie wiedza była przechowywana przez kastę, która czciła żeńską wersję Tutu, boga snu i marzeń sennych.

– Dlaczego żeńską? – zapytał Monk.

– Chyba dlatego, że prawdopodobnie kobieta odkryła lek albo przynajmniej dowodziła grupą badaczy. Może hebrajska uczona, która przybyła tam z lwem, o czym może świadczyć sposób, w jaki stara słonica zareagowała na Jane i Roho. A może zdecydowano się na boginię, ponieważ mikroby powoduje wady genetyczne u męskiego potomstwa zarażonych. – Gray wzruszył ramionami. – Tak czy siak, przypuszczam, że padło na boga snów z powodu dziwnych halucynacji wywoływanych przez mikroby.

Postanowił pominąć swoje teorie mówiące o tym, że mikroby mogą być zdolne do rejestrowania dramatycznych wspomnień i ich odtwarzania. Kontynuował wątek historyczny:

– Około tysiąc trzechsetnego roku przed naszą erą, ponad sto lat po plagach, w Egipcie nastąpiły burzliwe czasy wojny. Z obawy, że wiedza może zostać stracona, kasta zbudowała grobowiec swojej bogini, żeby służył dwóm celom. Najpierw zawarli tam wskazówki, jak sporządzać lek, a następnie zostawili próbkę, zmumifikowane ciało zawierające lekarstwo.

– Gdzie spoczywało przez milenia – wtrącił Monk.

– Ale nic nie zostaje pogrzebane na zawsze i każda tajemnica kiedyś wychodzi na jaw. Niektórzy tubylcy, prawdopodobnie potomkowie nubijskich sług, którzy pomagali kaście, wiedzieli o grobie, gdyż sekret był przekazywany z pokolenia na pokolenie. Do czasu, kiedy przybył brytyjski lekarz i misjonarz szukający źródeł Nilu, człowiek, którego tubylcy darzyli najwyższym szacunkiem.

Gray spojrział na okryte ciało, wiedząc, ile dobrego David Livingstone zrobił podczas wielu lat pobytu w Afryce, pomagając plemionom i walcząc przeciwko handlowi niewolnikami na kontynencie.

– Aby go uhonorować, powiedzieli mu o tym wszystkim, a nawet podarowali naczynie. Później, być może chcąc, żeby ta wiedza została zachowana, powierzył ją w formie zaszyfrowanych wiadomości swojemu przyjacielowi Stanleyowi. Po śmierci Livingstone’a, albo za jego zgodą, albo w ramach plemiennego rytuału, jego ciało zostało przemienione w takie naczynie, jakim dawno temu stała się kobieta na tronie. Kiedy zwłoki przybyły do Londynu, stwierdzono, że są zmumifikowane i złożone w trumnie ze śliwy Mobola.

Ileara ze smutkiem pokręciła głową.

– Później, pod koniec dziewiętnastego wieku, ktoś otworzył naczynie Livingstone’a, powodując wybuch zarazy w Muzeum Brytyjskim.

Gray znowu spojrzął na zegarek.

Był spóźniony.

– To prawda – zwrócił się do Monka. – Ale Painter i Kat wiedzą znacznie więcej niż ja o tej części historii, łącznie z rolą Tesli, Twaina i Stanleya. Może więc zapytasz o szczegóły swoją żonę. Albo Paintera. Słyszałem, że skończył kwarantannę. – Zatarł ręce. – Muszę już iść. Jestem umówiony na lunch z pewną kobietą, która robi się bardzo nerwowa, jeśli nie jestem punktualny. Nie chciałbym tłumaczyć, że spóźniłem się przez was.

Monk uniósł ręce.

– No to idź. Wolałbym się nie znaleźć na czarnej liście Seichan.

Gray odszedł, zadowolony, że złożył hołd wielkiemu badaczowi, i z radością zostawił go na dobrze zasłużony odpoczynek. Przemierzył rozległy kompleks medyczny, w którym toczyła się bitwa przeciwko pladze, i wyszedł w słoneczny poranek.

Zatrzymał taksówkę i przekazał kierowcy wskazówki podane mu przez Seichan. Była bardzo tajemnicza w związku z tym lunchem, co, zważywszy na jej charakter, budziło w nim lekki niepokój.

Kiedy taksówka się zatrzymała, zobaczył długą kolejkę ludzi. Wsiadł, ocieniając oczy przed blaskiem słońca. Gdzie jest...?

Ktoś złapał go za łokieć, głęboko wbijając palce.

– Spóźniłeś się.

– Monk potrafi być trochę gadatliwy.

Seichan przeciągnęła go przez tłum i skręcili za róg. Spojrzał na to, co piętrzyło się przed nimi. Było to London Eye, ogromny diabelski młyn górujący nad Tamizą. Każda przejrzysta owalna kapsuła mogła pomieścić dwa tuziny pasażerów.

Zaprowadziła go na początek kolejki.

– Wiesz, ile kosztuje zatrzymanie czegoś takiego? Jak myślisz, dlaczego powiedziałam, żebyś przyszedł na czas?

– Co my...

– Zamknij się.

Pociągnęła go po pochylni do czekającej kapsuły wielkiego diabelskiego młyna. Wewnątrz stał stół nakryty piękną serwetą i zastawiony kryształowymi kieliszkami. W pobliżu na wózku srebrne pokrywy skrywały kulinarne tajemnice, a butelka szampana chłodziła się w kubelku z lodem.

Seichan wepchnęła go do środka i pomachała ręką do operatora.

Z zarumienioną twarzą odwróciła się w stronę Graya.

– Trudno cię zaskoczyć – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– To cecha, która utrzymuje mnie przy życiu.

Gdy kapsuła ruszyła, Seichan objęła go.

– W takim razie w nocy muszę się bardziej postarać.

– Jestem gotów podjąć wyzwanie.

– Nie pokonasz mnie.

Pociągnęła go do stołu z ławką zwróconą ku Tamizie. Usadowili się, na razie nie myśląc o jedzeniu. Kapsuła powoli sunęła do góry, zapewniając coraz rozleglejszy panoramiczny widok na londyńskie City.

– Po co zawracałaś sobie głowę? Wystarczyłby mi hamburger i piwo. – Przyciągnął ją bliżej. – Liczy się towarzystwo.

– Pomyślałam, że zasłużyłeś.

– A skąd ten pomysł...? – Przyjrzał się jej uważnie. – No tak, ukradłaś go Derekowi i Jane, którzy zafundowali sobie przejażdżkę na diabelskim młynie w Chartumie.

Uśmiechnęła się.

– Naprawdę nie pozwalasz, żeby cokolwiek ci umknęło. – Teraz ona go przyciągnęła. – Kto powiedział, że tylko oni mogą się bawić?

Westchnął, rozumiejąc, jak bardzo oboje potrzebują takich chwil. Przypuszczał, że zapewnienie im takiego czasu mogło się kryć za jej zaproszeniem, choć może Seichan nie do końca była tego świadoma. Czy będą mieli odwagę nazwać siły, które nie pozwalały im na więcej takich chwil, i czy ośmielą się od nich uwolnić?

Oboje milczeli, chcąc rozkoszować się tym, co zostało im dane.

Seichan się poruszyła, obracając się lekko w jego stronę.

– Kat mi powiedziała. Uznała, że powinnam wiedzieć.

– O czym?

Spojrzała na rzekę.

– Wczoraj w Kanadzie na grobie Antona Michajłowa ktoś zostawił jedną białą różę.

Zdawał sobie sprawę, co ją martwi. Po wydarzeniach w Afryce blada zabójczyni rozplynęła się w powietrzu. Teraz wiedzieli, kto to taki.

Wala Michajłow.

Gray dotknął jej ręki.

– Nie możesz wiedzieć na pewno, czy to była...

Odwróciła dłoń i ścisnęła jego rękę.

– Biała róża miała jeden czarny płatek.

Godzina 11.38

– Masz gości – powiedziała Kat, gdy weszła do pokoju.

Painter usiadł na szpitalnym łóżku.

Wreszcie.

O wiele za długo przebywał w izolatce na oddziale chorób zakaźnych w Instytucie Francisa Cricka, poddawany leczeniu, badaniom i obserwacji. Był gotów na każdą rozrywkę.

Safia wsunęła głowę do pokoju.

– Przyszłam sprawdzić, co u pacjenta. – Weszła, wlokąc pęk baloników. – Pomyślałam, że cię rozweselę.

Jęknął.

– Chyba na jakiś czas mam dość balonów.

– A co sądzisz o starym przyjacielu? – spytała z uśmiechem.

Drzwi otworzyły się szerzej i do pokoju wszedł wysoki, barczysty mężczyzna o kudłatych jasnych włosach i opalanej na ciemny brąz skórze.

Painter się uśmiechnął.

– Omaha Dunn...

Gość wyszczerzył zęby, mrużąc oczy, aż pogłębiły mu się kurze łapki. Objął Safię w talii, podchodząc do łóżka.

– Zostawiłem cię z moją żoną, a ty o mało jej nie zabiłeś... znowu.

– Co mogę powiedzieć? – Painter wzruszył ramionami. – Ktoś musi wnieść w jej życie odrobinę podniecenia.

Safia z westchnieniem pokręciła głową i podeszła do stosu kartek i prezentów, żeby dodać do nich baloniki. Spędzili kilka minut na wzajemnym uzupełnianiu luk w życiorysach.

– Więc naprawdę znalazła się kobieta, która za ciebie wyszła? – zapytał ze śmiechem Omaha. – Gdzie jest ta biedaczka?

Painter lekko się skrzywił.

– Lisa pilnuje spraw w Waszyngtonie. Nie była zachwycona, gdy usłyszała, że dołączyłem do was wszystkich w Instytucie. Obecnie to miejsce praktycznie jest brytyjską Sigmą. Ale rozumie. Tutejszy ośrodek wyprzedza resztę świata pod względem znajomości tego patogenu, a po tym, co się stało w Arktyce, potrzebowaliśmy całej załogi na pokładzie.

Safia usiadła na brzegu szpitalnego łóżka.

– Więc jak się sprawy mają na Wyspie Ellesmere’a i w Stacji Aurora?

– Wciąż bałagan – odparł Painter. – W tym momencie na wyspie jest więcej mikrobiologów i specjalistów od chorób zakaźnych niż niedźwiedzi polarnych. Minie jakiś czas, zanim się dowiemy, w jaki sposób mikroby uwolnione przez Hartnella wpłynęły na środowisko. Ale w tej chwili jesteśmy ostrożnie optymistyczni. W Arktyce jest zimno, więc prawdopodobnie typowy mikrob nie znajdzie punktu zaczepienia poza ciepłym gospodarzem.

– Miejmy nadzieję, że Arktyka pozostanie zimna.

Pokiwał głową, przypominając sobie, że metoda ratowania planety wybrana przez Simona Hartnella mogła być błędna, ale cel pozostał szlachetny.

Omaha trącił Kat.

– Teraz pokaż mu ten prawdziwy prezent.

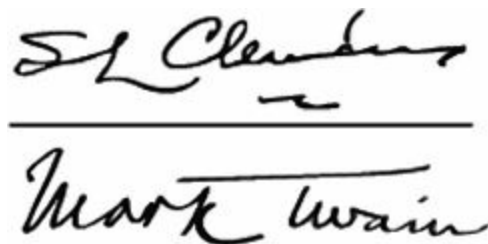
Painter zmarszczył czoło.

– Jaki prezent?

Kat się uśmiechnęła.

– Czekaaliśmy, dopóki nie zakończysz kwarantanny, żeby wręczyć ci go osobiście. – Otworzyła aktówkę i wyjęła z niej foliową koszulkę zawierającą poślizki arkusz papieru z ledwie widocznym pismem. – Znaleźliśmy to w krypcie Davida Livingstone’a, zostawione przez dżentelmena, który najwyraźniej był dobry w dochowywaniu sekretów, w przeciwieństwie do pewnego jego przyjaciela.

Wziął kruchą ze starości kartkę. Obchodził się z nią z najwyższą ostrożnością, zwłaszcza gdy zobaczył podpis na dole.



The image shows a handwritten signature in cursive. The top part of the signature is 'S. L. Clemens', which is a pseudonym for Mark Twain. Below this, there is a horizontal line, and underneath the line is the name 'Mark Twain' written in a more stylized cursive script.

– To od Marka Twaina – mruknął.

Przypomniął sobie relację znaną w dzienniku Tesli, opisującą wypadki roku 1895, łącznie z podróżą Twaina i Stanleya do Sudanu tropem wskazówek zostawionych przez Livingstone'a.

Zaciekawiony tym ostatnim dodatkiem do tamtej historii, przeczytał list opatrzony datą dwudziestego sierpnia 1895 roku.

Do Dżentelmenów i wielce łaskawych Pań, którzy to czytacie.

Po pierwsze, winniście się wstydzić za naruszenie spokoju grobu Davida Livingstone'a i grobowców w piaskach, nie Wasze to bowiem miejsce. Z drugiej strony, szczerze winszuję szczęścia albo rozumu (albo jednego i drugiego), które doprowadziły Was do zakłócenia wiecznego snu biednego Livingstone'a. Jakże to stosowne, że zacny doktor znowu może uleczyć z choroby tych, którzy zapukali w jego nagrobek w opactwie. Zapewniam, że zostawiamy Wam dostatecznie dużo remedium z wielce makabrycznego eliksiru zawartego w naczyniu, którym stało się jego ciało.

Jednakże uprzedzam, że kuracji towarzyszą dość pouczające i niepokojące zjawiska. Sam na wszelki wypadek poddałem się rzeczonemu leczeniu i podczas powrotu do zdrowia w gorączce śniłem o widokach i dźwiękach pochodzących ze wspomnień kogoś innego, człowieka, którego kości spoczywają przed Wami. Widziałem błękitne jeziora, na których nigdy nie spoczęły moje oczy, i ciemne dżungle, w których moja noga nigdy nie powstała, i inne widoki, przyjemne i przerażające, łącznie z okrucieństwem człowieka względem tych o ciemniejszej skórze w równie ciemniejszej Afryce. Czuję także pasję właściciela tych wspomnień, jakby była moja, czuję jego chęć poświęcenia się tym mniej szczęśliwym, jego głęboką wiarę w Boga, który może kochać wszystkich, i jego bezgraniczną ciekawość tego, co leży za horyzontem.

Z pewnością jestem bardziej człowiekiem słów niż człowiekiem nauki, więc nie twierdzę, że wiem więcej niż przeciętny zmiatacz ulic, gdy chodzi o to, jak ten świat jest urządzony. Jednakże chciałbym, iżby cała ludzkość mogła stanąć na moim miejscu, żeby móc naprawdę poznać duszę drugiego człowieka – jeśli nawet tylko w gorączkowym śnie – bo jakże lepszy wówczas byłby świat.

Pijcie więc do syta ze źródła, który jest przed Wami, i bądźcie wdzięczni za czekające Was dni, kiedyś bowiem wszyscy tutaj trafimy. Od śmierci nie ma ucieczki, ale obyśmy przeżyli nasze dni z pożytkiem, jak nasz zacny doktor Livingstone.

Painter uśmiechnął się, czytając ostatnie zdanie.

Jakże prawdziwe.

Z listu wynikało, że Twain i Stanley dowiedzieli się, że zmumifikowane ciało Livingstone'a zawiera lekarstwo. Przypomniawszy sobie relację Twaina z wyprawy do Sudanu, o tym, jak razem ze Stanleyem odkryli w grobowcu *receptę*, jeśli nie *samo remedium*. Prawdopodobnie nie znali patogenezę tej choroby ani jej leczenia – nie bardziej niż Egipcjanie czy słonie – ale dowiedzieli się, że proces mumifikacji był *receptą* i że ciało Livingstone'a stało się naczyniem zawierającym lekarstwo.

Poza tym Painter przypuszczał, że w zrozumieniu pomogły im dodatkowe wskazówki lub informacje przekazane Stanleyowi przez Livingstone'a – informacje, które albo zaginęły, albo nigdy nie zostały zapisane, co tym bardziej utrudniało wszystkie późniejsze wysiłki.

Najbardziej zainteresował go jednak inny intrygujący fragment listu Twaina.

– Zauważyliście, jak nawiązuje do tego, co nazywa *gorączkowymi snami*, halucynacjami, które, o czym wydaje się przekonany, były wspomnieniami Davida Livingstone'a? Omawiałem z Grayem możliwość, że mikroby rzeczywiście rejestruje szczegóły życia danej osoby i przekazuje je dalej. –

Zwrócił się do Safii: – Odniosłem wrażenie, że miałaś podobne doświadczenia, ale w przeciwieństwie do Twaina, który spożył dawkę mikrobów Livingstone’a, ty byłaś narażona na mikroby pustynnej mumii.

Safia pokręciła głową, wyraźnie zakłopotana tymi dociekaniem.

– Prawie nic nie pamiętam. Jakbym próbowała przypomnieć sobie sen.

Painter pokiwał głową.

– A ja nie doświadczyłem niczego takiego podczas leczenia.

– Może dlatego, że dostałeś dawkę mikrobów wyhodowanych w laboratorium, a nie naturalny eliksir – zasugerowała Kat.

– Wyhodowanych w laboratorium? – Omaha wyszczerzył zęby. – W takim razie jestem zaskoczony, że nie śniłeś o serze i wirującym kołowrotku w szczurzej klatce.

Painter go zignorował i spojrział na list trzymany w ręce.

– To sprawia, że człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie ma więcej...

– Czego? – zapytała Kat.

Pokręcił głową.

– Pewne szczegóły nie mają sensu.

Uniosła brwi.

– Jakie?

– Dlaczego profesor McCabe zakreślił siódmą plagę w swoim dzienniku? – Spojrział przez okno ku północy. – Chodzi mi o to, co się stało w Arktyce. To było jak coś rodem z Biblii.

– Chyba wciąż gorączkujesz – rzuciła Kat. – Z dalszych rozmów z Rorem wiemy, że jego ojciec zakreślił to po przetłumaczeniu hieroglifów z egipskiej steli, którą znaleziono w pobliżu budowanej w Sudanie zapory, opisujących siódmą plagę. Było to na początku jego badań, zanim zniknął na pustyni.

– A jeśli to było proroctwo wydarzeń, do których doszło w Arktyce?

– Bardziej prawdopodobne, że tylko relacja starożytnych egipskich meteorologów o potężnej nawałnicy. – Wskazała

palcem jego pierś. – Poproszę doktora o powtórzenie badań.

Łypnął na nią spod oka.

– Tylko się zastanawiałem.

Omaha plasnął rękami w uda i wstał.

– Życie rzeczywiście jest cudem, ale powinniśmy już iść.

– On ma rację. – Safia uściskała Paintera i szepnęła mu do ucha: – Dziękuję.

Jej mąż nie zamierzał tego tolerować.

– Painter, jeśli zaczniecie się całować, zadzwonię do twojej żony.

Safia uśmiechnęła się i ujęła w dłonie twarz przyjaciela, żeby mógł zobaczyć szczerą w jej oczach.

– Dziękuję – powtórzyła.

– W każdej chwili, Safio. Zawsze.

Godzina 13.07

Gdy taksówka pełzła przez Londyn w południowych godzinach szczytu, Safia patrzyła przez okno. Omaha siedział obok niej, trzymając jej rękę. Ścisnęła palce męża, potrzebując jego fizycznej bliskości jak kotwicy.

Patrzyła na ruchliwe miasto, które kochała – od lokalnych pubów pełnych śmiejących się, kończących lunch klientów po ociężały czerwony piętrowy autobus burczący na korki psujące jego rozkład jazdy.

Na wszystko jednak nakładał się inny migoczący obraz.

Faliste piaski pod pustynnym słońcem... Złote wierzchołki piramid odbijające promienie w oślepiającym blasku... ciemne kontury powolnej karawany wielbłądów sunącej skrajem wydmy...

Mocniej ścisnęła rękę Omahy. Te przebliski zdarzały się coraz rzadziej, więc nie chciała o nich mówić. Lecz wiedziała, że nie jest to jedyny powód jej powściągliwości. Kiedy w Arktyce niebo stało w ogniu, doświadczyła znacznie więcej, niż opowiedziała Kat.

Poznała wspomnienia setek kobiet, których żywoty łączyły się jak ogniwa, tworząc majestatyczny łańcuch wiodący do tamtej chwili. Przeżywała urywki ich życia jak własne, głównie najcięższe chwile, jakby akurat te mikroby zapamiętywał najlepiej.

Stało się to siłą pchającą ją do przodu, jak wiatr wiejący w plecy.

Chociaż nie tak wyraziste jak obrazy przeszłości, zaczęły migotać inne, przebliski tego, co może nastąpić. Widziała ognistą burzę nad lodem, zanim się rozpętała, i wiedziała, że nadciąga. Za tym jednym niebezpieczeństwem kryły się kolejne, jeszcze większe kataklizmy, piętrzące się jedne na drugich w przyszłości. Były mgliste, ledwie cienie, burzowe chmury za horyzontem. Jeśliby wiedziała więcej, opowiedziałaby o nich, ale nie znała szczegółów, tylko strach.

Wiedząc, co nastąpi, cieszyła się, że są tacy ludzie jak Painter – i wszyscy inni, którymi kierował w Sigmie – gotowi stawić czoło tym burzowym chmurom. Właśnie to próbowała przekazać przyjacielowi w szpitalu.

Dziękuję.

Omaha musiał wyczuć jej nastrój, bo przyciągnął ją do siebie.

– Saf, co się dzieje?

Przytuliła się do jego ciepłego boku. Rozmigotany obraz płonących piasków powoli przygasał, zastąpiony przez zwykły pęd i zgiełk życia.

– Nic – wymruczała. – Nic, o co musiałbyś się martwić.

Godzina 16.24

Nic nie zostało.

Jane wróciła do Ashwell i stała przed zgliszczami rodzinnego domu. Ogień strawił wszystko, zostawiając tylko kilka zwęglonych belek.

– Zawsze możesz go odbudować – powiedział Derek.

Rozważała ten pomysł, ale wspomnienia byłyby zbyt bolesne. Nadszedł czas, żeby iść do przodu. Wyciągnęła rękę i znalazła palce Dereka. Po dwutygodniowej kwarantannie w Instytucie Francisa Cricka cieszyła się, że jest pod gołym niebem, z powrotem na świeżym powietrzu. W zasadzie nie spodziewała się tu znaleźć niczego poza zgliszczami, ale musiała odbyć tę pielgrzymkę, żeby naprawdę pożegnać się z ojcem.

– Myślał, że przynosi lekarstwo – przypomniał Derek, jakby czytał w jej myślach.

– Ale przyniósł nam plagę.

Od wielu dni, mając mnóstwo czasu, składali elementy przeszłości jej ojca. Jane czuła największy ból – jak teraz – gdy usłyszała o roli Rory’ego w tym wszystkim. Wciąż nie mogła się zmusić do nawiązania kontaktu z bratem, który trafił do kanadyjskiego więzienia wojskowego z powodu udziału w wydarzeniach, które rozegrały się za kołem podbiegunowym.

Dowiedziała się również o Simonie Hartnellu, o jego manipulacjach i uwięzieniu jej ojca, o obsesji miliardera i odkryciu zaginionego dziennika Tesli, który zapoczątkował cały ten ciąg wypadków. Jej ojciec w końcu znalazł organizm opisany przez Teslę i szukał leku, ale, zważywszy na dziwną receptę, było to herkulesowe zadanie.

Wyobraziła sobie małe naczynia w kształcie słoni, wyrzeźbione – co teraz już wiedzieli – z drewna i kory śliwy Mobola, której tanina podczas procesu mumifikacji przyczyniała się do powstania lekarstwa.

Ale skąd ojciec mógł o tym wiedzieć?

Tanina działała tylko na uśpione mikroby znajdujące się w martwych ciałach; sama w sobie nie była środkiem leczniczym, więc naczynia z kory zostały zbagatelizowane jak bezużyteczna dekoracja.

Ponadto z przedstawionej przez Rory’ego relacji wydarzeń wynikało, że ojciec dokładnie zbadał mumię na tronie – będącą prawdziwym lekiem – lecz znalazł tylko mikroby, które

wyglądały identycznie jak odmiana patogeniczna. Ich odróżnienie wymagało analizy molekularnej.

Po prawie dwóch latach nastąpił jednak przełom – ojciec zrozumiał, że wytatuowane na mumii hieroglify są fonetycznym zapisem języka hebrajskiego. Odczytana opowieść dostarczyła mu dość wskazówek, żeby powiązać mumifikację z lekiem. Nie chcąc, żeby Hartnell poznał prawdę, zostawił tropy dla Jane i rozpoczął proces automumifikacji, jedząc korę i postępując zgodnie z rytuałem opisanym na skórze kobiety. Robił to przez dwa, może trzy miesiące, przygotowując swoje ciało, a potem zażył dawkę czynnych mikrobow przechowywanych w kamiennej czaszce bogini z nadzieją, że tanina z kory przemieni truciznę w lek.

– Dotarłeś tak blisko – szepnęła Jane do poczerwiałych zgliszcz.

– To my ponieśliśmy porażkę – powiedział Derek. – Nie mniejszą niż on. Prowadził nas do leku. Wiedział, że choroba musi go zabić, żeby mikroby mogły przejść w stan uśpienia i stać się podatne na działanie taniny. Tylko że otworzyliśmy jego czaszkę za wcześnie, zanim przemiana się zakończyła, i zamiast leku otrzymaliśmy plagę. – Przytulił ją. – Ale wyciągnął rękę do ciebie. Blisko końca musiał zrozumieć, że Hartnell skaptował Rory’ego, że twój brat jest współwinny...

– Rory zdradził nas wszystkich – szepnęła z goryczą. – Odebrał mi ojca, przez cały ten czas kazał mi wierzyć, że obaj nie żyją.

– Wiem. – Derek obrócił ją twarzą do siebie. – Ale, Jane, twój ojciec wiedział, że zdołasz podążyć zostawionym przez niego tropem. To było jego wyjście awaryjne. I miał rację. Rozpracowałaś wskazówki.

– My rozpracowaliśmy – sprostowała.

Uniósł brew.

– Archeolog chętny dzielić się zasługami? Na pewno jesteś córką Harolda?

Trzepnęła go w ramię i pociągnęła ulicą.

– Chodźmy na piwo.

Ruszyli w kierunku pubu Bushel and Strike.

Złapał ją za rękę.

– Jeszcze coś – rzucił. – W końcu twój ojciec osiągnął to, co zamierzał zrobić od samego początku. Znalazł dowód, że plagi egipskie rzeczywiście się wydarzyły, że w Księdze są zapisane fakty historyczne, a nie legendy czy opowieści. Jego odkrycie postawiło archeologię na głowie.

Dziewczyna skinęła głową, czerpiąc odrobinę pociechy z tego faktu. Wdzięczna, ścisnęła dłoń Dereka i przez kilka minut szli w milczeniu. Pierwszy odezwał się on.

– Aha, dzisiaj dostałem wiadomość od Noego.

Spojrzała na niego.

– Znalazł słonie?

– Mówi, że nie, ale nie jestem pewien, czy mu wierzyć. I na pewno nikomu o nich nie wspomniał.

– To dobrze. – Przysunęła się do niego. – Będzie im lepiej bez...

Przerwał jej dźwięk dzwonów, przyciągając uwagę do starego kamiennego kościoła za pubem. Najwyraźniej wyremontowano wieżę, co ją ucieszyło. Był to mały symbol woli przetrwania w obliczu tych wszystkich koszmarów.

Usłyszała cichy chór głosów płynący z otwartych drzwi kościoła.

Przyzywana przez muzykę – zapadający w pamięć hymn smutku i łaski – pociągnęła Dereka przez ulicę. Gdy weszli do kościoła, poczuła zapach kadzidła. Po prawej stronie chór ćwiczył w nawie. Poprowadziła Dereka w tamtym kierunku, ale skręciła do kapliczki naprzeciwko stuletnich organów.

– Co my tu...

– Sza.

Zatrzymała się przy filarze. Przeciągnęła palcami po napisie wyrytym w kamieniu. Wspomniała, jak w dzieciństwie przychodziła tu z ojcem, jak używała węgla rysunkowego i papieru, żeby kopiować te średniowieczne „graffiti”. Łaciński napis pochodził z czasów, kiedy w wiosce wybuchła zaraza, i stanowił kolejne przypomnienie o harcie ducha jej mieszkańców.

Praetereo fini tempori in cello pace.

Wyszeptała do siebie tłumaczenie:

– Odejdę w śmierci do spokoju nieba...

Położyła rękę na filarze, w tej chwili czując się bliska ojcu, bo napis przypomniał jej, że nie wszystkie wspomnienia są złe. Po jej policzku spłynęła łza.

– Jane?

Zobaczyła troskę w jego oczach. Przyciągnęła go i pocałowała, gdy chór śpiewał, jak przed wiekami.

Spostrzegłszy zakochanych, chórzyci przerwali śpiew i zaczęli klaskać.

Zarumieniona i uśmiechnięta, odsunęła się i obesza kościół, który stał od stuleci, nieugięty wobec każdej burzy – i wreszcie wróciła do Dereka.

– Chcę odbudować mój dom.

EPILOG

Σ

Takoma Park, Maryland, Stany Zjednoczone

30 lipca, godzina 10.13 czasu miejscowego

Obiecaj mi.

Gray siedział przy łóżku ojca w domu opieki. Te słowa nie dawały mu spokoju przez długie tygodnie po tym, jak ojciec wypowiedział je w tym pokoju. Wreszcie je zrozumiał. Przyglądał się twarzy ojca, zauważając pęknięte naczynia krwionośne na nosie, pamiątkę po pijaństwie, zwłaszcza w czasie po stracie nogi.

Jackson Pierce był dumnym człowiekiem, upokorzonym przez kalectwo i rentę inwalidzką. Jego żona pracowała, podczas gdy on cierpiał, zajmując się dwoma buntowniczymi synami, którzy z wiekiem stawali się coraz bardziej zbuntowani. „To twoja walijska krew!”, wykrzyczała matka Graya po jakiejś kłótni.

Myliła się co do „walijska”, ale miała rację co do „krwi”.

Gray w końcu zrozumiał prawdziwe źródło tarć pomiędzy nim a ojcem. Byli zbyt podobni, mieli zbyt wiele takiej samej krwi.

Wpatrywał się w tę pobrużdżoną twarz, zapadnięte oczy, próbując odnaleźć w nich ten dawny ogień. Chciałby, żeby ojciec znowu się pieklił – przeciwko niemu, przeciwko chorobie, która odbierała mu umysł, przeciwko pechowi, który zabrał mu nogę.

Obiecaj mi.

Ojciec wodził rękami po brzegach koca, jakby próbował znaleźć tam jakiś sens. Prawie już nie mówił. Gdy spał, walczył

z demonami, rozorywał palcami powietrze, wierzgał nogą, niemrawo, ale wystarczyło, że powstała odleżyna na pięcie.

Gray wczoraj rozmawiał z siostrą przełożoną. Powiedziała, że podczas jego nieobecności ojciec miał lekki udar, że dostaje leki przeciwzakrzepowe, że, według niej, jego stan jest stabilny, ale być może już nigdy się nie poprawi. Zgodnie z rokowaniami, mógł żyć w tym stanie miesiące, jeśli nie lata.

Siedział, trzymając ojca za rękę, czując jego kości. Potarł kciukiem swoją skórę, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz trzymał ojca za rękę albo choćby go dotykał. Nadrabiał stracone chwile.

Staruszek mamrotał przez sen, ale kiedy syn przeniósł spojrzenie z tych kruchych palców na jego twarz, zobaczył otwarte oczy. Ojciec na niego patrzył.

– Cześć, tato, nie chciałem cię zbudzić.

Poruszył spękanyymi, suchymi ustami. Przełknął ślinę, potem spróbował jeszcze raz.

– Gray...

Minęło dziesięć dni, odkąd ostatnim razem ojciec go rozpoznał.

– Gray, twoja matka... twoja matka nadchodzi.

Syn poklepał rękę ojca, nawet nie próbując doszukać się sensu w jego słowach. Uznał, że lepiej po prostu się z nim zgodzić.

– Tak? Kiedy przyjdzie?

Staruszek zmarszczył czoło, jakby usłyszał trudne pytanie.

– Co?

– Kiedy przyjdzie mama?

– Harriet?

– Zgadza się.

Ojciec rozejrzał się, nawet uniósł głowę z poduszki. Zatrzymał wzrok na pustym krześle w kącie.

– O czym ty mówisz? Już tu jest.

Gray spojrział na puste krzesło, potem na ojca. Głowa staruszka opadła na poduszkę, ale wciąż patrzył na krzesło, poruszając ustami, jakby mówił do siedzącego tam ducha.

Zamknął oczy i znowu odszedł; jego palce podrygiwały na brzegu koca.

Obiecaj mi.

Gray już wiedział, o co prosił go ojciec, i w duchu dopowiedział słowa, które uciszyła choroba.

...kiedy nadejdzie czas...

Trzymając jego rękę, drugą wcisnął tłok strzykawki z morfiną w białej w zbiornik kroplówki.

Nadszedł czas, tato.

Pochylił się i pocałował ojca w czoło.

Palce zacisnęły się i rozluźniły.

Przysunął usta do jego ucha.

– Idź zobaczyć się z mamą.

Po raz ostatni ścisnął kruchą dłoń, wstał i wyszedł z pokoju.

Opuścił dom opieki frontowymi drzwiami i podszedł do kobiety czekającej w jasnym porannym blasku słońca. Ujął jej dłoń, nie zatrzymując się ani na chwilę, i razem odeszli.

– Jesteś gotowa znaleźć to wyjście ewakuacyjne? – zapytał.

Uśmiechnęła się i bardzo mocno ścisnęła jego rękę.

– Myślałam, że nigdy nie zapytasz.

Wieczne i niepoznawalne

Duży samiec prowadzi stado wąskim wąwozem. Jego barki muskają pnącza i liście po obu stronach. Jego pierś wydyma się z powagą.

Za nim leży ich nowy dom, głęboka kotlina, ocieplana przez parujące otwory geotermalne, porośnięta lasem. Korony wysokich drzew zapewnią lepszą osłonę niż w ich starym domu. Z wysokich urwisk spływają kaskady wody zasilającej wiele stawów.

To dobre miejsce.

Człowiek, który je tutaj sprowadził, teraz idzie z tyłu. Samiec na to pozwala. Nie czuje zagrożenia z jego strony; odbiera dobroć i troskę. Na razie jest więc członkiem stada. Musi iść.

Samiec dociera do groty w głębi kotliny. Podłoże pokrywają małe, płaskie kamienie, ocienione półką skalną. Z jednej strony połyskuje mała sadzawka. Kiedy przyszli tu po raz pierwszy, samiec niósł w trąbie starą wodę i wydmuchnął ją do sadzawki. Powierzchnia już zaczyna obiecująco się jarzyć.

Ale nie dlatego stado jest tutaj.

Słoń prowadzi stado w inne miejsce.

Na gładkich kamieniach spoczywają zwłoki. Nie są całe, ale wystarczy. Człowiek przyniósł te kawałki i inne, wykopane z ich starego domu.

Samiec idzie pierwszy. Obwąchuje oparzenia na ciele, wodzi trąbą po krzywiźnie łba, muska nozdrzami białą skórę.

Delikatnie kładzie przyniesioną gałąź i cofa się.

Stoi obok sędziwej matrony, gdy podchodzą inne słonie, dokładając kolejne gałęzie. Jeden po drugim, patyk po patyku,

zakrywają szczątki. Człowiek podchodzi ostatni i układa swoją gałąź, potem odsuwa się na bok. Za nim jest jeszcze jeden żałobnik.

To on będzie ich chronić.

Samiec to wie, ponieważ ona pokazała mu go przed śmiercią.

Podchodzi duży biały kot; kamyki chrzęszczą pod jego łapami. Niesie w zębach długą gałąź. Upuszcza ją na stertę i trąca płaskim nosem, żeby się nie zsunęła.

Kot zbliża się do człowieka, a ten go poklepuje.

Dobrze. Zrobione. Ona zostanie zapamiętana.

Samiec unosi trąbę i dmie ku niebu, żałośnie, ale z nadzieją, wyzywająco, lecz z szacunkiem. Inne słonie biorą z niego przykład, dodając siłę swoich płuc, własne głosy. Ich pieśń jest wieczna.

Ktoś inny dołącza do chóru.

Kot występuje naprzód, zadziera łeb i ryczy – po raz pierwszy w życiu.

Nota od autora

Prawda czy fikcja

Jestem kolekcjonerem okruszków, strzępków wiedzy naukowej i historycznej, które mieszam i ugniatam, żeby tworzyć moje opowieści. Teraz gdy chleb został upieczony i podany, moim celem jest oddzielenie kromek, które są oparte na niepodważalnych faktach, od tych będących czystym wymysłem.

Zaczynamy!

POSTACIE HISTORYCZNE

Przyszło mi na myśl, że połączę tych gości, bo uznałem za fascynujące, że tak wiele nietuzinkowych postaci historycznych nie tylko się znało, ale wzajemnie brało udział w swoim życiu i podzielało pasje. Wiedziałem, że chcę napisać o spotkaniu gigantów. I żeby tego dokonać, oparłem całą historię na wątkach prorocत्व biblijnych.

Stanley i Livingstone

Podczas zbierania materiałów na temat tych dwóch postaci zdumiało mnie, jak bardzo się różniły. W branej za dobrą monetę, wiele razy publikowanej i rozreklamowanej historii poszukiwań Davida Livingstone'a przez Henry'ego Mortona Stanleya ten pierwszy – zaginiony lekarz – jest przedstawiony

jako nieporadny, skromny podróżnik, który o mało nie dał się zabić. Dopiero podczas wnikliwszej lektury można dojść do wniosku, że David Livingstone to prawdziwy bohater Afryki. Był misjonarzem i badaczem, który próbował poprawić życie afrykańskich plemion. Nawet po odnalezieniu, bliski śmierci, postanowił zostać na Czarnym Kontynencie, żeby kontynuować walkę z handlem niewolnikami. W przeciwieństwie do niego, „bohaterski” Stanley, zdeklarowany rasista, został zmuszony do wyjazdu do Afryki, gdzie traktował tragarzy i tubylców wyjątkowo brutalnie i okrutnie. Co gorsza, później wynajął go belgijski król Leopold II, żeby umożliwił mu zajęcie Konga, co pociągnęło za sobą niewolniczą pracę tubylców i wybijanie całych plemion, a zakończyło się tym, że wielki obszar Konga został prywatną kolonią króla Belgii.

Różnice charakteru i działalności tych dwóch postaci – Livingstone’a i Stanleya – pewnie odzwierciedla fakt, że ten pierwszy został pochowany w Opactwie Westminsterskim, podczas gdy drugiemu odmówiono tego zaszczytu. W *Siódmej pladze* chciałem zwrócić uwagę na życie i śmierć Livingstone’a. To prawda, że jego ciało zostało zmumifikowane przez tubylców i wysłane do Anglii w trumnie z kory. Tylko serce pozostało w Afryce, pogrzebane pod śliwą Mobola.

Stanley i Twain

Tak, Henry Morton Stanley i Samuel Clemens (znany jako Mark Twain) rzeczywiście się przyjaźnili. Tym, którzy chcą lepiej poznać ich zażyłe relacje, polecam lekturę zbeletryzowanych dziejów ich przyjaźni:

Twain and Stanley Enter Paradise Oscara Hijuelosa.

I nie, nie sędzę, żeby tych dwóch przeżyło wspólne przygody w Egipcie. Ale czy nie jest zabawnie myśleć, że tak właśnie było?

Twain i Tesla

Ich znajomość naprawdę mnie fascynuje. Mark Twain i Nikola Tesla byli prawdziwymi kumplami. Twain odwiedzał

Tesłę w laboratorium i pomagał mu w przeprowadzaniu eksperymentów (i jestem pewien, że był prawdziwym utrapieniem). Anegdota, że Twain testował „maszynę do wywoływania trzęsień ziemi”, żeby wyleczyć się z zaparcia, jest prawdziwa. Wszedł na wielki oscylator wynalazcy i po chwili popędził do toalety.

Musiałem więc napisać o tym, jak Twain i Tesla wyruszają na własną wyprawę w stylu Sigmy. Ale powiedzmy coś więcej o Tesli.

Nikola Tesla naprawdę był geniuszem i wizjonerem... chociaż niekoniecznie najbardziej obrotnym i praktycznym. Mógłbym poświęcić wiele stron na pisanie o jego życiu, pracy i spuściznie. Na szczęście nie muszę, bo jest wiele książek, które mogą rozwinąć temat dla intelektualnie dociekliwych. Oto dwie, które uznałem za najbardziej przydatne podczas pisania tej książki:

Nikola Tesla: Imagination and the Man That Invented the 20th Century Seana Patricka.

Tesla: Inventor of the Electrical Age W. Bernarda Carlsona.

Ale chcę powiedzieć więcej o konkretnych aspektach jego życia, o wynalazkach, które odegrały pewną rolę w tej powieści. Naprawdę wierzył w bezprzewodowe przesyłanie energii! Wszystko, co piszę w *Siódmej pladze* o wieży Wardencllyffe, jest oparte na faktach, podobnie jak to, że Tesla twierdził, że odkrył nowe, dotychczas nieznanne źródło energii. Jego wynalazki i deklaracje tak bardzo zaniepokoiły rząd Stanów Zjednoczonych, że po śmierci Tesli pokoje w hotelu New Yorker zostały splądrowane i zabrano z nich większość jego zapisków naukowych. Po wieloletnich naciskach siostrzeńca Tesli w końcu je zwrócono, ale nie wszystkie. Notes, który Tesla kazał siostrzeńcowi zabezpieczyć po swojej śmierci, nadal nie wyszedł na światło dzienne. Przejrzenie wszystkich zapisków naukowych wynalazcy zlecono Narodowemu Komitetowi Badań do spraw Obronności, którym w owym czasie kierował John G. Trump, stryj pewnego nowojorskiego magnata nieruchomości (a może

prezydenta Stanów Zjednoczonych, bo piszę te słowa przed wyborami w 2016 roku).

Wróćmy do historycznych aspektów powieści, ale tym razem wybierzemy się nieco dalej w przeszłość.

KSIĘGA WYJŚCIA I PLAGI EGIPSKIE

Ta powieść proponuje alternatywną historyczną oś czasu wydarzeń opisanych w Księdze Wyjścia. Dla bardziej wnikliwego zgłębienia tej nowej chronologii polecam następujące książki, obie napisane przez tego samego autora, Davida Rohla:

Exodus: Myth or History

The Lords of Avaris.

Podjęmowano liczne próby naukowego wyjaśnienia dziesięciu plag, które Mojżesz zesłał na Egipcjan, postanowiłem więc dodać mój głos do tego chóru. Większość tego, co napisałem, to oczywiście domysły i spekulacje, ale oparte na nauce. Na przykład wybuch śródziemnomorskiego wulkanu Thery sprzed około trzech i pół tysiąca lat jest uważany za najpotężniejszą erupcję w zapisanej historii. Ogromna chmura popiołu z pewnością spowodowała znaczące zmiany atmosferyczne i klimatyczne. Czy mogłaby wówczas powstać zorza równikowa? Erupcje wulkanu Augustine na Alasce w 2006 roku były badane pod kątem dramatycznych wyładowań atmosferycznych powiązanych z chmurą popiołu. Podobno wyładowania były tak potężne, że miały wpływ nawet na zorzę polarną.

Przejdźmy więc do naukowego aspektu powieści.

ELEKTRYCZNE BAKTERIE I DOMENA ARCHEONÓW

W powieści występuje dość paskudny mikroorganizm i większość powiązanych z nim informacji jest zgodna z prawdą. Naukowcy odkryli mnóstwo tych zjadających elektrony bakterii, po prostu wbijając elektrody w błoto i patrząc, co przyjdzie, żeby się najeść. Laboratoria na świecie badają praktyczne zastosowania tych nowo odkrytych dziwnych mikrobów – od hodowania żywych „biokabli”, które mogą przewodzić elektryczność, po wykorzystywanie ich do zasilania nanomaszyn dla różnych celów przemysłowych, łącznie z oczyszczeniem środowiska.

Archeony, o których mowa w tej powieści, również istnieją. Wyraźnie się różnią od bakterii i rzeczywiście są organizmami zmiennokształtnymi, zdolnymi do tworzenia długich włókien (idealnych do „okablowania” mózgu). Ta trzecia domena organizmów ewoluowała równolegle z wirusami, często przyłączając ich materiał genetyczny. Na potrzeby tej powieści wymyśliłem wyjątkową chorobę, wykorzystując patogenny archeon, który jest zabójczy, a poza tym trzyma w tylnej kieszeni wirusy, podobnie jak Zika powodująca wady wrodzone płodu. A kiedy się dowiedziałem, że wiele gatunków archeonów może zmieniać kolor wody na czerwony (od jeziora w Iranie po słone jeziora w Utah), pomyślałem, że to doskonały organizm do spowodowania egipskiej plagi (a może nawet dziesięciu).

Prawdą jest również to, że w zewnętrznych warstwach atmosfery ziemskiej żyją kolonie bakterii, które się tam żywią i rozmnażają.

ZMIANY KLIMATYCZNE I SYTUACJA W ARKTYCE

Jak Twain pisze w swojej powieści, jestem bardziej człowiekiem słów niż człowiekiem nauki, tak więc nie mam zamiaru rozprawiać o klimatologii ani o wpływie człowieka na klimat. Trudno jednak zaprzeczyć twierdzeniu, że Arktyka się ociepla, a pokrywa lodowa się kurczy, co otwiera całą północ do

eksploracji. Statki wycieczkowe rzeczywiście pływają Przejściem Północno-Zachodnim – odbywając podróże, które kiedyś uważano za zbyt ryzykowne, żeby w ogóle brać je pod uwagę, i które zakończyły się śmiercią wielu badaczy, łącznie z załogami HMS *Erebus* i HMS *Terror*.

Przy okazji, gdyby ktoś chciał dowiedzieć się więcej o tej tragicznej wyprawie, gorąco polecam powieść jednego z moich ulubionych pisarzy:

The Terror Dana Simmonsa.

Większość klimatologów jest przekonanych, że zbliżamy się do punktu krytycznego – albo już go przekroczyliśmy – kiedy można zrobić coś w związku z zagrożonym stanem świata. Niektórzy naukowcy skłaniają się ku geoinżynierii, widząc ją jako możliwe rozwiązanie. Proponują wielkoskalowe projekty, takie jak otoczenie Ziemi osłoną przeciwsłoneczną albo zalanie Doliny Śmierci czy nawet otulenie Grenlandii kocem. Jedynym problemem – poza prawdopodobieństwem sfinansowania czy realizacji projektu – jest niebezpieczeństwo niezamierzonych konsekwencji, kataklizmów, których nikt nie zdołałby przewidzieć, ponieważ w przypadku globalnego projektu geoinżynieryjnego liczba zmiennych jest po prostu zbyt wielka. Więc chciałem napisać, co może się wydarzyć.

W książce jest również mowa o instalacji HAARP na Alasce i o związanych z nią plotkach i teoriach spiskowych. Ponieważ Stacja Aurora jest zasadniczo ogromną wersją HAARP-u, postanowiłem uwiarygodnić wszystkie te pogłoski i podpalić niebo (co rzeczywiście pojawia się w niektórych zarzutach wysuwanych przeciwko HAARP-owi).

MUMIFIKACJA I WYTATUOWANE MUMIE

Pierwszą bohaterką książki jest osoba poddająca się rytuałowi automumifikacji, który – jakkolwiek może się wydawać makabryczny i bolesny – jest prawdziwy. Mumie *Sokushinbutsu* –

Budda w ciele – są znajdowane w Japonii, gdzie wyznawcy zadawali sobie wiele trudu, żeby zachować po śmierci swoje tkanki. Rytuał obejmował przestrzeganie specjalnej diety, zjadanie kory, picie naparu i połykanie kamieni – a nawet grzebanie się w grobie za życia. Podobnych wyznawców można znaleźć też w Chinach i Indiach.

Co do tatuaży, odkryto dwanaście wytatuowanych mumii. Używając współczesnego oprogramowania do cyfrowej obróbki obrazu i skanowania w podczerwieni, pozwalającego zajrzeć w głąb warstw skóry, archeolodzy mogą ożywić stare tatuaże.

SŁONIE

To, co w tej powieści robią słonie, może wydawać się zdumiewające, ale mieści się w granicach zachowania obserwowanego u tych zwierząt w ogrodach zoologicznych i na wolności. Zachowania te obejmują malowanie, naśladowanie ludzkich głosów, odprawianie ceremonii związanych ze śmiercią, a nawet samoleczenie. Wzmianka o ludziach w Kenii „nauczonych” przez słonie, jak wywoływać poród przez żucie liści, jest prawdziwa. Ludzie od wieków obserwują przyrodę i metody przetrwania zwierząt, żeby samemu utrzymać się przy życiu.

Uważa się, że słonie są inteligentne dzięki dużym mózgom, które ważą po pięć kilogramów. Ich kora mózgowa zawiera tyle samo neuronów i synaps co nasza. Zwierzęta nauczyły się dobrze wykorzystywać ten potencjał. Używają narzędzi i rozwiązują problemy, a nawet wykazują się altruizmem. Są również samoświadome i posiadają coś w rodzaju wrażliwości estetycznej.

Dlatego proszę, przestańcie do nich strzelać.

KILKA SZCZEGÓŁÓW

Miałem okazję odwiedzić kościół Świętej Marii w Ashwell. Większość szczegółów jest zgodna z prawdą, ale byłem tam dziesięć lat temu, więc pamięć i czas mogły zmienić pewne detale. W kościele rzeczywiście są średniowieczne „graffiti”, niektóre poważne, inne całkiem zabawne. W parku za kościołem bije źródło i jest tam przejście po kamieniach. Trochę zmieniłem lokalizację cmentarza na potrzeby fabuły, ale wszystko inne jest takie, jak napisałem.

Pomysł arki Noego oparłem na amfibii zwanej Swamp Spryte. Pojazd wyglądał tak zabawnie, że po prostu musiałem go umieścić na stronach książki.

To samo odnosi się do broni Kowalskiego, piezera. Departament Bezpieczeństwa Narodowego opracował koncepcję strzelby, która może wystrzeliwać grad kryształów piezoelektrycznych, żeby razić cele oddalone o cztery i pół metra bez problemów, jakie ma paralizator elektryczny wystrzeliwujący elektrody. Uznałem, że agencja Sigma Force byłaby idealna do przetestowania takiej broni w terenie.

Pod koniec książki poruszyłem kwestię elektrycznej natury pamięci – od przenoszenia informacji z pamięci krótkotrwałej w hipokampie do długoterminowego magazynowania naszych wspomnień w ośrodkach pamięciowych mózgu. Wykazano, że stymulacja elektryczna może wzmacniać wspomnienia i czynić je bardziej żywymi. Co więc mogłoby się zdarzyć, gdyby któryś z tych uwielbiających elektryczność mikroobów okazał się patogeniczny? Jak wpłynęłoby to na nasze wspomnienia? Chyba wolę to opisać, niż tego doświadczyć.

I tyle, jeśli chodzi o podstawy powieści. Oczywiście, jest tysiąc innych szczegółów, które są prawdziwe, lecz potrzebowałbym pęsety, żeby je wyłuskać, a ich omówienie wymagałoby wielu więcej stron. Dlatego proponuję po prostu uwierzyć we wszystko, co napisałem w tej książce.

Okrasilem powieść kilkoma cytatami z Tesli, więc pomyślałem, że zakończę jeszcze jednym, będącym świadectwem więzi łączących całą ludzkość:

Mamy wolną wolę myślenia i działania, lecz wszyscy jesteśmy związani, jak gwiazdy na firmamencie, nierozzerwalnymi więzami.

Tylko że ja muszę oderwać się teraz od Was wszystkich – przynajmniej dopóki Sigma nie wpadnie w kolejne tarapaty, na co oczywiście nie trzeba będzie długo czekać.

Przypisy

- [1](#) Wszystkie cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia.
- [2](#) Nieprzetłumaczalna na język polski gra słów: denial (zaprzeczenie) i the Nile (Nil) wymawia się podobnie.
- [3](#) Centers for Disease Control and Prevention (ang.) – amerykańskie Centrum Kontroli Chorób i Prewencji z główną siedzibą w Atlancie.
- [4](#) Biblia Tysiąclecia; Wj 11,5.
- [5](#) National Oceanic and Atmospheric Administration (ang.) – amerykańska Narodowa Służba Oceaniczna i Meteorologiczna.
- [6](#) Nawiązanie do wiersza Roberta Frosta, *Droga nie wybrana*.
- [7](#) Crow (ang.) – wrona.
- [8](#) Biblia Tysiąclecia, Księga Wyjścia 9, 23.
- [9](#) Livingstone (ang.) – żywy kamień, Dead(as)stone – martwy jak kamień.